

CZARNA SERIA

KRYMINAL



DOLORES REDONDO

ŚWIADECTWO
KOŚCI

Świadekwo kości to drugi tom trylogii kryminalnej bartzan

lesiojot

DOLORES
REDONDO

ŚWIADECTWO KOŚCI

Przełożyła Maria Mróz

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2015

Dla Eduarda, każde słowo

*Czy ten człowiek nie zna natury swego rzemiosła? Śpiewa
przy kopaniu grobu.*

William Szekspir, *Hamlet*, akt V,
przeł. Józef Paczkowski

*Grób często kryje nieświadomie dwa serca
w jednej trumnie.*

Alphonse de Lamartine

*Bo najgorszy jest ten ból, który zżera nas od środka. Nie
pomogą żadne skargi, ból ten nigdy nie zelżeje.*

Alejandro Sanz, *Si hay Dios*

Itxusuria

Odnalazł miejsce pochówku dzięki bruździe, którą wryła w ziemi kapiąca z dachu deszczówka. Ukląkł, z zanadru wyciągnął ogrodniczą łopatkę z motyką i rozgrzebał zwartą powierzchnię ciemnej gleby, która rozpadła się na wilgotne, gąbczaste grudy wydzielające bogaty aromat drewna i mchu.

Ostrożnie rozkopywał grób, warstwę po warstwie, aż w głębi dołu dostrzegł ubrudzone ziemią poczerńiałe strzępy przegniłej tkaniny.

Dalej grzebał już rękami, odsuwał na bok materiał, w którym nadal można było się domyślić zarysów niemowlęcego becika i który rozpadł się pod jego dotykiem, odsłaniając nawoskowane płótno otulające ciało. Sznurek zachował się niemal jedynie w postaci głębokich, wyraźnych wgłębień tam, gdzie przewiązано nim zawiniątko. Rozszarpał zmurszałe resztki i przeciągnął palcami po płótnie, szukając brzegu. Nie patrząc, wyczuł zgrubienie i włożył pod nie palce, po czym jednym gestem, jak nożem, rozerwał całun.

Dziecko leżało w grobie jak w kołysce, twarzą do dołu. Kosteczki były w dobrym stanie, podobnie jak płótno, choć one też zabarwione były ciemną glebą doliny Baztán. Jedną ręką przycisnął do ziemi ciało – prawie zmieściło mu się w dłoni – a drugą bez trudu oderwał prawą rękę, łamiąc przy tym maleńki obojczyk. Towarzyszył temu słaby odgłos, jak ciche westchnienie dobiegające z grobu, jak skarga, że go pogwałcono. Nagle odsunął się, onieśmielony. Wstał, schował kości do kieszeni i po raz ostatni spojrzął na mogilkę, a potem narzucił na nią ziemię nogami.

Duchota w siedzibie sądu była nie do wytrzymania. Opary unoszące się znad wilgotnych od deszczu ubrań mieszały się z oddechami setek ludzi kłębiących się na korytarzach przed salami rozpraw. Rozpinając żakiet, Amaia spostrzegła porucznika Paduę. Zamienił kilka słów z kobietą, która mu towarzyszyła, odprowadził ją do jednego z pokoiów i zręcznie omijając oczekujących, podszedł, żeby się przywitać.

– Pani inspektor, cieszę się, że panią widzę. Jak się pani czuje? Zastanawiałem się, czy się tu pani dzisiaj zjawi – mówiąc to, spojrział na jej brzuch.

Amaia położyła rękę na wypukłości, która jednoznacznie wskazywała na bardzo zaawansowaną ciążę.

– No cóż, na razie się trzymam. Widział pan matkę Johany?

– Tak, jest bardzo zdenerwowana. Czeka w środku, z rodziną. Przed chwilą uprzedzono mnie z dołu, że podjechał furgon z Jasónem Mediną – powiedział, kierując się do windy.

Amaia weszła do sali rozpraw i zajęła miejsce w jednej z tylnych ławek. Dobrze stamtąd widziała matkę Johany Márquez, w żałobnym stroju i o wiele chudsza niż na pogrzebie dziewczynki. Jak gdyby wyczuwając jej obecność, odwróciła się i skinęła głową w skąpym geście powitania. Amaia bez powodzenia spróbowała się uśmiechnąć i wpatrzyła się w bladą, udreńczoną twarz, twarz matki, której nie udało się uchronić córki przed potworem, którego sama sprowadziła do domu. Sekretarz sądowy zaczął czytać na głos nazwiska uczestników rozprawy. Jego uwadze nie umknął skurcz, który przebiegł po twarzy kobiety, gdy padło nazwisko jej męża.

– Jasón Medina – powtórzył sekretarz. – Jasón Medina.

Do sali wpadł policjant w mundurze. Podszedł do sekretarza i wyszeptał mu coś do ucha. Potem nachylił się nad sędzią. Sędzia go wysłuchał, skinął głową, wezwał prokuratora i obrońcę, przekazał im krótką wiadomość i wstał.

– Posiedzenie zostaje odroczone do odwołania – powiedział i wyszedł z sali.

Matka Johany krzyknęła rozpaczliwie i odwróciła się do Amai, jakby to od niej żądała wyjaśnień.

– Nie, nie! Dlaczego?

Towarzyszące jej kobiety obejmowały ją i na próżno usiłowały uspokoić.

Jeden z policjantów podszedł do Amai.

– Inspektor Salazar, porucznik Padua prosi, żeby pani zeszła do podziemi.

Wychodząc z windy, zauważyła, że na korytarzu, przed drzwiami do łazienki, tłoczy się grupka umundurowanych funkcjonariuszy. Policjant, który jej towarzyszył, wpuścił ją do środka. Było tam już kilka osób. Jakiś policjant i konwojent opierali się o ścianę z pobladłymi twarzami. Padua zaglądał do jednej z kabin. Stał na brzegu kałuży krwi. Rozlewała się zza przepierzenia i jeszcze nie zdążyła zakrzepnąć. Gdy zobaczył Amaię, odskoczył na bok.

– Powiedział konwojentowi, że musi iść do łazienki. Miał kajdanki, ale jakoś zdołał poderżnąć sobie gardło. Wszystko stało się błyskawicznie. Policjant stał tuż obok, usłyszał rżenie, otworzył drzwi, ale nic już nie mógł zrobić.

Amaia zrobiła krok do przodu, żeby popatrzeć. Jasón Medina siedział na sedesie z głową odrzuconą do tyłu. W jego szyi zionęła głęboka ciemna szpara. Przód koszuli był nasączony krwią. Wyglądało to tak, jakby miał na szyi makabryczny czerwony śliniak. Krew barwiła wszystko na swojej drodze i spływała na podłogę. Ciało było jeszcze ciepłe, odór świeżej śmierci zatruwał powietrze.

– Czym to zrobił? – spytała Amaia. Nie widziała żadnego narzędzia.

– Nożykiem do tapet. Wypadł mu ze słabnących rąk i wleciał do sąsiedniej kabiny – odparł Padua, popychając sąsiednie drzwi.

– Jak mu się udało go wnieść? To metal. Wykrywacz musiał go pokazać.

– To nie on go tu dostarczył, pani inspektor. Niech pani

popatrzy – wskazał na nożyk – na rękojeści jest kawałek taśmy klejącej. Ktoś musiał się postarać, żeby go tu umieścić. Pewnie przykleił go za rezerwuarem, a Medina musiał tylko wyciągnąć go ze schowka.

Amaia westchnęła.

– A to jeszcze nie wszystko – dodał Padua. Był zde gustowany.
– Z kieszeni marynarki wystawało mu to. – Ręką w lateksowej rękawiczce uniósł w górę białą kopertę.

– List samobójczy – zasugerowała Amaia.

– Niezupełnie. – Padua podał jej rękawiczki. – Koperta jest zaadresowana do pani.

– Do mnie? – zdziwiła się Amaia.

Włożyła rękawiczki i wzięła kopertę.

– Mogę?

– Oczywiście.

Klej ledwo trzymał i udało jej się otworzyć kopertę, nie rozdierając jej. W środku był biały kartonik, a na nim, na samym środku, widniało jedno słowo: *TARTTALO*.

Poczuła w brzuchu nagły skurcz i wstrzymała oddech, żeby powstrzymać okrzyk bólu. Odwróciła kartkę, żeby sprawdzić, czy nie ma czegoś na odwrocie, i oddała ją Padui.

– Co to ma znaczyć?

– Myślałem, że pani mi to powie.

– Ale ja nie wiem, o co chodzi, poruczniku Padua. To dla mnie niezrozumiałe. – Amaia była zdezorientowana.

– Tarttalo to postać mityczna, prawda?

– No, tak... O ile mi wiadomo, to cyklop z mitologii baskijskiej. Cyklopów znali też starożytni Grecy i Rzymianie. Do czego pan zmierza?

– Pani rozpracowała sprawę basajauna, który też jest postacią mityczną, a teraz zabójca, który przyznał się do zabójstwa Johany Márquez i który podszywał się pod basajauna, żeby ukryć swoją zbrodnię, popełnia samobójstwo i zostawia list zaadresowany do pani, notkę o treści: *Tarttalo*. Niech pani przyzna, że to co najmniej dziwne.

– Zgadzam się. – Amaia westchnęła. – To dziwne, ale w swoim czasie ustaliliśmy bez najmniejszej wątpliwości, że to Jasón

Medina zgwałcił i zamordował swoją pasierbicę, a potem w dość prymitywny sposób usiłował skierować podejrzenia na basajauna. Do tego przyznał się do winy i nie oszczędził nam szczegółowego opisu zbrodni. Sugeruje pan, że to nie on ją popełnił?

– Nie mam najmniejszych wątpliwości, że to on – stwierdził Padua, patrząc z niechęcią na trupa. – Ale jest jeszcze ta sprawa amputacji i kości dziewczyny, które znaleziono w Arri Zahar, a teraz to... Myślałem, że pani będzie mogła...

– Nie. Nie wiem, co to znaczy ani dlaczego ten list napisał do mnie.

Padua odetchnął, ale nadal przyglądał jej się uważnie.

– Jasne, pani inspektor.

Amaia ruszyła do tylnego wyjścia. Nie chciała się natknąć na matkę Johany. Nie wiedziała, co mogłaby jej powiedzieć. Może tylko że wszystko się już skończyło albo że zbrodniarz jak szczur wymknął się na tamten świat, żeby ujść sprawiedliwości. Pokazała strażnikom służbową odznakę i ucieszyła się, że nareszcie opuszcza przygnębiający budynek sądu. Deszcz przestał padać i spoza chmur wyłoniło się ostre słońce, tak typowe dla Pampeluny. Raziło ją w oczy i wywoływało łzawienie. Grzebała w torebce w poszukiwaniu okularów przeciwsłonecznych. Kiedy wybierała się do sądu, ledwo znalazła wolną taksówkę. Zawsze ich brakowało, gdy padał deszcz, ale teraz mieszkańcy miasta woleli się przespacerować i na postoju stała kolejka samochodów. Niezdecydowana zatrzymała się przy pierwszym z brzegu. Nie chciało jej się wracać do domu, z niechęcią myślała o Clarice kręcącej się wokół i bombardującej ją pytaniami. Od dwóch tygodni, od kiedy przylecieli jej teściowie, rytm domowego życia został poważnie zakłócony. Rzuciła okiem na zachęcające okna kawiarni naprzeciwko sądu, a potem popatrzyła w głąb ulicy San Roque, na drzewa w parku Media Luna. Obliczyła, że od domu dzieli ją półtora kilometra, i ruszyła pieszo. Jeśli poczuje się zmęczona, zawsze będzie mogła złapać taksówkę.

Kiedy zagłębiła się w park i zostawiła za sobą uliczny hałas, natychmiast poczuła ulgę. Świeży zapach mokrej trawy zastąpił

smród samochodowych spalin. Odruchowo zwolniła i ruszyła wyłożoną kamieniami ścieżką, przecinającą doskonale przystrzyżony trawnik. Odetchnęła głęboko i bardzo powoli wypuściła z płuc powietrze. Co za koszmarny ranek, pomyślała. Jasón Medina, gwałcieciel i zabójca pasierbicy, dokładnie pasował do profilu: tacy jak on popełniają samobójstwa w więzieniu. Na rozprawę czekał w pojedynczej celi i niewątpliwie przerażało go, że po wyroku mógłby trafić do wieloosobowej. Pamiętała go sprzed dziewięciu miesięcy, z przesłuchań w związku ze sprawą basajauna, kiedy, skulony jak szczur pod miotłą, zalewając się łzami, przyznawał się do popełnienia kolejnych okropności.

Choć były to dwie odrębne sprawy, porucznik Padua z Gwardii Cywilnej poprosił ją, żeby wzięła udział w przesłuchaniach, gdyż Medina w prymitywny sposób i opierając się na tym, co przeczytał w prasie, usiłował naśladować sposób działania seryjnego zabójcy, którego wtedy śledziła. Dziewięć miesięcy temu. Właśnie wtedy zaszła w ciążę. Wiele się od tego czasu zmieniło.

– Prawda, malutka? – szepnęła, głaszcząc się po brzuchu.

Silny skurcz sprawił, że musiała się zatrzymać. Oparła się na parasolce i pochyliła do przodu, starając się wytrzymać gwałtowny ból w podbrzuszu, rozlewający się na wewnętrzne strony ud i powodujący silne napięcie mięśni. Z jej gardła wyrwał się jęk, nie tyle z powodu bólu, ile z zaskoczenia, że jest tak silny. Fala bólu ustąpiła tak samo gwałtownie, jak się pojawiła.

Więc to będzie tak. Tysiące razy zastanawiała się, jaki będzie miała poród i czy będzie w stanie rozpoznać pierwsze oznaki, czy okaże się jedną z tych kobiet, które trafiają do szpitala w ostatniej chwili albo rodzą w taksówce.

– Maleńka moja – czule zwróciła się do dziecka w brzuchu – jeszcze tydzień do terminu. Jesteś pewna, że już chcesz wyjść?

Ból zniknął, jakby go nigdy nie było. Poczowała ogromną radość i wielkie napięcie, bo zdała sobie sprawę, że ta oczekiwana chwila nadejdzie już wkrótce. Uśmiechnęła się i rozejrzała,

jakby chciała się z kimś podzielić swoim szczęściem, ale wilgotny i świeży park był opustoszały. Błyski słońca przedzierające się spoza warstwy chmur pokrywających niebo nad Pampeluną rozświetlały szmaragdową zieleń, która wydawała się promienna i radosna. Ogarnęło ją takie uczucie, jakby dokonała jakiegoś odkrycia, uczucie, którego zawsze doznawała w dolinie Baztán, ale którego przyplływ w mieście był niespodziewanym darem losu. Ruszyła dalej, duchem przenosząc się do magicznego lasu nad rzeką i bursztynowych oczu pana tamtych włości. Zaledwie dziewięć miesięcy temu tam właśnie prowadziła śledztwo. W miejscu swoich narodzin, w miejscu, które kiedyś pragnęła opuścić na zawsze, lecz do którego wróciła, aby schwytać zabójcę i począć córeczkę.

Pewność, że nosi w sobie dziecko, nadała jej życiu tak pożądany spokój i uśmierzyła lęk. Tylko to mogło jej pomóc znieść potworności, które wydarzyły się w tamtym czasie i które z pewnością by ją wykończyły, gdyby nie wytęskniona ciąża. Powrót do Elizondo, rozgrzebywanie przeszłości, a zwłaszcza śmierć Víctora poruszyły w posadach cały świat, jej i jej rodziny. Jedynie ciotka Engrasi pozostawała niewzruszona, ale stawiając karty lub wieczorami grając w pokera z przyjaciółkami, uśmiechała się w sposób właściwy ludziom, którzy myślami są gdzie indziej. Flora przeprowadziła się pospiesznie do Zarautz, posłużwszy się pretekstem, że będzie musiała codziennie nagrywać programy kulinarne dla telewizji krajowej, i oddała – któż mógłby coś takiego przewidzieć – zarządzanie Mantecadas Salazar w ręce siostry, Ros. Ku zdumieniu Flory, lecz zgodnie z przypuszczeniami Amai, Ros okazała się wspaniałą, choć początkowo trochę zbyt zatroskaną kierowniczką wytwórni ciast. Amaia zaoferowała jej pomoc w prowadzeniu rodzinnego interesu i niemal wszystkie weekendy w ciągu ubiegłych miesięcy spędziła wraz z mężem w Elizondo, choć od dawna zdawała sobie sprawę, że Ros już nie potrzebuje jej wsparcia. Ale jeździła tam nadal, jadła i spała w domu ciotki Engrasi, domu swojego dzieciństwa. Od kiedy się dowiedziała, że będzie matką, od kiedy ośmieliła się nazwać swoje lęki i podzielić nimi z Jamesem, a już z pewnością od tej

chwili, gdy wraz z bronią schowała do sejfu w sypialni to nagranie, zaczęła odzyskiwać pewność siebie. Równocześnie nawiedziło ją poczucie przynależności do doliny Baztán, do ziemi, w której tkwiły jej korzenie, i do rodzinnego domu. Poczucie, które przez lata wydawało jej się stracone już na zawsze.

Gdy dotarła do ulicy Mayor, znów zaczęło padać. Otworzyła parasolkę i szła dalej, mijając ludzi robiących zakupy i kilku przechodniów pozbawionych ochrony przed deszczem, którzy biegli zgarbieni i szukali schronienia pod okapami domów i sklepowymi markizami. Zatrzymała się przed wielobarwną wystawą sklepu z dziecięcą odzieżą i przyjrzała się różowym sukieneczkom haftowanym w maleńkie kwiatuszki. Może Clarice miała rację, pomyślała, może rzeczywiście powinnam coś takiego kupić swojej córeczce. Westchnęła w nagłym przypływie złego humoru, bo przypomniała sobie o pokoju dla dziewczynki, który Clarice urządziła. Jej teściowie przylecieli ze Stanów Zjednoczonych, żeby być na miejscu, kiedy się urodzi ich wnuczka, i choć byli w Pampelunie dopiero od dziesięciu dni, Clarice już dała się poznać jako wcielenie najgorszego gatunku wścibskiej teściowej. Od pierwszego dnia nie szczędziła wyrazów zdumienia na wieść, że jeszcze nie urządzili dla noworodka sypialni, mimo iż kilka pokoi w domu stało pustych.

Amaia przywiozła do domu starą kołyskę ze szlachetnego drewna, która przez lata stała w salonie ciotki Engrasi, służąc za skrzynię na opał. James oszlifował ją starannie, wydobywając spod warstwy starego lakieru rysunek słoików, i polakierował na nowo, a przyjaciółki ciotki uszyły piękną, ozdobioną falbanami pościel i biały baldachim, które prezentowały się elegancko i podkreślały szlachetne piękno drewna. W ich wielkiej małżeńskiej sypialni było mnóstwo miejsca, a do tego pomysł, żeby zostawić córeczkę samą w innym pokoju, nie przekonywał Amaia do końca, nawet jeśli eksperci widzieli w nim mnóstwo zalet. Nie, nie podobało jej się takie rozwiązanie. Nie teraz. Przez pierwsze miesiące, dopóki będzie karmić piersią, wygodniej będzie mieć dziecko

przy sobie, zwłaszcza w nocy, a do tego będzie spokojniejsza, wiedząc, że z pewnością usłyszy, jak córeczka płacze albo że coś się z nią dzieje...

Clarice podniosła krzyk pod niebiosa.

– Musi mieć swój własny pokój! Musisz mieć wszystko pod ręką. Uwierz, obie lepiej wypoczniecie. Jeśli będzie tuż obok, przez całe noce będziesz nad słuchiwać każdego jej oddechu, każdego poruszenia. Zarówno ona, jak i wy musicie mieć przestrzeń dla siebie. Sądzę też, że to niezbyt zdrowe dla noworodka dzielić pokój z dwojgiem dorosłych. A zresztą dzieci szybko się przyzwyczajają i potem będą problemy z przeniesieniem jej do własnej sypialni.

Amaia знаła te argumenty, bo przeczytała kilka książek utytułowanych pediatrów, zdecydowanych wyprodukować generację dzieci od urodzenia kształtowanych przez cierpienie. Nie należało ich nosić na rękach, musiały spać samotnie od chwili narodzin i nie można ich było pocieszać, gdy czuły się nieszczęśliwe, ponieważ „powinny się nauczyć samodzielnie zarządzać swoimi niepowodzeniami lub lękami”. Żołądek jej się przewracał od tych głupot. Przypuszczała, że gdyby któryś z tych szanownych doktorów był – tak jak ona – zmuszony zarządzać swoim lękiem od najmłodszych lat, jego wizja świata byłaby teraz całkiem odmienna. Jeśli ich mała córeczka będzie chciała spać z nimi choćby do trzecich urodzin, to świetnie. Chciała ją pocieszać, wysłuchiwać, nadawać i odbierać znaczenie jej małym smutkom, które – jak dobrze wiedziała z własnego doświadczenia – dla małego dziecka mogły być ogromne. Ale nie ulegało wątpliwości: Clarice uważała, że wie wszystko najlepiej, i nie omieszkała dzielić się swoją wszechwiedzą z resztą świata.

Przed trzema dniami, wróciwszy do domu, Amaia natknęła się na prezent niespodziankę od teściowej: wspaniałe wyposażenie dziecięcego pokoju z szafkami, stolikiem do przewijania, dywanami, lampami i komodą. Nadmiar różowych chmurek i baranków, wszędzie kokardki i ozdóbki. James czekał na nią na progu z niewyraźną miną i całując ją na powitanie, wyszeptał przepraszająco:

– Ona to robi z dobrego serca.

To wystarczyło, żeby Amaię zaalarmować, ale uśmiech zamarł jej na wargach dopiero na widok różowego przesyty i na myśl o tym, że właśnie została ubezwłasnowolniona we własnym domu. Natomiast Clarice wydawała się zachwycona i miotła się wśród nowego umeblowania jak prezenterka w telewizyjnym kanale zakupowym, podczas gdy teść, jak zwykle obojętny na wybuchy energii żony, nadal spokojnie czytał w salonie gazety. Amai trudno było sobie wyobrazić, że Thomas kieruje finansowym imperium w Stanach Zjednoczonych. Wobec żony zachowywał się ulegle i biernie, co Amaię zawsze zaskakiwało. Zdała sobie sprawę, jak niezręcznie musi się czuć James, i tylko dlatego zachowała spokój, a tymczasem teściowa zachwalała zalety wspaniałej sypialni, którą kupiła dla wnuczki.

– Spójrz tylko, jaka cudna szafka. Zmieszczą się w niej wszystkie ubranka, a pod przewijakiem jest miejsce na garderobę. Nie zaprzeczysz, że dywany są przepiękne, a tutaj – uśmiechnęła się z zadowoleniem – jest to, co najważniejsze: łóżeczko godne księżniczki.

Amaia przyznała, że istotnie, ogromne różowe łóżko wyglądało książęco i było tak wielkie, że jej córeczka mogłaby w nim spać do czwartych urodzin.

– Bardzo ładne – zmusiła się do pochwały.

– Przecudne! A tę skrzynię na drewno będziesz mogła zwrócić ciotce.

Amaia nie odpowiedziała. Wyszła z pokoju, schroniła się w sypialni i czekała na Jamesa.

– Tak mi przykro, kochanie. Ona nie robi tego w złej wierze, po prostu taka jest. Wytrzymaj jeszcze kilka dni. Wiem, że masz do niej wielką cierpliwość, i przyrzekam, że jak tylko wyjedzie, pozbędziemy się wszystkiego, co ci się nie podoba.

Zgodziła się ze względu na niego i dlatego, że nie miała siły dyskutować z Clarice. James miał rację, wykazywała wielką cierpliwość, taką, jaka nie leżała w jej charakterze. Chyba po raz pierwszy w życiu pozwalała sobą manipulować, a do tego zdawała sobie sprawę, że w ostatniej fazie ciąży coś się

zmieniło. Od pewnego czasu nie czuła się dobrze. Cała energia, która ją przepelniała w pierwszych miesiącach, zniknęła. Zastąpiła ją niezwykła obojętność. Przytłaczająca obecność teściowej jeszcze bardziej podkreślała bezwład, jaki ją ogarnął. Znowu przyjrzała się ubrankom leżącym na wystawie i uznała, że aż nadto wystarczy to, co kupiła Clarice. Wybryki początkującej babci doprowadzały Amaię do mdłości, ale nie chodziło tylko o to. W głębi duszy dałaby wszystko, żeby także jej udzielił się ten nastrój różowego upojenia, który nawiedził teściową.

Przez całą ciążę kupiła dla córeczki jedynie parę bucików, koszulki, śpioszki i kilka piżamek w neutralnych barwach. Doszła do wniosku, że różowy nie jest jej ulubionym kolorem. Kiedy widziała na wystawie sukieneczki, ubranka, beciki i wszelkiego rodzaju rzeczy oblepione kokardkami i kwiatuśkami, przyznawała, że są piękne i nadają się dla małej księżniczki, ale wystarczyło, że wzięła je do ręki, a przepelniała ją odraza dla tego tandetnego przepychu. W końcu wychodziła ze sklepu bez niczego, zmieszana i niezadowolona. Przydałoby jej się trochę tego entuzjazmu, takiego, jaki objawiała Clarice, wyśpiewująca pochwalne hymny na cześć komplecików złożonych z dobranych do siebie sukienek i paputków. A przecież Amai wydawało się, że nigdy w życiu nie była szczęśliwsza, że kocha swoje dziecko od zawsze, już od dnia, kiedy sama była zrozpaczoną, zaniedbaną dziewczynką, która w samotności marzyła o tym, że kiedyś zostanie matką. Prawdziwą, dobrą matką. To pragnienie nabrało kształtów, gdy poznała Jamesa, i długo sąsiadowało ze zwątpieniem i strachem, kiedy macierzyństwo nie nadchodziło, do tego stopnia, że rozważała poddanie się terapii dla bezpłodnych par. I nagle, przed dziewięcioma miesiącami, podczas najważniejszego śledztwa w jej życiu, zaszła w ciążę.

A teraz była szczęśliwa, a raczej sądziła, że powinna być szczęśliwa, i to sprawiało, że czuła się jeszcze bardziej zagubiona. Jeszcze do niedawna wydawała się sobie spełniona, zadowolona i pewna siebie, jak nigdy w życiu, ale w ciągu ostatnich tygodni wrócił lęk, jej stary jak świat lęk, po kryjomu wkradający się do snów i szepczący do ucha słowa, które znała,

ale których nie chciała słyszeć.

Kolejny skurcz, mniej bolesny, ale dłuższy, napiął jej brzuch. Spojrzała na zegarek. Dwadzieścia minut od tamtego skurczu w parku.

Ruszyła w stronę restauracji, w której umówili się na obiad, bo Clarice nie podobało się, że James codziennie gotuje, i dawała temu wyraz. Ciągle narzekała i napomykała, że powinni mieć służbę. Do tego ryzykowali, że pewnego pięknego dnia okaże się, że mają angielskiego lokaja. Wszystko to sprawiło, że postanowili jadać poza domem.

James wybrał nowoczesną restaurację na ulicy równoległej do ulicy Mercaderes, przy której mieszkali. Kiedy weszła, Clarice i milczący Thomas właśnie popijali martini. James na jej widok poderwał się z krzesła.

– Amaio, jak się czujesz, kochanie? – zapytał, całując ją w usta i odsuwając jej krzesło.

– Dobrze – odpowiedziała, zastanawiając się, czy powiedzieć, że zaczęły się skurcze. Popatrzyła na Clarice i zdecydowała, że lepiej nie.

– A nasza malutka? – uśmiechnął się James, kładąc dłoń na jej brzuchu.

– „Nasza malutka” – powtórzyła z drwiną Clarice. – Czy wydaje wam się normalne, żeby na tydzień przed narodzinami wasza córka nie miała imienia?

Amaia rzuciła Jamesowi znaczące spojrzenie, a potem otworzyła kartę i zaczęła udawać, że czyta.

– Ależ mam, znowu zaczynasz. Podoba nam się kilka imion, ale jeszcze się nie zdecydowaliśmy. Czekamy, aż mała się urodzi. Kiedy ją zobaczymy, będziemy wiedzieli, jak ją nazwać.

– Więc to tak – zainteresowała się Clarice. – A jakie imiona bierzecie pod uwagę? Może Clarice?

Amaia sapnęła.

– No już, mówcie. Powiedzcie, o jakim imieniu myślicie – nalegała Clarice.

Amaia podniosła wzrok znad karty, czując, że nowy, kilkusekundowy skurcz napina jej brzuch. Spojrzała na zegarek i uśmiechnęła się.

– Tak naprawdę to już się zdecydowałam – skłamała. – Ale chcę, żeby to była niespodzianka. Mogę ci tylko zdradzić, że nie Clarice, bo nie lubię, kiedy imiona w rodzinie się powtarzają. Sądzę, że każdy członek rodziny powinien mieć własną tożsamość.

Clarice posłała jej krzywy uśmiech.

Imię dziecka było kolejną szpilą, którą Clarice jej wbijała, ilekroć miała okazję. Jak będzie miała na imię ich córeczka? No jak? Nalegała tak bardzo, aż James zasugerował, że powinni wreszcie wybrać jakieś imię, jedynie po to, żeby jego matka mogła porzucić ten temat. Amaia okropnie się na niego obraziła. Tylko tego brakowało: będzie wybierać tylko po to, żeby usatysfakcjonować teściową?

– Nie. Nie po to, żeby ją zadowolić, Amaio. Musimy wybrać jakieś imię, bo jakieś imię będziemy musieli nadać, ale wydaje się, że ty nawet nie chcesz o tym myśleć.

I podobnie jak w temacie ubranek znów zdała sobie sprawę, że ma rację. Czytała coś o tym i martwiło ją to tak bardzo, że zdecydowała się zapytać ciotkę Engrasi.

– No cóż, ja nie mam dzieci, więc nie mogę ci służyć doświadczeniem, ale wiem, że z punktu widzenia medycyny to dość powszechne u pierworódek. Także tatusiowie często mają z tym problem. Kiedy się ma kolejne dzieci, człowiek już wie, o co chodzi, już nie jest tak zaskoczony, ale przy pierwszej ciąży zdarza się, że choć brzuch się powiększa, trudno jest powiązać zmiany w wyglądzie z tym, że będzie się miało dziecko. Teraz jest ultrasonografia, można posłuchać serca dziecka i od razu się dowiedzieć, jakiej jest płci, ale kiedyś, kiedy dziecko można było zobaczyć dopiero po porodzie, wiele kobiet zdawało sobie sprawę, że zostały matkami, dopiero kiedy brały noworodka na rękę. To całkiem normalne, że trapią cię takie wątpliwości – dodała, kładąc jej rękę na brzuchu. – Uwierz mi, nikt nie jest przygotowany na to, żeby być matką czy ojcem, choć niektórzy bardzo dobrze udają.

Zamówiła rybę. Ledwie jej spróbowała i stwierdziła, że kiedy się nie rusza, skurcze stają się rzadsze i słabsze.

Pili kawę. Clarice znów ruszyła do ataku:

– Obejrzelście już kilka żłobków, mam nadzieję?

– Nie, mam. – James odstawił filiżankę i popatrzył na matkę zmęczonym wzrokiem. – Niczego nie obejrzelśmy, bo nasza córka nie pójdzie do żłobka.

– No to będziecie musieli poszukać niani, żeby się nią zajęła, kiedy Amaia będzie w pracy.

– Kiedy Amaia wróci do pracy, ja zajmę się naszą córką.

Clarice wybałuszyła oczy i popatrzyła znacząco na męża. Usiłowała wykrzesać z niego poparcie, ale się nie doczekała. Uśmiechnięty Thomas kręcił głową i popijał czerwoną herbatę.

– Clarice... Clarice... proszę... – wyszeptane tonem wyrzutu, kilkakrotnie powtórzone imię żony to był najostrzejszy protest, na jaki się odważał.

Clarice nie dawała za wygraną.

– Chyba nie mówisz poważnie. Jakże to tak? Przecież nie masz pojęcia o dzieciach!

– Nauczę się – odparł rozbawiony James.

– Nauczysz się? Na miłość boską! Będziesz potrzebował pomocy.

– Mam już pomoc domową, przychodzi na kilka godzin.

– Nie mówię o pomocy domowej na cztery godziny w tygodniu, mam na myśli nianię. Kogoś, kto zajmie się moją wnusią.

– Ja się nią zajmę, oboje będziemy się nią zajmować. Tak postanowiliśmy.

James wydawał się rozbawiony, a wyraz twarzy Thomasa mówił, że podziela to uczucie. Clarice sapała przez chwilę, a potem uśmiechnęła się z przymusem i zaczęła mówić powoli i wyraźnie, co miało dowodzić, że dokonuje najwyższego wysiłku, żeby być rozsądną i cierpliwą.

– No tak, rozumiem te nowoczesne metody, karmienie dzieci piersią, nawet gdy już mają zęby, spanie we wspólnym łóżku i chęć robienia wszystkiego po swojemu, bez pomocy. Ale ty, synu, także musisz pracować, twoja kariera jest w bardzo ważnym punkcie, a przez pierwszy rok dziecko nie pozwoli ci nawet spokojnie odetchnąć.

– Właśnie skończyłem cykl czterdziestu ośmiu prac na

przyszłoroczną wystawę w Muzeum Guggenheima i mam gotowych wystarczająco dużo rzeźb, żeby móc poświęcić trochę czasu córce. A Amaia nie zawsze jest zajęta. Oczywiście zdarza się, że ma więcej pracy, ale zazwyczaj wraca do domu dość wcześnie.

Amaia zauważyła, że brzuch napina jej się pod bluzką. Tym razem skurcz był bardziej bolesny. Zaczęła powoli oddychać, żeby nic nie dać po sobie poznać, i spojrzała na zegarek. Piętnaście minut.

– Zbladłaś, Amaio. Dobrze się czujesz?

– Jestem zmęczona. Myślę, że lepiej będzie, jak wrócę do domu i się położę.

– No dobrze. Ja i ojciec pójdziemy na zakupy – powiedziała Clarice. – Bo inaczej będziecie musieli owijać tę dziewczyneczkę w liście winogron. Spotkamy się tu na kolacji?

– Nie – stwierdziła Amaia. – Zjem tylko coś lekkiego w domu i będę próbowała odpocząć. Myślałam o tym, że mogłybyśmy się wybrać jutro do sklepów. Widziałam tu niedaleko przepiękne ubranka.

Przyjęta chwyciła. Perspektywa wspólnej wyprawy na zakupy z synową sprawiła, że Clarice uspokoila się i uśmiechnęła z zadowoleniem.

– Och tak, kochanie, zobaczysz, jak dobrze się będziemy bawiły. Można tu kupić prawdziwe cudenka! Odpoczywaj, słoneczko – dodała, ruszając do wyjścia.

Thomas nachylił się nad Amaią, żeby ją pocałować na pożegnanie.

– Dobry strzał – szepnęła i mrugnęła do niej porozumiewawczo.

Dom przy ulicy Mercaderes, w którym mieszkali, z zewnątrz nie wyróżniał się niczym szczególnym, ale wewnątrz wyglądały imponująco: przestronne wysokie pokoje, ogromne okna, drewniane ościeżnice i drzwi, wspaniałe stiuki ozdabiające większość pomieszczeń. Na parterze, gdzie kiedyś mieściła się fabryka parasoli, James miał pracownię.

Amaia wzięła prysznic i położyła się na kanapie z książką w jednej i zegarkiem w drugiej ręce.

– Wyglądasz na bardziej zmęczoną niż zazwyczaj. Już podczas

obiadu zauważyłem, że jesteś czymś przejęta, bo nie zwracałaś większej uwagi na głupstwa, które wygadywała moja mama.

Amaia uśmiechnęła się blado.

– Coś się stało w sądzie? Wiem, że rozprawa została przerwana, ale nie powiedziałaś mi dlaczego.

– Jasón Medina popełnił samobójstwo w sądowej toalecie. Jutro opiszą wszystko w gazetach.

– Coś takiego. – James wzruszył ramionami. – Nie mogę powiedzieć, żeby mi go było żal.

– Nie jest to wielka strata, to prawda, ale myślę, że rodzina zamordowanej dziewczynki może być zawiedziona, że zabójca nie zostanie osądzony. Choć z drugiej strony zaoszczędzi im to piekła, jakim byłoby ponowne wysłuchiwanie wszystkich tych potwornych szczegółów.

James w zamyśleniu skinął głową.

Amaia miała zamiar powiedzieć mu o liście, który zostawił dla niej Medina, ale doszła do wniosku, że tylko go zaniepokoi, a przede wszystkim nie chciała psuć tak ważnej w ich życiu chwili.

– Tak czy owak rzeczywiście jestem zmęczona i myślę o czymś zupełnie innym.

– Powiedz mi, o czym – poprosił.

– O wpół do pierwszej zaczęły się skurcze. Na początku trwały tylko kilka sekund i powtarzały się co dwadzieścia pięć minut. Teraz są silniejsze i powtarzają się co dwanaście.

– Amaio, kochanie, dlaczego nic mi nie powiedziałaś? Wytrzymałaś tak przez cały obiad. Bardzo cierpisz?

– Nie – odparła z uśmiechem. – To nie boli prawie wcale, to raczej coś w rodzaju ucisku. Nie chciałam, żeby twoja mama dostała hysterii. Potrzebuję spokoju. Odpocznę i będę sprawdzać częstotliwość. Kiedy będę gotowa, pojedziemy do szpitala.

Zimowe niebo nad Pampeluną nadal było pokryte chmurami. Ledwie gdzieniegdzie przezierało spoza nich odległe, migoczące światło gwiazd.

James spał na brzuchu. Zajmował więcej niż połowę miejsca we wspólnym łóżku. Jak zwykle we śnie wyglądał na

swobodnego i zrelaksowanego. Amaia od zawsze mu tego zazdrościła. Początkowo nie chciał się położyć, ale przekonała go, że będzie lepiej, jeśli wypocznie, zanim naprawdę będzie go potrzebowała.

– Jesteś pewna, że sobie poradzisz?

– Oczywiście, że tak, James. Muszę po prostu liczyć skurcze. Obudzę cię, kiedy nadejdzie czas.

Zasnął, ledwie przyłożył głowę do poduszki. Jego rytmiczny oddech i szelest przewracanych stron były jedynymi odgłosami w całym domu. Nadszedł następny skurcz i przestała czytać. Zaczęła oddychać głębiej i mocno złapała się poręczy bujanego fotela, na którym spędziła ostatnią godzinę. Poczekala, aż fala minie.

Chcąc nie chcąc, odłożyła na bok książkę. Nie zaznaczyła strony, bo sama przed sobą musiała przyznać, że nie zwróciła najmniejszej uwagi na to, co przeczytała. Skurcze nasiliły się znacznie przez ostatnie pół godziny i ledwo się powstrzymywała od jęczenia. Ale postanowiła jeszcze trochę poczekać. Podeszła do okna i wyjrzała na ulicę. Mimo zimna, przelotnych opadów i późnej pory tej piątkowej nocy panował tam spory ruch. Było już po dwunastej.

Usłyszała hałas na korytarzu, podeszła do drzwi sypialni i zaczęła nasłuchiwać.

Wracali teściowie. Pewnie po kolacji poszli się jeszcze przejść. Odwróciła się i spojrzała na przytłumione światło nocnej lampki, zastanawiając się, czy jej nie zgasić, ale postanowiła tego nie robić. Teściowa była wścibska, to prawda, ale nigdy w życiu nie przysłoby jej do głowy zajrzeć do ich sypialni.

Nadal liczyła coraz częstsze skurcze i słuchała odgłosów domu. Teściowie wchodzą do swojego pokoju, wszystko cichnie. Ciszę w tym ogromnym domu zawsze wypełniały skrzypnięcia i szmery. Znała je tak dobrze jak własny oddech. Nie miała się już czym przejmować. Thomas zawsze spał jak zabity, a Clarice zażyje środki nasenne i do rana będzie nieprzytomna.

Następny skurcz był okropny. Mimo że skoncentrowała się na wdechach i wydechach, tak jak ją uczono na kursie w szkole rodzenia, miała wrażenie, że jej ciało opasuje żelazny gorset.

Miażdżył jej nerki i ścisnął płuca tak bezlitośnie, że ogarnął ją lęk. Bała się, ale nie porodu, bo choć miała pewne związane z nim obawy, były całkiem naturalne. To, czego się bała, było czymś gorszym, czymś głębszym. Zdawała sobie z tego sprawę, bo nie po raz pierwszy zetknęła się z lękiem. Towarzyszył jej całymi latami, jak niepożądany i niewidoczny towarzysz podróży, który ujawnia swoje istnienie tylko w chwilach słabości.

Lęk był odwiecznym wampirem pochylającym się nad jej łóżkiem, gdy spała, kryjącym się w ciemnościach i zapełniającym jej sny koszmarami. Nagle przypomniała sobie, że babcia Juanita nazywała go *gaueko* – ten, co przychodzi nocą. Wycofał się w mrok, gdy udało jej się zrobić wyrwę w jego murze, wypłoszyć go światłem podsycanym samoświadomością i zrozumieniem, światłem z całą bezwzględnością rzuconym na koszmarne wydarzenia, które na zawsze ją naznaczyły, mimo że wspomnienie o nich dzięki żelaznej samokontroli pogrzebała. Tym pierwszym krokiem w wojnie z lękiem było przypomnienie sobie, jaka jest prawda i zrozumienie jej, stawienie jej czoła. Ale nawet w samej chwili euforii, kiedy wydawało jej się, że najgorsze już minęło, wiedziała, że wojna nie jest jeszcze wygrana. Owszem, chwilowo przezwyciężyła lęk, wygrała pierwszą bitwę, ale tylko bitwę.

Od tamtego dnia usilnie pracowała nad tym, żeby wyrwa w murze lęku pozostała otwarta. Wpadające przez nią potoki światła wzmocniły jej związek z Jamesem i poczucie własnej wartości, które przez lata próbowała odzyskać. Uwieńczeniem tego wszystkiego stała się ciąża. Małeńka istotka rozwijająca się w jej łonie przyniosła jej taki spokój, jakiego nigdy nawet sobie nie wyobrażała. Przez całą ciążę czuła się bardzo dobrze, nie miała mdłości ani innych dolegliwości. Przesypiała spokojnie wszystkie noce, bez napięcia, bez koszmarów, i budziła się wypoczęta i zadowolona. W ciągu dnia czuła się tak przepełniona energią, że sama się sobie dziwiła. Pełna idylla, aż do tej chwili przed tygodniem, aż do tej nocy, kiedy paniczny strach wrócił i znowu objął nad nią władzę.

Jak co dzień pracowała w komisariacie. Prowadziła śledztwo

w sprawie zaginięcia kobiety. Przez kilka miesięcy uważano, że uciekła z domu, ale nalegania jej córek, przekonanych, że matka nie opuściłaby go z własnej woli, zainteresowały Amaię bliżej tą sprawą. Wznowiono postępowanie, a głównym podejrzanym został partner życiowy zaginionej. Była w średnim wieku, miała dwie córki, troje wnucząt, była katechetką w swojej parafii i codziennie odwiedzała swoją starą matkę w domu opieki. Zbyt wiele więzów, żeby zniknąć tak ni z tego, ni z owego. To prawda, że w domu brakowało walizek, ubrań, dokumentów i pieniędzy – sprawdzono to na pierwszym etapie śledztwa – ale Amaia, gdy tylko je przejęła, postanowiła osobiście pójść do mieszkania zaginionej, Lucii Aguirre. Było tak nienagannie czyste jak sama Lucía. Jej uśmiechnięta podobizna wisiała w przedpokoju. W niewielkim saloniku, na stoliku kawowym zastawionym zdjęciami wnuków, leżała zaczęta szydełkowa robótka.

Amaia rozejrzała się po łazience i kuchni. Nigdzie nawet jednego pyłku. Łóżko w głównej sypialni było zasłane, szafa prawie pusta, podobnie jak szuflady komody. W pokoju gościnnym stały dwa tapczaniki.

– Jonanie, co pan tu widzi dziwnego?

– Na każdym łóżku jest inna pościel – stwierdził podinspektor Etxaide.

– Zauważyliśmy to już podczas pierwszej wizji lokalnej. Pościel do pary jest w szafie – wyjaśnił towarzyszący im policjant, zajrzawszy do notatek.

Amaia otworzyła szafę i stwierdziła, że rzeczywiście jest tam błękitna kołdra, identyczna z tą na jednym z łóżek, starannie złożona i opakowana w przezroczysty plastikowy pokrowiec.

– Nie dało wam do myślenia, że tak lubiąca czystość, tak starannie dbająca o swój dom kobieta nie zadała sobie trudu, żeby położyć na łózkach taką samą pościel?

– Po co miałyby ścielić łóżka, jeśli miała zamiar uciec z domu? – wzruszył ramionami policjant.

– Bo jesteście niewolnikami swoich charakterów. Słyszałam, że niektóre kobiety ze wschodniego Berlina, zanim uciekły na Zachód, myły w domach podłogi. Opuszczały na zawsze swój

kraj, ale nie chciały, żeby ktokolwiek mógł im zarzucić, że były złymi gospodyniami.

Wyciągnęła z szafy pokrowiec z kołdrą, położyła go na jednym z tapczaników i rozpięła zamek. Po pokoju rozszedł się ostry zapach wybielacza. Ręką w lateksowej rękawiczce pociągnęła za róg kołdry i rozłożyła ją. Zobaczyli ogromną żółtawą plamę w samym środku, tam gdzie wybielacz wyżarł kolor.

– Widzicie, panie aspirancie, coś tu nie gra – zwróciła się do zdziwionego policjanta.

Policjant pokiwał głową.

– Nasz zabójca wystarczająco się napatrzył na filmy kryminalne, żeby wiedzieć, że krew można usunąć wybielaczem, ale gospodynią domową okazał się beznadziejną, bo nie przewidział, że usunie także barwnik z materiału. Niech tu przyjdzie ekipa techniczna i poszuka śladów krwi. Ta plama jest ogromna.

Podczas badań technicznych znaleziono ślady. Próbowano je zatrzeć, ale nadal wskazywały na to, że ktoś stracił tyle krwi, że musiał umrzeć. W ciele człowieka znajduje się pięć litrów krwi. Utrata pół litra może wywołać omdlenie, a badania dowiodły, że w tym przypadku utoczono dwa litry. Tego samego dnia zatrzymano podejrzanego. Był to zmanierowany, oblesny typ, ze zbyt długimi, siwiejącymi włosami i w koszuli rozpiętej prawie po pas. Amaię niemal rozbawił jego widok, gdy go wprowadzono do sąsiedniego pokoju.

– Znowu go tu mamy – mruknął podinspektor Etxaide. – Kto go przesłucha?

– Inspektor Fernández. To on prowadził sprawę od początku...

– Myślałem, że my to zrobimy. Teraz to sprawa o zabójstwo, a gdyby nie pani, to rodzina ofiary nadal czekałaby na kartkę z pozdrowieniami z Cancún.

– Tak będzie uprzejmiej, Jonanie. Zresztą ja się teraz nie nadaję do prowadzenia przesłuchań – powiedziała, wskazując na swój brzuch.

Inspektor Fernández wszedł do pokoju przesłuchań i Jonan włączył nagrywanie.

– Dzień dobry, panie Quiralte, jestem inspektor Fer...

– Chwila moment – przerwał mu Quiralte, podnosząc skute kajdankami ręce i odrzucając włosy do tyłu gestem godnym celebryty na czerwonym dywanie. – Nie będzie mnie przesłuchiwać ta wasza policyjna gwiazda?

– O kim pan mówi?

– No jak to, ta inspektorka z FBI.

– Skąd pan wie? – zapytał zmieszany policjant.

Amaia cmoknęła. Była zniesmaczona jego zachowaniem. Quiralte uśmiechnął się, zadowolony z siebie.

– Wiem, bo jestem sprytniejszy od ciebie.

Fernández, niemający większego doświadczenia w przesłuchiwaniu zabójców, dał się ponieść nerwom. Wiedział, że koledzy go obserwują, podobnie jak podejrzany, któremu chwilowo udało się wyprowadzić go z równowagi.

– Musisz odzyskać kontrolę – szepnęła Amaia.

Fernández, choć nie mógł jej usłyszeć, przejął inicjatywę.

– Dlaczego chcesz, żeby to ona cię przesłuchała?

– Bo mi mówili, że to fajna laska. Zresztą co ci będę klarował. Jak mam wybór między ładniutką inspektorką a tobą, to wolę ją. – Rozparł się na krześle.

– Będziesz musiał się zadowolić mną. Pani inspektor nie ma.

Quiralte odwrócił się w stronę weneckiego lustra. Spojrzał, jakby mógł je przewiercić wzrokiem, i uśmiechnął się.

– Nie szkodzi, poczekam.

– Nie będziesz zeznawał?

– Ależ tak, człowieku. – Widać było, że się dobrze bawi. – Nie zamartwiaj się, zaprowadź mnie do sędziogo. Przyznam się, że to ja zabiłem tę kretynkę.

Rzeczywiście natychmiast przyznał się do winy, jedynie po to, żeby potem bezczelnie oświadczyć sędziemu śledczemu, że jeśli nie ma zwłok, to nie ma zbrodni, a on póki co nie ma zamiaru wyjawiać, gdzie zwłoki są.

Markina był jednym z najmłodszych sędziów śledczych, o jakich Amaia słyszała. Miał figurę modela, chodził w podartych dżinsach i był znany z uroczego uśmiechu, którym łamał serca pracownikom sądu. Pozory mogą mylić, więc uśmiechając się promiennie, Markina zarządził, żeby

rozzuchwalonego podejrzanego tymczasowo aresztowano.

– Że nie ma zwłok, panie Quiralte? No to poczekamy, aż się znajdą. Obawiam się, że ogląda pan za dużo amerykańskich filmów. Już samo to, że stwierdził pan, że wie, gdzie są zwłoki, i że nie ma pan zamiaru tego wyjawić, wystarczy, żebym mógł pana bezterminowo osadzić w areszcie. A pan przecież przyznał, że zabił tę kobietę. Z pewnością pobyt pod kluczem odświeży panu pamięć. Spotkamy się, gdy będzie pan miał mi coś do powiedzenia. Do zobaczenia...

Tamtego dnia Amaia wróciła do domu pieszo. Usiłowała odzyskać kontrolę nad swoim umysłem, wyrzucić z głowy detale śledztwa i zmienić nastrój na tyle, żeby móc zjeść kolację z Jamesem i uczcić ostatni dzień pracy w komisariacie. Do terminu porodu zostały dwa tygodnie. Wolałyby pracować do ostatniej chwili, ale następnego dnia mieli przylecieć rodzice Jamesa. James przekonał ją, że będzie lepiej, jeśli weźmie urlop wcześniej, żeby móc być z rodziną. Po kolacji poczuła się tak zmęczona, że padła na łóżko jak nieprzytomna. Nie wiadomo kiedy zasnęła. Pamiętała, że rozmawiała o czymś z Jamesem, a potem – pustka.

Usłyszała ją, zanim ją zobaczyła. Drżała z zimna i szczękała zębami tak mocno, że odgłos uderzeń jednych o drugie skłonił Amaię do otwarcia oczu. To była Lucía Aguirre, w tym samym biało-czerwonym sweterku, w którym widniała na zdjęciu w swoim domu, ze złotym krzyżykiem na szyi i krótkimi blond włosami, z pewnością ufarbowanymi, żeby pokryć siwiznę. Ale wyraz jej twarzy nic nie miał wspólnego z radosną i pewną siebie kobietą, która uśmiechała się do aparatu. Nie płakała, nie jęczała ani nie wołała, ale w jej niebieskich oczach był straszny ból i zdumienie, które wykrzywiały jej rysy grymasem dezorientacji, jakby nie rozumiała, co się stało, jakby nie mogła się z tym pogodzić. Stała spokojnie w nogach łóżka Amai, apatyczna, obojętna, targana bezlitosnym wichrem, którego porywy wydawały się docierać ze wszystkich stron i poruszać nią jak kukielką. Wydawała się przez to jeszcze bardziej bezradna. Lewą ręką obejmowała się w pasie, jakby usiłowała choć trochę się ochronić, ale to było o wiele za mało i nie

pocieszało jej w najmniejszym stopniu. Od czasu do czasu rozglądała się błędnym wzrokiem, jakby kogoś szukała... aż napotkała oczy Amaia. Otworzyła usta jak zdumione dziecko i przemówiła. Amaia widziała, jak poruszają się jej zsiniałe z zimna wargi, ale nie wydobywał się z nich żaden dźwięk. Żeby lepiej słyszeć, usiadła na łóżku i skupiła się na tym, co Lucía próbowała jej powiedzieć. Ale ona była za daleko. Ogłuszające uderzenia wiatru porywały słabe dźwięki wydobywające się z jej ust. Raz po raz powtarzała te same słowa, ale Amaia nie mogła ich usłyszeć. Obudziła się zmieszana i niezadowolona, bo we śnie zaczęła się bać, jakby ten strach przekazała jej nocna zjawą. Od tej chwili Amaia była coraz bardziej rozczarowana. To ten koszmar sen, ta nocna mara wytrąciła ją ze stanu łaski, w którym żyła od poczęcia córeczki, i wyrwała z zawieszenia, które wszystkie strachy, wszystkie *gaueko*, wszystkie złe duchy trzymało z dala od jej świata.

Pewnej nocy, dawno temu, w Nowym Orleanie, w barze przy ulicy Saint Louis, uśmiechając się znad kufła zimnego piwa, pewien agent FBI zapytał:

– Proszę mi powiedzieć, inspektor Salazar, czy w nocy widzi pani ofiary zabójstw?

Amaia, zaskoczona, szeroko otworzyła oczy.

– Niech pani nie udaje, Salazar. Umiem odróżnić policjanta, który widuje duchy, od takiego, któremu się to nie zdarza...

Amaia patrzyła na niego w milczeniu, starając się domyślić, czy to nie jest żart, ale on mówił dalej, z bladym, trochę skrępowanym uśmiechem.

– ...a to dlatego, że mnie samego zamordowani nawiedzają już od lat.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi, ale agent Aloisius Dupree patrzył jej w oczy i zrozumiała, że mówi poważnie.

– Ma pan na myśli...

– Mam na myśli, pani inspektor, że budzimy się w środku nocy i w nogach łóżka widzimy ofiarę sprawy, którą usiłujemy rozwikłać. – Już się nie uśmiechał.

Amaia patrzyła na niego trochę zaniepokojona.

– Proszę mi nie robić zawodu, Salazar. Nie ma pani chyba

zamiaru twierdzić, że się mylę, że nie widuje pani duchów. Byłbym rozczarowany.

Amaia była zbита z tropu, ale nie do tego stopnia, żeby ryzykować, że się ośmieszy.

– Agencie Dupree, duchy nie istnieją – powiedziała, podnosząc w niemym toaście kufel.

– Oczywiście, pani inspektor, ale jeśli się nie mylę, a z pewnością się nie mylę, niejedną raz obudziła się pani, czując obecność jednej z tych zagubionych istot. Stały przy pani łóżku i przemawiały do pani. I jak, mylę się?

Amaia wypła łyk piwa, zdecydowana nie odpowiadać, ale dała mu znak, żeby mówił dalej.

– Nie powinna się pani tego wstydzić, pani inspektor... A może woli pani przyznać, że ofiary się pani śnią?

Westchnęła.

– Obawiam się, że brzmi to tak samo niepokojąco, niewłaściwie i niezdrowo.

– Otóż to, pani inspektor. Na tym polega problem: na tym, że się uznaje, że to niezdrowe.

– Proszę to wyjaśnić psychiatrze z FBI albo jego odpowiednikowi z Policji Statutowej Nawarry – odparła.

– Niech mnie pani nie rozśmiesza, Salazar. Ani pani, ani ja nie jesteśmy tak naiwni, żeby zwierzać się medykom z czegoś, za co można trafić do wariatkowa. To przekracza ich zrozumienie. Zresztą większość ludzi uznałaby, że policjant, który podczas śledztwa cierpi na koszmary senne, jest co najmniej zestresowany i – przynajmniej to – zbyt pobudzony emocjonalnie.

Przerwał, dopił piwo i podniósł rękę, żeby zamówić następne dwa. Amaia chciała zaprotestować, ale wilgotny upał Nowego Orleanu, cicha muzyka dobiegająca z głębi lokalu, gdzie ktoś pieścił klawisze pianina, i rzut oka na stary zegar stojący na bufecie, który stanął na godzinie dziesiątej, kazały jej dać spokój. Dupree poczekał, aż kelner postawi przed nimi kufle.

– Kiedy to się zdarzy po raz pierwszy, naprawdę przeraża. Człowiek myśli, że zaczął wariować. Ale tak nie jest, Salazar. Jest wprost przeciwnie. Dobry policjant z wydziału zabójstw

nie jest człowiekiem prostolinijnym, a jego umysł nie może działać w sposób nieskomplikowany. Spędzasz całe godziny, usiłując zrozumieć zabójcę, zrozumieć jego sposób myślenia, jego pragnienia, jego uczucia. Potem idziesz do kostnicy i patrzysz na jego dzieło. Oczekujesz, że trup odpowie ci na pytanie dlaczego, bo wiesz, że w chwili gdy zrozumiesz, jaki motyw kierował zabójcą, będziesz miał szansę go schwytać. Ale w większości przypadków to nie wystarcza, bo zwłoki są jedynie powłoką. Pustą, zepsutą powłoką. Niewykluczone, że zbyt długo prowadzący dochodzenia koncentrowali się raczej na próbach odcyfrowania umysłu zbrodniarza niż na ofierze zbrodni. Przez całe lata w praktyce kryminalistycznej ofiarę uważano jedynie za końcowy produkt makabrycznego procesu, jakim jest zbrodnia. Dopiero ostatnio doszła do głosu wiktymologia i wykazała, że wybór ofiary nigdy nie jest losowy. Nawet kiedy wydaje się dziełem przypadku, to też coś znaczy. Sny o ofiarach dają dostęp do projekcji naszej podświadomości. Nie są pozbawione znaczenia, są jedynie odmienną formą procesów myślowych. Przez jakiś czas torturowało mnie to objawianie się ofiar obok mojego łóżka. Budziłem się zlany potem, przerażony i przejęty. Strach dręczył mnie godzinami. Zastanawiałem się, w jakim stopniu moje zdrowie psychiczne zostało nadszarpnięte. Byłem wtedy młodym agentem i byłem pod opieką starszego funkcjonariusza. Pewnego razu, kiedy przez długie godziny prowadziliśmy obserwację, zasnąłem ze zmęczenia i nagle obudziłem się z jednego z tych koszmarów. Jakbyś ducha zobaczył, powiedział mój towarzysz. Zamarłem. Może i tak, odpowiedziałem. Więc widzisz duchy? To następnym razem lepiej zrobisz, jeśli nie będziesz krzyczał ani stawiał oporu i jeśli wysłuchasz uważnie, co mają do powiedzenia. To była dobra rada. Z biegiem lat nauczyłem się, że kiedy śni mi się ofiara, jakaś część mojego umysłu wyświetla informacje, które gdzieś tam są zapisane, ale których nie udało mi się uchwycić.

Amaia z namysłem skinęła głową.

– Czyli... czyli to duchy? Czy projekcje umysłu inspektora śledczego?

– Oczywiście, że to drugie. Chociaż...

– Tak?

Agent Dupree nie odpowiedział, podniósł kufel i pociągnął łyk piwa.

Obudziła Jamesa. Starła się go nie przestraszyć. W jednej chwili usiadł na łóżku i przetarł oczy.

– Jedziemy do szpitala?

Amaia skinęła głową i choć bez powodzenia usiłowała się uśmiechnąć, jej twarz wyrażała poruszenie.

James włożył dzinsy i sweter. Przygotował je sobie, położył obok łóżka.

– Zadzwoń do ciotki, przyrzekłam jej to.

– Moi rodzice już wrócili?

– Tak, ale zostaw ich w spokoju, już druga w nocy. Poród z pewnością się przeciągnie, a poza tym nie będą mogli wejść na oddział i będą musieli spędzić długie godziny w poczekalni.

– Twoja ciotka tak, a moi rodzice nie?

– James, przecież wiesz, że ciotka nie przyjedzie. Od lat nie opuszcza doliny. Po prostu obiecałam jej, że ją uprzedzę, gdy nadejdzie ta chwila.

Doktor Villa miała około pięćdziesiątki i przedwcześnie posiwała włosy, krótko obcięte. Zasłaniały jej twarz, gdy się pochylała. Zbadała Amaię i podeszła do wezglowia leżanki.

– A więc, Amaio, mamy wieści dobre i nie aż tak dobre.

Amaia czekała. Podała rękę Jamesowi. Wziął ją w swoje dłonie i uścisnął.

– Dobre jest to, że zaczęłaś rodzić. Dziecko czuje się dobrze, jego serce bije miarowo nawet podczas skurczów, a pępowina jest z tyłu. Gorzej natomiast, że chociaż bóle trwają już od kilku godzin, rozwarcie nie postępuje, a dziecko nie jest dobrze ułożone w kanale rodnym. Ale to, co naprawdę mnie martwi, to twoje zmęczenie. Dobrze sypiasz?

– Nie, w ostatnich dniach nie najlepiej.

Nie najlepiej to mało powiedziane. Od kiedy wróciły koszmary, przespalała zaledwie kilka chwil. Padała na łóżko jak nieprzytomna i budziła się po kilku minutach w złym humorze i potwornie zmęczona.

– Zostaniesz w szpitalu, Amaio, ale nie chcę, żebyś leżała, musisz chodzić. To pomoże główce dziecka zejść do kanału rodnego. Kiedy nadejdzie skurcz, spróbuj kucnąć. Łatwiej go zniesiesz i powiększysz rozwarcie.

Amaia westchnęła z rezygnacją.

– Wiem, że jesteś zmęczona, ale to już niedługo. Musisz teraz pomóc swojej córce się urodzić.

Amaia skinęła głową.

Przez następne dwie godziny zmuszała się do krążenia w tę i z powrotem po szpitalnym korytarzu, pustym o poranku. Towarzyszący jej James wydawał się całkowicie zagubiony, przygnębiony bezradnością, która go ogarnęła, kiedy patrzył, jak cierpi, i czuł, że nic nie może na to poradzić.

Z początku wypytywał, jak się czuje, czy mógłby coś zrobić, coś jej przynieść, jakoś pomóc. Niemal nic nie odpowiadała, skoncentrowana na próbach uzyskania kontroli nad ciałem, które nagle zaczęło jej się wydawać czymś obcym. To silne i zdrowe ciało, z którego sprawności zawsze była skrycie zadowolona, a które stało się obecnie jedynie kłębkim zbolałego mięsa. Niemal uśmiechnęła się, bo zawsze była przekonana, że dobrze znosi ból.

James wybrał milczenie. Tak było lepiej. Nie musiała już się wysilać, żeby się opanować i nie posyłać go do diabła za każdym razem, gdy wypytywał, czy bardzo ją boli. Ból sprawiał, że ogarniała ją zwierzęca wściekłość, a zmęczenie i brak snu wywoływały zamęt w jej umyśle. Zawiesił się na jednej, najważniejszej myśli: chcę tylko, żeby to się skończyło.

Doktor Villa zdjęła rękawiczki. Była zadowolona.

– Dobra robota, Amaio. Czekamy na jeszcze trochę większe rozwarcie, ale dziecko jest ułożone prawidłowo. Teraz to tylko kwestia czasu.

– Jak długo jeszcze?

– To twój pierwszy poród, więc mogą to być minuty albo godziny, ale teraz możesz się już położyć. Będzie ci wygodniej. Podłączymy monitoring i przygotujemy cię do parcia.

Zasnęła, jak tylko się położyła. Sen zwałił się na nią jak ciężka kamienna płyta. Nie pozwoliła jej nie zamknąć oczu.

– Amaio, Amaio, obudź się!

Otworzyła oczy i zobaczyła swoją siostrę Rosaurę. Miała dziesięć lat, potargane włosy i różową koszulę nocną.

– Już rano, Amaio, musisz wrócić do swojego łóżka. Jeśli *ama* cię tu zastanie, nakrzyczy na nas obie.

Niezgrabnie odchyliła kołdrę i postawiła stopy, stópki pięcioletniego dziecka, na zimnej posadzce. W mroku dostrzegła zarysy swojego łóżeczka. Nie chciała w nim sypiać, bo gdy tam leżała, w nocy przychodziła ona, *ama*, i przyglądała jej się swymi czarnymi, zimnymi oczyma, z grymasem głębokiej pogardy na twarzy. Nawet z zamkniętymi powiekami wyraźnie ją widziała, czuła w rytmie jej oddechu nienawiść. Gdy *ama* ją obserwowała, udawała, że śpi, i jednocześnie zdawała sobie sprawę, że ona wie, że udaje. I kiedy już nie mogła wytrzymać, kiedy całe jej ciało drętwiało z napięcia, kiedy pęcherz groził rozlaniem zawartości między jej nogi, kiedy czuła, jak matka powoli pochyła się nad jej wykrzywioną twarzą, nad zaciśniętymi kurczowo powiekami, w myślach, jak litanie, powtarzała raz po raz to zdanie, ten rozkaz, żeby nawet w najgorszym, panicznym napadzie strachu nie ulec pokusie sprzeciwienia się mu.

Nieotwierajoczunieotwierajoczunieotwierajoczunieotwierajocz
unieotwierajoczunieotwierajocz.

Nie otwierała ich, ale wiedziała, że twarz matki powoli zbliża się do jej twarzy. Niemal czuła jej dotyk, nacisk i lodowaty uśmiech, któremu towarzyszył szept:

– Śpij, mała dziwko. *Ama* cię dzisiaj nie zje.

Nie podchodziła do niej, gdy spała w łóżku którejś z sióstr. To było pewne. Dlatego co noc, kiedy jej rodzice już się położyli, błagała siostry, żeby jej pozwoliły spać ze sobą. Poniżała się i składała najpokorniejsze obietnice. Flora zgadzała się z rzadka, a gdy już się zgodziła, w zamian następnego dnia traktowała ją jak niewolnicę. Ale Rosaura ulegała, kiedy widziała, jak Amaia płacze. A komuś, kto jest tak przerażony, płacz przychodzi z łatwością.

Szła w ciemnościach przez pokój. Kątem oka dostrzegła zarys łóżka. Wydawało się oddalać, w miarę jak podłoga robiła się

pod jej stopami coraz bardziej miękka, a zapach pasty do podłóg zmieniał się w bogaty, mineralny aromat wilgotnej leśnej ziemi. Błądziła między drzewami, chroniona ich pniami przypominającymi wiekowe kolumny, a do jej uszu dobiegała melodyjna pieśń płynącej w pobliżu dzikiej rzeki Baztán. Podeszła do kamienistego brzegu i szepnęła: rzeka. Jej głos rozbrzmiał echem. Odbijało się od tysiącletnich nawisów skalnych wytyczających bieg wody. Rzeka, powtórzyła.

I wtedy zobaczyła zwłoki. Kilkunastoletnia dziewczyna leżała martwa na otoczkach na brzegu. Otwarte oczy wpatrzone w nieskończoność, włosy rozdzielone pośrodku głowy i starannie rozczesane na boki, ręce zeszytywniałe w parodii ofiarnego gestu, odwrócone dłońmi do góry, wycelowane w pustkę.

– Nie! – krzyknęła.

Rozejrzała się i stwierdziła, że leży tam nie tylko to jedno ciało. Dziesiątki dziewczęcych ciał leżały na obydwu brzegach rzeki, jak makabryczne kwiaty na piekielnej łące.

– Nie – powtórzyła, tym razem proszącym tonem.

Ręce trupów podniosły się wszystkie naraz i wskazały na jej brzuch. Poczowała skurcz i prawie odzyskała przytomność... a potem wróciła nad rzekę. Trupy leżały teraz spokojnie, ale silny wiatr, który wydawał się powstawać w samej rzece, rozwiewał im włosy. Jak ogony latawców unosiły się ku niebu, a przezroczysta woda mętniała i pokrywała się białą pianą. Poprzez wycie wiatru słyszała płacz, płacz dziecka, którym była, zmieszany z zawodzeniem trupów. Gdy na nie spojrzała z bliska, zobaczyła, że martwe dziewczynki płaczą wielkimi łzami. Tworzyły na ich twarzach srebrzyste ścieżki, błyszczące w świetle księżyca.

Cierpienie tych nieszczęśnic rozrywało jej dziecięce serce.

– Nic nie mogę zrobić – jęknęła bezradnie.

Wiatr nagle ucichł i nad korytem rzeki zapadła niewiarygodna cisza. Cisza, która zamieniła się w rytmiczny plusk.

Klap, klap, klap...

Jakby rzeka biła jej brawo, powoli, miarowo.

Jakby słyszała samą siebie, biegnącą po kałużach powstałych

po deszczu. Do pierwszego plusku dołączył drugi.

Pac, pac, pac, pac...

I jeszcze jeden. Kap, kap, kap... I jeszcze, aż zaczęło to przypominać rześście padający grad. A może to woda w rzece zaczęła wrzeć.

– Nic nie mogę zrobić – powtórzyła, oszalała ze strachu.

– Oczyszczyć rzekę! – krzyknął jakiś głos.

– Rzekę!

– Rzekę!

– Rzekę! – wzywał cały chór głosów.

W desperacji próbowała odnaleźć źródło głosów. Teraz wołały z głębi wód. Ciemne niebo nad Baztán rozdarło się na dwoje, a platynowe światło księżyca oświetliło siedzące na skałach wystających z nurtu lamie. Czesaly swoje długie włosy, uderzając raz po raz w powierzchnię wody płetwiastymi stopami. Z ich ust o grubych czerwonych wargach, pomiędzy zębów ostrych jak szpilki, dobiegała chóralna litania.

– Oczyszczyć rzekę!

– Oczyszczyć rzekę!

– Rzeka! Rzeka! Rzeka!

– Amaio! Amaio! Obudź się! – stanowczy głos położnej przywrócił jej przytomność. – No już, Amaio, kończymy. Teraz twoja kolej.

Ale nie mogła posłuchać, bo ponad głosem położnej wznosiły się w górę okrzyki wodnych boginek.

– Nie mogę! – krzyknęła.

To wszystko do niczego nie prowadziło, bo lamie nie słuchały, stawały tylko żądania.

– Oczyszczyć rzekę, oczyścić dolinę, zmyj hańbę...

Ich głosy zamieniły się w okropny krzyk, który zlał się z tym, który wydobył się z jej gardła, gdy poczuła straszliwy party ból.

– Amaio, potrzebuję cię tu i teraz – powiedziała położna.

– Przy następnym skurczu musisz przeć, i od tego, czy to dobrze zrobisz, będzie zależało, czy będzie ich dwa, czy dziesięć. Ty decydujesz: dwa czy dziesięć.

Skinęła głową, złapała się uchwytów i uniosła. Czowała, że James podtrzymuje ją od tyłu, w milczeniu, ale pewnie.

– Bardzo dobrze, Amaio – pochwaliła ją położna. – Gotowa?
Znów skinęła głową.

– Idzie skurcz – powiedziała położna, patrząc na monitor.

– Przyj, kochanie!

Włożyła całą duszę w wysiłek, wstrzymała oddech i zaczęła przeć. Poczula, że coś rozrywa się w jej wnętrzu.

– Już wychodzi. Dobrze, Amaio, dobrze to zrobiłaś, ale musisz oddychać, dla siebie i dla dziecka. Następnym razem musisz oddychać. Uwierz mi, tak będzie lepiej.

Posłusznie skinęła głową, a James otarł pot rzęsiście spływający jej po twarzy.

– Dobrze, idzie następny skurcz. Do roboty, Amaio, kończymy z tym. Pomóż swojemu dziecku wyjść!

Dwa czy dziesięć, dwa czy dziesięć, powtarzał głos w jej głowie.

– Żadne dziesięć – szepnęła.

Koncentrowała się na oddechu i parła, parła, parła, aż w końcu poczuła, że jej dusza wypływa z ciała, a przejmujące uczucie uległości przenika całą jej istotę.

Chyba zaczęłam się wykrwawiać, pomyślała. A potem pomyślała, że to nie szkodzi, bo upływ krwi jest słodki i przyjemny. Jej nigdy się nie zdarzyło tak krwawić, ale agent Dupree, którego postrzelono w pierś i o mało nie umarł, powiedział jej, że to straszliwie bolało, lecz krwawienie było przyjemne i słodkie, jakby się człowiek cały rozpląwał. I im dłużej to trwa, tym bardziej wszystko wydaje się obojętne.

I wtedy usłyszała krzyk. Głośny, mocny, niósł obietnicę.

– Boże drogi, jaki śliczny chłopczyk! – krzyknęła pielęgniarka.

– Blondynek, jak mamusia! – dodała położna.

Odwróciła głowę, szukając wzroku Jamesa, i ujrzała w nich takie samo zaskoczenie, jakie sama czuła.

– Chłopiec? – spytała.

Gdzieś z boku dobiegł głos pielęgniarki:

– Tak, chłopiec, trzy kilo dwadzieścia. Bardzo przystojny.

– Ale... przecież miała być dziewczynka! Tak nam powiedziano – wyjaśniła Amaia.

– No to ten, co to powiedział, się pomylił. Czasem to się zdarza, chociaż zazwyczaj na odwrót: dziewczynki wydają się

chłopcami. Pępowina tak się układa.

– Jest pani pewna? – nalegał James. Nadal podtrzymywał Amaię od tyłu.

Amaia poczuła słodki ciężar ciała dziecka. Poruszało się energicznie, owinięte w pieluchę. Pielęgniarka położyła je jej na brzuchu.

– Nie ma żadnych wątpliwości. To chłopiec – powiedziała pielęgniarka, odsuwając pieluchę i ukazując całe ciało noworodka.

Amaia nie posiadała się ze zdumienia.

Maleńka twarzyczka jej synka marszczyła się. Kręcił się, jakby czegoś chciał. Uniósł swoją maleńką piąstkę do ust, otworzył oczy i popatrzył na nią.

– Boże drogi, James, mamy syna – udało jej się wykrztusić.

Jej mąż delikatnie dotknął palcem policzka dziecka.

– Jest wspaniały, Amaio...

Głos mu się załamał, kiedy się pochylał, żeby ją pocałować. Łzy, które spływały jej po policzkach, nadały jej ustom słony smak.

– Wszystkiego najlepszego, moja ukochana. Wszystkiego najlepszego także dla ciebie, *aita* – dodał, patrząc na synka, który szeroko otwartymi oczami wydawał się wpatrywać w lampę.

– Naprawdę nie wiedzieliście, że to będzie chłopiec? – położyła nadal wydawała się nie dowierzać. – Wydawało mi się, że wiesz, przecież cały czas powtarzałaś jego imię. Ibai... Ibai... Tak będzie miał na imię?

– Ibai... rzeka – szepnęła Amaia.

Popatrzyła na uśmiechniętego Jamesa, a potem na syna.

– Tak, tak – potwierdziła. – Ibai, ma na imię Ibai.

I wybuchnęła śmiechem.

James patrzył na nią rozbawiony. Widział, jaka jest szczęśliwa, i uśmiechał się.

– Z czego się śmiejesz?

Śmiała się tak bardzo, że nie mogła przestać.

– Z tego, jak... Z miny, jaką zrobi twoja mama, kiedy zda sobie sprawę, że musi zwrócić całą wyprawkę!

Trzy miesiące później

Amaia rozpoznała ledwie słyszalną melodię dochodzącą z salonu. Skończyła zbierać ze stołu i wycierając ręce w kuchenną ścierkę, podeszła do drzwi, żeby wysłuchać kołysanki, którą ciotka nuciła jej synkowi łagodnym, uspokajającym głosem. To była ta sama. Choć nie słyszała jej już od lat, wiedziała, że to ta sama, którą jej *amatxi* Juanita zwykle ją usypiała, kiedy była dzieckiem. To wspomnienie przyniosło jej obraz ukochanej, z utęsknieniem wyczekiwanej babci Juanity, zawsze schludnie ubranej na czarno, z włosami zebranymi w kok i upiętymi srebrnymi grzebieniami, które z trudem poskrabiała jej siwe loki. Kiedy była malutkim dzieckiem, jej babka była jedyną kobietą, która ją przytulała.

*Txikitxo politori
zu nere laztana,
katiatu ninduzun,
libria nintzana.
Libriak libre dira,
zu ta ni katigu,
librerik oba dana,
biok dakigu¹.*

Siedząc w fotelu przy rozpalonym kominku, Engrasi kołysała w ramionach maleńkiego Ibaia i wpatrując się uważnie w jego twarzyczkę, śpiewała smutne zwrotki tej starej kołysanki. Ale uśmiechała się, a Amaia dobrze pamiętała, że babcia zawsze płakała, kiedy śpiewała. Zaczęła się zastanawiać dlaczego

¹ Mały cudny chłopczyku / jesteś moją miłością, / mnie, która byłam wolna, / wziąłeś w niewolę. / Wolność jest wolnością, / ty i ja jesteśmy uwięzieni, / że lepiej jest być wolnym, / oboje o tym wiemy (przyp. tłum.).

i doszła do wniosku, że może babcia już wiedziała o bólu, który miała w duszy jej wnuczka, i bała się o nią, bo cierpiała razem z nią.

*Nire laztana laztango
kalian negarrez dago,
aren negarra gozoago da
askoren barraa baino².*

Gdy piosenka dobiegała końca, babcia ocierała łzy swoją śnieżnobiałą chusteczką z wyhaftowanymi inicjałami, jej i jej męża, tego dziadka, którego Amaia nigdy nie poznała i który patrzył na nią srogo ze spłowiałego portretu wiszącego na poczesnym miejscu w jadalni.

– Dlaczego płaczesz, *amatxi*? Przez tę smutną piosenkę?

– Nie zwracaj na mnie uwagi, kochanie, *amatxi* jest niemądra.

Ale wzdychała i ścisnęła ją mocniej, zatrzymując jeszcze na chwilę w objęciach, bo ona też jeszcze nie chciała się rozstawać z wnuczką.

Amaia wysłuchiwała ostatniej zwrotki, rozkoszując się tym, że udawało jej się przypomnieć sobie słowa na chwilę przed tym, nim ciotka je zaśpiewała. Engrasi ucichła i Amaia odetchnęła głęboko. W domu było tak spokojnie. W powietrzu nadal unosił się zapach pysznej potrawy, zmieszany z aromatem drewna palącego się w kominku i wosku, którym Engrasi nacierała meble. James zasnął na sofie i choć w pokoju nie było zimno, podeszła i lekko go przykryła czerwonym kocem. Otworzył na chwilę oczy, przesłał jej pocałunek i spał dalej. Amaia przysunęła swój fotel do fotela ciotki. Engrasi już nie śpiewała, ale nadal patrzyła w zachwycie na buzię śpiącego dziecka. Spojrzała na bratanicę i uśmiechając się, podała jej dziecko. Amaia delikatnie pocałowała synka w główkę i ułożyła w wózku.

– James śpi? – zapytała ciotka.

– Tak, w nocy ledwie mogliśmy trochę odpocząć. Ibai po

² Moja miłość, moje kochanie / płacze na ulicy, / jego płacz jest słodszy / od śmiechu wszystkich innych (przyp. tłum.).

niektórych karmieniach ma kolkę, zwłaszcza w nocy. James cały czas spacerował po domu z nim w objęciach.

Engrasi odwróciła się, żeby rzucić okiem na Jamesa, i powiedziała:

– Jest dobrym ojcem...

– Najlepszym.

– A ty? Nie czujesz się zmęczona?

– Nie. Wiesz, że nie muszę dużo sypiać, wystarczy mi kilka godzin.

Engrasi zastanowiła się nad tym i jej twarz na chwilę posmutniała, ale po chwili znów się uśmiechnęła i powiedziała, wskazując na wózek:

– To piękne dziecko, Amaia, najpiękniejsze, jakie w życiu widziałam. I mówię tak nie dlatego, że jest nasz. Ibai ma w sobie coś niezwykłego.

– Tak niezwyklego – zawołała Amaia – że miał być dziewczynką i w ostatniej chwili zmienił zamiar.

Engrasi popatrzyła na nią bardzo poważnie.

– Sądzę, że to właśnie się stało.

Amaia z niedowierzaniem otworzyła oczy.

– Kiedy zaszłaś w ciążę, położyłam karty tarota, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, i wtedy była to dziewczynka. To nie ulega wątpliwości. W następnych miesiącach kładłam karty jeszcze kilka razy, ale nie pytałam o płeć dziecka, bo to już wiedziałam. A kiedy pod koniec zaczęłaś się tak dziwnie zachowywać i powiedziałaś, że nie jesteś w stanie wybrać imienia ani kupić ubranek, udzieliłam ci odpowiedzi właściwej z psychologicznego punktu widzenia – powiedziała z uśmiechem – ale także poradziłam się kart. Muszę ci się przyznać, że przez chwilę obawiałam się najgorszego, że ta rezerwa, ta twoja niezdolność do wybrania imienia wynika z tego, że dziecko ma się nie urodzić. Czasem matki miewają takie przeczucia i zawsze mają one odbicie w rzeczywistości. A co najdziwniejsze, karty nie chciały mi pokazać płci dziecka, a ty wiesz, co zawsze mówię o tym, czego karty nie chcą pokazać: jeśli czegoś nie mówią, to znaczy, że nie powinniśmy o tym wiedzieć. Czasem są to sprawy, które nigdy

nie zostaną przed nami odkryte, bo w ich istocie jest zawarta ich niejawnosc, innym razem prawda objawia sie, gdy nadchodzi czas. Kiedy James zadzwonil do mnie tamtego ranka, karty byly tak przejrzyste jak szklanka wody. Chlopiec.

– Chcesz powiedziec, ze twoim zdaniem mialam urodzic dziewczynke, ale w ostatnim miesiacu ciazy ta dziewczynka zamienila sie w chlopca? Przyznasz, ze to niezbyt naukowe podejscie.

– Sądze, ze mialas miec dziewczynke, i najprawdopodobniej jeszcze kiedyś ja urodzisz, ale wierze tez w to, ze ktos postanowil, ze to nie jest dobry moment dla twojej córki, i odlozyl te decyzje na ostatnia chwile, a potem zdecydowal, ze ma sie urodzic Ibai.

– I myslisz, ze kto podjal te decyzje?

– Ten sam, kto cię obdarzyl Ibaitem.

Amaia podniosla sie z fotela, podkreślajac, ze sie nie zgadza.

– Idę zrobic kawę. Masz ochote?

Ciotka nie odpowiedziala.

– Źle robisz, zaprzeczajac, ze okolicznosci byly wyjatkowe.

– Nie zaprzeczam, ciociu – próbowała sie broniec. – Ale...

– Nie nalezy wierzyc, ze istnieja, nie nalezy mowic, ze nie istnieja – wyrecytowala Engrasi, cytujac dawne powiedzonko broniace przed czarownicami, niezwykle popularne jeszcze sto lat wczesniej.

– A ja mam do tego jeszcze mniej prawa – szepnela Amaia. W jej pamieci pojawilo sie wspomnienie bursztynowych oczu i krótkiego przenikliwego gwizdu, który prowadzil ja przez nocny las, gdy zmagala sie z poczuciem nierealnoscí wlasnym snom, jednoczesnie majac pewnosc, ze to, co ja spotyka, dzieje sie naprawde.

Milczala do chwili, gdy ciotka zapytala:

– Kiedy wracasz do pracy?

– W nastepny poniedzialek.

– I jak sie z tym czujesz?

– Wiesz, ciociu, ze lubie swoja prace, ale musze przyznac, ze powrot do niej jeszcze nigdy tyle mnie nie kosztowal. Ani powrot z wakacji, ani z miodowego miesiaca. Nigdy. Ale teraz

wszystko jest inaczej, teraz jest Ibai – powiedziała, patrząc na wózek. – Czuję, że jest za wcześnie, żeby się z nim rozstawać.

Engrasi przytaknęła z uśmiechem.

– Wiedziałaś o tym, że kiedyś w dolinie Baztán po porodzie kobiety nie mogły wychodzić z domu przez miesiąc? Kościół to narzucał, żeby było pewne, że dziecko jest zdrowe i nie umrze. Dopiero po miesiącu można je było ochrzcić i wtedy matka opuszczała dom, żeby zanieść dziecko do kościoła. Ale gdy jest prawo, są też sposoby, żeby je ominąć. Kobiety z Baztán zawsze słyszę z tego, że wiedziały, co robić. Większość miała inne dzieci, musiały pracować w polu, obrządzać inwentarz, doić krowy, a miesiąc to dużo czasu. Tak więc kiedy musiały wyjść z domu, wysyłały męża na dach po dachówkę, kładły ją sobie na głowie i mocno przywiązywały chustką, żeby nie spadła. Były poza domem, a jednocześnie były pod dachem, a wiesz, że w Baztán dom kończy się tam, gdzie kończy się dach. Dzięki temu mogły się zająć codziennymi sprawami, nie sprzeniewierzając się tradycji.

Amaia zaśmiała się.

– Nie wyobrażam sobie siebie z dachówką na głowie, ale chętnie bym ją sobie założyła, gdybym mogła w ten sposób zabrać dom ze sobą.

– Opowiedz mi, jaką minę zrobiła twoja teściowa, kiedy się dowiedziała, że urodził się Ibai.

– Wyobraź ją sobie. Najpierw zaczęła wyrzekać na lekarzy i na kiepskie metody badań prenatalnych, i zapewniała, że w Stanach Zjednoczonych nic takiego nie mogłoby mieć miejsca. Zobaczyła go i wszystko było dobrze, choć było oczywiste, że jest trochę rozczarowana. Pewnie dlatego że nie może biedaka ustroić w hafty i koronki. Zakupowy szal minął jej w okamgnieniu. Wymieniła sypialnię na inną, białą, a ubranka na bony na zakupy. Korzystam z nich, kiedy mam taką potrzebę, chociaż zapewniam cię, że mam wszystkiego wystarczająco dużo, żeby Ibai miał w czym chodzić do czwartego roku życia.

– Co za kobieta! – zaśmiała się ciotka.

– Teść natomiast był zachwycony wnukiem. Cały dzień nosił

go na rękach, obcałowywał i bezustannie robił mu zdjęcia! Utworzył nawet fundusz przeznaczony na jego studia! Teściowa zaczęła się nudzić, kiedy skończyły się wyprawy na zakupy, i zaczęła mówić o powrocie do domu. Czekają na nią mnóstwo zobowiązań. Jest przewodniczącą kilku klubów dla pań z wyższych sfer. Tęskniła też za grą w golfa, więc zaczęła nalegać, żebyśmy jak najszybciej ochrzcili dziecko. James się opierał, bo od zawsze marzył o tym, żeby ochrzcić syna w kaplicy świętego Firmina, a sama wiesz, że tam jest ogromna kolejka. Dają termin na za rok. Ale Clarice poszła do kaplicy, spotkała się z kapelanem, złożyła hojny dar i dostała termin na następny tydzień – opowiadała Amaia ze śmiechem.

– Możliwym panem jest Pan Pieniądz – Engrasi zacytowała wiersz Queveda.

– Szkoda, ciociu, że nie przyjechałaś.

Engrasi cmoknęła.

– Przecież wiesz, Amaio...

– Wiem, że nigdy nie opuszczasz doliny...

– Tutaj czuję się dobrze – powiedziała Engrasi, jakby się powoływała na jakiś dogmat.

– Wszyscy dobrze się tutaj czujemy – Amaia zagłębiła się we własne myśli. Jak zahipnotyzowana wpatrywała się w ogień.

– Kiedy byłam mała, tylko tutaj mogłam odpocząć, tu, w tym domu – nagle zaczęła mówić cienkim, przenikliwym głosikiem dziecka. – W swoim prawie nie spałam, nie mogłam spać, bo musiałam się mieć na baczności, a kiedy już nie mogłam wytrzymać i sen mnie ogarniał, nie był to głęboki, ożywczy sen. To był sen skazanych na śmierć, sen ludzi, którzy w każdej chwili spodziewają się, że pochyli się nad nimi twarz kata, bo nadeszła ich ostatnia godzina.

– Amaio... – delikatnie przywołała ją ciotka.

– Ale jeśli będziesz czuwała, nie będzie cię mógł dopaść, możesz krzyczeć i wszystkich pobudzić, nie uda mu się...

– Amaia...

Oderwała wzrok od płonącego kominka, wróciła do przytomności. Spojrzała na ciotkę i uśmiechnęła się.

– Ten dom zawsze był dla wszystkich schronieniem, dla Ros

także, prawda? Nie wróciła do swojego po tym, co stało się z Freddym?

– Nie, często chodzi do swojego domu, ale zawsze wraca na noc.

Usłyszały, jak stuknęły drzwi, i Ros stanęła w progu. Zdjęła z głowy kolorową wełnianą czapkę.

– *Kaixo!* – pozdrowiła je. – Ale zimno! Wam to dobrze.

Zdjęła z siebie kilka warstw ubrań.

Amaia przyjrzała się jej. Zbyt dobrze ją знаła, żeby nie dostrzec, że siostra bardzo zmizerniała i że jej uśmiech jest pozbawiony blasku. Biedna Ros, zmartwienia i skrywany smutek stały się treścią jej życia. Amaia nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio widziała ją szczęśliwą. Mimo sukcesów w zarządzaniu rodzinną wytwórnią ostatnie miesiące były dla niej pasmem cierpień... Separacja z Freddym, śmierć Victora... A zwłaszcza jej charakter. Ros była jedną z tych osób, dla których życie jest bolesne i które skręcają w boczną uliczkę, gdy tylko ich droga zaczyna prowadzić zbyt stromo pod górę.

– Usiądź tutaj, właśnie miałam zrobić kawę. – Amaia ustąpiła jej miejsca.

Złapała siostrę za rękę i zauważyła, że paznokcie ma pokryte odpryskami farby.

– Malowałaś?

– Takie tam głupstwa, w wytwórni.

Amaia uściskała ją i wyczuła, jaka jest chuda.

– Usiądź przy ogniu, jesteś zlodowaciała – nalegała.

– Już, zaraz. Najpierw chcę spojrzeć na małego księcia.

– Nie obudź go – szepnęła Amaia, podchodząc wraz z nią do wózecka.

Ros popatrzyła na dziecko. Była zawiedziona.

– Jak to możliwe? Czy ten dzieciak nic tylko śpi? Kiedy wreszcie jego ciotka będzie mogła go ponianńczyć?

– Spróbuj przyjść do nas między jedenastą w nocy a piątą nad ranem i przekonasz się, że nie tylko nie śpi, ale też że natura obdarzyła go zdrowymi płucami i tak przenikliwym głosem, że bębenki pękają. Przyjedź i niancz go, ile chcesz.

– No pewnie, że przyjadę. A co ty myślisz, że się wystraszyłam?

– Jedną noc może byś wytrzymała. A potem zwalisz to na mnie.

– Kobieto małej wiary – Ros udawała oburzenie. – Gdybyście mieszkali tutaj, udowodniłabym ci, że nie.

– No to już możesz sobie kupić zatyczki do uszu, bo dzisiaj śpimy tutaj, a ty będziesz miała dyżur.

– Co za niefart! – Ros udała zawiedzioną. – Właśnie dzisiaj umówiłam się na wieczór.

Zaśmiały się obydwie.

Zima 1979 roku

Wyciągnął rękę, szukając ciepłego ciała żony, ale łóżko było puste, a z miejsca po jej stronie zniknęły już wszelkie ślady ludzkiej obecności. Zaalarmowany, usiadł na brzegu łóżka i zaczął z uwagą nadsluchiwać. Usiłował wymyślić, gdzie się mogła podziać.

Na bosaka zaczął przeszukiwać pokoje. Wszedł do sypialni, w której w jednakowych łóżkach spały obie córki, do kuchni, do łazienki, wyszedł nawet na balkon, żeby się upewnić, że nie leży tam zemdlona, niezdolna zawołać o pomoc. Niemal wołałby, żeby tak było, żeby jego żona wołała go z jakiegoś kąta mieszkania, prosząc o ratunek. Wołałby wszystko od pewności, że nie ma jej w domu, że czekała tylko, aż on zaśnie, żeby wykraść się potajemnie, żeby iść... No właśnie, nie wiedział, dokąd ani z kim chodzi, wiedział jedynie, że wróci przed świtem i że zimno, które będzie przenikać jej ciało, jeszcze długo będzie się rozchodziło po ich wspólnym łóżku, kreśląc między nimi niewidzialną, ale nieprzekraczalną granicę, gdy ona zapadnie w głęboki sen, a on będzie udawał, że śpi.

Wrócił do sypialni, bezmyślnie pogładził delikatną poszewkę i pochylił się, żeby odetchnąć zapachem włosów żony, którym była przesycona poduszka. Z jego piersi wyrwał się jęk rozpaczony i po raz nie wiadomo który zaczął się zastanawiać, co się między nimi popsulo.

– Rosario – szepnął – Rosario. – Jego dumna żona, panienska z San Sebastián, która przyjechała na wakacje do Elizondo i którą pokochał od pierwszego wejrzenia, kobieta, która dała mu dwie córki i była w ciąży po raz trzeci, kobieta, która dzień po dniu pracowała z nim ręką w rękę w wytwórni ciast. Utalentowana, sprawniejsza w dziedzinie handlu od niego, dzięki czemu rodzinny interes osiągnął powodzenie, o jakim

nawet mu się nie śniło. Elegancka dama, która nigdy w życiu nie wyszłaby na ulicę nieuczesa i niezapięta na ostatni guzik, wspaniała żona, czuła matka Flory i Rosaury, wykształcona i przestrzegająca dobrych manier tak starannie, że inne kobiety w porównaniu z nią wyglądały na pomywaczki. Do sąsiadów podchodziła z rezerwą, w wytwórni okazywała największą uprzejmość, ale unikała innych matek i nie miała przyjaciół, oprócz niego i Eleny, ale tak było jeszcze kilka miesięcy wcześniej, a teraz i to się skończyło. Przestały się spotykać i pewnego dnia, gdy natknął się na Elenę na ulicy, zapytał o nią żonę, a ona odpowiedziała mu tylko:

– Już nie jest moją przyjaciółką, straciłam ją.

Dlatego jej nocne wyprawy wydawały mu się jeszcze dziwniejsze, jej długie przechadzki, na które wybierała się sama, chwile nieobecności, milczenie. Gdzie chodziła? Z początku wypytywał ją o to, a ona odpowiadała wymijająco:

– Tak sobie chodzę, spaceruję, muszę pomyśleć.

Na wpół żartem powiedział:

– Dlaczego nie myślisz tutaj, ze mną? Pozwól chociaż, żebym ci towarzyszył.

Popatrzyła na niego dziwnie, z wściekłością, a potem lodowatym głosem odparła:

– To są żądania zupełnie niewłaściwe.

Juan uważał się za człowieka prostego, wiedział, jakie miał szczęście, że się ożenił z taką kobietą jak Rosario, i że się nie zna na kobiecej psychice, więc bijąc się z myślami i mając wrażenie, że popełnia zdradę, zdecydował się poradzić lekarza. W końcu był to człowiek, który, poza nim, najlepiej znał Rosario. Prowadził jej dwie ciąży i odbierał porody. Ale i on niezbyt często ją widywał, bo Rosario była silna i zdrowa.

– Wychodzi po nocy, kłamie, że idzie do wytwórni, niemal się do ciebie nie odzywa i twierdzi, że chce być sama. Opisujesz mi depresję. Niestety w naszej dolinie ta smutna choroba duszy zdarza się bardzo często. Rosario pochodzi z wybrzeża, znad morza, a tam, choć też często pada, jest więcej światła. Tutejsze ciemności zbierają obfite żniwo. Mamy bardzo deszczowy rok i bardzo wzrosła liczba samobójstw. Tak, sądzę, że cierpi na

depresję. To, że nie miała tych objawów przy poprzednich ciążach, nie znaczy, że nie może ich mieć teraz. Rosario jest bardzo wymagającą kobietą, wymaga dużo od innych, ale też od siebie. Z pewnością jest najlepszą żoną i matką, jaką znam. Zajmuje się domem, pracuje w piekarni i zawsze wygląda jak spod igły, ale nie jest już taka młoda i ta ciąża jest dla niej trudna. Dla takich kobiet, perfekcjonistek, macierzyństwo jest kolejnym ciężarem, który na siebie biorą. Zaczynają sobie stawiać jeszcze większe wymagania. Chociaż ciąża była wyczekiwana, dochodzi do konfliktu między ich potrzebą, żeby być doskonałymi pod każdym względem, i wątpliwościami co do własnych możliwości. Jeśli się nie mylę, po porodzie będzie jeszcze gorzej. Musisz mieć wielką cierpliwość, być czułym i wspomagać ją. Trzeba ją trochę odciążyć od opieki nad starszymi dziewczynkami. Weź kogoś do pracy w piekarni albo poszukaj pomocy domowej.

Żona nie chciała z nim nawet o tym rozmawiać.

– Jeszcze tego by brakowało, żeby któraś z tych wiejskich plotkarek kręciła mi się po domu i potem biegła po wsi i rozpowiadała, co mam, a czego nie mam. Nie rozumiem, skąd ten pomysł. Czyżbym zaniedbywała swoje obowiązki domowe albo dziewczynki? Czy nie chodzę co dzień do wytwórni?

Zarzuty go przytłoczyły i zdołał odpowiedzieć tylko:

– Ależ nie, Rosario, nic takiego nie mówiłem. Ale teraz, kiedy jesteś w ciąży, możesz być zmęczona i przydałaby ci się jakaś pomoc.

– Sama świetnie sobie radzę, nie potrzebuję żadnej pomocy, i byłoby lepiej, gdybyś się nie wtrącał w to, jak prowadzę mój dom, jeśli nie chcesz, żebym złapała za klamkę i wróciła do San Sebastián. Nie mam zamiaru dłużej o tym rozmawiać. Obrażasz mnie, napomykając o czymś takim.

Była obrażona długie dni i prawie się do niego nie odzywała, aż po trochu sprawy zaczęły iść jak poprzednio. Wychodziła z domu niemal każdej nocy, a on czekał, nie spał i nadśłuchiwał. Potem wracała, zimna i milcząca, i wtedy obiecywał sobie, że następnego dnia z nią porozmawia, wiedząc z góry, że się oszukuje, że znowu odwlecze wszystko o jeden

dzień, aby nie musieć stawiać jej czoła.

W głębi duszy zdawał sobie sprawę, że jest tchórzem. Bał się jej, tak jak bał się matki przełożonej, gdy chodził do szkoły prowadzonej przez zakonnice. A świadomość, że tak okropnie się boi jej reakcji, sprawiała, że czuł się jeszcze gorzej. Oddychał z ulgą, gdy słyszał, jak przekręca klucz w zamku, i znów odkładał na później rozmowę, do której – dobrze o tym wiedział – nigdy miało nie dojść.

Włamanie do kościoła nie należało do spraw, dla których zwykła opuszczała o świcie łóżko. Nie uśmiechało jej się jechać samochodem pięćdziesiąt kilometrów na północ, ale nagłący ton inspektora Iriartego nie zostawił jej wyboru.

– Inspektor Salazar, przykro mi panią budzić, ale sądzę, że powinna się pani przyjrzeć temu, co tutaj mamy.

– Trupa?

– Niezupełnie. Zbezczeszczono kościół i... no więc sądzę, że powinna pani przyjechać i sama to zobaczyć.

– Do Elizondo?

– Nie, pięć kilometrów stąd, do Arizkun.

Zanim odłożyła telefon, sprawdziła godzinę. Minuta po czwartej. Wstrzymała oddech i po kilku sekundach wyczuła delikatne poruszenie, spokojne przeciąganie się i cichutkie westchnienie. Odgłosy, które już zdążyła pokochać i które wskazywały na to, że jej synek się budzi – jak zwykle punktualnie – na kolejne karmienie. Zapaliła nocną lampkę, na którą narzucona była chustka tłumiąca światło, pochyliła się nad kołyską i wzięła na ręce ciepłutki mały ciężar. Zaczęła wdychać delikatny zapach niemowlęcej główki. Przystawiła synka do piersi i aż podskoczyła, tak mocno się przyssał. Uśmiechnęła się do Jamesa. Patrzył na nią, podpierając się na boku.

– Praca? – zapytał.

– Tak, muszę iść, ale wrócę na następne karmienie.

– Nie przejmuj się, Amaio. Zadbam o niego, a jeśli nie wrócisz, dam mu butelkę.

– Wrócę na czas – powiedziała, przytulając synka i całując go w główkę, tam gdzie wyczuwała jeszcze niezarośnięte ciemiączko.

W tę zimową noc kościół Świętego Jana Chrzciciela w Arizkun, rozświetlony od środka, kontrastował z ciemną dzwonnica,

wysoką i smukłą. Stała obok niego jak niemy strażnik. Obok portyku w południowej pierzei, tam gdzie było wejście do kościoła, widać było kilku policjantów w mundurach. Oświetlali latarkami zamek w drzwiach.

Amaia zaparkowała na ulicy. Obudziła podinspektora Jonana Etxaide przysypiającego na siedzeniu pasażera, zamknęła auto i przeszła na drugą stronę ulicy, a potem przeskoczyła przez niski murek otaczający kościół.

Przywitała się z policjantami i weszła do środka. Mechanicznie wyciągnęła rękę do kropielnicy, ale natychmiast się powstrzymała. Poczowała unoszący się w powietrzu zapach spalenizny, który nasunął jej myśl o prasowaniu bielizny i zwęglonych ubraniach. Zauważyła inspektora Iriartego. Rozmawiał z dwoma wystraszonymi księżmi, którzy przysłaniali usta rękami i w osłupieniu wpatrywali się w ołtarz. Zatrzymała się na chwilę. Zjawili się doktor San Martín i sekretarz sądowy i zrobiło się zamieszanie. Zaczęła się zastanawiać, co ich tutaj przywiodło, i wtedy podszedł do niej Iriarte.

– Dziękuję, że pani przyjechała, pani inspektor. Witaj, Jonanie – przywitał się. – Od kilku tygodni w tym kościele dzieją się różne rzeczy. Zaczęło się od tego, że ktoś wszedł w środku nocy i rozwalil na dwie części chrzcielnicę. Tydzień później znowu tu wtargnął i siekierą porąbał na kawałki jedną z ławek w pierwszym rzędzie. No a teraz to – powiedział, wskazując na ołtarz. Widać na nim było ślady niewielkiego pożaru. – Ktoś podpalił pochodnią obrusy pokrywające ołtarz. Na szczęście są płócienne i paliły się powoli. Kapelan mieszka tuż obok, a ponieważ kilka tygodni temu nabrał zwyczaju wstawać w nocy i stróżować, zobaczył światło i zadzwonił na telefon alarmowy. Kiedy podjechał patrol, ogień już zgasł i nie było śladu po niepożądanym gościu, a może gościach.

Amaia popatrzyła na niego, jakby na coś czekała. Zacisnęła usta i zrobiła minę, która wskazywała na to, że to musi być nieporozumienie.

– No dobrze, mamy tu akt wandalizmu czy też profanacji, zależnie od tego, jaką nadać temu nazwę, ale nie widzę, w czym

mogłabym pomóc ja albo wydział zabójstw Policji Statutowej.
Iriarte teatralnie wzniosł oczy ku niebu.

– No to proszę podejść i spojrzeć.

Podeszli do ołtarza. Inspektor nachylił się i wyciągnął spod fałdy płótna coś, co przypominało bambusowy patyk, suchy i pożółkły, na jednym końcu poczerniały od ognia.

Amaia niepewnie popatrzyła na doktora San Martína, który w zdumieniu przyglądał się znalezisku.

– Chryste miłosierny! – wykrzyknął.

– Co to? – zapytała.

– To *mairu-beso* – szepnął.

– Co takiego?

Lekarz pociągnął za materiał, odsłaniając kolejne połamane patyczki i coś, co przypominało maleńkie kosteczki tworzące dłoń.

– Cholera, przecież to ręka dziecka! – stwierdziła Amaia.

– Szkieletu dziecka – uściślił San Martín. – Przypuszczalnie niemowlęcia, te kostki są bardzo małe.

– Co to miałoby...

– To ramię Mairu, pani inspektor. *Mairu-beso* to kości ramieniowe dziecka.

Amaia popatrzyła na Jonana, czekała, aż potwierdzi to, co powiedział San Martín, i stwierdziła, że przyglądający się nadpalonym kościom podinspektor wyraźnie zbladł.

– Etxaide?

– Zgadza się – potwierdził półgłosem Jonan. – To *mairu-beso*. Żeby wszystko się zgadzało, kości powinny pochodzić od dziecka, które zmarło nieochrzczone. Stare wierzenia mówią, że *mairu-beso* mają działanie magiczne i narkotyzujące. Rozpalano je jak pochodnie, a potem ci, którzy to zrobili, mogli otumanić dymem mieszkańców domu albo całej wsi i swobodnie oddawać się swoim czarnoksięskim występkom.

– Więc mamy do czynienia z profanacją kościoła i cmentarza – podsumował Iriarte.

– W najlepszym przypadku – szepnął Etxaide.

Amai nie umknął gest, którym Iriarte zagarnął Jonana, odsuwając go od grupy, ani zmartwiony wyraz twarzy obydwu

mężczyzn. Rozmawiając, odeszli na bok i zaczęli oglądać kościół. Ona została na miejscu. Zaczęła słuchać uwag doktora i wyjaśnień podinspektora Zabalzy.

– Podobnie jak wiadomości o samobójstwach, informacje o profanacji zwłok nieczęsto przenikają do opinii publicznej, bo są to tematy bardzo drażliwe społecznie i mogą wywołać plagę naśladownictwa, ale do takich rzeczy dochodzi częściej, niżbyśmy się spodziewali. Wraz z pojawieniem się imigrantów z Haiti, Dominikany, Kuby i niektórych części Afryki praktyki religijne przywiezione przez nich z macierzystych krajów spotkały się z dużą akceptacją Europejczyków i rozpowszechniły się. W ostatnich latach rozprzestrzeniła się na przykład *santería*. To rytuał przywoływania duchów zmarłych, który wymaga użycia ludzkich kości. W związku z tym do profanacji grobów i kolumbariów dochodzi znacznie częściej. Rok temu podczas rutynowej kontroli antynarkotykowej służby zatrzymały samochód przewożący piętnaście ludzkich czaszek pochodzących z cmentarzy na Costa del Sol. Miały zostać zawiezione do Paryża. Z tego, co nam wiadomo, na czarnym rynku takie rzeczy osiągają wysokie ceny.

– Więc te kości mogą pochodzić skądkolwiek – powiedział San Martín.

Jonan znów do nich dołączył.

– Skądkolwiek to nie. Jestem przekonany, że zostały wykopane tutaj, w Arizkun, albo w którejś z okolicznych wiosek. To prawda, że ludzkie szczątki są używane podczas wielu rytuałów religijnych, ale wierzenia dotyczące *mairu-beso* ograniczają się do Kraju Basków, Nawarry i francuskiej Baskonii. Kiedy doktor San Martín określi datę śmierci tego niemowlęcia, będziemy wiedzieli, gdzie szukać.

Odwrócił się i poszedł w głąb nawy, a zdumiona Amaia podążyła za nim wzrokiem. Znała Jonana Etxaide od ponad trzech lat i w ciągu ostatnich dwóch miała dla niego coraz więcej szacunku. Z wykształcenia był antropologiem i archeologiem. Do policji trafił po studiach i – choć nie był wzorem policjanta – Amaia ceniła jego trochę romantyczną

wizję świata i jego pogodny i nieskomplikowany charakter. Dlatego tak ją zaszokował jego upór – niemal zawziętość – żeby wszcząć postępowanie w tej sprawie. Postarała się zamaskować zaskoczenie i pożegnała się z lekarzem sądowym, nie przestając myśleć o tym, jak inspektor Iriarte przytakiwał Jonanowi i z niepokojem patrzył na ściany świątyni.

Płacz Ibaia usłyszała w chwili, kiedy włożyła klucz do zamka. Zatrzasnęła za sobą drzwi i pognała schodami na górę, po drodze zrzucając płaszcz. Podążając za nagłym krzykiem, wpadła do sypialni. Jej syn przeżył się w kołysce, zanosząc się od płaczu. Rozejrzała się po pokoju. Była coraz bardziej wściekła i czuła, jak na żołądku zaciska jej się węzeł.

– James! – krzyknęła, biorąc dziecko z kołyski.

James wszedł z butelką w rękę.

– Jak możesz pozwolić, żeby tak strasznie płakał? Jest zrozpaczony! Czy mogę wiedzieć, co robiłeś?

Zatrzymał się w pół kroku i podniósł do góry butelkę, wskazując coś, co było oczywiste.

– Nic mu nie jest, Amaio. Płacze, bo jest głodny, a ja starałem się temu zaradzić. To jego godzina karmienia, a wiesz, jaki jest punktualny. Poczekalem kilka minut, ale cię nie było, a on domagał się coraz głośniejsze...

Ugryzła się w język. Wiedziała, że w jego słowach nie ma żadnego wyrzutu, a jednak zabolaly ją, jakby były zniewagą. Odwróciła się do niego tyłem, usiadła na bujanym fotelu i przystawiła dziecko do piersi.

– Wyrzuć to świństwo – powiedziała.

Usłyszała, że westchnął, posłusznie wychodząc z sypialni.

Zakratowane okna, balkony i balkoniki. Od strony placu Santa María w płaskiej trzypiętrowej fasadzie pałacu arcybiskupów widniały tylko jedne drzwi, z drewna poszarzałego od starości. W środku czekał na nich ksiądz, ubrany w dobrej jakości garnitur z koloratką. Powitał ich, przedstawił się jako sekretarz arcybiskupa i zaprowadził ich po szerokich schodach na pierwsze piętro. Wprowadził do jakiegoś pokoju, poprosił, żeby poczekali, aż ich zaanonsuje, i zniknął bezgłośnie za zwisającą z sufitu kotarą. Po kilku sekundach wrócił.

– Tędy proszę.

Sala, w której ich przyjęto, była wspianała. Jonan pomyślał, że musi zajmować większą część pierwszego piętra i że należą do niej cztery balkony frontowej fasady ozdobione metalowymi barierkami. Drzwi balkonowe były zamknięte, żeby tego poranka, który w Pampelunie był wyjątkowo mroźny, nie wpadało przez nie przenikliwe zimno. Arcybiskup stał przy swoim biurku. Zdecydowanym ruchem uściśnął im dłonie. Komisarz generalny Policji Statutowej Nawarry dokonywał prezentacji:

– Księżę arcybiskupie, przedstawiam panią inspektor Salazar. Jest szefem wydziału zabójstw. To podinspektor Etxaide. Zna już eminencja księdza Lokina, proboszcza z Arizkun.

Amalia zwróciła uwagę na mężczyznę w średnim wieku, który stał przy najbliższych drzwiach balkonowych i był ubrany w czarny garnitur tak elegancki, że ten, który miał na sobie sekretarz arcybiskupa, wyglądał przy nim na tani.

– Pozwólcie, że was przedstawię księdzu Sarasoli. Jest tu w charakterze doradcy.

Sarasola podszedł i podał im energicznie rękę. Nie spuszczał wzroku z Amali.

– Dużo o pani słyszałem, pani inspektor.

Amalia nie odpowiedziała. Skinęła tylko lekko głową i usiadła. Sarasola wrócił na swoje miejsce przy drzwiach na balkon i odwrócił się plecami do sali.

Arcybiskup Landero był jednym z tych ludzi, którzy muszą coś zrobić z rękami, kiedy mówią, podniósł więc długopis swymi długimi, bladymi palcami i zaczął nim kręcić młynka. Udało mu się skupić na sobie uwagę zebranych. Ale, ku zaskoczeniu wszystkich, to nie on, tylko ksiądz Sarasola zabrał głos.

– Dziękuję, że zainteresowaliście się sprawą, która nas zajmuje i martwi. – Odwrócił się przodem do wszystkich, ale nadal stał przy balkonie. – Wiem, że wczoraj pojechaliście do Arizkun po tym, nazwijmy go tak, ataku, i sądzę, że już was poinformowano o tym, co się działo wcześniej. Niemniej jednak pozwólcie, że jeszcze raz wszystko podsumujemy. Przed dwoma tygodniami w środku nocy, podobnie jak wczoraj, ktoś

wtargnął do świątyni. Wyważył drzwi do zakrystii. To zwykłe drzwi, z prostym zamkiem i bez alarmu, więc nie było to trudne. Ale intruzi nie zachowali się jak zwykli włamywacze, kradnący pieniądze ze skarbonki. Nie: jednym ciosem rozłupali na pół chrzcielnicę, mające czterysta lat dzieło sztuki. Zeszłej niedzieli przed świtem znowu tam weszli i siekierą zniszczyli ławę. Porąbali ją na kawałki, nie większe od mojej dłoni. A wczoraj znów zbezczeszili świątynię. Podpalili ołtarz i zostawili na nim te makabryczne kości.

Amaia zauważyła, że proboszcz z Arizkun kręci się na krześle, bliski ataku nerwowego. Twarz podinspektora Jonana Etxaide znów wykrzywił grymas niepokoju. Zauważyła go już w nocy.

– Żyjemy w niespokojnych czasach – mówił dalej ksiądz Sarasola. – I, niestety, o wiele częściej, niż można by się spodziewać, kościoły padają ofiarą profanacji. Takie przypadki w większości się utajnia, żeby nie dawać zgubnego przykładu. Choć niektóre z nich są dość spektakularne, jeśli chodzi o środki. Ale niewiele jest tak groźnych jak ten, z którym mamy do czynienia.

Amaia słuchała uważnie. Walczyła z chęcią, żeby mu przerwać i wygłosić kilka uwag. Choćby nie wiedzieć jak się starała, nadal wydawało jej się, że najpoważniejszą sprawą z dopiero co wymienionych było zniszczenie czterystuletniego obiektu kultu, mającego wartość historyczną. Ale powstrzymała się, nie zabrała głosu. Czekala i zastanawiała się, jaki kierunek obierze to niezwykle spotkanie, na którym obecne były władze policji i Kościoła, co już samo w sobie przesądzało o jego wadze. Zastanowiło ją też to, że to ten ksiądz, ojciec Sarasola, wydawał się tym wszystkim kierować, nie arcybiskup, którego zresztą rzadko zaszczycał spojrzeniem.

– Sądzymy, że w tym przypadku chodzi o nienawiść do Kościoła wywołaną niewłaściwym rozumieniem odniesień historycznych, a to, że podczas ostatniego ataku użyto ludzkich kości, nie pozostawia wątpliwości co do złożonej natury tej sprawy. Nie muszę oczywiście podkreślać, że oczekujemy od państwa największej dyskrecji, bo z doświadczenia wiemy, że nadawanie takim sprawom rozgłosu nigdy nie kończy się

dobrze. Nie chcemy też niepokoić jeszcze bardziej parafian Świętego Jana Chrzciciela, którzy oczywiście nie są naiwni i zaczynają się domyślać, co jest przyczyną tych ataków. Dla całej wsi jest to powód do ogromnego wzburzenia, bo jest to kwestia, na którą są wyjątkowo uczuleni.

Komisarz zabrał głos:

– Może ksiądz być pewien, że potraktujemy tę sprawę z największą delikatnością i dyskrecją. Pani inspektor Salazar, która ze względu na swoje umiejętności śledcze i znajomość okolicy jest najbardziej predystynowana do zajęcia się śledztwem, poprowadzi tę sprawę wraz ze swoim zespołem.

Amaia popatrzyła na szefa z niepokojem. Z trudem udało jej się opanować odruch protestu.

– Nie wątpię, że tak będzie – odpowiedział ojciec Sarasola, patrząc na nią. – Mówiono mi o pani dużo dobrego. Wiem, że urodziła się pani w dolinie Baztán, że jest pani odpowiednią osobą, żeby się zająć naszym drobnym problemem, i że jest pani wrażliwa i staranna, a takich właśnie cech oczekujemy.

Amaia nie odpowiedziała, ale wykorzystwała okazję, żeby się przyjrzeć dokładniej księdzu w garniturze od Armaniego. Zrobił na niej wrażenie nie tylko dlatego, że dużo o niej wiedział, ale też dlatego, że otaczała go aura władzy i że wydawał się wywierać wielki wpływ na wszystkich obecnych, nawet na arcybiskupa, który ograniczył się do potakiwania mu, chociaż ojciec Sarasola ani razu nie poprosił go o aprobatę.

Gdy tylko wyszli na plac Santa María, Amaia zwróciła się do szefa:

– Panie komisarzy, sędzę, że...

Przerwał jej w pół zdania.

– Przykro mi bardzo, inspektor Salazar. Wiem, co chce mi pani powiedzieć, ale ten ojciec Sarasola jest watykańską eminencją i życzenie, żebyśmy przyszli na to spotkanie, wyszło bezpośrednio od niego. Mam związane ręce, a więc proszę jak najszybciej rozwiązać tę sprawę. Koniec, kropka.

– Rozumiem, panie komisarzy, ale nie mam pojęcia, od czego zacząć ani czego oczekiwać. Po prostu nie wydaje mi się, żeby to była sprawa dla nas.

– Sama pani słyszała, że chcą, aby to była właśnie pani.

Wsiadł do samochodu i odjechał. Amaia została i z głupią miną patrzyła na Jonana, który otwarcie się z niej naigrawał.

– Nie wiem, co cię tak cieszy – zaprotestowała. – Szefowa wydziału zabójstw dzięki swym wybitnym zdolnościom i znajomości okolicy okazała się osobą najbardziej predestynowaną do przeprowadzenia wyczerpującego śledztwa w sprawie pospolitego i wulgarnego przypadku chuligaństwa. Czy ktoś może mi wyjaśnić, o co tutaj chodzi?

Szli do samochodu. Jonan nadal się śmiał.

– To nie takie proste, szefowo. Proszę nie zapominać, że ta watykańska gruba ryba zażądała właśnie pani. Ten ojciec Sarasola, znany także jako doktor Sarasola, jest członkiem Kongregacji do spraw Wiary.

– Inkwizytorem?

– Mam wrażenie, że nie są zadowoleni, kiedy się ich tak nazywa. Kto prowadzi, pani czy ja?

– Ja. Musisz mi opowiedzieć coś więcej o tym doktorze Sarasoli. À propos, doktorze jakich nauk?

– Chyba psychiatrii, może też czegoś jeszcze. Wiem, że jest prałatem, należy do Opus Dei i ma duże wpływy w Rzymie. Przez lata pracował dla Jana Pawła II. Był doradcą papieża, kiedy papież był jeszcze kardynałem.

– A dlaczego ten doradca Watykanu do spraw obrony wiary jest żywotnie zainteresowany taką lokalną sprawą? I gdzie mógł o mnie słyszeć?

– Jak mówiłem, jest ważnym członkiem Opus Dei. Jest doskonale poinformowany o tym, co się dzieje w Nawarze, i może jego daleko posunięte zainteresowanie ma źródło w obawach, o których mówił na spotkaniu, dotyczących, jak się wyraził, nienawiści do Kościoła wywołanej niewłaściwym rozumieniem odniesień historycznych.

– Odniesień historycznych, co do których wydajesz się dzielić jego zdanie...

Jonan popatrzył na nią zdumiony.

– Nie myśl, że nie widziałam, jacy byliście przejęci tamtej nocy, ty i inspektor Iriarte. Sądzę, że byliście zaniepokojeni

nawet bardziej niż proboszcz i kapelan.

– Zgadza się. To dlatego, że matka inspektora Iriartego pochodzi z Arizkun, podobnie jak moja babka, a dla ludzi stamtąd to, co się stało w tym kościele, to sprawa bardzo poważna...

– Tak, słyszałam, co mówił ojciec Sarasola o niepokoju parafian, o tym, że się domyślają... no właśnie, czego?

– Pani też jest z doliny. Musiała pani słyszeć o agotach.

– O agotach? Mówisz o tych, którzy mieszkali w Bozate?

– Mieszkali w całej dolinie Baztán i w dolinie rzeki Roncal, ale głównie w getcie w Arizkun, na terenie dzisiejszej dzielnicy Bozate. Co jeszcze pani o nich wie?

– Prawdę powiedziawszy, niewiele. Że byli rzemieślnikami i że za bardzo się nie integrowali.

– Proszę zjechać na bok – zarządził Jonan zdecydowanie.

Amaia była zaskoczona, ale nie odmówiła. Znalazła miejsce po prawej, zatrzymała samochód i odwróciła się, żeby spojrzeć na podinspektora Etxaide. Odetchnął głośno, a potem zaczął mówić.

– Historycy nie są zgodni co do tego, skąd pochodzili agoci. Przypuszczalnie dotarli do Nawarry w średniowieczu, przez Pireneje, uciekając przed wojnami, głodem, dżumą i prześladowaniami religijnymi. Najbardziej rozpowszechniona teoria głosi, że byli katarami, członkami wspólnoty religijnej prześladowanej przez Świętą Inkwizycję. Inni twierdzą, że byli to goccy żołnierze, dezserterzy, którzy schronili się w leprozoriach w południowej Francji i tam zarazili się trędem, i dlatego budzili lęk. Ma też zwolenników teoria, że byli to zbiegowie i ludzie postawieni poza prawem, i że sprowadził ich ówczesny feudalny pan tamtej okolicy, Pedro de Ursua, którego ufortyfikowany pałac do dzisiaj zachował się w Arizkun. Za tą ostatnią teorią przemawia to, że największa grupa agotów osiedliła się w Bozate.

– No tak, mniej więcej tyle o nich wiedziałam, że byli wygnańcami, trędowatymi albo zbiegłymi katarami, którzy przybyli do doliny w średniowieczu. Ale jaki to może mieć związek ze zbezczeszczeniem kościoła w Arizkun?

– Ogromny. Agoci mieszkali w Bozate całe wieki i przez cały ten czas byli pozbawieni praw i możliwości integrowania się ze społeczeństwem. Byli traktowani jak najniższa grupa społeczna, nie mogli się osiedlać poza gettem, nie mogli posiadać majątku ani zawierać związków małżeńskich z nieagotami. Zajmowali się snycerką i garbarstwem, bo były to zawody uważane za niezdrowe. Zmuszano ich do noszenia przszytych do ubrania specjalnych znaków, a nawet do ogłaszania swojego nadejścia dzwonkiem, jak gdyby byli trędowaci. Jak wiele razy w historii, także w przypadku agotów Kościół nie przyczyniał się do ich integracji. Wprost przeciwnie. Wiadomo, że byli chrześcijanami i że uznawali i praktykowali rytuały katolickie, a jednak Kościół uważał ich za wyrzutków. Mieli chrzcielnicę, przeznaczoną tylko dla nich, bo ich dotyk kalał wodę święconą. Nie pozwalano im podchodzić do ołtarza, musieli stać w głębi nawy. Wchodzili tam osobnymi mniejszymi drzwiami. W kościele w Arizkun była krata, która ich oddzielała od pozostałych wiernych i która już dawno została zlikwidowana, ale pamięć o tym wszystkim do dziś przepelnia mieszkańców Arizkun głębokim wstydem.

– Poczekaj no, dobrze zrozumiałam? Mówisz, że dyskryminacja pewnej grupy społecznej w średniowieczu jest tym odniesieniem historycznym, o którym wspomniał ojciec Sarasola, żeby wyjaśnić profanację kościoła w Arizkun mające miejsce współcześnie?

– Tak – przyznał.

– Dyskryminacja podobna do tej, jakiej ofiarą padali Żydzi, Moryskowie, Cyganie, kobiety, znachorki, biedacy, i tak dalej, i tak dalej. Jeśli do tego, jak mówisz, agotów podejrzewano o roznoszenie trądu, to wszystko jasne. Sama wzmianka o tej potwornej chorobie przerażała ludzi. Z drugiej strony wiem, że w Baztán spalono na stosach dziesiątki kobiet oskarżonych o to, że były czarownicami, w wielu przypadkach na podstawie donosów sąsiadów, mimo że przedtem całe życie mieszkali obok siebie. Każde zachowanie odbiegające od normy było podejrzane, uważano, że maczał w nim palce diabeł, ale taki stosunek do innych grup społecznych czy etnicznych był

w Europie powszechny. Nie ma kraju, w którego historii nie byłoby takich epizodów. Nie jestem historykiem, Jonanie, ale wiem, że w tamtych czasach cała Europa cuchnęła ludzkim mięsem skwierczącym na stosach.

– To prawda, ale w przypadku agotów dyskryminacja przeciągnęła się poza średniowiecze, trwała setki lat. Przez całe pokolenia mieszkańcy Bozate byli pozbawieni najbardziej podstawowych praw. Byli prześladowani tak długo i tak mocno, że któryś z papieży wydał bulłę, w której nadawał im takie same prawa jak innym mieszkańcom okolic i zabronił prześladować. Ale zło już się zakorzeniło, a zwyczaje i wierzenia z oporami poddają się logice i rozsądkowi, więc agoci nadal byli dyskryminowani przez długie, długie wieki.

– Tak, w dolinie Baztán wszystko zmienia się bardzo powoli. W naszych czasach to przywilej, ale w przeszłości życie tutaj musiało być trudne... Ale...

– Szefowo, symbolika zniszczeń dokonanych w kościele wyraźnie nawiązuje do dyskryminacji agotów. Chrzcielnica, w której nie mogli być chrzczeni. Ława w pierwszym rzędzie, zarezerwowana dla szlachty, w której nie mogli siadać. Ołtarz, miejsce, do którego nie mieli dostępu...

– A kości? *Mairu-beso*?

– To starodawny rytuał czarnoksięski. To też przypisywano agotom.

– Czarna magia, oczywiście, i co jeszcze... Wybacz, ale wydaje mi się to naciągane. Muszę przyznać, że ten numer z kośćmi dodaje całej sprawie niezwykłości, ale reszta wyczynów to pospolite chuligaństwo. Zobaczysz, że za kilka dni zatrzymamy kilkoro upalonych młodych ludzi, którzy wtargnęli do kościoła, żeby się powyglupiać, i trochę przesadzili. To, co mnie zastanawia, to dlaczego hierarchowie Kościoła są tym wszystkim tak bardzo zainteresowani.

– Muszą być. Jeśli ktoś może i powinien rozpoznać objawy świętokradztwa o podłożu historycznym, to właśnie oni. Przecież widziała pani twarz proboszcza. Myślałem, że lada moment zemdleje.

Amaia sapnęła ze złością.

– Niech ci będzie. Może i masz rację, ale wiesz, że nie znoszę spraw związanych z ciemną przeszłością naszej doliny. Wydaje się, że co chwilę pojawia się ktoś zdecydowany zbić na tym kapitał – powiedziała, patrząc na zegarek.

– Proszę się nie martwić, mamy czas – starał się ją uspokoić Jonan.

– Nie za bardzo. Muszę wstąpić do domu, to pora karmienia – odparła z uśmiechem.

Amaia dostrzegła porucznika Paduę natychmiast, jak tylko weszła do baru Iruña na placu del Castillo, niedaleko od domu. Był jedynym mężczyzną siedzącym samotnie przy stoliku. Odwrócony plecami do wejścia, w poznanym śladami deszczu gabardynowym mundurze Gwardii Cywilnej.

– Jak tam w Baztán, poruczniku? Bardzo pada? – zapytała na powitanie.

– Jak zwykle, pani inspektor, jak zwykle.

Usiadła naprzeciwko niego, poprosiła o kawę bezkofeinową i butelkę wody. Poczekala, aż kelner postawi napoje na stoliku.

– Proszę mi powiedzieć, o czym pan chciał ze mną rozmawiać.

– Chcę pomówić o sprawie Johany Márquez. – Z miejsca przystąpił do rzeczy. – Albo raczej o sprawie Jasóna Mediny, bo ustaliliśmy już razem, że to on był jedynym mordercą dziewczyny. Przed mniej więcej czterema miesiącami, w dniu rozpoczęcia rozprawy, Jasón Medina – jak pani doskonale wie – popełnił samobójstwo w sądowej łazience.

Amaia skinęła głową.

– Natychmiast rozpoczęliśmy zwykle w takich przypadkach śledztwo. Niczego szczególnego nie dowiodło. Nie wykroczyłyby poza rutynowe działania, gdyby nie to, że po kilku dniach odwiedził mnie konwojent, który dostarczył Medinę do sądu z więzienia i którego może pani pamiętać. Był tam, w tej ubikacji, blady jak ściana.

– Tak, przypominam sobie, że widziałam w łazience policjanta Gwardii Cywilnej i funkcjonariusza więziennego.

– To właśnie on, Luis Rodríguez. Przyszedł do mnie bardzo przejęty i błagał, żebym jasno opisał w raporcie zamykającym śledztwo wszystko, co dotyczy nożyka do tapet, którego Medina użył do popełnienia samobójstwa. Nalegał zwłaszcza na to, żebym stwierdził jednoznacznie, że przemyślił go do sądu ktoś trzeci i że on, Luis Rodríguez, nie ponosi za to

odpowiedzialności. Była to dla niego sprawa wielkiej wagi, ponieważ był to już drugi przypadek, kiedy więzień będący pod jego nadzorem popełnił samobójstwo. Jak mi powiedział, ten pierwszy raz miał miejsce przed trzema laty. Jakiś więzień powiesił się w nocy w swojej celi. Dyrekcja więzienia wzięła winę na siebie, bo nie zastosowano wzmocnionego nadzoru, żeby temu zapobiec. A teraz, ponieważ znów przydarzyło mu się coś podobnego, niemal odchodził od zmysłów i obawiał się, że zostanie w jakiś sposób ukarany albo zawieszony. Uspokoilem go, a potem, w gruncie rzeczy po prostu z ciekawości, spytałem go o tamtego pierwszego samobójcę.

Okazało się, że był to facet, który zamordował żonę i okaleczył zwłoki, odcinając rękę. Rodríguez nie miał pojęcia, czy ręka się odnalazła, czy nie. Proszę sobie wyobrazić moje zdziwienie, kiedy zadzwoniłem do Policji Narodowej do Logroño, bo to oni prowadzili tę sprawę, i usłyszałem, że faktycznie facet zamordował żonę, z którą był w separacji i którą wcześniej maltretował, a potem obciął jej rękę. Miał zakaz zbliżania się do niej, ale cóż... Tego rodzaju przestępstwa co dzień oglądamy w wiadomościach, tak samo prymitywne. Zadzwonił do drzwi, a kiedy otworzyła, popchnął ją na ścianę, ogłuszył, a potem dobił dwoma ciosami noża w brzuch. Ona się wykrwawiała, a on okradał mieszkanie. Podgrzał sobie nawet i zjadł fasolę z boczkiem. Siedział w kuchni i patrzył, jak ona umiera. A potem sobie poszedł i nawet nie zamknął drzwi. Znalazła ją sąsiadka. Faceta zatrzymano dwie godziny później w pobliskim barze. Był pijany i zbryzgany krwią żony. Od razu przyznał się do winy, ale – niech pani sobie wyobrazi – kiedy go spytano o amputację, powiedział, że nie wie, o co chodzi, i że nie ma z tym nic wspólnego. – Westchnął ciężko. – Amputacja na wysokości łokcia, narzędziem zębatym, ale ostrym, czymś takim jak nóż elektryczny albo wyrzynarka. Coś to pani przypomina, pani inspektor?

Amaia uniosła ręce, złączyła je i oparła palce wskazujące o usta. Siedziała tak kilka sekund. Dopiero potem się odezwała: – No cóż, może to przypadek. Może odciął jej rękę, żeby zabrać jakiś pierścionek albo obrączkę, a może żeby jej nie

zidentyfikowano... chociaż nie, przecież była w swoim domu, więc to nie miałyby sensu... ale różne rzeczy się zdarzają. Chyba że ma pan coś jeszcze...

– Mam coś jeszcze – potwierdził. – Po tej rozmowie pojechałem do Logroño pogadać z policjantami, którzy prowadzili śledztwo. Powiedzieli mi coś, co jeszcze bardziej utwierdziło mnie w przekonaniu, że jest w tym jakieś podobieństwo do sprawy Johany Márquez. Otóż tamtego zabójstwa dokonano gwałtownie i byle jak. Facet narobił w domu okropnego bałaganu, użył noża, który wziął z kuchni, i zostawił narzędzie zbrodni ubabrane krwią przy zwłokach, a przedtem, zadając ciosy, sam się skaleczył w rękę i nie opatrzył sobie rany, tylko laził po mieszkaniu i wszędzie zostawiał krwawe ślady. Skorzystał nawet z ubikacji i nie spuścił wody. Wszystko, co robił, było tak samo brutalne i niechlujne jak on sam. A jednak amputacji dokonano *post mortem*, niemal bez upływu krwi, jednym czystym cięciem na wysokości stawu. Nigdy nie znaleziono ani odciętej kończyny, ani narzędzia, którym to zrobiono.

Amaia z rosnącym zainteresowaniem skinęła głową, a Padua ciągnął dalej:

– Złożyłem też wizytę dyrektorowi więzienia. Powiedział, że więzień przebywał u niego kilka dni, że nie wykazywał skruchy ani oznak depresji. Byłoby to normalne w takim przypadku. Był spokojny i zrelaksowany, miał dobry apetyt i spał jak suseł. Ponieważ był to okres adaptacji, zostawiono go w celi samego. Nikt go nie odwiedzał, ani rodzina, ani znajomi. I nagle, pewnej nocy, kiedy nic nie wskazywało na to, że coś takiego nastąpi, powiesił się i – niech mi pani wierzy – musiał się naprawdę postarać, bo w celi nie ma o co zaczepić sznura, nie ma jak się powiesić na stojąco. Zrobił to, siedząc na podłodze, a to wymaga doprawdy ogromnej determinacji. Funkcjonariusz Rodríguez usłyszał chrapliwy oddech i podniósł alarm. Kiedy otwarto drzwi, więzień jeszcze żył, ale umarł przed przybyciem karetki.

– Zostawił list?

– Ja też o to spytałem, a dyrektor odpowiedział, że zostawił

„coś w tym stylu”.

– Coś w tym stylu?

– Wyjaśnił, że nabazgrał coś bez sensu na ścianie trzonkiem szczoteczki do zębów – odparł Padua. Wyciągnął z koperty fotografię, położył ją na stole i podsunął Amaia.

Napis został już zamalowany, ale nie zadbano o wypełnienie bruzd. Na zdjęciu, specjalnie zrobionym pod kątem, światło flesza uwidoczniło wyraźny ślad liter wyrytych pewną ręką w gipsowym tynku. Jedno jedyne słowo, doskonale widoczne: TARTTALO.

Zaskoczona Amaia nagle spojrzała na porucznika. Domagała się wyjaśnień. Padua uśmiechnął się z zadowoleniem i odchylił do tyłu.

– Widzę, że udało mi się przyciągnąć pani uwagę, pani inspektor. Tarttalo, napis identyczny z tym, który Medina zostawił w liście do pani – to mówiąc, położył na stole przezroczystą plastikową teczkę z kopertą zaadresowaną do inspektor Salazar.

Amaia przez dłuższą chwilę siedziała w milczeniu, zastanawiając się nad wszystkim, co usłyszała od porucznika Padui w ciągu ostatniej godziny. Mimo wysiłków nie była w stanie znaleźć żadnego wytłumaczenia: dlaczego dwóch pospolitych zabójców, niechlujnych i niezorganizowanych, okaleczyło w taki sam sposób, sprawnie i skutecznie, swoje ofiary i nie zostawiło na miejscu zbrodni odciętych rąk, zostawiło za to mnóstwo dowodów tego, co zrobili wcześniej? A przede wszystkim jak to się stało, że wybrali to samo słowo – słowo, którego w żadnym razie nie można było uznać za zwykłe – na swój podpis.

– No dobrze, poruczniku, widzę już, do czego pan zmierza. Ale nie rozumiem, dlaczego przychodzi pan z tym do mnie. Tak czy owak sprawa Johany Márquez podlega Gwardii Cywilnej, podobnie zresztą jak sprawy związane z przewożeniem więźniów. Sprawa, jeśli to w ogóle jest sprawa, należy do pana – powiedziała, przesuwając zdjęcia w jego stronę.

– Problem polega na tym, pani inspektor, że nie będzie żadnej sprawy. Wszystkich tych odkryć dokonałem osobiście, idąc

tropem, który podsunął mi ten funkcjonariusz. Sprawę więźnia z Logroño prowadziła Policja Narodowa. Od dawna jest oficjalnie zamknięta. Sprawa Johany Márquez też już została zakończona, zabójca nie żyje. To wszystko, co pani opowiedziałem, zgłosiłem już przełożonym, ale oni nie uznali, że dowody są wystarczające, aby ponownie otworzyć dochodzenie.

Opierając głowę na rękę, Amaia słuchała uważnie. Przygryzła dolną wargę.

– Czego pan ode mnie chce, Padua?

– Tak naprawdę to chciałbym się upewnić, że te sprawy nie mają ze sobą nic wspólnego, ale sam nie dam rady, mam związane ręce i, no cóż... Tak czy owak pani jest w to zamieszana, a to – znów popchnął w jej stronę teczkę z kopertą

– należą do pani.

Amaia przeciągnęła palcem po gładkiej plastikowej powierzchni teczki, najpierw po obrysie koperty, a potem po swoim nazwisku, wypisanym prostym, wyraźnym pismem.

– Był pan w celi, w której trzymano Medinę, prawda?

– Pani jest niesamowita! – Padua z uznaniem pokiwał głową.

– Byłem tam dziś rano, zanim do pani zadzwoniłem.

Pochylił się i wyciągnął coś z torby.

– Ósma strona – powiedział i położył na stole skoroszyt.

Amaia natychmiast rozpoznała charakterystyczną okładkę. Raport z sekcji zwłok, widywała takich setki. Na okładce widniało nazwisko i numer sprawy.

– Sekcja zwłok Mediny. Przecież wiadomo, jak umarł.

– Strona ósma – nalegał Padua.

Amaia zaczęła czytać, a Padua na głos recytował tekst. Nauczył się go na pamięć:

– „Zwłoki Jasóna Mediny wykazują duży ubytek w palcu wskazującym prawej ręki. Brakuje paznokcia, a skóra jest starta do żywego mięsa”. Dyrektor więzienia pozwolił mi obejrzeć jego osobiste rzeczy. Mają je tam. Jego żona ich nie chciała i w ogóle nikt się nie upomniał. Stwierdziłem, że Medina był dość prymitywnym gościem. Żadnych książek, zdjęć ani pamiątek, tylko kilka starych numerów tygodników

sportowych i plotkarskich. Nie dbał zbyt o higienę, nie miał szczoteczki do zębów. Poprosiłem, żeby mnie zaprowadzono do jego celi, i na pierwszy rzut oka nie było widać nic, co mogłoby zwrócić uwagę. Zresztą przez te ostatnie miesiące przebywali tam inni więźniowie. Ale posłuchałem intuicji i spryskałem ścianę luminolem. Rozświetliła się jak choinka. Pani inspektor, w noc poprzedzającą posiedzenie sądu Jasón Medina użył własnej krwi. Starł sobie do szczętu palec, żeby wypisać na ścianie celi to samo słowo co jego poprzednik, tamten więzień z Logroño. Podobnie zresztą jak on odebrał sobie potem życie. Z tą różnicą, że Medina zrobił to poza więzieniem, a to z tego powodu, że musiał doręczyć pani to – powiedział, wskazując na kopertę.

Amalia wzięła ją do ręki i nie patrząc, włożyła do kieszeni, a potem opuściła bar. Idąc ulicami w stronę domu, czuła jej złowróżbną obecność. Koperta paliła ją w bok jak gorący kataplazm. Wyciągnęła komórkę i wystukała numer podinspektora Etxaide.

– Witam, szefowo – odebrał natychmiast.

– Dobry wieczór, Jonanie, przepraszam, że przeszkadzam ci w domu...

– Czym mogę służyć, szefowo?

– Czy mógłbyś poszukać wszystkiego, co tylko się da, na temat *tarttalo*, tej mitycznej postaci, i wszelkich odnośników do tego słowa, zapisanego właśnie tak: tarttalo. Przez dwa t.

– To proste, jutro będę to miał. Coś jeszcze?

– Nie, tylko to. Bardzo ci dziękuję, Jonanie.

– Nie ma za co, szefowo. Do jutra.

Kiedy się rozłączała, zorientowała się, że jest bardzo spóźniona: minęły już trzy kwadransy od pory karmienia Ibaia. Zdenerwowana zaczęła biec. Mijała nielicznych przechodniów, którzy odważyli się stawić czoło lodowatemu zimnu. Gdy była już niedaleko, nie mogła przestać myśleć o tym, jak doskonale punktualny jest zawsze Ibai w kwestii posiłków, jak budzi się i natychmiast domaga krzykiem jedzenia, niemal dokładnie po czterech godzinach od ostatniego karmienia. Gdy tylko w perspektywie ulicy dostrzegła swój dom, nie przestając biec,

wyciągnęła klucze z kieszeni puchowej kurtki, po czym jak toreador wbijający mistrzowsko szpadę w kark byka, jednym ruchem wepchnęła klucz do zamka i otworzyła drzwi. Ochryplý krzyk dziecka dochodzący z pierwszego piętra uderzył w nią jak fala rozpaczý. Pokonała schody, skacząc po dwa stopnie, nie ściągając nawet kurtki, a w jej umyśle przewijały się absurdalne obrazy płaczącego rozpaczliwie syna, którego zostawiono samego w kołysce, i Jamesa śpiącego sobie smacznie albo przyglądającego się dziecku beczynn timer i bezradnie.

Ale James nie spał. Wpadając do kuchni, zobaczyła, że trzyma Ibaia na rękach, przytula go do piersi i nuci, żeby go uspokoić.

– Na Boga, James! Nie dałeś mu butelki? – zadając to pytanie, uprzytomniła sobie, jak sprzeczne jest jej podejście do sztucznego karmienia.

– Uwierz, Amaio, że próbowałem – powiedział, wskazując na stół. Rzeczywiście stała na nim butelka z mlekiem. – Ale nie chciał nawet o tym słyszeć – dodał z bladym uśmiechem.

– Jesteś pewien, że zrobiłeś dobrą mieszankę? – spytała, potrząsając butelką i patrząc na nią krytycznie.

– Tak, kochanie – odparł cierpliwie, nie przestając kołysać dziecka. – Pięćdziesiąt mililitrów wody i dwie płaskie miarki mleka.

Amaia ściągnęła kurtkę i rzuciła ją na krzesło.

– Daj mi go – poprosiła.

– Już dobrze, Amaio – powiedział, chcąc ją uspokoić. – Nic mu nie jest, dopiero co zaczął płakać, zresztą noszę go cały czas na rękach.

Dość niedelikatnie wyrwała mu dziecko i poszła do salonu. Usiadła na fotelu. Ibai zaczął krzyczeć jeszcze głośniejer.

– A co to dla ciebie znaczy płakać krótko? – spytała z furią. – Pół godziny? Godzina? Gdybyś go nakarmił, kiedy było trzeba, nie doprowadziłbyś go do takiego stanu.

James przestał się uśmiechać.

– Nawet dziesięciu minut nie płacze, Amaio. Kiedy się zorientowałem, że się spóźniesz, przygotowałem butelkę i miałem ją już gotową, kiedy się obudził. Nie spodobała mi się, to normalne, woli pierś od mleka z butelki. Ale jestem

pewien, że gdybyś przyszła jeszcze później, zdążyłby je wypić.

– Nie spóźniłam się z byle powodu – rzuciła wściekle.

– Pracowałam.

James popatrzył na nią z mieszanymi uczuciami.

– A kto mówi, że nie?

Ibai nie przestawał płakać i kręcić głową na obie strony w poszukiwaniu piersi, rozjuszony jej niedostępną bliskością. Amaia poczuła ból, gdy gwałtownie się przyssał. Nagle przestał płakać. W powietrzu zabrakło decybeli, została niemal ogłuszająca cisza.

Amaia z rozpaczą zamknęła oczy. To jej wina. To ona zajęła się swoimi sprawami i bez troski pozwoliła, żeby czas mijał, podczas gdy jej syn płakał z głodu. Położyła drżącą dłoń na jego główce i pogłaskała pokrywający ją delikatny puszek. Po jej policzku spłynęła łza. Kapnęła na policzek Ibaia. A on, nie zważając na jej rozterki, ssał spokojnie, posapując i mrużąc z zadowolenia oczy.

– Amaio – szepnął James, pochylając się nad nią i osuszając palcem wilgotne ślady, które zostawiły na jej twarzy łzy. – Nie przejmuj się tak, kochanie. Zapewniam cię, że małemu nic straszego się nie stało. Płakał tak rozdzierająco tylko kilka minut, właśnie wtedy, kiedy przyszedł. Nic się nie stało, Amaio. Inne dzieci musiały się przestawić na butelkę o wiele wcześniej niż Ibai i jestem pewien, że wiele z nich też protestowało.

Ibai uspokoił się i zasnął. Amaia zapięła bluzkę, podała mężowi dziecko i wybiegła z pokoju. Po chwili James usłyszał, że wymiotuje.

Nie miała świadomości, że zasnęła. Zdarzało jej się to, kiedy była bardzo zmęczona. Ocknęła się nagle, przekonana, że usłyszała jedno z tych głębokich westchnień, które przez jakiś czas jej syn wydawał przez sen po tej okropnej awanturze, ale w pokoju panowała cisza i kiedy uniosła się trochę na łóżku, mogła dojrzeć w słabym świetle albo raczej wyczuć, że Ibai śpi spokojnie. Odwróciła się do Jamesa, który pogrążony we śnie leżał na brzuchu, obejmując prawą ręką poduszkę. Pochyliła się nad nim i pocałowała go w głowę. Wyciągnął rękę i poszukał jej dłoni. Zamknął ją w swojej w intymnym porozumieniu. Miał

zwyczaj nieświadomie tak robić w nocy. Pokrzepiona, zamknęła oczy i znów zasnęła.

Obudził ją wiatr. Dmuchał ogłuszająco, gwizdał jej w uszach i robił straszliwy hałas. Otworzyła oczy i zobaczyła ją, Lucię Aguirre. Wpatrywała się w nią nieruchomym wzrokiem z nadbrzeża rzeki. Ubrana była w swój biało-czerwony świąteczny sweterek. Wyglądał tak wesoło, że trudno byłoby znaleźć inny strój mniej pasujący do sytuacji. Obejmowała się w pasie lewą ręką kojącym gestem. Jej smutne spojrzenie docierało do Amaia jak mistyczny most przerzucony nad burzliwymi wodami rzeki Baztán i przelewało prosto w jej serce cały strach, cały ból i przede wszystkim nieskończony smutek. W tym spojrzeniu nie było nadziei, była zgoda na całą wieczność wiatru i samotności. Przewyciężając lęk, Amaia podniosła się i poprosiła widmo, żeby przemówiło. Lucía zaczęła mówić, ale jej słowa porwał i rozwiewał wiatr. Amaia nie była w stanie usłyszeć nawet jednego dźwięku. Z rozpaczliwym wysiłkiem, żeby zostać usłyszaną, Lucía krzyczała i krzyczała, aż siły ją zawiodły i padła na kolana na piasek. Pochyliła głowę. A kiedy ją znowu podniosła, jej wargi rytmicznie i powoli zaczęły się poruszać, powtarzając:

– Zabierz go... targaj go... łapaj go...

– Tak zrobię – szepnęła Amaia. – Złapię go.

Ale Lucía Aguirre już na nią nie patrzyła, kręciła tylko głową, pograżając się w falach rzeki, które po chwili zasłoniły jej twarz.

Dłużej niż zwykle przygotowywała się do rozstania z Ibaiem. Z synkiem na rękę chodziła to tu, to tam po wszystkich pokojach, szepcząc do niego czułe słówka i odwlekając moment, kiedy będzie musiała się ubrać i wyjść do komisariatu. Nadal, mimo że minęła już prawie godzina, nie udało jej się pozbyć wrażenia, że tuli jego delikatne ciało w objęciach. Brakowało jej go w sposób wręcz bolesny i czuła, że nigdy w życiu za nikim tak nie tęskniła. Oczarowanie jego zapachem, jego dotykiem głęboko zapadło w jej duszę i budziło w niej emocje tak głębokie, że niemal wydawały się wspomnieniami. Myślała o łagodnym łuku jego policzka i o przejrzystych oczach, w tym samym odcieniu błękitu co i jej własne, wspominała, jak przygląda się jej twarzy, badawczo i przenikliwie, jakby w jego dziecięcym ciele krył się umysł i rozważa mędrca. Jonan podał jej kubek kawy z mlekiem. Otoczyła go dłońmi w intymnym geście. Zawsze rano tak robiła, ale teraz nie zdołało jej to pocieszyć.

– Ibai nie dał pani spać? – spytał Jonan, zauważając jej podkrążone oczy.

– Nie... To znaczy, tak... w pewnym sensie – odpowiedziała wymijająco.

Jonan dobrze ją znał, pracowali razem od lat, więc wiedział, że jej milczenie jest warte więcej niż najlepsze wyjaśnienia.

– Mam już to, o co mnie pani wczoraj prosiła – powiedział, odwracając się w stronę biurka.

Amaia przez chwilę wydawała się zmieszana.

– Ach, tak... Masz to?

– Mówiłem, że to będzie proste.

– Opowiadaj – poprosiła, siadając obok niego przy biurku i zabierając się do popijania kawy.

Otworzył plik w komputerze i zaczął czytać.

– Tarttalo, znany także jako Tártaro lub Torto, postać

występująca w mitach Kraju Basków i Nawarry. Jest cyklopem, ma tylko jedno oko. Jest to niezwykle silny i okrutny olbrzym. Żywi się owcami, dziewczycami i pasterzami, choć w niektórych źródłach występuje także jako pasterz własnych stad. Tak czy owak zawsze jest pożeraczem ludzi. Podobni do niego cyklopi pojawiają się w mitach innych części Europy, a także w mitologiach starożytnej Grecji i Rzymu. W Kraju Basków był niegdyś postacią bardzo popularną, a doniesienia o jego istnieniu pojawiały się jeszcze w początkach XX wieku. Jest samotnikiem i mieszka w jaskini. Różne mity umiejscawiają ją w różnych miejscach, ale nie w tak niedostępnych górskich okolicach jak te groty, w których mieszka bogini Mari. Tarttalo mieszka niżej, w dolinach. Wychodzi w poszukiwaniu pożywienia i żeby nasycić wieczną żądzę krwi. Jego symbolem jest jedno oko pośrodku czoła i oczywiście kości. Całe góry kości, resztki uczt tej bestii, piętrzące się u wejścia do jaskini.

Dołączyłem też kilka dość znanych legend o jego spotkaniach z pasterzami. Wielu udało mu się dopaść. W szczególności polecam legendę o tym, jak stracił życie, topiąc się w studni, kiedy jakiś pasterz go oślepił. Spodoba się pani – dodał podinspektor i czytał dalej: – W Zegamie opowiada się, że Tarttalo był gigantycznym mężczyzną, ogromnego wzrostu i mającym tylko jedno oko. Mieszkał w miejscu, które nazywają Tartaloetxeta (dom Tarttala), w pobliżu góry Sadar. Stamtąd wyruszał na wędrówki po dolinach i górach. Kradł owce pasterzom i porywał samych pasterzy. Piekł ich i pożerał.

Pewnego razu szło ścieżką dwóch braci. Wracali z jarmarku w sąsiedniej wsi, gdzie sprzedali swoje owce, a potem dobrze się bawili. Szli, rozmawiając z ożywieniem, i nagle zamilkli, bo zobaczyli Tarttala. Na próżno usiłowali uciec. Olbrzym ich złapał, każdego jedną ręką, i zaniósł do swojej jaskini. Rzucił ich w kąt i zaczął rozniecać ogień. Z pni dębowych rozpałił wielkie ognisko i ustawił nad nim ogromny rożen. Bracia trzęśli się ze strachu. Potem olbrzym wybrał jednego z nich, tego, który wydawał mu się tłuściejszy, i zabił go jednym ciosem pięści, a potem nadział na rożen i upiekł. Drugi pasterz płakał gorzkimi łzami. Widział tragiczny koniec swego brata i patrzył,

jak go pożera straszliwy olbrzym. Gdy Tarttalo zakończył ohydną ucztę, schwytał pozostałego przy życiu młodzieńca i cisnął go na stertę owczych skór. „Ciebie muszę jeszcze utuczyć”, powiedział z pogardą, śmiejąc się doniośle i odrażająco, a potem dodał: „Żebyś mi nie uciekł, założę ci na palec ten pierścień”. I rzeczywiście, założył mu magiczny pierścień, który przemawiał ludzkim głosem i bez przerwy krzyczał: „Tu jestem! Tu jestem!”. A potem Tarttalo, zadowolony, zasnął twardo. Pasterz, zdając sobie sprawę, jaki koniec go czeka, jeśli czegoś nie zrobi, postanowił uciec. Czy mogło być coś gorszego niż utuczenie i pożarcie przez tego giganta? Podczołgał się więc ostrożnie do ogniska, złapał rożen i rozgrzał go do czerwoności. Ujął go twardo w dłoń, podszedł do chrapiącego smacznie Tarttala i z całej siły wbił pręt w jego jedyne oko. Potwór, oszalały z bólu i wściekłości, zerwał się z wrzaskiem i swymi wielkimi łapami zaczął na oślepa zadawać ciosy, w nadziei, że uda mu się dosięgnąć tego, kto wbił mu w oko rozpalone żelazo. Ale pasterz bardzo zręcznie unikał straszliwych ataków. Tarttalo jednym ciosem rozwalil zagrodę dla owiec i zwierzęta rozbiegły się po całej jaskini. Wtedy pasterz owinał się w owczą skórę i wraz ze stadem udało mu się niepostrzeżenie opuścić jaskinię, mimo że olbrzym stanął na progu i usiłował go złapać. Młodzieniec był już na zewnątrz, ale magiczny pierścień zaczął krzyczeć raz po raz: „Tu jestem! Tu jestem!”. I w ten sposób wskazywał drogę Tarttalowi, który, mimo że ogromny, wytrwale i rącho jak jeleń podążał za śmiałym pasterzem. Młodzieniec obawiał się, że nie zdoła uciec, więc biegł, biegł i biegł, żeby się ukryć między drzewami, ale pierścień wskazywał olbrzymowi, którędy ma go ścigać. Jak katarynka powtarzał przenikliwym głosem: „Tu jestem! Tu jestem!”. Przejęty grozą, bojąc się, że zaraz zostanie złapany przez ryczącego i obrzucającego go najgorszymi obelgami potwora, pasterz podjął heroiczną decyzję. Oderwał sobie palec ze zdradliwym pierścieniem i cisnął go do studni. „Tu jestem! Tu jestem!”. Tarttalo posłuchał głosu pierścienia, rzucił się głową naprzód do studni, utopił się i zginał.

– Masz rację – powiedziała z uśmiechem Amaia. – To

znakomita historia i widać, że bardzo ci się podoba.

– No cóż, mitologia i legendy to nie wszystko. Z całkiem innej dziedziny: *tarttalo* to słowo, którym niektóre grupy terrorystyczne określają pewien rodzaj bomby. Jest to skrzynka bez widocznych kabli, z czujnikiem fotoelektrycznym LDR w środku. W chwili otwarcia skrzynki kontakt światła z czujnikiem powoduje detonację ładunku wybuchowego. Stąd nazwa bomby: jednooki wykrywacz światła.

– Tak, wiedziałam o tym, ale nie sądzę, żeby to o to chodziło. Co jeszcze masz?

– Niewielka wytwórnia filmowa nosząca nazwę Tarttalo, z pół tuzina restauracji o tej nazwie rozrzuconych tu i ówdzie po całym obszarze, gdzie żyją Baskowie. W internecie mamy też odniesienia do legend, filmy animowane, rysunki, znaczki na koszulki, istnieje też wieś, w której podczas uroczystości ku czci patrona obnoszą figurę Tarttala, i kilka blogów, które nazywają się tak albo o tym wspominają. Tu ma pani wszystkie linki. Aha, wydaje się, że ten sposób pisania tego słowa, przez dwa t, jest starszy niż przez jedno. No i oczywiście *tarttalo* występuje w książkach José Miguela de Barandiarána o mitologii Basków.

Telefon na biurku Jonana zadzwonił, przerywając mu wykład. Podinspektor przeprosił i odebrał, a potem powiedział do Amai:

– Szefowo, komisarz chce się z panią zobaczyć, czeka u siebie.

Kiedy weszła do jego gabinetu, komisarz właśnie rozmawiał przez telefon. Wybąkała przeprosiny i cofnęła się do drzwi, ale szef podniósł rękę i gestem pokazał jej, żeby poczekała.

Odłożył słuchawkę i przez chwilę patrzył na nią badawczo. Pomyślała, że to z pewnością arcybiskup nadal naciska, i właśnie miała zacząć tłumaczyć, że jeszcze nic nie udało im się wykryć, kiedy zaskoczył ją, mówiąc:

– Nie uwierzy pani, zadzwonił sędzia śledczy Markina. Powiedział, że podejrzany o zabójstwo Lucii Aguirre skontaktował się z nim i obiecał, że jeśli pani osobiście spotka się z nim w więzieniu, powie, gdzie jest ciało ofiary.

Pojechała na wzgórze Santa Lucía, gdzie wybudowano nowy zakład karny. Pokazała w portierni dokumenty i niezwłocznie

zaprowadzono ją do biura. Czekali na nią dyrektor więzienia, którego już znała, sędzia śledczy Markina i sekretarka sądowa. Sędzia wstał, żeby się z nią przywitać.

– Pani inspektor, myślę, że nie mieliśmy dotąd okazji spotkać się osobiście, ponieważ zacząłem pracę, kiedy pani była na urlopie. Dziękuję, że zgodziła się pani przyjść. Rano Quiralte poprosił o widzenie z dyrektorem i obiecał mu, że jeśli zgodzi się pani z nim spotkać, powie, gdzie są zwłoki Lucii Aguirre.

– Sądzi pan, że ma zamiar dotrzymać obietnicy?

– Prawdę mówiąc, nie wiem, co myśleć. Quiralte to chamski, rozbestwiony typ. Przechwalał się swoim zbrodniczym czynem, a potem odmówił zdradzenia, gdzie ukrył ciało. Jak mówi pan dyrektor, jest niesamowicie z siebie zadowolony, dobrze jada i śpi, jest aktywny i towarzyski.

– Można powiedzieć, że świetnie się tu czuje – dodał dyrektor.

– I dlatego nie wiem, czy to jakiś wybieg, czy naprawdę ma zamiar pani powiedzieć, ale nalegał. Powiedział, że powie to pani i tylko pani.

Amaia przypomniała sobie ten dzień, gdy go zatrzymano, i jego wzrok wbity w lustro weneckie, zza którego asystowała przy przesłuchaniu.

– Tak, to mnie nie zaskakuje. Już kiedy go zatrzymaliśmy, wypytywał o mnie, ale nie wzięliśmy tego na serio, bo wygadywał głupstwa. Zresztą to był ostatni dzień mojej pracy przed urlopem, a przesłuchaniami zajęła się ta sama ekipa, która prowadziła śledztwo.

Quiralte już od dziesięciu minut czekał na nich w pokoju przesłuchań. Kiedy Amaia i sędzia weszli, zobaczyli, że siedzi rozparty na prostym twardym krześle stojącym przy stole. Górę od więziennego munduru miał rozpiętą niemal po pas. Zademonstrował sztuczny uśmiech, zbytnio obnażający blade dziąsła.

Powrót samca, pomyślała, przypominając sobie, co powiedział o nim Jonan, kiedy go zatrzymano.

Quiralte poczekał, aż usiądą naprzeciw niego, z lekka podniósł się z krzesła, pochylił do przodu i wyciągnął do Amai rękę.

– Nareszcie raczyła mnie pani odwiedzić, inspektorko. Długo

musiałem czekać, ale muszę przyznać, że było warto. Jak się pani miewa? I jak się czuje dzidzia?

Amaia zignorowała wyciągniętą rękę. Ręka po kilku sekundach opadła.

– Panie Quiralte, jeśli tu dzisiaj przyszłam, to jedynie dlatego, że obiecał pan wyjawić, gdzie są zwłoki Lucii Aguirre.

– Jak pani sobie życzy, inspektorko, ale prawdę powiedziawszy, oczekiwałem, że będzie pani dla mnie miłsza. Przecież rozślawię gliniarską gwiazdę – rzucił, nadal szczerząc zęby w uśmiechu.

Amaia czekała nieporuszona, patrzyła na niego uważnie.

– Panie Quiralte... – powiedział sędzia.

– Niech się pan zamknie – skarcił go Quiralte.

Sędzia popatrzył na niego z widoczną urazą.

– Lepiej niech pan nic nie mówi, panie sędzio, bo w gruncie rzeczy nie wiem, co, do diabła ciężkiego, pan tutaj robi. Milczeć, bo nic nie powiem! I niech pan będzie wdzięczny, że w ogóle pozwalam panu tu siedzieć, bo przecież jasno się wyraziłem, że będę rozmawiał tylko z inspektorką Salazar, czyż nie?

Sędzia Markina zdjął ręce ze stołu i spał się, jakby chciał mu skoczyć do gardła. Amaia niemal słyszała, jak jego stawy trzeszczą z oburzenia. Zastygł jednak na miejscu i milczał.

Quiralte znów uśmiechnął się wilczo i znów zwrócił się do Amai, ignorując sędziego.

– Długo czekałem, cztery długie miesiące. Jeśli o mnie chodzi, jak chciałem wcześniej, więc to, długo to trwało, to pani wina, inspektorko. Jak pani z pewnością wie, domagałem się spotkania już w chwili, gdy mnie zatrzymano. Gdyby się pani wtedy zgodziła, już od dawna mielibyście ciało tej starej pudernicy, a ja nie gnębym tutaj cztery miesiące.

– Jeśli o to chodzi, to się pan grubo myli – odparła Amaia.

Więzień pokręcił głową, ciągle się uśmiechając. Bawi go to, pomyślała Amaia.

– No więc... – podjęła.

– Lubi pani *patxaran*, inspektorko?

– Niespecjalnie.

– No tak, nie jest pani tego rodzaju kobietą i z pewnością nie piła pani w ciąży. Bardzo dobrze, bo inaczej rodzą się takie dzieci jak ja. – Śmiał się przez chwilę. – A teraz karmi pani piersią, prawda?

Amalia próbowała ukryć zaskoczenie i pokrywając je zniecierpliwieniem, odsunęła krzesło i spojrzała na drzwi.

– Już dobrze, inspektorko, niech się pani nie niecierpliwi. Mój ojciec zwykł robić domowy *patxaran*, nic nadzwyczajnego, ale całkiem znośny. Pracował dla znanej wytwórni likierów we wsi Azanza. Kiedy już zebrano plony tarniny, firma zezwalała pracownikom zabrać te owoce, które zostały na gałęziach. Tarnina to takie krzaki, najpaskudniejsze, jakie można sobie wyobrazić. Ojciec zabierał mnie tam ze sobą. Mają kolce, ostre i jadowite. Jak się ukłujesz, zakażenie gwarantowane, a boli całymi tygodniami. Pomyślałem, że w tych krzakach... że to będzie najlepsze miejsce dla niej.

– Zakopał ją pan tam?

– Tak.

– Zgoda – odezwał się sędzia Markina. – Pójdzie pan z nami i wskaże gdzie.

– Nie, nigdzie nie pójdę. Ostatnia rzecz, na jaką mam ochotę, to znów zobaczyć tę sukę. Jestem pewien, że musi teraz wyglądać jeszcze bardziej obrzydliwie niż zwykle. Dość powiedziałem. Wskażę dokładnie, gdzie jest to pole, a reszta to wasza sprawa. Ja już się wywiązałem i kiedy tu skończymy, pójdę do celi odpocząć. – Poprawił się na krześle i dodał z fałszywym uśmiechem, nie patrząc na sędziego: – To był dzień pełen emocji i jestem wykończony.

– Nie, tak się nie robi – wydusił Markina przez zaciśnięte zęby.

– Nie przyszliśmy tutaj, żeby nas pan traktował jak chłopców na posyłki. Pójdzie pan z nami i wskaże, gdzie są zwłoki. Ustne wskazówki mogą utrudnić poszukiwania, a do tego minęło sporo czasu, ślady się zatarły. Nawet pan może mieć kłopot z przypomnieniem sobie dokładnie...

Quiralte przerwał jego perorę:

– Na Boga! Nie znoszę tego typu! Inspektorko, proszę mi dać papier i długopis.

Amaia podała mu to, czego żądał, ale sędzia nadal protestował:
– Szkic na papierze to nie to samo co dokładna mapa. Poza tym na plantacji wszystkie drzewa są takie same.

Amaia przyglądała się aresztantowi. Spojrzał na sędziego z kpiną i zaczął pisać.

– Spokojnie, szanowny panie – powiedział z pogardą. – Nie będę nic rysował. – I podał im papier, na którym wypisał krótką kombinację cyfr i liter.

Sędzia był zaskoczony.

– Co to takiego?

– Współrzędne, panie sędzio – wyjaśniła Amaia.

– Długość i szerokość geograficzna. Nie na darmo służyłem w Legii Cudzoziemskiej, co nie? – dodał więzień z rozbawieniem. – A może jednak woli pan rysunek?

Azanza okazała się maleńką wioską w jurysdykcji Estella. Głównym zajęciem jej mieszkańców była produkcja likieru z tarniny, patxaranu. Kiedy udało się zebrać całą ekipę dochodzeniową i zlokalizować miejsce, zapadał już zmierzch. Jasność szybko gasnącego światła wydawała się zatrzymywać na chwilę w bieli milionów maleńkich kwiatuszków, które – mimo że do wiosny brakowało jeszcze sporo – pokrywały całe korony drzew, nadając ich rzędom wygląd pałacowych korytarzy. Nie chciało się wierzyć, że właśnie to miejsce niehumanoidalny bydlak wybrał na zaimprovizowaną mogiłę.

Amaia przyglądała się uważnie, jak ekipa techniczna instaluje reflektory i namiot, który uparła się przywieźć, mimo że jej towarzysze narzekali, że będą przez to mieli opóźnienie. Nie spodziewała się, że będzie padać, ale i tak nie chciała ryzykować, że deszcz zatrze ślady, które mogły przetrwać wokół grobu.

Sędzia Markina stanął tuż przy niej.

– Nie wydaje się pani zadowolona, pani inspektor. Obawia się pani, że jej tu nie ma?

– Nie, tego jestem niemal pewna – odpowiedziała.

– Więc co panią niepokoi? Przepraszam – powiedział nagle, podnosząc dłoń do jej twarzy.

Amaia cofnęła się, zaskoczona.

– Ma pani coś we włosach.

Zgarnął kwiatusek z jej skroni, podniósł do nosa i powąchał.

Amai nie umknął wyraz twarzy Jonana. Patrzył na nich spoza namiotu.

– Proszę mi powiedzieć, co się pani nie zgadza.

– Nie zgadza mi się coś w sposobie, w jaki postępuje ten typ. To wręcz podręcznikowy przykład ludzkiej bestii, wyrzucony z wojska, pijak, łajdak i brutal, ale...

– Tak, ja też z trudem mogę pojąć, czym kierowała się ofiara, taka urocza kobieta. Co ją mogło skłonić, żeby nawiązać stosunki z takim osobnikiem?

– W tej akurat kwestii mogę panu pomóc. To typowa ofiara. Słodka, poświęcająca się dla innych i zapominająca o sobie, pobożna i empatyczna do granic. Była katechetką, pomagała w stołówce dla bezdomnych, dbała o wnuki, odwiedzała matkę staruszkę, a jednak czuła się samotna. Taka kobieta nie widzi w życiu sensu, jeśli nie ma kim się opiekować, a jednocześnie marzy o tym, że pewnego dnia zjawi się ktoś, kto zadba o nią. Chciała się poczuć kobietą. Nie siostrą, nie matką, nie przyjaciółką, tylko kobietą. Jej problem polegał na tym, że sądziła, że żeby to osiągnąć, za wszelką cenę potrzebuje mężczyzny.

– Ależ, pani inspektor, zaryzykuję oskarżenie o *machismo* i stwierdzę, że nie myślę, aby było coś złego w tym, że kobieta pragnie mieć u boku mężczyznę i się czuć spełnioną w miłości.

Jonan, który dzielił uwagę między techników kopiących w ziemi i szefową, przestał robić notatki i uśmiechnął się pod nosem. Nie patrzył na Amaię.

– Panie sędzio, to indywiduum nie jest mężczyzną, to człowiek rodzaju męskiego, a między tym a byciem mężczyzną jest przepaść.

Technicy podnieśli alarm. W dole ukazał się kawałek czarnej folii. Amaia podeszła do grobu, ale odwróciła się jeszcze na chwilę do sędziego i powiedziała:

– Z pewnością ona także zdała sobie z tego sprawę i dlatego złożyła doniesienie, że stosuje wobec niej przemoc. Ale było już za późno.

Kiedy zobaczyli pakunek, mogli stwierdzić, że zabójca wpakował ciało w dwie wielkie torby na śmieci: jedną założył na głowę, drugą na nogi i połączył je na wysokości pasa taśmą do papieru. Taśma oderwała się i falowała, poruszana lekkim wiatrem. Wywołało to dziwne wrażenie, że w grobie coś się rusza, jakby ofiara przewracała się w nim, domagając się, żeby jej pomogli wyjść. Silniejszy powiew wiatru pozwolił im dostrzec między torbami biało-czerwony sweterek, który miała na sobie Lucía i w którym Amaia widywała ją w snach. Po plecach przeszedł jej dreszcz.

– Róbcie zdjęcia pod każdym kątem – nakazała i odeszła na bok, żeby mogli skończyć. Przeżegnała się i pochyliła głowę, żeby się pomodlić.

Sędzia Markina patrzył na nią w zdumieniu. Doktor San Martín podszedł do niego.

– Taki sam sposób jak każdy inny, żeby nabrać dystansu do zwłok.

Markina kiwnął głową i szybko odwrócił wzrok od Amai, jakby został przyłapany na czymś zdrożnym.

San Martín pochylił się nad dołem, wyciągnął ze swojej starej walizki marki Gladstone niewielkie nożyczki, spojrzął na sędziego – sędzia kiwnął głową – i rozciął wzdłuż jedną z plastikowych toreb. Ukazała się górna część ciała ofiary.

Zwłoki były wyprostowane, leżały lekko przechylone na prawy bok i były w dość zaawansowanym rozkładzie, chociaż zimno i piaszczysta gleba podziały osuszająco. Tkanki były zapadnięte i wysuszone, przynajmniej na twarzy.

– Szczęśliwie w ostatnich miesiącach było dość zimno. Stopień rozkładu odpowiada temu, jakiego można się spodziewać po pięciu miesiącach – zaczął San Martín. – Na pierwszy rzut oka widać, że na szyi jest długie cięcie. Przód swetra jest nasiąknięty krwią, co wskazuje na to, że ofiara żyła, kiedy jej to zrobiono. Cięcie jest głębokie i proste, co wskazuje na użycie ostrego narzędzia i na dużą siłę i determinację, żeby zabić. Zabójca się nie zawahał. Cięcie wykonano od lewej do prawej, co wskazuje na to, że był praworęczny. Straciła bardzo dużo krwi i to w pierwszych godzinach przyciągnęło mnóstwo

nekrofagów. Dlatego, mimo że ciało zostało owinięte i zakopane w suchej ziemi, widzimy tak dużo owadów.

Amaia podeszła do dołu i uklękła tak, żeby dobrze widzieć głowę ofiary. Przez moment wydawało się, że zrobiło jej się słabo. Nie ruszała się przez kilka sekund. Sędzia Markina, który ją obserwował, zrobił krok do przodu, zaniepokojony, ale Jonan go powstrzymał. Złapał go za ramię i szepnął mu coś do ucha.

– To, co widać na łuku brwiowym, to skutek ciosu? – spytała Amaia.

– Tak właśnie – odpowiedział San Martín, z zadowoleniem mistrza, który dobrze wyszkolił praktykantkę. – I wydaje się, że został zadany *post mortem*. Jest wgłębienie, ale nie ma śladów krwawienia.

– Proszę popatrzeć – wskazała Amaia. – Wydaje się, że jest tu więcej śladów uderzeń, na całej czaszce.

– Tak – zgodził się San Martín, pochylając się trochę niżej. – Tutaj nawet brakuje włosów i nie jest to efekt rozkładu.

– Jonanie, podejdź, zrób zdjęcie pod tym kątem – poprosiła.

Sędzia Markina pochylił się nad dołem. Podeszedł do niej tak blisko, że trącił ją lekko rękawem kurtki. Bąknął przeprosiny i spytał San Martína, czy sądzi, że ciało było w tym miejscu przez cały ten czas i czy zostało zakopane wkrótce po śmierci. Lekarz odparł, że tak, że resztki larw odpowiadają faunie typowej dla tej okolicy w pierwszych fazach rozkładu, ale że będzie mógł stwierdzić to z pewnością dopiero po przeprowadzeniu dokładnych badań.

Sędzia wyprostował się i podeszedł do sekretarki sądowej, która protokołowała w bezpiecznej odległości. Amaia jeszcze przez chwilę klęczała, wpatrywała się w zwłoki ze zmarszczonym czołem.

Jonan popatrzył na nią pytająco.

– To jak, zabieramy ją? – spytał jeden z techników, wskazując na trupa.

– Jeszcze nie – odpowiedziała Amaia, podnosząc rękę i nie odrywając wzroku od ciała. – Panie sędzio! – zawołała.

Sędzia podeszedł. Zachowywał się uprzedzająco grzecznie.

– Quiralte powiedział w którymś momencie, że gdyby mógł porozmawiać ze mną wcześniej, nie musiałyby gnić cztery miesiące w więzieniu, prawda?

– Tak, tak właśnie powiedział, ale nie wiem, na co właściwie liczył, bo przecież przyznał się do zbrodni.

– Myślę, że ja wiem... – szepnęła, zatopiona w myślach.

Markina wyciągnął do niej rękę. Amaia popatrzyła na nią zdziwiona. Zignorowała go, podniosła się i przeszła na drugą stronę dołu.

– Doktorze, czy mogę prosić, żeby pan rozciął ten worek dalej?

– Oczywiście.

Rozciął dalej, w dół, do kolan ofiary.

Spódnica, którą Lucía Aguirre włożyła do pasiastego sweterka, była podwinięta. Kobieta nie miała na sobie bielizny.

– Przypuszczałem, że znajdziemy dowody przemocy seksualnej. W takich przypadkach często do tego dochodzi i nie zdziwiłbym się, gdyby nastąpiła *post mortem* – powiedział lekarz.

– Tak, ten bydlak z furią dał upust wszystkim swoim najgorszym fantazjom, ale nie tego szukam.

Bardzo ostrożnie rozłożyła worek na boki.

– Jonanie, podejdź tutaj. Przytrzymaj folię i ciągnij tak, żeby ziemia nie dostała się do środka.

Podinspektor posłusznie oddał aparat fotograficzny jednemu z techników, kucnął i złapał torbę obiema rękami. Amaia uklękła obok niego, dotknęła prawego ramienia ofiary i ostrożnie przesunęła dłoń w dół, na przedramię, które – ponieważ ciało leżało na boku – było częściowo niewidoczne. Włożyła palce obu dłoni pod ciało, złapała za ramię na wysokości bicepsa i delikatnie pociągnęła, wyciągając je. Jonan, zaskoczony, stracił równowagę i usiadł na ziemi, ale nie puścił folii.

Ręka została odcięta poniżej łokcia. Cięcie zostało wykonane pod kątem prostym, za jednym zamachem. Nie było krwi, więc mogli zobaczyć okrągły przekrój kości i wyschnięte tkanki wokół niej. Amaię przeszył zimny dreszcz. Na sekundę całe zimno świata skupiło się w jej kręgosłupie. Jak rażona

piorunem wzdrygnęła się i odskoczyła z przerażeniem.

– Szefowo...

Wróciła do rzeczywistości. Popatrzyła mu w oczy, a on skinął głową.

– Jedziemy, Jonanie – powiedziała rozkazującym tonem i ściągając w biegu rękawiczki, rzuciła się do samochodu.

Nagle stanęła i ruszyła w stronę sędziego.

– Panie sędzio, proszę zadzwonić do więzienia i zażądać, żeby Quiralte był pod ścisłym nadzorem. Najlepiej, żeby ktoś z nim był przez cały czas.

Sędzia trzymał w dłoni telefon komórkowy.

– Dlaczego? – spytał, wzruszając ramionami.

– Bo popełni samobójstwo.

Odstąpiła Jonanowi miejsce za kierownicą. Robiła tak zawsze, kiedy musiała pomyśleć i kiedy się spieszyła. Był dobrym kierowcą, umiał znaleźć złoty środek między bezpieczeństwem i impulsem – któremu ona ulegała zbyt łatwo – żeby wcisnąć gaz do dechy. Z Azany do Pampeluny jechali zaledwie pół godziny. Deszcz jednak nie spadł, ale niebo było zachmurzone i zapadł przedwczesny zmierzch, bez światła gwiazd i księżyca. Nawet światła miasta wydawały się przytłumione. Wjeżdżając na więzienny parking, zauważyli karetkę. Stała z wyłączonymi światłami.

– Cholera – szepnęła Amaia.

W drzwiach czekał na nich funkcjonariusz więzienny. Przepuścił ich obok bramki. Biegli korytarzem, a on udzielał im wyjaśnień:

– Sanitariusze i lekarz są przy nim. Najwyraźniej czegoś się nałykał. Mógł to być silny środek do czyszczenia. W małych dawkach niektóre wywołują ból brzucha i mdłości. Najprawdopodobniej za opłatą dostarczył mu go więzień zajmujący się sprzątaniami. Zdarza się, że więźniowie dodają różnych rzeczy do jedzenia, żeby się zatruć i trafić do szpitala. Ale ten, kiedy nas zawiadomiono, był już nieprzytomny. Leżał w wymiocinach i krwi. Wypruł sobie flaki, ot co. W pewnym momencie na chwilę odzyskał świadomość, ale nie sądzę, żeby coś kojarzył.

Dyrektor więzienia, blady i przejęty, czekał na nich przed celą.
– Nic nie wskazywało...

Amaia minęła go, nie zatrzymując się, i zajrzała do środka. Leżącego na noszach Quiralte, zaintubowanego i nieruchomego, otaczał silny odór wymiocin i odchodów. Nawet pod maską tlenową widać było poważne oparzenia wokół ust i nosa. Jeden z sanitariuszy robił notatki, drugi spokojnie zbierał sprzęt.

Lekarz więzienny, którego Amaia знаła od dawna, odwrócił się i zdjął lateksową rękawiczkę, po czym przywitał się, wzdychając:

– Pani inspektor Salazar, niezłe bagno tu mamy. – Uniósł krzaczaste brwi. – Nic nie mogliśmy zrobić. Przyszedłem prawie natychmiast, bo byłem jeszcze w gabinecie, a ci z pogotowia kilka minut po mnie. Próbowaliśmy go ratować, ale zatrucia substancjami żrącymi prawie zawsze kończą się źle, zwłaszcza jeśli człowiek truje się celowo. Sam sobie zrobił koktajl – powiedział, wskazując na leżący w kącie bidon. – Wypił go, kiedy wrócił do celi z przesłuchania. Musiał okropnie cierpieć, ale nie krzyczał, nie prosił o ratunek. – Znów popatrzył na trupa. – Jedna z najgorszych agonii, jakie widziałem.

– Nie wie pan, czy zostawił list? – spytała Amaia, rozglądając się.

– Zostawił to – powiedział lekarz, wskazując na prycze przymocowane do ściany za jej plecami.

Odwróciła się i musiała się trochę schylić, żeby zobaczyć, co Quiralte napisał na ścianie nad dolną pryczą.

TARTTALO.

Jonan zrobił to samo co ona i ze wstrętem zmarszczył nos.

– Napisał to...

– Tak, odchodami – potwierdził stojący za nim lekarz.

– Mazanie świństwem to forma protestu często stosowana w więzieniach. Ale nie wiem, co oznacza to słowo.

Gdy ogłaszała odprawę, zawsze starała się stawić w sali pierwsza i często przez kilka minut patrzyła przez okno na rozpościerające się za nim miasto, porządkując przemyślenia. Słuchała narastającego, kojącego szmeru głosów za plecami. Podchodził do niej Jonan i w milczeniu podawał jej kawę. Zawsze ją od niego brała, ale często zostawiała nietkniętą. Ogrzewała sobie tylko ręce o kubek.

Odwróciła się dopiero, kiedy usłyszała głos inspektora Iriartego. Witął się radośnie ze wszystkimi. Towarzyszył mu podinspektor Zabalza. Kiwnął do niej głową, mruknął coś niezrozumiałego i usiadł obok swojego zwierzchnika. Poczekała, aż wszyscy zajmą miejsca, i w chwili gdy chciała zabrać głos, drzwi się otworzyły. Wszedł komisarz. Oparł się o ścianę, skrzyżował ręce na piersi, przeprosił, że jej przerwał, i poprosił, żeby mówiła dalej.

– Jakby mnie tu nie było – oznajmił.

– Dzień dobry wszystkim. Jak wiecie, podczas tego zebrania mamy ustalić strategię postępowania w sprawie powtarzających się profanacji kościoła w Arizkun. Właśnie przysłano wstępne wyniki badań kości. Nie są zbyt pomocne. Potwierdzają, że to kości ludzkie i że należały do niemowlęcia. Doktor San Martín będzie nas informował, kiedy nadejdą nowe wyniki. My natomiast zaczniemy od uściślenia, czym dokładnie jest profanacja i dlaczego w tym właśnie przypadku mamy z nią niewątpliwie do czynienia... – Wstała, przeszła kilka kroków i stanęła tuż za podinspektorem Etxaide.

– Profanacją jest traktowanie bez należytego szacunku rzeczy należących do sfery sacrum, niszczenie, bezczeszczenie lub znieważanie wartości otoczonych powszechnie czcią. Wychodząc od tego i biorąc pod uwagę, że czyn został popełniony w miejscu kultu, z wykorzystaniem między innymi ludzkich szczątków, stwierdzam, że mamy do czynienia

z profanacją religijną, czyli ze świętokradztwem w rozumieniu teologii katolickiej. Ale zanim przejdziemy dalej i zdecydujemy, co robić, chciałabym zwrócić uwagę na kilka spraw. Jest tyle rodzajów profanacji, ile typów zachowań przestępczych, i zrozumienie, jak doszło do tej profanacji, pozwoli nam ustalić profil sprawcy, którego szukamy.

Najczęstszym rodzajem profanacji jest wandalizm, zwykle związany z subkulturami miejskimi i grupami z marginesu, które wyrażają odrazę wobec społeczeństwa, atakując jego wartości albo symbole religijne. Mogą zniszczyć pomnik, napaść na bibliotekę, spalić flagę albo wytluc okna wystawowe w dużym centrum handlowym. Do takich profanacji dochodzi najczęściej i najłatwiej je rozpoznać, na podstawie ewidentnych oznak irracjonalnej przemocy.

Do drugiej grupy należą ludzie profanujący kościoły i cmentarze, gangi i grupy przestępcze, których jedynym celem jest kradzież kosztowności albo innych rzeczy. Ich łupem padają skarbonki kościelne, systemy nagłaśniające i oświetleniowe, przedmioty ze złota i srebra, jak tabernakula, świeczniki, kielichy, a nawet takie rzeczy jak narzędzia grabarzy.

W bardziej skrajnych przypadkach tacy bandyci kradną biżuterię, a nawet złote zęby nieboszczyków. Niedawno aresztowano gang, który kradł ramki z platyny zdobiące fotografie zmarłych, często umieszczane na grobowcach. Niektórzy z tych przestępców, jak sami zeznali, ostatnio postanowili inscenizować na miejscu kradzieży sceny sugerujące satanistyczne rytuały. To zawsze budzi ogromny niepokój parafian. Chodzi im o to, żeby wprowadzić śledczych w błąd, a tym samym odwrócić uwagę od siebie i skierować ją na sekty. W takich przypadkach dobrze jest nie dać się nabrać, bo jest jasne, że satanistów z reguły nie interesuje telefon komórkowy proboszcza. I tutaj właśnie dochodzimy do innego typu profanacji, profanacji ezoterycznej. Jonanie...

Jonan wstał i ruszył w stronę tablicy.

– Chodzi o magiczne rytuały różnych kultur. Większość takich profanacji to rytuały karaibskiej santerii, haitańskiego wudu,

brazylijskiego *candomblé* albo kubańskiego *palo mayombe* – mówił i pisał na tablicy. – Są to rytuały związane ze śmiercią i spirytyzmem, najchętniej praktykowane na cmentarzach, ale nigdy w katolickich kościołach. Jedynie sataniści wybierają miejsca kultu chrześcijańskiego, ponieważ uważają, że powinni nie tylko czcić Szatana, ale też obrażać Boga. Profanacje satanistyczne są rzadkie, choć wczoraj na spotkaniu z arcybiskupem padła sugestia, że czasami takie rzeczy są wyciszane, żeby nie przyciągać naśladowców. Najczęściej w takich przypadkach bezcześci się święte symbole: kałem, wymiocinami, moczem, krwią zwierząt, popiołem. Chodzi o efektowną inscenizację. Zdarza się dekapitowanie figur świętych, rysowanie symboli fallicznych na obrazach przedstawiających Madonny, odwracanie krzyży do góry nogami i tym podobne rzeczy. Kilka lat temu w galisyjskim miasteczku A Lanzada sataniści wtargnęli w nocy do niewielkiej pustelni. Roztrzaskali drzwi siekierą. Zabrali figurę Matki Boskiej, otaczaną w tamtym rejonie wyjątkową czcią, odrąbali jej obie ręce i rzucili figurę w przepaść. To doskonały przykład inscenizacji: mogli po prostu wyważyć drzwi – nie było alarmu – i ukraść posąg, ale to, co zrobili, było bardziej widowiskowe i świętokradcze.

Amaia znów zabrała głos:

– Zostaje nam profanacja jako protest społeczny albo coś, co sprawcy w ten sposób uzasadniają. Miałam okazję dokładnie zbadać takie zachowania, gdy szkoliłam się w FBI, w Stanach Zjednoczonych. Może to polegać na niszczeniu grobów i wykopywaniu zwłok konkretnych osób, na poddawaniu ciał zmarłych amputacjom i okaleczeniom. Jedynym celem jest wyrażenie wielkiej nienawiści do społeczeństwa. Takich osobników uważa się za bardzo, bardzo niebezpiecznych, bo dokonują tych irracjonalnych czynów jedynie w pewnym stanie umysłu i mogą skierować złość przeciwko żywym. W badaniach zachowań przestępczych takie działania często są uważane za charakterystyczne dla pewnego stadium psychopatii. Zdarza się, że poprzedza je torturowanie zwierząt, podkładanie ognia, moczenie nocne, poważne trudności w szkole, nadużycia.

Wyraźnie widać w tym aspekt psychoseksualny. Sprawcy mają trudności z odnoszeniem się do seksu w zdrowy sposób. Muszę przyznać, że w pierwszej chwili byłam rzeczniczką tezy, że w naszym przypadku chodzi o wandalizm, i jeszcze nie odrzuciłam jej zupełnie, ale są pewne sprawy związane z dziejami Arizkun – dla tych, którzy ich nie znają, Jonan przygotował raport na temat podłoża historycznego – które nie pozwalają wykluczyć, że może chodzić o atak na społeczeństwo, możliwe, że w początkowej fazie.

Jest jeszcze inny typ profanatora, który w tym przypadku odrzucamy, a mianowicie złodziej dzieł sztuki. Ludzie ci zakradają się do świątyń, które wcześniej dokładnie zbadali, nie robią poważnych szkód, zabierają jedynie przedmioty o dużej wartości. Zwykle pracują na zlecenie, są sprawni i nigdy nie działają gwałtownie ani niechlujnie.

– Zgadzam się – wtrącił się komisarz. – Jakie działania zostały podjęte?

Iriarte otworzył notes i zaczął czytać.

– Na razie postawiliśmy na stałe samochód patrolowy u wejścia do kościoła. Wydaje się, że to trochę uspokoiło parafian. Niektórzy podchodzili do patrolujących policjantów i dziękowali za interwencję. Od tamtej nocy nie doszło do żadnego incydentu.

– Czy przesłuchano sąsiadów? Ludzi mieszkających najbliżej kościoła? – spytała Amaia.

– Tak, ale nikt nic nie widział ani nie słyszał. A przecież w nocy w Arizkun panuje całkowita cisza. Odgłosy rąbania siekierą ławki na szczapy musiały być dość wyraźne.

– Mury kościoła są bardzo grube, stłumiły rąbanie. Ściany domów też do cienkich nie należą, a w zimowy lodowaty poranek okna i okiennice z pewnością były szczelnie pozamykane.

Iriarte potwierdził.

– Przyjrzelśmy się także kilku grupom młodych ludzi z okolicy. Szukaliśmy aktywnych i wykazujących się postawą społeczną, ale bez efektów. Młodzież z Arizkun jest raczej spokojna, czasem trochę niezależna, ale dla większości,

wierzących czy nie, ten kościół jest symbolem Arizkun.

– A sprawa agotów? – spytała Amaia.

Iriarte sapnął z irytacją.

– Szefowo, to bardzo delikatny temat. Dla większości mieszkańców Arizkun to nadal jedna z tych rzeczy, o których wola nie mówić. Mogę panią zapewnić, że nadal, jeśli ktoś z zewnątrz pojawia się w Arizkun i wypytuje o agotów, natyka się na nieprzekraczalną barierę milczenia.

– Krąży o tym kilka anegdot – włączył się Zabalza. – Mówią, że przed kilkoma laty do Arizkun przyjechał znany pisarz, który miał zamiar napisać książkę o agotach, ale musiał zrezygnować, bo ludzie odpowiadali na jego pytania, jakby byli śłabi na umyśle. Inni twierdzili, że w życiu o czymś takim nie słyszeli, że to tylko legendy i że nic takiego nigdy nie miało miejsca. Podobno także sam wielki Camilo José Cela był zainteresowany agotami i rezultat osiągnął taki sam.

– To właśnie moi krajanie – uśmiechnęła się Amaia.

– Przypuszczam, że to się zmieni, kiedy do głosu dojdą nowe pokolenia. Większość młodych jest dumna ze swoich korzeni, ale nie obciąża się zaszłościami, jak starsi. Powiedziałam wczoraj Jonanowi, że dzieje prześladowań agotów nie różnią się znacząco od tego, co w tamtych czasach spotykało Żydów i muzułmanów. Prześladowania dotyczyły także kobiet. Nawet szlachcianki były zmuszane do zawierania niechcianych małżeństw albo pod przymusem zamykane w klasztorach. Było wiele podziałów między ludźmi, ze względu na wyznanie, płeć, pochodzenie, sytuację ekonomiczną... No cóż, teraz nie jest inaczej...

– Może ma pani rację. Większość młodzieży czasy poprzedzające wojnę domową postrzega jako coś w rodzaju czwartorzędu, ale i tak musimy być ostrożni, żeby nie ranić uczuć przewrażliwionych mieszkańców Arizkun.

– Tak właśnie będziemy postępować – zapewniła Amaia.

– Jeszcze dzisiaj wieczorem przeniosę się do Elizondo i zostanę tam na kilka dni. Pokieruję śledztwem.

Komisarz kiwnął głową z aprobatą.

– Jonan zajmie się szukaniem w internecie grup aktywistów

antykatolickich. Prześledzi też wszystko, co może być powiązane z agotami i z rzeczami uszkodzonymi podczas tych ataków. Chciałabym się spotkać z proboszczem i z kapłanem z Arizkun, z każdym oddzielnie, bo nie możemy odrzucić możliwości, że te postęпки to zemsta na którymś z nich. Nie zapominajmy o niedawnym głośnym przypadku kradzieży Kodeksu Kalikstyńskiego z katedry w Santiago de Compostela, która okazała się osobistą zemstą byłego kościelnego na dziekanie świątyni. Tak więc zanim zaczniemy tworzyć teorie o historycznym i mistycznym podłożu tego, co się dzieje w Arizkun, powinniśmy przesłuchać zamieszane w sprawę osoby, jak podczas każdego innego śledztwa. Mam kilka pomysłów, które chciałabym rozwinąć. Na razie to wszystko.

- Pożegnała się, wstała i wyszła z sali w ślad za komisarzem.
- Widzimy się jutro rano w Elizondo.

Raport, który trzymał ją na nogach do trzeciej nad ranem, leżał na biurku komisarza. Wpatrzyła się w kartonowe okładki. Usiłowała dostrzec jakiś ślad tego, że został przeczytany.

- Panie komisarzu, miał pan czas zapoznać się z moim raportem?

Komisarz odwrócił się do niej i milczał kilka sekund, zamyślony i znieruchomiał, a potem odpowiedział:

- Tak, pani inspektor Salazar. Jest bardzo wyczerpujący.

Amaia zastanawiała się, co ma znaczyć ta beznamiętna odpowiedź i czy to dobrze, czy źle, że komisarz uznał raport za wyczerpujący.

Po następnych kilku sekundach milczenia jej szef nagle przemówił:

- Wyczerpujący i niezwykle interesujący. Wiem, dlaczego zwróciła pani uwagę na opisane w nim sprawy. Rozumiem, że porucznik Padua z Gwardii Cywilnej doszukał się poszlak, ale zgadzam się z jego przełożonymi i gdyby przedstawiła mi pani ten raport przed tygodniem, odpowiedziałbym pani to samo, co jego szefowie odpowiedzieli jemu. Poszlaki są wyraźne, ale dość naciągane. Część z nich można by przypisać przypadkowi. Do tego o wiele częściej, niż się sądzi, więźniowie komunikują się ze sobą i opowiadają sobie o swoich postępkach. – Przerwał

na chwilę i usiadł wygodniej. – Ale to oczywiste, że to, co się stało wczoraj, nadaje tej historii nowy sens. Najistotniejsze jest to, że Quiralte wmieszał w nią panią, decydując się wyjawić jedynie pani, gdzie są zwłoki. Długo nad tym myślałem, inspektor Salazar, ale nie doszedłem do jednoznacznych wniosków. Wszystkie te sprawy są oficjalnie zamknięte. Wszyscy zabójcy są martwi, popełnili samobójstwo. To kilka oddzielnych spraw, które toczyły się w różnych prowincjach i były prowadzone przez różne służby policyjne, a pani domaga się ode mnie, żebym wszczął śledztwo.

Amaia nie odezwała się. Wytrzymała jego spojrzenie.

– Wierzę w panią, mam zaufanie do pani instynktu i wiem, że jest coś, co zwróciło pani uwagę... ale nie widzę wystarczających powodów, żeby zezwolić na otwarcie dochodzenia, które będzie deptaniem po odciskach innym służbom policyjnym i pretekstem do sporów o kompetencje.

Przerwał, a Amaia wstrzymała oddech.

– Chyba że ma pani w zanadrzu coś jeszcze...

Amaia uśmiechnęła się. Ten facet nie przez przypadek został komisarzem. Wyciągnęła z wewnętrznej kieszeni żakietu kopertę w plastikowej teczce i podała mu ją.

– Jasón Medina miał tę kopertę przy sobie, kiedy się zabił w sądowej toalecie.

Wyciągnął rękę, popatrzył poprzez plastik i przeczytał nazwisko adresata.

– To list do pani! – zawołał zdumiony. Otworzył szufladę, najprawdopodobniej szukał rękawiczek.

– Może pan spokojnie dotykać. Została zbadana i nie znaleziono żadnych odcisków.

Komisarz wyciągnął z opakowania kopertę, a z niej kartkę. Przeczytał i spojrzał na Amaię.

– Dobrze – powiedział. – Zgadzam się, żeby podjęła pani śledztwo. Dlatego, że dwóch zabójców zwróciło się bezpośrednio do pani.

Amaia skinęła głową.

– Będzie pani musiała być bardzo ostrożna i oczywiście uzyskać zgodę sędziego Markiny, choć nie sądzę, żeby były

z tym trudności. Wydaje się być pod wielkim wrażeniem pani talentów śledczych. Nie dalej jak dzisiaj rano zadzwonił do mnie, żeby omówić sprawę Lucíi Aguirre, i wprost rozplęwał się w pochwałach pod pani adresem. Nie życzę sobie konfliktów z innymi służbami policyjnymi, więc muszę panią prosić, żeby była pani tak uprzejma i zręczna, jak tylko się da.

– Zrobił teatralną pauzę. – A w zamian oczekuję postępów w sprawie kościoła w Arizkun.

Amaia skrzywiła się, zniechęcona.

– Wiem, co pani o tym myśli, ale to dla nas bardzo ważne. Musimy jak najszybciej rozwiązać tę sprawę. Dziś rano dzwonił do mnie burmistrz i był bardzo zaniepokojony.

– Najprawdopodobniej sprawcami okażą się chuligani.

– No to proszę ich zatrzymać i podać mi ich nazwiska. Chciałbym, żeby arcybiskup przestał wywierać naciski. Coś mi się wydaje, że duchowni są tą sprawą bardzo przejęci. Zdarzały się już różne profanacje, nawet bardziej widowiskowe, ale nie przejmowali się nimi aż tak. Zgadzam się z panią, że okazali się okropnie przeculeni.

– No dobrze. Przyłożę się solidnie. Jak pan komisarz wie, ustawiliśmy pod drzwiami kościoła stały patrol. Wyobrażam sobie, że to powinno schłodzić nastroje i że sprawcy zostawią kościół w spokoju.

– Byłoby świetnie – przyznał.

Amaia podniosła się i ruszyła do drzwi.

– Dziękuję panu.

– Proszę poczekać, inspektor Salazar, jest jeszcze coś.

Amaia zatrzymała się w pół kroku.

– Minał już rok, odkąd inspektor Montes został zawieszony po tym, co się stało podczas śledztwa w sprawie basajauna. Komisja, która rozpatrywała jego sprawę, zaleciła, żeby wrócił na służbę. Jak pani wie, żeby to było możliwe, inspektor Montes musi otrzymać pozytywne opinie od wszystkich zainteresowanych funkcjonariuszy, w tym przypadku od inspektora Iriartego i od pani.

Amaia nie odezwała się. Czekwała, co będzie dalej.

– Okoliczności się zmieniły. Wtedy była pani inspektorem

wyznaczonym do kierowania tą sprawą, obecnie jest pani szefową wydziału zabójstw. W związku z czym inspektor Montes będzie pani podwładnym, tak jak pozostali pracownicy wydziału. Jeśli zdecyduje pani, że należy go przyjąć, może go pani wziąć do swojego zespołu albo do innego, ale tak czy owak musi pani podjąć ostateczną decyzję. Pani zespół jest dość przerzedzony i jeśli nie chce pani Montesa, to będzie pani musiała przyjąć kogoś innego na stałe.

– Pomyślę o tym – odpowiedziała zimno.

Komisarz zauważył jej wrogie nastawienie.

– Pani inspektor, nie mam zamiaru wpływać na pani decyzję, tylko panią informuję.

– Dziękuję, panie komisarzu – odparła.

– Może pani iść.

Amalia zamknęła za sobą drzwi i mruknęła:

– Tak, pewnie.

Było popołudnie. Nawarski Instytut Medycyny Sądowej opustoszał. Dużo wolnych miejsc na parkingu świadczyło o tym, że jest pora obiadu. Nieśmiałe promienie słońca przebijające się przez chmury rozświetlały kałuże pozostałe po deszczu, który spadł przed godziną. Kiedy podjechała pod budynek, zobaczyła, że ktoś jednak na nią czeka. Nie zaskoczyło jej to. Skorzystała ze sztuczki mnemotechnicznej – „jak siostry Łazarza” – żeby sobie przypomnieć imiona dwóch kobiet, które, gdy tylko ją ujrzały, zgasiły papierosy i podeszły bliżej.

– Marto, Marío – przywitała się. – Nie powinnyście były tu przychodzić – powiedziała, z góry wiedząc, że nie ma innego miejsca, gdzie mogłaby być rodzina w takiej chwili, i że zostaną tam, pod drzwiami albo w maleńkiej poczekalni, aż do chwili, kiedy ich najbliższa osoba zostanie im zwrócona. – Lepiej byłoby, gdybyście zostały w domu. Zostaniecie powiadomione, kiedy... – Słowa „sekcja zwłok”, obciążone swym ponurym znaczeniem, od zawsze były dla niej nie do wymówienia przy rodzinie zmarłego. To, że to tylko słowa, że rodziny wiedziały, po co przychodzą, że niektórzy krewni bez ogródek sami tak mówili, nic nie zmieniało. Dla niej, w pełni świadomej, co te

słowa oznaczają, wymawianie ich raniło tak samo jak skalpel rozcinający ciało w literę Y. – Kiedy skończą się wszystkie badania – dokończyła.

– Pani inspektor – powiedziała starsza z kobiet. Amaia nie była pewna, czy to Marta, czy Maria. – Rozumiemy, że trzeba zrobić sekcję zwłok, bo mama zmarła gwałtowną śmiercią, ale dzisiaj powiedziano nam, że może minąć jeszcze kilka dni, zanim nam oddadzą... no, ciało.

Jej siostra zaczęła płakać i usiłując powstrzymać łkanie, wydawała zduszone odgłosy, jakby się dusiła.

– Proszę mi powiedzieć dlaczego. Przecież już wiecie, kto ją zabił. Wiecie już, co jej zrobiła ta bestia. A teraz on też już nie żyje i, niech mi Bóg wybaczy, cieszę się z tego, bo umarł tak straszną śmiercią, na jaką zasłużył...

Z jej oczu także płynęły wielkie łzy. Ze złością otarła je z twarzy, bo w odróżnieniu od siostry płakała z wściekłości.

– A jednocześnie wolałabym, żeby żył, żeby gnął w więzieniu. Czy pani mnie rozumie? Chciałabym go zabić własnymi rękami, chciałabym mu zrobić to wszystko, co on zrobił mojej matce.

Amaia skinęła głową.

– Nawet gdyby to było możliwe, nie poczułabyś się lepiej.

– Nie chcę się czuć lepiej, pani inspektor, nie sądzę, żeby coś na tym świecie mogło sprawić, żebym się poczuła lepiej. Po prostu chciałabym móc go skrzywdzić, tylko tyle.

– Nie mów tak – poprosiła jej siostra.

Amaia położyła jej rękę na ramieniu.

– Nie, nie zrobiłabyś tego. Wiem, że myślisz, że owszem, że tego właśnie chcesz, i w gruncie rzeczy to zrozumiałe, ale ty nie zrobiłabyś nikomu czegoś takiego. Wiem, że nie.

Kobieta wpatrzyła się w nią z rozpaczą i Amaia zorientowała się, że jest o krok od kompletnego załamania.

– Jak pani może być taka pewna?

– Bo żeby coś takiego zrobić, trzeba być takim człowiekiem jak on.

Kobieta zakryła usta ręką. Amaia zobaczyła na jej twarzy przerażenie i wiedziała, że rozumiała.

Druga dziewczyna wydawała się słabsza i bardziej bezbronna. Objęła siostrę, położyła jej rękę na szyi i łagodnym ruchem – nie napotkała oporu – położyła sobie głowę siostry na ramieniu, w geście pocieszenia i czułości. Amaia była pewna, że nauczyła się tego od matki.

– Kiedy ją nam oddadzą? Myślałyśmy, że zaraz po sekcji. Po co z tym zwlekać?

– Nasza matka pięć miesięcy leżała opuszczona na zlodowaciałym polu. Chcemy teraz mieć czas, czas na pożegnanie, czas na pogrzeb.

Amaia wnikliwie przyglądała się siostrze, oceniała, jak bardzo są odporne psychicznie. Musiała to wziąć pod uwagę. Rodziny zaginionych wykazywały ogromną siłę ducha, podsycaną nadzieją, że ich bliscy jednak żyją, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu i wbrew poszlakom, które wskazywały na najgorsze. Ale w chwili, kiedy odnajdywano ciało, cała ta energia, która utrzymywała osierocone rodziny w pionie, zniknęła jak zamek z piasku zdmuchnięty przez burzę.

– Dobrze, posłuchajcie mnie i weźcie pod uwagę, że to, co wam powiem, jest objęte tajemnicą, więc liczę, że zachowacie dyskrecję.

Obydwie patrzyły na nią wyczekująco.

– Byłam z wami szczerą od samego początku, od kiedy poprosiłyście mnie, żebym znalazła waszą matkę, bo byłyście przekonane, że nie zniknęła z własnej woli. Informowałam was krok po kroku. A teraz musicie mi nadal ufać. Dowiedziono, że waszą matkę zamordował Quiralte, ale nie jestem pewna, czy działał sam.

Siostry wyglądały na zaskoczone.

– Miał współnika?

– Tego jeszcze nie jestem pewna, ale ta sprawa przypomina mi inną, w której brałam udział jako doradca. Prowadzący tamtą sprawę podejrzewali, że był w nią zamieszany ktoś jeszcze. Zajmowały się nią inne służby policyjne, więc musimy porównać różne poszlaki. Śledztwo może trwać dość długo i może być żmudne. Już jest w toku, ale to może potrwać jeszcze kilka godzin albo nawet dni, nie wiem na pewno.

Rozumiem, że to dla was bardzo trudne, ale wasza mama nie leży już na zamarznętym polu, jest tutaj, jest po to, żeby nam pomóc rozwiązać sprawę zbrodni, której padła ofiarą. Będę z nią, tam, w środku, i zapewniam was, że nikt nie traktuje ofiar z takim szacunkiem jak ci, którzy się zajmują medycyną sądową. Wierzcie mi, wysłuchują wszystkiego, co ofiary mogą powiedzieć, są głosem ofiar.

Z ich zrezygnowanych min wywnioskowała, że je przekonała. Chociaż nie musiała uzyskać ich oficjalnej zgody ani dostać pozwolenia na sekcję, było jej to na rękę. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała, była oburzona rodzina przeszkadzająca jej w pracy.

– Możemy chociaż odprawić mszę żałobną za jej duszę?
– mruknęła Marta.

– Oczywiście, to wam pomoże. Wiecie, że ona by sobie tego życzyła.

Podawała im szczerym gestem rękę. Obie ją uściśniły.

– Pracuję nad tym, postaram się przyspieszyć bieg spraw i... jak tylko to będzie możliwe... powiadomię was.

Przebrała się w fartuch i weszła do prosektorium. Doktor San Martín, pochylony nad stalowym pulpitem, wskazywał coś na ekranie komputera dwójce pomocników.

– Dzień dobry. Przychodzę w porę? – przywitała się.

– Dzień dobry. W porządku, jesteśmy już po obiedzie
– odpowiedział technik.

Amaia ukryła niedowierzanie, które już zaczęło się malować na jej twarzy. Miała wyjątkowo twardy żołądek i byle co jej nie brzydziło, ale wyobrazenie sobie tych trzech osób zabierających się do autopsji tuż po smacznym posiłku wydało się jej... no cóż, jakoś niewłaściwe.

San Martín zaczął wkładać lateksowe rękawiczki.

– Świetnie, pani inspektor, proszę tylko powiedzieć, od kogo zaczynamy.

– Jak to od kogo? – spytała zmieszana.

– Od Lucii Aguirre – odparł, wskazując na ciało leżące na stole i przykryte prześcieradłem – czy od Ramóna Quiraltego
– dodał, machając ręką w kierunku stołu stojącego w pewnym

oddaleniu, na którym leżały zwłoki jeszcze niewyjęte z worka przeznaczonego do transportu.

Amaia popatrzyła na niego zdumiona.

– Obydwie autopsje są przewidziane na dzisiaj. Zaczniemy od tej, którą pani wybierze.

Amaia podeszła do worka z ciałem Quiraltego, rozsunęła zamek błyskawiczny i przyjrzała się twarzy zmarłego. Śmierć wymazała wszelkie ślady wątpliwej atrakcyjności, którą się chełpił za życia. Wokół oczu widniały wielkie wybroczyny, które świadczyły o tym, że naczynia krwionośne popękały z wysiłku, kiedy zwymiotował. Usta były wpółotwarte, zastygłe w spazmie, ukazywały zęby i koniec języka, który – tak jak i wargi – cały był pokryty białawą powłoką. Oparzenia żrącą substancją widać było na opuchniętych wargach, pokrytych jeszcze resztkami wymiocin. Rozlały się w stronę ucha, tworząc zaschnięte, brudne skorupy we włosach. Amaia popatrzyła na ciało kobiety i pokręciła głową. Ofiara i kat o dwa metry od siebie, w tej samej sali, najprawdopodobniej nawet ten sam skalpel otworzy ich klatki piersiowe.

– Nie powinno go tu być – pomyślała na głos.

– Co pani powiedziała? – spytał San Martín.

– Nie powinien tu być... Z nią.

Technicy patrzyli na nią ze zdziwieniem.

– Nie powinni tu być razem – wyjaśniła, wskazując na drugie ciało.

– Nie sądzi pani, że jest to już całkiem obojętne?

Popatrzyła na nich i pojęła, że nie ma sensu im tego wyjaśniać, bo i tak nie będą w stanie zrozumieć.

– Nie jestem tego taka pewna – szepnęła sama do siebie.

– No dobrze, to na kogo się pani decyduje?

– Ten tu zupełnie mnie nie interesuje – odparła zimno.

– Samobójstwo i koniec. – Zaciągnęła zamek i twarz Quiraltego znikła.

San Martín wzruszył ramionami i odsłonił ciało kobiety. Amaia stanęła przy stole, skłoniła głowę do krótkiej modlitwy i dopiero potem spojrzała na zwłoki. Ledwie mogła rozpoznać w tym nagim, rozebranym z biało-czerwonego swetra trupie tę

radosną niegdyś kobietę, której uśmiechnięty portret wisiał nad wejściem do jej domu. Zwłoki zostały umyte, ale były pokryte tyłoma śladami uderzeń, sińców i ran, że wydawały się brudne.

– Doktorze – powiedziała do San Martína – muszę pana prosić o przysługę. Wiem, że jest pan bardzo drobiazgowy i trzyma się procedur, ale to, czym naprawdę jestem zainteresowana, to, jak się pan domyśla, amputacja. Zdobyłam zdjęcia kości znalezionych w jaskini pod Elizondo przez Gwardię Cywilną. – Pokazała mu grubą kopertę. – Póki co to jedyne, co mi udostępnili, i chciałabym, żeby pan porównał ślady w miejscach przecięcia kości. Gdybyśmy mogli stwierdzić, że między tą sprawą a sprawą Johany Márquez jest jakiś związek, sędzia śledczy wydałby zezwolenie na następne posunięcia, które mogą nas do czegoś doprowadzić. Spotkam się z nim dzisiaj wieczorem i mam nadzieję, że będę dla niego miała coś więcej niż domysły.

San Martín skinął głową.

– Zgoda. Zaczynamy.

Zapalił mocną lampę i oświetlił ciało. Obejrzał przez lupę okaleczoną rękę i sfotografował uraz. Potem nachylił się tak nisko, że niemal musnął nosem ranę.

– Czyste cięcie, *post mortem*. Serce już nie pracowało i krew zaczynała krzepnąć. Zostało wykonane zębatym narzędziem, czymś podobnym do elektrycznej piły do drewna, ale są różnice. Przypomina mi zdecydowanie sprawę Johany Márquez, bo tam też sposób wykonania cięcia nasuwał myśl o nożu elektrycznym albo ręcznej pile tarczowej. W tamtej sprawie uznano, że sprawcą był ojczym, więc nie drażono tematu narzędzia. Zabrano kilka narzędzi z jego domu i samochodu. Nic to nie dało.

Amalia włożyła do przeglądarki zdjęcia, które dostała od Padui, i zapaliła białe światło. San Martín dodał zdjęcie, które właśnie wypluła drukarka.

Wpatrywał się w nie dłuższą chwilę, zmieniał układ, a nawet nakładał jedne na drugie, wydając niemal niesłyszalne rytmiczne pomruki, które doprowadzały Amalię do szału

i wywołały kpiące komentarze pomocników.

– Czy może pan stwierdzić, że wszystkie cięcia zostały wykonane tym samym narzędziem? – Amaia przerwała pogrążonemu w myślach lekarzowi.

– Och! Posunąłbym się za daleko. Mogę natomiast zapewnić, że wszystkie zostały wykonane tą samą techniką, wszystkie przez osobę praworęczną, z podobną pewnością i siłą.

Amaia popatrzyła na niego z niezadowoleniem.

– Chociaż – uśmiechnął się, kiedy zobaczył w jej oczach błysk nadziei – na podstawie zdjęć nie jestem w stanie określić wieku ani płci osób, do których należały te kości, mogę potwierdzić, że wszystkie są kośćmi osób dorosłych. To nagie kości, bez resztek tkanki, i na oko nie mogę stwierdzić, jak długo tam leżały, i oczywiście nie mogę ze zdjęcia wywnioskować, czy zostały odcięte od ciała osoby żyjącej, czy pochodzą na przykład ze sprofanowanego grobu. To, co jest niewątpliwe, to to, że na pierwszy rzut oka cięcia są bardzo podobne. No i wszystko to są kości przedramion... Ale żeby stwierdzić coś z całą pewnością, musiałbym dysponować narzędziem, którym się posłużono. Moglibyśmy zrobić odlewy, zeskanować je i nałożyć na siebie. Przykro mi, pani inspektor, nic więcej nie dam rady wycisnąć z tych zdjęć. Byłoby inaczej, gdybyśmy mieli próbki.

– Gwardia Cywilna ma własne laboratorium i tam właśnie je trzymają, a wie pan doskonale, jak niechętnie dzielą się informacjami. Od lat powtarzam, że dopóki nie zostanie utworzona niezależna brygada kryminalna, w której skład wejdą członkowie wszystkich formacji policyjnych, a nawet ludzie z Interpolu, i dopóki wszyscy nie będą mogli korzystać z jednego laboratorium, dochodzenia w sprawach kryminalnych nadal będą przypominały zabawę w ciuciubabkę – powiedziała Amaia. – Na szczęście istnieją tacy policjanci jak Padua, którym naprawdę zależy na wyjaśnianiu spraw, a nie na kolekcjonowaniu zasług.

Znów nachyliła się nad ciałem – jak chwilę wcześniej doktor San Martín – żeby z bliska przyjrzeć się okaleczonej ręce.

Tkanki były zapadnięte i posiekane, bardzo zeschnięte. W porównaniu z resztą ciała wydawały się bardzo jasne, niemal

odbarwione. Właśnie oglądała drobne rysy zostawione przez ostrze na przekroju kości, gdy wydało jej się, że widzi wbity w kość ciemny, ostry odprysk.

– Doktorze? Proszę tu podejść. Co pan o tym sądzi?
– odsunęła się i podała mu lupę.

– Nie zauważyłem tego. Bardzo dobrze, Salazar – powiedział z zadowoleniem. – Przypuszczalnie jest to odłamek kości, który się odszczepił, kiedy odcinano rękę – stwierdził i wyciągnął ten drobny fragment pęsetą.

Obejrzał przez lupę i włożył do szalki mały trójkącik, który, upadając, brzęknął niewątpliwie metalicznie. Natychmiast włożył go pod mikroskop i z zadowoleniem popatrzył na Amaię. Odstąpił jej miejsce przy okularze.

– Szefowo Salazar, to, co tutaj mamy, to ząb metalowej piły. Piły, którą amputowano przedramię tej kobiety. Jeśli zrobimy model na podstawie tego zęba, z dużym prawdopodobieństwem będziemy mogli ustalić, co to za narzędzie. Od pani zręczności będzie zależeć, czy przekona pani sędziego Markinę, że trzeba przeprowadzić badania, żeby stwierdzić, czy tą samą pilą przecięto kości znalezione w jaskini pod Elizondo. A teraz, jeśli pani pozwoli, wracam do pracy.
– Mówiąc to, podał szalkę z próbką technicznie. Natychmiast zabrała się do pracy.

Inmaculada Herranz była jedną z tych kobiet, które próbują się przypodobać innym ludziom starannie dobraną mieszaniną uprzejmości i służalczości. Nie miała męża ani dzieci, była niepozorna i skrępowana do tego stopnia, że Amaia zawsze myślała o niej jako o brzydkiej gejszy. Mówiła cicho i odwracała wzrok, żeby nie dać po sobie poznać, że patrzy krzywo, gdy coś jej się nie podoba. Amaia nigdy jej nie lubiła, mimo – a raczej z powodu – jej sztucznej poprawności. Przez sześć lat była sprawną i zawsze dyspozycyjną sekretarką sędzi śledczej Estébanez, która jednak bez najmniejszego wahania zostawiła ją w dotychczasowym miejscu pracy, kiedy zaoferowano jej awans do Sądu Najwyższego. Zabrała natomiast ze sobą sekretarza, który zwykł jej towarzyszyć podczas wizji lokalnych.

Początkowe rozczarowanie Inmaculady zastąpiła radość, kiedy wolne stanowisko zajął sędzia śledczy Markina, choć od tej chwili zmuszona była przeznaczać większą część swego wynagrodzenia na ubrania i perfumy, żeby zwrócić na siebie jego uwagę. Nie była w tym zresztą osamotniona. Wkrótce po sądach zaczęły krążyć dowcipy o tym, że urzędniczki nagle zaczęły używać więcej szminki i dużo częściej chodzić do fryzjera.

Amaia wybrała numer do gabinetu Markiny w drodze do samochodu. Podniosła komórkę do ucha, jednocześnie usiłując znaleźć w kieszeniach kurtki okulary przeciwsłoneczne, żeby ochronić oczy przed rażącymi błyskami słońca odbijającego się w kałużach. Oczekiwała, że usłyszy miódopłynny głos sekretarki.

– Dzień dobry, Inmaculado, tu inspektor Salazar z wydziału zabójstw Policji Statutowej. Proszę mnie połączyć z sędzią śledczym.

Zaskoczył ją zimny i karcący ton sekretarki, tak dla niej nietypowy.

– Jest w pół do trzeciej i, jak pewnie się pani domyśla, sędziego Markiny nie ma w biurze.

– Wiem, która jest godzina. Właśnie wyszłam z prosektorium i wiem z całą pewnością, że sędzia Markina czeka na wyniki sekcji. Prosił, żebym zadzwoniła...

– Aha... – mruknęła Inmaculada.

– To dziwne, że zapomniał. Nie wie pani, czy jeszcze wróci?

– Nie, nie wróci. Jasne, że nie zapomniał. – Zawiesiła głos na kilka sekund, a potem dodała: – Zostawił numer i prosi o telefon.

Amaia czekała w milczeniu, rozbawiona niezręczną wrogością sekretarki. Westchnęła głośno, żeby zademonstrować, że jej cierpliwość się kończy, i spytała:

– No dobrze, Inmaculado. Podasz mi ten numer czy będę musiała się postarać o nakaz sądowy? No nie, przecież właśnie czymś w tym rodzaju dysponuję!

Inmaculada nie odpowiedziała, ale Amaia mogła ją sobie wyobrazić na drugim końcu linii, zaciskając usta i mrużąc oczy z fałszywą pokorą, charakterystyczną dla kobiet bojaźliwych i wycofanych. Wyrecytowała numer, jeden raz, i bez pożegnania odłożyła słuchawkę.

Amaia ze zdziwieniem popatrzyła na telefon. Do licha z tą cichą wodą! – pomyślała. I natychmiast wystukała podany numer.

Sędzia Markina czekał na telefon.

– Tak właśnie myślałem, że to pani dzwoni. Widzę, że sekretarka przekazała pani mój numer.

– Przepraszam, że przeszkadzam poza miejscem urzędowania, panie sędzio, ale właśnie skończyła się sekcja zwłok Lucii Aguirre i są przesłanki, według mojego rozeznania wystarczające, żeby pomyśleć o wszczęciu śledztwa. Raport lekarza sądowego jest jednoznaczny. Mamy też nowe, decydujące poszlaki.

– Mówi pani, że należy wznowić sprawę? – zapytał z powątpiewaniem.

Amaia zmusiła się do rozwagi.

– Nie śmiałybym pana pouczać, jak ma pan wykonywać swoją

pracę. Poszlaki wskazują raczej na nową linię śledztwa, ale niesprzeczną z poprzednią. Ani lekarz sądowy, ani my nie wątpimy, że zabójcą był Quiralte, ale...

– Dobrze – przerwał jej sędzia i przez kilka sekund wydawał się zastanawiać. Ton jego głosu wskazywał na to, że udało jej się go zaciekawić. – Proszę do mnie przyjść i wyjaśnić to wszystko. I proszę nie zapomnieć o raporcie z sekcji.

Amalia popatrzyła na zegarek i spytała:

– Będzie pan wieczorem w biurze?

– Nie, jestem za miastem, ale o dziewiątej będę jadł kolację w restauracji El Rodero. Proszę się ze mną tam spotkać. Porozmawiamy.

Wyłączyła telefon i znów spojrzała na zegarek. O dziewiątej będzie już miała raport doktora, ale James będzie musiał wyjechać wcześniej z Ibaiem, żeby dotrzeć do Elizondo w porze odpowiedniej dla niemowlęcia. Ona dojedzie później, po spotkaniu z sędzią. Westchnęła i wsiadła do samochodu. Jeśli się teraz pospieszy, może jeszcze zdąży na karmienie o trzeciej.

Ibai popłakiwał, od czasu do czasu pokrzykiwał i wzdychał. Wyrażał niezadowolenie, ale i tak między jednym protestem a drugim z furią ssał smoczek. James, trzymając go na rękach, próbował nie dopuścić, żeby wytrącił mu z rąk butelkę. Uśmiechnął się niewesoło, kiedy zobaczył ją w drzwiach.

– Już od dwudziestu minut tak się męczymy i udało mi się mu wmusić zaledwie dwieście mililitrów. Ale robi postępy.

– Chodź do mamusi, *maitea* – powiedziała, wyciągając ręce, a James podał jej synka. – Tęskniłeś za mną, kochanie? – wypytywała, całując twarzyczkę dziecka i uśmiechając się na widok tego, jak próbuje ssać swoją bródkę. – Tak mi przykro, maleńki, *ama* dzisiaj przyszła późno, ale już jest. Już jestem.

Usiadła w fotelu z synkiem w objęciach i przez następne pół godziny zajmowała się tylko nim. Po zaspokojeniu pierwszego głodu Ibai leżał spokojny i zadowolony, a ona głaskała go po główce. Przeciągała końcem palca wskazującego po jego maleńkiej ślicznej twarzyczce i z zachwytem patrzyła w przejrzyste, błyszczące oczy, które wpatrywały się w jej twarz, tak czarująco i uważnie jak oczy najzuchwalszego kochanka.

Kiedy skończyła karmić, zniosła go do pokoju, który urządziła Clarice. Zmieniła mu pieluszkę, wbrew sobie przyznając, że meble są wygodne i – mimo że Ibai nadal spał w ich sypialni – okazały się bardzo przydatne, a potem, trzymając go na rękach, zaczęła cichutko nucić kołysankę. W końcu zasnął.

– To niedobrze przyzwyczajając go do takiego usypiania – szepnął James za jej plecami. – Lepiej położyć go do kołyski, żeby się uspokoił i zasnął sam.

– Będzie na to miał całe życie – odpowiedziała z urazą. Przemyślała to i zmieniła ton: – Pozwól mi go rozpieszczać, James. Wiem, że masz rację, ale tak okropnie za nim tęsknię... i chyba chcę, żeby on tęsknił za mną.

– Oczywiście, że tęskni, głuptasku – powiedział. Wziął od niej śpiące dziecko, położył do łóżeczka i przykrył kocykiem, a potem znów spojrział na żonę. – Ja też za tobą tęsknię, Amaio.

Ich spojrzenia się spotkały i przez chwilę miała ochotę schronić się w jego ramionach, chciała, żeby ją zamknął w uścisku, który stał się symbolem ich jedności, ich uczucia. Pragnęła kontaktu, który zawsze dawał jej pewność, że jest rozumiana i otaczana opieką. Ale trwało to zaledwie dwie sekundy i poczuła się sfrustrowana. Była zmęczona, nic przez cały dzień nie jadła, wróciła właśnie z prosektorium... Na Boga! Musiała biegać po całym mieście z miejsca na miejsce, zamiast spokojnie cieszyć się dzieckiem, a jedyne, co Jamesowi przychodzi do głowy, to to, że za nią tęskni! Sama za sobą tęskniła! Nie pamiętała już, kiedy zdarzyło jej się mieć choć pięć minut dla siebie. Znienawidziła go za tę minę cierpiętnika, za błagalne spojrzenie. To w niczym nie pomagało, nic a nic. Wyszła z pokoju. Była zdenerwowana i jednocześnie świadoma, że jest niesprawiedliwa. James był wzorem ojca i tak dobrym i wyrozumiałym człowiekiem, jakiego pragnęłaby każda kobieta, ale jako mężczyzna był o miliony lat świetlnych od zrozumienia, jak ona się czuje, i to ją wyprowadzało z równowagi.

Weszła do kuchni – wiedziała, że pójdzie za nią – i starała się uniknąć jego wzroku. Zrobiła sobie kawę z mlekiem.

– Jadłaś coś? Pozwól, że coś ci zrobię – powiedział, idąc do

lodówki.

– Nie, James, dziękuję – powiedziała, siadając z kawą u szczytu stołu i wskazując mu, żeby usiadł obok. – Posłuchaj, James, okazało się, że muszę się spotkać z sędzią śledczym, który nadzoruje prowadzoną przeze mnie sprawę. Termin został już wyznaczony, sędzia może się ze mną zobaczyć późnym wieczorem, kiedy będę miała raport z sekcji zwłok. To bardzo ważne...

Skinął głową.

– Możemy pojechać do Elizondo jutro.

– Nie, chcę tam być z samego rana. Musielibyśmy wstać za wcześnie, więc pomyślałam, że mógłbyś pojechać dzisiaj sam z Ibaiem i spokojnie zainstalować się u ciotki. Nakarmię go przed waszym wyjazdem i zdążę dojechać do Elizondo na następne karmienie.

James przygryzł górną wargę. Dobrze to знаła i wiedziała, że robi tak, kiedy coś idzie nie po jego myśli.

– Amaio, właśnie o tym chciałem z tobą pomówić...

Patrzyła na niego w milczeniu.

– Sądzę, że ta konieczność dostosowywania się do pór karmienia... – widać było, że szuka właściwych słów – jest nie do pogodzenia z twoją pracą. Może nadszedł czas, żeby się poważnie zastanowić, czy nie powinnaś przestać karmić. Może powinniśmy definitywnie przejść na butelkę.

Amaia wpatrywała się w męża. Pragnęła znaleźć słowa, które zdołałyby wyrazić to wszystko, co się w niej gotowało. Przecież się starała się, starała się ze wszystkich sił, chciała karmić piersią i chciała to robić dobrze, dla Ibaia, ale przede wszystkim dla siebie, dla dziewczynki, którą była, dla córki złej matki. Pragnęła być dobrą matką, musiała być dobrą matką, musiała nią być, bo jeśli nie, stałaby się złą matką, tak złą, jak zła była jej własna matka. I znowu musiała się zastanawiać, ile z jej matki było w niej samej. Czy jej frustracja nie była czasem znakiem, że nie wszystko układa się dobrze? Gdzie się podziało szczęście obiecywane przez książki o macierzyństwie? Gdzie się podział ideał kobiety w pełni zrealizowanej, osiągalny dla każdej matki? Dlaczego jest tylko zmęczona i czuje, że ponosi

porażkę?

Ale zamiast tego wszystkiego powiedziała tylko:

– Miałam już tę pracę, kiedy mnie poznałeś, James. Wiedziałeś, że jestem policjantką i że zawsze nią będę, i zaakceptowałeś to. Jeśli sądziłeś, że z powodu pracy nie będę mogła być dobrą żoną albo dobrą matką, powinieneś był wtedy to lepiej przemyśleć. – Podniosła się, włożyła filizankę do zlewu i przechodząc obok niego, dodała: – Zresztą, jak wiesz, to tylko związek małżeński, nie kara dożywotniego więzienia, więc jeśli ci się coś nie podoba, to... – I wyszła z kuchni.

Twarz Jamesa wykrzywił grymas niedowierzania.

– Na litość boską, Amaia! Nie rób z tego melodramatu – powiedział, wstał i poszedł za nią.

Odwróciła się i położyła palec na ustach.

– Obudzisz Ibaia. – I weszła do łazienki, zostawiając go na środku korytarza.

Kręcił z niedowierzaniem głową.

Nie udało jej się usnąć i dwie następne godziny spędziła, przewracając się w łóżku z boku na bok, na próżno usiłując się odprężyć wystarczająco, żeby przynajmniej trochę odpocząć. Z salonu dobiegały odgłosy z telewizji, którą oglądał James. Zachowywała się w stosunku do niego jak harpia, wiedziała o tym, zdawała sobie sprawę, że potraktowała go niesprawiedliwie, ale nie mogła pozbyć się wrażenia, że w pewien sposób jednak sobie na to zasłużył, bo nie był wystarczająco... Jaki? Wyrozumiały? Współczujący? Sama nie bardzo wiedziała, czego od niego chce. Wolałaby, żeby nie przychodziło mu wszystko z taką łatwością, żeby też przeżywał wahania, jak ona. Pragnęła, żeby był w stanie jej pomóc, pocieszyć ją, ale zwłaszcza żeby mógł ją zrozumieć. Oddałaby duszę za to, żeby ją rozumiał. Tego właśnie potrzebowała. Wyciągnęła rękę w stronę pustej połowy łóżka, przyciągnęła do siebie jego poduszkę i zagłębiła w nią twarz, żeby wyczuć jego zapach. Dlaczego robiła wszystko nie tak, jak trzeba? Zapragnęła pobiec do niego... powiedzieć mu... powiedzieć, że... Sama nie wiedziała co, może to, że go przeprosza za swoje zachowanie. Wstała i na bosaka przeszła po podłodze z długich

dębowych desek, które gdzieniegdzie skrzypiały. Z progu salonu dojrzała, że James śpi na siedząco, przechylony na bok. W telewizorze migały reklamy, rzucając poblask na pokój, który światło dzienne opuściło już dość dawno. Przyjrzała się w świetle ekranu spokojnej twarzy męża. Już miała do niego podejść, gdy nagle się zatrzymała. Zawsze mu zazdrościła, że umie zasnąć wszędzie i o każdej porze, ale nagle rozzłościło ją, że śpi, kiedy raczej powinien się zamartwiać, przynajmniej tak jak ona... Do diabła! Pokłócili się, z pewnością była to najgorsza kłótnia, od kiedy się poznali, a on kładzie się i śpi! I to jeszcze tak smacznie! Oddalony od niej o miliony lat świetlnych. Zerknęła na zegarek: trzeba było przygotować mnóstwo rzeczy, których Ibai będzie potrzebował w Elizondo. Wyszła z salonu i krzyknęła, oddalając się korytarzem:

– James!

Załadowała samochód, jakby się wybierali w Himalaje, a nie na kilka dni pięćdziesiąt kilometrów od domu, kilka razy powtórzyła Jamesowi całą litanię wskazówek dotyczących Ibaia i ubranek, które miałby mu wkładać, żeby się nie przeziębił i nie spocił, i ucałowała synka na pożegnanie. Patrzył na nią spokojnie z nosidelka, nasycony po kolejnym karmieniu. Całe popołudnie spał, więc z pewnością będzie czuwał w drodze do Elizondo, ale nie obawiała się, że będzie płakał. Lubił jeździć samochodem, uwielbiał warkot silnika i muzykę, którą puszczał – może zbyt głośno – James, więc mimo że nie zaśnie, będzie podczas podróży zadowolony.

– Przyjadę na następne karmienie.

– Jeśli nie zdążysz, dam mu butelkę – odparł James, siadając za kierownicą.

Już miała coś odpowiedzieć, ale nie chciała się z nim więcej kłócić, nie chciała, żeby się rozstawali w gniewie, unikała tego z powodu pewnego przesądu. Była policjantką, zbyt często widywała, jak reagują rodziny, kiedy się dowiadują, że ktoś bliski zginął, wiedziała, że cierpią jeszcze straszniej, gdy byli pokłóceni ze zmarłym, najczęściej o jakieś głupstwo, ale w chwili śmierci już nie do naprawienia. Nachyliła się do otwartego okna i nieśmiało pocałowała Jamesa w usta.

– Kocham cię, Amaio – powiedział. Powiedział to tak, jakby ją ostrzegął, popatrzył jej w oczy i przekreślił kluczyk.

Wiem o tym, pomyślała i cofnęła się o krok. Ale pogodziłam się z tobą tylko dlatego, że nie zniosłabym, gdybyś zginął w wypadku obrażony na mnie. Podniosła rękę i pomachała – on już tego nie zobaczył, po czym, skruszona, otoczyła się ramionami, daremnie usiłując złagodzić uczucie pustki, które ją ogarnęło. Została na chodniku, dopóki widać było czerwone światła samochodu. Jechał bardzo wolno ulicą, która o tej porze zamieniała się w ciąg pieszy, dostępny tylko dla stałych mieszkańców.

Przemarznięta na wskroś weszła do domu i rzuciła okiem na kopertę, którą przed godziną przyniósł policjant. Leżała na konsoli w przedpokoju. Marzyła o długiej gorącej kąpieli. Stała przed lustrem i przyjrzała się cieniom pod swoimi oczami i jasnym włosom, które były zmierzwiene jak słoma i miały rozdwojone końcówki. Usiłowała sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz była u fryzjera. Spojrzała na zegarek i poczuła, że ogarnia ją gniew. Znowu musiała odłożyć na lepsze czasy upragnioną kąpiel i wziąć prysznic. Puściła gorącą wodę i kabina wypełniła się parą tak, że nic nie było widać. Wtedy dopiero zaczęła płakać i było tak, jakby w jej wnętrzu przerwała się jakaś tama i przyływ chciał ją zatopić od środka. Łzy mieszały się z niemal wrzącą wodą i spływały jej po twarzy, a ona nie wiedziała, czy płacze dlatego, że czuje się tak bardzo nieszczęśliwa, czy też dlatego, że czuje się całkowicie nieudolna.

Restauracja El Rodero znajdowała się niedaleko ich domu. Kiedy bywali tam z Jamesem, zazwyczaj chodzili pieszo, żeby móc się napić wina i nie martwić się, kto będzie prowadził. Ale tym razem Amaia podjechała samochodem, żeby od razu po rozmowie z sędzią śledczym ruszyć do Elizondo. Zaparkowała przodem do parku Media Luna i przeszła przez ulicę do wejścia, pod arkady. Wielkie, rześcicie oświetlone okna i elegancki wygląd budynku obiecywały rozkosze kuchni, którą doceniono gwiazdką Michelina. Podłoga z ciemnego drewna i czereśniowe krzesła z wygodnymi oparciami kontrastowały

z beżowym wykończeniem ścian, a nienagannie białe obrusy i biała zastawa rozświetlały wnętrze, odbijając się w kryształowych lustrach. Na stołach, w szklanych wazach, stały bukiety świeżych kwiatów.

Już w progu podeszła do niej kelnerka, żeby odebrać od niej okrycie. Amaia odmówiła.

– Dobry wieczór, jestem umówiona z jednym z państwa gości. Czy mogę prosić o powiadomienie go?

– Tak, oczywiście.

Zawahała się, bo nie wiedziała, czy sędzia przedstawia się jako sędzia poza pracą.

– To pan Markina.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

– Sędzia Markina czeka na panią. Proszę za mną – powiedziała, prowadząc ją w głąb lokalu.

Minęły małą salkę – Amaia myślała, że to tam będą rozmawiać – i podeszły do jednego z najlepszych stołów, tuż obok biblioteki szefa kuchni. Przy stole stało pięć krzeseł, ale był nakryty jedynie na dwie osoby. Sędzia Markina wstał, żeby ją powitać, i uściśnęli sobie ręce.

– Dobry wieczór, pani Salazar – nie wymienił jej stanowiska.

Amai nie umknęło pełne podziwu spojrzenie, którym kelnerka obrzuciła przystojnego prawnika.

– Proszę, niech pani usiądzie – zaprosił ją i wskazał jej krzesło.

Amaia zawahała się. Nie lubiła siedzieć tyłem do drzwi, taka policyjna mania. Ale posłusznie usiadła naprzeciwko Markiny.

– Panie sędzio – zaczęła. – Przykro mi, że przeszkadzam...

– Ależ nie przeszkadza mi pani, wprost przeciwnie. Liczę na to, że zgodzi się pani mi towarzyszyć. Już złożyłem zamówienie i byłoby mi bardzo niezręcznie jeść samemu, kiedy pani patrzy.

Mówił to tonem nieznośnym sprzeciwu i Amaia poczuła się zbita z tropu.

– Ale... – wskazała na drugi talerz stojący na stole.

– To dla pani. Jak już mówiłem, nie znoszę jeść sam, więc pozwoliłem sobie... Mam nadzieję, że to pani nie przeszkadza – powiedział, a z tonu jego głosu wyraźnie można było wyczytać, że jest mu dokładnie wszystko jedno, czy jej to

przeszkadza, czy nie. Przyjrzała się, jak strzepuje serwetkę i rozkłada ją sobie na kolanach.

A więc to stąd ta nagła wrogość sekretarki. Mogła ją sobie wyobrazić, jak tego samego dnia rano składa swym miódopłynnym głosem telefoniczne zamówienie na stolik na dwie osoby, ustami zaciśniętymi tak mocno, że wydają się szczerbą wyrąbaną siekierą. Przypomniała sobie rozmowę z Inmaculadą i uzmysłowiła, że sędzia polecił jej dokonać rezerwacji, zanim jeszcze ona zdążyła zadzwonić do niego i powiadomić o zakończeniu autopsji. Wiedział, że zadzwoni tuż po wyjściu z prosektorium, więc z wyprzedzeniem podjął decyzję, że zje z nią kolację. Zastanowiła się, czy to prawda, że w porze obiadu był poza miastem. Nie mogła tego sprawdzić. Zresztą nie mogła też wykluczyć tego, że kazał Inmaculadzie zrobić rezerwację dla jednej osoby i poprosił o dołożenie kolejnego nakrycia dopiero po przyjściu do restauracji.

– Nie zajmę panu dużo czasu, panie sędzio, więc będzie pan mógł zjeść w spokoju. Zresztą, za pozwoleniem, zacznę od razu.

Wyciągnęła z torby brązowy skoroszyt i położyła go na stole w tej samej chwili, gdy podszedł do nich kelner z butelką chardonnay z Nawarry.

– Kto spróbuje wina?

– Młoda dama – odpowiedział sędzia.

– Z pewnością nie – odparła. – Nie będę piła, jestem samochodem.

Markina się uśmiechnął.

– Woda dla pani, więc wino, niestety, tylko dla mnie.

Kiedy kelner się oddalił, Amaia otworzyła skoroszyt.

– O, nie – urażonym tonem powiedział sędzia. – Błagam panią – dodał, złagodniejszy głos. – Nie mógłbym nic przelknąć po obejrzeniu tego. – Uśmiechnął się półgębkiem. – Są takie sprawy, do których człowiek nigdy się nie przyzwyczai.

– Panie sędzio... – zaprotestowała.

Kelner postawił przed nimi dobrze wyglądające talerze, ze złocistymi zawiniątkami ozdobionymi liśćmi i pędami w zielono-brunatnych barwach.

– Grzyby leśne z truflami pod złocistym welonem. Życzę

smacznego szanownym państwu – powiedział, odchodząc.

– Panie sędzio... – zaprotestowała jeszcze raz.

– Proszę mi mówić Javier, niech pani będzie taka miła.

Amaia była coraz bardziej rozgniewana, w miarę jak zdawała sobie sprawę, że padła ofiarą podstępny, że została wciągnięta w randkę w ciemno zaplanowaną do ostatniego szczegółu, że ten kretyń pozwolił sobie nawet wybrać za nią potrawy, a teraz chciał jeszcze, żeby mu mówiła po imieniu.

Odsunęła krzesło i podniosła się.

– Panie sędzio, zdecydowałam, że będzie lepiej, żebyśmy porozmawiali, kiedy skończy pan jeść. Poczekam na zewnątrz.

Znowu się uśmiechnął, a jego uśmiech wydawał się szczery, ale też wyrażał poczucie winy.

– Pani Salazar, proszę się na mnie nie gniewać. Nie znam prawie nikogo w Pampelunie, uwielbiam dobrą kuchnię i często tu przychodzę. Nigdy nie zamawiam z karty, pozwalam, żeby *chef* Luis Rodero sam zdecydował, co postawi na moim stole, ale jeśli jego wybór pani nie odpowiada, poproszę, żeby przyniesiono jadłospis. Jesteśmy dwojgiem profesjonalistów, którzy odbywają służbową rozmowę, ale nie powinno nam to przeszkodzić w cieszeniu się dobrym jedzeniem. Czy poczułaby się pani bardziej komfortowo, gdybyśmy się spotkali w McDonalddie nad hamburgerem? Ja nie.

Amaia patrzyła na niego, niezdecydowana.

– Proszę usiąść i zjeść. Może mi pani opowiedzieć o sprawie podczas jedzenia. Ale zdjęcia bardzo proszę zostawić na koniec.

Była głodna, nie jadła nic od śniadania. Nigdy tego nie robiła, gdy musiała być przy autopsji, a aromat trufli w chrupiącym zawiniątku pobudzał jej żołądek do burczącej skargi.

– Dobrze – zgodziła się. Jeśli mieli jeść, zjedzą, ale w rekordowym tempie. W milczeniu pochłonęli przystawki i dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że była głodna jak wilk.

Kelner zabrał talerze i postawił przed nimi następane.

– Zupa perłowa z mięczakami, skorupiakami i algami – ogłosił i poszedł.

– Jedno z moich ulubionych dań – powiedział Markina.

– Moich też – powiedziała Amaia.

– Bywa pani w tej restauracji? – sędzia starał się ukryć zaskoczenie.

Bałwan, a do tego zadufany w sobie, pomyślała.

– Tak, chociaż zazwyczaj wybieramy stół w miejscu bardziej dyskretnym.

– Ja lubię ten, lubię oglądać...

I być oglądanym, pomyślała Amaia.

– Oglądać książki z tej biblioteki – wyjaśnił. – Luis Rodero ma tu najlepsze książki kucharskie świata.

Amaia rzuciła okiem na grzbiety książek. Rozpoznała *El desafío de la cocina española*, gruby, ciemny tom restauracji El Bulli, i piękny album Cándida *La cocina española*³.

Zjawił się kelner z daniem głównym.

– Morszczuk z *velouté* i galaretką z kraba, ze szczyptą wanilii i pieprzu i sokiem z limonki.

Amaia jadła nieuważnie, nie oddając sprawiedliwości wyrafinowanemu smakom, popatrując na zegarek i przysłuchując się trywialnej gadaninie sędziego.

Kiedy nareszcie zabrano talerze, odmówiła zjedzenia deseru. Poprosiła tylko o kawę. Sędzia zrobił to samo, choć wyraźnie zawiedziony. Amaia poczekała, aż kelner postawi filiżanki na stole, i znów wyciągnęła dokumenty. Podsunęła je sędziemu pod nos.

Dojrzała w jego oczach niechęć, ale się tym nie przejęła. Wprostowała się i natychmiast poczuła się pewniej. Znalazła się na własnym terytorium. Przesunęła krzesło w bok, żeby widzieć drzwi, i po raz pierwszy, od kiedy przyszła, rozsiadła się wygodnie.

– Podczas sekcji zwłok znaleźliśmy coś, co wskazuje na dość uzasadnioną możliwość, że sprawa Lucii Aguirre jest powiązana z co najmniej jedną sprawą, która miała miejsce przed rokiem w miejscowości Lekaroz – wskazała jedną z teczek i otworzyła ją. – Johana Márquez została zgwałcona i uduszona przez ojczyma. Został zatrzymany i przyznał się do winy. Ciało dziewczyny nosiło ślady takiej samej amputacji jak

3 Wyzwania kuchni hiszpańskiej. Kuchnia hiszpańska (przyp. tłum.).

ciało Lucíi Aguirre: ręka odcięta na wysokości łokcia. Zarówno morderca Johany Márquez, jak i morderca Lucíi Aguirre popełnili samobójstwo. Zostawili taką samą wiadomość. – Pokazała mu zdjęcia ściany celi Quiraltego i list, który zostawił Medina.

Sędzia wyglądał na zainteresowanego.

– Myśli pani, że się znali?

– Wątpię, ale jest to coś, czego się będziemy starali dowiedzieć, jeśli zezwoli pan na otwarcie sprawy.

Sędzia patrzył na nią z powątpiewaniem.

– Jest jeszcze coś – powiedziała – co może nie ma znaczenia, ale jestem na tropie innych, podobnych amputacji. Przynajmniej jedna miała miejsce w Logroño przed trzema laty. Choć samo zabójstwo zostało popełnione w sposób dość prymitywny, ciało ofiary zostało pozbawione przedramienia. Zostało odcięte jak przez sprawnego chirurga. Zniknęło, podobnie jak w tamtych dwóch przypadkach.

– Co?! Trzy odcięte ręce? – Markina rzucił się do przeglądania papierów.

– Tak. Póki co trzy, ale mam wrażenie, że może być więcej.

– Niech mi pani coś wyjaśni: kogo my szukamy? Dziwaczego klubu morderców amatorów, którzy postanowili naśladować makabrę, o której pewnie przeczytali w prasie?

– Może, choć wątpię, żeby prasa aż tak szczegółowo informowała o amputacjach, aby ktokolwiek mógł je naśladować z podobną precyzją. Przynajmniej w sprawie Johany Márquez takich informacji nie podaliśmy do publicznej wiadomości. Mogę natomiast stwierdzić, że morderca z Logroño też zabił się w swojej celi i zostawił identyczną wiadomość. Wypisał ją na ścianie. TARTTALO. Wszyscy napisali to słowo przez dwa t, co jest dość dziwne, bo częściej pisze się przez jedno. Te zbieżności skłaniają mnie do myślenia, że *modus operandi* we wszystkich tych sprawach łączy coś specyficznego, co samo w sobie jest niewątpliwą oznaką, że sprawcą jest ten sam człowiek, jest jak podpis jednego człowieka. Prawdopodobieństwo, żeby ludzkie bestie, z jakimi mamy do czynienia we wszystkich tych przypadkach,

dręczyciele kobiet, którzy na koniec je zabili, mogli zrobić coś tak nieprawdopodobnego, jest znikome. We wszystkich tych sprawach, które mogłam prześledzić, zabójcy pasują we wszystkim do profilu sprawcy: pokrewieństwo z ofiarą, długotrwałe stosowanie przemocy, alkoholizm lub narkomania, gwałtowny charakter, brak skłonności do autorefleksji. Jedyne, co do niczego nie pasuje, to amputacja przedramienia *post mortem*. Zawsze tego samego przedramienia, które potem zresztą znika.

Sędzia trzymał w ręku jeden z raportów i kartkował go z rosnącym zainteresowaniem.

– Osobiście – mówiła dalej Amaia – przesłuchiwałam ojczyma Johany Márquez. Kiedy go zapytałam o amputację, wyparł się tego całkiem, chociaż przyznał, że ją skatował, zgwałcił i zabił. I sprofanował ciało po śmierci, dokonując czynności seksualnych... Przyznał się do wszystkiego, ale powiedział, że o amputacji nic nie wie.

Mówiąc to, Amaia obserwowała sędziego. Analizował to, co mówiła, i w zamyśleniu machinalnie gładził się po podbródku, przeciągając palcami wzdłuż linii zuchwy. Wydał jej się przez to poważniejszy i bardziej pociągający. Kelnerka stojąca w pewnym oddaleniu, obok stojaka na menu, tuż przy wejściu, też nie spuszczała z niego oka.

– Więc co pani sugeruje?

– Wydaje mi się, że możemy mieć do czynienia ze współnikiem, z kimś innym, kto to zrobił i kto łączy co najmniej trzy zbrodnie i trzech zbrodniarzy.

Markina siedział w milczeniu, przenosząc wzrok z dokumentów na twarz Amai. Po raz pierwszy w ciągu wieczoru poczuła się swobodnie. Nareszcie na twarzy tego mężczyzny dostrzegła wyraz, który nie był jej obcy. Tak patrzyli jej koledzy policjanci, tak patrzył komisarz, kiedy dzieliła się z nim wnioskami, a teraz także sędzia Markina. Na jego twarzy zobaczyła zainteresowanie i taki namysł, który każe mieć wątpliwości. Drobiazgowo analizował fakty i przypuszczenia. Powinno się to zakończyć wszczęciem śledztwa. Oczywiście, kiedy tak rozmyślał, nabrały stalowego połysku, a jego twarz,

niewątpliwie urodziwa, rozbłysła inteligencją. Stał się naprawdę atrakcyjny. Zaskoczyło ją, że wpatruje się w doskonały rysunek jego ust. Pomyślała, że nic dziwnego, że połowa urzędniczek sądowych się do niego ślini, i aż się uśmiechnęła do tej myśli. Wyrwało to sędziego z zamyślenia.

– Co panią tak rozbawiło?

– Och, nic – wykręciła się i znów uśmiechnęła. – Nic takiego...

Coś sobie przypomniałam... Nieważne.

Patrzył na nią z ciekawością.

– Nie widziałem jeszcze, żeby się pani uśmiechała.

– Tak? – odpowiedziała, zbita z tropu.

Patrzył na nią nadal, tym razem już z poważnym wyrazem twarzy. Wytrzymała jego spojrzenie przez kilka sekund i na koniec opuściła oczy. Spojrzała na skoroszyt w brązowych okładkach. Odchrząknęła.

– No więc? – spytała, podnosząc wzrok. Odzyskiwała pewność siebie.

Skinął głową.

– Myślę, że jest w tym coś... Tak, zezwalam pani na wszczęcie śledztwa. Niech pani będzie ostrożna i nie robi hałasu wokół tej sprawy. Chodzi mi o to, żeby trzymać media z dala. W teorii tamte sprawy są już zamknięte i nie chcemy zadawać niepotrzebnych cierpień rodzinom ofiar. Proszę mnie informować o postępach. I proszę się do mnie zwracać w razie potrzeby – dodał, znów patrząc jej prosto w oczy.

Nie pozwoliła się onieśmielić.

– Dobrze, będę rozważna. Wraz z zespołem zajmuję się innym dochodzeniem i nie sądzę, żebym w najbliższych dniach mogła pana powiadomić o nowościach.

– Kiedy będzie pani chciała – powiedział zachęcająco.

Amaia zaczęła zbierać ze stołu teczki z raportami. Sędzia wyciągnął rękę i delikatnie, przelotnie musnął jej dłoń.

– Proszę chociaż wypić jeszcze jedną kawę...

Zastanowiła się.

– Dobrze, jadę dość daleko i kawa mi się przyda.

Skinął ręką na kelnera, żeby zamówić kawę, a ona pośpiesznie pozbierała resztę papierów.

– Sądziłem, że mieszka pani na starówce.

Ma pan dokładne informacje, panie sędzio, pomyślała. Kelner postawił przed nimi filiżanki.

– Tak właśnie jest, ale muszę pojechać do Baztán w związku z dochodzeniem, o którym mówiłam.

– Pani stamtąd pochodzi, prawda?

– Tak – odpowiedziała.

– Mówiono mi, że świetnie się tam jada. Może mogłaby mi pani polecić jakąś restaurację...

Natychmiast przyszło jej do głowy kilka nazw dobrych lokali.

– Niestety nie mogę panu pomóc, tak naprawdę rzadko tam jeżdżę – skłamała. – A kiedy już to robię, zatrzymuję się w rodzinnym domu.

Uśmiechnął się z niedowierzaniem i uniósł jedną brew. Amaia skorzystała z okazji, żeby wypić kawę i schować skoroszyty do torby.

– A teraz, jeśli pan pozwoli, panie sędzio, muszę już iść

– powiedziała, wstając i odsuwając krzesło.

Markina też wstał.

– Gdzie jest pani samochód?

– Tu niedaleko, zaparkowałam niemal przy wejściu.

– Proszę poczekać – powiedział, biorąc płaszcz. – Pójdę z panią.

– To niekonieczne.

– Nalegam.

Począł, aż kelner wróci z jego kartą kredytową, i wziął kurtkę Amaia, żeby jej pomóc ją włożyć.

– Dziękuję – powiedziała, wyrywając mu kurtkę z rąk. – Nie wkładam jej, kiedy prowadzę. To mnie krępuje.

Z jej tonu nie wynikało jasno, czy chodzi o to, że grube ubranie przeszkadza jej w prowadzeniu samochodu, czy też że jego zbyt duża uprzejmość jest dla niej krępująca.

Twarz Markiny trochę spochmurniała, kiedy Amaia ruszyła szybkim krokiem do drzwi. Otworzyła je i trzymała tak do chwili, kiedy ją dogonił. Na dworze temperatura spadła o kilka stopni, a ponad gęstą roślinnością parku skoncentrowała się wilgoć, tworząc coś w rodzaju mgły. W wilgotnym powietrzu

pomarańczowe światło latarni rozmywało się w niewyraźne kręgi.

Wyszli spod arkad i przeszli przez ulicę, przy której stało mnóstwo samochodów, choć ruch o tej porze był niewielki. Amaia otworzyła drzwi pilotem i odwróciła się do Markiny.

– Jeszcze raz dziękuję, panie sędzio, będę pana informowała o wszystkim – powiedziała profesjonalnym tonem.

Ale on zrobił krok do przodu i otworzył jej drzwiczki.

Westchnęła, uzbrajając się w cierpliwość.

– Dziękuję.

Wrzuciła kurtkę do środka i szybko wsiadła do samochodu. Nie była głupia, już od kilku godzin widziała, do czego zmierza, i była zdecydowana uciąć w zarodku wszystkie jego awanse.

– Dobranoc, panie sędzio – powiedziała, chwytając za klamkę, żeby zamknąć drzwi, a drugą ręką przekręciła kluczyk w stacyjce.

– Amaio... – szepnął – Amaio...

Oho! – zabrzmiał głos w jej głowie. Podniosła wzrok i napotkała błagalny wyraz jego oczu. Palił się w nich płomień pożądania.

Wyciągnął do niej rękę i grzbietem dłoni przesunął po kosmyku włosów, który spadał jej na ramię. Poczuł, że zeszywniała, i zmieszany odsunął rękę.

– Pani inspektor Salazar – powiedziała lodowatym tonem.

– Co proszę? – spytał zbity z tropu.

– Tak powinien się pan do mnie zwracać. Pani inspektor Salazar albo po prostu inspektor Salazar.

Skinął głową i Amaia wydawało się, że się zarumienił. Nie była pewna. Było dość ciemno.

– Dobranoc, sędzio Markina. – Zatrzasnęła drzwiczki i tyłem wyjechała na jezdnię. – Co za palant! – rzuciła sama do siebie, widząc we wstecznym lusterku sędziego. Nadal stał w tym samym miejscu, jak wbity w ziemię.

Niedobrze byłoby mieć wroga w sędzim śledczym, więc choć spodziewała się, że ta nauczka posłuży ustaleniu ich wzajemnych stosunków i ograniczeniu ich do spraw zawodowych, miała też nadzieję, że nie zraniła jego męskiej

dumy. Sposób, w jaki na nią patrzył, te maślane oczy, które już widywała u innych mężczyzn... Zawsze pociągało to za sobą kłopoty, mogło jej utrudnić śledztwo, które i tak zaczynało wyglądać na trudne. Naprawdę gorąco życzyła sobie, żeby nie poczuł się obrażony. Było jasne, że musiał sporo pokombinować, aby doprowadzić do tego spotkania, i że tak przystojny facet nie jest przyzwyczajony, żeby go odrzucano.

– Zawsze kiedyś jest pierwszy raz – powiedziała na głos. Przepuszczała, że prędzej czy później jakaś samiczka ze sfory urzędniczek pod wodzą usłużnej i pełnej poświęcenia Inmaculady Herranz ściągnie na siebie jego uwagę.

Zerknęła we wsteczne lusterko, żeby się sobie przyjrzeć.

– I pomyśleć, że odrzuciłam takie ciacho! – zaśmiała się i nieświadomie podniosła rękę do włosów tam, gdzie ich dotknął. Nadal uśmiechnięta, włączyła radio i skreśliła na szosę do Baztán, podśpiewując lejącą z głośników piosenkę. Znała ją, bo słyszała ją już kilka razy.

W nocy wspaniałe lasy Baztán są niezmiernym obszarem mroku i wrażenie, jakie wywołują, można porównać jedynie do ciemności na pełnym morzu w bezgwiezdną noc. Nikłe światło księżyca ledwie przebijało się przez chmury i jedynie potężne światła jej wozu przecinały noc, rzucając na zakrętach świetlne strumienie w gąszcz, który rozciągał się po obu stronach szosy jak zimny, bezkresny ocean. Trochę zwolniła. Gdyby samochód wypadł z szosy na zakręcie, nikt nigdy by go nie odnalazł. Połknąłby go las, ten odwieczny potwór o czarnych kłach. Nawet w świetle dnia trudno by było odnaleźć w gęstej roślinności jej czarny wóz terenowy. Po plecach przebiegł jej dreszcz.

– Tak ukochany i tak przerażający – szepnęła.

Przejeżdżając obok hotelu Baztán, rzuciła okiem na hotelowy parking, oświetlony jedynie czterema latarniami i skąpym światłem przenikającym przez okna kawiarni, mimo późnej pory nadal otwartej. Mimowolnie przypomniała sobie Montesa celującego ze służbowej broni do Flory, a potem podnoszącego pistolet do swojej głowy. Potem zobaczyła Montesa obezwładnionego przez inspektora Iriartego, leżącego na ziemi.

Jego łzy mieszały się z kurzem. W jej głowie rozległy się słowa komisarza: „Nie mam zamiaru wpływać na pani decyzję, jedynie panią informuję”.

Wjechała do centrum Elizondo, przemierzyła ulicę Santiago, skręciła w lewo, żeby zjechać w dół, do mostu, i poczuła delikatne turkotanie kół na bruku. Za mostem Muniarteza skręciła w lewo i zaparkowała przed domem ciotki, domem, w którym zamieszkała w wieku dziewięciu lat i żyła do chwili, kiedy opuściła Elizondo. Poszukała w pęku kluczy tego właściwego i otworzyła drzwi. Dom, naładowany energią swojej właścicielki, przywitał ją ciepłem i pozytywnymi wibracjami oraz brzęczeniem wiecznie włączonego telewizora.

– Witaj, Amaio – powitała ją ciotka. Siedziała przy kominku w salonie.

Amaia spojrzała na nią i poczuła przyływ miłości. Długie siwe włosy zebrane w luźny kok nadawały Engrasi wygląd romantycznej bohaterki angielskiej powieści. Była tak elegancka i wyprostowana, jakby siedziała na herbatce u królowej.

– Nie podnoś się, ciociu – poprosiła Amaia, nachylając się nad nią, żeby ją ucałować. – Jak się masz, moja śliczna?

Engrasi się zaśmiała.

– Tak, ślicznie muszę wyglądać w tym szlafroku – powiedziała, łapiąc za kosmate wyłogi.

– Dla mnie zawsze będziesz najpiękniejsza.

– Moja malutka... – Ciotka uściskała ją gorąco.

Amaia rozejrzała się wokół. Rozpoznawała to miejsce. Robiła tak zawsze, gdy tam wracała, do domu, i zdawała sobie sprawę, że jest w tym coś z potwierdzenia, z deklaracji. Wydawało się, że chce powiedzieć: już jestem, wróciłam. Chociaż nie wiedziała dokładnie, dlaczego tak robi, przestała już się zastanawiać, dlaczego czuje się tam jak nigdzie indziej. Po prostu cieszyła się tym, że tak czuje.

– A mój syneczek?

– Śpi. James nakarmił go pół godziny temu i natychmiast zasnął. Poszedł z nim na górę, żeby go położyć do łóżeczka, i wydaje się, że jego też zmorzył sen, bo już od dłuższej chwili

go nie słyszę – powiedziała, wskazując na elektroniczną nianię, która żywymi kolorami odbijała się od drewnianego blatu stołu.

Amalia zdjęła buty. Zostawiła je u podnóża schodów i weszła na górę na bosaka, czując drewno stopni pod stopami i powściągając chęć, żeby pobiec, jak wtedy, kiedy była dzieckiem.

James zostawił zapaloną lampkę na stoliku przy łóżku. Jej niebieskawe światło pozwoliło jej stwierdzić, że postawił podróżne łóżeczko obok okna i spał na samym brzegu łóżka, z jedną ręką wyciągniętą i opartą na brzegu pościelenia Ibaia. Obeszła łóżko i przekonała się, że dziecko smacznie śpi, ubrane w ciepłe śpioszki. Wyłączyła elektroniczny podsłuch, zdjęła sweter, ściągnęła dżinsy i zostawiła je na podłodze, po czym wskoczyła do łóżka i przylgnęła do pleców męża. Uśmiechnęła się łobuzersko, gdy wzdrygnął się pod dotknięciem jej zimnego ciała.

– Jesteś zadowolona, kochanie – szepnął, na wpół śpiąc.

– Rozgrzejesz mnie? – spytała pieszczotliwie, przyciskając się do niego jeszcze mocniej.

– Jeśli chcesz... – odparł, już znacznie przytomniej.

– Chcę wszystkiego.

Odwrócił się. Poszukała jego ust i zagłębiła się w nie tak, jakby były źródłem i jakby ona konała z pragnienia.

Zaskoczony, oderwał się od niej i wskazując na dziecięce łóżeczko, spytał:

– Jesteś pewna?

Od kiedy urodził się Ibai, nie chciała bliskości z nim w tym samym pokoju, w którym było dziecko.

– Jestem pewna – odparła, znowu go całując.

Kochali się powoli, patrząc na siebie z niedowierzaniem, jak gdyby właśnie się poznali i tej nocy odkrywali się po raz pierwszy. Cud tego odkrycia pogłębiały radość i ulgę, że odzyskali coś niezwykle cennego, co przez jakiś czas uważali za zagubione. Po wszystkim leżeli obok siebie w milczeniu, aż James wziął ją za rękę i popatrzył jej w oczy.

– Cieszę się, że wróciłaś. Ostatnio między nami nie układało

się najlepiej.

Cichy szelest dobiegający z łóżeczka zmusił Jamesa do wstania. Zerknął na ruszającego się niespokojnie synka. Wydawał takie odgłosy, jakby za chwilę miał wybuchnąć płaczem.

– Jest głodny – powiedział James, patrząc na Amaię.

– Przyjechałam w samą porę, żeby go nakarmić, ale ciotka powiedziała, że już dostał butelkę – odparła, pilnując się, żeby w jej głosie nie usłyszał wyrzutu.

– Był niespokojny. Wydawało mi się, że jest głodny, a ponieważ jeszcze cię nie było, dałem mu butelkę. Nie widzę w tym nic złego. Zresztą wypił tylko jakieś sto pięćdziesiąt mililitrów.

– Ja za to nie widzę nic dobrego w karmieniu dziecka na okrągło. Pilnowanie pór karmienia jest sprawą podstawową, słyszałeś, jak mówił o tym pediatra.

– Jeśli pory karmienia nie są przestrzegane, to nie z mojej winy... – odparł.

– Sugerujesz, że z mojej? Przecież powiedziałam, że wróciłam na czas.

– Amaio, dziecko to nie zegarek. I co z tego, że raz wróciłaś w porę. A poprzednio? A co będzie następnym razem? Możesz zagwarantować, że zawsze będziesz na czas?

Nie odpowiedziała. Wzięła syna na ręce i położyła się z nim na łóżku, żeby go nakarmić. James położył się obok niej. Pogłaskał palcem główkę Ibaia i zamknął oczy. Zaledwie dwie minuty później zaczął równo oddychać i Amaia domyśliła się, że zasnął. Znowu doprowadza mnie do szału, pomyślała, ale usiłowała się zrelaksować. Przypomniała sobie, jak czytała, że stan nerwów matki wpływa na pokarm i powoduje kolkę u dziecka.

Kiedy Ibai przestał ssać, podniosła go i przelożyła sobie przez ramię, żeby mu się odbiło. Znowu wzięła go na ręce. Czuła, jak jego delikatne ciało się rozluźnia i jak przychodzi po niego sen. Nachyliła się nad nim, żeby poczuć ukochany zapach, którym emanowała jego główka. Jeszcze przed jego narodzinami, nawet jeszcze przed jego poczęciem już go kochała, kochała go od czasu, gdy sama była małą dziewczynką,

która bawiła się w mamę, w dobrą matkę, a teraz odczuwała ból, ponieważ gdzieś w najgłębszym zakątku duszy czuła, że cała ta miłość nie jest wystarczająca, że nie stanęła na wysokości zadania, że nie jest godna być matką tego dziecka, że może bycie dobrą matką nie leży w naturze kobiet z jej rodziny. Może wraz z genami z pokolenia na pokolenie przechodzi mroczne, okrutne dziedzictwo.

Wzięła do ręki dłoń synka, otwartą jak rozgwiazda. Leżał spokojny i nasycony. Jej wodne dziecko, jej chłopiec z rzeki, który dopomina się o swoje jak rzeka, która zalewa brzegi i zatapia okoliczne ziemie, jak zwycięski władca, który wraca z boju. Podniosła jego rączkę do ust i ucałowała z namaszczeniem.

– Staram się, Ibai – szepnęła, a on westchnął głęboko przez sen, przesycając powietrze swoim aromatem.

Świt nadszedł o wpół do ósmej i choć nie padało, zza otaczających dolinę wzgórz nadciągały gęste chmury, podobne do piany wypływającej z ogromnej wanny. Amaia przyglądała się, jak po zboczach spływa w dół gęsta, biała mgła, i przewidywała, że za niespełna pół godziny warunki na drodze znacznie się pogorszą.

Jechała na dwójce wąskimi uliczkami dzielnicy Txokoto. Wybrała się tam, żeby wypić kawę z Ros, zanim pojedzie do komisariatu. Przejechała obok ściany z przyciemnionego szkła i skręciła w lewo. Chciała zaparkować za magazynem. Zdumiona, raptownie nacisnęła hamulec. Cała fasada wytwórni była wymazana czarnym sprayem. Ros, z pędzlem w ręku, usiłowała pokryć farbą ciemne bazgroły, które, mimo że pomalowane już jedną warstwą, nadal głośiły: **DZIWKA MORDERCZYNI.**

Amaia wysiadła i patrzyła z pewnej odległości.

– Najwidoczniej nie wszyscy w tym miasteczku uważają Floreę za bohaterkę – powiedziała i podeszła do siostry, nie spuszczać z oka napisu.

– Można tak sądzić. – Ros uśmiechnęła się smutno. – Dzień dobry, siostrzyczko. – Zostawiła pędzel w kubie z farbą i objęła ją na powitanie.

– Zastanawiałam się, czy zaprosisz mnie na kawę z tego wspaniałego włoskiego ekspresu.

– Oczywiście – odparła Ros i puściła ją przodem.

Wchodząc do wytwórni, odetchnęła głęboko. Robiła tak od zawsze, odkąd pamiętała. Tego poranka powitał ją zapach esencji anyżowej.

– Pieczemy pączki z dziurką.

Amaia odpowiedziała nie od razu, bo aromat, który na zawsze skojarzył jej się z matką, zaburzył jej postrzeganie czasu i nagle znalazła się daleko w przeszłości.

– To ten zapach...

Ros milczała. Rozstawiła filiżanki i podstawki, włączyła elektryczny młynek, żeby zmielić dwie porcje kawy. Milczenie się przeciągało, aż przerwała je Ros:

– Przepraszam, że nie czekałam wczoraj, aż wrócisz, ale byłam wyczerpana...

– Nie przejmuj się. Okazało się, że tylko ciotka nadal była na nogach. James i Ibai spali jak susły, kiedy przyjechałam.

Amai nie umknęło, że Ros, nachylona nad filiżanką, którą trzymała w obydwu rękach, podnosi ją do twarzy, jakby chciała się za nią schować, i popija małymi łyżkami.

– Ros, czy ty się dobrze czujesz?

– Tak, oczywiście – odparła zbyt szybko.

– Jesteś pewna? – nalegała Amaia.

– Nie rób tego.

– Czego mam nie robić?

– Tego, Amaio. Nie przesłuchuj mnie.

Jej reakcja zaintrygowała ją jeszcze bardziej. Znała dobrze Ros, swoją starszą siostrę, środkową z trzech, tę, która miała najmniejsze serce, tę, która zawsze wydawała się nieść na barkach ciężar świata i nie umiała sobie radzić z problemami, tę, która wołała milczeć i pokrywać troski pozorami, grzebiąc pod nimi wszelkie lęki.

Zaczęli się schodzić robotnicy. Nadzorca, Ernesto, podszedł do drzwi biura, żeby się przywitać.

Amaia patrzyła, jak siostra wita pracowników niemal z ulgą, rozpoczynając rozmowy o przewidzianych na ten dzień pracach z żywieniem kogoś, kto w ten sposób usiłuje uniknąć rozmyślenia o własnych kłopotach.

Zostawiła filiżankę w zlewie i wyszła z wytwórni. Zanim odjechała, zatrzymała się jeszcze na chwilę przy fasadzie i zauważyła, że spod warstw białej farby prześwitują ślady poprzednio nabazgranych napisów.

Komisariat w Elizondo wyglądał pokracznie i zupełnie nie pasował do lokalnej architektury. Jego nowoczesne, proste kształty były w tamtym miejscu tak niespodziewane, że wydawał się zapomnianą pozostałością po cywilizacji z innego

świata. Amaia musiała jednak przyznać, że przeszkłone fasady działają bardzo skutecznie, jak lupa koncentrując wątle światło zimowego słońca, ledwie docierającego do doliny Baztán. Wjechała windą, planując w myślach dzień. Gdy drzwi otworzyły się na drugim piętrze, zaskoczyła ją grupka policjantów stojąca przy automacie z kawą. Otaczała ich aura męskiego kumplostwa. Podinspektor Zabalza i inspektor Iriarte wydawali się świetnie bawić dzięki Fermínowi Montesowi, który – jak się wydawało – opowiadał właśnie jakąś anegdotę, gestykułując obficie. Przeszła obok nich, nie zatrzymując się.

– Dzień dobry, panowie.

Rozmowa natychmiast ucichła.

– Dzień dobry – odparli chórem, a Montes poszedł za nią do drzwi gabinetu.

– Salazar!

Zatrzymała się.

– Ma pani chwilę?

– Nie, Montes. Szczerze mówiąc, nie. Za chwilę wyruszam w sprawie śledztwa, które prowadzimy – odparła, rzucając na niego okiem, a potem na pozostałych dwóch policjantów. Wyprostowali się służbiście. – Szkoda, że mnie pan nie uprzedził...

Weszła do gabinetu i zamknęła za sobą drzwi, zostawiając Montesa po drugiej stronie z dość wściekłą miną. W pokoju siedział podinspektor Jonan Etxaide. Pisał coś zaciekle na komputerze. Przywitała się z nim i zażartowała:

– Nie przyłączysz się do tych wojowników przy maszynie do kawy?

– Nie mam zwyczaju pić kawy, szefowo, to znaczy nie z nimi...

Amaia popatrzyła na niego zdziwiona.

– Jesteście skłócenii?

– Nie, to nie to, ale przypuszczam, że nie czują się swobodnie w moim towarzystwie.

– Dlaczego? – dociekała Amaia. – Czy nie dlatego, że...

– No cóż, to, że jestem gejem, nie ułatwia sprawy, ale nie sądzę, żeby tylko o to chodziło. Tak czy owak proszę się nie

przejmować. Ja się nie przejmuję.

– Serce miej otwarte dla wszystkich, ufaj niewielu – zacytowała.

– Czytuje pani Szekspira, szefowo?

Westchnęła, udając zniechęconą.

– Ostatnio czytuję jedynie książki wybitnych pediatrów, pedagogów i psychologów dziecięcych.

Do drzwi ktoś zapukał i weszli Iriarte i Zabalza.

– Panowie – zaczęła Amaia bez zbędnych wstępów. – Na dzisiaj przewiduję dwa główne punkty. Ja i inspektor odwiedzimy kapelana i proboszcza Arizkun. Jonan nadal będzie przeszukiwał internet w poszukiwaniu forów antykatolickich i stron związanych z agotami w dolinie Baztán. Zabalza, pan mu pomoże.

Zaczęli się zbierać i dodała:

– Jeszcze jedno. Przypominam, że inspektor Fermín Montes jest zawieszony w czynnościach. Jego obecność w komisariacie może mieć charakter czysto towarzyski, ale i tak muszę przypomnieć, że jest absolutnie niedozwolone, żeby miał dostęp do pomieszczeń służbowych, archiwów, szaf z dokumentami... Nie może też mieć wglądu w obecnie prowadzone śledztwo. Czy wszystko jasne?

– Tak – zgodził się Iriarte. Zabalza coś wybąkał i zarumienił się aż po czubek głowy.

– Do roboty, panowie.

Kapelan nie okazał się zbyt pomocny. Był dość mocno głuchy, co chwilę żegnał się znakiem krzyża i biegał po kościele krótkimi, chwiejnymi kroczkami, o dziwo całkiem żwawo. Iriarte uśmiechnął się do Amaia porozumiewawczo. Z trudem nadążając za wymachującym rękami jak wiatrak księdzem, znaleźli się w zakrystii i zobaczyli potłuczoną chrzcielnicę. Ksiądz pokazał im też resztki ławy, a raczej stos szczap bardzo starego i spróchniałego drewna. Wydzielało ten charakterystyczny zapach antycznych mebli, który Amaia pamiętała z domu babki Juanity.

– Patrzcie tylko! Co za barbarzyństwo! – wykrzykiwał kapelan, wskazując dwa kawałki, na które rozłamano kamienny zbiornik

na święconą wodę.

Jego twarz wykrzywił żaloszny, niemal zabawny grymas i zastygł tak, a do oczu napłynęły mu łzy. Podkasał czarną sutannę, która sięgała mu niemal do pięt, i przeskubał kieszenie spodni. W końcu znalazł białą wykrochmaloną chustkę i osuszył nią oczy.

– Przepraszam, uniosłem się – tłumaczył się podniesionym głosem. – Ale sami powiedzcie: trzeba chyba nie mieć serca, żeby zrobić coś takiego.

Amaia popatrzyła na Iriartego i wskazała na drzwi.

– Dziękujemy – pożegnał się inspektor. – Bardzo nam ksiądz pomógł.

– Że co? – zakrzyknął kapelan, wskazując na swoje ucho.

– Że ksiądz bardzo nam pomógł, dziękujemy! – zaryczał Iriarte, a echo rozniosło jego głos po pustej świątyni.

Kapelan pokiwał głową i pożegnali się nie bez ceregieli. Tym razem to Amaia popatrzyła na inspektora z uśmiechem i z udawaną bezradnością wruszyła ramionami.

Gwałtowne podmuchy wiatru rozwiały doszczętnie wszelkie ślady chmur nad Arizkun, jednym z tych miejsc, gdzie czas jakby się zatrzymał. Położona na stoku wzgórza wieś leżała pod kopułą nieba, wystawiona na pełne światło, którego tak jej zazdroszczono w innych wsiach mrocznej doliny Baztán. Rozświetlone szmaragdowe łąki były nieskończenie idylliczne, a każdy kamień wąskich uliczek niósł przesłanie przeszłości, która nadal była w pełni obecna. Przeszli się spacerkiem od kościoła do plebanii, która znajdowała się tuż obok, przy sąsiedniej ulicy. Zadzwonili do drzwi i usłyszeli za nimi radosny dźwięk dzwonka.

Amaia zauważyła, że tuż obok schodka przy wejściu leży wyschnięty, spłaszczony trupek ptaszka, niemal już nierozpoznawalny, i zaczęła się zastanawiać, czy przejechał go samochód, czy podmuchał wiatru roztrzaskał go o ziemię.

– Jakie to piękne miejsce – wruszył się inspektor Iriarte, patrząc na rzeźbione belki podtrzymujące okapy domów, charakterystyczne dla Arizkun.

– I jakie okrutne – mruknęła.

Kobieta koło sześćdziesiątki otworzyła drzwi i poprowadziła ich w głąb domu długim korytarzem. Podłoga pachniała woskiem i była wyfroterowana tak, że aż lśniła.

Ojciec Lokin przyjął ich w gabinecie i Amaia mogła stwierdzić, że kolor i wygląd jego twarzy nie poprawiły się od czasu spotkania u arcybiskupa. Podał im drżącą i zimną rękę. Na przegubie miał okropny rozległy krwiak.

– Och, to wylew do stawu. Jestem chory na hemofilię, a to jest jeden z objawów choroby – wyjaśnił i rezygnując z posadzenia ich przy biurku, zaprowadził ich do przyległego saloniku z niewygodnymi fotelami obitymi skajem.

Zaproponował im kawę – podziękowali – a potem usiadł. Iriarte usiadł obok niego, a Amaia poczekała, aż się umoszcza, i zajęła fotel stojący na wprost księdza.

– Bardzo proszę, pytajcie – proboszcz uniósł rękę.

– Zeznał ksiądz – zaczął Iriarte, udając, że zagląda do notatek – że pierwsza napaść na kościół, podczas której rozbito chrzcielnicę, miała miejsce przed... siedemnastoma dniami, licząc od dzisiaj.

Proboszcz skinął głową.

– Chciałbym, żeby ksiądz sięgnął pamięcią kilka tygodni, może miesiąc wstecz, i powiedział, czy widział obce osoby, nieznajome albo w jakiś sposób podejrzane... kręcące się po kościele.

– No cóż, jak już państwo wiecie, wieś często odwiedzają turyści albo wędrowcy. Oczywiście przede wszystkim zwiedzają kościół. To przepiękna świątynia – dodał z wyraźną dumą.

– Czy ostatnio w kościele prowadzono jakieś prace albo remonty?

– Nie, ostatnim remontem była naprawa gzymsu w południowym skrzydle, ale to było dwa lata temu.

– Czy miał pan jakiś zatarg z kimś z parafian? Jakąs różnicę zdań?

– Nie.

– A z którymś z sąsiadów?

– Też nie. Myślicie państwo, że to osobista zemsta?

– Nie możemy tego wykluczyć.

– Mylicie się – powiedział, zimno patrząc na Amaię, mimo że nie odezwała się jeszcze ani słowem.

– Kto pomaga księdzu w kościele?

– Kapelan, dwóch ministrantów zmieniających się co niedzielę... zwykle to chłopcy, którzy przystąpili do pierwszej komunii na wiosnę, grupka katechetek... – Podniósł dłoń do skroni, jakby się namyślał. – Carmen, kobieta, która otworzyła wam drzwi. Sprząta tutaj i w kościele, zajmuje się kwiatami. Czasem pomaga jej któraś z katechetek.

– Czy któraś z tych osób zajęła miejsce innej, która z jakiegoś powodu przestała tu pracować?

– Z wyjątkiem kapelana i ministrantów cała reszta to kobiety z Arizkun. Od lat pomagają w kościele. Zresztą muszę dodać

– powiedział, uśmiechając się po raz pierwszy – że Kościół jako taki wiele zawdzięcza kobietom. – Popatrzył na Amaię łagodniej. – Gdyby nie one, w większości parafii nie można by było nic zrobić. Na przykład tutaj, w Ariz...

Amaia przerwała mu pytaniem:

– Ilu mieszkańców liczy Arizkun?

– Nie wiem dokładnie, około sześciuset, może sześciuset dwudziestu.

– Z pewnością zna ksiądz wszystkich swoich parafian.

– Oczywiście, w tak małej miejscowości wszyscy znają się osobiście – uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Więc zauważyłby ksiądz, gdyby do kościoła zaczęli przychodzić nowi wierni?

Uśmiech zamarł mu na ustach.

– Tak – odparł z zaskoczeniem. – Tak, to prawda.

– Młodzi chłopcy? – spytała Amaia.

– Jeden. Chłopak ze wsi, Beñat Zaldúa. Znam jego rodzinę. Jego ojciec nie chodzi do kościoła. To dość szorstki człowiek, ale nie krytykuję go, nie. Każdy inaczej radzi sobie z cierpieniem. Matka, owszem, przychodziła na msze, ale zmarła pół roku temu na raka. To bardzo smutna historia.

– A od kiedy przychodzi ten chłopak?

– Od kilku miesięcy. To dobre dziecko, poważne, nie awanturuje się ani nie prowadzi się z... no, z takimi tam...

Chociaż od pierwszej komunii nie widywałem go w kościele, spotkałem go kilka razy w bibliotece. Dobrze się uczy. Kiedyś powiedział mi, że chciałby studiować historię...

– Założę się, że zawsze zostaje z tyłu, sam, z dala od innych.

Twarz proboszcza Lokina stała się jeszcze bledsza niż zazwyczaj.

– Tak właśnie jest. Skąd pani wie?

– I nigdy nie przystępuje do komunii – dodała Amaia.

Kiedy wyszli z plebanii, wiatr wiał jeszcze mocniej. Zamiatał ulice i uderzał w fasady domów. W kilku oknach stali ludzie i obserwowali ich uważnie zza zamkniętych okiennic. Wsiedli do samochodu i dopiero wtedy Iriarte spytał:

– Co może być dziwnego w tym, że chłopak staje z tyłu? Sam tak robię. A że nie przystępuje do komunii? Może dlatego, że nie czuje się jeszcze gotowy, może nawet ze wstydu. Kiedy ktoś przez dłuższy czas nie praktykuje, po powrocie na łono Kościoła może się czuć skrępowany.

Amaia słuchała go w skupieniu.

– Może i tak. Ale możliwe też, że odtwarza jakiś moment historii, ten czas, kiedy agoci nie mogli zbliżyć się do ołtarza, nie mogli przystępować do komunii albo, jeśli to robili, to dostawali opłatek z innej pateny niż pozostali wierni. Musieli stać z tyłu, za kratą. Może ten chłopiec stoi za taką symboliczną kratą.

– Sądziłem, że nie jest pani zwolenniczką teorii podinspektora Etxaide o zemście agotów.

– Nie jestem do niej przekonana, ale też nie odrzucę jej, dopóki nie będziemy mieli innej, lepszej. A pan, inspektorze, zrobiłby lepiej, gdyby przeczytał pan raport, który sporządził Etxaide. Wtedy wiedziałby pan, o czym mówię.

Iriarte milczał przez chwilę. Przeżuwał naganę.

– Chłopak zachowuje się tak, jakby był agotem?

– Wierzy, że jest agotem. Świetnie pasuje do profilu sprawcy. Nie ma dobrych relacji z ojcem. Proboszcz powiedział, że jest grubiański, a do tego nie chodzi z synem na msze. Chłopak jest inteligentny, wykształcony i niespokojny. Nawet zainteresowanie historią pasuje. Śmierć matki mogła być

zapalnikiem. Taka mała miejscowość jak ta może być za ciasna dla marzeń sfrustrowanego nastolatka. Wiem o tym z doświadczenia. Samotność i cierpienie w tym wieku są jak iglica i spłonka w pistolecie.

Iriarte sprawiał wrażenie, że się namyśla.

– Nawet jeśli tak jest, nie sądzę, żeby jeden chłopak mógł dokonać tego wszystkiego. To zbyt widowiskowe, zbyt teatralne jak na jednego człowieka.

– Zgadzam się. Beñat Zaldúa musi mieć kogoś, na kim chce zrobić wrażenie.

– Na kim może chcieć zrobić wrażenie nastolatek?

– Na dziewczynie, na ojcu albo na wszystkich. Może chcieć pokazać, jaki jest sprytny, choć wówczas mielibyśmy do czynienia z psychopatą – spekulowała Amaia.

– Chce pani, żebyśmy teraz po niego pojechali? – inspektor Iriarte włożył klucz do stacyjki i przekręcił go, odpalając silnik.

– Tak z marszu? Nic na niego nie mając? Jeśli jest choć w połowie tak inteligentny, jak przypuszczam, zamknie się w sobie i to będzie wszystko, co uzyskamy. Lepiej niech Extaide poszuka go w internecie. Zobaczymy, co znajdzie.

Gdy przejeżdżali obok kościoła, Iriarte pomachał do policjantów siedzących w radiowozie.

W południe zaczęło padać i lało pół godziny, a potem deszcz zastąpiła *txirimiri*, łagodna, ale zimna mżawka, która powoli spadała z nieba, jak błyszczący pył rozpraszała się w powietrzu, osiadała na ubraniach jak perlista rosa i mroziła do kości. Przyniosła ze sobą wilgotne zimno z gór i obniżyła temperaturę o kilka stopni. Dom ciotki Engrasi pachniał zupą i świeżym chlebem. Mimo że w drodze powrotnej Amaia myślała, że nie jest głodna, jej pobudzony kuchennymi aromatami żołądek upomniał się o swoje i udowodnił, jak bardzo się myliła. Nakarmiła Ibaia, a potem usiedli przy stole pod oknem i zjedli, rozmawiając o ostatnich politycznych nowościach, o których donosiła telewizja.

Amaia zauważyła, jak bardzo James jest zmęczony.

– Może się położysz na trochę? Drzemka dobrze ci zrobi.

– Jeśli Ibai da mi pospać.

– Połóż się i nie przejmuj się dzieckiem. Nie wracam już dzisiaj do komisariatu. Chyba wybiorę się z Ibaiem na spacer, już prawie nie pada – powiedziała, patrząc na szarawe światło dnia za oknem. – A poza tym masz być dzisiaj wieczorem w formie.

James uśmiechnął się do niej i posłusznie powłókł się do schodów.

– Zabierz parasol – poradził jej, wchodząc na górę. – Myślę, że wkrótce znowu zacznie padać.

Włożyła Ibaiowi pikowany skafanderek, włożyła go do wózka i rozłożyła osłonę przeciwdeszczową. Złapała kurtkę i wyszła z domu razem z Ros, która wybierała się do wytwórni. Nadal miała wrażenie, że Ros jest bardzo czymś przejęta. Podczas posiłku unikała jej wzroku i starała się uśmiechać, ale uśmiech zniknął, kiedy tylko przestawała się wysilać. Pożegnały się na moście i Amaia stała tam jeszcze przez chwilę, dopóki nie straciła Ros z oczu. Przeszła na drugą stronę rzeki i poszła w górę, ulicą Jaimego Urrutii, opustoszałą z powodu deszczu. Jedynie spod *gorapes*, arkad, gdzie znajdowało się kilka barów, dochodziły odgłosy muzyki i ciepło, gdy któryś z gości otworzył drzwi. Zwolniła i zaczęła się przyglądać buzi Ibaia. Początkowo wydawał się zainteresowany turkotem kółek wózka, ale ukołysłany ruchem coraz bardziej mrużył oczka, aż w końcu zasnął. Amaia dotknęła grzbietem dłoni jego miękkiego policzka, żeby sprawdzić, czy nie zmarł, i przykryła go kocykiem. Szła dalej wolnym, spacerowym krokiem. Nie była do tego przyzwyczajona i z zaskoczeniem stwierdziła, że to bardzo przyjemne: móc iść tak od niechcienia, kołyszając całym ciałem i słysząc stukot własnych obcasów na bruku.

Przechodząc przez plac, zatrzymała się na chwilę przed pałacem Arizkunenea, żeby się przyjrzeć pozostałościom starych dyskoidalnych stel nagrobnych na patio. Przemoknięte wydawały się bardziej rzeczywiste, jakby wilgoć nadała im prawdziwy wymiar.

Doszła aż do ratusza, rozejrzała się, czy nikt nie widzi, i pogładziła *botil harri*, kamień symbolizujący przeszłość Elizondo, który według legendy obdarzał siłą tego, kto go dotknął. Nie była przesądna, ale dziwnie ją to pokrzepiło.

Wróciła na plac, przeszła obok fontanny z lamiami i poszła popatrzeć na rzekę Baztán z tego miejsca, gdzie tyły domów odbijają się w wodzie, sprawiając wrażenie, że pod jej powierzchnią został uwięziony inny, mokry świat, równoległy do naszego. W tym cichym zakątku wody rzeki sprawiały złudne wrażenie spokojnych. Kilku klientów, którzy późno skończyli obiad, wyszło z restauracji Santxotena i oparło się łokciami o barierkę. Mieli zamiar robić sobie zdjęcia. Amaia przeszła przez ulicę i weszła do lokalu. Właścicielka poznała ją i gorąco powitała. Była to ulubiona restauracja Jamesa. Często jadali tam kolacje. Amaia zarezerwowała na wieczór stół dla dwóch osób i uśmiechała się z tajnym zadowoleniem, a właścicielka, pochylona nad wózkiem, rozplątywała się nad tym, jakie z Ibaia śliczne dzieciątko. Amaia zdawała sobie sprawę, że to grzecznościowe zachwyty, ale nie mogła nie poczuć matczynej dumy, zwłaszcza że sama była pełna podziwu dla doskonałych rysów swojego rzeczno królewicza, swojego wodnego dziecka.

Wyszła z restauracji i ruszyła chodnikiem w prawo, ale zatrzymała się przed zakładem pogrzebowym. Bardzo nie chciała przechodzić tamtędy z Ibaiem. Tak samo źle czułaby się, zabierając go do szpitalnej poczekalni albo do domu, w którym ktoś choruje. Uznała, że naraziłaby dziecko, i choć ona sama na co dzień była zmuszona obcować z najokropniejszymi sposobami rozstawania się z życiem, czuła, że powinna za wszelką cenę starać się chronić synka przed jakimkolwiek, nawet przelotnym kontaktem ze śmiercią. Zeszła na jezdnię i przeszła na drugi chodnik, żeby nadal iść wzdłuż rzeki. Ale gdy znalazła się na wysokości domu pogrzebowego, nie mogła się powstrzymać: musiała spojrzeć na tablicę na głównych drzwiach, gdzie wieszano klepsydry niedawno zmarłych. Przypomniała sobie, że gdy była małą dziewczynką, zawsze wypytywała ciotkę, kiedy się tam zatrzymywały:

- Dlaczego zawsze tu stajesz i na to patrzysz?
- Żeby sprawdzić, kto umarł.
- A dlaczego chcesz wiedzieć, kto umarł?

A teraz sama, z przeciwległego chodnika, starała się coś

odczytać z tablicy, ale odległość była za duża. Gdy w kieszeni jej kurtki zadzwoniła komórka, aż podskoczyła.

– Jonan, to ty?

– Szefowo, coś znalazłem. Rano natknęliśmy się na kilka blogów, w których jest mowa o agotach. Większość niczym się nie wyróżnia, ograniczają się do podawania tych samych wiadomości na zasadzie kopiuj i wklej. I choć ich autorów oburza niesprawiedliwe traktowanie agotów – blogi mają charakter ściśle historyczny – nie ma w nich nic, co wskazywałoby na nienawiść albo fanatyzm... Z wyjątkiem jednego. Nazywa się Godzina Psów. Autor pisze o tych samych przejawach dyskryminacji co tamte, ale inaczej. Sugeruje, że konsekwencje niesprawiedliwości trwają po dziś dzień. To coś w rodzaju pamiętnika młodego agota, który opowiada o prześladowaniach, jakim są poddawani jego współplemieńcy, jakby żył w XVII wieku. Niektóre fragmenty są rzeczywiście świetnie napisane. No i tu mogę się pochwalić: wyśledziłem numer IP autora. Podpisuje się jako Juan Agote. I okazało się, że pisze z Arizkun. Właścicielem komputera jest...

– Beñat Zaldúa – dokończyła Amaia. – Wiedziałam!

– To ciekawe. Współcześnie trudno stwierdzić z całą pewnością, że jakieś nazwisko świadczy o pochodzeniu od dawnych agotów, może z wyjątkiem nazwiska Agote, ale przed kilkoma wiekami nazwisko Zaldúa było jednym z najbardziej rozpowszechnionych w tej społeczności. Chce pani, żebyśmy po niego pojechali?

– Nie. Zadzwoni i każ mu przyjść na komisariat jutro rano. Jest jeszcze niepełnoletni, niech przyjdzie z ojcem.

Kiedy skończyła, sprawdziła na wyświetlaczu, która jest godzina, i doszła do wniosku, że James już chyba się obudził. Zadzwoniła do niego. Odebrał natychmiast.

– Właśnie miałem do ciebie dzwonić. Gdzie jesteś?

– Ibai i ja poszliśmy do Santxotena zarezerwować stół.

– Ibai i ty wykazaliście się świetnym gustem.

– Umówiłam się już z Ros, że przypilnuje go wieczorem, a teraz zastanawiam się, czy zjesz ze mną kolację.

James się zaśmiał.

– Z wielką przyjemnością. Muszę o czymś z tobą porozmawiać i sądzę, że to będzie świetna okazja.

– Płonę z ciekawości – zażartowała.

– Niestety będziesz musiała poczekać do nocy.

Ibai marudził i nie chciał zasnąć po ostatnim wieczornym karmieniu. Zazwyczaj tak właśnie było, bo wydawało się, że wieczorami gorzej trawi. Kiedy wreszcie udało im się wyjść z domu, była już noc i znowu padało, ale i tak postanowili pójść pieszo. Otworzyli parasol i James objął Amaię. Przycisnął ją do siebie i czuł, jak drży pod cienkim płaszczykiem, który wybrała na wyprawę do restauracji.

– Wygląda na to, że pod spodem nic nie masz.

– Będziesz mógł to sprawdzić w odpowiedniej chwili – odpowiedziała kokieteryjnie.

Santxotena była przytulną restauracją. Ściany pomalowano na kolor truskawkowy. Urządzono ją w stylu wiejskim, ale była zadbana i wymuskana, poczynając od okien, które jak w domku z bajki przyozdobione były malowanymi okiennicami i doniczkami z roślinami kwitnącymi o każdej porze roku.

Dostali stolik, z którego widać było kawałek kuchni. Dobiegały stamtąd stłumione odgłosy i aromaty dobrego jedzenia.

Pod płaszczykiem Amaia miała czarną sukienkę, którą nosiła przed ciążą. Była zadowolona, że mogła ją znowu włożyć, bo wiedziała, że dobrze w niej wygląda i że będzie się podobała Jamesowi. A co powiedziałby sędzia Markina, gdyby ją zobaczył tak ubraną? Odrzuciła natychmiast tę myśl, ganiąc się za to, że w ogóle przyszła jej do głowy.

James rozpromienił się na jej widok.

– Ślicznie wyglądasz, Amaio.

Zasiadła za stołem, świadoma, że przyciąga uwagę. Podeszła kelnerka i przyjęła zamówienie. Szparagi na gorąco z kremem szpinakowym jako przystawka, a potem dla Jamesa, który zawsze zamawiał to danie, morszczyk w langustach. Dla niej żabnica na gorącym półmisku z małżami. James podniósł kieliszek z winem. Z niechęcią patrzył na jej szklanekę z wodą.

– Szkoda, że przez to karmienie piersią nie możesz się nawet napić wina.

Zignorowała to i pociągnęła łyk ze szklanki.

– Lepiej zdradź, co takiego chciałeś mi powiedzieć, bo nie posiadam się z ciekawości.

– Och, tak! – wykrzyknął z entuzjazmem. – To coś, co już od dawna chodziło mi po głowie. Od kiedy zaszłaś w ciążę, zaczęliśmy przyjeżdżać do Elizondo coraz częściej i sędzę, że teraz, kiedy mamy syna, tym bardziej będziemy to robić. Wiesz, jak mi się podoba w Baztán i jak lubię twoją rodzinę. Dlatego uznałem, że nadszedł czas, żeby się zastanowić nad kupieniem domu tutaj, w Elizondo.

Amaia otworzyła szeroko oczy.

– No wiesz, tego doprawdy się nie spodziewałam... Mówisz o tym, żebyśmy tu zamieszkali?

– Nie, oczywiście, że nie. Lubię mieszkać w Pampelunie, uwielbiam nasz dom i zarówno dla ciebie, ze względu na twoją pracę, jak i dla mnie, ze względu na pracownię, Pampeluna jest doskonała. Wiesz też przecież, dlaczego chciałem mieć dom właśnie przy ulicy Mercaderes.

Kiwnęła głową i już spokojnie czekała na ciąg dalszy.

– Mówię o tym, że moglibyśmy mieć tutaj drugi dom, nasz własny.

– Przecież możemy się zatrzymywać u cioci zawsze, kiedy chcemy. Wiesz, że jest dla mnie jak matka, a jej dom jest moim rodzinnym domem.

– Wiem, Amaio, wiem, co znaczy dla ciebie ten dom i czym zawsze dla ciebie będzie, ale jedno nie przeczy drugiemu. Gdybyśmy mieli tutaj dom, moglibyśmy go dostosować do własnych potrzeb. Ibai miałby swój pokój, my mielibyśmy tutaj potrzebne rzeczy i nie musielibyśmy jeździć w tę i z powrotem między Pampeluną i Elizondo, i targać ze sobą tylu bagaży. A kiedy Ibai trochę urośnie, będzie potrzebował miejsca na zabawki...

– Nie wiem, James. Nie jestem pewna, czy mi się to podoba.

– Rozmawiałem z twoją ciotką i opowiedziałem jej o tym pomysśle. Była zachwycona.

– To mnie naprawdę zdumiewa – powiedziała, odkładając widelec na stół.

– Zresztą – ciągnął James z zadowoleniem – to ona właściwie mnie przekonała, kiedy opowiedziała mi o Juanitaenea.

– O domu mojej babki – szepnęła Amaia, nie posiadając się ze zdumienia.

– Tak.

– Ależ James, przecież ten dom stoi zamknięty od lat, od śmierci babci. Ja miałam wtedy pięć lat, więc sędzę, że teraz musi być całkiem zrujnowany.

– Nie, skąd. Ciotka powiedziała mi, że oczywiście wewnątrz wymaga remontu, ale sam budynek, dach i kominy, wszystko jest w świetnym stanie. Dbała o niego przez wszystkie te lata.

Amaia, zagłębiona w myślach, wróciła pamięcią do pokojów babki, które wydawały jej się wtedy ogromne, i do kominka, w którym jako dziecko mieściła się na stojąco. Niemal mogła poczuć pod opuszkami palców gładką politurowaną powierzchnię solidnych mebli i dotyk granatowej satynowej kołdry na łóżku babci.

– Uważam, że to będzie dobre dla Ibaia. Będzie mógł spędzić tutaj część dzieciństwa. I że to nadzwyczajne, gdyby mógł je spędzić w domu, który należy do rodziny od pokoleń.

Amaia nie wiedziała, co odpowiedzieć. W domu ciotki zawsze czuła się bezpieczna, ale nadal nie rozliczyła się do końca z Elizondo, choć istotnie już od miesięcy powrotu do Baztán przestały jej się kojarzyć z tym okropnym ciężarem, który przez lata dźwigała w tajemnicy przed światem. Wiedziała, że stało się tak nie tylko dlatego, że zwierzyła się Jamesowi z tego, co się stało, kiedy miała dziewięć lat. Chciała wracać, bo wydawało jej się, że w ten sposób podtrzymuje więzy, które ją połączyły z panem tych lasów, ich niewidzialnym strażnikiem. Tajemnica jej powrotów kryła się na płycie DVD schowanej w kase pancernej, której nigdy nie obejrzała, od dnia, kiedy oglądała ją wraz ze specjalistami od niedźwiedzi w pokoju w hotelu Baztán. Czasem, odkładając broń do kasy pancernej, przesuwała opuszkami palców po płycie i obraz bursztynowych oczu leśnej istoty materializował się przed nią z całą wyrazistością. Samo wspomnienie tej chwili w niemal magiczny sposób dusiło w zarodku wszelkie zwątpienie i lęki.

Uśmiechnęła się nieświadomie.

– Amaio, to są sprawy, o których się nie myśli, dopóki się nie ma dziecka. Wiesz, że jestem szczęśliwy w Pampelunie i że nigdy nie chciałem wracać do Stanów na stałe, ale teraz, kiedy jest Ibai, wiem, że gdybyśmy tam mieszkali, pragnąłbym, żeby mógł poznać swoje korzenie, miejsce, skąd pochodzi jedna z gałęzi jego rodziny. Gdybym miał na to wpływ, zrobiłbym wszystko, żeby mu pomóc zacieśnić więzy z rodziną.

Amaia patrzyła na niego roziskrzonymi oczami.

– Nie wiedziałam, że tyle o tym myślisz, James. Nigdy nic mi o tym nie mówiłeś. Jeśli sobie tego życzysz, możemy odwiedzić twoją ojczyznę, kiedy Ibai trochę podrośnie.

– Oczywiście, Amaio, pojedziemy tam, ale nie chcę tam żyć. Już ci tłumaczyłem, że chcę mieszkać tam, gdzie mieszkam. Ale teraz mówię o tym, że mamy ogromne szczęście, że wywodzisz się z miejsca odległego od Pampeluny zaledwie o pięćdziesiąt kilometrów, a jednak każdy przysięgłby, że to całkiem inny świat... A do tego, Amaio – powiedział marzycielsko – mieć własną posiadłość... Wiesz, że uwielbiam architekturę Baztán. Chciałbym mieć *caserío*. Praca nad jego renowacją i dekorowaniem może się okazać wspaniałą przygodą. Powiedz, że się zgadzasz – poprosił.

Patrzyła na niego ze wzruszeniem, zachwycona jego entuzjazmem.

– Powiedz chociaż, że pojedziemy zobaczyć ten dom. Twoja ciotka obiecała, że jutro z nami pojedzie.

– Jutro? Ależ z ciebie naciągacz. Oboje jesteście naciągacze, moja ciotka i ty – udawała, że się gniewa.

– Pojedziemy? – nalegał.

Kiwnęła głową i uśmiechnęła się.

– Naciągacz!

Przechylił się nad stołem i pocałował ją w usta.

Kiedy wyszli z restauracji, stwierdzili, że mżawka, która padała bezustannie od południa, wydaje się już zadomowiona w Elizondo i nieprędko zamierza odejść. Amaia głęboko odetchnęła wilgotnym powietrzem i przypomniała sobie, jak okropnie nienawidziła tego deszczu w dzieciństwie i jak bardzo

tęskniła za niebieskim, bezchmurnym niebem lata, które w Baztán zawsze było zbyt krótkie i zbyt odległe. Przez całe popołudnia patrzyła przez szyby na znienawidzony deszcz. Zachodziły mgłą od jej oddechu. Musiała je przecierać dłonią owiniętą rękawem sweterka i zaciśniętą w pięść, i cały czas marzyła o tym, żeby uciec jak najdalej, o tym, że kiedyś opuści to miejsce.

– Ale zimno! – krzyknął James. – Wracamy!

Amaia dygotała w płaszczyku, ale zamiast zagłębić się w uliczki prowadzące do domu, zatrzymała się na chwilę, jakby unieruchomiona przez jakieś wezwanie, a potem ruszyła w przeciwnym kierunku.

– Poczekaj chwilę – poprosiła.

– Mogę wiedzieć, dokąd się wybierasz? – spytał James. Starał się za nią nadązać i osłonić ją parasolem.

– Już, zaraz, chcę tylko coś zobaczyć – powiedziała, zatrzymując się przed tablicą z nekrologami na drzwiach zakładu pogrzebowego Baztán, o tej porze zamkniętego i pogrążonego w ciemnościach.

Odstąpiła o krok, żeby światło ulicznych latarni stojących za jej plecami mogło oświetlić nekrolog, który tego popołudnia z daleka przyciągnął jej uwagę. Teraz wiedziała już dlaczego. Córki wybrały do niego tę samą fotografię, którą pamiętała z przedpokoju, tę, na której Lucía Aguirre pozowała uśmiechnięta i ufna, w pasiastym sweterku, który miała na sobie w dniu śmierci. Bez wątplenia musiało to być jej ulubione ubranie, jedno z tych, które kobieta wybiera, żeby dobrze wyglądać, żeby się podobać, żeby zrobić sobie studyjne zdjęcie. Takie ubranie, które kobieta wkłada, żeby zrobić wrażenie na mężczyźnie. Wesoly i rzucający się w oczy strój, który nie miał służyć do tego, żeby w nim umierać ani żeby stać się całunem oblekającym widmo ukazujące się policjantce. Choć fotografia mówiła sama za siebie, Amaia przeczytała nekrolog dwa razy: „Lucía Aguirre, pięćdziesiąt dwa lata, jej córki Marta i María, jej wnuki i reszta rodziny”. Wspomniano nawet o parafii w Pampelunie, do której należała. Cóż więc robił nekrolog Lucii Aguirre w dolinie Baztán?

Wymacała komórkę w kieszeni płaszcza. Wiedziała, że zapisała numer jednej z jej córek. Nigdy nie mogła sobie przypomnieć której. Sprawdziła, która godzina, i pomyślała, że jest za późno, żeby dzwonić, ale i tak przycisnęła zielony klawisz.

– Pani inspektor Salazar? – odpowiedział młody głos. Z pewnością ona także miała jej numer.

– Dobry wieczór, Marto – zaryzykowała. – Przepraszam, że dzwonię tak późno, ale muszę ci zadać pytanie.

– Proszę się nie przejmować, oglądałam telewizję. Proszę pytać.

– Jestem w Elizondo i na tablicy domu pogrzebowego Baztán zobaczyłam nekrolog waszej matki. Jestem ciekawa dlaczego.

– No cóż, mama od dziecka mieszkała w Pampelunie, ale urodziła się w dolinie. Myślę, że miała jakieś dwa lata, kiedy wraz z dziadkami przyjechała do miasta. Dziadek zmarł, kiedy mama była dzieckiem. Babcia jest bardzo stara, jest w domu opieki. Miała siostrę, która też mieszkała tutaj, w mieście, i zmarła przed ośmioma laty. Nie mamy innych krewnych, ale wydawało nam się, że wypada tak zrobić. Pamiętam, że kiedy zmarła ta ciotka mojej mamy, mama zajęła się wszystkimi sprawami związanymi z pogrzebem i też zamówiła nekrolog w Baztán. Wie pani, to taki wiejski zwyczaj. A nuż ktoś pamięta naszą rodzinę.

– Dziękuję, Marto. Przekaż kondolencje siostrze. Przepraszam, że ci przeszkodziłam.

– Proszę tak nie mówić, jesteśmy pani dłużniczkami.

Wiosna 1980 roku

Juan wpatrywał się w kleistą masę, która obracała się w mieszalniku, rozgarniana mechanicznymi łopatkami. Kupili tę maszynę zaledwie przed kilkoma miesiącami i – jak Rosario słusznie przewidziała – produkcja wzrosła tak szybko, że mogli pozwolić sobie na przyjęcie nowych klientów, dla których wcześniej nie starczało towaru. Juan rozmyślał o tych dawnych czasach. Czasach, kiedy jego żona była w ciąży najpierw z Florą, potem z Rosaurą, i kiedy marzył o chłopcu, o synu, który zagwarantowałby przetrwanie nazwiska Salazar. W końcu miał tylko jedną siostrę, Engrasi, i wiedział, że jeśli nie urodzi mu się syn, jego ród wygaśnie. Nie było to dla niego tak ważne, kiedy urodziła się Flora, ale potem, przy drugiej córce, Rosaurze, poczuł się zawiedziony. Chciał syna. Oczywiście krył się z tym przed Rosario, ale czuł się gorzej, do tego stopnia, że jego własna matka ostrzegła go:

– Lepiej rób dobrą minę do złej gry, synu, jeśli nie chcesz, żeby twoja żona zabrała dziewczynki i wróciła do San Sebastián. Zamiast się naburmuszać, powinieneś dziękować Bogu. Kobieta jest warta tyle samo co mężczyzna, a niekiedy więcej.

Od tamtych czasów przechowywał w szufladzie w kantorku listę imion dla dziewczynki i dla chłopca, którą sporządzili z Rosario, kiedy była w pierwszej ciąży i z której ona wybrała imiona dla dziewczynek. Rzucił okiem na ciasto, które ciągle wirowało, podszedł do szuflady, wyciągnął z niej listę i położył na stole. Na papierze wyraźnie odznaczały się dwie linie, w miejscach, gdzie przez lata był złożony na czworo. Teraz dołączyły do nich widoczne zgięcia i naderwany róg. Przed chwilą jego żona zmiała listę, rzuciła mu ją w twarz i wypadła z wytwórni.

Nie ulegało wątpliwości, że był głupcem. Dlaczego tak się

upierał w kwestii imienia?

– Musimy pomyśleć o imieniu dla dziecka.

– Jeszcze za wcześnie na to – odparła i dodała, żeby zmienić temat: – Przygotowałeś już zamówienie dla państwa Azkune?

– Nie jest za wcześnie! Przecież jesteś już w piątym miesiącu! Dziecko jest już wielkości mojej dłoni, przyszła pora na wybranie imienia. Rosario, no proszę, ty wybierz. Tu masz listę. Powiedz, które ci się podoba – nalegał, podsuwając jej papier pod nos.

Zamarł, kiedy wyrwała mu listę z ręki, odwróciła się tyłem, nachyliła się, jakby udając, że czyta, po czym, patrząc na niego z ukosa, nie podnosząc wzroku, wydusiła:

– Imię, imię... Czy ty wiesz, co to jest?

Nie wiedział, co odpowiedzieć.

– To spis zmarłych.

– Rosario...

– Spis zmarłych, a zmarli nie potrzebują imion, zmarli nie potrzebują niczego – mamrotała półgłosem, spoglądając na niego spod kosmyków włosów, które wymknęły się z koka i spadały na czoło.

– Rosario... Co ty mówisz? Przerażasz mnie.

– Nie bój się – powiedziała już normalnym tonem, podnosząc głowę. – To taka zabawa.

Wpatrywał się w nią i usiłował przełknąć ślinę, ale ze strachu w gardle miał gulę. Poczul w ustach tak kwaśny smak...

Zmiała papier w kulkę i rzuciła mu w twarz, a potem wyszła.

– Schowaj to tam, gdzie było – dodała. – Są tu też męskie imiona i, uwierz mi, byłoby lepiej, żeby tym razem był chłopiec, bo jeśli urodzi się mała dziwka, nie będzie potrzebowała imienia.

Położyła się obok Jamesa, przekonana, że tej nocy nie zaśnie. W jej głowie kłębiło się wszystko to, czego się niedawno dowiedziała. Trzy pozornie niezwiązane ze sobą zbrodnie popełnione przez trzech brutalnych przestępców w trzech różnych miejscach. We wszystkich trzech przypadkach taka sama amputacja, we wszystkich odcięta kończyna zniknęła z miejsca zbrodni, wszyscy trzej zabójcy popełnili samobójstwo w więzieniu albo będąc pod nadzorem, i wszyscy zostawili na ścianie to samo słowo. Tylko Medina zaadresował list do niej i wręczył go jej osobiście. Choć sposób, w jaki Quiralte upierał się, że tylko jej zdradzi, gdzie są zwłoki, także można było uznać za osobiste doręczenie. A to najnowsze odkrycie, że Lucía Aguirre urodziła się w dolinie Baztán, otwierało nowe możliwości. Może to właśnie łączyło wszystkie trzy zabójstwa. Musi się jak najszybciej dowiedzieć, kim była ofiara z Logroño. Jak ona się nazywała? Nie przypominała sobie, żeby w raporcie, który wręczył jej Padua, wymieniono nazwisko ofiary. Popatrzyła po raz kolejny na zegarek i stwierdziła, że jest niemal wpół do drugiej. Przypuszczała, że około drugiej Ibai zacznie się domagać jedzenia, więc i tak będzie musiała wstać. Zamierzała to wykorzystać i zrobić listę rzeczy, które będzie musiała sprawdzić. Zaczęła je porządkować w głowie – i zasnęła.

Była nad rzeką i słyszała chłupot, chociaż nie mogła dojrzeć lamii rytmicznie uderzających o wodę błoniastymi stopami. Lucía Aguirre z poszarzałą twarzą, jakby pokrytą warstwą popiołu, obejmowała się w pasie lewą ręką i z przerażeniem patrzyła na kikut prawej, zwisający smutno, ucięty na wysokości łokcia. Tym razem nie było wiatru, a chłupot rzeki, przypominający odgłos ulewy, ustał w chwili, gdy pełne lęku spojrzenie Lucii spotkało się z jej spojrzeniem. Jak zwykle zaczęła powtarzać swoją wyliczankę, ale tym razem Amaia

mogła ją usłyszeć. Głos był suchy i szorstki od piasku, którym Lucía miała zapchane gardło, ale Amaia zrozumiała, że to, co mówi, to nie: zabierz go, łapaj go ani targaj go. Lucía mówiła: *tarttalo*.

Cicha skarga dziecka, które budziło się ze snu, wystarczyła, żeby wróciła do rzeczywistości. Popatrzyła na zegarek i zdumiała się: była czwarta nad ranem.

– Mój ty mały bohaterze, coraz dłużej wytrzymujesz bez jedzenia. Kiedy wreszcie prześpisz całą noc? – szeptała, biorąc go na ręce.

Nakarmiła go, zmieniła mu pieluszkę i włożyła z powrotem do łóżeczka.

– James – powiedziała cichutko.

– Tak?

– Idę do pracy. Ibai już zjadł, będzie spał do rana.

James mruknął coś i przesłał jej w powietrzu pocałunek.

W nocy ogrzewanie w komisariacie nastawiano na minimum, więc wchodząc do gabinetu, ucieszyła się, że ma na sobie gruby wełniany sweter i puchową kurtkę, którą James kazał jej wkładać. Włączyła komputer i naląła sobie kawy z automatu. W myślach porządkowała listę spraw do załatwienia. Usiadła za biurkiem i zaczęła od ponownego przeczytania tego, co raport Paduy mówił o sprawie z Logroño. Dobrze pamiętała, że nie padło w nim nazwisko ofiary. Znalazła jedynie wzmiankę o inicjałach: I.L.O.

Weszła do wyszukiwarki i zaczęła od bibliotek czasopism. W głównych dziennikach z La Rioja znalazła sporo wzmianek o samej zbrodni i o jej sprawcy, Luisie Cantero, ale nic o ofierze. Ale po jakimś czasie znalazła artykuł, w którym opisywano sprawę sądową i wymieniono imię ofiary: Izaskun L.O., a potem następny, o wyroku za zabójstwo I. López Ormazábal.

Izaskun López Ormazábal. Wpisała to do programu do identyfikowania ludzi i po kilku sekundach zobaczyła wszystko, co tam mieli, razem z numerem DNI.

Izaskun López Ormazábal.

Córka Alfonsa i Victorii.

Urodzona w Berroeta, Navarra, 28 sierpnia 1969 roku.
Zmarła...

Przeszył ją zimny dreszcz. Urodzona w Berroeta, małej wiosce zaledwie dwanaście kilometrów od Elizondo, oczywiście w dolinie Baztán. Niemal przyprawiło ją to o mdłości. Odetchnęła głęboko, wyzwalając napięcie, które nagromadziło się w jej ciele w ciągu ostatnich godzin, i rozejrzała się w milczeniu, szukając w cichej, pustej sali kogoś, z kim mogłaby się podzielić, zarówno swoim odkryciem, jak i niepokojem, który w niej wywołało. Nie była zadowolona, że jej podejrzenia się potwierdziły, bo zdała sobie sprawę, że otchłań, której istnienie zaledwie przeczuwała, naprawdę cały czas istniała, i choć była nie mniej rzeczywista wtedy, kiedy ona jeszcze nie wiedziała o jej istnieniu, teraz nabrała nowych, przerażających cech. Z jej rodzinnej ziemi wznosiło się ku niej gorące, tętniące wezwanie, podsycane krwią ofiar, które nie zamilknie, póki nie uda jej się dotrzeć do prawdy. Wiedziała, że nie będzie to łatwe, ale była pewna, że jej się uda. Była gotowa na wszystko, choćby musiała zstąpić do piekieł i stawić czoło demonowi, który – jakby zabawiając się z nią – zwrócił na siebie jej uwagę, wypisując na ścianach imię bestii. Bestii, która pożerała pasterzy, dziewice, owieczki, bestii żywiącej się krwią niewiniątek.

Jakby odpowiadając na jej modły, do gabinetu wszedł podinspektor Etxaide. W każdej ręce miał kartonowy kubek z kawą.

- Dyżurny powiedział mi, że tu panią znajdę.
- Witaj, Jonanie. Zdajesz sobie sprawę, która jest godzina?
- spytała, spoglądając na zegarek.
- Po szóstej – odpowiedział i podał jej kubek.
- Co tu robisz tak wcześnie?
- Nie mogłem spać. W hostelu, w którym mieszkam, około dwudziestu facetów świętowało wieczór kawalerski – powiedział, jakby uważał, że to wszystko tłumaczy. – A pani?
- Amaia uśmiechnęła się i przez następne dwadzieścia minut wprowadzała go w swoje ostatnie odkrycia.
- Sądzi pani, że było więcej takich przypadków?

– Coś mi mówi, że tak.

– Moglibyśmy poszukać kobiet ofiar przemocy ze strony mężczyzn, które zostały okaleczone – zasugerował Jonan, otwierając laptopa.

– To zbyt ogólne – stwierdziła. – Okaleczenie nie musi oznaczać amputacji, może to być zranienie albo skaleczenie, a to niestety jest bardzo częste. A do tego jestem pewna, że w większości przypadków informacja o tym, że zginęła amputowana kończyna, została utajniona.

– A gdybyśmy szukali ofiar, które urodziły się albo mieszkały w dolinie Baztán?

– Też już o tym pomyślałam. Ale zwykle w przypadku zabójstwa miejsce urodzenia ofiary nie ma znaczenia. W większości spraw wymienia się je jedynie w akcie zgonu.

– Możemy zacząć właśnie od tego. Zgony są odnotowywane w Rejestrze Cywilnym. Powinni tam mieć listę ludzi, którzy zostali zamordowani – powiedział, wprowadzając dane do komputera.

Amaia siorbała kawę, bezskutecznie próbując ogrzać dłonie o papierowy kubek. Muszę sobie przynieść filiżankę, pomyślała i spróbowała spojrzeć w okno, ale szyba oddała jedynie jej własne odbicie na tle nocnych ciemności, w których dolina Baztán wciąż jeszcze była pogrążona.

– Zakłady pogrzebowe – powiedziała nagle.

– Co?

– Rodzina Lucíi Aguirre zamówiła nekrolog. Wisi na tablicy zakładu pogrzebowego Baztán. Nie byłoby dziwne, gdyby także w przypadkach tych zgonów, o które nam chodzi, wywieszano nekrologi, odprawiano msze, a nawet żeby któraś z ofiar urodzonych w dolinie została tu pochowana, w rodzinnej wsi, choć w chwili śmierci mieszkała gdzie indziej.

– O której otwierają? – spytał, patrząc na zegarek.

– Nie sądzę, żeby otwierali przed dziewiątą. Przeważnie mają pogotowie telefoniczne, które działa dwadzieścia cztery godziny na dobę – odparła, znów spoglądając w stronę okna. Słumiona daleka poświata zapowiadała pierwsze ranne zorze. – Muszę rano załatwić kilka spraw, ale jeśli dam radę, chętnie pojeżdżę

z tobą po zakładach pogrzebowych. W Elizondo są chyba dwa. Poszukaj. Może w innych miejscowościach znajdziesz jeszcze jakiś, ale nie dzwoń do nich. Lepiej osobiście z nimi porozmawiać, to im odświeży pamięć.

Wsiadła do samochodu, nie zdejmując puchówki, i powoli ruszyła opustoszałymi ulicami. Jechała z opuszczoną szybą i nasłuchiwała ptasich rozmów, szczególnie głośnych o świcie. Przejeżdżając przez Txokoto, skręciła, żeby dojechać na tyły rodzinnej wytwórni ciast. Spodziewała się, że o tej porze będzie zamknięta. Zatrzymała się i oświetliła reflektorami ścianę. Ktoś wypisał grubymi krechami: KURWA ZDRAJCZYNI. Przez minutę patrzyła bez ruchu. Im więcej razy czytała te bazgroły, tym bardziej wydawały się pozbawione sensu. Wsiadła do samochodu, wrzuciła wsteczny i ruszyła do domu. W progu natknęła się na ubierającą się do wyjścia Ros. Przywitała się z nią, nie wspominając o gryzmołach na murze piekarni. Weszła do cichego domu, w którym wszyscy jeszcze spali, i zauważyła, że w salonie, który w przeciwieństwie do reszty domu nie miał ogrzewania gazowego, temperatura w nocy spadła o kilka stopni. Przykucnęła obok kominka i zaczęła odprawiać kojący rytuał rozpalania ognia. Pewnymi ruchami robiła to, czego się nauczyła jeszcze w dzieciństwie i co zawsze, nie wiedząc czemu, przynosiło jej spokój.

Kiedy płomienie zaczęły lizać grube bierwiona, wstała i popatrzyła na zegarek. Obliczyła, która godzina jest w Luizjanie. Wyciągnęła komórkę, poszukała numeru agenta Dupreego i wcisnęła przycisk. Poczula, że serce, ściśnięte ze strachu, staje jej w piersi na jedno uderzenie. Wewnętrzny głos krzyknął, żeby tego nie robiła. Kazał jej odłożyć telefon dokładnie w tej samej chwili, gdy ciepły głos agenta Aloisiusa Dupreego odpowiedział z Nowego Orleanu.

– Dobry wieczór, pani inspektor Salazar. A może powinienem powiedzieć: dzień dobry?

Amaia odetchnęła głęboko, a potem odpowiedziała:

– Witaj, Aloisius. Właśnie świta.

Usiłowała opanować drżenie, które opanowało całe jej ciało, mimo że ogień w kominku buzował, pożerając suche szczapy.

– Jak się masz, koleżanko? – Jego głos był tak ciepły i wyrozumiały, jakim go pamiętała.

– Jestem zagubiona. Dzieje się wiele rzeczy naraz, może zbyt wiele – wyznała.

Nie udałooby jej się go oszukać. Zresztą jaki sens mogły mieć te ich poranne rozmowy, jeśli nie miała z nim być całkiem szczerą?

– Jestem w Baztán. Prowadzę dochodzenie i dlatego tu przyjechałam. Nie jest to nic poważnego, musiałam się tym zająć głównie z powodu zaangażowania obywatelskiego moich przełożonych, ale odkryłam, że drugie śledztwo, które jednocześnie prowadzę, może mieć korzenie w dolinie. Nie wiem jeszcze, jak to wyjaśnić, ale przeczuwam, że to jedna z tych spraw, które... Z jakiegoś powodu zabójca usiłuje nawiązać ze mną jakąś więź. Jak w podobnych przypadkach, o których uczyłam się w Quantico. *Modus operandi* pasuje do osobnika typu Kuba Rozpruwacz, z tych, co to nawiązują kontakt z policją, z tym że ten robi to w jakiś pokretny sposób i zaczynam podejrzewać, że może chodzić o bardziej skomplikowaną osobowość. – Na chwilę zamilkła, żeby uporządkować myśli.

– Na ile bardziej skomplikowaną?

– Nie odważam się nawet jeszcze myśleć w tych kategoriach. Wiemy, że sprawcy zabójstw to kryminaliści niskich lotów: drobne rabunki, kradzieże, oszustwa, no i wszyscy stosują przemoc wobec kobiet. Wszyscy zamordowali kobiety, z którymi byli związani, a one, jak już ustaliłam, były związane z doliną Baztán. Jedna mieszkała tutaj, inne tu się urodziły...

– Znów zamilkła. Nie wiedziała, co jeszcze powiedzieć. – Wiem, że to się wydaje strasznie naciągane, ale, Dupree, czuję w głębi serca, że w całej tej historii jest o wiele więcej, niżby się zdawało. Ale najgorsze jest to, że nie wiem, od czego zacząć – próbowała się usprawiedliwić.

– Ależ oczywiście, że wiesz, od czego zacząć, koleżanko Salazar. Musisz zacząć...

– ...od początku – dokończyła tonem zdradzającym głębokie zniechęcenie.

– A początkiem było?

– Zabójstwo Johany Márquez – odparła.

– Nie – przerwał jej sucho.

– To była pierwsza zbrodnia, przy której doszło do amputacji. Może były inne, przed nią, ale o tej dowiedziałam się najpierw... jej ojczym... jej zabójca zostawił dla mnie notatkę, zanim popełnił samobójstwo, i to doprowadziło do wszczęcia śledztwa.

– Ale od czego się zaczęło? – spytał znów Dupree, niemal niesłyszalnie.

Dreszcz przebiegł jej po plecach i niemal poczuła, jak kolce kolcolistu drapią jej ubranie, jakby szła wąską ścieżką do grotty bogini Mari. Usłyszała delikatne pobrzękiwanie złotych bransolet, zobaczyła długie blond włosy sięgające bogini do pasa i jej półuśmiech władczyni albo czarownicy. A potem przypomniała sobie, jak powiedziała: „Widziałam, jak jakiś mężczyzna wszedł do jednej z tych jaskiń, z pakunkiem. Nie miał go, kiedy wychodził”.

A jeszcze potem, na jej pytanie: „Widziałaś jego twarz?”, odpowiedziała wymijająco: „Widziałam tylko jedno oko”. Po drugiej stronie linii Aloisius westchnął. Zabrzmiało to odległe i wodniście.

– No i widzisz? Wiedziałaś! Teraz musisz wrócić do Baztán.

Zdziwiła się.

– Aloisius, przecież jestem tu od dwóch dni.

– Nie, pani inspektor Salazar, jeszcze pani nie wróciła.

Pożegnała się i przez kilka sekund stała nieruchomo, wpatrując się w ekran komórki.

– Nie powinnaś tego robić.

Ciotka Engrasi patrzyła na nią ze schodów. Przestraszyła ją tak, że telefon wypadł jej z ręki i poleciał aż na drugi koniec pokoju. Wpadł pod jeden z foteli uszaków stojących przed kominkiem.

– Ależ ciociu! Wystraszyłam się! – powiedziała, schylając się i niezgrabnie próbując wymacać telefon pod fotelem.

Ciotka zeszła niżej, nie spuszczając jej z oka. Patrzyła na nią ponuro.

– A nie boisz się tego, co robisz?

Amaia wyprostowała się z komórką w rękę i poczekała, aż jej tętno się uspokoi, a potem odpowiedziała:

– Wiem, co robię, ciociu.

– Doprawdy? – zakpiła ciotka. – Naprawdę wiesz, co robisz?

– Muszę znać odpowiedź – próbowała się usprawiedliwić.

– A ja mogę ci jej udzielić – odparła Engrasi, kierując się do kredensu i biorąc do ręki pakunczek owinięty w czarny jedwab, zawierający talię kart do tarota.

– Musiałabym jeszcze, ciociu, wiedzieć, jak brzmią pytania. Ty mnie tego nauczyłaś, a ja tym razem nie wiem, nie znam pytań. Rozmowy z nim mi pomagają, nie zapominaj o tym, kim jest. To jeden z najlepszych ekspertów FBI od zaburzeń zachowania i od zachowań przestępczych. Jego zdanie jest bardzo cenne.

– Zabawiasz się rzeczami, które są poza twoim zasięgiem, dziecko – powiedziała ciotka z wyrzutem.

– Ufam mu.

– Na litość boską, Amaio. Naprawdę nie widzisz, że wasza relacja jest nienaturalna?

Amaia już miała odpowiedzieć, ale powstrzymała się, widząc, że James schodzi po schodach z Ibaiem na rękach, już ubranym do wyjścia.

Ciotka ostatni raz spojrzała na nią z wyrzutem, odłożyła karty na miejsce i poszła do kuchni robić śniadanie.

Juanitaenea stała na tyłach hostelu Trinkete, na kawałku płaskiej żyznej ziemi, otoczona ogrodami. Najbliższe siedziby ludzkie znajdowały się około trzystu metrów dalej i tworzyły skupisko kontrastujące z samotnym kamiennym domem, omszałym i pociemniałym od starości. Niedawny deszcz zmoczył fasadę. Nabrała koloru herbatnika.

Obszerny okap, oparty na rzeźbionych belkach, wystawał na ponad półtora metra poza obrys murów, chroniąc przed wilgocią ostatnią kondygnację, która wydawała się przez to jaśniejsza. Wejście do domu znajdowało się na pierwszym piętrze. Dochodziły tam zewnętrzne schody, ciasne i pozbawione poręczy, sprawiające wrażenie, że wystają ze ściany jak wąski, bezkształtny wyrostek. Na parterze dwa półkoliste łuki flankowały fasadę, chroniąc znajdujące się pod nimi framugi, w które wprawiono prowizoryczne drzwi z nieheblowanych desek. Pomiędzy nimi widniały wielkie kwadratowe wrota nabijane blachą, która, mimo że zardzewiała, nadal dawała świadectwo wspaniałej kowalskiej roboty miejscowego rzemieślnika. Zrobiono ją przed laty, kiedy staranność i dbałość o efekt były jeszcze ważne. *Caserío* stało pośrodku należących do niego gruntów. Za domem widać było grupę starych dębów i buków i wierzbę płaczącą, którą Amaia pamiętała z dzieciństwa już jako ogromne drzewo.

Wejście na teren posiadłości znajdowało się od frontu. Po jednej stronie domu rozciągał się uprawny ogród warzywny o powierzchni dziesięciu arów, starannie przekopany i obsadzony.

– Od kilku lat ogrodem zajmuje się pewien człowiek. Dostarcza mi warzyw, a przede wszystkim utrzymuje go w porządku. Dzięki temu nie wygląda to tak jak cała reszta – ciotka Engrasi szerokim gestem wskazała na frontową ścianę, pod którą można było zobaczyć resztki rusztowań,

plastikowych wiader i niedających się zidentyfikować pozostałości po czymś, co kiedyś było starymi meblami.

Entuzjazm Jamesa trochę osłabł, kiedy zobaczył drzwi na końcu dziwacznych schodów.

– Musimy tamtędy wchodzić? – spytał, patrząc nieufnie na stopnie.

– Są też schody wewnętrzne. Można się nimi dostać na drugie piętro od strony stajni – wyjaśniła Engrasi, wręczając mu klucz i wskazując na spięte kłódką łańcuchy, zabezpieczające jeden z otworów pod łukiem.

Stare drzwi z desek stawily pewien opór, ale Jamesowi udało się je popchnąć do środka. Engrasi przekreśliła włącznik i gdzieś wysoko w górze zakurzona żarówka rozbłysła wątlým pomarańczowym światłem. Rozproszyło się wśród belek.

– Dlatego właśnie nalegałam, żebyśmy przyszli rano. Nie ma tu zbyt dużo światła – powiedziała, kierując się w stronę okien, także zabezpieczonych deskami, pokrytych kurzem i mnóstwem pajęczyn. – James, jeśli mi pomożesz, spróbujemy otworzyć jedno z tych okien.

Miedziane klamki sprawiały wrażenie zablokowanych, ale w końcu ustąpiły. Okna otworzyły się do środka, pozwalając, żeby poranne światło wpadło do mrocznego wnętrza całymi strugami i pyłem zawieszonym w powietrzu narysowało idealne linie.

James obracał się wokół własnej osi, z niedowierzaniem przyglądając się wnętrzu.

– Matko droga! Ależ to wszystko ogromne! I jak tu wysoko! – wykrzykiwał, zachwycony grubymi belkami podtrzymującymi sufit, przebiegającymi od ściany do ściany.

Engrasi uśmiechnęła się do Amai.

– Chodźcie tędy – powiedziała, wskazując na prowadzące na górę dwubiegowe schody z ciemnego drewna.

James był zdumiony.

– To niewiarygodne, takie schody w stajni...

– Nie, dlaczego... – powiedziała Amaia. – Przez całe wieki stajnia była najważniejszym pomieszczeniem w domu. To było tak, jakby dzisiaj mieć schody do garażu.

– Uważajcie przy wchodzeniu, nie wiem, czy drewno jest w dobrym stanie – ostrzegła ciotka.

Drugi poziom był podzielony na cztery wielkie pokoje oraz kuchnię i łazienkę, pozbawioną wszelkich urządzeń sanitarnych z wyjątkiem ciężkiej żeliwnej wanny na lwich łapach. Amaia pamiętała ją z dzieciństwa. Małe okienka, głęboko osadzone w grubych murach, miały żaluzje z drewna. Były także wewnętrznymi okiennicami. Pokoje były całkowicie puste, a z dawnej kuchni pozostał jedynie kominek, dwa razy większy od tych, które stały w pozostałych pokojach, zbudowany z tego samego kamienia co ściany i poczerniały po latach używania.

– Sama nie wiem, dlaczego się spodziewałam, że będą tu meble – powiedziała Amaia.

Engrasi pokiwała głową.

– To były dobre meble, w większości ręcznie robione. Przypadły w spadku twojemu ojcu, razem z wytwórnią ciast. Ja otrzymałam ten dom, ziemię, która go otacza, i sporo pieniędzy. Rozumiesz, on był mężczyzną i chciał się zająć firmą. Ja wyjechałam na studia, potem mieszkałam w Paryżu i wróciłam dwa lata przed śmiercią twojej babki. Następnego dnia po odczytaniu testamentu twoja matka zamówiła ciężarówkę do przewozu mebli i opróżniła dom.

Amaia nic nie powiedziała. Nie pamiętała, żeby którykolwiek z mebli babki Juanity pojawił się w domu jej rodziców.

– Z pewnością je sprzedała – szepnęła po chwili.

– Tak, ja też tak sądzę.

Usłyszały, jak James biega po pokojach jak rozentuzjasmowane dziecko po parku rozrywki.

– Amaia, a to widziałaś? – spytał, otwierając francuskie okno, przez które można było wyjść na wąskie schody osadzone w fasadzie.

– Z pewnością zostało to tak pomyślane na wypadek, gdyby dom zasypał śnieg albo była powódź, choć nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek ktoś użył tych schodów. Najbezpieczniej byłoby zabić to okno na stałe albo nawet замуrować – zasugerowała Engrasi.

– Nie ma mowy – odparł James, zamykając okno, i pobiegł na górę, na ostatnią kondygnację, wewnętrznymi schodami, które zwęzwały się tam do jednego biegu.

Amaia podążyła jego śladem. Niosła Ibaia w nosidelku na piersi i nucila mu piosenkę. Ibai wydawał się podzielać entuzjazm ojca i rozradowany kopał nóżkami.

Strop na strychu miał niewielkie nachylenie, nie zmniejszał za bardzo powierzchni. W dachu było kilka okrągłych okienek, przez które wpadało zimowe słońce, oświetlając ogromne, niepodzielone pomieszczenie. Na środku stała kołyska Ibaia. Tak przynajmniej Amaia pomyślała, kiedy ją zobaczyła.

– Ciociu! – zawołała, podchodząc do kołyski.

– Już idę, dziecko. Za dużo tych schodów dla moich biednych kolan – wysapała Engrasi, wdrapując się na strych.

Amaia odeszła na bok, żeby ciotka mogła zobaczyć kołyskę z ciemnego drewna. Ciotka spojrzała ze zdumieniem i przeniosła wzrok na Amaię. Nie wiedziała, co powiedzieć. James przyjrzał się mebelkowi z bliska.

– Jest taka sama jak nasza, identyczna. Gdyby nie to, że naszą sam pokryłem lakierem, przysięgłbym, że to ta sama.

– Ciociu, skąd się wzięła ta, która była u ciebie w domu? – spytała Amaia.

– Podarowała mi ją moja matka, kiedy wróciłam z Paryża i kupiłam sobie dom. Pamiętam, że stała w tym domu, w stajni, przykryta płótnem. Poprosiłam, żeby mi ją dała, bo chciałam jej używać jako skrzyni na drewno. Wydawała mi się śliczna z tymi rzeźbieniami, ale nie przypominam sobie, żeby były dwie. Przypuszczam, że te kołyski należały do was, do ciebie i twoich sióstr, a twoja babka Juanita je tu sprowadziła, kiedy przestałyście ich używać.

Amaia przejechała dłonią po zakurzonym drewnie i w tej samej chwili poczuła w ręce ból, jakby ją przeszył prąd. Odskoczyła do tyłu, wstrząśnięta, a Ibai zaczął płakać, przestraszony jej okrzykiem.

– Amaio? Wszystko w porządku? – zaniepokoił się James i podszedł do niej.

– Tak... – odparła, pocierając dłoń. Wydawała się zdrętwiała.

– Ale co ci się stało?

– Nie wiem. Może wbiłam sobie drzazgę w palec albo coś takiego.

– Daj, popatrzę – nalegał James.

Dokładnie obejrzał jej dłoń i stwierdził z uśmiechem:

– Nic tam nie masz, Amaio. Pewnie naciągnęłaś sobie mięsień, kiedy nagle wyciągnęłaś rękę.

– Może i tak – odpowiedziała bez przekonania.

Ciotka przyglądała im się ze schodów ze zmarszczonymi brwiami i z wyrazem twarzy, który Amaia знаła bardzo dobrze.

– Wszystko w porządku, ciciu – powiedziała, starając się, żeby to zabrzmiało uspokajająco. – Naprawdę. Ten strych jest wspaniały.

– Cały dom jest wspaniały, Amaio. O wiele lepszy, niż sobie wyobrażałem – powiedział James, rozglądając się z dziecięcą radością.

Potwierdziła z prawdziwym przekonaniem. Od chwili, kiedy zgodziła się pojechać do Juanitaenea, wiedziała, że James zakocha się w tym domu. To w nim spędzała niezliczone dni dzieciństwa, a jednak w jej wspomnieniach utrwalił się jedynie jako ciąg oddzielnych obrazów, jakby starych fotografii, na których jej babcia, *amatxi* Juanita, występowała na pierwszym planie, a dom gdzieś w tle, jako sceneria jej życia. Zeszła po schodach na środkowy poziom i przez chwilę słuchała, jak James opowiada ciotce o swoich planach. Potem chodziła od pokoju do pokoju i otwierała okiennice. Wyglądające zza chmur słońce oświetlało wszystko i ujawniało, w jak opłakanym stanie są tapety. Oparła się o szeroki parapet i popatrzyła w dal. Odszukała wieże kościoła Świętego Santiago. Wystawały ponad dachy domów pokropione nocnym deszczem i mokre od wilgoci niosącej się znad rzeki Baztán, wilgoci przenikającej dachówki i ludzkie kości, jak nad morzem. Biedne wyblakłe słońce, które ledwie grzało zza szyby, nie dawało rady wysuszyć całej tej wody. Ibai, znowu zadowolony, przymknął oczy i przytulił buzię do jej piersi, umykając przed rażącymi promieniami. Amaia pocałowała go w główkę. Wdychała zapach jego delikatnych jasnych włosów.

– No i co powiesz, kochanie moje? Co mam odpowiedzieć twojemu *aita*, kiedy zada mi pytanie? Chciałbyś zamieszkać w domu *amatxi* Juanity?

Wpatrywała się w synka. Dokładnie w tej samej chwili uśmiechnął się do niej. A potem zasnął.

– Właśnie chciałem cię spytać – powiedział James. Stał w drzwiach i z zachwytem patrzył na żonę i synka. – Co odpowiedział Ibai?

Odwróciła się i popatrzyła mu w oczy.

– Odpowiedział, że tak.

James jeszcze kilka razy przebiegł po całym domu. Dopiero potem zgodził się opuścić Juanitaenę.

– Zaraz zadzwonię do Manola Azpiroza. To mój przyjaciel, architekt, mieszka w Pampelunie. Będzie zachwycony, jeśli będzie mógł tu przyjechać – tłumaczył Engrasi, zamykając kłódkę na zaimprovizowanych drzwiach.

– Możesz go sobie zostawić – odparła ciotka, gdy chciał jej oddać klucz. – Będziesz go potrzebował, kiedy przyjedzie ten twój przyjaciel architekt zobaczyć dom. I jeśli o mnie chodzi, Juanitaenea już należy do was. Kiedy tylko będziemy mieli wolną chwilę, pójdziemy do notariusza załatwić papiery.

Z szerokim uśmiechem pokazał klucz Amaia.

– Klucz do naszego nowego domu, kochanie.

Amaia z udawaną dezaprobatą pokręciła głową i odeszła kilka kroków na bok, żeby podziwiać fasadę. Jego nazwę, Juanitaenea, wryto w kamieniu nad żelaznymi wrotami. Nad nią widniał herb Baztán z charakterystyczną szachownicą. Nagle wyczuła jakiś ruch za plecami, odwróciła się i zdążyła jeszcze zobaczyć pomarszczoną twarz, na próżno usiłującą się ukryć za tyczkami podtrzymującymi rośliny. Ciotka stanęła obok niej i głośno powiedziała do starego człowieka w ogrodzie:

– Esteban, to moja bratanica i jej mąż.

Wyprostował się i popatrzył na nich nieżyczliwie. Podniósł dłoń o grubych palcach i nie mówiąc ani słowa, wrócił do pracy.

– To oczywiste, że mu się nie spodobaliśmy.

– Nie miejcie mu tego za złe, to stary człowiek. Jest na emeryturze i od dwudziestu lat opiekuje się tym

warzywnikiem. Kiedy zadzwoniłam wczoraj do niego, żeby mu powiedzieć, że dom ma nowych właścicieli, zauważyłam, że przyjął to z niechęcią. Myślę, że obawia się, że nie będzie już mógł uprawiać tej ziemi.

– I powiedziałaś mu o tym wczoraj? Zanim jeszcze tu przyjechaliśmy, żeby zobaczyć dom, wiedziałaś, że będziemy nowymi właścicielami? – spytała rozbawiona Amaia.

Engrasi wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się tajemniczo.

– Mam swoje źródła.

James uściskał ją.

– Jesteś nadzwyczajna, wiesz? Jeśli o mnie chodzi, to możesz mu powiedzieć, że nie ma się czego obawiać. Jest tu tyle miejsca, że starczy i na ogród ozdobny, i na warzywnik. To doskonała sprawa mieć własne warzywa. Musisz mu tylko powiedzieć, że odtąd będzie musiał je dostarczać także nam.

– Porozmawiam z nim – powiedziała Engrasi. – To dobry człowiek. Co prawda zamknięty w sobie, ale zobaczycie, kiedy się dowie, że nadal będzie mógł tu pracować, jego nastawienie się zmieni.

– Nie jestem pewna... – Amaia znów popatrzyła na starego ogrodnika. Na wpół ukryty za krzewami okalającymi grządki zerkał na nich z ukosa.

Łagodne podmuchy wiatru rozpraszają resztki mgły, a między ciemnymi chmurami pojawiały się jaśniejsze miejsca. Przez następnych kilka godzin nie będzie padało. Amaia zapięła puchówkę, okrywając Ibaia przyciśniętego do jej piersi, i w tej samej chwili poczuła, że w jej kieszeni wibruje komórka. Spojrzała na wyświetlacz i odebrała.

– Tak, Iriarte, słucham?

– Szefowo, Beñat Zaldúa właśnie przyjechał, z ojcem.

Rzuciła okiem na niebo. Rozjaśniało się coraz bardziej.

– To dobrze. Proszę go przesłuchać.

– Myślałem, że pani to zrobi... – zająknął się.

– Nie, proszę się tym zająć. Ja mam coś ważnego do roboty.

Iriarte nie odpowiedział.

– Świetnie pan sobie poradzi – dodała Amaia.

Wyczuła, że jest zadowolony.

– Jak pani sobie życzy, szefowo.

– Aha, jeszcze jedna sprawa: dostaliśmy już raport lekarza sądowego na temat kości z kościoła?

– Nie, jeszcze nie.

Rozłączyła się i natychmiast wybrała numer Jonana.

– Jonanie, będziesz musiał sam pochodzić po domach pogrzebowych. Jestem spóźniona, a muszę koniecznie zrobić coś ważnego.

Opadłe jesienią liście zamieniły się w śliską brązowożółtą masę i dalsza jazda wznoszącą się w górę polną drogą okazała się niemożliwa. Amaia zaparkowała na poboczu i z trudem poszła dalej pieszo. Doszła do gęstej ściany drzew. Podłoże było twarde i suche, a wiatr, którego podmuchy przenikały ją na otwartej przestrzeni, tutaj, między drzewami, był ledwie wyczuwalny. Jego siłę zdradzało jedynie to, jak potężnie miotał gałęziami. Promienie słońca przenikające przez chwiejne korony drzew migotały jak gwiazdy na niebie w mroźną noc. Szmer potoku, który spływał po zboczu, wskazał jej kierunek. Przeszła przez kamienny mostek nad wodą, choć mogłaby sforsować ten wąski strumień, skacząc po suchych kamieniach w rozlewisku. Zajrzała do planu, który dostała od Paduy, i wspięła się przez poszycie kilkanaście metrów w górę, aż do wielkiej skały, za którą znajdowała się jaskinia. Popatrzyła za siebie, tam, skąd przyszła. Widok był dość rozległy, bo roślinność nie zdołała jeszcze zarosnąć karczowiska, które Gwardia Cywilna przed trzynastoma miesiącami wyrabiała w gąszczu, kiedy w jaskini odkryto ludzkie kości, należące do co najmniej dwunastu osób. Nagle ogarnęły ją wątpliwości. Wyciągnęła komórkę, żeby zadzwonić. Sapnęła z irytacją, stwierdzając, że nie ma zasięgu.

– Przyroda nas broni – szepnęła.

Wejście do jaskini było wystarczająco obszerne, żeby można się było dostać do środka bez pochylania się. Wyciągnęła z kieszeni potężną latarkę ledową i idąc za podszeptem instynktu, pistolet glock. Trzymając je w rękach, weszła w skalny korytarz. Skręcał lekko w prawo, a potem rozszerzał się w salę o powierzchni około sześćdziesięciu metrów

kwadratowych, w kształcie dość regularnego prostokąta. Zwęzał się ku końcowi, tworząc coś w rodzaju naturalnego leja wyciosanego w skałę. Sklepienie było nieregularne, w najwyższym miejscu osiągało około czterech metrów, a w najniższym zmuszało do schylania się. Było sucho i zimno, o kilka stopni mniej niż na zewnątrz, i pachniało ziemią i czymś słodkawym, czymś, co przypominało zapach kompostu. Obejrzała ściany i podłoże. Wydawały się czyste, bez żadnych resztek, choć w niektórych miejscach ziemia wyglądała na poruszoną. W pobliżu wejścia, tam gdzie ziemia była wilgotniejsza, znalazła kilka starych śladów stóp – i nic więcej. Jeszcze raz przejechała po ścianach potężnym strumieniem światła i wyszła. Schowała broń i latarkę. Czuliła, jak po plecach przechodzi jej dreszcz. Wróciła do wielkiej skały u wejścia i wdrapała się na nią. Rozglądając się wokół, znalazła miejsce, skąd bogini Mari zobaczyła nieznanego. Potem zeszła w dół, aż do strumienia, i idąc wzdłuż niego, dotarła do miejsca, gdzie rok wcześniej zatrzymali się wraz z Ros i Jamesem tego pamiętnego dnia. Wydawało jej się, że podejście było bardziej strome, i pomyślała, że może się myli, ale rozpoznała płaski taras porośnięty rzadką trawą, na którym Ros musiała zostać i odpocząć. Ścieżka, która się tam zaczynała, wydawała się zapraszać ją, żeby poszła dalej. Tym razem krzewy kolcolistu nie zagradzały drogi. Wyglądała na dość często używaną. Amaia wspinała się po łagodnym zboczu i z każdym krokiem była coraz bardziej spięta. Miała wrażenie, że obserwują ją tysiące oczu i że ktoś bardzo się stara nie roześmiać. Kiedy dotarła na szczyt, odczuła ogromną ulgę, że nikogo tam nie zastała. Podeszła do dużego kamienia w kształcie stołu i ze zdziwieniem stwierdziła, że leży na nim spora kupka rozmaitych odłamków skał. W myślach łajac się za zaniechanie, wróciła na ścieżkę, zabrała z niej podłużny kamień i dołożyła go do tych, które już tam były. Rozejrzała się po okolicy. W oddali widziała korony drzew. Wszędzie panował spokój. Po chwili jeszcze raz popatrzyła wokół, czując się jakoś głupio. Ruszyła na dół, tą samą ścieżką, którą przyszła. Przez chwilę miała chęć ulec pokusie i odwrócić się, ale przypomniła

sobie słowa Rosaury: „Musisz pójść, tak jak przysłaś, a kiedy już będziesz odchodzić, nigdy się nie odwracaj, żeby spojrzeć za siebie”. Szła i zastanawiała się, co spodziewała się zastać na górze i czy to, co zrobiła, było tym, co miał na myśli Dupree.

Wracała po swych własnych śladach, aż doszła do kamiennego mostku nad strumykiem i doznała wrażenia, że ktoś tam jest. W pierwszej chwili wydawało jej się, że widzi dziewczynę, ale kiedy przyjrzała się lepiej, stwierdziła, że się pomyliła, że zwiody ją refleksy słońca, które przenikały przez gałęzie drzew, oświetlając omszałe skały. Zrobiła jeden krok, popatrzyła znów i – jednak dziewczyna tam była. Mniej więcej dwudziestoletnia, siedziała kilka metrów od mostku, na śliskiej skale pośrodku rozlewiska, na tyle oddalonej od brzegu, że nie sposób było tam dotrzeć, nie wchodząc do wody. Choć okrywała się wełnianym szalem, miała na sobie krótką sukienkę, która odsłaniała jej długie nogi. Chociaż było zimno, moczyła stopy w wodzie. W tym pięknym widoku było coś niepokojącego i Amaia, sama nie wiedząc kiedy, sięgnęła po glocka. Dziewczyna podniosła głowę, spojrzała na nią, uśmiechnęła się i pomachała ręką.

– Dobry wieczór – powiedziała śpiwnym głosem.

– Dobry wieczór – odpowiedziała Amaia. Znów czuła się głupio.

Może to tylko turystka, która zeszła nad strumień, żeby wymoczyć nogi, pomyślała.

Oczywiście. Przecież to normalne: samotna kobieta w lesie z nogami w lodowatej wodzie, przy sześciu stopniach powyżej zera, zakpiła sama z siebie. Zaciśnęła rękę na chwycie pistoletu i wyciągnęła go z kabury.

– Przysłaś złożyć ofiarę? – spytała dziewczyna.

– Co? – szepnęła Amaia. Była zaskoczona.

– No wiesz, ofiarę dla pani tego miejsca.

Amaia nie odpowiedziała od razu. Przyglądała się dziewczynie, która zaczęła czesać długie włosy małym grzebykiem, jakby obecność nieznanego w gruncie rzeczy jej nie obchodziła.

– Bogini woli, żeby kamienie na ofiarę przynosić z domu.

Amaia przełknęła ślinę i zwilżyła usta językiem. Dopiero potem odważyła się odezwać.

– Tak naprawdę... nie to chciałam zrobić. Ja... ja czegoś szukałam.

Dziewczyna nadal nie zwracała na nią uwagi. Powoli i z doprowadzającą do szału starannością rozczesywała włosy. Po chwili Amaia poczuła, że ją to hipnotyzuje.

Nagle po jej karku spłynęła kropla zimnego potu. Odzyskała poczucie rzeczywistości i zdała sobie sprawę, że światło dnia błyskawicznie chowa się za górami, choć powinna być dopiero trzecia czy czwarta po południu. Zastanowiła się, jak długo tak naprawdę przyglądała się dziewczynie. W tej samej chwili w oddali zahuczał grzmot i silny poryw wiatru zakołysał koronami drzew.

– Nadchodzi...

Głos rozległ się tuż przy jej uchu. Podskoczyła i straciła równowagę. Padła na kolana. Starła się wycelować w stronę, skąd dochodził głos, gdzieś tuż obok.

– Ale nie znalazłaś tego, czego szukałaś.

Dziewczyna była teraz niespełna dwa metry od niej. Uśmiechała się. Siedziała na mostku z nogami spuszczoneymi w dół i chlupała stopami w wodzie. Z pogardą wykrzywiła się na widok pistoletu, który Amaia trzymała obiema rękami.

– To nie będzie ci potrzebne. Żeby widzieć, będziesz potrzebowała światła.

Amaia wpatrywała się w nią uporczywie, a przez jej umysł przepływały różne myśli. Potrzebuję światła, pomyślała.

– Nowego światła – dodała dziewczyna.

Nie patrząc na Amaię, podniosła się i na bosaka przebiegła odległość dzielącą ją od czegoś, co wyglądało na niewielki stosik jej rzeczy.

Sprzeciwiając się wewnętrznemu nakazowi, który krzyczał, żeby tego nie robiła, Amaia nachyliła się i spróbowała śledzić ją wzrokiem ponad niziutkim obramowaniem mostku, ale już nie mogła jej dostrzec, a nawet wydawało się, że nigdy jej tam nie było.

– A niech to – szepnęła bez tchu, rozglądając się, nadal z pistoletem w garści.

Po chwili popatrzyła w niebo i doszła do wniosku, że za

niespełna godzinę zapadnie zmrok. Nie miała zegarka, a cyfry na wyświetlaczu telefonu zatańczyły jak szalone i nie pokazały niczego. Schowała broń i rzuciła się biegiem w kierunku skraju lasu, z komórką w ręku. W pewnej chwili wyświetlacz odzyskał swój zwykły wygląd i pojawił się zasięg. Wybrała numer.

– Szefowo, dobrze, że pani dzwoni. Nie mogłem pani złapać. Udało mi się posunąć sprawy naprzód w zakładach pogrzebowych, dowiedzieć się czegoś o kobietach pochodzących z Baztán, które zmarły gwałtowną śmiercią. Opowiedziano mi o pewnych dość interesujących sprawach.

Amalia pozwoliła mu mówić. Starła się złapać oddech.

– Potem mi o tym opowiesz, Jonanie. Jestem na polnej drodze, która zaczyna się przy rozgałęzieniu szosy, tam na prawo, gdzie rozmawialiśmy ze strażnikami leśnymi, pamiętasz?

Wydawało się, że Jonan się waha.

– No dobrze, wyjadę na szosę, żebyś mnie zobaczył. Przywieź ze sobą sprzęt polowy, lampę z niebieskim światłem i luminol w sprayu.

Rozłączyła się i zadzwoniła jeszcze raz.

– Padua, tu Salazar – powiedziała szybko, przerywając mu.

– Mam pytanie. Kiedy znaleźliście kości w jaskini Arri Zahar, zbadaliście dokładnie to miejsce?

– Tak. Wszystkie kości zostały zebrane, oznaczone, sfotografowane i przebadane. Ale nie mieliśmy DNA, z którym moglibyśmy je porównać, więc nie doszliśmy do żadnych konkluzji. Z jednym wyjątkiem, jak pani wie: zidentyfikowaliśmy kości Johany Márquez.

– Nie mówię o ludzkich szczątkach, tylko o inscenizacji.

– Nie było żadnej inscenizacji, a w każdym razie nie rzucała się w oczy. Kości leżały byle jak, nie były ułożone w sposób, który wskazywałby na udział człowieka. Zresztą w pierwszej chwili właśnie tak pomyśleliśmy, że zawlokły je tam zwierzęta, a to z powodu śladów zębów i tego, że kości leżały rozrzucone na ziemi. Dopiero raport lekarza sądowego wykazał, że chodzi o ślady ludzkich zębów. To i jeszcze to, że wszystkie kości były kośćmi przedramion, przekonało nas, że sprawcą jest człowiek.

Oczywiście jaskinia została przeszukana i obfotografowana, ale nic nie wskazywało na to, żeby to ona była miejscem zbrodni. Pobrano próbki ziemi, aby wykluczyć, że znajdują się tam jakieś ukryte groby, i zbadano, czy nie ma śladów trupiego jadu. Gdyby były, dowodziłyby, że zwłoki rozkładały się tam, na miejscu.

Byli drobiazgowi, pomyślała Amaia, ale nie tak bardzo jak ona.

– Jeszcze tylko jedna sprawa, poruczniku. Ta zamordowana kobieta z Logroño... nie wie pan, czy miała jakąś rodzinę? Co się stało z jej zwłokami?

– Widzę, że przejęła się pani tym, co pani ode mnie usłyszała – powiedział z napięciem.

– Tak, i już zaczynam tego żałować – powiedziała niby żartem, ale była to prawda.

– Nie, nie wiem nic o jej rodzinie, ale zadzwonię na policję do Logroño, może oni będą coś wiedzieli. Zadzwonię do pani, jak tylko się czegoś dowiem.

Podinspektor Zabalza rzucił okiem na zegarek. Wyglądał przez ogromne okno. Do komisariatu zbliżał się samochód terenowy. Przejechał już przez bramę i wykonał kilka dziwnych manewrów. Na niewielkim garbie tuż przed parkingiem silnik zgąsł. Zapalił dopiero po kilku próbach i samochód potoczył się na miejsce dla interesantów. Gdy tylko się zatrzymał, natychmiast otworzyły się drzwi od strony pasażera i wysiadł chudy chłopak ubrany w dżinsy i czerwono-czarną puchówkę. Zza kierownicy z niemałym trudem wy dostał się nieco wyższy od chłopaka, lecz równie chudy mężczyzna, w wieku około czterdziestu pięciu lat. Ruszyli do drzwi i Zabalza zauważył, że cały czas utrzymywali dystans, jak gdyby była między nimi niewidzialna, nieprzekraczalna bariera, która sprawiała, że odległość między nimi się nie zmieniała. Odwrócił od nich wzrok, bo ogarnęło go uczucie, którego nie doznawał już od bardzo dawna, biorące się z osobistego przeświadczenia, że to nie odległość fizyczna najbardziej oddala od siebie ojców i synów. A więc to są Beñat Zaldúa i jego ojciec. Przybywa jedyny podejrzany, jakiego do tej pory udało im się znaleźć, a przewspaniała gwiazda policji ma ważniejsze sprawy niż

asystowanie przy przesłuchaniu.

Weszli pod okap i stracił ich z oczu. Czekał, patrząc na telefon.

– Podinspektorze Zabalza, przyszedł pan Zaldúa z synem. Mówią, że są z panem umówieni.

– Już schodzę.

Z bliska chłopiec okazał się niezwykle urodziwy. Czarna grzywa, kontrastująca z bardzo bladą cerą, spadała mu na czoło i częściowo zasłaniała oczy, co sprawiało, że siniak, który miał na policzku, widać było jeszcze wyraźniej. Trzymał ręce w kieszeniach i spoglądał nieobecnym wzrokiem w głąb korytarza. Ojciec podał Zabalzie spoconą dłoń i coś wymamrotał. Powitanie doleciało do podinspektora zmieszane z wyraźną wonią alkoholu.

– Proszę, tędy – Zabalza otworzył drzwi do jednego z gabinetów i poprosił ich, żeby weszli. – Poczekajcie chwilę – dodał, lekko dotykając ramienia chłopaka.

Chłopak wzdrygnął się z bólu.

Krew zawrzała Zabalzie w żyłach. Poczuł taki przyływ wściekłości, że z trudem się opanował. Wbiegł po schodach, skacząc po dwa stopnie naraz, zbyt pobudzony, żeby czekać na windę, i bez pukania wparował do gabinetu Iriartego.

– Beñat Zaldúa i jego ojciec są na dole. Ojciec cuchnie alkoholem, ledwo mu się udało zaparkować, a chłopak ma sińca na twarzy i przynajmniej jeszcze jednego na ramieniu. Musnąłem go, przechodząc, i niemal zemdlał z bólu.

Iriarte popatrzył na niego, ale nic nie powiedział. Opuścił pokrywę laptopa, wziął leżący na stole pistolet i włożył go do kabury.

– Dzień dobry – powiedział, siadając za biurkiem. Powiedział to tylko do chłopca. – Jestem inspektor Iriarte. Mojego kolegę już znasz. Jak ci mówiłem wczoraj przez telefon, chcemy ci zadać kilka pytań. Chodzi o twojego boga o agotach...

Czekał, aż chłopak coś zrobi, ale on siedział nieporuszony, z opuszczoną głową. Kiedy Iriarte pomyślał, że nie doczeka się odpowiedzi, skinął głową.

– Nazywasz się Beñat, Beñat Zaldúa. To agockie nazwisko...
– zasugerował Iriarte.

Chłopak podniósł głowę wyzywającym ruchem. Jego ojciec burknął niezrozumiale coś, co można było uznać za protest.

– I jestem z tego dumny – powiedział Beñat.

– To dobrze, człowiek powinien być dumny ze swojego nazwiska – odparł Iriarte pojednawczym tonem.

Chłopiec trochę się rozluźnił.

– I o tym właśnie piszesz w swoim blogu, o dumie z tego, że jesteś agotem.

– To przez te głupoty, które codziennie wypisuje, wplątał się w kłopoty. Tylko traci czas – rzucił ojciec.

– Niech pan pozwoli mówić synowi – nakazał Iriarte.

– Jest niepełnoletni – odparł ojciec bełkotliwie. – I będzie mówił tylko wtedy, jeśli ja zechcę.

Chłopiec skulił się na krześle. Długa grzywka całkowicie zasłoniła mu oczy. Zabalza zauważył, że trzęsie mu się broda.

– Jak pan woli – Iriarte udawał, że się poddaje. – Zmienimy temat. Powiedz mi, Beñat, co ci się stało, tu, pod okiem.

Nie podnosząc głowy, chłopak z nienawiścią spojrział na ojca i odpowiedział:

– Uderzyłem się o drzwi.

– Aha, więc o drzwi? Tak? A ramię? Ramieniem też uderzyłeś się o drzwi?

– Spadłem ze schodów.

– Beñat, chciałbym, żebyś wstał, zdjął kurtkę i podniósł koszulkę.

Ojciec zerwał się raptownie, zatoczył, zaplątał w nogi krzesła i potknął. O mało nie upadł.

– Nie ma pan prawa. Jest nieletni i zabieram go do domu, już, od razu – powiedział i złapał syna za ramię.

Chłopak krzyknął z bólu.

Zabalza rzucił się na ojca, wykręcił mu rękę, popchnął na ścianę i unieruchomił.

– Nic podobnego – wycedził. – Powiem panu, co teraz będzie. Z pańskiego zachowania i z odoru, który pan wydziela, wnioskuję, że spożywał pan alkohol i przyjechał tutaj samochodem. Kamery przy wjeździe nagrały pana, więc teraz sprawdzę, czy jest pan trzeźwy. Jeśli się pan sprzeciwi,

zatrzymam pana w areszcie. Jeśli nie zgadza się pan, żebyśmy rozmawiali z pana synem, ma pan do tego prawo. Wezwiemy opiekę społeczną, ponieważ – jak pan słusznie zauważył – chłopiec jest nieletni. Zawiozą go do lekarza, który zrobi obdukcję, i bez znaczenia będzie, co im powie. To lekarz sądowy określi, czy mamy do czynienia z przemocą, czy nie, i będzie działał z urzędu, nawet jeśli pański syn nie odezwie się ani słowem. Czy to jasne?

Poddał się od razu, zapytał tylko bezradnie:

– Jak ja wrócę do domu bez samochodu?

Iriarte poczekał kilka minut i zadzwonił. Poprosił, żeby przyniesiono puszkę coca-coli. Postawił ją przed chłopcem i dopiero kiedy ten pociągnął łyk, zaczął mówić dalej.

– Wiesz z pewnością, jak wszyscy w Arizkun, co się dzieje w kościele.

Chłopiec potwierdził.

– Jako ekspert od agotów powiedz, jakie masz zdanie na ten temat.

Chłopiec wyglądał na zaskoczonego. Wyprostował się trochę i odrzucił grzywkę z oczu. Wzruszył ramionami.

– Nie wiem...

– To oczywiście, że ktoś chce zwrócić uwagę na agotów...

– Na prześladowania, których ofiarą padli – podkreślił chłopak.

– Tak – zgodził się Iriarte – prześladowania. To był okropny okres w historii całego kraju, naznaczony niesprawiedliwością... Ale to było dawno, minęło już sporo czasu...

– Krzywda zawsze jest krzywda – powiedział stanowczo.

– Rozumie pan? Na tym polega problem: nie uczymy się niczego z historii. Wszystko przestaje nas interesować już po kilku dniach, czasem po kilku godzinach. Po chwili wszystko wydaje się nam przeszłością. Ale zapominamy, że jeśli nie będzie nas obchodziła niesprawiedliwość, bo to było kiedyś, ta niesprawiedliwość będzie się powtarzać raz za razem.

Iriarte popatrzył na niego z podziwem. Zaimponował mu. Tak odważnie przedstawiał swoje argumenty. Przed spotkaniem

przejrzał pobieżnie jego bloga, ale dopiero jego przemowa w pełni ujawniła, jaki jest zorganizowany i inteligentny. Iriarte zastanawiał się, w jakim stopniu chłopak jest skłonny do przemocy. Rozmyślał, czy ból i wściekłość mogły go skłonić do zaatakowania najświętszych fundamentów społeczeństwa, żeby się domagać sprawiedliwości, której tak naprawdę potrzebował dla samego siebie. To sam Beñat Zaldúa padł ofiarą krzywd, które tak go rozwścieczyły: pogardy ze strony ojca, śmierci matki, samotności, jaka jest udziałem wybitnych umysłów.

Iriarte wysłuchał historii agotów z Arizkun i zdecydował, że nie, że Beñat Zaldúa płonie wewnętrzną pasją, ale jest jeszcze dzieckiem, przestraszonym dzieckiem, które szuka miłości, uczucia, zrozumienia, a co najważniejsze – i co go wykluczało z kręgu podejrzanych o sprofanowanie kościoła – był sam. Był tak samotny, że żal ogarniał, kiedy się patrzyło, jak broni swych ideałów, obolały od razów.

Mówił bez ustanku przez dwadzieścia minut, a Iriarte słuchał go spokojnie, od czasu do czasu popatrując na Zabalzę. Zabalza wszedł i stanął przy drzwiach, jakby się bał, że przeszkodzi chłopcu. Kiedy chłopak zamilkł, Iriarte zdał sobie sprawę, że nie sporządził niemal żadnych notatek. Pobazgrał za to papier, jak to miał w zwyczaju, kiedy się nad czymś głęboko zastanawiał.

Zabalza zrobił kilka kroków do przodu i stanął przez chłopakiem.

– Ojciec cię bije? – spytał.

Był poruszony, niemal porwany jego fanatycznym monologiem, dzięki któremu między zebranymi w pokoju zawiązała się nić porozumienia. To pytanie ją zerwało.

Jak kwiat zwarzony mrozem, chłopiec znowu skulił się na krześle.

– Jeśli cię bije, możemy ci pomóc. Masz jakąś rodzinę, wujów, kuzynów?

– Mam kuzyna w Pampelunie.

– Myślisz, że mógłbyś u niego zamieszkać?

Chłopak wzruszył ramionami.

– Beñat – mówił Iriarte. – Słyszałeś, co podinspektor Zabalza

powiedział twojemu ojcu, ale prawda jest taka, że jeśli zaprzeczysz, że byłeś maltretowany, nikt nie będzie mógł ci pomóc. Jeśli mamy coś dla ciebie zrobić, to musisz zeznać, że cię bije. To jedyny sposób.

– Dziękuję – wyszeptał ledwo słyszalnym głosem. – Ale spadłem ze schodów.

Zabalza był poruszony. Głośno sapnął i ściągnął na siebie karcący wzrok Iriartego.

– Dobrze, Beñat. Upadłeś, niech ci będzie, ale i tak powinien cię obejrzeć lekarz.

– Już się zapisałem na jutro rano do lekarza.

Iriarte wstał.

– To tyle, Beñat. Miło mi było cię poznać.

Chłopak wyciągnął ostrożnie rękę.

– A jeśli kiedyś zmienisz zdanie, zadzwoń i zapytaj o mnie albo o podinspektora Zabalzę. Pójdę i zobaczę, co z twoim ojcem. Możesz tu na niego poczekać. Nie może prowadzić samochodu, więc podinspektor Zabalza zawiezie was do domu.

Iriarte wszedł do poczekalni. Ojciec Beñata spał pijackim snem, zwisając z krzesła z głową opartą o ścianę. Obudził go bez zbędnych ceregieli.

– Już porozmawialiśmy z pana synem. Bardzo nam pomógł.

Patrzył na nich zdezorientowany, próbując podnieść się z krzesła.

– Już koniec?

– Tak – odparł policjant, ale natychmiast pomyślał, że nie, że nic nie jest skończone. Stał przodem do Zaldúy, zagradzając mu drogę.

– Ma pan bardzo bystrego syna, to dobry chłopiec. Jeśli się dowiem, że znowu go pan pobił, będzie pan miał ze mną do czynienia.

– Nie wiem, co wam nagadał ten kłamczuch...

– Zrozumiał pan, co powiedziałem? – nalegał Iriarte.

Mężczyzna opuścił głowę. Tak czasem bywa. Faceci, którzy maltretują kobiety i dzieci, rzadko odważają się stawić czoło komuś silniejszemu od siebie. Minał Iriartego i wyszedł. Kiedy już był na zewnątrz, inspektor wcale nie poczuł się lepiej,

i wiedział dlaczego. Intuicja mówiła mu, że jego ostrzeżenie okaże się niewystarczające.

Zabalza zawiózł ich swoim samochodem do Arizkun. W ciszy słyhać było jedynie oddechy pasażerów. Siedzieli w takim napięciu, jakby byli nieznajomymi albo wrogami. Kiedy podjechał do wejścia do *caserío*, za wsią, mężczyzna wysiadł z samochodu i poszedł do domu, nie odwracając się, ale chłopiec przez kilka sekund się nie ruszał i Zabalza pomyślał, że może chce mu coś powiedzieć. Czekał, ale Beñat nie odezwał się ani słowem. Siedział na tylnym siedzeniu, patrzył na swój dom i nie mógł się zdecydować, żeby wysiąść.

Zabalza wyłączył silnik, zapalił wewnętrzne światelko i odwrócił się do tyłu, żeby popatrzeć chłopakowi w twarz.

– Kiedy byłem w twoim wieku, też miałem problemy z ojcem. Takie jak ty.

Beñat Zaldúa patrzył na niego, jakby nie rozumiał. Zabalza westchnął ciężko.

– Łomotał mnie, aż trzeszczało.

– Za to, że jest pan gejem?

Zabalza otworzył szeroko usta, wstrząśnięty jego przenikliwością. W końcu odparł:

– Powiedzmy, że mój ojciec nie akceptował mojego stylu bycia.

– To nie mój przypadek. Nie jestem gejem.

– To najmniej ważne. Niezależnie od powodu widzą, że jesteś inny, i myślą, że to zmienią biciem.

Chłopiec gorzko się uśmiechnął.

– Już wiem, co pan mi powie. Że pan walczył, że wytrzymał i że z czasem wszystko się ułożyło.

– Nie, nie walczyłem, nie wytrzymałem i mimo upływu czasu wszystko wygląda tak samo. On nadal mnie nie akceptuje – powiedział, myśląc: i ja jego też nie.

– Jaki jest w takim razie moral? Co pan chce mi powiedzieć?

– To, co chcę ci powiedzieć, to to, że są bitwy przegrane już przed rozpoczęciem, że czasem lepiej nie walczyć dzisiaj, żeby móc stanąć do walki jutro, że to bardzo odważne i chwalebne walczyć za swoje przekonania, za sprawiedliwość, ale trzeba umieć rozróżniać. Niekiedy, natknąwszy się na nietolerancję,

fanatyzm albo głupotę, lepiej się wycofać, przyczać i zachować energię na coś, co naprawdę będzie tego warte.

– Mam siedemnaście lat – powiedział chłopiec takim tonem, jakby mówił, że jest na coś chory albo na coś skazany.

– Wytrzymaj i kiedy tylko będziesz mógł, opuść ten dom i żyj swoim życiem.

– To jest właśnie to, co pan zrobił?

– To jest właśnie to, czego nie zrobiłem.

Chociaż niebo ponad linią drzew wydawało się jeszcze dość jasne, gdy tylko weszli do lasu, zrobiło się wyraźnie ciemniej. Amaia i Jonan Etxaide szli szybkim krokiem. Nieśli dwie plastikowe walizki z materiałami do zabezpieczania dowodów i oświetlali sobie drogę potężnymi latarkami stanowiącymi część wyposażenia śledczego. Przeszli przez mostek i wspięli się po zboczu do wielkiej skały.

– To tutaj, z tyłu – oświadczyła Amaia, kierując światło latarki na wejście do jaskini.

Wszystko zajęło im zaledwie piętnaście minut. Najpierw zrobili zdjęcia w świetle latarek, potem spryskali ściany roztworem cudownego środka o nazwie luminol, który zrewolucjonizował medycynę sądową, umożliwiając odnajdywanie śladów krwi. Krew jest katalizatorem utleniania tego związku chemicznego i staje się widoczna w ciemności, świecąc jasnyniebieskim światłem w promieniowaniu ultrafioletowym. Jest to chemoluminescencja, podobna do bioluminescencji obserwowanej u świetlików i niektórych organizmów morskich. Żeby móc zobaczyć świecące ślady, założyli okulary o pomarańczowych szklach, neutralizujących ultrafiolet, zgasili latarki i zapalili lampę UV. Zapalili **nowe światło**.

Amaia poczuła, jak po plecach przebiega jej dreszcz napięcia. Było to nieprzyjemne, ale jednocześnie euforyczne. Miała całkowitą pewność, że właśnie odnalazła koniec nici w spletanym kłębie wydarzeń. Odeszła kilka kroków na bok, pokazała Jonanowi, na jakiej wysokości ma trzymać światło, i raz po raz fotografowała słowo wypisane krwią na ścianie jaskini. Przekaz zostawiony przez ludzką bestię, świecący napis: TARTTALO.

Podinspektor Etxaide szedł u jej boku w milczeniu. Wracali tam, gdzie zostawili samochody. Pod koronami drzew zapadła

już noc, a wiatr huczał i gwałtownie kołysał gałęziami, które głośno trzeszczały i szeleściły. Od czasu do czasu gdzieś daleko przetaczał się grom, a niebo rozświetlały błyskawice zapowiadające burzę nadciągającą gdzieś zza gór. Pomimo hałasu Amaia niemal mogła usłyszeć, jak w głowie podinspektora tłoczą się myśli. Rzucał na nią spojrzenia pełne znaków zapytania, ale same pytania zachowywał dla siebie.

– Powiedz coś wreszcie, Jonanie, bo pęknieysz.

– Johana Márquez została zamordowana trzynaście miesięcy temu, kilka kilometrów stąd, a jej amputowane przedramię znaleźliśmy w tej jaskini. Ktoś w niej napisał „Tarttalo”. To samo słowo Quiralte wypisał na ścianie swojej celi, zanim poszedł za Mediną do piekła.

– To nie wszystko, Jonanie – zatrzymała się, żeby na niego spojrzeć. – To samo słowo napisał na ścianie więzienia w Logroño pewien więzień skazany za zabicie żony. I jej też odcięto rękę. Wszystkim tym zamordowanym kobietom odcięto ręce. Potem zniknęły z miejsc zbrodni. Przypuszczam, że trafiły do tej jaskini i odnalazła je w ubiegłym roku Gwardia Cywilna. Na razie wiemy z całą pewnością tylko to, że jedna z nich była ręką Johany – powiedziała, ruszając dalej.

Jonan milczał przez jakiś czas. Próbował przetrwać to, co usłyszał. A potem spytał:

– Sądzi pani, że wszyscy ci faceci się jakoś umówili?

– Nie, nie sądzę.

– W takim razie jakim sposobem wszyscy przynieśli tutaj te obcięte ręce?

– Ktoś je tutaj przyniósł, ale nie zrobili tego oni. Sądzę też, że to nie oni dokonali amputacji, nie przyszło by im to do głów. Wszyscy ci zabójcy byli zwykłymi brutalami, agresywnymi pijakami, ludźmi prymitywnymi, którzy na nic nie zważając, pozwalają się ponieść najniższym instynktom.

– A więc twierdzi pani, że jest ktoś trzeci, kto wziął udział we wszystkich tych zbrodniach i krył sprawców?

– Nie, Jonanie. Tu nie chodzi o utrudnianie śledztwa. Ale rzeczywiście sądzę, że jest ktoś, kto brał udział we wszystkich tych zbrodniach, podlegał do nich. Jest ktoś, kto posiadał taką

kontrolę nad tymi mężczyznami, że nakłonił każdego z nich najpierw do popełnienia zabójstwa, a potem samobójstwa. Ktoś, kto po każdym zabójstwie popełnionym za jego poduszczeniem zdobył trofeum i we wszystkich przypadkach zostawił podpis: „Tarttalo”.

Jonan stanął jak wryty. Amaia patrzyła na niego i czekała, co powie.

– Wszyscy się myliliśmy... Jak mogłem być tak głupi... Przecież to jasne...

Amaia cierpliwie czekała. Znała dobrze Jonana Etxaide, policjanta po dwóch fakultetach, antropologii i archeologii... Policjanta niestandardowego, reprezentującego specyficzny punkt widzenia... No i oczywiście wiedziała dobrze, że nie jest głupi.

– Trofea, szefowo! Sama pani powiedziała, że te ręce były trofeami. Trofea zachowuje się jako symbol tego, co się zdobyło: honorów, zwycięstw, łupów... Nie pasowało mi to, że te ręce leżały tam porzucone, rzucone byle jak, w jakiejś jaskini na uboczu. To by się nie zgadzało, ale przecież tu chodzi o trofea Tarttala! Szefowo, zgodnie z legendą Tarttalo pożerał swoje ofiary, a potem porzucał ich kości w wejściu do jaskini, jako widomy znak swojego okrucieństwa i ostrzeżenie dla tych, którzy ośmieliliby się zbliżyć do jego siedziby. Te kości nie zostały ciśnięte mimochodem ani zapomniane. Zostały złożone właśnie tam z największą starannością, żeby mogły nam coś zakomunikować.

Amaia potwierdziła, że się z nim zgadza.

– A do tego, Jonanie, jest jeszcze coś bardziej zdumiewającego. Nasz Tarttalo pasuje do opisu mitycznego Tarttala w sposób wręcz niesamowity. Kości w jaskini nosiły ślady płaskich, równoległych wyłobień, które zostały zidentyfikowane jako ślady zębów. Ludzkich zębów, Jonanie.

Otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

– Kanibal!

Amaia potwierdziła.

– Porównano ślady ugryzień z uzębieniem ojczyzna Johany i z uzębieniem Víctora, tak na wszelki wypadek, ale nie było

zgodności.

– Do ilu zwłok należały znalezione ręce?

– Do kilkunastu.

– I znaleziono związek jedynie z ciałem Johany Márquez.

– Ona była ostatnią ofiarą.

– A co stało się z tymi innymi...

– Kości zostały zbadane, ale Gwardia Cywilna nie dysponowała DNA, z którym można by je porównać...

– To dlatego poleciła mi pani odszukać kobiety z Baztán, które padły ofiarą przemocy ze strony mężczyzn...

– W tych czterech przypadkach, które do tej pory wykryliśmy, kobiety pochodziły z doliny albo mieszkały tu od dziecka, jak Johana.

– To niesamowite, że nikt nie połączył znalezienia kobiecych rąk ze zwłokami zamordowanych kobiet, którym brakowało ręki. Jak to możliwe?

– W tych przypadkach, o których wiem, zabójcy dobrowolnie przyznali się do winy, to znaczy do zabójstwa, natomiast co najmniej dwóch z nich wyparło się dokonania amputacji. Ale kto by wierzył takim ludziom. Dane ze wszystkich tych śledztw nie zostały ze sobą porównane i nadal tak to będzie wyglądało, dopóki nie zostanie utworzona specjalna policja kryminalna, która zbierałaby i przetwarzała wszystkie informacje. Cały czas musimy lawirować między kompetencjami różnych służb policyjnych. Do tego sam mogłeś się przekonać, jak trudno prowadzić przesłuchania w sprawie takich zabójstw. Morderstwa związane z przemocą domową zyskują niewielki rozgłos. Sprawy są szybko zamykane i odsyłane do archiwum, zwłaszcza jeśli sprawca przyznaje się do winy, a potem popełnia samobójstwo. Mamy wówczas do czynienia ze sprawą zakończoną, a wstyd, jaki odczuwają rodziny ofiar, wycisza nawet wspomnienia o niej.

– Natknąłem się na dwa przypadki kobiet urodzonych w dolinie, które zostały zamordowane przez swoich partnerów. Mam ich nazwiska i adresy, pod którymi mieszkały, kiedy to się stało. Jedna w Bilbao, druga w Burgos. To właśnie chciałem pani powiedzieć przez telefon, kiedy zadzwoniła pani do mnie.

Nekrologi obydwu zostały wywieszono w zakładach pogrzebowych w dolinie.

– Wiemy coś o amputacjach?

– Nie było wzmianek o niczym takim...

– A zabójcy?

– Obydwoj nie żyją. Jeden zabił się w domu przed przybyciem policji, a drugi uciekł i znaleziono go kilka godzin później. Powiesił się na drzewie w sadzie, w pobliżu domu.

– Musimy odnaleźć kogoś z rodziny. Koniecznie.

– Zajmę się tym zaraz po powrocie.

– I jeszcze jedno, Jonanie: nikomu ani słowa. Mamy zezwolenie na to śledztwo, ale nie chcemy tego rozgłaszać. Oficjalnie zajmujemy się profanacjami w kościele.

– Dziękuję pani za zaufanie.

– Aha, mówiłaś jeszcze, że oprócz tych dwóch nowych ofiar masz coś do powiedzenia o zakładach pogrzebowych.

– Tak, prawie zapomniałem w całym tym zamieszaniu. No cóż, to raczej coś w rodzaju dziwnej anegdoty. W zakładzie Baztandarra opowiedziano mi, że przed kilkoma tygodniami wparowała do nich kobieta, ciągnąc za sobą drugą. Krzyczała na nią i ją szturchała. Zapytała o trumny, a kiedy właściciel pokazał jej wystawione modele, pociągnęła tam tę drugą i wyrzeszczała, że może od razu sobie jakąś wybrać, bo długo nie pożyje. Ten facet z zakładu powiedział, że biedaczka była zupełnie sterroryzowana, płakała i powtarzała, że nie chce umierać.

– Istotnie, bardzo ciekawe – zgodziła się Amaia. – I facet nie wie, kim były te kobiety? To dziwne...

– Mówi, że nie wie – powiedział Jonan z ubolewaniem.

– To chyba jedyne miejsce na świecie, gdzie wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich, ale nikt nic nie chce powiedzieć – powiedziała, wruszając ramionami.

Wyciągnęła komórkę i sprawdziła, czy jest zasięg i która jest godzina. Była zaskoczona, że jest jeszcze tak wcześnie, chociaż było już całkiem ciemno. Przypomniała sobie, jak cyfry poznikały jej z wyświetlacza po rozmowie z dziewczyną z rzeki.

– Idziemy – powiedziała, ruszając. – Muszę zadzwonić.

Nie zdążyła. Kiedy podeszli do samochodu, telefon sam zadzwonił. To był Padua.

– Przykro mi bardzo, pani inspektor. Kobieta z Logroño nie miała rodziny. Rodzina męża zajęła się jej ciałem. Została skremowana.

– Nikogo? Ani rodziców, ani rodzeństwa, ani dzieci?

– Nie, nikogo. Nie miała dzieci. Miała natomiast przyjaciółkę. Jeśli chce pani z nią porozmawiać, mogę zdobyć jej numer.

– Nie myślę, żeby to było konieczne. Chodziło mi raczej o porównanie DNA.

Podziękowała i rozłączyła się. Przez chwilę wpatrywała się w zapowiedzi burzy, nadal huczącej za górami i dającej o sobie znać błyskawicami na – o dziwo – bezchmurnym niebie.

Nadchodzi – w jej głowie rozległ się głos dziewczyny z rzeki. Zadrżała i wsiadła do samochodu.

Komisariat, rześcicie oświetlony w tę lutową noc, która zapadła tak przedwcześnie, wydawał się dziwnym statkiem widmem, który zszedł z kursu i przez pomyłkę zacumował właśnie tam. Zaparkowała obok samochodu Jonana i już mieli wejść do budynku, kiedy w drzwiach minęli się z Zabalzą. Wychodził w towarzystwie jakichś ludzi. Beñat Zaldúa i jego ojciec, domyśliła się Amaia. Podinspektor przywitał ją krótkim gestem. Nie patrząc na nią i nie zatrzymując się, poszedł dalej.

Amaia zostawiła Jonana przy pracy i poszła do gabinetu Iriartego.

– Widziałam, jak Zabalza wychodzi z tym chłopakiem i jego ojcem. Co udało się panu ustalić?

– Nic – odpowiedział, kręcąc głową. – To bardzo smutny przypadek. Bardzo sprytny chłopiec, a raczej, lepiej byłoby powiedzieć, bardzo inteligentny. Przygnębiony śmiercią matki. Ojciec alkoholik go bije. Miał sińce na twarzy i całym ciele, ale chociaż nalegaliśmy, żeby to zgłosił, twierdzi, że spadł ze schodów. Błog jest dla niego ucieczką od rzeczywistości i zaspokaja jego zainteresowanie kulturą. Jest zbuntowany, jak większość nastolatków, choć akurat on ma powody. Wygłosił mi taki wykład na temat agotów i ich życia tu, w dolinie, że do tej pory mam usta otwarte ze zdumienia. Według mnie używa

tych zainteresowań jako wentyla bezpieczeństwa dla swojej frustracji, ale nie sądzę, żeby miał coś wspólnego z profanacjami. Doprawdy nie jestem w stanie go sobie wyobrazić, jak rozbija siekierą chrzcielnicę. On jest... jak by to powiedzieć... wrażliwy.

Zaczęła rozmyślać, ileż to profili wrażliwych zabójców, którzy wyglądali tak, jakby nawet muchy nigdy nie skrzywdzili, miała okazję w życiu przestudiować. Ale popatrzyła na Iriartego i postanowiła mu zaufać. Był inspektorem, a bez dobrego oka i wyczucia inspektorem się nie zostaje. Do tego sama przecież podjęła decyzję, żeby zdać się na niego w tej sprawie.

– No dobrze, ale jeśli wykluczemy chłopaka, to co nam zostaje?

– Szczerze mówiąc, niewiele. Nie dostaliśmy jeszcze raportów lekarza sądowego na temat *mairu-beso*. Mamy stały patrol pod kościołem i nie wydarzyło się nic nowego.

– Przesłuchałabym katechetki. Wszystkie, jedną po drugiej, i to w domach. Chociaż proboszcz twierdzi, że nie miał z nikim zatargu, może te panie wspomną o czymś, o czym on nie wie, albo o czymś, co z jakiegoś powodu postanowił zachować dla siebie. Powinien pan zabrać ze sobą Zabalzę. Zauważyłam, że z jakiegoś powodu panie w pewnym wieku mają do niego słabość – dodała z uśmiechem. – Jeśli je pociągnie za język, może uda mu się czegoś dowiedzieć, a do tego jest spora szansa, że zostaniecie poczęstowani kawą i ciastkiem.

Amaia zdecydowała się pojechać dłuższą drogą, przez plac targowy i ulicą Giltxaurdi, przez rzekę. Jechała wolniutko przez dzielnicę Txokoto, uważnie mijając zaparkowane samochody. Znienacka wyprzedziło ją trzech chłopaków na rowerach. Przejechali jej tuż przed maską i nieźle ją wystraszyli, po czym skręcili w prawo i zniknęli gdzieś na tyłach wytwórni. Wjechała na chodnik i tam zostawiła samochód, żeby nie blokować przejazdu, po czym poszła ich śladem, ze zgaszoną latarką w ręce. Już z dala słyszała ich śmiechy. Skradała się wzdłuż muru, aż znalazła się blisko. Wtedy włączyła potężną służbową latarkę, skierowała strumień światła na chłopców i oznajmiła:

– Policja! Co tu robicie?

Jeden z nich przestraszył się tak bardzo, że stracił równowagę i przewrócił się z rowerem na swych towarzyszy. Przez chwilę wszyscy trzej szamotali się i próbowali ustać na nogach. A potem chłopak przysłonił oczy daszkiem z dłoni i spróbował się jej przyjrzeć.

– Nic nie robimy – powiedział nerwowo.

– Jak to nie? To czego tu szukacie? To tylne wejście do magazynu. Nie macie tu nic do roboty.

Chłopcom udało się ustawić rowery. Odpowiedzieli chórem:

– Nic złego nie robimy. Przyjechaliśmy tylko popatrzeć.

– Popatrzeć na co?

– Na bazgroły.

– Przecież to wy tu mażecie.

– Nie, naprawdę. To nie my.

– Kłamiecie.

– Nie kłamiemy.

– Ale wiecie, kto to zrobił.

Popatrzyli po sobie, ale żaden się nie odezwał.

– Powiem wam, co teraz będzie. Zadzwońię po patrol, zatrzymam was za wandalizm, powiadomię waszych rodziców i może to odświeży wam pamięć.

– To starucha – rzucił jeden z chłopców.

– Tak, stara kobieta... – poparli go pozostali dwaj.

– Przychodzi co noc i wypisuje jakieś bluzgi. Wie pani, „kurwa”, „dziwka”, takie rzeczy. Pewnego dnia zobaczyliśmy, że tu włązła, a kiedy sobie poszła, zobaczyliśmy te gryzmoły...

– Co noc tu przychodzi. Jak dla mnie to wariatka – stwierdził jeden z chłopców.

– Tak, stara zwariowana graficiara – rzucił ten pierwszy, a dwaj pozostali zaśmiali się z jego dowcipu.

Przeczytała gdzieś, że nie powinno się wracać do miejsc, gdzie się było szczęśliwym, bo jest to pierwszy krok do ich utraty, i nie wykluczała, że autor tych słów miał rację. Wyidealizowane, widziane przez różowe okulary miejsca mogły się okazać przerażająco rzeczywiste i tak odmienne od wyobrażeń, że marzenia w mgnieniu oka mogły lec w gruzach. To dobra rada dla kogoś, kto ma niejedno miejsce, gdzie może wrócić. Dla Amaia takim miejscem był dom jej ciotki. Wydawało się, że żyje własnym życiem, że otula mieszkańców swymi murami, daje im schronienie i ciepło. Choć Amaia zdawała sobie sprawę, że to ciotka nadaje domowi duszę, kiedy pojawiał się w jej snach, nie było w nim nikogo, a ona była małą dziewczynką. Otwierała drzwi kluczem schowanym tuż przy wejściu, wbiegała do środka, oszalała ze strachu i wściekłości, i już od progu zdawała sobie sprawę, że dom wita ją swoją kojącą obecnością, obejmuje z czułością, jak kochające ramiona. Tylko w tym domu dziewczynka, która musiała czuwać całą noc, żeby matka jej nie zjadła, mogła się w końcu odprężyć przy kominku i zasnąć.

Weszła, zdjęła płaszcz w przedsionku i usłyszała radosne kobiece głosy dobiegające z salonu. Wesołe towarzystwo zebrane wokół pięknego sześciokątnego stołu do pokera nie wydawało się w żaden sposób zainteresowane kartami, które leżały rozrzucone byle jak na zielonym suknie na blacie. Przyjaciółki ciotki zabawiały Ibaia, robiły do niego miny i podawały go sobie z rąk do rąk, ku obopólnemu zadowoleniu.

– Amaio, na Boga! To najpiękniejsze dzieciątko na świecie!
– krzyknęła Miren na jej widok.

Amaia zaśmiała się, rozbawiona przesadnym podziwem starszych pań, które wprost wychodziły z siebie, całując, laskocząc i przytulając Ibaia.

– Zepsujecie go tymi pieszczotami – udawała, że się na nie

gniewa.

– Ależ córciu, na litość boską, pozwól nam się nim nacieszyć. Przecież to małe cudeńko – poprosiła inna staruszka, nachylając się nad dzieckiem, które śmiało się w głos.

James wszedł do salonu, żeby się z nią przywitać. Pocałował ją i powiedział, patrząc na leciwe panie:

– Niestety, kochanie, nic nie mogłem zrobić. Jest ich wiele i są dobrze uzbrojone, w druty i szydełka.

Jego słowa wywołały wielką bieganinę, bo wszystkie panie pospieszyły do swoich toreb, żeby wyciągnąć kaftaniki, czapeczki i buczki, które wydziergały dla Ibaia.

Amaia wzięła synka na ręce i podziwiała dzieła staruszek. Przytulając go, poczuła, że przy niej się zdenerwował. Niemal natychmiast zaczął popłakiwać, domagając się piersi.

Opuściła salon i położyła się w sypialni na łóżku. Położyła synka, żeby go nakarmić. James, który poszedł za nią, też wślizgnął się na łóżko i objął ją od tyłu.

– Ależ z niego łakomczuch! – powiedział. – To niemożliwe, żeby był głodny. Przed godziną dawałem mu butelkę, a jednak, kiedy tylko cię poczuje...

– Biedaczek, tęskni za mną, a ja tęsknię za nim – szepnęła, tuląc do siebie synka.

– Dzisiaj po południu był tutaj Manolo Azpiroz.

– Kto taki? – spytała z roztargnieniem, patrząc na dziecko.

– Manolo, mój przyjaciel architekt. Pojechaliśmy razem do Juanitaeney i zachwyciła go. Ma mnóstwo pomysłów, jak można by odnowić dom, zachowując jego pierwotny charakter. Wróci w najbliższych dniach, żeby wszystko pomierzyć i zająć się wstępnym projektem. Jestem taki zadowolony...

Amaia uśmiechnęła się.

– Też się cieszę, kochanie – i odwróciła się do tyłu, żeby pocałować go w usta.

James milczał przez chwilę.

– Amaio, jest jeszcze coś. Dzisiaj w południe poszedłem z Ibaiem do wytwórni, po twoją siostrę. Myślałem, że wrócimy razem. Kiedy tam dotarłem, Ernesto powiedział mi, że już wyszła i że poszła do domu. Ponieważ było piękne słońce,

postanowiłem obejść kwartał i trafiałem na tyły...

Amaia podniosła Ibaia, żeby mu się odbiło, i usiadła sztywno na łóżku. Czekala na ciąg dalszy.

– Ros czyściła drzwi z farby. Spytałem, co się stało, i odpowiedziała mi, że nic, że to jacyś chuligani... a ja udawałem, że jej wierzę. Ale to nie było graffiti, Amaio, to były obelgi. Ros już większość starła, ale i tak widać było, co ktoś tam napisał.

– Co takiego?

– MORDERCZYNI.

Kiedy zeszli na kolację, w kuchni unosił się aromat pieczonej ryby. Ros pomagała ciotce nakrywać do stołu, a Amaia włożyła Ibaia do leżaczka, żeby mieć go przy sobie podczas posiłku. Z apetytem pochłonęła *txitxarro* z *refrito* i ziemniakami. Zawsze ją zadziwiał, że danie tak proste jest aż tak smaczne. Pomyślała, że to nic dziwnego, że jest strasznie głodna. Przez cały dzień nie miała czasu, żeby coś przekąsić. Po kolacji, kiedy reszta rodziny zbierała ze stołu, położyła Ibaia spać i wróciła do jadalni na czas, żeby powstrzymać Ros przed udaniem się do łóżka.

– Rosauero, mogłabyś mi postawić karty?

Natychmiast zwróciła na siebie uwagę ciotki. Stanęła z kilkoma filiżankami w ręce i zaczęła nasłuchiwać.

– Och, Amaio, jestem dzisiaj tak strasznie zmęczona. Dlaczego nie poprosisz ciotki? Jestem pewna, że już od dawna ma zamiar to zrobić. Prawda, ciociu? – powiedziała i poszła do kuchni.

Amaia i Engrasi wymieniły porozumiewawcze spojrzenia i ciotka krzyknęła w stronę kuchni:

– Oczywiście, kochanie. Ty lepiej idź i się połóż.

Kiedy Ros i James zostawili je same, usiadły naprzeciwko siebie w milczeniu. Engrasi zaczęła powoli odwijać jedwabną szmatkę, w której ukryta była talia kart do tarota, a potem potasowała starannie karty swymi białymi, kościstymi palcami.

– Cieszę się, że w końcu zdecydowałaś się stawić temu czoło, córeczko. Już od tygodni, gdy tylko dotknę kart, czuję, że ich energia płynie w twoim kierunku.

Amaia uśmiechnęła się smutno. Poprosiła o położenie kart Ros, bo był to najlepszy pretekst, żeby zostać z nią sam na sam i porozmawiać o tym, co się dzieje w rodzinnej wytwórni.

– Dlatego zdziwiłam się, że poprosiłaś o to Ros, choć wyobrażam sobie, że miałaś jakiś powód.

– Ros ma kłopoty.

Staruszka zaśmiała się gorzko.

– Amaio, wiesz przecież, że kocham was wszystkie trzy, że zrobiłabym dla was wszystko, ale uważam, że powinnaś wreszcie uznać, że twoja siostra jest starsza od ciebie i przede wszystkim, że jest już pełnoletnia. Ros ma taki charakter i taki sposób bycia, że z natury przyciąga problemy. To jedna z tych osób, które cierpią przez całe życie, jak gdyby niosły na ramionach niewidzialny krzyż, ale strzeż się, jeśli zbyt blisko się do niej zbliżysz i będziesz chciała jej ulżyć. Możesz usiłować jej dyskretnie pomóc, ale nie mieszaj się do jej spraw, bo uzna to za brak szacunku.

Amaia przemyślała to i kiwnęła głową.

– Sądzę, że to dobra rada.

– Której nie masz zamiaru posłuchać... – dodała Engrasi.

Staruszka położyła talię przed bratanicą i poprosiła, żeby przelożyła. Potem wzięła obydwie stosy i znów je potasowała, a potem rozłożyła karty przed Amaią i czekała, aż wybierze.

Amaia nie dotykała kart. Wskazywała palcem tę, którą wybrała, jakby miała zamiar odcisnąć na niej swoje linie papilarne, ale zatrzymywała ją w powietrzu i czekała, aż Engrasi ją zabierze, po czym wybierała następną. W sumie dwanaście kart. Ciotka ułożyła je w koło, jak gdyby były cyframi zegara albo znakami na kompasie. Kiedy zaczęła odwracać arkana, wyraz jej twarzy się zmienił się: zdumienie zastąpił wielki szacunek.

– Dziecko drogie, jak ty urosłaś, zobacz tylko, jaką kobietą się stałaś – powiedziała, wskazując arkan Cesarzowej, który zaczynał układ. – Zawsze byłaś silna, bo jak inaczej mogłabyś znieść ciężkie próby, przez które musiałaś przejść, ale w ostatnim roku pojawiło się w tobie coś nowego – wskazała inną kartę – otworzyłaś w rozpacz jakiegoś drzwi, za którymi

czekało na ciebie coś niezwykłego, coś, co sprawiło, że patrzysz teraz innym wzrokiem.

Amaia odbyła podróż w czasie i w przestrzeni, aż do tych bursztynowych oczu, które patrzyły na nią z leśnego gąszczu, i uśmiechnęła się mimo woli.

– Nic się nie zdarza bez przyczyny, Amaio. To nie był przypadek ani ślepy traf.

Engrasi dotknęła palcem innej karty i odsunęła ją, jak rażona prądem. Podniosła wzrok, była zdumiona.

– Tego nie znałam. Jeszcze nigdy nie zostało mi ukazane.

Amaia z rosnącym zainteresowaniem wpatrywała się w kolorowe arkana.

– Wyrok, który nad tobą ciąży, zapadł już przed twoimi narodzinami.

– Ale...

– Nie przerywaj mi – skarciła ją Engrasi. – Wiedziałam, że zawsze byłaś inna, że doświadczenie związane ze śmiercią na zawsze ludzi naznacza, ale każdego inaczej. Może kogoś zamienić w żalosny cień tego, kim miał być, albo – tak było w twoim przypadku – obdarzyć go ogromną siłą, zdolnościami i ponadprzeciętną wnikliwością. Ale sądzę, że ty byłaś już taka od początku. Myślę, że *amatxi* Juanita o tym wiedziała. Wiedział o tym twój ojciec i twoja matka także, a i ja nabrałam tego przekonania, gdy cię poznałam po powrocie z Paryża. Zobaczyłam dziewczynkę o wojowniczym spojrzeniu. Krążyła wokół matki, jakby w każdej chwili była gotowa do walki. Zachowywała bezpieczną odległość, unikała dotknięcia i spojrzenia i wstrzymywała oddech, kiedy czuła się obserwowana. Dziewczynka, która nie spała w nocy, żeby nie zostać pożarta. Amaio, zmieniłaś się, i to bardzo dobrze, bo to nieuniknione, ale także niebezpieczne. Zbierają się nad tobą wielkie siły i ciągną cię, każda w swoją stronę. Tutaj masz – wskazała na jeden z arkanów – strażnika, który cię chroni i kocha czystą miłością, i zawsze będzie przy tobie, bo jego przeznaczeniem jest cię strzec. Tutaj natomiast – powiedziała, wyciągając następny arkan – jest wymagająca Kapłanka, która pcha cię do bitwy, oczekując poważania i nadzwyczajnego

poświęcenia. Docenia cię i użyje jako tarana przeciwko swym nieprzyjaciołom, ponieważ w jej mniemaniu jesteś jej bronią w walce ze złem. Masz jej służyć i walczyć po jej stronie w odwiecznej wojnie o przywrócenie równowagi. Równowagi naruszonej przez potworny, bestialski czyn, który rozpętał siły zła, przez wieki trwające w uśpieniu w czeluściach doliny. One muszą zostać pokonane. W tym właśnie teraz musisz pomóc.

– A ona? Czy ona jest dobra? – Amaia z czułością patrzyła na ciotkę. Niezależnie od formy, jaką przybierały, miłość i poświęcenie Engrasi były absolutne i bezwarunkowe.

– Nie jest ani dobra, ani zła; to siła przyrody, to wyważona równowaga. Może być równie okrutna i pozbawiona litości jak sama matka ziemia.

Amaia przyjrzała się raz jeszcze z uwagą kartom i cofając się do początku układu, wskazała jedną z nich.

– Powiedziałaś, że ktoś naruszył równowagę, popełniając potworny czyn. Dupree powiedział mi, żebym wróciła do początku, do pierwszego czynu, który wyzwolił zło.

– Och! Dupree! – wykrzyknęła ze zgrozą ciotka. – Dlaczego się upierasz przy tej znajomości? Amaio, on naprawdę może cię skrzywdzić. To nie żarty.

– On nigdy by mnie nie skrzywdził.

– Może nie ten Dupree, którego znałaś, ale jak możesz być pewna, że jest po twojej stronie po tym, co się stało?

– Ponieważ go znam, ciociu, i jest mi obojętne, jak się zmieniły okoliczności. Nadal jest najlepszym analitykiem, jakiego kiedykolwiek poznałam, uczciwym i prawym policjantem. Tak sprawiedliwym, że właśnie dlatego, że jest, jaki jest, znalazł się w obecnym położeniu. To nie moja sprawa go osądzać, bo on nie osądza mnie. Zawsze mnie wspierał oraz był i jest najlepszym doradcą, jakiego może mieć policjant. I nie będę analizować jego sytuacji, bo to coś, co mi umyka. Wiem tylko, że zawsze odpowiada na moje wezwanie.

Ciotka w milczeniu i bardzo poważnie patrzyła na nią przez jakiś czas. Zaciśnęła usta i powiedziała:

– Przynajmniej mi, że nie weźmiesz udziału w tym dochodzeniu. W żadnym razie.

– To dochodzenie FBI, po drugiej stronie kuli ziemskiej. Nie wiem, jak mogłabym w nim brać udział.

– Nie będziesz brała udziału w żaden sposób – nalegała Engrasi.

– Nie zrobię tego... chyba że on o to poprosi.

– Nie robi tego, jeśli jest tak dobrym przyjacielem, jak mówisz.

Amaia w milczeniu popatrzyła na karty. Wybrała jedną i przysunęła ją do siebie po blacie, popychając pozostałe tak, żeby utworzyły stos.

– Zapominasz, że rozmawia ze mną, jest do mojej dyspozycji za każdym razem, kiedy do niego dzwonię. Nie sądzisz, że już to mnie wyróżnia, że stawia mnie w uprzywilejowanej pozycji?

– Wątpię, żeby to był przywilej. Sądzę, że to raczej przekleństwo.

– Więc tak czy owak to ta sama klątwa, która rzekomo ciążyła nade mną jeszcze przed moimi narodzinami – powiedziała Amaia, wskazując na karty. – Ta sama, która zaludnia moje sny umarłymi, którzy pochylają się nad moim wezłowie, strażnikami lasu albo władczyniami burzy – powiedziała. Była zła, podniosła głos. – Ciociu, to wszystko jest tylko stratą czasu – dodała. Nagle poczuła się strasznie zmęczona.

Engrasi zasłoniła usta, krzyżując na nich obie dłonie, i patrzyła na nią z coraz większym przerażeniem.

– Nie, nie, nie, zamilcz, Amaio. Nie należy wierzyć...

To Amaia dokończyła magiczną formułę, którą tysiące mieszkańców doliny Baztán recytowało przez setki lat:

– ...że istnieją, nie należy mówić, że nie istnieją.

Przez kilka sekund trwała cisza. Obydwie starały się odzyskać oddech, a Engrasi przypatrywała się rozrzuconym arkanom.

– Nie skończyłyśmy – powiedziała, wskazując na talię kart.

– Obawiam się, że tak, ciociu. Muszę wyjść, mam coś do zrobienia.

– Ale... – zaprotestowała ciotka.

– Będziemy miały okazję dokończyć, obiecuję – powiedziała i wstała od stołu. Nachyliła się nad ciotką i pocałowała ją. – Idź spać. Żebym cię tylko tu nie zastała, kiedy wrócę.

Ale ciotka się nie ruszyła. Nawet kiedy Amaia wyszła już z domu, nadal siedziała bez ruchu za stołem.

Natychmiast po wyjściu z domu poczuła, że wilgoć znad rzeki, połączona z mgłą, która zeszła o zmroku z górskich zboczy, klei się do jej płaszczka z czarnej wełny i sprawia, że od milionów mikroskopijnych kropelek wody wydaje się szary. Doszła opustoszałą ulicą do mostu. Zatrzymała się na chwilę i sprawdziła godzinę na komórce, po czym rzuciła okiem na ciemną rzekę. Wśród nocnej ciszy rozlegał się jedynie huk wody spadającej z jazu. Tawerna Txokoto i bar Trinkete były już zamknięte i nieoświetlone. Weszła pomiędzy domy. Szła przyklejona do murów i doszła do głównego wejścia do wytwórni. Kiedy już była na rogu, zatrzymała się na kilka sekund, żeby posłuchać, i dopiero kiedy się upewniła, że w okolicy nie ma nikogo, w ciemnościach przebiegła przez parking do tylnego wejścia. Schowała się za pojemnikami na śmieci i wypróbowała latarkę i znów komórkę, a potem instynktownie namacała broń w kaburze u pasa. Musiało minąć niemal pół godziny, zanim usłyszała skrzypienie żwiru świadczące o tym, że ktoś nadchodzi. Jedna osoba, niezbyt wysoka, ubrana na czarno. Zdecydowanym krokiem zmierzała prosto do drzwi magazynu. Amaia czekała, aż usłyszała plastikowe kulki uderzające o siebie w pojemniku z farbą. Ten ktoś nim potrząsał. Potem rozległo się syczenie gazu, co zapowiadało, że zaraz użyje sprayu. Kilka maźnięć, potrząśnięcie, syknięcie... Wyskoczyła zza kontenera i jedną ręką oświetliła latarką nocnego marka, a drugą wycelowała w niego wyświetlacz aparatu komórkowego.

– Stój, policja! – użyła klasycznej formuły, cały czas trzymając zapaloną latarkę i robiąc zdjęcie za zdjęciem.

Kobieta upuściła spray z farbą, krzyknęła piskliwie i rzuciła się do ucieczki.

Amaia postanowiła nie trudzić się jej ściganiem. Nie dosyć, że rozpoznała, kim jest, to jeszcze dysponowała całą serią świetnych zdjęć siwowłosej kobiety. Fryzura, podświetlona potężną latarką, unosiła się wokół jej głowy, tworząc aureolę. Kobieta trzymała w ręku spray. Za nią widać było wulgarny,

świeżo wykonany napis. Na jej twarzy malowało się doprawdy bezcenne przerażenie. Amaia schyliła się, włożyła pojemnik z farbą do torebki i ruszyła do domu nocnej malarki.

Drzwi otworzyła teściowa Ros. Miała dość czasu, żeby na ubranie, w którym gryzmoła po murach, narzucić fioletowy szlafrok w łączkę, ale jej nadal przyspieszony oddech dobitnie świadczył o wysiłku, jakim był bieg do domu. Amaia była całkiem pewna, że jej nie widziała, chociaż słyszała jej głos, kiedy krzyknęła: stój!

Zresztą nie była głupia. Jeśli jeszcze miała jakieś wątpliwości co do tożsamości osoby, która ją nakryła na gorącym uczynku, rozproszyły się, kiedy zobaczyła Amaię na swoim progu. Ale i tak, cwaniara, usiłowała się wymigać.

– Co ty tu robisz? Ty i twoja rodzina nie jesteście mile widziani w tym domu. I to jeszcze o takiej porze! – powiedziała z fałszywą godnością, udając, że spogląda na zegarek.

– Nic takiego. Nie przyszedłem do pani, przyszedłem do Freddy’ego.

– On też nie chce cię widzieć – odparła rozzuchwalona.

Z wnętrza domu dobiegł ochryply głos. Ledwie go rozpoznała.

– To ty, Amaio?

– Tak, Freddy. Przyszedłem do ciebie – podniosła głos, żeby mógł ją usłyszeć.

– Pozwól jej wejść, *ama*.

– Nie sądzę, żeby to było właściwe – powiedziała już słabszym tonem kobieta.

– *Ama*, powiedziałem, żebyś ją wpuściła. – W jego głosie słychać było zmęczenie.

Amaia wyciągnęła rękę, złapała kobietę za ramię i zdecydowanie odsunęła, popychając do tyłu, ale jednocześnie przytrzymując, żeby nie upadła. Weszła do saloniku, który przemeblowano tak, żeby fotel na kółkach Freddy’ego zmieścił się między fotelami ustawionymi frontem do telewizora, na którym migał obraz. Głos wyłączono.

Freddy siedział na fotelu w dość naturalnej pozie. Nie od razu można się było zorientować, że jest sparaliżowany od szyi w dół. Ale po atletycznym ciele, z którego zawsze był tak

dumny, nie było śladu. Pozostał z niego jedynie szkielet pokryty skórą i obleczony w grubą odzież, która jeszcze podkreślała okropne wrażenie. Jedynie twarz nadal miał piękną, może nawet przystojniejszą niż kiedyś, bo malował się na niej pełen rezygnacji spokój, który w połączeniu z bladeścią cery sprawiał, iż wydawał się lepszym i bardziej zrównoważonym człowiekiem, niż kiedykolwiek był. W bladej twarzy wyraźnie było widać zaczerwienione oczy.

– Jak się masz, Amaio? – Uśmiechnął się do niej.

– Jak się masz, Freddy?

– Jesteś sama? – powiedział, usiłując spojrzeć do tyłu.

– Pomyślałem, że... że może Ros...

– Nie, Freddy. Jestem sama. Muszę z tobą pomówić.

Wydawało się, że jej nie słucha.

– Jak się miewa Ros? Nigdy mnie nie odwiedza, a tak chciałbym... No tak, to rozumiałe, że nie chce mnie widzieć.

Jego matka stanęła w drzwiach i stamtąd patrzyła wrogo na Amaię. Włączyła się z furją:

– Zrozumiałe! Raczej zupełnie niezrozumiałe! Chyba że się jest człowiekiem bez serca, jak ona.

Amaia nawet na nią nie spojrzała. Popchnęła jeden z foteli, żeby go ustawić frontem do wózka, i usiadła, patrząc na byłego szwagra.

– Moja siostra czuje się dobrze, Freddy. Ale chyba nadszedł czas, żebyś wytłumaczył matce, dlaczego to oczywiste, że Ros nie chce tu przyjść.

– Niczego nie musi mi tłumaczyć – krzyknęła jego matka. – Ja wiem, o co chodzi. Po tym, co zrobiła mojemu biednemu synowi, nie ma odwagi się tu pokazać. I coś ci powiem: bardzo dobrze, bo gdybym ją spotkała w drzwiach, na Boga, chybabym ją rozdarła na strzępy!

Amaia po raz kolejny ją zignorowała.

– Freddy, myślę, że powinieneś porozmawiać ze swoją matką.

Przełknął ślinę i z pewnym trudem odpowiedział:

– Amaio, to sprawa między Ros a mną. Nie sądzę, żeby moja matka...

– Powiedziałam, że Ros czuje się dobrze, ale to niezupełnie

prawda. Jest pewna sprawa, która ostatnio ją martwi – to mówiąc, pokazała mu komórkę, żeby mógł obejrzeć zdjęcie swojej bazgrzącej matki.

Był autentycznie zdumiony.

– Co to takiego?

– No więc to jest twoja matka, sfotografowana dwadzieścia minut temu, kiedy wypisywała obelgi na drzwiach magazynu. Temu właśnie oddawała się przez ostatnie miesiące: zaszczuwaniu Ros, zastraszaniu jej i wypisywaniu „kurwa morderczyni” na wytwórni i na drzwiach jej domu.

– *Ama?*

Kobieta milczała. Wbijiała wzrok w podłogę, a na jej twarzy malowała się pogarda.

– *Ama!* – krzyknął Freddy ze zdumiewającą siłą. – Co to wszystko znaczy?!

Zaczęła oddychać szybciej, niemal dyszeć, i nagle rzuciła się na syna, zaczęła go ścisnąć i obejmować.

– A co innego mogłam zrobić? Zrobiłam to, co do mnie należało, to, co zrobiłaby każda matka. Ilekroć widzę ją na ulicy, mam ochotę ją zamordować za to, co ci zrobiła, za twoje cierpienia!

– Ona nic nie zrobiła, *ama*, to ja.

– Ale z jej winy, tej niewdzięcznicy! To ona cię opuściła i oszalałaś z bólu, mój biedny synu – krzyczała, płacząc ze złości i czepiając się jego bezwładnych nóg. – Popatrz na siebie! – zawyła, podnosząc głowę. – Zobacz, co się z tobą stało przez tę dziwkę!

Freddy płakał w milczeniu.

– Powiedz jej, Freddy – nalegała Amaia. – Powiedz, dlaczego cię podejrzewano o zamordowanie Anne Arbizu. Powiedz, dlaczego Ros opuściła dom, i powiedz, dlaczego próbowałeś się zabić.

Matka stawiała opór.

– Już ja wiem dlaczego.

– Nie, nie wie pani.

Nadal płakał, wpatrując się w matkę.

– Już czas na to, Freddy. Twoje milczenie sprawia, że wiele

osób cierpi, a zważywszy na rodzinne skłonności do popełniania nierozsądnych czynów, nie zdziwiłoby mnie, gdyby w końcu twoja matka zrobiła coś okropnego. Jesteś jej to winny, ale przede wszystkim jesteś to winny Ros.

Przestał płakać i jego twarz z powrotem przybrała ten spokojny wyraz, który tak ją z początku zaskoczył.

– Masz rację, jestem jej to winny.

– Nieprawda, nic tej łajdaczce nie jesteś winny – splunęła matka.

– Nie obrażaj jej, *ama*, nie zasłużyła na to. Ros mnie kochała, dbała o mnie i była mi wierna. Opuściła dom, bo odkryła, że jest inna kobieta.

– Nieprawda. – Matka nie dawała za wygraną. – Jaka kobieta?

– Anne Arbizu – wyszeptał jej imię i Amaia zauważyła, że mimo upływu czasu wspomnienie o niej nadal go bolało.

Jego matka z niedowierzaniem otworzyła usta.

– Zakochałem się w niej jak szalony. Nie myślałem o niczym ani o nikim, tylko o sobie i o swojej miłości. Ros zaczęła mnie podejrzewać i kiedy już miała dosyć, odeszła z domu. A tego dnia, kiedy dowiedziałem się, że Anne została zamordowana... Nie mogłem tego znieść i... no, wiesz, co zrobiłem.

Matka podniosła się z podłogi i wychodząc z pokoju, powiedziała tylko:

– Powinieneś mi być o tym powiedzieć, synu. – Poprawiła ubranie i poszła do kuchni, ocierając łzy.

Amaia nadal siedziała ze smutną miną naprzeciwko Freddy'ego i patrzyła w stronę korytarza, którym oddalała się jego matka.

– Nie martw się o nią – powiedział spokojnie. – To minie. Jakkolwiek było, zawsze mi na wszystko pozwalała i tym razem także nie robi wyjątku. Jest mi przykro tylko ze względu na Ros. Mam nadzieję, że nie pomyślała... no, że nie sądziła, że ja mam coś z tym wspólnego.

– Nie myślę, żeby tak sądziła...

– Bardzo ją skrzywdziłem przez to, że byłem takim bezmyślnym idiotą. Ale świadomie też ją skrzywdziłem, tylko że, Amaio, uwierz mi, przez Anne zupełnie straciłem głowę. Byłem

jak oszalały. Dobrze mi było z Ros, kochałem ją, przysięgam, ale ta dziewczyna, Anne... Z Anne to było coś zupełnie innego. Utkwiła mi w głowie i nic na to nie mogłem poradzić. Kiedy czarownica cię wybierze, nic nie możesz zrobić, bo one są bardzo potężne.

Amaia patrzyła na niego zdumiona, a on mówił dalej, jakby czytał słowa, które ktoś mu szeptał do ucha. Jakby był zaczarowany.

– Ona mnie wybrała i pociągała za sznurki. Byłem jej marionetką. Jestem pewien, że sprowokowała Víctora. Wiem także, że miała konszachty z twoją siostrą.

– Ros przysięgła, że znała ją tylko z widzenia – zdziwiła się Amaia.

– Nie, nie z Ros. Z Florą. Kiedyś poszedłem po coś do magazynu i zobaczyłem je razem. Anne wyszła tylnymi drzwiami. Zamieniły kilka słów i pożegnały się serdecznym uściskiem. W następną niedzielę, kiedy piliśmy z Ros wermut pod *gorapes*, przechodziła tamtędy Flora i stanęła, żeby się przywitać. Powiedziała, że wraca z mszy. Wtedy przeszła obok nas Anne i ja oczywiście udawałem, że jej nie znam. Ros niczego nie zauważyła, ale to, co mnie zdziwiło, to to, że Flora także udawała, a przecież widziałem je razem. Kiedy następnym razem spotkałem się z Anne, spytałem, czy zna Florę, ale zaprzeczyła i nawet się na mnie pogniewała, więc zostawiłem to. Zresztą niewiele mnie to obchodziło.

– Jesteś pewien, Freddy?

– Tak, jestem pewien.

Amaia zaczęła to rozważać. Freddy odezwał się nagle:

– Czasem do mnie przychodzi.

– Kto?

– Anne. Raz przyszła, kiedy leżałem w szpitalu, a od kiedy jestem tutaj, odwiedziła mnie dwa razy.

Amaia patrzyła na niego i nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Gdybym mógł się ruszyć, skończyłbym ze sobą. Czy wiesz, że czarownice nie zaznają spokoju po śmierci? Podobnie jak samobójcy.

Poczuła, że wibruje jej komórka, ale postanowiła nie odbierać.

Kiedy wychodziła, sprawdziła: dwa nieodebrane połączenia od Jonana. Oddzwoniła i po chwili usłyszała jego głos:

– Szefowo, znalazłem dwie krewne tych zamordowanych kobiet. Siostrę tej z Bilbao i ciotkę tej drugiej, w Burgos. Obydwie są gotowe spotkać się z panią.

Popatrzyła na zegarek i stwierdziła, że jest po dwunastej.

– Już za późno dzisiaj, żeby do nich dzwonić... Zadzwoń jutro rano i uprzedź, że przyjadę się z nimi zobaczyć. Wyślij mi ich adresy esemesem.

– Nie chce pani, żebym pani towarzyszył? – spytał Jonan, trochę zawiedziony.

Pomyślała przez chwilę i zdecydowała, że nie. To była sprawa, którą musiała się zająć sama.

– Chcę skorzystać z okazji i odwiedzić moją siostrę Florę w Zarautz, żeby z nią pomówić o sprawach rodzinnych. Zostań tu i odpocznij. Przez ostatnie dni nie wyściubiałeś nosa z komputera, a ponieważ wydaje się, że w Arizkun sprawy się uspokoily, weź sobie wolny dzień. Porozmawiamy, jak wrócę.

Zbliżając się do domu ciotki, dostrzegła jakąś sylwetkę w cieniu, między dwiema latarniami, i instynktownie podniosła rękę do broni, ale w tym samym momencie ten ktoś zrobił krok naprzód i stanął w kręgu światła. Fermín Montes, w stanie niewątpliwie wskazującym na nadużycie napojów alkoholowych. Poczekał, aż podejdzie bliżej, i powiedział:

– Amaio...

– Jak pan śmie tu przychodzić! – przerwała mu, oburzona.

– To mój dom, rozumie pan? Mój dom! Nie ma pan prawa mnie nachodzić!

– Chciałem z panią pomówić – próbował wyjaśnić.

– To proszę się umówić. Proszę usiąść przed moim biurkiem w moim gabinecie i wyłożyć, co ma pan do powiedzenia. Ale nie może pan nastawać na mnie na korytarzach komisariatu ani w drzwiach mojego domu. Proszę nie zapominać, że prowadzę dochodzenie, a pan jest zawieszony w czynnościach.

– Miałbym prosić o oficjalne spotkanie? Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi...

– Skądś znam to zdanie – odparła z przekąsem. – Czy to nie ja

tak kiedyś powiedziałam? I co usłyszałam od pana? Ach, tak: „proszę myśleć nadal”.

– W tym tygodniu odbędzie się posiedzenie komisji.

– Chyba niezbyt się pan tym przejmuje, zważywszy na to, jak się pan zachowuje.

– Co pani im powie?

Amaia nie mogła uwierzyć, że jest aż tak bezczelny.

– Pan nie daje za wygraną, prawda?

– Co im pani powie? – nalegał.

Wpatrywała się w niego, badała wzrokiem jego twarz. Pod oczami miał ogromne opuchnięte wory, na poszarzałej skórze pojawiły się zmarszczki, których sobie nie przypominała, zwłaszcza wokół ust. Malowały się na nich pogarda i gniew.

– Cóż mogę powiedzieć? Jedyne to, że jest pan tym samym człowiekiem, który w ubiegłym roku niemal strzelił sobie w łeb.

– Proszę, Salazar, wie pani, że tak nie jest – zaprotestował.

– Proszę się umówić – powiedziała, wyciągając z torebki klucz i ruszając do drzwi. – Nie mam zamiaru z panem rozmawiać.

Popatrzył na nią i wykrzywił usta, a potem powiedział:

– Nie sędzę, żeby to pomogło. Słyszałem, że prawie pani nie bywa w komisariacie i zrzuca pani pracę na innych. Prawda, Salazar?

Odwróciła się do niego, zaśmiała głośno i natychmiast, bez uśmiechu, suchym tonem stwierdziła:

– Dla pana jestem szefową. Tak proszę zaadresować prośbę o przyjęcie na spotkanie.

Montes zeszywniał, a jego twarz poczerwieniała. Widziała to nawet w tym słabym świetle. Pomyślała, że coś odpowie, ale odwrócił się i poszedł.

Pod schodami zdjęła botki i jak zwykle poczuła wdzięczność, że James zostawił w sypialni zapaloną lampkę. Przez minutę patrzyła na Ibaia. Spał z rączkami wyciągniętymi na boki, na północ i południe, z dłońmi obróconymi wewnątrz ku górze, przypominającymi małe rozgwiazdy. Na jasnej skórze jego szyi pulsowały żyłki. Rozebrała się i dygocząc z zimna, położyła się do łóżka. James lekko się poruszył, przytulił ją i nie otwierając oczu, uśmiechnął się do niej.

– Masz lodowate stopy – szepnął, przykrywając je swoimi.

– Nie tylko stopy...

– Co jeszcze? – spytał, na wpół śpiąc.

– Tutaj – poprowadziła jego rękę do swoich piersi.

James otworzył oczy. Sen szybko się z nich ulotnił. Pochylił się nad nią, nie przestając jej pieścić.

– Jeszcze gdzieś ci zimno?

Potwierdziła z ubolewaniem, uśmiechając się frywolnie i udając zmartwioną.

– Gdzie? – wypytywał uprzejmie James, kładąc się na niej.

– Może tutaj? – pocałował ją w szyję.

Pokręciła głową.

– Tutaj? – całował ją drobnymi pocałunkami, schodząc w dół, ku piersiom.

Zaprzeciła.

– Musisz mi odpowiedzieć – poprosił z uśmiechem. – Może jeszcze niżej?

Potwierdziła z udawaną nieśmiałością.

Wślizgnął się pod kołdrę, całując ją cały czas, aż przez wzgórek łonowy dotarł do jej kobiecości.

– Myślę, że już trafiłem – powiedział, całując ją także tam. Ale nagle wychynął z powrotem spod przykrycia, udając oburzenie.

– Oszukałaś mnie... To miejsce wcale nie jest zimne, przeciwnie, jest cudownie gorące.

Uśmiechając się łobuzersko, popchnęła go w dół, pod kołdrę.

– Wracaj do pracy, niewolniku.

A on jej posłuchał.

Dziecko płakało. Słyszała jego płacz z oddali, jak gdyby było w innym pokoju, więc otworzyła oczy, wstała i poszła go szukać. Pod bosymi stopami czuła ciepło drewnianej podłogi, nagrzanego przez rozpalone piece. Przez szyby okien wpadały strumienie słonecznego światła, rysując linie zawieszonym w powietrzu pyłem. Rozpraszał się, kiedy przez niego przechodziła. Zaczęła wchodzić po schodach, słysząc cały czas ten odległy płacz, który jednak jej nie niepokoił. Po prostu była ciekawa, jak każda dziesięcioletnia dziewczynka. Popatrzyła na swoją dłoń, którą przesuwiała po poręczy schodów, i na małe

stópki wystające spod białej nocnej koszulki, uszytej i wyhaftowanej przez *amatxi* Juanitę. Przez koronkowe obramowanie falbanki przełożona była bladoróżowa atlasowa wstążeczka, którą sama wybrała spośród tych, które pokazała jej babcia. Teraz płaczowi Ibaia towarzyszył rytmiczny dźwięk, tak, tak, tak, jak bicie fal o brzeg, jak tykanie zegara. Tak, tak, płacz powoli cichł, aż ustał zupełnie. I wtedy usłyszała wołanie.

– Amaio! – Słodki głos, dochodzący z bardzo daleka, tak jak przedtem płacz dziecka.

Wchodziła po schodach, ufna, pewna siebie. Była w domu swojej *amatxi* i nic złego nie mogło jej tam spotkać.

– Amaio! – zawołał znów głos.

– Już idę – odpowiedziała. Usłyszała swój własny głos i zdziwiła się, jak bardzo mogą być do siebie podobne dwa głosy, ten, który woła, i ten, który odpowiada.

Dotarła do półpiętra i kilka sekund stała spokojnie, nad słuchując w ciszy trzaskania bierwion w piecach, skrzypienia drewnianej podłogi i rytmicznego tak, tak, tak, które, była tego pewna, dochodziło ze strychu.

– Amaio! – wołał głos smutnej dziewczynki.

Wyciągnęła rączkę, żeby dosięgnąć poręczy, i zaczęła się wspinać na samą górę, a tykanie stawało się coraz wyraźniejsze. Zrobiła jeden krok, potem drugi, w rytmie stukania, aż znalazła się na strychu. Wtedy Ibai znowu zaczął płakać. Płacz dobiegał z kołyski: stała pośrodku ogromnego pomieszczenia i kołysała się z boku na bok, jakby jakaś niewidzialna ręka nadawała jej rozpęd. Tak, tak, tak, tak. Podbiegła do kołyski, żeby ją zatrzymać, i wtedy ją zobaczyła. To była dziewczynka, ubrana w jej własną koszulkę. Siedziała w rogu pod ścianą, blond włosy spadały jej poniżej ramion, i płakała w milczeniu, łzami tak gęstymi i ciemnymi jak olej silnikowy. Łzy spływały jej po twarzy, sączyły się na gors i zabarwiały na czarno koszulkę. Amaia poczuła, że serce rozrywa jej ból. Rozpoznała w tej dziewczynce siebie, nieżywą ze strachu i opuszczenia. Chciała ją pocieszyć, powiedzieć, że wszystko mija, ale głos załamał jej się w gardle: dziewczynka podniosła do góry kikut ręki i wskazała na kołyskę, w której

Ibai krzyczał jak oszalały.

– Nie pozwól, żeby *ama* go zjadła tak jak mnie.

Amaia podbiegła do kołyski, złapała dziecko i zaczęła zbiegać na dół. Cały czas słyszała, jak dziewczynka powtarza ostrzeżenie.

– Nie pozwól, żeby *ama* go zjadła.

Zbiegając tak i potykając się z Ibaiem przyciśniętym do piersi, ujrzała gromadkę innych dzieci. Wszystkie były bardzo małe i bardzo smutne. Stały w szeregach po obu stronach schodów i w milczeniu, zalewając się łzami, podnosiły do góry kikuty rąk i patrzyły na nią z rozpaczą. Krzyknęła i ten krzyk ją obudził. Wyrwał ją, spoconą i drżącą, z tego koszmaru, z rękami nadal splecionymi na piersi, jakby niosła swego syna. Oddalające się echo głosu dziewczynki jeszcze przez chwilę wzywało ją z innego świata.

James spał, ale Ibai wiercił się niespokojnie w kołysce. Wzięła go na ręce, wciąż pod wrażeniem snu, i załęknioma zapaliła światło na stoliku, żeby definitywnie pozbyć się resztek koszmaru. Sprawdziła, która godzina, i stwierdziła, że niedługo zacznie świtać. Położyła się z synkiem na łóżku i dała mu pierś, a on patrzył na nią szeroko otwartymi oczami i uśmiechał się tak szeroko, że kilka razy zgubił rytm. Po kilku minutach zaczął protestować, domagając się więcej mleka. Amaia przyłożyła go do drugiej piersi, ale szybko zorientowała się, że to nie wystarczy. Spojrzała na niego ze smutkiem, westchnęła i zeszała do kuchni przygotować mieszankę. No cóż, sprawy toczą się swym biegiem, ilość pokarmu, którą mogła dostarczyć Ibaiowi, zmniejszała się, bo karmiła go coraz rzadziej i jej ciało dostosowało się do tego. Już niemal straciła pokarm, więc kogo mogłaby oszukać? Na pewno nie naturę. Wróciła do sypialni. James już się obudził i zajmował dzieckiem. Popatrzył na nią zdziwiony, kiedy wzięła Ibaia na ręce i zalewając się łzami, podała mu butelkę.

Gdy była dzieckiem, chciała mieszkać nad morzem, w Zarautz. Wszystko jej się tam podobało: szosa obsadzona drzewami, które stały po bokach jak strażnicy, eleganckie domy tuż nad morzem, urocza starówka z mnóstwem sklepów i barów, tłum ludzi na ulicach, nawet w deszczowe dni, dziki, surowy aromat morza i słonawa mgielka unosząca się w powietrzu. Podobało jej się zwłaszcza światło, światło tak odmienne od tego w dolinie rzeki Baztán, płynącej między wzgórzami porośniętymi lasem, jak niebieskie oczy różnią się od oczu czarnych. Teraz nie była już taka pewna, co by wolała, bo chociaż jeszcze do niedawna sądziła, że nienawidzi Elizondo, swojego rodzinnego miasteczka, i że nigdy nie zechce tam wrócić, w ciągu roku wszystko zmieniło się diametralnie i wszystko, w co ślepo wierzyła, wszystko, czego jeszcze do niedawna była zupełnie pewna, zostało podane w wątpliwość. Odczuwała zew korzeni, przyciąganie, któremu ulegają wszyscy, którzy urodzili się tam, w zakolu rzeki, ale miała jeszcze wystarczająco siły, żeby ten zew zignorować. Nie była jednak w stanie uciec od błagania umarłych i zdawała sobie sprawę, że gdzieś ponad nią zawiązał się pakt potężnych sił, który popycha ją po raz kolejny do przeciwstawienia się tym, którzy chcą zbrukać dolinę.

Znalazszy się w Zarautz, poczuła, że wszystkie te sprawy stają się odległe. W ten zimowy, rozświetlony poranek wielkie białe cumulusy płynęły po niebie nad niebieskawym morzem i równie białe, doskonale w kształcie fale raz po raz łamały się z hukiem. Kilku surferów z deskami szło plażą, szeroką w porze odpływu, żeby przyłączyć się do dużej grupy tych, którzy już byli w wodzie. Dwa piękne konie kłusowały po twardym piasku. Amaia podniosła wzrok i spojrzała na przeszklone fasady budynków na nadmorskiej promenadzie, i pomyślała, że byłoby cudownie codziennie budzić się z widokiem na szalone

Morze Kantabryjskie, móc sobie na to pozwolić. Ale już pierwszy rzut oka na oferty zawieszono na wystawie biura nieruchomości pozbawił ją złudzeń. Jak przed stu pięćdziesięciu laty, kiedy pierwsi baskijscy i madryccy przedsiębiorcy zaczęli stawiać na tym wybrzeżu wspaniałe posiadłości, było to miejsce wyłącznie dla bogaczy. Sprawdziła adres i skręciła w przecznice, a stamtąd do małego parku, z którego wchodziło się do budynku. Portier w liberii zaanonsował jej przybycie i wskazał, na które piętro ma się udać. Kiedy wyszła z windy, drzwi mieszkania stały otworem. Ze środka dobiegała dyskretna muzyka. Na jej tle usłyszała słowa siostry:

– Wejdz, Amaio, i nastaw sobie kawę. Już kończę się ubierać.

Jeśli Flora chciała zrobić na niej wrażenie, w pełni jej się udało. Już od drzwi, przez przestrzeń ogromnego salonu, można było spoglądać na morze. Szyby, lekko przyciemnione, pokrywały całą ścianę, od sufitu do podłogi. Widok był tak wspaniały, że Amaia zatrzymała się pośrodku salonu, przytłoczona pięknem i światłem. To był ten rodzaj luksusu, który jest wart każdych pieniędzy.

Flora weszła w tym samym momencie i uśmiechnęła się na jej widok.

– Prawda, że robi wrażenie? To samo pomyślałam, kiedy tu weszłam po raz pierwszy. Potem pokazywali mi inne mieszkania, ale przez całą noc nie mogłam spać i myślałam tylko o tym. Następnego dnia je kupiłam.

Amai udało się oderwać wzrok od okna i spojrzeć na siostrę. Flora zatrzymała się w pewnej odległości i nie wydawała się skłonna podejść bliżej.

– Wyglądasz świetnie, Floro – powiedziała szczerze Amaia.

Flora miała na sobie czerwoną garsonkę i była trochę zbyt mocno umalowana, ale wyglądała elegancko i z klasą.

Obróciła się dookoła własnej osi, żeby Amaia mogła obejrzeć jej kreację ze wszystkich stron.

– Nie mogę cię ucałować, jestem już umalowana do występu w telewizji. Za półtorej godziny mam nagranie.

Niech ci będzie, że to dlatego, pomyślała Amaia.

Uwolniona od przymusu manifestowania rodzinnych uczuć Flora przeszła przez salon, kołysząc się na wysokich obcasach i zostawiając za sobą niewidzialną smużkę drogich perfum.

– Widzę, że twoje sprawy mają się doskonale, Floro. Masz przepiękne mieszkanie – mówiąc to, Amaia przyjrzała się luksusowemu wyposażeniu, na które dotąd nie zwróciła uwagi. – Sama też świetnie się prezentujesz.

Flora wróciła z tacą, na której stały dwie filiżanki kawy.

– Nie mogę tego powiedzieć o tobie. Jesteś strasznie chuda. Myślałam, że wszystkie matki tyją w pierwszej ciąży. Tobie przydałoby się kilka kilo więcej.

Amaia uśmiechnęła się.

– Bycie matką jest wyczerpujące, Floro, ale jest warte wszystkiego. – Nie powiedziała tego złośliwie, ale kiedy zobaczyła na twarzy siostry grymas, zmieniła temat. – Jak tam twój program?

Twarz Flory rozjaśniła się.

– No więc nadano już czterdzieści odcinków w telewizji regionalnej, a kiedy je wyświetlano, otrzymaliśmy kilka ofert z telewizji krajowych. W zeszłym tygodniu podpisaliśmy umowę. Na wiosnę rozpocznie się emisja w całym kraju. Kupiono z góry dwa sezony, więc teraz czasem nagrywam dwa, trzy programy dziennie. Bardzo męczące, ale opłacalne.

– Ros także dobrze sobie radzi w wytwórni. Nawet zwiększyła sprzedaż.

– Doprawdy? – rzuciła Flora z pogardą. – Ros zbiera owoce mojego trudu. Chyba nie sądzisz, że wszystko zaczyna grać samo.

– Nie, oczywiście, że nie. Chciałam ci tylko powiedzieć, że dobrze jej idzie.

– Najwyższy czas, żeby się trochę rozruszała.

Amaia zamilkła. Siedziała tak ponad minutę, popijając kawę i podziwiając widok na wybrzeże Guetaria i wzgórze San Antón, o charakterystycznym kształcie myszy, i czując, że siedząca naprzeciwko Flora coraz bardziej się niepokoi. Wypiła już kawę i zajmowała się poprawianiem nieistniejących fałd na swojej nienagannej spódnicy.

– A czemu zawdzięczam ten zaszczyt, że przyjechałaś?

– Prowadzę dochodzenie – rzuciła.

Flora lekko się skrzywiła.

– Opowiedz mi o Anne Arbizu – dodała Amaia, nie spuszczać z niej wzroku.

Florze udało się opanować, choć zdradziło ją lekkie drżenie zuchwy. Amaia pomyślała, że nie będzie chciała odpowiedzieć, ale siostra po raz kolejny ją zaskoczyła.

– Co chcesz wiedzieć?

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, że się znałyście?

– Nie zapytałaś mnie o to, siostrzyczko. Poza tym to przecież nic niezwykłego. Całe życie przeżyłam w Elizondo, znam prawie wszystkich, co najmniej z widzenia. Zresztą znałam wszystkie te dziewczyny, z wyjątkiem tej z Dominikany. Jak ona się nazywała?

– Ale Anne Arbizu znałaś bliżej, nie tylko z widzenia.

Flora siedziała w milczeniu i kalkulowała w myślach, ile może wiedzieć jej siostra. Amaia postanowiła ułatwić jej sprawę:

– Ktoś mi powiedział, że widział, jak wychodziła z wytwórni drzwiami od strony magazynu.

– Może przyszła się zobaczyć z kimś z pracowników – zasugerowała Flora.

– Nie, Floro, przyszła do ciebie. Żegnałyście się serdecznie w drzwiach.

Flora podniosła się i podeszła do okna, żeby Amaia nie widziała jej twarzy.

– Nie wiem, jakie to by mogło mieć znaczenie, nawet gdyby tak było.

Amaia także wstała, ale nie ruszyła się z miejsca.

– Floro, Anne Arbizu zmarła gwałtowną śmiercią. Była kochanką twojego szwagra Freddy’ego. Była przyczyną cierpienia Ros. Łączyły ją z tobą przyjacielskie stosunki. Żegnałyście się, ściskając się i całując. Zginęła nad rzeką z rąk twojego byłego męża. Ty, Floro, zabiłaś człowieka, który był twoim mężem przez dwadzieścia lat, a ja, mimo że złożyłaś zeznanie i miałaś alibi, nie wierzę, żebyś to zrobiła w obronie własnej, bo jednego jestem pewna: Víctor robił to, co robił, bo

nie umiał ci się przeciwstawić. Raczej padłby trupem, niż ośmielił się ci grozić.

Flora zaciskała zęby i widać było, że nie zamierza odezwać się ani słowem.

– Znam cię, Floro, wiem, co myślałaś o jego ofiarach i o tym, jaki koniec powinien spotkać dziewczyny, które schodzą z prostej drogi. Pamiętam do dzisiaj, słowo po słowie, jak bronilaś tego, jak go nazwałaś, obrońcy czystości, który karał bezczelne małe kurewki. Wiem, że dziewczyny gównem cię obchodziły i że jeśli zdecydowałaś się powstrzymać Víctora, to nie po to, żeby przestał zaścielać dolinę ciałami martwych dziewczyn. Sądzę, że zrobiłaś to, bo zabił Anne, i to był jego błąd.

Flora obróciła się bardzo powoli, a wszystkie jej ruchy wskazywały na to, że próbuje się opanować.

– Opowiadasz głupoty. Mówiłam to, żeby go sprowokować. Podejrzewałam go, bo go znałam. Nie na darmo byłam przez dwadzieścia lat jego żoną, jak sama powiedziałaś. I to oczywiste, że mi groził. Byłaś tam. Krzyczał na mnie i groził, że mnie zabije.

Amaia zaśmiała się gorzko.

– Co za bzdury. Floro, kłamiesz. Jeśli Víctor stał się tym, czym się stał, to w dużej mierze z tego powodu, że chodził w twoim kieracie. On cię uwielbiał, czcił i szanował. Ciebie i tylko ciebie. I masz rację, byłam tam wtedy i nie widziałam nic z tego, o czym mówisz. Usłyszałam pierwszy wystrzał, który z pewnością musiał go powalić na ziemię, a kiedy dobiegłam, zobaczyłam, że strzelasz... Sądzę, że naprawdę widziałam, jak go dobijasz.

– Nie masz dowodów! – krzyknęła Flora ze złością i odwróciła się z powrotem do okna.

Amaia nie dała za wygraną.

– Masz rację, na to nie mam dowodów. Ale mam dowody na to, że Anne Arbizu była o wiele bardziej skomplikowaną i niejasną osobowością, niż można by się spodziewać, widząc jej anielską twarzyczkę. Była niemal psychopatyczną manipulatorką, wywierała głęboki wpływ na wszystkich, którzy

ją znali. Chcę się dowiedzieć, co was łączyło, chcę wiedzieć, jaki wpływ wywierała na ciebie, i chcę wiedzieć, czy kochałaś ją tak mocno, żebyście chciały pomścić jej śmierć.

Flora oparła głowę o szybę i trwała tak bez ruchu przez kilka sekund. Z jej ust wyrwał się głęboki jęk. Zaczęła płakać. Oparła się rękami o szybę, żeby się nie przewrócić. Kiedy się odwróciła, twarz miała zalaną łzami. Całkiem zniszczyły jej dopracowany makijaż. Potykając się, podeszła do sofy i upadła na nią bezwładnie, nie przestając płakać. Łkanie rodziło się gdzieś głęboko w jej piersi, wrywając z niej zduszone westchnienia. Rozpaczwała tak bardzo, że wydawało się, że nigdy nie przestanie płakać. Z goryczy i bólu zginała się wpół i poddawała rozpacz tak, że Amaia była poruszona. Zdała sobie sprawę, że pierwszy raz w życiu widzi siostrę płaczącą. Nawet kiedy była dzieckiem, nigdy nie uroniła ani jednej łzy. Zaczęła się zastanawiać, czy się nie myli. Ludzie tacy jak Flora idą przez życie w żelaznej zbroi, która sprawia, że wydają się nieczuli, ale w środku, pod grubą warstwą metalu, nadal jest skóra i mięso, krew i serce. Może jednak się myliła, może Flora cierpiała dlatego, że musiała strzelić do Víctora, człowieka, którego może na swój sposób kiedyś kochała.

– Floro... Tak mi przykro...

Flora podniosła głowę i Amaia mogła zobaczyć jej zmienioną twarz. W jej oczach nie było ani śladu żałoby czy zranienia, tylko wściekłość i uraza. A kiedy zaczęła mówić, robiła to zimno i powoli, mówiła tonem dziwnym i groźnym, aż po plecach Amaia przeszedł dreszcz.

– Amaio Salazar, przestań wtykać nos w nie swoje sprawy. Przestań ścigać Anne Arbizu. Zapomnij o niej. Zapomnij, bo to cię przerasta. Nie wiesz, ani w co się mieszasz, ani o czym mówisz. Cała ta twoja kryminalistyka jest w tym przypadku bezużyteczna. Zostaw to teraz, kiedy jeszcze jest czas.

Podniosła się i poszła do łazienki.

– Będziesz zadowolona, jeśli mnie posłuchasz – powiedziała jeszcze, a potem dodała: – Zamknij drzwi, kiedy będziesz wychodzić.

Idąc do wyjścia, Amaia zwróciła uwagę na zdjęcie Ibaia,

oprawione w piękną ramkę ze starego srebra. Zatrzymała się na chwilę, żeby na nie popatrzeć, i pomyślała, że jej siostra jest najdziwniejszą osobą, jaką zna.

Zuriñe Zabaleta mieszkała na Alameda Mazarredo, skąd roztaczał się wspaniały widok na Muzeum Guggenheima. Już parter budynku i hol, z posadzkami wyłożonymi białym i czarnym marmurem, wskazywały na francuski styl i staranne wykończenie. Znalazło to potwierdzenie w mieszkaniu: francuskie okna dochodziły aż do ozdobionego sztukateriami sufitu, a ściany obite były prowansalską boazerią. Amaia rozpoznała dzieła kilku znanych malarzy. W rogu salonu z wielką przyjemnością zauważyła rzeźbę Jamesa Wexforda. Właścicielka mieszkania, która dostrzegła jej zainteresowanie, powiedziała, witając się z nią:

– To dzieło amerykańskiego rzeźbiarza. Ma charakter, prawda?

– Jest wspaniałe – odpowiedziała Amaia, z miejsca zdobywając sympatię właścicielki.

Pani Zabaleta była ubrana dyskretnie, ale niewątpliwie drogo. Wyglądała przez to trochę za poważnie jak na swój wiek. Zaprowadziła Amaię do foteli ustawionych tak, żeby mieć z nich jak najlepszy widok na muzeum obłożone tytanowymi panelami o dziwnym, matowym połysku. Poprosiła, żeby usiadła.

– Policjant, z którym wczoraj rozmawiałam, poinformował mnie, że chce mi pani zadać kilka pytań związanych z zabójstwem mojej siostry. – Jej głos osoby wykształconej i opanowanej załamał się lekko, gdy wspomniała o zbrodni.
– Nie sądziłam, że po tak długim czasie...

– Pani rodzina pochodzi z Baztán, prawda?

– Matka pochodziła z Ziga. Ojciec należał do znanej rodziny przedsiębiorców z Neguri. Mama jeździła do Getxo na wakacje i tam się poznali.

– Ale siostra urodziła się w Baztán, czyż nie?

– Tak. To były inne czasy i mama chciała rodzić w domu. Często opowiadała, że to był koszmarne poród. Proszę sobie tylko wyobrazić: domowy poród pierworódki. Kiedy była

w ciąży ze mną, zdecydowała się na tutejszy szpital.

– Proszę mi opowiedzieć, jak wyglądały relacje pani siostry i jej męża.

– Szwagier był dyrektorem w firmie Telefónica. Według mnie był dość nudnym typem, ale siostra się zakochała i pobrali się. Mieszkali w Deusto, w bardzo ładnym miejscu.

– Siostra pracowała?

– Nasi rodzice umarli, kiedy miałam dziewiętnaście lat, wkrótce po ślubie Edurne. Zostawili nam w spadku sporo nieruchomości i fundusz powierniczy, który pozwalał nam zajmować się tym, czym chcemy. Moja siostra Edurne była prezesem UNICEF-u w Kraju Basków.

– Nigdy nie zgłosiła oficjalnie, że jest ofiarą przemocy domowej, ale może była pani świadkiem czegoś takiego...

– Nigdy. Już pani mówiłam, że szwagier był dość bezbarwnym człowiekiem, nudziarzem, który rozmawia tylko o pracy. Nie mieli dzieci, więc często wychodzili wieczorami, ale to były spokojne rozrywki: teatr, opera, kolacje z przyjaciółmi. Niekiedy spotykali się ze mną i moim mężem. Byli takim małżeństwem, które wydaje się spojone jedynie przyzwyczajeniem, ale żadne z małżonków się nie wychyla... Nic nigdy nie wskazywało na to, że mógłby coś takiego zrobić. Przypominam sobie za to, że kilka miesięcy przed śmiercią siostra powiedziała, że jej mąż coraz rzadziej bywa w domu. Wracał późnym wieczorem i kilka razy przyłapała go na kłamstwie. Nie umiał wyjaśnić, gdzie i z kim był. Siostra podejrzewała, że spotyka się z inną kobietą, choć nie miała dowodów. Tak czy owak nie miała zamiaru się z tym pogodzić. Oczywiście wypytywałam, czy ją bije, ale odpowiedziała mi, że nie, chociaż czasami, kiedy go zirytowała, uderzał pięścią w meble albo podczas kłótni ciskał pierwszą rzeczą, która mu wpadła w rękę. Pewnego dnia piłyśmy razem kawę i siostra wspomniała, że myśli o rozwodzie, ale wyglądało raczej na to, że ma taki pomysł, niż że podjęła decyzję. Oczywiście poparłam ją, powiedziałam, że może na mnie liczyć, jeśli się zdecyduje, i to był ostatni raz, kiedy widziałam ją żywą. Później zobaczyłam ją dopiero w kostnicy. Twarz miała tak

zniekształconą, że pogrzeb odbywał się przy zamkniętej trumnie. – Zamilkła na chwilę, sięgając pamięcią w przeszłość. – Lekarz sądowy stwierdził, że umarła na skutek pobicia. Skatował ją na śmierć. Wyobraża pani sobie, jakim bydlakiem trzeba być, żeby bić kobietę tak, żeby zabić?

Amaia patrzyła na nią badawczo, ale się nie odezwała.

– Po zamordowaniu mojej siostry zdemolował całe mieszkanie, podarł na strzępy jej ubrania, porąbał meble w drzazgi i chciał nawet podpalić dom, ale ognisko było niewielkie i samo zgasło. W ataku szału połamał sobie palce u rąk i nóg i się pokaleczył. Było tam tyle samo jego krwi, co krwi siostry, a kiedy skończył, rzucił się z okna z ósmego piętra. Umarł przed przybyciem karetki.

– Sąsiedzi nic nie słyszeli?

– To bardzo luksusowy budynek, podobny do tego. Mieszkanie zajmowało całą kondygnację i najwyraźniej o tej porze nie było nikogo na sąsiednich piętrach.

Po krótkiej przerwie Amaia zadała najważniejsze pytanie.

– Czy odciął jej rękę?

– Lekarz sądowy stwierdził, że amputacji dokonano, kiedy była już martwa. To nie ma sensu – jęknęła. – Dlaczego to zrobił? – Przymknęła oczy na kilka sekund, a potem mówiła dalej: – Ręki nigdy nie znaleziono. Ertzaintza szukała nawet z psami w całym budynku, bo byli pewni, że nikt nie mógł jej wynieść. Jest tam portiernia i portier przysiągł, że nie ruszył się z miejsca przez ten cały czas. Zresztą niemożliwe, żeby nie zwrócił uwagi na to, że ktoś wychodzi i wchodzi cały zakrwawiony. Są tam też kamery i – choć rzeczywiście jest taki kąt, którego nie widać na nagraniu i którego można by przejść – nagranie potwierdziło, że portier nie opuścił stanowiska. Nie było śladów w wejściu, w windzie ani na schodach, a nie mógłby ich nie zostawić, biorąc pod uwagę, że w całym mieszkaniu śladów były tysiące, a jego buty po prostu ociekały krwią. – Westchnęła i odchyliła głowę do tyłu. Oparła ją o poduszkę. Wyglądała na zupełnie wyczerpaną. Po chwili dodała: – Nie wiem, skąd w takiej larwie wzięło się tyle krwi. Nawet gdybym myślała milion lat, nie wpadłabym na pomysł,

że ktoś tak nijaki będzie miał tyle werwy, żeby zrobić to, co on zrobił.

- Jeszcze tylko jedno pytanie i pozwolę pani odpocząć.
- Proszę pytać.
- Zostawił jakiś list? Jakąś wiadomość?
- Jedną? Kilkanaście. Wypisał je własną krwią na ścianach.
- Tarttalo – stwierdziła Amaia.

Kobieta potwierdziła.

Amaia pochyliła się do przodu, żeby znaleźć się bliżej niej.

– Musi pani zrozumieć, że ta rozmowa jest częścią dochodzenia i nie mogę nic więcej pani zdradzić, ale mam powody, żeby przypuszczać, że dzięki pani pomocy będziemy mogli rzucić na tę sprawę nowe światło i może znajdziemy tę część ciała pani siostry, która została odcięta.

Kobieta usiłowała powstrzymać grymas cierpienia. Amaia podała jej etui w kształcie oprawki od szminki, z patyczkiem zaopatrzonym w gąbkę.

– Proszę tym potrząść o wewnętrzną stronę policzka. To wystarczy.

GPS wskazał, że wieś Entrambasaguas leży w prowincji Burgos, o czterdzieści trzy kilometry i pięćdziesiąt minut jazdy od Bilbao, a Google poinformowały, że liczy trzydziestu siedmiu mieszkańców. Prychnęła niezadowolona. Takie dziury przyprawiały ją o ataki nieuzasadnionej klaustrofobii. Przemoc wobec kobiet i *machismo* w żaden sposób nie są związane wyłącznie ze środowiskiem wiejskim, występują wszędzie, w każdym środowisku i w każdej grupie społecznej, ale w takich miejscach Amaia natychmiast wracała pamięcią do dzieciństwa spędzonego w rodzinnym miasteczku, które uważała za pułapkę. Wiedziała, że to absurdalne, że w dużym mieście wcale nie jest lepiej. Na przykład dla Edurne okazało się to fatalne w skutkach. Mieszkanka wielkiego Bilbao już na zawsze zostanie siostrą w nieszczęściu tej drugiej zamordowanej, kobiety z Entrambasaguas, której w życiu nie widziała na oczy.

Prowadziła skupiona na drodze. Warunki pogarszały się coraz bardziej. Kiedy dotarła do mostu, za którym leżało

Entrambasaguas, deszcz ze śniegiem zastąpiły grube, ciężkie płatki śniegu. Zatrzymała się na niewielkim placyku. Próbowwała zorientować się w sytuacji. Zaskoczył ją widok jak z bożonarodzeniowej pocztówki. Na środku placyku stał malowniczy kamienny zlew do prania, a obok poidło dla koni i studnia.

– Trzy w jednym! – wykrzyknęła i zaczęła szukać domu, do którego przyjechała.

Otoczony rozległym trawnikiem i dość dobrze oświetlony, niewiele miał wspólnego z wsią. Było to raczej coś w rodzaju willi z czterospadowym dachem i szerokimi schodami strzeżonymi przez ogromne donice, w których rosły ozdobne drzewka. Ciągle prószący śnieg pogłębiał wrażenie, że patrzy na zimowy landszaft. Zostawiła samochód na brzegu trawnika i ścieżką wyłożoną czerwoną cegłą poszła do drzwi. Ścieżka już zaczęła znikać pod warstwą śniegu.

Kobieta, która otworzyła jej drzwi, była pewnie w wieku ciotki Engrasi, ale na tym kończyło się podobieństwo. Była wysoka, niemal wzrostu Amai, i bardzo tęga, ale pewnym krokiem poprowadziła ją do salonu. W kominku płonął solidny ogień.

– Obydwie wiedziałyśmy, że skończy się tak, że on ją zabije.

Amaia odprężyła się. Nie sposób przesłuchiwać krewnych ofiar, nie narażając się na emocjonalne wybuchy. W większości przypadków wybierała dystans i profesjonalizm. Zachęcało to do zwierzeń. Nie chciała się w żaden sposób z tymi ludźmi wiązać. Tak samo jak w Bilbao, najlepiej było zacząć od razu od konkretnych, zwięzłych pytań. O ile to możliwe, unikać mówienia o okropnych rzeczach i nie wdawać się w szczegóły, takie jak trup, krew, rany cięte, wybroczyny i tak dalej. Nie używać obrazowych określeń, które skłaniają do natrętnych wizualizacji. Trzeba oszczędzać rodzinom cierpienia, które mogłoby doprowadzić do załamania nerwowego i w konsekwencji do opóźnienia śledztwa. Ale od czasu do czasu miała szczęście i natykała się na świadka takiego jak ta kobieta. Z doświadczenia wiedziała, że często są to osoby bardzo blisko związane z ofiarą, które żyją samotnie i miały dużo czasu, żeby wszystko dobrze przemyśleć. Należało tylko

pozwolić im się wygadać. Kobieta podała jej filiżankę herbaty i ciągnęła:

– To był zły człowiek. Wilk w owczej skórze, ale zrzucił tę skórę w dniu, kiedy się ożenił z moją bratanicą. Od tego dnia był po prostu wilkiem. Zazdrosny i zaborczy, nigdy jej nie pozwolił pracować poza domem, mimo że miała wykształcenie, była sekretarką, i za panińskich czasów pracowała w Burgos, w biurze sklepu. Krok po kroku zmuszał ją do zrywania znajomości z przyjaciółkami, a nawet z zaprzyjaźnionymi sąsiadkami. Ja byłam jedyną osobą, z którą mogła się widywać, a jeśli jej na to pozwalał, to tylko dlatego, że wtedy mógł ją kontrolować jeszcze bardziej. Zresztą byłam jej ciotką, siostrą jej ojca i jedynym żyjącym członkiem jej rodziny, z wyjątkiem staruszki, ciotecznej babki ze strony matki, która mieszkała w Nawarze, ale zmarła przed dwoma laty. Ten człowiek jej nie bił, ale zmuszał ją, żeby się ubierała jak wiejska baba. Nie mogła chodzić w butach na obcasach ani się malować, nie mogła nawet chesać się u fryzjera i biedaczka zaplatała włosy w warkocz aż do śmierci. Nie mogła nigdzie sama wychodzić, a jeśli musiała gdzieś koniecznie iść, ja zawsze jej towarzyszyłam, na targ, do apteki, do lekarza. Biedaczka zawsze była słabego zdrowia. Miała cukrzycę, wiedziała pani? Przez całe lata namawiałam ją, żeby go zostawiła, ale ona wiedziała – a ja też musiałam się z tym pogodzić – że gdyby uciekła z domu, on nie dałby za wygraną, znalazłby ją wszędzie i zabił. – Przerwała na chwilę i martwym wzrokiem wpatrywała się w kominek. Kiedy znów zaczęła mówić, słychać było, że ma wyrzuty sumienia: – Tak więc tylko trwałam przy niej. Starłam się w miarę możliwości ułatwiać jej życie, ale teraz wyrzucam sobie, że nic nie zrobiłam. Powinnam była ją zmusić, żeby spróbowała uciec. Są ludzie, które pomagają kobietom w takich sytuacjach... Widziałam kiedyś taki program w telewizji...

Po policzku spłynęła jej łza. Starła ją pośpiesznie wierzchem dłoni, jednocześnie pokazując Amai ramkę z fotografią stojącą na bocznym stoliku. Na zdjęciu blada kobieta z podkrążonymi oczami uśmiechała się szczęśliwie do fotografa, trzymając za

przednie łapki niewielkiego pieska i udając, że z nim tańczy.

– To Maria ze swoim pieskiem... Wszystko przez tego pieska, wiedziała pani? Ten zwierzak pojawił się tutaj pod koniec lata i Maria niemal oszalała z radości. Myślę, że częściowo dlatego, że nie mieli dzieci, a piesek był wielkim pieszczochem. On nic nie powiedział, a ona... Nigdy nie widziałam jej tak szczęśliwej, więc oczywiście nie mógł tego tak zostawić. Pozwolił jej się przywiązać do pieska – miała go dwa czy trzy miesiące – a potem pewnego dnia go powiesił. Tutaj, na gałęzi tego drzewa przy wejściu do domu. Kiedy to zobaczyła, pomyślałam, że oszalała, tak okropnie krzyczała. On usiadł przy stole i zażądał jedzenia, ale ona poszła do kuchni i wzięła z szuflady nóż. On krzyczał, ale ona patrzyła mu w oczy z taką furią, że zrozumiał, że tym razem przeholował. Wyszła na dwór, przecięła sznur, na którym wisiał piesek, objęła jego martwe ciało i płakała aż do wyczerpania. Potem poszła do garażu, wzięła łopatę i pochowała go. Kiedy skończyła, ręce miała starte do krwi. On siedział, nic nie mówił, z mroczną miną. Maria weszła, rzuciła sznur na stół i poszła się położyć. Nie opuszczała łóżka przez dwa dni. Od tego czasu zmieniła się biedaczka całkiem, nie było już w niej ani krzty radości. Cały czas była smutna, cały czas zamyślona, a chwilami patrzyła na niego, jakby go tam nie było, jakby go prześwietlała oczami, a on nawet nie podnosił głowy. Nadal był mrukliwy i ponury, jak zawsze, ale nie odważał się na nią spojrzeć. Nigdy przedtem nie byłam taka pewna jak wtedy, że go zostawi. Nawet jej powiedziałam, że może zamieszkać ze mną albo dam jej pieniądze, żeby mogła wyjechać, ale ona, bardzo spokojnie, jak nigdy, powiedziała, że nie chce mnie narażać i że jeśli ktoś miałby opuścić ten dom, to nie ona, tylko on. Dom był jej własnością. Jej ojciec kupił go jeszcze za czasów narzeczeństwa i został zapisany tylko na nią. Po kilku dniach przyszedłem do niej i zdziwiło mnie, że nie była na nogach, ale ponieważ czuła się tak słabo... Miałam klucz, więc weszłam. Wszystko wyglądało normalnie, więc poszłam do sypialni. Początkowo pomyślałam, że śpi. Leżała na plecach z zamkniętymi oczami i półotwartymi ustami, ale nie spała. Była martwa. Powiedziano

mi później, że on się na niej położył i udusił ją poduszką, kiedy spała. Nie miała żadnych obrażeń, z wyjątkiem tej ręki. Nie zauważyłam tego od razu, bo była przykryta kołdrą. Dopiero policjanci to odkryli.

Amaia wstrzymała oddech, a kobieta wyjaśniła:

– Powiedzieli mi, że zrobił jej to, kiedy już nie żyła. No widzi pani, nie wiadomo po co. Obciął jej też włosy. Tego też nie spostrzegłam zaraz po wejściu do sypialni, dopiero kiedy ją poruszyli, zobaczyłam, że ma łysinę z tyłu głowy – powiedziała, przeciągając ręką po własnej potylicy. – Jego znaleźli powieszonoego w sadzie, który należał do kogoś z jego rodziny, dwa kilometry stąd. Widzi pani, jaka ironia losu: powieszony na drzewie, tak jak ten biedny piesek.

Zamilkła i uśmiechnęła się gorzko, wpatrując się w fotografię. Amaia popatrzyła wokół.

– Zapisała pani swój dom?

Kobieta potwierdziła.

– Czy mam rację, sądząc, że zachowała pani jej rzeczy?

– W takim stanie, w jakim je zostawiła.

– Może ma pani jej szczoteczkę do zębów albo szczotkę do włosów?

– To do badania DNA, prawda? Oglądam te seriale telewizyjne o medycynie sądowej. Już o tym myślałam i mam coś, co może się pani przydać. – Wzięła ze stolika drewnianą skrzynkę i podała Amai.

Amaia otworzyła skrzynkę i nie mogła nie przenieść się myślą w przeszłość, do dnia, gdy siedziała na kuchennym stołku, a matka ścinała jej włosy tuż przy skórze. Przedtem spłotła jej długie włosy w warkocz. Instynktownie podniosła rękę do głowy, ale zdawszy sobie z tego sprawę, opuściła ją natychmiast. Usiłowała odzyskać panowanie nad sobą. W głębi skrzynki leżał kasztanowy warkocz, zwinięty w kłębek jak małe śpiące zwierzątko. Amaia opuściła wieko, żeby nie musieć na niego patrzeć.

– Obawiam się, że się nie nada. Nie można wyekstrahować DNA ze ściętych włosów. Muszą mieć cebulki.

Nie było to do końca prawdą: były nowe, drogie sposoby

izolowania DNA także ze ściętych włosów, ale procedura była skomplikowana i wszystko to trwało bardzo długo. Cebulki wszystko by ułatwiły.

– Niech się pani przyjrzy – odparła kobieta. – Część włosów jest obcięta, ale już mówiłam, że na głowie miała łysinę, bo część wyrwał razem z mięsem. Zostawił je pod drzewem, na którym się powiesił, razem z kartką.

Amaia niechętnie znów otworzyła skrzynkę i z odrazą popatrzyła na włosy.

– Napisał coś? – spytała, nie przestając wpatrywać się w gruby warkocz.

– Tak, ale coś absurdalnego, coś zupełnie bez sensu. Policja zabrała tę notatkę i nie jestem w stanie sobie przypomnieć, co tam było. Jedno słowo. Coś jakby nazwa jakiegoś ciasta.

– Tarttalo.

– Tak, właśnie tak. Tarttalo.

Gdy opuszczała dom w Entrambasaguas, padał już gęsty śnieg. Zatrzymała się przy studni i zaprogramowała GPS na Elizondo. Miała do przejechania dwieście kilometrów, więc zabrała się do dzieła i ruszyła w szalejącą śnieżycę. Od czasu do czasu kątem oka popatrywała na torbę z obiema próbkami DNA: z wymazem z ust pani Zabalety i warkoczem Marii Abásolo. Musiała jak najszybciej ustalić, czy rzeczywiście istnieje związek między tymi ofiarami a kośćmi znalezionymi w jaskini. Gdyby się udało to potwierdzić, udowodniliby przynajmniej tyle, że był jakiś podżegacz. Niezwykła była myśl, że może istnieć ktoś o sile perswazji tak ogromnej, że jest w stanie nakłonić tylu mężczyzn do popełnienia zbrodni w chwili, którą sam uznał za odpowiednią. Ktoś taki musiałby naprawdę umieć manipulować innymi, nawet zważywszy na to, że mężczyźni ci byli ludźmi gwałtownymi, że nie umieli się kontrolować, że mieli skłonność do ulegania impulsom. Nie byłby to jednak jedyny taki przypadek. W ostatnich latach FBI za jeden z priorytetów uznała badania nad inspiratorami zbrodni. W Stanach Zjednoczonych, inaczej niż w Hiszpanii, tako sam surowo jak sprawcę karze się podżegaczy i współników. Podżegacz wysunął się na pierwszy plan, gdyż udowodniono, że

ten typ zabójcy jest w stanie wciągnąć w swój plan wielu ludzi, zrobić z nich wierne sługi. Do najbardziej znanych przypadków nakłaniania do samobójstw dochodzi w pseudoreligijnych sektach, a to, jak podżegacze potrafią przejmować władzę nad ludźmi i rządzić nimi, jest wprost porażające.

Telefon wyrwał ją z tych rozmyślań. Włączyła tryb głośnomówiący i usłyszała doktora San Martína:

– Dobry wieczór, pani inspektor. Nie przeszkadzam?

– Jestem w drodze, ale w porządku, mam wolne ręce.

– Mamy już wyniki badań kości z Arizkun i chciałbym je z panią omówić.

– Oczywiście, bardzo proszę.

– Nie przez telefon. Lepiej byłoby, gdyby pani przyjechała do Pampeluny. Umówiłem się z komisarzem w jego gabinecie o siódmej. Zdąży pani dojechać?

Amaia spojrzała na zegar na wyświetlaczu.

– Raczej na siódmą trzydzieści, mam tu duże opady śniegu.

– A więc o siódmej trzydzieści, przekażę to komisarzowi.

Była niezadowolona, że musi się zatrzymać w Pampelunie. Cały dzień spędziła poza domem, a spotkanie nie zapowiadało się na interesujące. Wiedziała, że znowu będzie gadanie o niczym, bo te głupie profanacje nie wiedzieć czemu wszystkich bardzo nakręcają. Burmistrz, arcybiskup, wysłannik Watykanu i – oczywiście – jej przełożony, komisarz, który musi wysłuchiwać pretensji ich wszystkich. A teraz uwezmą się na nią. Musiała przyznać, że nie wie, co miałaby im powiedzieć. Poszlaki prowadziły donikąd, a świętokradztwa nie powtórzyły się, odkąd kościół był pod obserwacją. Nadal sądziła, że sprawcami byli młodzi ludzie udający satanistów i że obecność policyjnego patrolu ich zniechęciła. Arcybiskupstwo mogłoby samo rozwiązać ten problem, wieszając kilka kamer albo wynajmując prywatną firmę ochroniarską. Jeśli oczekują, że dostarczy im kogoś, kogo będą mogli ukrzyżować, to bardzo się zawiodą.

Podjechała pod komisariat i zaparkowała. Przeciągnęła się, zdrętwiała i trochę oszołomiona napięciem: z powodu śnieżycy cały czas musiała wyteżać uwagę. Weszła na drugie piętro i bez

zapowiedzi zapukała do drzwi przełożonego.

– Proszę wejść, Salazar. Jak się pani ma?

– Dobrze, dziękuję.

San Martín, który zajmował jedno z krzeseł dla interesantów, podniósł się, żeby jej uścisnąć rękę.

– Proszę usiąść – poprosił komisarz.

Na biurku leżało kilka teczek z raportami sądowymi. Wyglądało na to, że panowie rozmawiali już od pewnego czasu. Amaia powtórzyła sobie w myślach, punkt po punkcie, o czym ma zamiar mówić, i poczekała, aż komisarz zagai.

– Pani inspektor, poprosiłem, żeby pani przyjechała, ponieważ w sprawie profanacji nastąpił nieoczekiwany, zdumiewający zwrot, związany z wynikami badań kości znalezionych w kościele. Zauważyła pani z pewnością, że badania się przeciągają bardziej niż zwykle, a to dlatego, że kiedy doktor San Martín powiadomił mnie o wynikach, poprosiłem go, żeby zrobił badania jeszcze raz. Zrobiono je w sumie trzy razy.

Amaia się zmieszała. Wszystko to nie zmierzało w kierunku, jaki przewidywała. Wodziła wzrokiem po skoroszytach z wynikami i rozpałała ją ciekawość, co też tam jest. Ale zachowała spokój i słuchała dalej. Chciała się dowiedzieć, dokąd to wszystko zmierza.

San Martín obrócił się lekko na krzesło i powiedział bezpośrednio do niej:

– Salazar, chciałbym podkreślić, że osobiście nadzorowałem drugie i trzecie badanie i mogę ręczyć za rzetelność.

Teraz zaczęła się niepokoić.

– Wierzę w pański profesjonalizm, doktorze – powiedziała z naciskiem.

San Martín popatrzył na komisarza, komisarz na Amaię. A potem skinął na doktora i poprosił, żeby zabrał głos.

– Kości były w dobrym stanie i choć z jednej strony były nadpalone, nie było najmniejszej trudności z wykonaniem badań. Doszliśmy do wniosku, że są to kości dziewięciomiesięcznego płodu albo dziecka w wieku do jednego miesiąca. Czyli noworodka. Kości mają około stu pięćdziesięciu lat, z pięcioletnim marginesem błędu.

– To się zgadza z teorią podinspektora Etxaide, że chodzi o *mairu-beso*.

– Jak już wspomniałem, kości były dość dobrze zachowane, więc nie było problemów z przeprowadzeniem rutynowej analizy DNA. To podstawa badań. Jak pani wie, jeśli dysponujemy DNA nieznanego osobnika, korzystamy z systemu informatycznego CODIS, żeby automatycznie porównać profile DNA. – Zamilkł na chwilę i westchnął. – I tutaj pojawia się coś nieoczekiwanego. Wynik był pozytywny.

– Profil DNA odpowiadał komuś, kogo mieliście w bazie? Przecież to niemożliwe. Dopiero co powiedział pan, że kości mają sto pięćdziesiąt lat i należą do noworodka. To niemożliwe, żeby jego DNA znajdowało się w bazie CODIS.

– Nie płodu, ale kogoś z jego krewnych. Stwierdziłszy dwudziestopięcioprocentową zgodność z pani kodem genetycznym.

Amalia ze zdumieniem wpatrywała się w komisarza.

– Tak właśnie jest – potwierdził. – Doktor niezwłocznie mnie o tym powiadomił i zleciłem mu powtórzenie badań od samego początku, w całkowitej dyskrekcji. Pierwsze badania zostały wykonane w Nasertic, w laboratorium, z którym zwykle współpracujemy. Po otrzymaniu wyników zlecieliśmy badania laboratorium w Saragossie i w San Sebastián, z identycznym rezultatem.

– A to oznacza...

– To oznacza, że kości, które zostawiono w kościele w Arizkun, należały do pani krewnego. To dziecko jest pani przodkiem czwartego albo piątego rzędu.

Amalia złapała teczkę z raportami i chciwie się w nie zagłębiła. Zarówno ten z Saragossy, jak i ten z San Sebastián były podpisane przez lekarzy sądowych – wybitnych specjalistów w swojej dziedzinie.

Jej umysł pracował na pełnych obrotach, przyswajając dane i segregując je, ustalając nowe kryteria. Komisarz i lekarz nadal coś mówili. Nie była w stanie się na tym skupić, bo głos w jej głowie powtarzał: nie ma przypadków, nic nie dzieje się samo

z siebie.

Niemal usłyszała głos Dupreego: ofiara nigdy nie jest przypadkowa. Jak się zaczęło?

– Muszę zadzwonić – rzuciła, przerywając San Martínowi.

Komisarz spojrział na nią zdziwiony, ale nie zawahała się i powiedziała zdecydowanie:

– Komisarzu, wróćmy do tej rozmowy, ale teraz muszę zadzwonić.

Skinął głową. Amaia wstała, wzięła komórkę i wyszła na korytarz. Po chwili Extaide odebrał:

– Jak tam, szefowo? Jak poszło?

– Dobrze, Jonanie. Ale teraz musisz mi odpowiedzieć na jedno pytanie. Jeśli musisz coś sprawdzić, zanim odpowiesz, albo się dłużej zastanowić, powiedz mi o tym, ale musisz być całkiem pewien tego, co powiesz.

– Oczywiście – odpowiedział bardzo poważnie.

– Chodzi o *mairu-beso*. Powiedziałeś, że to kości dzieci zmarłych, zanim zostały ochrzczone. Czy są jakieś doniesienia o użyciu rąk osób dorosłych? Mężczyzn lub kobiet?

– Nie muszę tego sprawdzać. Odpowiedź brzmi: kategorycznie nie. To niemożliwe, ponieważ mistyczno-magiczną naturę nadają *mairu-beso* okoliczności. Po pierwsze, musi to być człowiek nieochrzczony. Także dorosły człowiek mógłby nie być ochrzczone, choć jest dość mało prawdopodobne, żeby tak było w tamtych czasach. Chrzest był obowiązkiem religijnym, ale także społecznym i kulturowym, ponieważ świadczył o przynależności do grupy. Jeśli nie było się chrześcijaninem, było się Żydem lub muzułmaninem. Stąd zresztą bierze się słowo *mairu* lub *moro*. Tak obraźliwie określa się muzułmanów. *Mairu* to ludzie nieochrzczeni. Po drugie, ważny jest wiek. W sposób oczywisty nie mógł to być człowiek dorosły. Musiał to być niedonoszony płód, dziecko martwo urodzone albo noworodek zmarły w ciągu pierwszych miesięcy życia. Kościół przestrzegał procedur, nie chrzczył chorych ani umierających, więc dzieci chrzczono jak najwcześniej, żeby uniknąć – w związku z ogromną umieralnością noworodków – konieczności grzebania ich na rozstajach dróg albo za murem

cmentarza, obok samobójców i morderców. Wierzono, że dusza noworodka jest zawieszona między dwoma światami, światem żywych i światem umarłych, i właśnie to, że miała być poniekąd w drodze, nadawało *mairu-beso* magiczne cechy, które dawały o sobie znać podczas czarnoksięskich rytuałów. Ale nawet w normalnych warunkach zwłokom nowo narodzonych przypisywano nadzwyczajne właściwości. Wierzono, że dusze dzieci zmarłych bez chrztu nie mogą iść ani do nieba, ani do piekła, ani nie mogą wrócić do limbusu, skąd przybyły, więc pozostawały w domu rodziców, jako duchy opiekuńcze domu. Udokumentowano, że w niektórych przypadkach rodziny zachowywały kołyskę zmarłego dziecka lub wyznaczały mu miejsce przy stole, na którym stawiały talerz z jedzeniem. Nie nadawano tego samego imienia później narodzonemu bratu czy siostrze ani nie przeznaczano dla nich ubranek po zmarłym, bo obawiano się, że przyjdzie po swoją własność i zabierze rodzeństwo ze sobą. Ale jeśli *mairu* był traktowany z szacunkiem, był w domu bardzo pożyteczny. Nappełniał dom radością i towarzyszył w zabawach rodzeństwu. Według ludowych wierzeń inne dzieci mogły go widzieć, dopóki ich własne dusze znajdowały się w stadium przejściowym, od narodzin do mniej więcej drugiego roku życia. Tak wyjaśniano gesty, gaworzenie i uśmiechy, które niemowlęta czasem kierują do kogoś, kogo tylko one zdają się widzieć.

Amaia głęboko odetchnęła.

– Więc to tak...

– Te dziecięce duchy pojawiają się w domach w wielu kulturach, i to częściej, niżby się wydawało. W Japonii na przykład nazywane są *zashiki warashi*, dzieci z głównego pokoju. Twierdzi się tam, że ich obecność chroni domy od złego losu i zapewnia szczęście mieszkańcom... Mam nadzieję, że pomogłem.

– Zawsze pomagasz, tylko że miałam jakiś pomysł, a teraz... no cóż, nie mogę ci teraz tego wytłumaczyć. Zadzwońię za pół godziny.

Rozłączyła się i wróciła do gabinetu. Komisarz i doktor przestali rozmawiać.

– Proszę usiąść – powiedział komisarz. – Doktorze, proszę powtórzyć to, co mi pan powiedział...

– Tak. Właśnie mówiłem panu komisarzowi, że należy wziąć pod uwagę pewne czynniki. Pani pochodzi z małej miejscowości. Nie wiem, ile osób mieszkało tam przed stu pięćdziesięciu laty, ale niewątpliwie niewiele, a społeczność nie była tak ruchliwa jak obecnie. Do czego zmierzam... Mianowicie chcę stwierdzić, że to normalne, że w małej miejscowości w wielu rodzinach istnieją zbieżności genetyczne, gdyż w przeszłości, a nawet obecnie, rodziny bywają blisko spokrewnione.

Amaia rozważyła to i odrzuciła.

– Nie wierzę w zbiegi okoliczności – stwierdziła stanowczo.

Komisarz ją poparł.

– Ja też nie.

– Ten, kto nam podłożył te kości, zrobił to, żeby mnie sprowokować. Wiedział, że się dowiemy o pokrewieństwie. Zrobił to, żeby mi coś powiedzieć.

– Salazar, na Boga. – Komisarzem wstrząsnęły jej słowa.

– Bardzo mi przykro, że poczuła się pani osobiście wciągnięta w tę sprawę. Prowokacja ze strony przestępcy zawsze jest wyzwaniem dla policjanta... Ale proszę powiedzieć: co pani o tym myśli?

Amaia przez dłuższą chwilę porządkowała myśli, a potem odpowiedziała:

– Sądzę, że nie ma w tym żadnego przypadku. Sądzę, że profanacji w kościele w Arizkun dokonano w jednym jedynym celu – żebym ja zwróciła na nie uwagę. Nawet gdyby ta sprawa nie została mi przydzielona od samego początku, to teraz, w związku z wykryciem pokrewieństwa mojego DNA z DNA kości, i tak zostałabym w nią wciągnięta. To mnie zastanawia. Jestem szefem wydziału zabójstw i prowadziłam dochodzenie w sprawie basajauna. Stałam się przez to znana, a to przyciągnęło osobnika, który stoi za profanacjami. Uważa, że jest bardzo sprytny, i szuka kogoś, kto według niego spełni jego oczekiwania. Rozegra z nim pojedynek albo zabawi się w kotka i myszkę. Wielu przestępców – te przypadki są dobrze znane

i udokumentowane – w taki czy inny sposób zwracało się osobiście do osób dowodzących dochodzeniem albo nawet posuwało się do tego, że uporczywie próbując nawiązać kontakt ze śledczym, wymuszali przydzielenie im śledztwa. Tak było w przypadku Kuby Rozpruwacza... Potrzebuję trochę czasu, żeby to wszystko przetrwać i przygotować nowy profil sprawcy.

Komisarz skinął głową.

– Poinformuję komisarza z Baztán i inspektora Iriartego. Otworzymy nowe śledztwo, równoległe, żeby ustalić, skąd pochodzą kości i z czyjego grobu lub grobów zostały wykopane.

– Dziękuję, ale to zbyt ciężkie. To *mairu-beso*, rączka dziecka zmarłego bez chrztu. Nieochrzczone dzieci nie bywały w tamtych czasach oficjalnie grzebane na cmentarzach.

Zadzwoiła dopiero po wyjściu z komisariatu. Popatrzyła na zegarek, była już prawie ósma. Tęskniła za Jamesem i za Ibaiem. Cały dzień spędziła poza domem, a teraz będzie musiała jechać jeszcze ponad pół godziny. Śnieg już nie padał. Zimno tego wieczoru, który już od dawna zamienił się w noc, przeniknęło ją i otrzeźwiło. Rozjaśniło jej umysł, pomogło ująć w ramy to, czego dowiedziała się w komisariacie, i nakreślić plan. Stała przy drzwiach auta i wybrała numer porucznika Paduy z Gwardii Cywilnej. Wyjaśniła mu, czego od niego potrzebuje.

– Otrzymałam próbki DNA ofiar ze spraw podobnych do spraw Johany Márquez, Lucii Aguirre i tej kobiety z Logroño. Muszę dotrzeć do kości znalezionych w jaskini, żeby je porównać z tymi próbkami.

– Zdaje sobie pani sprawę, że jeśli próbki nie zostały pobrane przez kogoś z laboratorium kryminalistycznego, nie mają wartości dla sądu.

– Nie jestem zainteresowana wartością dla sądu, oficjalnie nie prowadzę żadnej sprawy. A jeśli trzeba będzie pobrać nowe próbki, nie ma sprawy, jestem w kontakcie z rodzinami. Teraz muszę porównać próbki z kośćmi z jaskini. Gdyby była zgodność, świadczyłoby to o tym, że to ten sam sprawca, a wtedy nie byłoby problemu z ekshumacją zwłok. Obecnie

uważa się, że amputacji dokonali partnerzy tych kobiet. Jeśli nie uda mi się ustalić związku między ofiarami zabójstw i amputacji a kośćmi z Baztán, nie będę miała nic.

– Pani inspektor, wie pani, że chcę pani pomóc, zwłaszcza że to ja panią w to wszystko wciągnąłem, ale zdaje sobie pani sprawę z rywalizacji między poszczególnymi służbami policyjnymi. Bez nakazu sądowego Gwardia Cywilna nie wyda pani próbek.

Rozłączyła się i popatrzyła z odrazą na telefon, jakby się zastanawiała, czy zrobić z niego użytek, czy wyrzucić go w diabły.

– Niech to szlag – mruknęła, wybierając numer sędziego śledczego Markiny.

Odezwał się męski, uprzejmy głos:

– Dobry wieczór, pani inspektor.

Usłyszała jego głos i nagle się zmieszała. Złapała się na tym, że myśli o jego ustach, o wyraźnej linii jego pełnych, wilgotnych warg. Jak nastolatka niemal uległa impulsowi i była bliska przerwania połączenia, przyłoczona wstydem.

– Dobry wieczór – to było jedyne, co zdołała odpowiedzieć.

Prawnik milczał, ale mogła usłyszeć jego oddech i bezwiednie zaczęła sobie wyobrażać, jak by to było poczuć na skórze jego ciepłe usta. Mimo że był mróz, zaczerwieniła się po korzonki włosów.

– Panie sędzio, dochodzenie w sprawie, o której rozmawialiśmy, poszło w kierunku, którego się spodziewałam. Pobrałam próbki DNA od dwóch ofiar i chciałabym móc je porównać z kośćmi, które znaleziono w Baztán i które są w posiadaniu Gwardii Cywilnej.

– Jest pani w Pampelunie?

– Tak.

– To dobrze, spotkamy się za pół godziny w restauracji Europa.

– Panie sędzio... – zaprotestowała. – Myślałam, że jasno wyłożyłam podczas naszego ostatniego spotkania, dlaczego jestem tą sprawą zainteresowana.

Sprawa miała wrażenie dotkniętego:

– Mam co do tego jasność, pani inspektor, ale właśnie wróciłem z podróży i idę do Europy na kolację. To pierwszy możliwy termin, kiedy mogę się z panią spotkać. Oczywiście jeśli pani woli, może pani przyjść jutro do mojego biura. Od ósmej rano. Proszę zadzwonić do mojej sekretarki, żeby nas umówiła.

Nagle poczuła się głupio i uznała, że zachowuje się dziwnie.

– Nie, nie. Przepraszam, będę za pół godziny.

Rozłączyła się i zaczęła sobie wyrzucać, że jest niezręczna.

Z pewnością pomyślał, że jestem idiotką, stwierdziła, wsiadając do samochodu.

Zanim ruszyła, zadzwoniła do podinspektora Etxtaide i opowiedziała mu o swojej podróży do Bilbao i Burgos i o tym, co się stało na spotkaniu u komisarza. Nie ulegało wątpliwości, że była mu to winna.

Restauracja hotelu Europa znajdowała się od frontu, a do hotelu wchodziło się z boku. Tuż obok był bar. Mimo że po południu spadło trochę śniegu, który zresztą już stopniał, niektórzy klienci baru rozmawiali na zewnątrz, przy drzwiach, opierając kieliszki z winem na dwóch wysokich stolikach strzegących wejścia.

Dostrzegła Markinę już od drzwi. Siedział sam, przy końcu baru, i nie można było nie zwrócić na niego uwagi. W szarym garniturze i białej koszuli, bez krawata, wyglądałby bardzo poważnie, gdyby nie modna fryzura. Kasztanowe kosmyki spadały mu na czoło. Siedział tak zrelaksowany i elegancki jak model pozujący dla żurnalu.

Głośna grupka przyjaciółek, które swoje najlepsze lata miały już za sobą, nie spuszczała go z oka i wymieniała pochlebne komentarze, ale on, nieporuszony, przeglądał wymiętą gazetę. Uśmiechnął się lekko na jej widok. Co najmniej połowa kobiet była poruszona. Spojrzały zawistnie na obiekt jego zainteresowania.

– Może wina? – spytał, wskazując na swój kieliszek i przywołując kelnera.

– Nie, dziękuję. Poproszę raczej coca-colę.

– Jest za zimno na coca-colę. Proszę się napić wina. Polecam

tę rioję, wyśmienita.

– Dobrze – zgodziła się, a potem, kiedy kelner napełniał jej kieliszek, zastanawiała się, dlaczego jest taka uległa, dlaczego zawsze w końcu robi to, czego on chce.

Odstąpił jej swój taboret i ruszył w stronę grupki kobiet. Piły na stojąco i z przyjemnością odstąpiły mu stołek. Postawił go obok Amai i tyłem do kobiet. Nadal wpatrywały się w niego jak zaczarowane. Markina patrzył Amai w oczy przez pięć niekończących się sekund, aż w końcu opuścił wzrok, jakby się poddawał.

– Mam nadzieję, że tutaj czuje się pani swobodniej niż w restauracji.

Nie odpowiedziała, ale sama też spuściła oczy. Zmieszała się. Poczula, że jest wobec niego absurdalnie niesprawiedliwa.

– Więc była pani w Bilbao? – spytał, odzyskując profesjonalny ton.

– Tak, i w Burgos, w małej wiosce, liczącej czterdziestu mieszkańców. Obie kobiety zostały zamordowane dwa i pół roku temu, obie zginęły z rąk własnych mężów, którzy po dokonaniu zbrodni popełnili samobójstwo. Obie pochodziły z Baztán, chociaż wychowały się poza doliną. W obydwu przypadkach doszło do amputacji przedramienia, którego nie znaleziono przy zwłokach ani w toku dochodzenia.

Sędzia słuchał jej uważnie i małymi łyżkami popijał wino. Musiała się mocno wysilić, żeby oderwać uwagę od jego ust i od sposobu, w jaki zwilżał wargi językiem.

– W obydwu przypadkach pojawiło się to słowo: Tarttalo, wypisane krwią na ścianach albo w liście. Jak podpis. Ciągłe to samo pojedyncze słowo.

– Czego pani potrzebuje, żeby dalej prowadzić dochodzenie?

– Żeby ustalić, co łączy te dwie sprawy, koniecznie muszę mieć dostęp przynajmniej do próbek kości, które Gwardia Cywilna znalazła w jaskini w Baztán. Gdyby kod DNA się zgadzał, moglibyśmy oficjalnie wszcząć śledztwo i zwrócić się o wydanie całych rąk, żeby przystąpić do rekonstrukcji albo przeprowadzić powtórny autopsję. Wtedy mielibyśmy stuprocentową pewność.

– Mówi pani, że trzeba ekshumować zwłoki? – zapytał Markina.

Wiedziała, że ten pomysł mu się nie spodoba. Żadnemu sędziemu śledczemu nigdy się nie podobał. Zwykle musieli się zмагаć ze zdecydowanymi protestami rodzin, nie mówiąc już o tym, że sama procedura była wyjątkowo nieprzyjemna i pociągała za sobą mnóstwo formalności. Dlatego kiedy decydowali się na wydanie nakazu ekshumacji, robili to tylko *in extremis*. Ta ich zachowawczość komplikowała życie policjantom dochodzeniowym, którzy bez tego nie mogli porównać próbek DNA i ustalić ich bezspornej zgodności z DNA zwłok. A wszyscy adwokaci świata wiedzieli, że jeśli istnieje margines błędu, ich klienci mają w kieszeni uniewinnienie.

– Tylko jeśli udowodnimy zgodność między próbkami kości i pięcioma ofiarami, którymi do tej pory dysponujemy.

Specjalnie podkreśliła słowo **dysponujemy**. Chodziło jej o to, żeby sędzia poczuł się współuczestnikiem dochodzenia. Pomyślała, że jeśli jest tak uczciwy, jak opowiadają w sądach, będzie chciał wymierzyć sprawiedliwość w imieniu ofiar. A to było dla niej w tej chwili najważniejsze.

– Pobrała pani te próbki osobiście?

– Tak.

– Z zachowaniem wszelkich procedur?

– Tak, zadbałam o to. Tak czy owak z tym nie ma problemu. Siostra jednej ofiary i ciotka drugiej w pełni świadomie przekazały próbki i podpisały protokoły dobrowolnego przekazania.

– Nie chciałbym podnosić szumu wokół tej sprawy do chwili, kiedy będziemy dysponowali niezbitymi dowodami. To żaden sekret, że dyskrecji w sądach nie ma.

Amalia uśmiechnęła się z zadowoleniem. Powiedział: będziemy dysponowali. Była pewna, że wyda jej nakaz.

– Zapewniam, że jestem nadzwyczaj ostrożna. Tylko jeden z moich współpracowników, najbardziej zaufany, jest w to wtajemniczony. Mam też zamiar zrobić badania w zewnętrznym laboratorium.

Markina przez chwilę rozmyślał, w roztargnieniu przesuwał palcami po linii zuchwy. Amai wydało się to bardzo męskie i niesamowicie zmysłowe.

– Wydam nakaz jutro rano – powiedział. – Świetnie pani idzie, zrobiła pani kawał dobrej roboty. Proszę mnie informować o wszelkich dalszych posunięciach, krok po kroku. To ważne, jeśli muszę je wspierać swoją funkcją... i...

Zamilkł i znów na nią spojrzął w tamten błagalny sposób.

– Proszę... – wyszeptał. – Proszę dać się zaprosić na kolację.

Amaia spojrzała na niego zaskoczona. Była ekspertem od profili, od interpretacji mowy ciała, umiała odróżnić kłamstwo od zdenerwowania i uczucia od ich imitacji. W tej właśnie chwili z całą pewnością zrozumiała, że ma przed sobą nie sędziego, lecz zakochanego mężczyznę.

Niemal w tej samej chwili zadzwoniła jej komórka. Wyciągnęła ją z torebki i zobaczyła na wyświetlaczu imię: Flora. Już samo to było niesłychanie dziwne. Flora nigdy do niej nie dzwoniła, nawet w Boże Narodzenie ani w urodziny. Woląла wysyłać kartki pocztowe, tak poprawne i formalne jak ona sama. Zbita z tropu popatrzyła na Markinę. W napięciu czekał na odpowiedź.

– Przepraszam, muszę odebrać – powiedziała, wstając, i wyszła na ulicę, żeby móc coś usłyszeć. W pełnym ludzi i gwaru barze było to niemożliwe. – Flora?

– Amaia, zadzwonili do mnie z kliniki, tej, w której jest *ama*. Stało się coś poważnego.

Amaia nie odezwała się ani słowem.

– Amaia, jesteś tam?

– Tak.

– Dyrektor mówi, że miała atak i zraniła pielęgniarza.

– Dlaczego do mnie dzwonicz, Floro?

– Och, uwierz mi, nie zrobiłabym tego, gdyby ci kretyni nie wezwali Policji Statutowej.

– Wezwali policję? Więc skutki ataku są poważne? – spytała. Jej umysł nawiedziły obrazy, które, jak sądziła, już dawno zapomniała.

– Tego nie wiem, Amaio – powiedziała Flora tak, jak mówiła

do ludzi nadużywających jej cierpliwości. – Powiedziano mi tylko, że policja jest już na miejscu i żebyśmy jak najszybciej przyjechali. Ja właśnie wyjeżdżam, ale nawet jeśli będę jechała bardzo szybko, nie będę w klinice wcześniej niż za dwie godziny.

Poddała się. Głęboko odetchnęła.

– Dobrze. Jadę. Powiadom ich, że będę za jakieś pół godziny.

Weszła do baru, który w ciągu tych kilku minut zappełnił się jeszcze bardziej. Musiała się przepychać między ludźmi, żeby dotrzeć tam, gdzie siedział Markina.

– Panie sędzio – powiedziała, pochylając się nad nim, żeby ją usłyszał. – Muszę iść. Zadzwoniono do mnie z pilnym wezwaniem – wyjaśniła.

Nagle odniosła wrażenie, że znaleźli się zbyt blisko siebie. Odstąpiła o krok i wzięła z taboretu płaszcz.

– Odprowadzę panią.

– To nie jest konieczne, zostawiłam samochód tuż obok – wyjaśniła.

Ale on już wstał i ruszył do wyjścia. Poszła za nim, ścigana spojrzeniami kobiet. Przyspieszyła i dogoniła go.

– Gdzie jest pani samochód?

– Tu, przy głównej ulicy.

Z łagodnym uśmiechem wyjął jej płaszcz z rąk i przytrzymał, żeby mogła go włożyć.

– I tak go zaraz zdejmę, żeby prowadzić.

Ale on położył płaszcz na jej ramionach i trzymał na nich ręce trochę za długo. W drodze do samochodu nie odezwał się ani słowem. Amaia otworzyła drzwi, wrzuciła płaszcz do środka i wsiadła.

– Dobranoc, panie sędzio. Dziękuję za wszystko. Będę pana informować.

Markina nachylił się nad otwartymi drzwiami i spytał:

– Proszę mi powiedzieć: czy gdyby nie ten telefon, zgodziłaby się pani?

Namyślała się dwie sekundy.

– Nie.

– Dobranoc, pani inspektor Salazar – powiedział i zatrzasnął

drzwi.

Włączyła silnik, wyjechała na jezdnię i odwróciła się, żeby spojrzeć za siebie. Markiny już nie było i nagle poczuła dojmującą pustkę.

Klinika psychiatryczna Santa María de las Nieves znajdowała się w miejscu oddalonym od ludzkich siedzib, na wzgórzu pozbawionym drzew. Zabezpieczenia zaczynały się od wysokiego muru, przypominającego mur więzienia, którego nie były w stanie przysłonić dekoracyjne rośliny w donicach. Były też zakratowane wrota, budka strażnika, garb z kolcami na wjeździe i nadzorujące wszystko kamery. Miejsce to zdawało się chronić jakiś wielki skarb, choć jedyne, co znajdowało się za jego murami, to pacjenci i ich niezrównoważone umysły.

Stojący przy wjeździe samochód patrolowy uprzedzał o obecności policji. Amaia odkręciła szybę na tyle, żeby przez szparę wysunąć odznakę. Policjant zsalutował nerwowo.

– Dobry wieczór. Kto dowodzi akcją? – spytała.

– Inspektor Ayegui, pani inspektor.

Poszcęściło jej się. Nie знаła większości policjantów z komisariatu w Estelli, pod którego jurysdykcją znajdowała się klinika, ale przed laty zdarzyło jej się pracować z inspektorem Ayeguiem i wiedziała, że to dobry policjant, nieco staromodny, ale poprawny i rzetelny.

Była to jej pierwsza wizyta w Santa María de las Nieves. Nakaz sądowy mówił jasno i wyraźnie, że jej matka musi przebywać w szpitalu psychiatrycznym, pod specjalnym nadzorem. To Flora zajęła się wszystkim i Amaia musiała przyznać, że szpital istotnie stał na tak wysokim poziomie, jakiego można się było spodziewać, i nie miał nic wspólnego z powszechnymi wyobrażeniami o psychiatryku dla niebezpiecznych pacjentów. Doszła do wniosku, że to najlepsze, co można było uzyskać za odpowiednie pieniądze. Przed budynkiem rozciągał się ogród w stylu francuskim. Kiedy weszła do środka, znalazła się w pomieszczeniu, które do złudzenia przypominało hotelową recepcję, z tą różnicą, że zamiast recepcjonistki za kontuarem stał pielęgniarz w białym uniformie. Podeszła do niego

i właśnie miała się wylegitymować, kiedy z bocznego korytarza wybiegł umundurowany policjant.

– Pani inspektor Salazar?

Potwierdziła.

– Proszę za mną.

Weszła do luksusowo urządzonego gabinetu i stwierdziła, że inspektor Ayegui już nim zawładnął. Siedział za biurkiem i rozmawiał przez telefon, a w głębi pokoju, oparty o obudowę kominka, stał pan w średnim wieku, bardzo przygnębiony. Domyśliła się, że to wygnany ze swego miejsca dyrektor. Ujrzawszy ją w drzwiach, rzucił się ku niej i przedstawił się.

– Pani Salazar, przykro mi bardzo, że poznajemy się w takich okolicznościach – dodał, mocno ściskając jej rękę. Zaskoczyło ją to.

– Inspektor Salazar – poprawiła go. – Z Policji Statutowej.

Nie umknęło jej uwadze pełne niezadowolenia spojrzenie, które dyrektor rzucił inspektorowi Ayegui, ani jego nerwowe napięcie.

Dyrektor zrobił krok w tył i wydawało się, że zużył już całą energię, jaką dysponował. Milczał. Patrzył na Amaię, wykręcając sobie dłonie, ewidentnie po to, żeby rozładować napięcie.

Inspektor Ayegui odłożył słuchawkę i wyszedł z biurka.

– Proszę za mną, pani inspektor – powiedział, kładąc serdecznie rękę na jej ramieniu i ruszając do drzwi. Nie omieszkał ich za sobą zamknąć, ku wyraźnej uldze dyrektora. – Jak się pani ma, pani inspektor? – zapytał. – Ten człowiek chyba jest w szoku. Tak sędzę. Częściej, niżbym sobie życzył, muszę mieć do czynienia z psychiatrami i zawsze odnoszę wrażenie, że są to ludzie lekko niezrównoważeni psychicznie – dodał z życzliwym uśmiechem. Poprowadził ją z powrotem do recepcji, a stamtąd do windy. Nie przestawał mówić. – Z tego, co powiedział, wnioskuję, że stało się to około siódmej trzydzieści wieczorem. Pacjentka oglądała telewizję, a potem zjadła kolację w swoim pokoju. Jeden z pielęgniarzy pomagał jej położyć się do łóżka, bo wymaga przy tym obsługi. Wtedy pacjentka wyciągnęła spod poduszki ostry przedmiot i wbiła

mu go w brzuch, poniżej pępka. Natychmiast stracił dużo krwi. Na szczęście pielęgniarze w tej klinice noszą na rękach bransolety alarmowe, podobne do tych, jakie udostępnia się ofiarom przemocy domowej, żeby mogły wezwać pomoc w każdej chwili. Pielęgniarz nacisnął guzik na bransoletce i jego koledzy zjawili się po kilku sekundach. Dobrze się złożyło, że pracownicy tego wariatkowa mają wykształcenie medyczne. Udało im się zatamować krew i choć stan pielęgniarza jest poważny, ujdzie z życiem.

Amaia wpatrywała się w inspektora ciężkim wzrokiem. Wjeżdżali windą na trzecie piętro.

– Tędy – wskazał jej szeroki i dobrze oświetlony korytarz.

Dwóch umundurowanych policjantów rozmawiało przed drzwiami, które nie wyróżniałyby się niczym szczególnym, gdyby nie czerwono-biała taśma zagradzająca wejście. Inspektor Ayegui zatrzymał się w pewnej odległości.

– Pacjentka została obezwładniona, dostała środki uspokajające i została przeniesiona do strzeżonej izolatki. Damy dyrektorowi dziesięć minut na uspokojenie się i on sam wyjaśni pani wszystko, co ma związek z terapią i jej skutkami medycznymi – powiedział i dodał, jakby się usprawiedliwiał: – Nie możemy jeszcze wejść do pokoju, który zajmowała. Prowadzone są tam czynności śledcze. Już teraz za to mogę pani powiedzieć, że w tym ośrodku są takie zabezpieczenia jak w więzieniu, choć nie wskazują na to dywany na korytarzach i eleganckie uniformy obsługi, i że przedmiot, którym posłużyła się pacjentka, nie był jej własnego wyrobu ani nie był czymś przypadkowym. Został tutaj wniesiony. Ktoś musiał jej go wręczyć, a gdy się wyposaży chorego umyślowo, niebezpiecznego człowieka w broń, na pewno robi się to w jakimś celu.

Amaia patrzyła na otwarte drzwi, jakby ją przyciągała pustka.

– Co to za przedmiot?

– Nie jesteśmy pewni. To coś w rodzaju obsadki z ostrzem tnąco-kłującym, jakby rozbijak do lodu albo rylec, ale ostrze jest krótkie i bardzo ostre. – Skinął na jednego z policjantów stojących przy drzwiach. – Proszę przynieść narzędzie.

Policjant wrócił po chwili z walizką do zbierania dowodów. Wyjął z niej foliową torebkę z czymś, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak niewielki nożyk. Amaia wyciągnęła komórkę i zrobiła zdjęcie, ale flesz rozświetlił folię i zdjęcie wyszło niewyraźne.

– Czy mogę to wyciągnąć z torebki? – poprosiła.

Policjant popatrzył na szefa. Szef skinął głową. Otworzył torebkę i położył narzędzie na dłoni w lateksowej rękawiczce, żeby mogła je sfotografować. Robiąc zdjęcie, przyjrzała się uważnie rękojeści, pożąłkłej od starości i poznaczonej drobnymi szczelinami. Wysłała fotografię wraz z krótkim tekstem. Czekala na odpowiedź kilka minut. Włączyła tryb głośnomówiący, żeby Ayegui też mógł słyszeć.

– Nie mam najmniejszych wątpliwości – odezwał się doktor San Martín. – Dane mi było widzieć wiele takich przedmiotów. Jeden z moich przyjaciół, kardiolog, kolekcjonuje stare instrumenty medyczne. To stary skalpel, przypuszczalnie europejski, z XVIII wieku. Ta piękna rękojeść jest zrobiona z kości słoniowej. To materiał, który później przestano stosować, bo jest porowaty. Z plam krwi wnioskuję, że skalpel został wykorzystany jako broń i ostrze jest zbyt zanieczyszczone, żebym mógł się wypowiedzieć na temat metalu.

Podziękowała doktorowi i rozłączyła się.

– Jeśli to skalpel, to może nie musiano go tutaj przynosić, może już tu był – zasugerował Ayegui.

– Pani inspektor! – zawołał policjant z otwartej windy. – Pani rodzina jest już na miejscu.

– Proszę do nich zjechać – powiedział Ayegui. – Za kilka minut do was dołączę.

Rosaura właśnie wchodziła do gabinetu dyrektora. Flora dotarła kilka minut później. Towarzyszył jej elegancki mężczyzna. Przedstawiła go:

– Jest ze mną ojciec Sarasola, psychiatra i przyjaciel domu.

– Już się z doktorem Sarasolą znamy – powiedział dyrektor kliniki, podając mu rękę i patrząc na księdza z onieśmieleniem.

Amaia nie odezwała się. Czekala, aż wszyscy się przywitają.

Ksiądz podszedł do niej.

– Dobry wieczór, pani inspektor.

Uścisnęła mu rękę, nie tając, że jest zaskoczona. Gdy wszyscy zajęli miejsca, zapytała dyrektora Franza:

– Jak się czuła pacjentka w ostatnich dniach?

– Była ożywiona. Rehabilitacja przynosi owoce. Pacjentka porusza się z większą łatwością, choć jeśli chodzi o komunikację werbalną, nie uzyskaliśmy poprawy. Nadal niewiele mówi. Przy takich chorobach wyniszczenie fizyczne i umysłowe czasem postępują w różnym tempie.

– Twierdzi pan, że fizycznie jest dużo lepiej?

– Nasz system rehabilitacji, oparty na całościowych technikach masażu, ćwiczeń i elektrostymulacji, przynosi wspaniałe efekty – powiedział, zadowolony z siebie. – Rosario lepiej chodzi, używa chodzika jedynie ze względów bezpieczeństwa, trochę przybrała na wadze i nabrała masy mięśniowej, jest silniejsza. – Tu lekko się zachmurzył. – No cóż, Gabriel, ten pielęgniarz, którego zaatakowała, to bardzo silny mężczyzna. Bardzo, bardzo silny, a jednak go powaliła.

W tej samej chwili do gabinetu wparował bez pukania inspektor Ayegui i nie przedstawiając się obecnym, z miejsca zapytał:

– Jakie leki otrzymywała pacjentka?

– Nie mogę tego zdradzić, to tajemnica lekarska – powiedział dyrektor, popatrując podejrzliwie na księdza, który swoim zwyczajem stał przy oknie i wyglądał przez nie. Wydawał się nie zwracać uwagi na to, co się dzieje w pokoju.

– Wydaje mi się, że w takich okolicznościach tajemnica lekarska nie obowiązuje – powiedział Ayegui z szerokim uśmiechem. – Ale to nieważne. Ja i tak już wiem. To takie białe kapsułki, drugie kapsułki żółto-granatowe, małe niebieskie pigułki i pigułki różowe, takie jak te? – to mówiąc, otworzył dłoń i pokazał dyrektorowi dużą porcję leków. Dyrektor patrzył na niego oszołomiony.

– Jak to? Skąd? Co...

– Szukając w pokoju innej broni, odkryliśmy, że jedna z pustych w środku nóg łóżka była przesuwana, a jej plastikową

końcówkę można z łatwością zdjąć. W środku było właśnie to.

– To niemożliwe! – krzyknął dyrektor. – Rosario cierpi na poważną chorobę. Gdyby nie leczenie, nie wróciłaby do zdrowia tak szybko. – Mówiąc to, spoglądał na Florę i Ros, jakby oczekiwał, że okażą zrozumienie. – Terapia została drobiazgowo udokumentowana. Instytucja, w której jesteśmy, stosuje nowoczesne terapie, ciągle kontroluje wyniki, odnotowuje poprawę, pogorszenie i zmiany w zachowaniu pacjentów. Omawia się nawet minimalne wahania. Komisja składająca się z dziewięciu ekspertów i mnie decyduje o każdej zmianie terapii, każdej modyfikacji. Zaniechanie leczenia farmakologicznego miałoby niesłychanie poważne skutki i nie moglibyśmy czegoś takiego nie zauważyć. Rosario była spokojna, uśmiechnięta, skłonna do współpracy. Jak już powiedziałem, miała lepszy apetyt, przytyła i dobrze spała. To niemożliwe – powiedział, wyraźnie artykułując sylaby. – To nie-moż-li-we, żeby pacjentowi z chorobą, na jaką cierpi Rosario, aż tak się poprawiło bez leków. Obecny tutaj mój kolega po fachu – wskazał na ojca Sarasolę – może potwierdzić, że równowaga chemiczna jest w takich terapiach rzeczą kluczową i zaniechanie podawania wszystkich lub tylko części pigułek całkiem by pacjentkę rozstroiło.

– No cóż, sądząc po ilości leków, które znaleźliśmy w tej rurze, nie łykała ich już od miesięcy. Niektóre pigułki są lekko odbarwione, może od śliny. Po prostu musiała udawać, że je łyka, i po jakimś czasie je wypluwała – stwierdził Ayegui.

– Mówię panu, że to niemożliwe, już mówiłem, że...

– Co z drugiej strony wyjaśnia, dlaczego zaatakowała pielęgniarza – uciał inspektor.

– Pan nie rozumie. Rosario nie mogła nie brać leków. Udawanie normalności nie jest możliwe. Nie dalej jak wczoraj jeden z jej lekarzy ocenił postępy terapii – sapnęła i wyciągnęła z szuflady gruby plik dokumentów. – Upieram się przy tym, żeby raporty były spisywane także na papierze – wyjaśnił. – Nie możemy ryzykować, że jakiś wirus zniszczy nam tak cenną dokumentację. – Położył papiery na biurku. – Nie możecie państwo tego zabrać, ale proszę, zapoznajcie się z tym

na miejscu, jeśli chcecie, choć dla kogoś, kto nie jest specjalistą, może to się okazać dość trudne... Może ksiądz doktor... – powiedział i, całkowicie załamany, opadł na swój drogi fotel.

Amaia podeszła do biurka i nachyliła się nad dyrektorem, żeby mu pokazać zdjęcie na wyświetlaczu swojej komórki.

– Ekspert stwierdził, że przedmiot, którego użyła, to bardzo stary lancet, pewnie pochodzący z jakiejś kolekcji. Macie tutaj coś takiego?

Dyrektor obejrzał zdjęcie z wyraźnym lękiem.

– Nie, oczywiście, że nie.

– Nie byłoby to aż tak dziwne. Wydaje się, że niektórzy lekarze lubią zbierać takie rzeczy. Może któryś z nich trzyma to w gabinecie...

– Nie, o ile wiem, nie. Bardzo wątpię, mamy niezwykle ściśle zasady bezpieczeństwa. Nie dopuszczamy nawet noszenia długopisu w kieszonce fartucha. Zabronione jest wszystko to, co mogłoby zostać użyte jako broń. Przedmioty ostre, ciężkie, buty ze sznurowadłami, paski... I to nie tylko u pacjentów, także u pracowników, włączywszy lekarzy. Oczywiście mamy instrumenty medyczne, ale jedynie w ambulatorium, pod strażą, w zabezpieczonej szafce. Zresztą są to narzędzia nowoczesne, nie mają nic wspólnego z czymś takim.

– Jest oczywiście, że jeśli lancet nie pochodzi stąd, musiał zostać wniesiony z zewnątrz – stwierdziła Amaia, uważnie patrząc na dyrektora.

– Niemożliwe – bronił się dyrektor. – Sami państwo widzieliście nasze zabezpieczenia. Każdy odwiedzający musi przejść przez wykrywacz metali, a torby i inne bagaże zostają w recepcji. Pacjenci ze strefy niebieskiej nie mogą przyjmować wizyt, a pozostali mają jedynie pozwolenie na wizyty osób upoważnionych. Rosario mogło odwiedzać jedynie pani rodzeństwo. Odwiedzający bez wyjątku muszą zostać sprawdzeni i są informowani, że nie mogą wręczać pacjentom niczego, jedzenia ani książek, dosłownie niczego, jeśli nie poinformują o tym pielęgniarzy. Odwiedzający cały czas przebywają w pokoju pacjenta i nie mogą chodzić po korytarzach ani stykać się z innymi pacjentami. To zresztą nie

byłoby możliwe, bo chorzy najczęściej przebywają w izolacji, a w porze wizyt absolutnie zawsze. Pani o tym nie wie, bo nigdy nie odwiedziła pani matki – powiedział złośliwie. – Ale pani rodzeństwo może to potwierdzić.

– Moje siostry – poprawiła go Amaia.

– Co? – spytał zmieszany.

– Już drugi raz mówi pan o rodzeństwie. Mam tylko dwie siostry, tu obecne. – Wskazała na nie ręką.

Dyrektor zbladł.

– Jak to? Brat pań często odwiedzał matkę – powiedział do Ros i Flory. I czekał na potwierdzenie.

– Nie mamy brata – stwierdziła Rosaura.

Dyrektor zaczął się nerwowo trząść.

– Doktorze! – krzyknęła Amaia, zmuszając go, żeby się skoncentrował. – Jak często ten ktoś tu przychodził?

– Nie wiem, musiałbym sprawdzić w rejestrze, ale kilka razy w miesiącu, co najmniej...

– Dlaczego nie zostałam o tym poinformowana? – wtrąciła się Flora.

– Chronimy prywatność pacjentów. Pacjenta mogą odwiedzać jedynie osoby, które on sam do tego upoważni. Robimy tak, żeby uniknąć sytuacji, w której ktoś, nawet mający jak najlepsze intencje, mógłby raczej zaszkodzić niż pomóc.

– Więc twierdzi pan, że to nasza matka upoważniła tego kogoś do odwiedzin?

Dyrektor sprawdził rejestr w komputerze.

– Tak. Na liście są cztery osoby: Flora, Rosaura, Javier i Amaia Salazar.

– Jestem na liście – szepnęła Amaia z niedowierzaniem.

– Javier Salazar nie istnieje! Nigdy nie istniał! Nie jest naszym bratem! – wrzasnęła Flora z furią. – Jak pan mógł pozwolić, żeby się tu zakradł ktoś obcy? To skandal!

– Proszę nie zapominać, że to matka pań chciała, żeby ją odwiedzał.

Amaia spojrzała na inspektora Ayegui. Kręcił z politowaniem głową. Z naciskiem zapytała dyrektora, pochylając się nad nim:

– Kiedy odwiedził ją po raz ostatni?

Doktor Franz z trudem przełknął ślinę. Skrzywił się i widać było, że ostatkiem sił powstrzymuje atak mdłości.

– Dzisiaj rano – odrzekł, całkiem poniżony.

W pokoju rozległ się pomruk oburzenia. Dyrektor wstał i chwiejąc się na nogach, wyciągnął przed siebie ręce, jakby prosił o spokój.

– Został dokładnie sprawdzony. Wylegitymował się i jak zwykle zostawił dokument w depozycie. Jak zwykle wypełnił formularz. Zawsze, rutynowo, sprawdzamy dane. Nie jesteśmy policją, ale mamy bardzo dobry system bezpieczeństwa.

– Nie taki dobry – powiedziała Amaia.

Ayegui wymierzył w dyrektora karcący palec.

– Musi nam pan dostarczyć wszystkie nagrania, na których widać tego osobnika, i wszystkie formularze, które wypełnił. Przy odrobinie szczęścia znajdziemy jakieś ślady.

Do gabinetu wszedł umundurowany policjant. Szepnął coś do ucha Ayeguiemu. Ayegui skinął głową.

– Proszę ze mną, pani inspektor – powiedział do Amai i ruszył do drzwi, ale kiedy byli na progu, znów ponaglił dyrektora:

– Niech pan zbierze to wszystko. I to już.

– Oczywiście – odpowiedział nieszczyśnik i podniósł słuchawkę. Ulżyło mu, że może coś zrobić, zamiast siedzieć i czuć na sobie pełne wyrzucie spojrzenie Flory.

Wszechobecny biały kolor naruszała jedynie krwawa plama na podłodze, niemal odpowiadająca kształtem biodrom pielęgniarza. Policjanci z zespołu oględzin laboratorium kryminalistycznego, ubrani w białe kombinezony z kapturami i ochraniacze na buty, byli niemal niewidoczni na tle ścian, do chwili, kiedy jeden z nich odwrócił się i wyszedł.

– Miło mi panią znowu spotkać, pani inspektor.

Amaia wpatrzyła się uważniej i poznała: była to jedna z funkcjonariuszek, które wzięły udział w ekshumacji Lucii Aguirre.

– Przepraszam – powiedziała, usiłując sobie przypomnieć jej nazwisko. – Nie poznałam pani w tym stroju.

– Jak z serialu *CSI: Kryminalne zagadki Las Vegas*, prawda? Niezwykle twarzowe.

– Co znaleźliście? – spytała niecierpliwie Amaia.

– Coś bardzo ciekawego – odpowiedziała policjantka, odwracając się i wskazując przez drzwi. – Na tylnej ramie łóżka były krwawe ślady. Wygląda na to, że pacjentka złapała za nią, żeby przesunąć łóżko, już po ataku. Kiedy przestawiliśmy łóżko, odkryliśmy napis. Był zasłonięty wezgłowiem i na początku niewidoczny. Możecie wejść – powiedziała, zapraszając ich do środka. – Już zakończyliśmy oględziny.

W głowie Amai odezwały się grzmiące głosy. Pochodziły z tego miejsca nad rzeką, które odwiedzała w koszmarach sennych. Jej dłonie pokryły się kroplami potu, serce przyspieszyło, zaczęła szybciej oddychać. Zdała sobie sprawę, że musi się opanować, żeby nikt nie zauważył, co się z nią dzieje. Lamie, które nadal wyraźnie słyszała, powtarzały zgodnym chórem: „Tratuj go! Tratuj go! Tratuj go!”.

Zajrzała do pokoju i zobaczyła błyszczące w świetle szpitalnej lampy, wypisane na ścianie starannym pismem matki i krwią pielęgniarza litery: TARTTALO.

Zamknęła oczy i z jej piersi wydarło się westchnienie, jak jęk rozpaczny. Kiedy sekundę później otworzyła oczy, głosy w jej głowie ucichły, ale napis nadal tam był.

Dyżurka ochrony kliniki Santa María de las Nieves mogłaby się znajdować w każdym więzieniu w kraju. Mnóstwo monitorów, na których wyświetlały się różne wnętrza: korytarze, windy, pomieszczenia ogólnodostępne, niektóre pokoje, dyżurki pielęgniarzy i biura. Szefem ochrony był mężczyzna około pięćdziesiątki. Niemal z dumą właściciela pokazał im cały system.

– Czy w pokojach pacjentów są kamery? – zapytał Ayegui.

– Nie – odpowiedział zza jego pleców dyrektor kliniki.

– Pacjenci umiarkowanie niebezpieczni mają prawo do intymności w swoich sypialniach. W drzwiach są wizjery, przez które sprawdzamy, czy wszystko w porządku. Jedyne tych ze strefy niebieskiej monitoruje się dwadzieścia cztery godzinę na dobę. Jedni i drudzy są zamykani w pokojach, chyba że to pora rehabilitacji, terapii albo spaceru po ogrodzie. Rosario zawsze spacerowała sama.

Amalia rzuciła okiem na ekrany. Nie było na nich widać niemal żadnego ruchu.

– Jest bardzo późno – wyjaśnił dyrektor. – Większość pacjentów śpi. Niektórzy są unieruchomieni w łózkach.

Szef ochrony wskazał na jeden z monitorów.

– Tutaj zebrałem wszystkie nagrania, na których widać tego człowieka. To nie było trudne: zaglądając do rejestru, mogę ustalić dzień i godzinę odwiedzin. Jedyne problem polega na tym, że mamy nagrania tylko z czterdziestu dni. Z wyjątkiem nagrań pacjentów, które są zachowywane dla lekarzy, inne rutynowo wymazujemy po czterdziestu dniach, o ile nie dojdzie do jakiegoś incydentu, a to nie zdarzyło się nigdy przez te dwanaście lat, od których tutaj pracuję. Oczywiście mówię o odwiedzających albo o próbach wtargnięcia z zewnątrz. Jeśli chodzi o pacjentów, to, jak się państwo domyślają, zupełnie inna sprawa. – Zniżając głos, żeby dyrektor nie mógł go

usłyszeć, dodał: – Nie możecie sobie nawet wyobrazić, co oni potrafią wyrabiać.

Amalia kiwnęła głową, ale przeszył ją dreszcz grozy. Niestety aż za dobrze mogła to sobie wyobrazić.

– Zaczniemy od najstarszych, tych sprzed czterdziestu dni, żebyście mogli stwierdzić, czy są interesujące, zanim je wymażemy.

– Od razu uprzedzam, że nie wolno zniszczyć żadnego nagrania, na którym pojawia się ten facet – powiedział Ayegui.

Ochroniarz spojrział na opierającego się o ścianę dyrektora, jakby się obawiał, że w każdej chwili może mu zabraknąć sił.

– Oczywiście – szepnął słabym głosem dyrektor.

Ayegui odebrał telefon i po krótkiej rozmowie oświadczył:

– Potwierdzono, że dokument, którego ten typ używał, jest fałszywy. To mnie nie dziwi. Są gangi, które za odpowiednią opłatą mogą dostarczyć wszystko, od fałszywego dowodu po kompletnie fałszywą tożsamość. To dość łatwe.

Z mroku pokoju, rozjaśnionego jedynie poświatą monitorów, dobiegło ich pełne rezygnacji westchnienie dyrektora.

– Popatrzmy wreszcie na te nagrania.

Było do przewidzenia, że kamery zostaną umieszczone tak, żeby objęły jak największą część kliniki. Szerokie plany, duże przestrzenie do objęcia. Kamery przy drzwiach oczywiście miały pilnować, żeby nikt niepowołany nie wyszedł. Któż mógłby chcieć wejść siłą do budynku, na którym wisi tablica z napisem Klinika Psychiatryczna pod Specjalnym Nadzorem? Na ekranie ukazał się mężczyzna mniej niż czterdziestoletni, szczupły, ubrany w dżinsy i sweter z golfem. W okularach, czapce i z kosią bródką. Nagrano go w drzwiach, w bramce, przy kontuarze, podczas wręczania fałszywych dokumentów, i gdy eskortowany przez pielęgniarza szedł korytarzem do pokoju Rosario. W sumie nagrano trzy wizyty. Podczas wszystkich trzech był ubrany dokładnie tak samo. Zawsze unikał patrzenia w kamery, z wyjątkiem najnowszego nagrania, tego z rana, na którym na obrazie z ostatniej kamery widać było, jak zdejmuje na kilka sekund czapkę, a potem znów ją wkłada.

– Wydaje się, jakby chciał nam pokazać twarz – powiedział Ayegui.

– Niespecjalnie się to przyda – powiedział z zalem ochroniarz.
– To jedna z kamer na parkingu. Wisi bardzo wysoko, bo nie ma nagrywać ludzi, więc obawiam się, że jakość nagrania nie jest za dobra. Obraz już jest powiększony do maksimum, a i tak prawie nic nie widać.

– My mamy większe możliwości – odparł Ayegui. – Może coś się da z tym zrobić. – Po czym zwrócił się do doktora Franza: – Proszę mi powiedzieć, czy będę potrzebował nakazu sądowego, żeby to stąd zabrać.

– Nie, oczywiście, że nie – odpowiedział przygnębiony dyrektor.

Flora czekała na środku obszernego gabinetu. Zagadnęła go, jak tylko wszedł:

– Proszę mi powiedzieć, gdzie jest teraz moja matka.

– Och, nie musi się pani tym przejmować. Rosario czuje się dobrze, dostała środki uspokajające i odpoczywa. Jest pod specjalnym nadzorem i oczywiście nie może przyjmować wizyt do chwili, kiedy znów ocenimy jej stan i wznowimy terapię.

Flora wyglądała na zadowoloną. Poprawiła zakiet, uśmiechnęła się i popatrzyła na dyrektora. Dla Amai stało się jasne, że szykuje się do ataku.

– Doktorze Franz, proszę wszystko przygotować. Moja matka zostanie przeniesiona. Zważywszy na okoliczności, nie spędzi tu ani minuty dłużej niż to konieczne. I niech pan wie, że po zakończeniu dochodzenia będę żądała ustalenia, kto jest winny. Mam zamiar pozwać pana i klinikę Santa María de las Nieves.

Dyrektor poczerwieniał.

– Ależ, proszę pani... Nie może pani... – wybełkotał. – To błąd przynosić ją w takiej chwili. To jej może bardzo zaszkodzić.

– No coś takiego! Bardziej niż brak leczenia całymi tygodniami? Bardziej niż wpuszczanie do niej nieznanomych facetów, którzy wkładają jej do ręki broń? Doprawdy, doktorze, nie sądzę!

– Bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało, ale musicie zrozumieć, że zostaliśmy wprowadzeni w błąd. Myśleliśmy, że

to wasz brat. Policja potwierdziła, że miał fałszywe dokumenty. Rosario poprosiła, żeby mógł jej składać wizyty, i była taka szczęśliwa, kiedy ją odwiedzał. Jak moglibyśmy coś podejrzewać?

– Twierdzi pan, że kierujecie się tym, co mówi kobieta nie w pełni władz umysłowych? – odrzekła Flora. – A co pan powie o tym, że nie łykała lekarstw?

– Tego nie mogę wyjaśnić – przyznał. – Z punktu widzenia medycyny to niemożliwe, żeby mogła się kontrolować... chyba że... – Wydawało się, że pomyślał o czymś, ale uznał, że to absurd. – Na Boga, nie przenoście jej. Wyrządźcie ogromną krzywdę klinice – mówił i cały się trząsał.

Amai zrobiło się go żal. Wszystko to go przerosło, do tego stopnia, że zupełnie utracił kontrolę nad sytuacją. Obawiała się, że lada chwila dostanie apopleksji. Popatrzyła na siostry i powiedziała:

– Czy mogliby panowie zostawić nas na chwilę same?

– Oczywiście – powiedzieli doktor Franz i inspektor Ayegui, i wyszli na korytarz.

– Zostaje tylko rodzina – powiedziała Amaia do księdza. Nie ruszył się spod okna.

Gdy wreszcie wszyscy wyszli, Amaia usiadła obok sióstr.

– Zgadzam się. Przeniesiemy ją, Floro.

Flora wydawała się zaskoczona, jakby się spodziewała, że się sprzeciwi.

– Ale przedtem chciałabym, żebyś mi wyjaśniła, dokąd masz zamiar ją przenieść, choć przypuszczam, że wiem. I co tu robi ojciec Sarasola?

– Oczywiście – zgodziła się Flora. – Skontaktował się ze mną jakieś trzy miesiące temu. Jest lekarzem i autorytetem w dziedzinie psychiatrii, jednym z najwybitniejszych na świecie, jak sądzę. Powiedział, że zna przypadek naszej matki, bo jest on omawiany na wielu kongresach psychiatrycznych. Podkreślił, że jest bardzo zainteresowany przebiegiem jej choroby i że ma kilka nowych pomysłów na jej leczenie. Powiedział, że mogłybyśmy ją przenieść do kliniki Opus Dei w Pampelunie. Zaoferował darmową terapię. To niewątpliwie

bardzo droga klinika, ale to nie wystarczyło, żeby mnie przekonać, choć pomyślałam, że to interesujące i że może *ama* skorzystałaby na tych nowych technikach, nowych pomysłach, ale wydawała się taka zadowolona z pobytu tutaj, a dla mnie to najważniejsze. To znaczy do tej pory było najważniejsze, bo teraz jej bezpieczeństwo wysunęło się na pierwszy plan. Jeśli może tu wejść każdy, a do tego nie brała leków, to o czym my mówimy!

Ros ją poparła:

– Zgadzam się. I przecież o mało nie zabiła tego biedaka...

– No tak, to też – zgodziła się Flora.

Amaia podniosła się z krzesła.

– Dobrze. Ale zanim wyrażę zgodę, chcę zamienić słowo z ojcem Sarasolą.

Doktor Franz udostępnił im pokój. Ojciec Sarasola nie wydawał się w żaden sposób zdziwiony jej prośbą. Zamknął drzwi i od razu do niej nawiązał.

– Pani inspektor Salazar, wiedziałem, że z panią nie pójdzie tak łatwo jak z pani siostrami. Czekałem na tę rozmowę.

– Dlaczego? – zainteresowała się.

– Bo pani nie wystarczy wyjaśnienia, pani chce usłyszeć prawdę.

– Więc proszę mnie nie zawieść i powiedzieć prawdę. Dlaczego chce pan stąd zabrać moją matkę?

– Mógłbym godzinami opowiadać pani o zainteresowaniu, jakie budzi taki przypadek jak pani matki, ale to nie byłaby cała prawda. Uważam, że należy ją stąd zabrać, żeby ją oddalić od zła, które wyciągnęło po nią rękę.

Amaia ze zdumienia otworzyła usta, a potem uśmiechnęła się blado.

– Widzę, że dotrzymuje pan słowa.

– Uważam, że jak najszybciej należy ją usunąć z drogi tego człowieka, trzymać ją w izolacji, nie dopuścić, żeby osiągnął cel. Amaia nadal nie posiadała się ze zdumienia.

– Już od pewnego czasu jesteśmy zainteresowani przypadkiem pani matki, jej specyficznym zachowaniem. Ludzie zachowują się tak w pewnych konkretnych przypadkach, które są dla nas

interesujące właśnie ze względu na ten specyficzny odcień...

– Jaki?

– Tym niuanssem, który odróżnia jej przypadek od innych zaburzeń umysłowych, jest zło.

– Zło... – powtórzyła Amaia.

– Kościół katolicki od wieków prowadzi badania nad źródłem zła. W ostatnich czasach psychiatria dokonała wielkiego postępu w badaniu zaburzeń zachowania, ale jest grupa chorób, które niemal nie zmieniły się od średniowiecza, z którego pochodzą najstarsze dokumenty. Nie będzie to dla pani nowość, jeśli stwierdzę, że niektórzy ludzie są źli. Nie szaleni, nie zaburzeni, ale okrutni, bezlitośni, lubią zadawać innym ból. Są tacy i tak się zachowują, bo są źli, a ich choroby umysłowe nie są zwykłymi chorobami, jak u innych ludzi, lecz idealną pożywką dla zła. U tych ludzi zło wywołuje chorobę umysłową, nie na odwrót.

Amaia wysłuchiwała go z uwagą i potrząsnęła głową, jakby się właśnie obudziła. Doktor Sarasola wygłosił właśnie tezę, w którą ona sama od zawsze wierzyła, ale nie odważyła się jej sformułować, nie odważyła się wymówić tego słowa, którego on używał bez ogródek. Zło. Już kiedy była dzieckiem, wiedziała, że z głową jej matki coś jest nie w porządku, ale wiedziała też, że za dnia matka kontroluje się na tyle, żeby zachowywać dystans, nie wkraczać w strefę graniczną między nimi. Natomiast w nocy ją przekraczała. Pochylała się nad jej łóżkiem. Była wystarczająco szalona, żeby grozić, że ją zje, wystarczająco zła, żeby się bawić jej przerażeniem, wystarczająco przytomna, żeby robić to, kiedy nikt nie widzi.

– Nie mogę się z panem zgodzić – skłamała. Chciała sprawdzić, dokąd zmierza. – Wiem, że człowiek jest zdolny do wszystkiego. To prawda, że niektórzy ludzie popełniają najgorsze okropieństwa, ale zło... Może na nich wpływać wychowanie, brak uczuć, choroba umysłowa, narkotyki albo niewłaściwe towarzystwo... ale nie uważam, żeby ludźmi powodowało zło. Jeśli się nie mylę, nauczacie o wolnej woli, czyż nie? Taka jest po prostu ludzka natura, bo jak inaczej można by wyjaśnić dobro?

– To prawda, że człowiek podejmuje decyzje, jest wolny, ale istnieje granica, po której przekroczeniu znajduje się we władzy czystego zła. Nie mówię o człowieku, który dopuszcza się przemocy w chwili rozgorączkowania. Kiedy się uspokaja i zdaje sobie sprawę, co zrobił, szaleje z bólu i ma wyrzuty sumienia. Mówię o zachowaniach aberracyjnych, o czynach potwornych. Mężczyzna wraca nad ranem do domu i roztrzaskuje młotkiem czaszkę śpiącej żony, dwuletnich bliźniąt i trzymiesięcznego niemowlęcia. Kobieta dusi czworo dzieci kablem od ładowarki do telefonu komórkowego. Zabija jedno po drugim. Trwa to ponad godzinę... Tak, była pod wpływem narkotyków, ale tysiące narkomanów nigdy nie zrobiły ani nie zrobią nic tak strasznego. Nie mogę zaprzeczyć: w pewnych okolicznościach zażywanie narkotyków działa jak fala, która przerywa tamę, ale co wkracza przez tę szczelinę, to inna sprawa, i to, dlaczego człowiek daje temu czemuś do siebie dostęp, to też inna sprawa. Nie będę o tym mówił, pani to wszystko wie.

Amaia patrzyła na niego przejęta. Czuła się całkiem bezbronna, jak wtedy, kiedy słuchała Dupreego, który przypadkiem także wiedział sporo o złu, o zachowaniach aberracyjnych i o tym, co się kryje za tym, co widzialne.

– Zło istnieje. Istnieje na tym świecie, a pani umie je rozpoznać równie dobrze jak ja. To prawda, większość ludzi nie orientuje się w tym za dobrze, ale w dużej mierze to zamieszanie wynika z tego, że oddalają się od Boga i Kościoła.

Amaia popatrzyła na niego z powątpiewaniem.

– Niech pani tak na mnie nie patrzy. Jeszcze sto lat temu każdy umiał wskazać siedem grzechów głównych, podobnie jak umiał odmówić *Ojcze nasz*. Grzechy te charakteryzują się tym, że skazują grzesznika na potępienie, niszcząc jego duszę, ale także ciało. Pycha, skąpstwo, zazdrość, gniew, nieczystość, łakomstwo i lenistwo – siedem grzechów, których ludzie nadal się dopuszczają, jak przed wiekami, choć trudno byłoby dziś znaleźć na ulicy choć kilka osób, które umiałyby je wyliczyć. Jestem psychiatrą, ale muszę stwierdzić, że nowoczesna psychiatria, Freud i jego psychoanaliza i te wszystkie głupstwa

sprawiły, że ludzie są zdezorientowani, zagubieni, przekonani, że cały problem polega na tym, że nie dostali matczynej miłości jako dzieci, tak jakby to wystarczało, żeby wszystko wyjaśnić. A ponieważ nie umieją odróżnić dobra od zła, przyklejają etykietkę szaleństwa każdej aberracji: „Musiał być szalony, żeby coś takiego zrobić...”. Jak często ludzie uzurpują sobie prawo do uniewinniania innych, kierując się rzekomą znajomością psychiatrii. Ale zło istnieje, jest tutaj, i pani wie równie dobrze jak ja, że pani matka nie jest tylko chora na umyśle.

Amaia go obserwowała. Przytaczał tyle argumentów, których ona nie odważyła się zwerbalizować, ale z drugiej strony instynktownie czuła do niego niechęć. Musiała podjąć decyzję i to już, zaraz.

– Co ksiądz proponuje?

– Poddamy ją terapii. Będziemy leczyć jej chorobę umysłową i chorobę jej duszy. Mamy ekipę składającą się z najlepszych specjalistów na świecie.

– Nie macie chyba zamiaru poddawać jej egzorcyzmom?
– spytała.

Ojciec Sarasola parsknął. Rozbawiła go.

– Obawiam się, że do niczego by się nie przydały. Pani matka nie jest opętana. Jest zła, jej dusza jest czarna jak noc.

Amaia dostała palpacji. Poczowała ucisk w sercu. Napięcie, zamknięte w jej piersi od lat, dawało o sobie znać. Usłyszała, jak mówi o tym, o czym ona wiedziała od najmłodszych lat.

– Sądzi ksiądz, że zło pomieszało jej w głowie.

– Nie. Myślę, że wmieszała się w coś, w co nie powinna, a za to zawsze płaci się wysoką cenę.

Amaia pomyślała o konsekwencjach tego, co zamierzała zaraz powiedzieć.

– Człowiek, który ją odwiedzał, najprawdopodobniej skłonił inne osoby do popełnienia samobójstwa.

– Nie sądzę, żeby to był przypadek pani matki. Ona jeszcze nie zakończyła swojego dzieła.

Amaia była oszołomiona. Ten człowiek miał nadzwyczajną zdolność jasnowidzenia, czytał w jej umyśle jak w otwartej

książce.

– Nie powinna przyjmować wizyt. Nikt nie powinien jej odwiedzać, nawet moje siostry.

– Takie właśnie są nasze procedury. Zważywszy na okoliczności, tak będzie najlepiej dla wszystkich.

Pod drzwiami Amaia spotkała młodą techniczkę z zespołu oględzin. Właśnie zdejmowała biały kombinezon.

– Znowu tu jestem – powiedziała, podchodząc. – Już po wszystkim?

– Tak, pani inspektor. Mamy wszystko, co się dało zebrać: odciski, zdjęcia, próbki... Właśnie skończyliśmy.

Amaia zajrzała przez otwarte drzwi i zobaczyła efekty pracy ekipy. Łóżko, kompletnie rozgrzebane, stało teraz pośrodku pokoju. Częściowo zasłaniało plamę krwi na podłodze. Koldra, prześcieradło, poszewki i pokrowiec materaca, starannie złożone, leżały na skórzanym fotelu, który odbijał się od wszechobecnej bieli i ewidentnie został tam przyniesiony z jakiegoś biura. W oknie nie było zasłon. Zarówno stolik nocny, jak i stojące obok krzesło były przyśrubowane do ściany i do podłogi. W przeciwległej ścianie było dwoje zamkniętych drzwi. W gąbkowej poduszce widać było rozcięcie: tam matka schowała lancet. Wszystkie powierzchnie, których ktoś mógł dotykać, zostały pokryte tłustym czarnym proszkiem do ujawniania śladów linii papilarnych.

– Co jest za tymi drzwiami? – zapytała.

– Szafa na ubrania i ubikacja. Tylko sedes bez pokrywy i umywalka na pedał. Już je sprawdziliśmy. Szafa jest zamykana na klucz i otwierana tylko po to, żeby wyciągnąć czystą bieliznę. Jest tego niewiele, bo pacjenci chodzą w szpitalnych rzeczach: w koszuli, szlafroku i kapturach.

Amaia poszukała w torebce rękawiczek i włożyła je. Cały czas popatrywała na pokój z korytarza i nie przekraczała progu, jak gdyby jakaś niewidzialna bariera zagrażała jej drogę.

– Czy mogłabym dostać taki biały kombinezon?

– Tak, oczywiście! – Młoda funkcjonariuszka schyliła się i wyciągnęła ze sportowej torby nowy zafoliowany kombinezon.

– Ale to niepotrzebne. Już skończyliśmy, może pani spokojnie

wchodzić.

Wiedziała, że nie ma już znaczenia, czy wniesie jakieś ślady, ale i tak wzięła kombinezon.

– Nie chcę się pobrudzić – wyjaśniła, rozrywając folię.

Dziewczyna wzruszyła ramionami i spojrzała na drugiego technika.

– My już idziemy. Potrzebuje pani jeszcze czegoś?

– Nie, dziękuję.

Zaczekała, aż zamkną się za nimi drzwi windy, i dopiero wtedy włożyła ochraniacze na buty i kaptur. Poprawiła go, wyciągnęła z torebki papierową chusteczkę i nadal nie mogła się zdecydować. Stała w otwartych drzwiach kilka sekund. Trwały całą wieczność. Z trudem przełknęła ślinę i zasłaniając nos i usta chusteczką, przekroczyła próg.

Natychmiast poczuła zapach krwi tego biednego pielęgniarza, zmieszany z mdlącym odorem odchodów i soków żołądkowych. Niemal się cieszyła, że pachną tak mocno. Chroniło ją to przed innym zapachem. Ale w miarę jak wchodziła w głąb pokoju, zapach robił się coraz silniejszy, aż otoczył ją, oszołomił, jak esencja strachu. Nie ma wyraźniejszych, wierniejszych i żywszych wspomnień niż te, które się odzyskuje dzięki węchowi. Są tak mocno związane z emocjami, których odczuwaniu towarzyszyły, że wprost niewiarygodne jest, ile może sobie przypomnieć umysł pobudzony kilkoma molekułami aromatu.

Poczuła zapach matki. Jej ciałem wstrząsnął dreszcz, jak wyładowanie elektryczne, a oczy napełniły się łzami. Starła się je powstrzymać, oddychając spazmatycznie. Pamięć trwa, ponieważ aksony neuronów węchowych prowadzą zawsze do tego samego miejsca, do tego samego schowka, żeby zmagazynować ten sam zapach. Zapach twojej morderczyni powinien zajmować honorowe miejsce w twoim rejestrze, powiedziała sama do siebie, na wpół histerycznie i na wpół z wściekłością. Usiłowała zapanować nad paniką, nadchodzącą z zewnątrz i przenikającą do jej wnętrza, zaciemniającą obrzeża jej pola widzenia i oslepiającą. Czowała się jak bohaterka ponurej sztuki teatralnej, która trzęsie się ze strachu na środku sceny,

oświetlona potężnym reflektorem, podczas gdy reszta świata pogrążona jest w ciemnościach.

– Nie! – powiedziała stanowczo. – Nie! – I z całej siły zamknęła oczy, żeby nie widzieć nadciągającej czarnej fali, która zbije ją z nóg i zrzuci w przepaść, którą знаła aż za dobrze.

Wyraźnie usłyszała głos dziewczynki. Ojczenaszktóryśjestwniebieświęćsięimiętwoje... Dziewczynka tak bardzo się bała. Mała dziewczynka...

– Już nie jestem małą dziewczynką – szepnęła i odruchowo podniosła rękę do pasa.

Wymacała pod ochronnym kombinezonem znajomy kształt glocka i światło na powrót zaczęło napełniać pokój. Stała kilka sekund bez ruchu, dając sobie czas na uspokojenie. Zamknęła oczy, a kiedy je z powrotem otworzyła, zobaczyła po prostu miejsce przestępstwa po oględzinach techników. Otworzyła drzwi do małej toalety i sprawdziła, czy szafa jest zamknięta. Dotknęła metalowych poręczy łóżka i przez gumowe rękawiczki poczuła zimno. Podeszła do krzesła i obejrzała je, jakby się spodziewała znaleźć na nim niewidzialne, ale wyczuwalne ślady. Po chwili odrzuciła pomysł, żeby na nim usiąść. Zdjęła z biurowego fotela przyniesionego przez techników starannie złożoną pościel i jedną ręką odłożyła ją na łóżko. Starła się jej nie dotykać. Drugą ręką cały czas przyciskała do twarzy chusteczkę. Była zdecydowana nie oddychać tym zapachem, nie pozwolić, żeby znów zagościł w niej strach. Jedną ręką pociągnęła fotel i postawiła go pod ścianą. Krwawy napis jeszcze na niej połyskiwał w białym świetle jarzeniówki, nad miejscem, gdzie powinno się znajdować wezglowie łóżka.

Usiadła i zaczęła się przyglądać wyzywającemu dziełu na ścianie, jakby zwiedzała muzeum, makabryczne muzeum horroru, w którym artyści zachęteni przez diabelskiego mecenasa wystawiają swoje obrazy z jednym głównym przesłaniem. To było przesłanie skierowane do niej osobiście, przesłanie, które – jak dowodziło bezspornie to właśnie ostatnie dzieło – świadczyło o niewątpliwym związku między chaotycznymi zabójcami, teoretycznie działającymi niezależnie

od siebie, ale pozostającymi na usługach potwornego inspiratora, który odcina i kolekcjonuje kobiece ręce, i... jej własną matką. Pomyślała o tym i wybuchnęła głośnym śmiechem. Śmiała się tak głośno, że śmiech rozniósł się po pokoju i kiedy dotarł do jej uszu, przeraził ją, bo nie był to śmiech, to było histeryczne, gardłowe wycie, jak ulał pasujące do otoczenia. Czyżby ona także zwariowała?

Nawet szaleńcy zachowują się w określony sposób. Niemal słyszała głos agenta, który ją szkolił w Quantico. Ale ten ktoś, kto umiał zapanować nad tyloma ludźmi, nie był szaleńcem, nie mógł nim być... Podżegacz, który nakłaniał do zabójstw, był najbardziej tajemniczym, najbardziej pomysłowym i najmniej znanym typem zabójców z katalogu sporządzonego przez zespół badań nad zachowaniem FBI.

Kontrola nad własnym zachowaniem i bezwzględna kontrola, którą był w stanie sprawować nad swymi sługami, stawiała go w pozycji boga. Na tym właśnie polegała jego gra, na przyzwalaniu, żeby go czczono i służono mu jak bóstwu, dobroczynnemu dla swych uczniów, ale okrutnemu i mściwemu tak bardzo, że nikt nie odważał się narazić na jego gniew. Pozwalał się ubóstwiać i kiedy czegoś żądał, przedstawiał to tak, jakby coś ofiarowywał. Podporządkowywał sobie ludzi tak, jakby ich otaczał opieką. Rządził z mroków i wywierał niewidzialny wpływ na swoich poddanych. Dla specjalistów od profili wyzwaniem było zbadanie, w jaki sposób wybiera sobie sługi, jak mu się udaje ich uwieść i przekonać do posłuszeństwa, jak sprawia, że chcą mu służyć, ponad wszystko.

Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że jest bardzo cierpliwy. Od Paduy dowiedziała się, że niektóre kości znalezione w jaskini leżały tam od lat. Działał od wielu lat, od wielu lat zdobywał wyznawców i od wielu lat podzegał do zbrodni. Edurne Zabaleta z Bilbao zginęła przed czterema laty. Izaskun López z Logroño przed niemal trzema. Dwa i pół roku minęło od czasu, kiedy mąż Marii Abásolo zabił jej psa, a potem ją, w odstępie kilku dni, trochę ponad rok od sprawy Johany Márquez i jakieś pół roku od zabójstwa Lucii Aguirre, wliczając

w to te cztery miesiące, kiedy Amaia była na urlopie macierzyńskim, a potem Quiralte wyznał, gdzie ukrył zwłoki. We wszystkich przypadkach zabójcami byli mężowie albo partnerzy ofiar. We wszystkich przypadkach sami popełnili samobójstwo tuż po dokonaniu zabójstwa albo potem, w więzieniu. Wszyscy zostawili tę samą wiadomość, ten sam podpis. Wszystkim ofiarom odcięto ręce na wysokości łokcia, *post mortem* i z precyzją, która była obca zabójcom. Udowodnili to. W żadnym z przypadków nie odnaleziono odciętej kończyny. Jedynie DNA Johany Márquez można było porównać ze szczątkami znalezionymi w jaskini Arri Zahar i ustalono zgodność, ale w innych przypadkach było to niemożliwe. Hiszpańska baza danych DNA była właściwie w powijakach. Zostały do niej wprowadzone kody DNA członków sił policyjnych i bezpieczeństwa, wojskowych, pracowników służby zdrowia, nielicznych przestępców i ofiar zabójstw, ale to nie wystarczało. Dlatego, chcąc uzyskać jakieś wyniki, hiszpańska policja korzystała z międzynarodowego systemu CODIS. Porównanie DNA zebranego w przeszłości z miejsca przestępstwa pozwoliło ustalić i zatrzymać zabójców, którzy całymi latami pozostawali na wolności, jak w słynnej sprawie Tony’ego Kinga. Niestety rywalizacja między poszczególnymi służbami policyjnymi utrudniała im działanie.

Potrzebowała wyników badań DNA: gdyby mogła ustalić, że kości z jaskini należały do tych zamordowanych kobiet, mogłaby działać dalej. Sprawy miały się lepiej, od kiedy można było wykonywać badania w laboratorium Nasertic w Nawarze. Przyspieszało to dochodzenie, bo nie trzeba było wysyłać próbek do Saragossy albo do San Sebastián. Ale w takim niezbyt pilnym przypadku nie udałoby się uniknąć długotrwałego, może nawet dwutygodniowego czekania na wyniki. Amaia rozsunęła zamek błyskawiczny i wyciągnęła komórkę. Sprawdziła, która jest godzina, i wyszukała numer. Nie odrywając wzroku od ściany, czekała cierpliwie.

- Dobry wieczór, pani inspektor. Jeszcze w pracy?
- odpowiedział kobiecy głos, z wyraźnym rosyjskim akcentem.
- Wygląda na to, że podobnie jak pani doktor – odparła

Amaia.

Wierna swemu podejściu do skuteczności doktor Tkaczenko nie zaprzętała sobie głowy uprzejmościami.

– Wie pani, że wolę pracować nocą. Co mogę dla pani zrobić, pani inspektor?

– Jutro otrzymam próbki DNA pobrane z kości i zbadane przez Gwardię Cywilną. Chciałabym je porównać z dwiema innymi próbkami: śliny jednej osoby i włosami drugiej, żeby określić zgodność.

– Z iloma próbkami trzeba porównać?

– Z dwunastoma...

– Przyjdźcie wieczorem. To potrwa około ośmiu godzin. Ze śliną pójdzie łatwiej, dłużej będzie trwało ekstrahowanie DNA z włosów – powiedziała pani doktor i rozłączyła się.

Amaia przez dłuższą chwilę siedziała bez ruchu, wpatrzona w napis na ścianie. Próbowowała wytworzyć w swoim umyśle coś w rodzaju pierwotnej próżni, oczyścić go z wszelkich myśli, żeby pytania i odpowiedzi mogły się wyłonić ze splątanego kłębowiska skojarzeń. Instynkt i percepcja przejmowały ster od logiki, żeby mogła zrobić pierwszy krok i odkryć, co chciał jej powiedzieć zabójca. Tarttalo. Podpisując się imieniem legendarnego cyklopa, zaprzeczał swojej ludzkiej kondycji i zamieniał się w bestię, w potwora. Przedstawiał się jako istota okrutna, jako kanibal, i robił to ostentacyjnie. W wejściu do jaskini eksponował kości, które świadczyły o jego zbrodniach. Ale musiał się podpisywać pod zbrodniami popełnionymi przez innych, żeby zaświadczyć o tym, kto jest ich prawdziwym sprawcą. Umiał manipulować ludźmi i miał nad nimi władzę. Kulminacją był podpis, bo nie liczyło się, czyimi rękami dokonano zbrodni, skoro i tak miała jednego autora. Amaia wycelowała komórkę w napis i zrobiła zdjęcie. Przesłała je Jonanowi. Oddzwonił po dziesięciu sekundach. Usłyszenie głosu Jonana w tym okropnym miejscu było dla niej taką ulgą, że aż się uśmiechnęła.

– Co to za miejsce? – spytał, kiedy odebrała telefon.

– To klinika, w której przebywała moja matka. Dzisiaj w nocy zraniła pielęgniarkę. Narzędziem tnąco-kłującym, które

dostarczył jej podejrzany osobnik, udający jej syna. Odkryliśmy, że w ciągu ostatnich miesięcy odwiedzał ją wiele razy.

– A ona? Jak się czuje? To znaczy, chciałem...

– W porządku, Jonanie... Nic jej nie jest. Posłuchaj, uzyskałam nakaz sądowy, na mocy którego Gwardia Cywilna przekaże nam próbki kości znalezionych w Arri Zahar. Przed chwilą dzwoniłam do doktor Tkaczenko. Jutro wieczorem mamy jej zawieźć DNA do analizy. Szykuj się.

Jonan milczał przez chwilę.

– Szefowo, to wszystko zmienia. Z chwilą kiedy wciągnięto w to pani matkę, sprawa wyraźnie nabiera charakteru prowokacji i wyzwania. Trudno coś takiego znaleźć w historii kryminalistyki. Przychodzi mi na myśl Kuba Rozpruwacz, który pisał listy do detektywa prowadzącego śledztwo, i tacy zabójcy, jak Ted Bundy i Zodiak, którzy pisali listy do gazet. Ten nasz morderca działa w sposób bardziej subtelny, a zarazem bardziej bezpośredni. Sam fakt, że zbliżył się aż tak do pani matki, jest ewidentnym dowodem jego pychy i arogancji. Podszycia się pod pani brata, stawia się na tym samym poziomie co pani. To wyzwanie do pojedynku.

Amaia przemyślała to. Tak, to była jawna prowokacja. Pomyślała o tym, jak doszła do punktu, w którym się znajdowała. Podczas poprzedniego śledztwa pojawił się naśladowca basajauna. Jasón Medina w chwili samobójczej śmierci miał przy sobie list zaadresowany do niej. Quiralte upierał się, żeby to ona, nikt inny, go przesłuchiwał. Był tak zawzięty, że odłożył na czas jej urlopu macierzyńskiego wyznaczenie, gdzie ukrył ciało Lucii Aguirre, i dopiero wtedy popełnił samobójstwo. Sposób, w jaki porucznik Padua wprowadził ją w sprawę... Wszystkim tym ktoś kierował z cienia, w tym jedynym celu, żeby przyciągnąć jej uwagę. A teraz jej matka, Rosario. Tarttalo zbliżył się do niej. To było największe zuchwalstwo, a jednak Amai coś w tym nie pasowało.

– Muszę to przemyśleć – odpowiedziała.

– Poinformuje pani komisarza?

– Nie, dopóki nie będziemy mieli wyników badań. Jeśli potwierdzą zbieżność DNA, poinformuję go i zaczniemy oficjalne dochodzenie. Do tego czasu ten epizod musi pozostać sprawą prywatną: chora umyślowo atakuje pielęgniarkę i pisze coś bez sensu na ścianie. Filmy, na których widać podejrzanego, są złej jakości i nie wiadomo, czy coś się z nich da wywnioskować, a to, że się dostał do kliniki, świadczy po prostu o tym, że zabezpieczenia są niewystarczające.

– A sędzia śledczy? Jemu pani powie?

– Sędzia śledczy... No cóż... – Nienawidziła samej myśli o tym, że będzie musiała o wszystkim opowiedzieć Markinie. Ale zdawała sobie sprawę, że to nieuniknione, bo to on podpisywał nakazy. – Poczekamy do jutra. Najpierw wykorzystamy ten nakaz, który wydał w sprawie próbek.

Jonan wyczuł w jej głosie, że jest śmiertelnie zmęczona.

– Gdzie jest ta klinika, szefowo? Chce pani, żebym po panią przyjechał?

– Dziękuję ci, Jonanie, ale to nie będzie konieczne. Przyjechałam samochodem i już skończyłam. Jutro zobaczymy się w komisariacie.

Rozejrzała się jeszcze raz i ruszyła do drzwi. Złowróżbny ciężar obecności matki znów zaczynał ją przygniatać. Wyszła za próg i aż się wzdrygnęła: zobaczyła zboląłego doktora Franza. Czekał na nią.

Jego twarz miała kolor popiołu. Dość dobrze harmonizowała z eleganckim garniturem, który miał na sobie. Krawat i koszulę miał pomięte i zrolowane w okolicach szyi. Musiał się z rozpaczą targać za kołnierz, a jednak jego głos znów brzmiał spokojnie. Odzyskał też rozważny i krytyczny ton kogoś, kto mówi rozsądnie:

– Pani też coś w tym wszystkim nie pasuje, prawda?

Amalia patrzyła na niego i czekała na ciąg dalszy. Całe jego ciało mówiło jej, że ma jej do powiedzenia coś ważnego.

– Obracam to w głowie od tamtej chwili, a raczej od chwili, kiedy się dowiedziałem, w jakich warunkach do tego doszło. Uwagę niewątpliwie zwraca atak na pielęgniarkę i to, że pani matka miała broń, i że ktoś mógł się podszywać pod krewnego,

żeby jej tę broń dostarczyć. Ale jest w tym wszystkim coś ważniejszego, istotniejszego, coś, co mnie głęboko wytrąca z równowagi i dziwi: dlaczego całymi tygodniami nie przyjmowała lekarstw?

Amaia stała. Nie odważyła się ruszyć. Wciąż w białym kombinezonie, cuchnącym strachem. Niczego nie pragnęła tak, jak natychmiast go z siebie zerwać.

– U pani matki przed laty zdiagnozowano schizofrenię. Jest faktem, że epizody przemocy i obsesja, jaką przejawiała w stosunku do pani w chwilach najgorszego zaostrzenia choroby, jasno wskazywały na tę diagnozę. Zgodzili się z nią wszyscy lekarze, którzy mieli z nią do czynienia tu, w klinice, w szpitalu, gdzie miał miejsce pierwszy epizod agresji w stosunku do pielęgniarki, i – przed laty – jej lekarz domowy. Wszyscy, wszyscy zgadzaliśmy się co do rozpoznania. Schizofrenia połączona z chorobą Alzheimera albo starczą demencją. U pacjentów tak skomplikowanych i tak niestabilnych trudno wyznaczyć granicę, trudno rozpoznać, gdzie kończy się jedna i zaczyna druga choroba... A teraz to, co się stało dziś w nocy... Nie byłoby to istotne z punktu widzenia medycyny, gdyż tacy chorzy są bardzo groźni, kiedy nie biorą lekarstw. To, co cały czas chodzi mi po głowie, to pytanie, jak to możliwe, żeby się zachowywała tak spokojnie przez cały ten czas, kiedy ich nie brała. Agresywny schizofrenik nie może udawać, że jest normalny, nawet jeśli się stara jak najusilniej. Jak to możliwe, że udało jej się udawać, że jest zrównoważona, chociaż to mogą zapewnić tylko lekarstwa?

Amaia badawczo wpatrywała się w jego twarz. Nieudawane zakłopotanie przeplatało się na niej z podejrzliwością.

– Widziałem tę torbę pigulek, którą stąd zabrano. To były leki z około czterech miesięcy. Niektórych nie było: na rozluźnienie mięśni, na uspokojenie, na sen i na inne choroby, na które jest leczona. To, co było w torbie, to leki na chorobę umysłową.

– Może jest tak, jak powiedział inspektor Ayegui. To, że ich nie brała, wywołało atak agresji – powiedziała Amaia.

Spojrzał na nią i zaśmiał się gorzko.

– Nie ma w tym sensu – odparł i jego twarz wykrzywił grymas.

– Oficjalnie pani matka jest całkiem szalona. Jest niebezpieczną wariatką, którą dzięki środkom chemicznym mamy pod kontrolą. Bez leczenia wpada w szal porównywalny jedynie z szatańską furią i to właśnie zobaczyliśmy, kiedy wpadliśmy do pokoju, żeby ratować pielęgniarza. Rozszalała furiatkę, zlizującą z rąk krew i patrzącą na wykrwawiającego się człowieka.

Zanim przyszli, tymi zakrwawionymi rękami napisała to na ścianie i ukryła napis za łóżkiem, pomyślała Amaia.

– Nie rozumiem, do czego pan zmierza. Z jednej strony przyznaje pan, że nie brała lekarstw. Całkowita odpowiedzialność za to spada na klinikę, bo bez tych lekarstw robi się groźna. Więc nie wiem, co pana tak dziwi.

– Dziwi mnie to, że udawało jej się kontrolować złość tak długo. Powinna była stracić kontrolę już po kilku dniach od odstawienia lekarstw. Tego właśnie nie mogę sobie wyobrazić. Jak to zrobiła... Chyba że udawała.

– Przecież właśnie powiedział mi pan, że ktoś taki jak ona nie jest w stanie udawać, że nie jest normalny, nawet gdyby się bardzo starał.

– No cóż... – doktor Franz westchnął głęboko. – Nie mówię o udawaniu rozwagi, wprost przeciwnie, mówię o udawaniu szaleństwa.

Amaia zdarła z siebie biały strój, ochraniacze na obuwiu i na koniec rękawiczki. Wrzuciła wszystko do pokoju. Wzięła torebkę, przeszła obok dyrektora i poszła do windy.

– Zabranie jej stąd było błędem – powiedział do jej pleców. – I bardzo zaszkodzi klinice.

Amaia weszła do windy. Kiedy się odwróciła, na twarzy dyrektora zobaczyła determinację.

– Nie spocznę, dopóki nie wyjaśnię, co się tutaj stało – usłyszała jeszcze i drzwi się zamknęły.

Kiedy dotarła do Elizondo, była piąta rano, a niebo było tak ciemne, jakby świt nie miał nadejść już nigdy. Nie widać było księżyca ani gwiazd, a gruba warstwa czarnych chmur pochłaniała każdy przebłysk światła. Dzięki zachmurzeniu nad rzeką nie jest aż tak zimno jak gdzie indziej, pomyślała. Koła samochodu zastukały o kamienną nawierzchnię mostku, a rumor jazu Txokoto przywitał ją odwieczną piosenką żywej wody. Opuściła trochę szybę, żeby poczuć wilgoć napływającą znad rzeki, która zresztą była niemal niewidoczna w ciemnościach i przypominała czarny jedwabny szal rzucony na ziemię.

Zaparkowała na wprost łukowatego portalu, pod którym były drzwi do domu ciotki, i po omacku włożyła klucz do zamka. W długiej drodze do Baztán, w panującej wokół pustce, nie udawało jej się zebrać myśli. Miała wrażenie, że minęło kilka dni, a nie kilka godzin, od kiedy wyjechała z domu. Napięcie dawało o sobie znać potwornym zmęczeniem, które nie przeradzało się w senność. Przyniosło jej pewną ulgę, kiedy przekroczyła próg i poczuła zapach drewna, wosku do mebli, kwiatów i ten słodki aromat maślanych ciasteczek, który wydzieliał Ibai. Musiała się przemóc, żeby nie pobiec na górę i go nie uściskać. Musiała najpierw coś zrobić. Poszła na tyły, do garażu, który służył Engrasi za drewnutnię, pralnię i spiżarnię. W małej kabinie prysznicowej zdjęła całe ubranie. Wrzuciła je do worka na śmieci, odkręciła wodę i natarła się kawałkiem szarego mydła, który znalazła przy zlewie. Kiedy się umyła, wytarła się starannie małym ręcznikiem – ręcznik też wrzuciła do worka – i, zupełnie naga, wróciła do przedsionka. Znalazła gruby wełniany szlafrok ciotki. W tym stroju, bosy, otworzyła drzwi i przebiegła dwadzieścia metrów dzielących ją od kontenera na śmieci. Zawiązała worek, wrzuciła go do pojemnika i zatrzasnęła klapę. Kiedy wróciła do domu, James

czekał na nią. Siedział na schodach.

– Co ty robisz? – spytał, rozbawiony jej strojem.

Sprawdziła, czy zamknęła drzwi, i odparła trochę zawstydzona:

– Musiałam coś wyrzucić do śmieci.

– Jesteś bosy, a na dworze jest około zera – powiedział, podnosząc się i otwierając ramiona. To był ich prywatny rytuał.

Podeszła bliżej i przyłgnęła do jego ciała. Objęła go, wdychała jego ciepły zapach i słyszała bicie jego serca. Potem spojrziała na niego, a on ją pocałował.

– Och, James, to było straszne! – poskarżyła się. Nie mogła się powstrzymać: powiedziała to jak mała dziewczynka. Mówiła tak tylko do niego.

– No już, kochanie, już po wszystkim. Jesteś w domu. Zadbam o ciebie.

Wtulila się w niego jeszcze bardziej.

– Nie spodziewałam się tego, James. Nie myślałam, że jeszcze kiedykolwiek będę musiała stawić temu czoło.

– Ros opowiedziała mi wszystko, kiedy wróciła. Tak mi przykro, Amaio. Wiem, jakie to trudne, zwłaszcza dla ciebie.

– James, to nie wszystko. Jest jeszcze mnóstwo innych rzeczy, o których nie mogę mówić, to jest takie...

Ujął jej twarz w dłonie i jeszcze raz pocałował.

– Idziemy do łóżka, Amaio. Jesteś wykończona i przemarznięta – powiedział, przesuwając dłonią po jej mokrych włosach.

Pozwoliła się poprowadzić jak lunaticzka i nago weszła pod jeszcze ciepłą kołdrę. Przyłgnęła do jego ciała. Zawsze wystarczał zapach jego ciała, mocny dotyk jego rąk, wieczny urok niegrzecznego chłopca, żeby wzbudzić w niej pożądanie. Kochali się w milczeniu, głęboko i intensywnie, z siłą, która chyba miała przeciwstawić się śmierci, pomścić jej zniewagi. Seks po pogrzebie, seks po śmierci przyjaciela, seks, który potwierdza, że – choć zostało się zranionym – nadal jest się żywym, dumny seks zadośćuczynienia, który z powodzeniem wymazuje niegodziwość świata.

Kiedy się obudziła, miała wrażenie, że spała ledwo kilka minut, ale zegarek pokazywał, że minęła już prawie godzina. Nawet

nie zdawała sobie sprawy, że zasnęła. Posłuchała rytmicznego oddechu Jamesa i uniosła się lekko. Przechyliła się nad nim, żeby zobaczyć synka. Spał na plecach, z półotwartymi usteczkami i rozłożonymi rączkami, z dłońmi rozwartymi swobodnie. Włożyła piżamę Jamesa, która leżała porzucona na podłodze, i otuliła go kołdrą, a potem bezgłośnie wyszła z sypialni.

Popiół w kominku zupełnie wystygł. Rozgarnęła go, robiąc miejsce dla nowej warstwy szczap. Układała je jedną na drugiej, jak podczas dziecinnej zabawy w bierki, i rozmyślała. Zajął się niemal natychmiast od drobnego chrustu, który włożyła w środek stosu, i musiała się odsunąć, bo żar palił ją w twarz. Usiadła w jednym z dwóch uszaków stojących przodem do kominka. Wymacała w kieszeni piżamy komórkę i zaczęła obliczać, która jest godzina w Nowym Orleanie. Znalazła na liście kontaktów numer.

Aloisius Dupree. „On naprawdę może cię skrzywdzić”. Zirytowana przypomniawszy sobie słowa ciotki. Dupree był jej przyjacielem, był najlepszym agentem, jakiego znała: intuicja, inteligencja, rozważa... Bóg jeden wie, że potrzebuje pomocy. To, z czym musiała się zmierzyć, nie było normalne. Także ona nie była kimś, kogo można by nazwać zwykłą policjantką. Od roku szereg nadzwyczajnych wydarzeń wydawał się nie mieć końca. Zdoła się z tym uporać, była tego pewna, ale potrzebuje pomocy, bo drogi, które przypadło jej przemierzać, są zbyt ciemne i zagmatwane.

„Bardzo cię proszę, nie dzwoń do niego więcej”.

– Niech to diabli, ciotko – wycedziła, chowając telefon do kieszeni.

Jakby przyciągana przez muzykę, którą słyszała tylko ona, wstała i podeszła do kredensu. Nie spuszczała z oka pakunku w czarnym jedwabiu, spoczywającego za przeszklonymi drzwiczkami. Potem weszła na piętro i cicho zapukała do drzwi sypialni ciotki.

– Za minutkę jestem na dole – rozległ się w ciemnościach głos Engrasi.

Ale zanim ciotka zdążyła zejść do salonu, Amaia już wzięła

w ręcę pakunek i zaczęła rozwiązywać węzélki. Wyjęła talie i poczuła, że jest ciepła, jakby nagrzana ciepłem ludzkiego ciała. Na chwilę zwątpiła. Zawsze tak było, kiedy ktoś miał jej postawić tarota i kiedy bawiła się kartami, niemal nie patrząc na nie, za to w myślach przywołując poszlaki, linie śledztwa, ledwie rysujące się hipotezy.

– Co powinnam wiedzieć? – spytała, podając karty ciotce, która w milczeniu usiadła naprzeciwko.

– Potasuj – rozkazała Engrasi.

Emocje przywołały dawne wspomnienia. Delikatne przesuwanie się kart między jej dziecięcymi palcami, charakterystyczny zapach, jaki ulatniał się z nich podczas tasowania, intuicyjne wybieranie właściwej karty, rytuał, który wpoila jej ciotka i którego z całą powagą przestrzegała, i to, że zanim jeszcze odwróciła kartę, wiedziała, co jest na odwrocie. Tajemnica, której rozwiązanie nadchodziło w jednej chwili, kiedy relacje między kartami wytyczały w jej umyśle drogę, którą będzie musiała pójść. Tak jak wtedy, kiedy była dzieckiem, wybrała najprostszy sposób i zebrała karty z wierzchu stosu. Engrasi ułożyła je na stole w kształt krzyża, a ona po raz kolejny uległa tyranii wspomnień: gdy tylko zaczęła obracać arkana, jeden po drugim, rozpoznała znajomy układ, tak jakby między tamtym dniem, kiedy wróżyła jej Ros, i tym wcale nie upłynął rok. Poczowała się okropnie.

Prawdopodobieństwo, żeby układ kart powtórzył się z taką dokładnością, było bardzo małe, ale naprawdę przerażające było to, że niosły ten sam ponury przekaz. Zaskoczona Engrasi odwracała kolejną kartę, a do uszu Amai docierał drżący głos Ros, jak mroczne echo przeszłości.

– Otworzyłaś inne drzwi. Zadaj pytanie – powiedziała Ros.

– Co powinnam wiedzieć?

– Wybierz trzy.

Wręczyła jej trzy karty.

Rok temu Ros położyła je w tych samych miejscach, gdzie teraz kładła je ciotka, i kolorowe figury marsylskiego tarota zatańczyły jej przed oczami jak skopiowane z ubiegłego roku.

– Powinnaś wiedzieć, że jest jeszcze jedna rzecz, nieskończenie

bardziej niebezpieczna. To twój wróg. Czyha na ciebie i twoją rodzinę. Już się pojawił na scenie i będzie nadal przyciągał twoją uwagę, aż dasz mu się wciągnąć do gry.

– Czego chce ode mnie i od mojej rodziny?

Odwróciła kartę Śmierci i ze stołu popatrzyły na nią, tak jak tamtego dnia przed rokiem, puste oczodoły czaszki.

– Chce twoich kości – z przeszłości przypląnął głos Rosaury.

– Chce twoich kości – powiedziała Engrasi.

Amaia spojrzała na nią ze wściekłością. Trzęsąc się ze złości, zebrała karty i odrzuciła je daleko od siebie. Karty przeleciały, jakby zlepione w całość, ponad oparciem fotela i z głuchym uderzeniem rozbiły się o półkę nad kominkiem, a potem bezszelestnie opadły na podłogę, tuż obok ognia.

Przez minutę siedziała spokojnie, starając się przetrwać to, co się stało. Z miejsca, gdzie się znajdowała, mogła zobaczyć, że niektóre karty upadły figurami do góry, ukazując różnobarwne arkana. Jak magnes przyciągały jej wzrok, a w jej wnętrzu rosły wstręt i złość. Robiła sobie gorzkie wyrzuty, że znowu okazała się na tyle niezręczna, żeby wpaść w tę starą pułapkę, że po raz kolejny dała się uwieść chęci wyprzedzenia swojego przeznaczenia o jeden krok.

Nauki Engrasi rozbrzmiewały jej w głowie, te nauki, które, powtarzane wielokrotnie, zamieniły się w coś w rodzaju litanii samorzutnie odtwarzającej się w jej umyśle teraz i zawsze:

„Karty to drzwi, a drzwi nie otwiera się od niechcenia ani nie można ich zostawić otwartych. Drzwi, Amaio, nie przynoszą nikomu szkody, ale to, co może przez nie wejść, już tak. Pamiętaj, że musisz zamknąć drzwi, kiedy kończysz wróżyć, że zostanie ci wyjawione tylko to, co powinnaś wiedzieć, i że to, co pozostanie w ciemnościach, należy do świata ciemności”.

Engrasi nie poruszyła się, patrzyła tylko na nią, i kiedy Amaia spojrzała jej w oczy, zobaczyła w nich strach.

– Przepraszam, ciociu. Zaraz je pozbieram – powiedziała, umykając przed przelęknionym wzrokiem ciotki.

Podeszła do kominka, schyliła się i zaczęła zbierać karty, znów składając je w talię. Wzięła jedwabną szmatkę i usiadła w fotelu, żeby się upewnić, że są wszystkie: pięćdziesiąt sześć

arkanów mniejszych i dwadzieścia dwa większe. Ale naliczyła ich tylko dwadzieścia jeden. Pochyliła się i zaczęła szukać brakującej karty. Zauważyła, że wbiła się rogiem w wewnętrzne obramowanie kominka. Na szczęście ogień już dogasał, a karta była wyżej od płomieni. Nie mogła spłonąć. Amaia zdjęła ze ściany szcypce do drewna, złapała kartę za róg, wyciągnęła ją z kominka i upuściła figurą do dołu na podłogę. Odwiesiła szcypce i wzięła kartę do ręki, żeby ją dołączyć do talii. Ból, który przebiegł jej przez ramię, był jak wyładowanie elektryczne. Przeszył jej klatkę piersiową z taką siłą, że straciła równowagę i opadła na podłogę. Siedziała, oparta o fotel. To zawał, pomyślała. Ból sprawił, że podkurczyła rękę, jakby się w niej zerwały wszystkie ścięgna naraz, a to, co się działo z jej sercem, sprawiło, że przeleciała jej przez głowę myśl, i mimo paniki, a może dzięki niej, znalazła jasne odbicie w słowie: umieram.

Pewien lekarz powiedział jej kiedyś: „Wiesz, że to zawał, bo myślisz, że umierasz”.

Skoncentrowana na tym, żeby nie krzyknąć, nagle zdała sobie sprawę, że ciotka płacze. Pochyliła się nad nią i mówiła coś, ale ona nie słyszała. Potem poczuła, że ból nadal wypływa z jej dłoni, ściśle rzecz biorąc, z opuszków dwóch palców, wskazującego i kciuka. Stwierdziła ze zdziwieniem, że nadal trzyma w dłoni kartę, mimo że palce miała skurczone w obronnym geście. Nie dopuszczając do głosu impulsu, który jej kazał wyrwać kartę spomiędzy palców, pociągnęła ją delikatnie drugą ręką. Oderwała kawałek skóry. Na gładkiej, śliskiej powłoce kartonika zostały jej linie papilarne. Ból natychmiast ustąpił. Popatrzyła z lękiem na kartę. Leżała arkanem do góry między jej nogami. Nie odważyła się jej dotknąć. Wydawało się, że to niemożliwe, żeby kawałek kartonu mógł się rozgrzać do tego stopnia i kogoś poparzyć.

Gdy po jakimś czasie wyciągnęła rękę spod strumienia zimnej wody, wyglądało na to, że ze skórą wszystko jest w porządku, i zostało tylko lekkie mrowienie w czubkach palców, podobne do tego, jakie odczuwa się po raptownym ogrzaniu zmarzniętych dłoni.

Engrasi podała jej ręcznik i pomogła starannie wysuszyć ręce. Badawczym spojrzeniem obrzuciła jej palce.

– Jak myślisz, Amaio, co to było?

– Nie wiem.

– Już drugi raz coś takiego się zdarza. Ten pierwszy był wtedy, kiedy w Juanitaenea dotknęłaś kołyski na strychu.

Amaia wróciła pamięcią do tego epizodu, do tego, jak przez wszystkie ścięła jej ręki przebiegł prąd, jakby została porażona.

Twarz rozjaśnił jej uśmiech.

– Już wiem! – wykrzyknęła z ulgą. – Bolało mnie ramię i fizjoterapeuta powiedział, że to z pewnością lekkie zapalenie ścięgna, od noszenia Ibaia. A w ubiegłym tygodniu musiałam zaliczać strzelanie i chodziłam co dzień na strzelnicę. To musi być to, ciciu. Ostatnim razem, kiedy tam poszłam, instruktor powiedział, że coś jest bardzo nie w porządku z moim ramieniem. Teraz czuję tylko lekkie mrowienie, ale to oczywiste, że wysiłek związany z treningami musiał pogłębić kontuzję.

W oczach Engrasi nadal widziała wątpliwości.

– Skoro tak mówisz...

Rano po urazie nie było ani śladu, ale była zbyt wściekła, żeby prowadzić samochód. Wybrała szybką przechadzkę do komisariatu, w płaszczu z podniesionym kołnierzem i czapce nasuniętej na czoło. Tego dnia wiatr dął z południa, więc można się było spodziewać, że przegoni brzemienne wodą chmury daleko od doliny i pogoda się poprawi, ale póki co podmuchy miały Amaią jak szmacianą laleczką, zmuszając ją do pochylania się podczas marszu. Nienawidziła tutejszego wiatru. Wywiewał z głów przechodniów wszelkie myśli i skazywał ich na koncentrowanie się tylko na tym, żeby się utrzymać w pionie. Ulica w takie wietrzne dni zawsze przywodziła jej na myśl tę scenę z Dantego, w której pojawiają się potępieńcy zmuszeni do wiecznej wędrówki pod wiatr. Silny podmuch podwiał rąbek jej płaszcza, pogarszając i tak paskudny nastrój. Bezcelność jednookiego potwora, któremu udało się dotrzeć do jej matki, uznała za gigantyczną osobistą zniewagę. Myślała o tym w porannym świetle, kiedy już wyszła z pierwszego szoku, kiedy oswoiła się z myślą, że znów musi się zmierzyć z tym, że ma matkę. Wściekła się tak bardzo, że sama była przerażona. To bardzo niedobrze, żeby policjant aż tak głęboko angażował się emocjonalnie, bo istnieje ryzyko – jeśli nie uda mu się zapanować nad złością wywołaną tym, że ktoś go próbuje sprowokować – że straci dystans i stanie się całkowicie bezużyteczny. Wiedziała o tym doskonale, ale to rozjuszało ją jeszcze bardziej. Przyspieszyła, licząc na to, że wysiłek fizyczny trochę ją uspokoi.

Po tym, co się stało poprzedniego dnia, i po nieprzespanej nocy miała pod oczami ciemne kręgi, i choć do komisariatu dotarła dopiero o dziewiątej, ten dodatkowy czas spędzony w domu nie przydał jej się na nic. Ibai obudził się, popłakując, i bezskutecznie próbowała go karmić piersią. W końcu James przygotował mieszankę i podał mu butelkę. Jej gorzkie

poczucie bezużyteczności i wściekłość mogły synka jedynie zestresować. Wiedziała o tym, do diabła, dobrze wszystko wiedziała, ale nic nie mogła z tym zrobić. Była gównianą matką, niezdolną do zajęcia się własnym dzieckiem, i równie gównianą policjantką, z którą pieprzone potwory bawiły się w chowanego.

Przechodząc obok gabinetu inspektora Iriartego, rozpoznała głos Montesa. Natychmiast przypomniała sobie o rozmowie, którą odbyli przed jej domem. Powiedziała „dzień dobry”, nie zatrzymując się i nie zaglądając do środka. Z gabinetu odpowiedział jej chór głosów. Ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzyła tego ranka, było przyście Montesa, żeby się z nią spotkać, mimo że sama mu to doradziła.

Weszła do sali odpraw, w której zrobiła sobie gabinet, i zamknęła za sobą drzwi. Nie zdążyła nawet zdjąć płaszcza, kiedy wszedł podinspektor Etxaide.

– Dzień dobry, szefowo.

Zauważyła, że przygląda jej się uważnie, szczególnie ciemnym kręgom pod oczami, i że rozważa, czy ulec naturalnemu impulsowi i wygłosić jakąś osobistą uwagę, czy od razu rzucić się w wir pracy. Podinspektor był wspaniałym śledczym. Amaia wiedziała, że w opinii niektórych brakowało mu twardości i że w jego przypadku empatia przeważała nad policyjnym profesjonalizmem, ale, do diabła, i tak wołała go od zimnego Zabalzy albo aroganckiego Montesa. Uśmiechnęła się smutno, jakby to miało tłumaczyć, dlaczego tak wygląda, a on wybrał tę drugą opcję:

– Zdaje się, że sędzia śledczy Markina wcześniej dziś wstał. Przed godziną zadzwonił porucznik Padua, żeby nam powiedzieć, że dostali nakaz i że będziemy mieli próbki już dzisiaj przed południem.

– Świetnie – powiedziała, notując to w pamięci.

– Zadzwonili też z Estelli. Nic się nie da zrobić z filmem z parkingu przy klinice Santa María de las Nieves. Powiększyli obraz, jak się dało, ale to tylko zmieniło ogniskową i wszystko zepsuło. Przysłali nam to – powiedział, kładąc na biurku serię szaroczarnych, zamazanych zdjęć.

Popatrzyła na nie z odrazą. Sprawdziła, która godzina, i doszła do wniosku, że w Wirginii jest dopiero czwarta rano. Lepiej trochę poczekać.

Jonan wydawał się wahać, ale odważył się zabrać głos:

– Co do tego, co się stało wczoraj w klinice...

– Jonanie, to tylko fakty i tak musimy do tego podchodzić. W tej chwili nie ma to znaczenia dla śledztwa. Musimy poczekać na wyniki badań, żeby zrobić porządek i zacząć opracowywać profil sprawy, więc na razie tak to zostawmy.

Nie wydawał się całkowicie zadowolony z tej propozycji, ale skinął głową.

– Chciałabym, żebyś poszedł do domu i wziął sobie wolne na resztę dnia. – Wydawało jej się, że Jonan zamierza zaprotestować. – To, co musisz zrobić, zrobisz z domu. Nadal szukaj podobieństw do innych zbrodni związanych z przemocą wobec kobiet i postaraj się trochę odpocząć. Wieczorem wyjeżdżamy do Hueski. Specjaliści od niedźwiedzi pomogą nam trochę przyspieszyć bieg spraw. Odbiorę cię o siódmej z Pampeluny, razem z próbkami. Z pewnością to wszystko zabierze nam całą noc.

– Cieszę się, że znowu ich zobaczę – powiedział Jonan z zadowoleniem, ruszając do drzwi. Położył rękę na klamce i odwrócił się, jakby nagle sobie o czymś przypomniał. – Szefowo... Kiedy przyszedłem rano do biura i sprawdzałem pocztę, była w niej wiadomość...

– Tak?

– Taki dziwny mail. Był w mojej skrzynce, ale sądzę, że to do pani.

– No i? Od kogo?

– No właśnie, to ciekawe. Przyszedł z adresu... Lepiej po prostu go pani pokażę – powiedział i wrócił do biurka. Po chwili otworzył skrzynkę. – Złoty Grzebień – przeczytał. – Niby wiadomość nie jest anonimowa, ale adres jest dziwny i symbol, którym to jest podpisane, też. Sądzę, że to coś w rodzaju syreny.

– Raczej lamia – odparła Amaia, patrząc na małe logo na dole strony.

Jonan spojrział na nią zdumiony.

– Szefowo? Powiedziała pani: lamia? Sądziłem, że to ja jestem specjalistą od mitologii.

– No cóż, to oczywiste, że to lamia. Jeśli się dobrze przyjrzyysz, zobaczysz, że to, czym kończą się jej nogi, to nie syreni ogon, tylko kacze łapy.

– To nie takie oczywiste. Większość ludzi wzięłaby to za syrenę. A do tego jeszcze rok temu to ja zauważałem takie rzeczy, a pani tylko ze mnie kpiała.

Amaia uśmiechnęła się i w milczeniu przeczytała wiadomość.

Jonan mówił dalej:

– Nie wiem... Może to jakaś pomyłka albo żart. Nie widzę w tym sensu.

Amaia wydrukowała wiadomość i położyła kartkę na biurku.

– Jeśli znów coś takiego przyjdzie, powiadom mnie.

Poczekala, aż wyjdzie, i przeczytała po raz drugi:

*Kamień, który masz przynieść ze swojego domu,
jest ofiarą, której domaga się władczyni.
Złóż ofiarę burzy, żebyś mogła zostać obdarzona łaską
i wypełnić przeznaczenie, które naznaczyło cię w kołysce.*

Spojrziała z niechęcią na telefon i w myślach wypróbowała przemowę. W końcu odnalazła wystarczająco neutralny i profesjonalny ton, nieodzowny, żeby mogła powiedzieć to wszystko, co miała do powiedzenia.

– Dzień dobry, Inmaculado, tu inspektor Salazar. Chciałabym rozmawiać z sędzią śledczym.

Nastąpiła przerwa, zaledwie sekundowa. Amaia prawie usłyszała, jak sekretarka nabiera powietrza, a potem zabrzmiał jej fałszywie słodki głos:

– Sędzia jest dzisiaj bardzo zajęty. Proszę zostawić wiadomość, przekażę mu ją niezwłocznie.

– Och, oczywiście – odparła Amaia, naśladowując ton jej głosu.

– A teraz szybko dawaj sędziemu do telefonu, i to już, bo jak nie, to zjawię się osobiście i odstrzelę ci tyłek!

Uśmiechnęła się łobuzersko, wyobrażając sobie wyraz jej

twarzy. Usłyszała, jak się wzdrygnęła. Zamiast odpowiedzi usłyszała muzykę, a potem odezwał się Markina:

– Pani inspektor?

– Dzień dobry, panie sędzio.

– Dzień dobry. Mam nadzieję, że ta nagła sprawa nie była aż tak nagła.

– Co?

– To, co spowodowało, że opuściła mnie pani tak raptownie wczoraj wieczorem.

– Dzwonię do pana właśnie po to, żeby to omówić.

Przez piętnaście minut zdawała mu relację, tak obiektywnie, jak tylko była w stanie. Słuchał uważnie i nie przerywał. Kiedy skończyła, pomyślała, że może nie ma go już po drugiej stronie.

– To wszystko zmienia – stwierdził Markina.

– Nie zgadzam się – zaprotestowała. – To wnosi coś nowego, oczywiście, ale jeśli chodzi o dochodzenie, nadal jesteśmy w tym samym miejscu. Dopóki nie będziemy mieli pewności, że kości znalezione w jaskini należą do ofiar tych zbrodni, cała reszta poszlak, włączywszy podpisy, nie przestanie być przypadkową zbieżnością.

– Pani inspektor, już sam fakt, że zabójca nawiązuje z panią kontakt, jest niepokojący.

– Zapomina pan, że jestem inspektorem wydziału zabójstw i na co dzień mam do czynienia z zabójcami. To dość rzadkie, żeby przestępca nawiązywał kontakt z policjantem śledczym prowadzącym dochodzenie w jego sprawie, ale takie rzeczy się zdarzają i są udokumentowane – powiedziała pospiesznie. – To tylko jeden z aspektów zachowania takich osobników. Są zarozumiali i rozbestwieni.

– Moim zdaniem to, że nawiązuje kontakt z pani rodziną, to coś więcej niż rozbestwienie. To zastraszanie.

Miał rację, ale nie chciała tego przyznać.

– Nigdy się nie spotkałem z takim przypadkiem – stwierdził.

– Może nie robią tego w tak bezpośredni sposób, ale sprawcom zbrodni zdarza się celowo zostawiać tropy albo zaszyfrowane wiadomości. Zwłaszcza seryjnym zabójcom.

– Sądzi pani, że mamy do czynienia z serią zabójstw?

– Jestem tego pewna.

Przez chwilę milczał, a potem zapytał:

– Jak się pani czuje?

– Co pan ma na myśli?

– Jak się pani czuje w sensie osobistym.

– Jeśli pyta pan, czy jestem w stanie patrzeć na sprawę z dystansem, odpowiedź brzmi: tak.

– Moje pytanie, pani inspektor, brzmi: jaki wpływ ma to na pani życie?

– Moje życie osobiste to moja prywatna sprawa, panie sędzio. Dopóki nie będzie dowodów, że to, jak to na mnie wpływa, odbija się na dochodzeniu, nie ma pan prawa mnie wypytywać.

Z miejsca pożałowała, że odezwała się do niego takim tonem. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła, była utrata jego zaufania i poparcia. Gdy po chwili się odezwał, jego głosu brzmiał zimniej, ale nadal, jak zawsze, był opanowany.

– Kiedy i gdzie ma pani zamiar przeprowadzić badania?

– W niezależnym laboratorium w prowincji Huesca. Tamtejsza naukowiec, specjalistka od biologii molekularnej, współpracowała z nami przy innej sprawie i jej wnioski dużo wniosły do śledztwa. Zgodziła się wykonać badania dziś w nocy, więc wraz z moim asystentem udajemy się do Aínsy, żeby zawieźć próbki. Sądzę, że już jutro rano będziemy mieli wyniki.

– W porządku, jadę z wami – powiedział.

– Och, to nie będzie konieczne, panie sędzio. Nie będziemy spali całą noc i...

– Pani inspektor. Jeśli wyniki badań będą takie, jak się spodziewamy, już jutro będziemy mogli wszcząć śledztwo w sprawie, która, jak pani z pewnością rozumie, będzie sprawą niezwyklej wagi i odbije się szerokim echem.

Nie odpowiedziała. Ugryzła się w język i poprzestała na wybąkaniu:

– Do zobaczenia wieczorem.

Nie była zadowolona, nie miała ochoty wlec za sobą sędziego, i to z wielu powodów.

Wyrzucała sobie, że nie przeprowadziła tej rozmowy zgodnie

z planem. Markina ją onieśmiał. Kiedy się do tego przed samą sobą przyznała, poczuła się lepiej. To był krok na drodze do wyjścia z tej sytuacji, choć w tamtej chwili jedyne, co przychodziło jej do głowy, to to, że nigdy więcej nie powinna się z nim widzieć.

– Nie histeryzuj – skarciła się głośno.

A jednak wewnętrzny głos powtarzał jej, że najroztropniej byłoby trzymać się na dystans. Wróciła do wiadomości podpisanej symbolem lamii i przez najbliższą godzinę rysowała na tablicy najróżniejsze diagramy i wpisywała w nie nazwiska.

Oddaliła się o kilka kroków i popatrzyła krytycznie na tablicę. Ciche stukanie do drzwi wyrwało ją z zamyślenia.

– Nie przeszkadzam, szefowo?

– Nie. Proszę wejść, Iriarte, i usiąść.

Usiadł przodem do tablicy. Amaia weszła między niego i tablicę i delikatnym ruchem trąciła jej dolny brzeg, odwracając ją i ukrywając pokrywające ją napisy.

– Coś nowego w Arizkun? – spytała, wracając do biurka i siadając naprzeciwko niego. Nie umknęło jej uwadze, że był zdziwiony, gdy ukryła przed nim diagramy.

– Nie. Zupełny spokój. Nic nowego się nie wydarzyło, ale z drugiej strony nie mamy żadnych postępów w śledztwie.

– No cóż, tego należało się spodziewać. Wiemy, że arcybiskupstwo życzyłoby sobie czyjejs głowy wbitej na pal, ale, jak mówiłam, w większości przypadków profanacji sprawca pozostaje niewykryty. Sam fakt, że podejmie się jakieś środki, bardzo często działa zapobiegawczo.

– Tak się wydaje – odpowiedział z roztargnieniem.

– Jest tu jeszcze inspektor Montes?

– Nie, już poszedł.

Zdziwiło ją to, choć wołała z nim nie rozmawiać. Oczekiwała, że w końcu się podda i wreszcie okaże jej szacunek.

– O tym właśnie chciałem z panią pomówić. O nim.

– O Montesie?

– Jak pani wie, w piątek odbędzie się w Pampelunie posiedzenie komisji, która orzeknie, czy może wrócić do służby, czy pozostanie zawieszony. Biorąc pod uwagę, że teraz pani jest

szefem, pani opinia będzie miała wielką wagę.

Amaia milczała przez chwilę, a potem rzuciła niecierpliwie:

– Tak, inspektorze Iriarte, wiem o tym. Powie mi pan wreszcie, o co panu chodzi?

Napełnił płuca powietrzem i zrobił długi, powolny wydech, a potem powiedział:

– Chodzi mi o to, że złożę zeznania na korzyść Montesa.

– Wydaje mi się, że powinien pan postąpić tak, jak panu podpowiadają przekonania.

– Na Boga, szefowo! Nie sądzi pani, że już został wystarczająco ukarany?

– Kara? Nie mówimy tu o karze, panie inspektorze, ale o dyscyplinie. Czyżby pan zapomniał o tym, co zrobił? I co był gotów zrobić?

– Nie, nie zapomniałem. Tysiące razy myślałem o tym, co się stało tamtego dnia, i sądzę, że doprowadził do tego cały splot wydarzeń. Montes był po traumatycznym rozwodzie, sporo pił, był rozedrgany, a nieudany związek z... No, wie pani, zdał sobie sprawę, że został wykorzystany... W sumie było tego za wiele.

– Sądzę, że nie muszę panu przypominać, że my, policjanci, pracujemy w trudnych warunkach i nie możemy pozwolić, żeby nasze osobiste sprawy wpływały na naszą pracę. To oczywiste, że jesteśmy tylko ludźmi i że czasem nie możemy tego uniknąć, ale jest granica, której nie możemy przekroczyć, a on to zrobił.

– Tak – zgodził się Iriarte. – Zrobił to, ale minął już rok, okoliczności się zmieniły, zebrał się do kupy, był na terapii, nie pije.

– Cha, cha!

– No dobrze, mniej pije. Musi pani przyznać, że to dobry policjant i że ekipa bez niego jest jak bez ręki.

– Wiem o tym aż za dobrze. Jak pan myśli, dlaczego jeszcze nie znalazłam zastępcy? Ale sądzę, że jeszcze nie jest gotowy do powrotu, bo nie jestem pewna, czy jest godny zaufania. A to w wydziale zabójstw, gdzie ryzykujemy życie i moglibyśmy narazić na szwank śledztwo, jest sprawą podstawową.

– Zaufanie to droga dwukierunkowa – odpowiedział twardo.

– Co pan insynuuje?

– Że nie można wymagać zaufania, kiedy samemu się nie ufa
– powiedział i wskazał na tablicę, którą przed nim ukryła.

Amaia wstała.

– Po pierwsze, nic przed panem nie ukrywam. To, co jest na tablicy, to inna sprawa, nad którą pracuję prywatnie. W tej sprawie śledztwo jeszcze nie zostało wszczęte, a gdyby do tego doszło, powiadomiłabym ekipę i zleciła dochodzenie tym, którzy wydawaliby mi się najbardziej odpowiedni. Muszę zdecydować, czy to istotne dla śledztwa, które prowadzimy, czy przeciwnie, połączenie tych spraw może zaszkodzić obydwu dochodzeniom. Ale jeśli kwestionuje pan moje kompetencje, może pan złożyć skargę u komisarza.

Iriarte wpatrywał się w swoje dłonie.

– Nie mam nic do powiedzenia głównemu komisarzowi. Nie kwestionuję pani kompetencji. Po prostu boli mnie, że ma pani zaufanie tylko do niektórych osób.

– Mam zaufanie do osób godnych zaufania. Jak mogłabym zaufać komuś, kto rozpowiada, że zwałam całą pracę na innych i że całymi dniami spaceruję sobie po okolicy? Musi pan przyznać, że Montes nie wiedziałby o tym, co się tutaj dzieje, gdyby nikt mu o tym nie powiedział.

– Szefowo, wie pani aż za dobrze, że Montes ma swoje przekonania i swoje sposoby wyrażania ich. Nikt nie musi mu podszeptować. To prawda, że jest zły jak osa. W tych okolicznościach to nie dziwi. Ale mogę zapewnić, że ja, chociaż darzę go sympatią, nie zdradziłem mu ani słowa. Nie, nie powiedziałem mu ani słowa o tym, co tu się dzieje.

Spoglądała na niego ponuro.

– Co do Montesa, możliwe, że bardzo się zmienił, ale to nie wystarczy.

– A co do tego? – powiedział, wskazując na tablicę.

– Czego pan chce, inspektorze?

– Żeby mi pani zaufała i powiedziała, co ukrywa na tej tablicy.

Przez kilka sekund wpatrywała się w niego uważnie, a potem podeszła do tablicy i odwróciła ją. Przez najbliższą godzinę przekonywała inspektora, że ma do niego zaufanie.

Weszła do domu i z zadowoleniem usłyszała charakterystyczne

pobrzękiwanie talerzy i kieliszków, świadczące o tym, że ciotka nakrywa do stołu, a jej udało się zdążyć na czas.

– O wilku mowa, a wilk tu! – krzyknęła ciotka. – Ros, daj jeszcze jeden talerz!

– Właśnie chciałam z tobą pomówić – powiedziała Ros, wychodząc z kuchni. – Dzisiaj stało się coś bardzo dziwnego – patrzyła na nią znacząco. Ściągnęła na nią uwagę Jamesa i ciotki. – Rano, kiedy poszłam do wytwórni, była tam ekipa tynkarzy z Pampeluny. Naprawiali i malowali fasadę i drzwi magazynu.

– I co? – zapytała Amaia.

– A potem zabrali się do fasady mojego domu. Nalegałam, ale nie chcieli mi powiedzieć, kto ich wynajął. Mówili tylko, że to ktoś anonimowy i że zapłacił również anonimowo.

– No popatrz, to świetnie, nie?

– To wszystko, co masz do powiedzenia?

– Co by tu jeszcze... Że mam nadzieję, że dobrze wykonali swoją robotę?

Ros wpatrywała się w siostrę i z uśmiechem kręciła głową.

– To zabawne...

– Co takiego?

– Że przez całe lata myślałyśmy, że to Flora rządzi i, co jest najbardziej absurdalne, że ty jesteś tylko malutką siostrzyczką...

– Jestem najmłodsza, wy jesteście ode mnie starsze – odparła Amaia.

– Dziękuję – powiedziała Ros, całując ją w policzek.

– Nie wiem, za co, ale bardzo proszę, niech ci będzie.

Zjedli, rozmawiając z ożywieniem, choć ciotka była bardziej milcząca i zamyślona niż zwykle. Kiedy skończyli, Amaia zaczęła się bawić z Ibaiem, a ciotka usiadła obok niej.

– Więc jedziesz wieczorem do Hueski?

– Tak.

– Już teraz wiesz, co wyniknie z tej podróży – stwierdziła ciotka.

Amaia popatrzyła na nią bardzo poważnie.

– A jak twoje ramię?

– W porządku – odparła, jakby się broniła.

– Boję się, Amaio. Przez całe twoje życie bałam się o ciebie z powodów, które są oczywiste, i z takich, które nie są. Pamiętam jak dziś ten dzień, kiedy miałaś dziewięć lat, weszłaś tutaj i położyłaś sobie karty, jak gdybyś całe życie nie robiła nic innego. Wtedy nad twoją głową wisiało okropne niebezpieczeństwo. Do tego zostałaś znieważona i poniżona, i drzwi się otworzyły tak szeroko jak prawie nigdy. Zresztą tylko raz jeden jeszcze widziałam coś takiego, kiedy Víctor... No dobrze, więc... Jest w tobie coś, Amaio, co przyciąga najokrutniejsze siły zła. Twój instynkt, który pozwala ci wyczuwać zło, jest wprost porażający, a twoja praca... no cóż, wyobrażam sobie, że to było nieuniknione.

– Chcesz powiedzieć, że jestem przeklęta? – spytała. Bez powodzenia usiłowała się uśmiechnąć.

– Wprost przeciwnie, mój aniele... Wprost przeciwnie. Niekiedy osoby, które były bliskie śmierci, nabywają pewnych zdolności, ale... To, co ciebie wyróżnia, to coś innego. Jesteś kimś wyjątkowym, o tym wiem od zawsze, ale na czym to polega? Uważaj na siebie, Amaio. Wiele sił cię chroni, ale równie wiele próbuje ci zaszkodzić.

Amaia wstała i uściskała ciotkę. Czowała kruchość jej drobnych kości. Ucałowała ją w głowę, w delikatne siwe włosy.

– Nie bój się o mnie, ciociu. Będę uważać – stwierdziła z uśmiechem. – Mam przecież pistolet i jestem strzelcem wyborowym...

– Nie opowiadaj głupstw – skarciła ją ciotka, nie odwzajemniając uścisku i ocierając wierzchem dłoni łzy spływające jej po twarzy.

Na niebie, z którego chmury zwiął silny poranny wiatr, nareszcie pojawiło się zimowe słońce. Ibai spał, ukołyszany turkotaniem kółek wózka po wybrukowanych ulicach Elizondo, a Amaia i James korzystali z popołudniowego światła. Spacerowali i rozmawiali. James z ogromnym entuzjazmem opowiadał o projektach związanych z renowacją Juanitaenei. Gdy wracali już do domu, zatrzymał się nagle i spytał:

– Amaia, czy wszystko w porządku?

– Tak, oczywiście.

– Bo slyszalem, o czym rozmawialas z ciotka...

– Och, James, wiesz, jaka jest ciotka. Stara i wrażliwa, wszystkim się przejmuję. Ale ty nie powinienes. Nie moge pracowac, kiedy mysle o tym, ze sie o mnie martwicie.

Ruszył dalej, choć widać było, że nie jest do końca przekonany. Zatrzymał się znów.

– A między nami?

Przełknęła ślinę i nerwowo oblizała usta.

– O czym mówisz?

– Czy między nami jest dobrze.

– Tak.

– To w porządku – odpowiedział, już mniej spięty, i ruszył dalej.

– Przykro mi, że w nocy znowu nie będzie mnie w domu.

– Rozumiem to. Taką masz pracę.

– Jadę z Jonanem. – Pomyślała chwilę i dodała: – Sędzia Markina nam towarzyszy, żeby dostarczyć próbki i ocenić wyniki badań. To bardzo ważne. Jeśli będą takie, na jakie liczymy, będziemy mogli otworzyć jedno z najważniejszych dochodzeń w historii kraju.

James popatrzył na nią z pewnym zaskoczeniem i natychmiast zdała sobie sprawę dlaczego: mówiła za dużo. Nigdy mu nie wyjaśniała nic, co dotyczyło jej pracy. Wszystkie te sprawy były po prostu tym, o czym nie mogła mówić, i nagle się rozgadała i, co gorsza, wiedziała dlaczego. Poczula, że chce być szczerą, ale nie do końca, i dlatego wspomniała o Markinie, ale usiłowała odebrać tej sprawie znaczenie i zagadać męża. Dlatego powiedziała więcej, niż miała w zwyczaju. Popatrzyła na Jamesa. Szedł, popychając wózek. Poczula się podle. Westchnęła głęboko i on to usłyszał.

– Co się dzieje?

– Nic – skłamała. – Przypomniałam sobie, że mam zadzwonić w bardzo ważnej sprawie do Stanów. Idź przodem. Zadzwonię teraz i zostanie mi trochę czasu, żeby wykapać Ibaia, zanim pojedę do Hueski.

Nie zwlekając, wyciągnęła telefon, znalazła numer i usiadła na

murku nad rzeką. Usłyszała męski głos. Mówił po angielsku.

– Dzień dobry – powiedziała, mimo że w Elizondo właśnie zapadł zmrok. – Agent Johnson? Tu inspektor Amaia Salazar z Policji Statutowej Nawarry. Dostałam pański numer od inspektora Dupreego. Mam nadzieję, że będzie mi pan mógł pomóc.

Milczał chwilę, a potem odpowiedział:

– Tak, przypominam sobie panią. Była pani tu u nas przed dwoma laty, prawda? Mam nadzieję, że zobaczymy się jeszcze przy okazji następnego stażu. Dobrze usłyszałem? To Dupree dał pani mój numer?

– Tak. Powiedział, że jeśli będę potrzebowała pomocy, pan mi jej udzieli.

– Jeśli Dupree tak powiedział, jestem do usług. W czym mogę pomóc?

– Mam nagranie z twarzą podejrzanego, bardzo złej jakości. Zrobiliśmy wszystko, co się dało, ale uzyskaliśmy tylko szare mazaje. Wiem, że dysponujecie nowym systemem odzyskiwania zdjęć i rekonstruowania twarzy. To nasza ostatnia nadzieja.

– Proszę mi to przesłać, zrobię, co będę mógł – odpowiedział. Zapisała adres i rozłączyła się.

Była ósma wieczorem, gdy zaparkowała przed domem podinspektora Etxaide. Puściła mu sygnał i czekała, obserwując ulicę. Nadal panował spory ruch. Zupełnie co innego niż w Elizondo, gdzie o tej porze można spotkać jedynie kilku zapóźnionych przechodniów spieszących do domów. Tęskniła za Pampeluną, za jej światłami, ludźmi, za swoim domem na starówce. Natomiast James zawsze był zachwycony Baztán, a teraz, od kiedy posiadali Juanitaeneę, był jeszcze bardziej zadowolony, że mieszkają w dolinie. Wiedziała, że jej mąż uwielbia Elizondo, ale nie była pewna, czy ona sama – mimo że coraz swobodniej czuła się w rodzinnym miasteczku – kiedykolwiek poczuje się tam tak wolna jak w Pampelunie. Zastanawiała się, czy decyzja o kupieniu domu nie była zbyt pochopna.

Zobaczyła wychodzącego spod portyku Jonana i przesunęła się na siedzenie pasażera. Miała sporo spraw do przemyślenia, a Jonan lubił prowadzić. Rzucił swoją grubą puchówkę na tylne siedzenie i uruchomił silnik.

– Do Aínsy, tak?

– Tak, ale najpierw zatrzymamy się na stacji benzynowej przy wyjeździe z Pampeluny. Umówiłam się tam z sędzią śledczym Markiną. Nalegał, żeby nam towarzyszyć, by wszystko odbyło się zgodnie z przepisami.

Jonan nic nie powiedział, ale Amai nie umknęło, że się zdziwił. Starał się to zamaskować swoją zwykłą poprawnością. Nie odezwał się, nawet gdy podjechali na stację benzynową i wysiedli. Zobaczyli samochód mrugający światłami.

Markina wysiadł i zrobił kilka kroków. W dzinsach i grubym niebieskim swetrze wyglądał na niespełna trzydzieści lat. Amaia zauważyła, że Jonan obserwuje ją kątem oka.

– Dobry wieczór, pani inspektor Salazar – powiedział Markina.

Podając mu rękę, starała się dotknąć jego dłoni jedynie czubkami palców i lekko odwróciła wzrok.

– Panie sędzio, to mój asystent, podinspektor Etxaide.

Sędzia uścisnął Jonanowi rękę i zauważył:

– Możemy pojechać moim autem, jeśli chcecie.

Amaia widziała, że Jonan z uznaniem spogląda na jego bmw, ale pokręciła głową.

– Zawsze jeżdżę własnym samochodem, bo w każdej chwili mogę odebrać wezwanie – wyjaśniła. – Nie mogę się narażać na to, że będę liczyć na kogoś, kto będzie musiał mnie podwieźć.

– Rozumiem – powiedział sędzia. – Ale jeśli pan podinspektor pojedzie pani samochodem, pani będzie mogła mi towarzyszyć. Amaia, zbita z tropu, patrzyła to na Jonana, to na Markinę.

– Ale... Podinspektor i ja mamy zaległą robotę. W drodze nadrobimy zaległości. Tak, właśnie tak.

Sędzia popatrzył jej głęboko w oczy, dając do zrozumienia, że wie o jej kłamstwie.

– Wolałbym, żeby w drodze do Aínsy opowiedziała mi pani, co mamy nowego. Jeśli, jak pani twierdzi, rezultaty badań będą pozytywne, sprawa zostanie oficjalnie wszczęta, więc muszę znać szczegóły.

Amaia skinęła głową i stała tak ze spuszczoneymi oczami.

– Dobrze – skapitulowała z niechęcią. – Jonanie, pojedziemy za tobą.

Wsiadła do samochodu Markiny i zapinając pas, zastanawiała się, dlaczego czuje się aż tak niepewnie. Przebywanie z nim w tej ograniczonej przestrzeni odczuwała jako tak wielkie pogwałcenie swobody osobistej, że aż wydało jej się to dziwne. Próbowwała zamaskować skrępowanie, przeglądając esemesy w komórce, a nawet odczytując niektóre kilka razy. Chciała zademonstrować, że bliskość Markiny jest jej obojętna, że nie interesuje jej, jak jego dłonie trzymają kierownicę, jak delikatnie zmienia biegi, jakie spojrzenia jej rzuca, jakby ją widział po raz pierwszy. Uderzał kciukiem w kierownicę, w rytm muzyki z radia, i był zadowolony. Widziała to, kiedy patrzyła, jak opiera się o siedzenie i jak lekko się uśmiecha.

Prowadził w milczeniu godzinę. Z początku Amaia odczuwała ulgę, że nie musi z nim rozmawiać, ale w końcu przedłużające się milczenie wytworzyło między nimi taką intymność, że się wystraszyła.

Przemyślała, co powiedzieć, i odezwała się:

– Myślałam, że chciał pan rozmawiać o sprawie.

Patrzył na nią przez chwilę, a potem znów spojrzął na szosę.

– Kłamałem – przyznał. – Chciałem po prostu jechać z panią.

– Ale... – zaprotestowała, zbita z tropu.

– Nie musi pani nic mówić, jeśli pani nie chce. Proszę mi tylko pozwolić cieszyć się pani towarzystwem.

Resztę drogi przebyli w milczeniu. Prowadził z charakterystyczną dla siebie elegancką niedbałością i rzucał jej spojrzenia wystarczająco krótkotrwałe, żeby jej nie peszyć, ale i tak była poruszona. Próbowwała się skoncentrować na postępach śledztwa, ale była coraz bardziej rozdrażniona, a za oknem nie udawało jej się zobaczyć niczego, z wyjątkiem brzegu szosy i nocnych ciemności. Na ulicach Aínsy był spory ruch, z pewnością dlatego, że zbliżał się weekend. Kilka termometrów wiszących na ścianach wskazywało dwa stopnie poniżej zera, ale tuż za mostem zauważyli ludzi tłoczących się przed barami i sklepami. Widocznie przedłużyły godziny otwarcia na użytek turystów. Jonan jechał krętą, stromą drogą, pod górę, w stronę średniowiecznej starówki. Markina jechał za nim i ze zdziwieniem patrzył na zawieszane na zboczu domy. Wydawały się rzucać wyzwanie prawu ciężenia.

– Nigdy tu nie byłem. Muszę przyznać, że to zdumiewające miejsce.

– Ciekawe, co pan powie, kiedy się znajdziemy na górze – odpowiedziała, widząc wyraz jego twarzy.

Aínsa była jak tunel czasu, mimo parkujących gdzieś tam samochodów i jasnych światel dochodzących z restauracji. Na placu na starym mieście uczucie, że odbyło się podróż w przeszłość, po prostu zapierało dech. Markina nie był wyjątkiem. Jadąc za Jonanem na parking, cały czas uśmiechał się z podziwem.

– To nadzwyczajne – powtarzał.

Amaia patrzyła na niego z rozbawieniem i wspominała własną pierwszą wizytę w tym miejsku.

Gdy wysiedli z samochodów, przekonali się, że mróz panujący na wysokości pięciuset osiemdziesięciu metrów w połączeniu z wilgocią unoszącą się znad rzek Cinca i Ara, które łączą się ze sobą u stóp miasta, sprawiły, że bruk na placu pokrył się warstwą szronu. Migotał jak masa perłowa w romantycznym świetle ulicznych latarni.

Jonan podszedł do nich, zabijając dla rozgrzewki ręce.

– A nam się wydaje, że w Elizondo jest zimno... – Roześmiał się.

Amaia zapięła płaszcz i wyciągnęła z kieszeni wełnianą czapkę.

Jedynie Markina nie wydawał się przejmować zimnem. Stał obok samochodu bez kurtki i rozglądał się jak urzeczony.

– To niesamowite miejsce...

Jonan wyjął z bagażnika walizkę z próbkami i wraz z Amaią ruszył w kierunku murów fortecy, do Ośrodka Badań Przyrody Pirenejów i laboratorium, w którym badano stopochodne. Kierowało nim znajome małżeństwo. Markina przyspieszył i dogonił ich przy wejściu. Amaia widziała, że jest zaskoczony, gdy przechodzili w towarzystwie woźnego przez ogromne sale z wolierami, w których odbywały rekonwalescencję poranione ptaki, a potem doszli do skromnych drzwi laboratorium. Doktor Gonzáles wyszedł im naprzeciw, z radością uściskał Jonana i podał rękę Amai. Jego żona, trzymając się nieco z tyłu, powitała ich uprzejmie:

– Dobry wieczór, pani inspektor, miło mi panią widzieć.

Amaię rozbawił ten jej wieczny dystans.

– Pani doktor, panie doktorze, chciałabym wam przedstawić sędziego śledczego Javiera Markinę.

Doktor Gonzáles wyciągnął do sędziego rękę, a doktor Tkaczenko uniosła brew i popatrzyła badawczo na Amaię.

– Mam nadzieję, że nie będę państwu przeszkadzać – powiedział Markina, witając się z gospodarzami. – Wyniki tych badań mogą zdecydować o wdrożeniu niezwykle ważnego śledztwa i musimy zrobić wszystko, żeby badania przebiegały pod kontrolą.

Doktor Tkaczenko podała mu rękę i przyjrzała mu się z bliska, po czym obróciła się na pięcie, jak zawsze gotowa do pracy.

– Idziemy, idziemy. Dawajcie tu te próbki.

Zbici w grupkę podążyli za nią przez trzy sale składające się na laboratorium. W głębi ostatniej Tkaczenko stanęła za stołem i wskazała blat palcem. Jonan położył na nim walizeczkę z próbkami i otworzył ją, a doktor Tkaczenko włożyła lateksowe rękawiczki.

– Dajcie mi spojrzeć – powiedziała, nachylając się i wyjmując próbki. – Dobrze, tu mamy ślinę... – wzięła do ręki wymazówkę z próbką.

– Trzeba ją wytrawić proteazą – powiedziała do męża. – To potrwa całą noc. Potem za pomocą mieszaniny fenolu i chloroformu wyekstrahujemy DNA. Potem zagęścimy i oczyścimy kwasy nukleinowe. Próbka będzie gotowa jutro rano. Termocykler PCR potrzebuje od trzech do ośmiu godzin, żeby powielić materiał genetyczny. Potem elektroforeza przy użyciu żelu agarozowego, to następne dwie godziny. Wyniki poznamy gdzieś koło południa.

Amaia sapnęła.

– Wydaje się pani, że to długo? Z włosami jest jeszcze więcej zachodu – orzekła doktor Tkaczenko. – W przypadku śliny prawdopodobieństwo, że uda nam się wyizolować DNA, wynosi dziewięćdziesiąt dziewięć procent, podczas gdy w przypadku włosów tylko sześćdziesiąt sześć – dodała, biorąc do ręki warkocz Marii Abásolo. – Choć tutaj mamy do czynienia z dobrą próbką.

Amaia po raz kolejny wzdrygnęła się na widok białawych końcówek włosów, wyrwanych wraz ze skórą.

– A tu mamy próbki kości – mówiła dalej pani doktor. – Ojej! Co pani mówiła? Że ile ich jest?

– Dwanaście.

– Więc tak, jak powiedziałam. Jutro w południe. Zaraz zabieram się do pracy. Panie doktorze – zwróciła się do męża – pomoże mi pan?

– Oczywiście – odparł uprzejmie.

– A wy się rozgoście. Możecie zostawić okrycia na wieszakach

w biurze, a do siedzenia wszędzie są taborety. Bierzcie i korzystajcie.

Amaia popatrzyła na zegarek i zwróciła się do podinspektora Etxaide:

– Już po dziesiątej. Idź na kolację, ja pójdę potem.

– Ktoś się dołączy?

– My już jedliśmy – odparł doktor González. – Kiedy wrócić, wypijemy kawę.

– Pójdę z panem, jeśli pani inspektor pozwoli – powiedział Markina, zwracając się do Amai.

Skinęła głową i obydwoj ruszyli do wyjścia.

Amaia usiadła na taborecie i przez następne pół godziny obserwowała poczynania naukowców. Pracowali w skupieniu, w niemal całkowitym milczeniu, na każdym kroku sprawdzając, czy wszystko przebiega poprawnie.

– Wyobrażam sobie, że nie może mi pani powiedzieć, czego szukacie... – rzuciła doktor Tkaczenko.

– Nie, dlaczego? Nie ma przeciwwskazań, mogę wam powiedzieć. Staramy się znaleźć związek między tymi próbkami i próbkami kości, które już w zeszłym roku badała Gwardia Cywilna. Jeśli znajdziemy zgodność, będzie to świadczyło o tym, że popełniono serię zbrodni rozciągniętych, w różnym czasie i w różnych miejscach, na północy kraju. Nie muszę podkreślać, że to poufne.

Oboje pokiwali głowami.

– Oczywiście. Czy to ma związek z kośćmi, które znalezione w jaskini w Baztán?

– Tak jest.

– W swoim czasie przesłano nam zdjęcia. Szczątki były ułożone tak, że natychmiast odrzuciliśmy tezę o tym, że zrobiły to dzikie zwierzęta. Żaden drapieżnik nie układa kości ofiar w taki sposób. Wydawało się, jakby... jakby zostały tak ułożone celowo, żeby uzyskać pewien efekt.

– Zgadza się – odparła w zamyśleniu Amaia.

Przez następne minuty milczeli, skoncentrowani na pracy. Ciągłe pilnowali procedur. W końcu uznali pierwszą fazę za zakończoną.

– Teraz musimy poczekać – oznajmiła doktor Tkaczenko.

Jej mąż zdjął rękawiczki i wrzucił je do pojemnika na śmieci. Nie przestawał się przyglądać Amai. Wyglądało na to, że usilnie się nad czymś zastanawia. Dobrze знаła ten wyraz twarzy.

– Ciągłe o tym myślę, wie pani? Pani doktor i ja rozmawialiśmy o tym wiele razy i zgadzamy się. To, co się dzieje w pani dolinie, jest naprawdę okropne.

– W mojej dolinie? – Amaia się zmieszała, ale nie chciała, żeby to zauważyli.

– Tak, wie pani, o co mi chodzi. Pani się tam urodziła, tam są pani korzenie. To jedno z najpiękniejszych miejsc, jakie można sobie wyobrazić, miejsce, gdzie można poczuć współbrzmienie między przyrodą i człowiekiem, miejsce, gdzie można odzyskać wiarę, ufność... – mówiąc to, popatrzył jej prosto w oczy, a ona od razu zrozumiała, do czego zmierza, i potwierdziła. – A jednak, a może właśnie dlatego, wydaje się, że kryje się tam coś strasznego, niegodziwego. Ukryte zło.

Amaia wsłuchiwała się w jego słowa, nie tracąc żadnego szczegółu.

– Są miejsca – dodała Tkaczenko – w których coś takiego się zdarza. Tak jakby były lustrami albo drzwiami i jakby za nimi był inny świat. Jakby były wzmacniaczami energii. Wydaje się wręcz, że dzieje się tak, ponieważ na świecie nie może istnieć nic w pełni doskonałego. Znam kilka takich miejsc, mogą to być także miasta. Jerozolima jest dobrym przykładem. Wydaje się, że stało się coś, co zakłóciło równowagę w pani dolinie i teraz dzieje się tam zbyt dużo różnych rzeczy, potwornych, ale także cudownych, nie sądzi pani? To nie wygląda na przypadek.

Amaia zaczęła się zastanawiać. Ona też nie wierzyła w przypadki. Zbrodnie popełnione przed rokiem na dziewczynach nad rzeką Baztán były nieprzyzwoite, miały wszelkie cechy profanacji. Zbezczeszczono niewinność tych dziewczyn. Pomyślała o tym, co się niedawno stało w kościele w Arizkun. Pogrążyła się w rozważaniach o historii doliny, o wysiłkach jej pierwszych mieszkańców, o ich twardym życiu, walce z chorobami, plagami, złymi zbiorami, wrogim

klimatem. Myślała o tym, że były to czasy, gdy inkwizycja oskarżała setki mieszkańców o czary, a oni pod groźbą tortur zrzucali winę jedni na drugich i błagali o litość. Przyszedł jej na myśl inkwizytor noszący to samo nazwisko co ona, który przez rok podróżował po Baztán, żeby sprawdzić, czy istotnie w dolinie dzieją się rzeczy szatańskie. Inkwizytor Salazar, który – jak sam twierdził – postanowił wyjaśnić tajemnicę tego miejsca, zebrał ponad tysiąc dobrowolnych świadectw o czarach i trzy tysiące donosów na sąsiadów. Był – jak na swoje czasy – nowoczesnym detektywem, człowiekiem wybitnym, o otwartym umyśle. Kiedy po roku wrócił do Logroño, zeznał przed komisją Świętego Oficjum, że nie znalazł dowodów na to, żeby w Baztán byli czarownicy. Twierdził, że to, co się tam dzieje, jest innej natury. Mądry inkwizytor Salazar zdawał sobie sprawę, że Baztán jest krainą cudów, zarówno dobrych, jak i złych.

Może rzeczywiście było to takie miejsce, które nie może zaznać spokoju, miejsce, w którym odczuwa się wrzenie świata.

Jonan wrócił po półgodzinie, zadowolony i z lekko zaróżowionymi policzkami.

– Okazało się, że pan sędzia jest smakoszem. Błyskawicznie znalazł na placu świetną restaurację i nalegał, że zapłaci. Czeka tam na panią. To bardzo blisko, drugi dom po lewej.

Amaia włożyła kurtkę i wyszła na mróz. Północny wiatr uderzył ją w twarz, gdy tylko znalazła się na placu rozciągającym się przed fortecą. Naciągnęła rękawy swetra na dłonie, próbując je ogrzać. Ubolewała nad tym, że zapomniała rękawiczek. Samochodów było coraz więcej. Ludzi niewątpliwie przyciągały okoliczne bary. Zauważyła restaurację i ruszyła w jej stronę, mijając auta i przeklinając płaskie podeszwy botków, które ślizgały się na pokrytych lodem kamiennych płytach. W restauracji przy kontuarze tłoczyło się sporo ludzi, a w głębi widać było salę jadalną, niewielką i przytulną, z kominkiem na środku. Markina pomachał do niej. Siedział niedaleko ognia.

– Pomyślałem, że tu się pani spodoba – powiedział, kiedy podeszła bliżej. – Miło tak siedzieć przy kominku.

Amaia nie odpowiedziała, ale musiała sama przed sobą przyznać, że miała rację. Ogień i zapachy jedzenia z miejsca sprawiły, że poczuła się głodna. Zdecydowała się na antrykot z leśnymi grzybami i była zaskoczona, gdy Markina poprosił o to samo.

– Myślałam, że zjadł pan z podinspektorem Etxaide.

– Nie daje mi pani zbyt wiele szans, żebyśmy mogli razem zjeść kolację, więc nie mógłbym się pozbawić takiej przyjemności. Napije się pani wina? – spytał, podnosząc butelkę doskonałego trunku.

– Niestety, nie mogę. Jestem na służbie.

– Oczywiście. – Nie nalegał.

Zjadła dość szybko i była wdzięczna Markinie, że milczy. Prawie się nie odzywał, choć kilka razy zauważyła, że patrzy na nią spokojnie i dziwnie smutno, chociaż lekko się uśmiecha.

Na dworze, może przez kontrast z miłym ciepłem kominka, było jeszcze bardziej lodowato. Poprawiła czapkę i kurtkę i znowu naciągnęła na dłonie rękawy swetra.

– Nie ma pani rękawiczek? – spytał Markina.

– Zapomniałam.

– Proszę wziąć moje, będą za duże, ale przynajmniej...

Amaia straciła cierpliwość. Westchnęła i odwróciła się do niego.

– Proszę, niech pan tego nie robi – powiedziała twardo.

– Czego mam nie robić? – spytał zmieszany.

– Tego wszystkiego, co pan robi. Te wszystkie spojrzenia, czekanie na mnie z kolacją, troszczenie się o mnie. Proszę przestać to robić.

Wyprzedził ją o krok i zagroził jej drogę. Przez chwilę patrzył w jakiś punkt w oddali, a potem wbił wzrok w jej oczy. Z jego twarzy zniknęły wszelkie ślady uśmiechu.

– Nie może pani tego ode mnie wymagać. Może pani sobie tego życzyć, oczywiście, ale ja nie mogę pani tego obiecać. Nie mogę się wyprzeć swoich uczuć i nie zrobię tego, bo nie ma w nich nic złego. Nie będę na panią patrzył, nie będę się troszczył o panią, jeśli to panią złości, ale to i tak nic nie zmieni.

Amaia zamknęła na chwilę oczy. Usiłowała znaleźć jakiś argument. Nic nie przychodziło jej do głowy.

– Wie pan, że jestem mężatką – powiedziała i natychmiast zdała sobie sprawę, że to bardzo słaby argument.

– Tak, wiem – odparł spokojnie.

– I to dla pana nic nie znaczy?

Nachylił się nad nią, złapał ją za rękę i włożył do niej rękawiczki.

– To będzie dla mnie znaczyło tyle, ile dla pani.

Doktor Tkaczenko włożyła próbki kości do małych plastikowych próbek Eppendorfa, przypominających łuskę naboju. Cały zestaw próbek znajdował się już w termocyklerze.

– Dobrze, to już prawie skończone. Za jakieś trzy godziny będzie gotowe.

– Sądziłem, że Gwardia Cywilna już zbadała te kości – powiedział Markina.

– Tak, dostaliśmy próbki wraz z raportem, ale ponieważ są wystarczająco duże, woleliśmy powtórzyć badania, dla pewności.

Markina kiwnął głową i poszedł na drugi koniec laboratorium, tam gdzie Jonan i doktor González raczyli się kawą.

– Bardzo przystojny mężczyzna – powiedziała Tkaczenko, kiedy się oddalił.

Amaia popatrzyła na nią z zaskoczeniem.

– Prawdziwy przystojniak – stwierdziła pani doktor.

Amaia rzuciła okiem na sędziego, a potem znów na panią doktor i pokiwała głową.

– I bardzo pociągający, czyż nie, pani inspektor? – dodała pani doktor.

Amaia, trochę zaniepokojona, postanowiła się bronić:

– Dlaczego pani o tym mówi?

– To oczywiste. Pociąga panią.

Amaia już otwierała usta, żeby coś powiedzieć, ale po raz drugi tej nocy nie wiedziała co. Zaczęła się zastanawiać, czy coś w jej zachowaniu może wskazywać na to, co czuje.

Pani doktor spojrzała na nią ze współczuciem i uśmiechnęła

się.

– Na Boga! Przecież to nic takiego! Proszę się nie zamęczać, pani inspektor, wszyscy czasem ulegamy pokusom.

Amaia zrobiła głupią minę.

– A kiedy pokusa tak dobrze wygląda w dzinsach, to całkiem normalne, że ma się wątpliwości – dodała doktor Tkaczenko nieco złośliwie.

– No właśnie – przyznała się Amaia. – To mnie zbija z tropu. Wątpliwości. Pojawiają się wątpliwości i zaczynam rozmyślać o różnych sprawach, zadawać sobie pytania.

– Wątpliwości są czymś normalnym.

– Myślałam, że nie. Kocham męża. Jestem z nim szczęśliwa. Nie chcę być z nikim innym.

Doktor Tkaczenko uśmiechnęła się i popatrzyła na Amaię z błyskiem w oczach.

– Niech pani nie udaje głuptaska, pani inspektor. Ja też kocham swojego męża, ale ten sędzia wygląda tak pościelowo jak mało kto.

Amaia wybałuszyła oczy, zaskoczona, że tak odważne stwierdzenie wygłosiła zazwyczaj powściągliwa kobieta.

– Pani doktor, na litość boską! – udawała, że jest zgorzonna. – Widać, że przez ten kontakt z niedźwiedziami pani zdziczała. Pościelowo! Niech pani pozwoli, że powiem, co sądzę: to mało powiedziane. Mamy tu faceta, z którym chciałoby się spędzić co najmniej kilka dni bez wychodzenia z łóżka.

Zaśmiały się obie, ściągając na siebie uwagę mężczyzn.

– Widzę, że pani już to sobie przemyślała – szepnęła doktor Tkaczenko, patrząc na nich.

Amaia zeszła z taboretu i podeszła do niej. Dzielił je stół laboratoryjny.

– Może tak, ale myśleć o czymś to coś zupełnie innego niż to zrobić. Nie chcę tego.

– Jest pani pewna?

– Całkowicie, ale on nie ułatwia mi sprawy.

– Michał Kocz – powiedziała pani doktor.

– Kto to taki?

– Mój kolega ze studiów. Potem przez trzy lata pracowaliśmy

razem w tym samym instytucie. Był jednym z tych mężczyzn, którzy są przekonani, że jeśli będą nalegać, to kobieta ulegnie. Dzień w dzień na uniwersytecie, a potem w pracy narzucał mi się, zapraszał na randki, przynosił mi kwiaty, prześladował gorącymi spojrzeniami.

– I co?

– No cóż, Michaił Kocz też nie ułatwiał mi sprawy, ale ani razu nie dopuściłam do siebie myśli, żeby z nim wskoczyć do łóżka.

– Więc pani zdaniem samo to, że mogłam o tym pomyśleć, dowodzi, że nie jestem w porządku? Albo czy pani stwierdzenie, że facet wygląda pościelowo, oznacza, że pani zdradziła doktora? – Wskazała na mężczyznę.

– O mój Boże! Cóż za rosyjski sposób myślenia! Co za skrajność we wszystkim! To są tylko pokusy, pani inspektor. Nie jesteście ślepi ani niewidzialni.

Amaia patrzyła na nią tak, jakby się domagała wyjaśnień.

– Kiedy ktoś uznaje, że kocha innego człowieka na tyle, że wyrzeka się wszystkich innych, nie staje się ani ślepy, ani niewidzialny. Nadal patrzy i widzi, i nadal na niego patrzają i go oceniają. Nie ma żadnej zasługi w wierności, jeśli ten, na kogo patrzymy, nas nie pociąga albo jeśli nikomu się nie podobamy. Prawdziwym wyzwaniem jest dopiero ktoś, w kim byśmy się zakochali, gdybyśmy nie mieli już partnera, ktoś, kto na to zasługuje, jest w naszym guście i nas pociąga. Ktoś, kto wydawałby się dla nas stworzony, gdyby nie to, że już wybraliśmy kogoś, kto jest naszym ideałem. Właśnie na tym polega wierność. Niech się pani tak nie przejmuje, pani inspektor, bardzo dobrze sobie pani radzi.

Powoli nadchodził zimny ranek. Jeszcze raz wszyscy napili się kawy, a doktor González wyciągnął skądś talię kart. Mężczyźni w milczeniu rozegrali kilka partyjek. Doktor Tkaczenko wołała czytać jeden ze swoich grubych technicznych podręczników. Wydawał się ją bardzo zajmować. Amaia, siedząc niedaleko, rozważała różne szczegóły dochodzenia. Wpatrywała się w termocykler: głośno mruczał, rozparty na stalowym stole jak wielki źle wychowany kot. Instynkt podpowiadał jej, że się nie myli, że w tych próbkach, stanowiących esencję życia, które

wydarł ofiarom diaboliczny tandem potwornych zbrodniarzy, znajduje się potwierdzenie jej teorii. Zimny, potężny umysł podżegacza i ślepo posłuszny bestialski czyn zabójcy. PCR przestał mruzczyć i wydał głośny pisk. Amaia podskoczyła. Niemal w tej samej chwili zadzwonił telefon Jonana, a ona dostała esemesa. Wszyscy popatrzyli na siebie z niepokojem, a po chwili usłyszeli zdenerwowanego inspektora Iriartego:

– Szefowo, w kościele w Arizkun znów doszło do incydentu.

Amaia zerwała się z miejsca i poszła w głąb pokoju.

– Co się stało? – spytała cicho.

– Rozpędzonym wózkiem widłowym wybili dziurę w fasadzie i... – zająknął się.

– Zostawili coś?

– Tak... Znowu rączkę... Malutką, trochę inną. Ta nie jest spalona...

Amaia zdała sobie sprawę, że jest wstrząśnięta. Miał dzieci, których ręce musiały być niewiele większe od tych z kościoła.

– Dobrze, inspektorze, proszę postępować zgodnie z procedurą. Proszę zawiadomić San Martína. I niczego nie dotykajcie, dopóki nie przyjadę. Będę za mniej więcej dwie godziny. Niech wszyscy poczekają na zewnątrz. Otoczcie kościół taśmami i czekajcie na mnie, już wyjeżdżam. Zadzwonię z samochodu.

Wzięła płaszcz i ruszyła do wyjścia. Wszyscy już tam stali.

– Wzywają mnie, muszę jechać – powiedziała. – Ty, Jonanie, zostań tutaj, to sprawa wielkiej wagi. Pani doktor, panie doktorze, serdecznie dziękuję za wszystko. Panie sędzio, zadzwonię, kiedy będę mogła.

Wziął od niej płaszcz i w milczeniu ruszył za nią. Nic nie mówił, kiedy przechodzili przez sale z wolerami i przez podwórzec fortecy.

Otworzyła pilotem drzwi i już miała wsiadać, kiedy Markina złapał ją za ramię i przytrzymał.

– Amaio...

Wciągnęła powietrze i powoli je wypuściła.

– Pani inspektor Salazar – odparła, starając się zachować cierpliwość.

– Niech będzie, pani inspektor Salazar – powtórzył niechętnie. Nachylił się nad nią, przelotnie pocałował w policzek i szepnął:

– Proszę na siebie uważać, pani inspektor, zależy mi na pani.

Z bijącym sercem zrobiła krok w tył. Brakowało jej tchu. Pokręciła głową.

– Niech pan tego nie robi, nie powinien pan – powiedziała, wsiadła do auta i przekręciła kluczyk.

Samochód wślókł się powoli. Amaia wkładała w pokonywanie zakrętów całą resztę przytomności, jaka jej została po pożegnaniu z Markiną. Miejscami szosę pokrywał biały szron, gdzie indziej przezroczysty lód. To było jeszcze gorsze. Nocna jazda w tych warunkach była bardzo niebezpieczna. Mieszkańcy Sobrarbe świetnie o tym wiedzieli. W tym okręgu nawet lekcje w szkołach rozpoczynały się dopiero przed południem, żeby nie trzeba było dowozić dzieci w ciemnościach zamarzniętymi górskimi drogami. Kiedy w końcu dotarła do wjazdu na autostradę, zjechała na bok i zadzwoniła do Iriartego.

– Proszę mi zdać raport – powiedziała.

– Około trzeciej nad ranem kilku mieszkańców sąsiednich domów usłyszało rumor. Jak się później okazało, wózek widłowy marki Bobcat uderzył w mur kościoła. Wyrzeli, ale nie zobaczyli nikogo. Kiedy dojechaliśmy na miejsce, stwierdziliśmy, że w ścianie jest dziura na wylot, a w środku, na ołtarzu...

– Ludzkie szczątki – ucięła Amaia.

– Tak, ludzkie kości.

– Zburzenie muru kościoła nie mogło być łatwe.

– W miejscu, gdzie do tego doszło, nie było to aż tak trudne. Wózek uderzył dokładnie w to miejsce, gdzie przed laty były drzwi dla agotów. Te drzwi, z których byli zmuszeni korzystać i które już dawno zostały zamurowane. Zamurowano je cegłą, więc widły wózka wbiły się głęboko i wyrwały kawałek ściany.

– A co z patrolem, który pilnował kościoła?

– Piętnaście minut wcześniej otrzymaliśmy na numer alarmowy wezwanie: ktoś powiedział, że pali się w pałacu Ursua. Patrol stacjonujący pod kościołem był najbliżej, więc wysłano właśnie ich.

– Pożar?

– Niezupełnie. Ktoś polał benzyną drzwi do pałacu i podpalił. Są drewniane, więc zajęły się jak pochodnia. Patrol ugasił ogień gaśnicami samochodowymi.

– Pałac Ursua wiąże się z historią agotów.

– Tak. Jedna z hipotez mówi, że to dziedzic z Ursua sprowadził ich tu, żeby pracowali w jego majątku i mu służyli.

Amaia wyłączyła telefon. Wyciągnęła spod siedzenia przenośną syrenę. Rzadko jej używała. Opuściła szybę i przymocowała ją do dachu. Kiedy znalazła się na autostradzie, włączyła koguta i przyspieszyła. Nagle poczuła tę wolność, którą się czuje, kiedy się szybko jedzie. Nie zaznała tego od czasów akademii policyjnej. Na liczniku miała sto osiemdziesiąt na godzinę. Przez jakiś czas utrzymywała prędkość. Wyprzedzała nieliczne o tej porze auta. Myślała o Iriartem, jednym z najporządniejszych policjantów, jakich znała. Zawsze był nienagannie ubrany i sporządzał drobiazgowo raporty. Może był zbyt wielkim służbistą, ale zawsze był spokojny i zrównoważony. I bardzo przywiązany do Elizondo, co z jednej strony zapewniało mu tę równowagę, z drugiej było jego słabą stroną. Przypomniała sobie, jak bardzo się zdenerwował rok wcześniej, gdy znaleźli ciało jednej z zamordowanych nastolatek z miasteczka. A sposób, w jaki powiedział: „malutka rączka...”. Nagle złapała się na tym, że myśli o swoim synku. Znów popatrzyła na szybkościomierz. Pokazał już niemal sto dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Odruchowo zdjęła nogę z gazu. „Nielatwo być ojcem” – powiedział kiedyś Iriarte. To nie było tylko niełatwe, to była cholerna odpowiedzialność. W jakim stopniu to, że jest się rodzicem, wpływa na człowieka, na jego zachowanie? Zawsze miała silny instynkt samozachowawczy. Przecież, do diabła, była policjantką i musiała postępować rozważnie, ale co teraz? Czyżby poczucie odpowiedzialności za Ibaia, starania, żeby nie zostawić go samego, obawa, żeby nie został skazany na dzieciństwo bez matki, będą ją ograniczać? To od tego będzie zależało, czy wciśnie gaz do dechy, czy nie? Na te rozmyślenia nałożyło się wspomnienie kosteczek, które ktoś ułożył na kościelnym ołtarzu, kości należących do jej rodziny, kości,

które zawierały tę samą esencję co jej własne kości, co kości jej syna. Kości, które były jej dziedzictwem i jej spuścizną.

– *Ama* będzie ostrożna – szepnęła i samochód pomknął jak wiatr w stronę Pampeluny.

O szóstej nad ranem na niebie nad Arizkun nie było jeszcze nawet śladu nadchodzącego świtu. W kościele paliło się światło, a na dworze, za otoczonym półmetrowym murkiem płacykiem, stały dwa auta patrolowe i kilka prywatnych.

Niewielki elektryczny wózek widłowy marki Bobcat, którym zrobiono dziurę, stał z widłami wbitymi w ścianę i przysypanymi ciemnym gruzem. Dziura miała nieregularne obrzeża i miała w przybliżeniu metr na metr. *Amaia* obeszła cały kościół. Zanim weszła do środka, obejrzała jeszcze mur na tyłach ogrodu i wąską ścieżkę wiodącą na zaplecze.

Iriarte i *Zabalza* towarzyszyli jej z wielkimi latarkami.

– Już raz obeszlśmy cały teren wokół kościoła – przypomniał jej *Zabalza*.

– No to zrobimy to jeszcze raz – odpowiedziała ostro.

W środku czekał na nich doktor *San Martín*.

– Dzień dobry, inspektor *Salazar* – powiedział, przenosząc wzrok z *Amai* na mały wzgórek przykryty aluminiową folią leżący na ołtarzu. Podszedł bliżej i odsunął folię. Zobaczyli kości.

Amaia miała świadomość, że policjanci i lekarz nie patrzą na kości, lecz na nią, więc robiła, co mogła, żeby zachować kamienną twarz. Dokładnie przyjrzała się szczątkom.

– Wyglądają inaczej niż tamte, prawda, doktorze?

– Istotnie, nie zostały nadpalone i wyraźnie widać staw, ale przede wszystkim chodzi o kolor: te tutaj są o wiele bielsze, a to dlatego, że nie były zakopane bezpośrednio w ziemi, tylko w szczelnej trumnie, bez dostępu wilgoci. Nawet stawy palców są doskonale zachowane.

Amaia przez jakiś czas spoglądała na drobne kości, z którymi być może łączyły ją geny, a potem je przykryła. Chyba zbyt czule, jakby zawijała niemowlę w pieluszkę. Spróbowała zadać *San Martín*owi pytanie, które zawisło w powietrzu między nimi dwojgiem w chwili, kiedy weszła do kościoła:

– Sądzi pan, że...

– Nie mogę tego stwierdzić, pani inspektor. W tej chwili mogę tylko powiedzieć, że nie pochodzą z tego samego pochówku. Łatwo to stwierdzić, wystarczy spojrzeć. Teraz je zabiorę, zajmę się nimi osobiście. W ciągu doby, może trochę wcześniej, będziemy mieli odpowiedź.

Skinęła głową, odwróciła się i skierowała ku miejscu, gdzie maszyna wyrwała kawałek muru. Od środka szkody wydawały się poważne. Spod zwałów gruzu wystawały metalowe widły wózka.

– To tutaj kiedyś były drzwi agotów?

– Tak – powiedział Zabalza za jej plecami. – Tak nam powiedział proboszcz.

– A właśnie, gdzie on jest?

– Wysłaliśmy go do domu, jego i kapelana. Byli załamani.

– Bardzo dobrze. Przypuszczam, że już pobraliście ślady – powiedziała, wskazując na wózek.

– Tak.

– Skąd to wzięli?

– Ze składu napojów, niedaleko stąd. Używano go do przenoszenia palet.

Amalia sprawdziła, która godzina, i powiedziała do Iriartego:

– Zobaczmy się w komisariacie. Przejrzymy wszystko, co mamy na temat profanacji. Wezwijcie jak najszybciej tego chłopaka od bloga, chcę z nim porozmawiać.

– Teraz? – zaniepokoił się Zabalza.

– Tak, teraz. Ma pan z tym jakiś problem, podinspektorze?

– Już przesłuchiwalismy tego chłopca i doszliśmy do wniosku, że nie jest w nic zamieszany.

– Uważam, że po tym, co się stało, musimy go przesłuchać jeszcze raz. Jestem przekonana, i to z wielu powodów, że ten, kto to robi, ma jakieś związki z doliną. Jestem skłonna twierdzić, że to więcej niż jedna osoba. Nie sądzę, żeby jeden chłopak mógł to wszystko zrobić sam: wyrąbać dziurę w ścianie i ułożyć kości na ołtarzu. Ktoś musiał mu pomóc.

– Możliwe, ale ten chłopiec nie ma z tym nic wspólnego.

Amalia zatrzymała się i popatrzyła na Zabalzę. Również Iriarte,

który już odchodził, zawrócił i, zaniepokojony, wlepił wzrok w koleżkę.

– Ma pan inną teorię, podinspektorze? – spytała Amaia spokojnie. – Skąd ta pewność?

W głosie Zabalzy słyszała napięcie. Upierał się przy swoim:

– Wiem, że tak jest.

– Zabalza – powiedział Iriarte – chyba za daleko się posuwasz.

– Nie – przerwała mu Amaia. – Proszę mu pozwolić to wyjaśnić. Jeśli uważa inaczej, chcę go wysłuchać. Po to właśnie pracujemy w ekipie, żeby móc patrzeć z różnych punktów widzenia.

Zabalza przeciągnął nerwowo dłonią po twarzy i jakby nie wiedząc, co zrobić z rękami, splótł je i w końcu wsadził głęboko w kieszenie puchówki.

– Chłopak jest ofiarą przemocy domowej. Ojciec strasznie go bije, od kiedy matka umarła. To mądry chłopiec, dobrze się uczy, a zainteresowanie historią i dziejami agotów utrzymuje go przy zdrowych zmysłach. Rozmawiałem z nim i – uwierzcie mi – choć błyszczy inteligencją, ma duży problem z samooceną, żadnej wiary w siebie, nic, co pozwoliłoby mu zrobić to, co tutaj się stało, ani nic w tym stylu. Jest całkowicie podporządkowany ojcu i bardzo cierpi.

Amaia rozważyła to, co usłyszała.

– Młodzi ludzie są zdolni do niepokonanych ataków wściekłości. To, że jest albo wydaje się podporządkowany, może być źródłem tłumionej złości. Od czasu do czasu daje jej upust takimi akcjami. Gdyby pan nie był zaangażowany emocjonalnie, uznałby pan, że właściwie się pod nimi podpisuje.

– Co? – powiedział Zabalza z niedowierzaniem, wyciągając ręce z kieszeni i patrząc to na nią, to na Iriartego. – Co chce pani przez to powiedzieć?

– Chcę powiedzieć, że identyfikuje się pan z tym chłopcem i to sprawia, że traci pan obiektywizm.

Jego twarz zalał rumieniec, jakby zapłonął w nim ogień. Jego dolna warga zaczęła drżeć.

– Jak pani śmie! Gówniana policyjna gwiazda! – wrzasnął.

– Proszę się opanować – ostrzegł go Iriarte.

– Nie zastraszy mnie pan – powiedziała Amaia i stanęła przed nim. – Nie boję się. A co do pana, to lepiej byłoby, gdyby chociaż odrobinę trzymał się pan zasad dobrego wychowania, jak ja, chociaż jest pan nielojalny, chociaż to pan dostarczył Montesowi ten raport z laboratorium, który go wpakował w kłopoty, chociaż jest pan szczurem, który ryzykuje własne życie i życie kolegów, rozmawiając z osobami niezwiązanymi ze śledztwem. Chociaż nie jest pan w stanie rozpoznać, gdzie przebiegają granice.

Z oczu Zabalzy tryskały iskry. Jego twarz ściągnął grymas nienawiści. Wbił wzrok w Amaię, jakby ją wyzywał. Amaia zniżyła głos i mówiła dalej:

– Jeśli nie zgadza się pan z tym, co powiedziałam, może pan przedstawić swoje argumenty, ale proszę nie odzywać się do mnie w taki sposób. Identyfikowanie się z ofiarą jest rzeczą ludzką, choć wielu sądzi, że jako policjanci nie jesteśmy ludźmi. To właśnie ten czynnik ludzki daje nam wiedzę i pomaga dowiadywać się tego, czym niektórzy nie chcieliby się dobrowolnie podzielić. Ale nie przestając być człowiekiem, oficer śledczy musi nabrać dystansu, nie może angażować się emocjonalnie. A teraz powtarzam: odnoszę wrażenie, że identyfikuje się pan z tym chłopcem. Proszę mi powiedzieć, czy tak właśnie jest.

Podinspektor Zabalza spuścił wzrok, ale dalej stawiał opór.

– Sądzę, że nie ma powodu, żeby wyciągać go z łóżka o szóstej rano. Jest wcześnie, a on jest małoletni.

– Jeśli poczekamy jeszcze trochę, trzeba będzie go wyciągać z lekcji. Nie sądzi pan, że to jeszcze gorzej?

– Będzie w domu. Z siniakami na twarzy nie chodzi się na lekcje.

Amaia przez chwilę milczała.

– Dobrze. O dziewiątej w komisariacie. Proszę się tym zająć.

Zabalza wymamrotał coś niezrozumiałego i wyszedł z kościoła.

Zaledwie od dziesięciu minut czytała raporty o profanacjach, a już oczy piekły ją tak, jakby miała pod powiekami pełno piasku. Obróciła się na krześle i popatrzyła przez okno,

próbując dać odpocząć oczom. Zaczynało świtać, ale drobny deszczyk, który wiatr rozpryskiwał na szybach, niemal nie pozwalał nic dostrzec. Te wszystkie godziny bez snu, a do tego nocna jazda samochodem, zaczynały jej ciążyć. Nie czuła się senna, ale oczy same jej się zamykały. Odwróciła się z powrotem do ekranu i otworzyła pocztę. Dwie wiadomości. Pierwszą był łzawy list od dyrektora kliniki Santa María de las Nieves. Zmienił trochę strategię brania na litość i od okropnej krzywdy wyrządzonej klinice przeszedł do okropnej krzywdy wyrządzonej pacjentce. Znów sięgnął po teorię sprzysiężenia, które zawiązano, żeby zaszkodzić jego dobremu imieniu, i szedł jeszcze dalej, insynuując, że doktor Sarasola dziwnie chętnie przeniósł Rosario do swojego szpitala. Znów wyraził wątpliwości, które według niego podzielali wszyscy pracownicy kliniki: stwierdził, że to niemożliwe, żeby nieleczona farmakologicznie pacjentka mogła się tak kontrolować. Wyrzuciła jego maila do kosza.

Drugi przesłał jej Jonan, ze swojej skrzynki. Otworzyła go zaciekawiona. „Władczyni oczekuje ofiary”.

Zaznaczyła maila, żeby go usunąć, ale w ostatniej chwili przesunęła go do nowego katalogu. Nazwała go Władczyni.

Do gabinetu wszedł Iriarte. Popchnął niezgrabnie drzwi. W każdej ręce miał filiżankę. Podszedł do niej i podał jej jedną. Ze zdziwieniem przyjrzała się ceramicznemu naczyniu z napisem: *Zorionak, aita*.

– Bardzo ładne. – Uśmiechnęła się.

– Nic innego nie mam, ale przynajmniej nie są z papieru.

– To naprawdę duża różnica, bardzo dziękuję – powiedziała, biorąc filiżankę do rąk, żeby ogrzać dłonie.

– Zabalza już idzie, z chłopakiem i jego ojcem.

Amaia kiwnęła głową.

– To nie jest zły facet, to znaczy Zabalza. Od lat z nim pracuję i nie raz się o tym przekonałem.

Patrzyła na niego, uważnie słuchając i popijając kawę.

– To prawda, przeżywa trudny okres, sądzę, że z powodów osobistych. Nie usprawiedliwiam go, a tym bardziej nie myślę, żeby miał prawo tak się zachowywać, ale...

– Inspektorze Iriarte – przerwała mu. – Czy jest pan pewien, że nie pomylił się pan, wybierając zawód? W ciągu niecałych czterdziestu ośmiu godzin już drugi raz broni pan przede mną kolegi. Byłby z pana wspaniały adwokat.

– Nie chciałem pani urazić.

– Nie uraził mnie pan, ale każdy sam powinien o siebie walczyć. Sprawa między Zabalzą i mną jeszcze się nie skończyła. Dla niektórych to trudne do przelknięcia, że w tym zespole samcem alfa jest kobieta.

Zadzwoił telefon Iriartego. Natychmiast odebrał i powiedział:

– To Zabalza, jest na dole z wezwanymi.

– Gdzie ich wprowadził?

– Do gabinetu na pierwszym piętrze.

– Niech ich przeniesie do pokoju przesłuchań i niech ich pilnuje policjant w mundurze. Ma być z nimi w pokoju i nie odzywać się ani słowem.

Iriarte przekazał wskazówki i rozłączył się.

– Idziemy? – spytał, odstawiając filiżankę na stół.

– Jeszcze nie – odparła Amaia. – Myślę, że wypiję jeszcze jedną kawę.

Dopiero po trzech kwadransach weszła do pokoju przesłuchań. Zabalza czekał na korytarzu. Był bardzo niezadowolony, rzucił jej wściekłe spojrzenie. W pokoju unosił się zapach strachu i nerwów. Oczekiwanie i obecność umundurowanego policjanta wywarły pożądany skutek.

– Dzień dobry, jestem inspektor Salazar z wydziału zabójstw Policji Statutowej – przedstawiła się. Pokazała odznakę i usiadła naprzeciwko wezwanym.

– Pani... – zaczął ojciec. – To naduzycie, żeby nas tu ściągać tak wcześnie, a potem kazać nam czekać godzinę.

Amaia przyjrzała się jego zaropiałym oczom i białawemu śladowi zastygłej śliny, który szedł od jego ust do lewego ucha.

– Spokój – ucięła. – Wezwałam pańskiego syna, ponieważ jest głównym podejrzanym o popełnienie groźnego przestępstwa – powiedziała, patrząc na chłopca. Chłopiec podniósł się z miejsca. – Niech mi pan wierzy, że godzinne oczekiwanie to najmniejszy z pańskich problemów. Jeśli nie będzie pan chciał

współpracować, spędzi pan sporo czasu w miejscach o wiele gorszych. A jeśli chce pan rozmawiać o nadużyciach, to możemy to zrobić potem, na osobności, pan i ja. A teraz przesłucham pańskiego syna. Może pan siedzieć i milczeć albo wezwać adwokata, ale proszę mi nie przerywać.

Spojrzała na chłopca. Rzeczywiście miał na policzku brzydki ślad po uderzeniu. Kilka innych, na szczęce, już pożółkło. Siedział wyprostowany, a z jego wychudzonego ciała luźno zwisało ubranie.

– Beñat, Beñat Zaldúa, tak?

Chłopak skinął głową i kosmyk włosów spadł mu na czoło. Amaia przyglądała mu się uważnie. Był zaniepokojony, przygryzał dolną wargę i krzyżował ręce na piersi. Od czasu do czasu przeciągał nerwowo dłonią po ustach, jakby je chciał wytrzeć. Tak, przyjmował pozycję obronną, ale prawda mu ciążyła i jego gesty wskazywały na to, że próbuje nie dopuścić do tego, żeby słowa wymknęły mu się z ust. Chciał się uwolnić od ciężaru. Chciał mówić, ale się bał. Teraz od niej zależało, czy rozwiąże mu język.

– Beñat, jesteś niepełnoletni, ale jesteś już w takim wieku, że ponosisz odpowiedzialność cywilną. Porozmawiam z sędzią, powiem mu, żeby miał wzgląd na twoją sytuację. – Popatrzyła przelotnie na jego ojca. – Chcę ci pomóc i mogę to zrobić, ale musisz mi to umożliwić, musisz być ze mną szczery. Jeśli skłamiesz albo coś przede mną ukryjesz, zostawię cię własnemu losowi, a nie jest to dobry los. – Przerwała, żeby to do niego dotarło. – No i jak, Beñat, pozwolisz sobie pomóc?

Chłopiec potwierdził żarliwie.

Przesłuchanie zamieniło się w kompulsywną spowiedź. Wyjaśnił, jak doszło do tego, że ten mężczyzna się z nim skontaktował przez bloga. Że na początku sądził, że znalazł kogoś, kto myśli podobnie jak on i broni tych samych przekonań. Że po każdym kolejnym ataku na kościół sprawy wymykały mu się z rąk, zwłaszcza gdy się przekonał, że na ołtarzu zostawiono ludzkie szczątki. To nie miało nic wspólnego z ideami, które wyznawał. Opisał człowieka, którego twarz widział jedynie podczas profanacji. Kazał się nazywać

Cagot i brakowało mu połowy palców u prawej ręki.

Kiedy skończył mówić, odetchnął tak głęboko, że Amaia nie mogła się nie uśmiechnąć:

– Dużo lepiej się teraz czujesz, prawda?

Wyszła z pokoju przesłuchań i zwróciła się do czekającego pod drzwiami Zabalzy:

– Proszę rozesłać ten rysopis. Facet bez palców.

Zabalza skinął głową i oddalił się. Natychmiast podszedł do niej Iriarte.

– Dzwonił pani mąż. Prosił, żeby pani oddzwoniła. Mówił, że to pilne.

Przestraszyła się. James pierwszy raz zostawiał jej taką wiadomość w komisariacie. Musiało to być coś naprawdę ważnego, coś, co nie mogło poczekać, aż jej komórka, wyłączona na czas przesłuchania, znów zostanie włączona. Wbiegła po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz, i zamknęła się w sali odpraw.

– James?

– Amaio, Jonan mi powiedział, że jesteś już w Elizondo.

– Tak. Nie miałam czasu, żeby do ciebie zadzwonić. Co się stało?

– Amaio, myślę, że powinnaś przyjechać.

– Ibai? Co mu się stało?

– Nie, Amaio. Z Ibaiem wszystko w porządku. Z nami wszystkimi wszystko jest okej. Nie przejmuj się, ale przyjedź szybko.

– Na Boga, James! Mów szybko, o co chodzi, bo oszaleję!

– Dzisiaj rano przyjechał Manolo Azpiroz, architekt. Zajmowałem się Ibaiem, więc dałem mu klucz, i od razu pojechał do Juanitaenei. A potem zadzwonił i powiedział, że to niedobry pomysł, żeby zaczynać prace od ogrodu, że najpierw trzeba wyremontować dom, że składowanie materiałów i same prace uszkodzą to, co posadziliśmy. Zdziwiłem się i zapewniłem go, że nic nie robiliśmy w ogrodzie, a on odpowiedział, że ziemia w kilku miejscach jest poruszona tak, jakby coś wokół domu posadzono. Amaia, jestem tutaj, w Juanitaenea. On ma rację. W ziemi są doły i coś w nich jest.

Coś tu jest, co...

– Co takiego?

– Kości. Wydaje mi się, że to kości.

Złapała walizkę ze sprzętem i zbiegła po schodach, nie czekając na windę. W końcu korytarza na parterze Iriarte i Zabalza rozmawiali przyciszonymi głosami, ale wyglądało na to, że się kłóca.

– Inspektorze Iriarte, proszę jechać ze mną.

Iriarte pognął po płaszcz i po minucie był na dole. Szedł za nią, o nic nie pytając. Szybko dojechali do Juanitaenei. W głowie Amaia kłębiło się od wyrzutów, które robiła sama sobie. Powinna była o tym pomyśleć wcześniej. Żaden cmentarz, żadne katakumby. W Baztán dzieci zmarłe bez chrztu grzebało się nie na rozstajach dróg, nie pod kościelnym murem. Miały swoje własne miejsce. Grzebano je w *itxusuria*, w korytarzu dusz, między ścianą rodzinnego domu a linią tworzoną przez ściekającą z dachu wodę. Linia okapu wyznaczała granicę między tym, co w środku, a tym, co poza domem. Jak mogła być tak ślepa? Jej rodzina od zawsze mieszkała w Baztán. Dlaczego nie przyszło jej do głowy, że także jej własna rodzina, podobnie jak niezliczone inne rodziny zamieszkujące dolinę, chowała zmarłe noworodki koło domu?

James czekał na nią z Ibaiem w wózku na skraju warzywnika. Był bardzo poważny, jak nigdy. Wyglądał nawet na urażonego. Amaia się zdziwiła. Jej James, człowiek łagodnie traktujący cały świat, poczuł się znieważony: niespodziewanie w jego życie wtargnęło coś ohydne. Amaia pocałowała w rączkę śpiącego spokojnie Ibaia i odciągnęła męża na bok, żeby z nim porozmawiać.

– To... To jest... Nie wiem, jak to nazwać. Nie wiem, czy to okropne, czy tylko zaskakujące. Nawet nie wiem, czy to ludzkie szczątki, czy zakopane zwierzęta domowe.

Popatrzyła na niego z czułością.

– Ja się tym zajmę, James. Zabierz dziecko do domu i nie mów nic Ros ani ciotce, dopóki nie dowiemy się czegoś więcej.

Podeszła do niego, pocałowała i wróciła do Iriartego. Czekał na drodze dojazdowej z wielkim parasolem.

Podeszli do drzwi do stajni i zostawili walizkę na schodach ozdabiających fasadę. Amaia włożyła lateksowe rękawiczki, drugą parę podała Iriartemu. Lekka mżawka padająca od kilku godzin zmoczyła ziemię. Przylepiała się do płaskich podeszew jej botków i utrudniała jej poruszanie. Przypomniała sobie, jak ślizgała się po kamiennych posadzkach w Aínsie, i zdecydowała, że wyrzuci te buty, kiedy wróci do domu. Obeszła dom dookoła, przyglądając się kopczykom ziemi, widocznym na pierwszy rzut oka. Zatrzymała się przy najbliższym i wskazała Iriartemu ślad buta, którego brzegi już zaczynały się rozmywać od deszczu. Iriarte kucnął i osłonił parasolem kopczyk ze śladem. Położył przy nim znacznik i zrobił zdjęcie. Przeszli do następnego kopczyka. Wyglądał, jakby w nim kielkowało ogromne nasiono, jakby od środka coś rozepchało ziemię i rozrzuciło ją na boki. Sfotografowali go i Amaia zaczęła rozgrzebywać wilgotną ziemię, brudząc rękawiczki ciemnym błotem. Wyrzyła palcami bruzdę i znalazła w niej maleńką czaszkę, nie większą od jabłka. Kilka metrów dalej, w pospiesznie zasypianym dołku, nie znaleźli niczego, a przy rogu budynku, tam gdzie deszczówka wyraźnie odwzorowała na ziemi narożnik okapu, był grób, o którym mówił James. Z błota wystawały ciemne kosteczki, które ktoś nieuprzedzony mógłby wziąć za korzenie: były brunatne. Wstała, odsunęła się, żeby Iriarte mógł wszystko obfotografować, i spojrzała na dom. Tylko pod jedną ścianą było około dziesięciu rozkopów i tyle samo z drugiej strony domu.

Linia na ziemi wyznaczała granicę. Woda, która kapiała z dachu przez ponad dwieście lat, wyrzyła w niej głęboką bruzdę. Ten ktoś nie musiał szukać daleko. Amaia wyjęła z kieszeni klucz, który dał jej James, otworzyła kłódkę i wezwała Iriartego. Inspektor wszedł do stajni i otrząsnął się z wody.

– To dom pani babci?

– Tak. Należy do mojej rodziny od pokoleń.

Iriarte się rozejrzył.

– Inspektorze, chciałabym z panem porozmawiać o tym, co

znaleźliśmy przed domem.

Skinął głową, bardzo poważny i przejęty.

– Myślę, że pan wie, co to jest. To *itxusuria*, tradycyjny cmentarz rodzinny. Te dzieci, które tu pochowano, były członkami mojej rodziny. W taki sposób ich matki oddawały im cześć, chowając je tutaj, na obrzeżu rodzinnego domu, żeby go strzegły. Jeśli wezwiemy San Martína, zjawi się z całą ekipą i wykopie wszystkie te ciała. Pan też jest z Baztán i sądzę, że zrozumie pan, o co pana proszę. To jest cmentarz mojej rodziny i chciałabym, żeby tak zostało. Takie znalezisko przyciągnęłoby prasę, reporterów, fotografów. Nie chcę, żeby zrobiono z tego cyrk. Jestem też przekonana, że to ten ktoś z kościoła w Arizkun – nie mówię o tym biednym chłopcu – zbezczeszczył te groby i publiczne ogłoszenie tego spłoszyłoby go. Co pan na to?

– Nie pozwoliłbym, żeby zlikwidowano cmentarz mojej rodziny.

Amaia podziękowała mu. Była tak poruszona, że nie była w stanie powiedzieć nic więcej. Ruszyła do drzwi i znów naciągnęła na głowę kaptur.

– W takim razie kontynuujmy.

Zaczęli od ostatniego dołka, który sprawdzili, i w dwóch następnych znaleźli jeszcze trzy szkielety. Kosteczki były połamane i zniszczone, niemal nierozpoznawalne. Z trzeciego dołka wystawały jakieś włókna, postrzępione jak pakuły i brudne. Widok tych resztek becika wzruszył Amaię do łez. Uklękła na mokrej ziemi i zaczęła rozcierać warstwy błota, aż wykopała zawiniątko, które zrobiła matka dla ukochanego dziecka. Było owinięte nawoskowanym płótnem. Ten widok rozdarł Amai serce. Widziała w tym ból kochającej matki, która położyła dzieciątko na wieczny sen w ziemi, ale najpierw okryła je troskliwie, żeby je ochronić. Amaia poczuła, jak zimna woda przesiąka jej przez džinsy, a oczy zachodzą łzami. Zaczęły spływać na niemowlęce szczątki, może na to samo miejsce, na które spływały przed laty łzy osieroconej matki. Kobiety, która mogła być jej prababką.

Prababką albo praprababką. Młoda kobieta złamana

cierpieniem, która o zachodzie słońca włożyła swoje dziecko do grobu, starannie otulone. Amaia rozchyliła materiał tam, gdzie został rozerwany, i zobaczyła, że część maleńkich kości, zdumiewająco dobrze zachowanych, ukradziono. Wydało jej się, że wzywają pomocy. Naciągnęła tkaninę na szkielecik, zawinęła go w płótno i zakopała.

Iriarte, który w milczeniu stał u jej boku, bezskutecznie usiłując osłonić ją parasolem, podał jej rękę. Złapała ją, żeby się podnieść. Wrócili do bocznej fasady domu i Amaia odwróciła się, żeby popatrzeć na maleńkie mogiłki, które deszcz wkrótce miał zrównać z ziemią. Patrząc na te niepozorne kopczyki, poczuła na swoich barkach ból całych pokoleń kobiet ze swojej rodziny, a w oczach palące łzy, które kiedyś one wylewały na ten wąski pasek ziemi przeznaczony na korytarz dusz. Wyobraźnia ją zdradziła i ujrzała samą siebie kładącą Ibaia do grobu, w to kleiste błoto. W tej samej chwili z jej płuc uszło całe powietrze, a z twarzy krew, i poczuła, że ślania się na nogach.

– Szefowo? Co się dzieje?

– Już w porządku – udało jej się powiedzieć. Odzyskała kontrolę nad ciałem. – Przepraszam – szepnęła.

Iriarte włożył walizkę do bagażnika i otworzył jej drzwi po stronie pasażera. Przez chwilę rozważała, czy nie pójść do domu ciotki pieszo, bo ulica Braulia Iriartego była po drugiej stronie Trinkete, ale zorientowała się, że spodnie ma mokre i zabłocone, a po całym jej ciele rozlewa się ból, jakby była ciężko chora. Wydawało jej się, że między krzewami winorośli kryje się jakaś postać, i rozpoznała wrogie spojrzenie człowieka, który uprawiał ogród warzywny.

Skręcając obok baru Txokoto, zobaczyli Fermína Montesa. Mimo deszczu stał przy wejściu, pod okapem, i palił papierosa. Pomachał do Iriartego, a Iriarte mu odpowiedział, podnosząc rękę, i pojechał dalej, w górę ulicy, do domu Engrasi.

Amaia, zanim wysiadła, powiedziała:

– Trzymam pana za słowo.

– Tak, obiecuję.

Popatrzyła na niego z powagą i skinęła głową.

Ledwie wysunęła nogę na zewnątrz, kiedy Montes, który ruszył

ich śladem, podszedł do otwartych drzwi z parasolem w ręku.

– Pani inspektor Salazar, chciałbym z panią pomówić.

Amaia patrzyła na niego, niemal go nie widząc. Ogarniało ją wyczerpanie. Dawało o sobie znać coraz wyraźniej.

– Teraz nie, Montes.

– Ale dlaczego? Możemy pójść do baru, jeśli pani chce, i pogadać.

– Teraz nie... – powtórzyła i pochyliła się, żeby zabrać rzeczy spod siedzenia.

– Jak długo będziesz mnie spławiać?

– Poproś o spotkanie – powiedziała, nie patrząc na niego.

– Nie rozumiem, dlaczego mi to robisz... – zaprotestował.

Iriarte wysiadł i obszedł samochód. Wszedł między niego i Amaię.

– Teraz nie, inspektorze Montes – powiedział twardo. – Teraz-nie – powtórzył, sylabizując, jakby mówił do małego dziecka.

Montes pokiwał głową, nieprzekonany.

Amaia ruszyła do drzwi. Zostawiła ich obu w ulewnym deszczu. Sami musieli stawić sobie czoło.

Wlokła się noga za nogą. Czuli się chora. Kontrastujące z wilgocią na zewnątrz suche, pachnące powietrze unoszące się znad kominka przyprawiło ją o takie dreszcze, że całe jej ciało zatrzęsło się konwulsyjnie. James podał Ibaia ciotce i podszedł do niej, zaniepokojony jej stanem.

– Jak ty wyglądasz! Jesteś chora, Amaio?

– Tylko zmęczona – odparła i usiadła na schodach, żeby zdjąć ubłocone botki.

James nachylił się nad nią, żeby ją pocałować, i cofnął się, przerażony.

– Ależ skąd! Przecież masz gorączkę!

– Nie – zaprotestowała. Dobrze wiedziała, że się nie myli: miała gorączkę.

– Szybko zdejmuj te mokre ubrania i bierz gorący prysznic – zarządziła ciotka, wkładając dziecko do wózka. – Za dziesięć minut przyjdę na górę.

– Ibai – szepnęła Amaia, wyciągając rękę.

– Amaio, lepiej go nie dotykaj, zanim się nie okaże, co ci jest. Chyba nie chcesz go zarazić.

James pomógł jej zdjąć mokre ubrania, które przyłgnęły do jej ciała, i wejść pod prysznic. Kiedy poczuła na skórze gorące strumienie wody, zrozumiała, co się dzieje. Tak jej ciało reagowało na koniec karmienia. Już od kilku dni nie dawała dziecku piersi. Skóra na sutkach była naciągnięta, gorąca i obolała. Wyszła spod prysznica, wzięła dwie pastylki przeciwzapalne i poszukała w torebce pudełeczka z dwiema dawkami pigułek, które miały jej definitywnie odebrać możliwość karmienia piersią. Przed kilkoma dniami nie chciała ich wziąć. Włożyła obydwie do ust i połknęła wraz z rzęsiстыми łzami porażki. Była beznadziejną matką. Zwyciężona i oszołomiona usiadła na łóżku i sama nie wiedząc kiedy, zasnęła. James wrócił z butelką wody do popicia, której już nie potrzebowała. Zobaczył, że leży bez sił, naga, pogrążona we śnie i całkowicie wyczerpana, i zaczął się zastanawiać, czy powrót do Baztán był dobrym pomysłem. Przykrył ją puchową kołdrą, położył się obok niej i bardzo ostrożnie objął jej płonące od gorączki ciało. Czuł się jak pasażer na gape, który się zakradł na luksusowy statek wycieczkowy.

Obudził się i czule pocałował ją w czoło. Zegar pokazywał wpół do piątej. Amaia uśmiechnęła się, czując aromat kawy. James zawsze podawał jej kawę do łóżka. Dopiero potem otworzyła oczy.

– Obudź się, moja śpiąca królewno. Już nie masz gorączki. Jak się czujesz?

Zastanowiła się. Czowała, że wargi ma suche i zeszywniałe, że włosy lepiają jej się do głowy, jakby nadal były mokre, w nogach czuła mrowienie, ale poza tym wszystko było w porządku. W myślach podziękowała opatrznosci za twardy sen, z którego nie pozostało jej żadne wspomnienie, i znów się uśmiechnęła.

– Dobrze się czuję. Już ci mówiłam, że to tylko zmęczenie.

James przyglądał się jej uważniej, ale powstrzymał się od komentarza. Wiedział, że lepiej nic nie mówić. Amaia nienawidziła, kiedy ją prosił, żeby dbała o siebie, częściej odpoczywała i dłużej spała. Westchnął i podał jej kawę.

– Dzwonił Jonan.

– Co?! Dlaczego mnie nie obudziłeś?

– Przecież właśnie to zrobiłem! Powiedział, że zadzwoni za dziesięć minut.

Usiadła na łóżku i oparła się o drewniane wezglowie. Wbiło jej się w plecy, chociaż podłożyła sobie poduszkę. Wzięła od Jamesa kubek i wypila łyk kawy, szukając na liście kontaktów numeru podinspektora.

– Szefowo, daję pani do telefonu doktor Tkaczenko – powiedział Jonan.

– Pani inspektor, mamy zgodność. Włosy i ślina zgadzają się z próbkami numer sześć i jedenaście. W przypadku próbki numer sześć zgodność wynosi sto procent, w związku z czym mogę potwierdzić, że włosy i kość należą do tej samej osoby. W przypadku próbki numer jedenaście zgodność, to znaczy procent wspólnych alleli, wskazuje na to, że kość i ślina należą

do rodzeństwa. Mam nadzieję, że mogliśmy pomóc – zakończyła i nie dając Amai czasu na odpowiedź, oddała telefon Jonanowi.

– Szefowo, już pani wie: mamy zgodność. Sędzia śledczy już dzwoni do komisarza generalnego, żeby go o tym poinformować. Jadę z nim do Pampeluny. Myślę, że komisarz zaraz do pani zadzwoni.

– Dobra robota, Jonan. Zobaczymy się w Pampelunie... – kiedy to mówiła, usłyszała, że ktoś dzwoni. – Panie komisarzu...

– Pani inspektor... Sędzia śledczy właśnie poinformował mnie o pani odkryciu. Umówiliśmy się w komisariacie. Markina dotrze do Pampeluny za jakieś dwie i pół godziny.

– Przyjadę.

– Pani inspektor... Jest jeszcze jedna sprawa, o której chciałbym z panią pomówić. Czy mogłaby pani przyjechać trochę wcześniej?

– Oczywiście, będę za godzinę.

W myślach porządkowała wszystko, co wiedziała, bo przypuszczała, że komisarz generalny wzywa ją wcześniej po to, żeby ją o to wypytać, zanim sędzia Markina oficjalnie oznajmi, że wszczynają dochodzenie. Wyniki badań rzucały na wszystko nowe światło. Dwa nowe przypadki kobiet zamordowanych przez mężów. Zabójstwa wyglądały na przemoc domową i wydawało się, że nie ma między nimi żadnego związku. Ale obydwie kobiety padły ofiarą identycznej amputacji. Kości odciętych przedramion ich obu, czyste i obrane z tkanek miękkich, znaleziono wraz z innymi, podobnymi kośćmi, w jaskini Arri Zahar. Obydwaj zabójcy nie żyją. Po zabójstwie targnęły się na własne życie. Ktoś inny, nie oni, zabrał odcięte ręce z miejsc zbrodni. Ten ktoś zostawił na niektórych kościach, które zebrał w jaskini, ślady zębów. Zgromadził szczątki swych ofiar w wejściu do jaskini, jak legendarny cyklop. Nie wahał się podpisać pod zbrodniami, swoim imieniem i krwią ofiar, które złożyli mu w ofierze jego słudzy. Tarttalo, głosił nieprzyzwoity i bezwstydną napis na ścianach. Ten ktoś był tak zuchwały, że przekazał jej wiadomość za

pośrednictwem Mediny. To także on zmusił Quiraltego, żeby czekał, aż ona, Amaia, wróci z urlopu macierzyńskiego, i dopiero wtedy wyjawiał, gdzie ukrył zwłoki Lucii Aguirre. Ostatnim jego posunięciem, najbardziej prowokacyjnym, było nawiązanie kontaktu z jej własną matką.

Wyobrazila ich sobie razem i zadrzała. Rozmawiali ze sobą? Nie była pewna, czy jej matka jest w stanie płynnie się komunikować, choć niewątpliwie robiła to wystarczająco sprawnie, żeby sporządzić listę osób, które mogą ją odwiedzać, i żeby doprowadzić do wpisania na listę jego.

Przemyślała tę ostatnią sprawę i zrozumiała, że musieli się znać już przedtem, zanim siedem lat temu, na podstawie nakazu sądowego, matka została umieszczona w klinice Santa María de las Nieves. Od tego czasu nie miała kontaktów z nikim, kto nie był pracownikiem kliniki albo jej pacjentem.

Kto to jest? Pomyślała, że właściwie można odrzucić pracowników i byłych pracowników kliniki. Niemożliwe, żeby ktoś taki nie został rozpoznany przez kogoś z personelu, nawet w przebraniu, które nie miało mocno zmienić wyglądu, a tylko utrudnić identyfikację. Nie, to musiał być ktoś spoza kliniki. Inaczej nie podjąłby tak wielkiego ryzyka. Ktoś, kto znał jej matkę od dawna. To znaczy od kiedy? Poznali się, kiedy zachorowała i rozpoczęła wędrówkę po szpitalach? Jeszcze dawniej? W Baztán? Wybór jaskini świadczył o znajomości okolicy, ale była to okolica znana tysiącom turystów i wędrowców, którzy przemierzali ją każdego lata. Każdy mógł się przypadkiem natknąć na jaskinię albo, korzystając z opisów dziesiątków szlaków turystycznych, jakie można znaleźć na stronach internetowych o dolinie Baztán, przeczytać o jej istnieniu.

Ale w inscenizacjach, które urządzał *tarttalo*, w podpisywaniu się pod zbrodniczymi czynami, w imieniu, które sobie nadał, zdecydowanie było coś, co świadczyło o jego związkach z doliną, to prawda, że chorobliwych, ale niewątpliwie osobistych. Początkowo także Amaia, podobnie jak Padua, myślała, że nazwał się Tarttalo tylko po to, żeby zwrócić na siebie uwagę. Że zrobił tak, żeby się podać za kolejną postać

mitologiczną, że chciał wykorzystać rozgłos, jaki uzyskała sprawa basajauna. Cofnęła się myślą do sprawy sprzed roku i zrobiło jej się nieprzyjemnie. Nigdy nie mogła zrozumieć, dlaczego dziennikarze wymyślają tak absurdalne kryptonimy dla zabójców, choć wyobrażała sobie, że to samo prasa sądzi o kryptonimach policyjnych. Ale najgorsze było to, że w przypadku basajauna kryptonim nie był tylko niewłaściwy: był całkowitym nieporozumieniem. Zobaczyła las Baztán, tak wyrazisty i realny, że znowu niemal jej się udało poczuć obecność majestatycznego i niewzruszonego pana lasu o bursztynowych oczach. Uśmiechnęła się. Zawsze to robiła, kiedy przywoływała w myślach ten obraz. Zawsze jej pomagał odzyskać spokój.

Przywitała się z kilkorgiem znajomych przy wejściu i poszła prosto do gabinetu komisarza generalnego. Poczekala, aż umundurowany policjant ją zaanonsuje, a potem otworzy przed nią drzwi. Jak podczas jej ostatniej wizyty w tym miejscu, szefowi towarzyszył doktor San Martín. Z miejsca ją to zaniepokoiło, bo tym razem nie spodziewała się go tam zastać. Przywitała się z przełożonym, uściśniła rękę doktorowi i usiadła na miejscu, które jej wskazał komisarz.

– Pani inspektor, czekamy na sędziego śledczego Markinę, żeby nas powiadomił o tym, co już wiemy, a mianowicie że badania DNA wykazały, że kości znalezione w tej jaskini w Baztán należą do dwóch spośród ofiar zabójstw, podpisanych w ten sam sposób. – Komisarz założył okulary i nachylił się, żeby przeczytać z kartki: – TARTTALO. Sędzia poinformował mnie telefonicznie, że ma zamiar wszczęć dochodzenie. Gratuluję pani, wspaniała robota. Zwłaszcza że należy wziąć pod uwagę ograniczenia, jakim pani podlegała, prowadząc dochodzenie w sprawach już zamkniętych, i konieczność unikania zadrażnień.

Przerwał i Amaia pomyślała: zaraz powie: „ale...”. Taka przerwa zawsze poprzedza jakieś ale, tego była pewna, choć nie miała pojęcia, o co może chodzić tym razem. Jak powiedział komisarz, sędzia ogłosi, że zaczynają dochodzenie w sprawie zabójstwa, ona będzie je prowadzić, bo jest szefem wydziału

zabójstw, więc nikt nie będzie mógł jej odsunąć od śledztwa, a dowody w sprawie są wystarczająco mocne i ważne. Tak naprawdę są porażające. Rodziny będą się domagać sprawiedliwości, ale...

– Pani inspektor... – Komisarz się zawahał. – Jest jeszcze coś, coś, co nie ma związku z tą sprawą.

– Z tą nie? – zniecierpliwiła się.

San Martín chrząknął i nagle zrozumiała.

– Chodzi o kości podrzucane do kościoła w Arizkun?

– Tak – odpowiedział lekarz.

– Te ostatnie też należą do moich przodków? – spytała i zobaczyła małe rozgrzebane dołki pod okapem.

– Pani inspektor, zanim przejdę dalej, chciałbym zaznaczyć, że z uwagi na to, jak wyglądały poprzednio znalezione kości, osobiście zbadalem szczątki, które ostatnio znaleźliśmy. Przestrzegalem wszystkich zasad.

Amaia podziękowała i spytała:

– To kości kogoś z mojej rodziny?

San Martín rzucił okiem na komisarza, a potem mówił dalej:

– Pani inspektor, wie pani dużo o badaniach DNA, to znaczy wie pani, czym są procentowe wskaźniki, które decydują o czyjejs przynależności do danej rodziny, i stopień tej przynależności, to znaczy, czy chodzi o krewnego pierwszego, drugiego czy trzeciego stopnia?

Wzruszyła niecierpliwie ramionami.

– Tak, no cóż, myślę, że tak. Pięćdziesiąt procent genów mamy takich samych jak każde z rodziców, dwadzieścia pięć procent jak każde z dziadków, i tak dalej...

San Martín potwierdził.

– Tak właśnie jest. Każdy człowiek ma własny, niepowtarzalny kod DNA. Chociaż DNA osób spokrewnionych jest bardzo podobne, różnice definiują nas jako tego, a nie innego osobnika.

Amaia ciężko westchnęła. Zastanawiała się, do czego to wszystko prowadzi.

– Pani inspektor Salazar, DNA kości znalezionych wczoraj w Arizkun wykazuje stuprocentową zgodność z pani DNA.

Amaia nie mogłaby być zaskoczona bardziej.

– Przecież to niemożliwe – wypowiedziała pierwszą myśl, jaka jej się nasunęła. – Nie mogłam zanieczyścić próbek. Nawet ich nie dotknęłam.

– Nie mówię o DNA przeniesionym, pani Salazar, mówię o DNA zawartym w kościach.

– To musi być pomyłka. Ktoś popełnił błąd.

– Już pani mówiłem, że sam wykonałem badania, i to dwa razy, z takim samym wynikiem. To pani DNA.

– Ależ... – powiedziała Amaia z niedowierzaniem. – Przecież to oczywiste, że to nie moja ręka – dodała z przekąsem.

– Czy ma pani siostrę?

– Mam dwie siostry i żadnej z nich nie brakuje ręki. Ale przecież powiedział pan, że każdy człowiek jest niepowtarzalny. Siostra miałaby podobne DNA, ale nie identyczne.

– Chyba że byłyby pani jednojajową bliźniaczką.

Amaia zaczerpnęła powietrza i chciała coś powiedzieć, ale powstrzymała się w pół słowa. Potem bardzo powoli powiedziała:

– Nie mam siostry bliźniaczki.

I kiedy wymawiała te słowa, poczuła, że cały świat wokół niej wiruje, i zamienia się w gęsty, czarny olej, który rozbryzguje się po ścianach, pożera światło i pokrywa wszystko, zbiera się w jej oczach i spływa na ręce, ułożone na podolku w kołyskę. Dziewczynka, która ciągle płacze.

Dziewczynka, która wylewa łzy gęste od strachu, unosi kikut po oderwanej ręce i mówi: „Nie pozwól, żeby mama cię zjadła”. Identyczna kołyska w Juanitaenei, dziewczynka bez ręki, która nią kołysze, dziewczynka, która nie przestaje płakać.

Do głowy napływały jej tysiące wspomnień ze snów o dziewczynce, którą zawsze uważała za samą siebie. Dziewczynka w milczeniu towarzysząca jej w snach, identyczna z odbiciem w ciemnym lustrze snów. Smutniejsza wersja jej samej. To było jedyne, co je odróżniało, bo u niej spod szarej powłoki cierpienia przebijał instynkt przetrwania, bunt przeciwko przeznaczeniu przebłyskiwał w głębi jej niebieskich oczu jak zimowy księżyc. U tej drugiej dziewczynki nie. Jej oczy

błyszczały jedynie od łez, od bezustannie lejących się czarnych łez, hipnotyzująco rozlewających się wokół jak kałuża smoły. Kiedy się pojawiała, niemal zawsze rozrywała Amai serce. Czowała, jak potwornie jest samotna i bezradna, jak w milczeniu zgadza się na każdą. Czasem płakała tak rozdzierająco, że wydawało się to nie do wytrzymania. Pewnego razu łkała urywanie, szloch wyrywał się z głębi jej ciała, a na podolku kołysała glocka Amai, jej służbowy pistolet, jej kotwicę bezpieczeństwa. Uniosła go i wycelowała w swoją głowę, jakby śmierć miała być wyzwoleniem. „Nie rób tego” – krzyknęła Amaia we śnie do dziewczynki, którą wtedy jeszcze uważała za samą siebie, a widmo – kość z jej kości – podniosło kikut i powiedziało: „Nie pozwolę, żeby mama mnie zjadła”.

Odzyskała świadomość, przypomniała sobie, że jest w gabinecie szefa i że ci dwaj na nią patrzą. Przez chwilę obawiała się, że dała po sobie poznać, że niemal zważyła ją to z nóg, że to wszystko, co przebiegło jej przez głowę, odbiło się na jej twarzy. Zmusiła się natychmiast do skupienia na tym, co mówił San Martín. Wskazywał długopisem na leżący na biurku grafik.

– Niemożliwe, żeby to była pomyłka. Jak pani widzi, wszystko zostało przebadane dwa razy i – na prośbę komisarza – przesłane do ponownej analizy do Nasertic. Jutro będziemy mieli wyniki, ale to tylko formalność. Rezultat będzie taki sam, gwarantuję to pani.

Do rozmowy włączył się komisarz:

– Pani inspektor, to, że nie miała pani wiedzy o siostrze, która umarła przy narodzinach, nic nie znaczy. Może to było dla pani rodziców tak bolesne, że zdecydowali się nigdy o tym nie mówić, a może nie chcieli pani obciążać świadomością, że miała pani bliźniaczkę, która nie żyje. Z drugiej strony dopiero od 1979 roku jest obowiązek rejestrowania noworodków martwo urodzonych. Wpisy do cmentarnych rejestrów robiono ręcznie i najczęściej pisano: płód poroniony. Nie wspominało się o płci ani o szacunkowym wieku dziecka. Na niektórych cmentarzach i w większości parafii w ogóle nie chciano grzebać nieochrzczonych dzieci. Zazwyczaj odbywał się świecki pogrzeb

z udziałem sowicie opłaconego grabarza. To oczywiste, że ktoś, kto podkłada te szczątki, zna zarówno panią, jak i pani rodzinę, i wie wszystko z pierwszej ręki. Jak powiedział doktor, stan kości wskazuje na to, że nie miały bezpośredniego kontaktu z ziemią i najprawdopodobniej leżały w miejscu szczelnie zamkniętym i suchym. Powinna nam pani powiedzieć, na jakim cmentarzu albo cmentarzach są pochowani członkowie pani rodziny, żebyśmy mogli poczynić jakieś postępy.

Amaia słuchała go jak wbita w ziemię. Przemyślała to i po kilku sekundach skinęła głową.

Umundurowany policjant zaanonsował sędziego. Jakby w milczeniu i jednogłośnie podjęli decyzję, komisarz i doktor zebrali raporty z biurka i pozwolili mu zabrać głos. Wszystko trwało niecały kwadrans. Markina przedstawił wyniki badań, które oczywiście będą musieli oficjalnie powtórzyć, i powiedział, że zostanie wszczęte dochodzenie. Pogratulował komisarzowi generalnemu dyskrecji i staranności, jakie wykazano w trakcie dochodzenia. Mówił też do ponurej, zamyślanej Amai. Amaia tylko kiwnęła głową. Kiedy zebranie uznano za zakończone, pospiesznie wyszła, dziękując losowi, że Markina ani razu nie popatrzył na nią tak, jak miał w zwyczaju. Jonan czekał na nią na korytarzu i kiedy tylko ją zobaczył, zaczął mówić z entuzjazmem:

– Szefowo, mistrzowskie posunięcie, udało nam się, będzie sprawa...

Amaia kilka razy kiwnęła głową, nie umiała zebrać myśli. Jonan zdał sobie sprawę, że się martwi.

– Tam w środku wszystko poszło dobrze, prawda?

– Tak, nie przejmuj się. Chodzi o coś innego.

Nie od razu odpowiedział.

– Chce pani o tym porozmawiać?

Właśnie doszli do samochodu i Amaia odwróciła się, żeby na niego spojrzeć. Jonan z pewnością był jednym z najlepszych ludzi, jakich знаła. Naprawdę się o nią niepokoił. Wykraczało to poza stosunki służbowe. Usiłowała się do niego uśmiechnąć, ale uśmiech zamienił się w grymas, a w oczach wciąż miała smutek.

– Najpierw muszę to przemyśleć, Jonanie, ale potem ci powiem.

Zgodził się i dodał:

– Chce pani, żebym panią zawiózł do domu? Nie musimy rozmawiać, jeśli pani nie chce. Na noc zostanę w hostelu Trinkete. Myślę, że to nierozsądne, żeby pani prowadziła w takim nastroju. Padał śnieg i na wysokości przełęczy Belate droga jest w kiepskim stanie.

– Dziękuję ci, Jonanie, ale lepiej idź do domu. Ty też nie spałeś od wielu godzin. Będę ostrożna, a prowadzenie auta dobrze mi zrobi.

Kiedy wyjeżdżała z parkingu, Jonan nadal stał w tym samym miejscu.

Po obu stronach drogi piętrzył się śnieg, aż do wjazdu do tunelu Belate. Za tunelem była już tylko ciemność i szelest rozpryskujących się ziaren soli uderzających w podwozie. W umyśle Amai migwały rozgrzebane kopczyki ziemi wokół rodzinnego domu, przegniłe resztki becika, kołyska na strychu w Juanitaenei, identyczna z kołyską Ibaia, biel kości, które nosiły w sobie jej DNA i których barwa wskazywała na to, że nie zostały zagrzebane w ziemi. Jak to możliwe, żeby tak zatrzeć ślad po człowieku? Jak to możliwe, że nigdy nie dotarła do niej nawet najmniejsza cząstka wiadomości o tym, że miała bliźniaczkę? Lekarz mówił o donoszonym płodzie. Czyżby zmarła po narodzinach? Czy znaleziona ręka bezspornie świadczy o tym, że jej siostra nie żyje? A może trzeba jej było amputować rękę z powodu jakiejś choroby? Może nadal żyć? Żyje? Nagle zdała sobie sprawę, że jest już na ulicy Santiago i że przez całą drogę prowadziła jak automat, zupełnie nieświadomie. Zwolniła i zjechała w dół, do mostu. Jechała wyludnionymi ulicami, a kiedy dotarła do Muniartei, zatrzymała samochód, żeby posłuchać ogłuszającego rumoru wody spadającej z jazu. Deszcz nie przestawał padać od rana i do auta przedostała się wilgoć. Nagle poczuła się, jakby stała nad otwartym grobem, i ogarnęła ją wściekłość, nienawiść do tego przeklętego miejsca. Woda, rzeka Baztán, średniowieczna zabudowa i cały ten ból i cierpienie, na których wszystko to się

opierało. Zaparkowała i po raz pierwszy w życiu nie zauważyła, że dom ciotki wita ją swoim ciepłem, że bierze ją w kochające objęcia.

Wszyscy już spali. Wzięła laptopa i usiłowała się skoncentrować. Wstukala hasło, a potem przez dłuższy czas sprawdzała najrozmaitsze rejestry i bazy danych. W końcu zrezygnowana zostawiła komputer i poszła na górę. Idąc po schodach, usłyszała hałas, który robiły jej botki na drewnianych stopniach, więc zeszła z powrotem, zdjęła buty i jeszcze raz poszła na piętro. Zawahała się przed drzwiami ciotki, ale w końcu zapukała. Odpowiedział jej łagodny głos Engrasi.

– Ciociu, możesz zejść? Muszę z tobą porozmawiać.

– Oczywiście, córus – odpowiedziała zaniepokojona. – Już idę.

Amaia zastanawiała się, czy nie obudzić także Ros, ale pomyślała, że jej siostra także o niczym nie wie, tak jak ona.

Czekała na ciotkę. Stała na środku salonu i zagubionym wzrokiem błędziła po kominku, jakby palił się w nim ogień widoczny tylko dla niej. Tym razem nie czuła się na siłach go rozpalić.

Zaczekała, aż ciotka usiądzie, i dopiero wtedy odwróciła się do niej i powiedziała:

– Ciociu, czy pamiętasz, jak się urodziłam?

– Mam bardzo dobrą pamięć, ale nie było mnie wtedy w Elizondo i za dużo nie mogę ci powiedzieć. Mieszkałam w Paryżu i niemal nie utrzymywałam kontaktów z ludźmi stąd. Kiedy wróciłam, miałaś jakieś cztery lata.

– Ale może *amatxi* Juanita opowiedziała ci o czymś, co się stało, kiedy byłaś za granicą.

– Oczywiście, opowiedziała mi mnóstwo rzeczy, głównie o sąsiadach z miasteczka. Chciała, żebym znała najnowsze plotki, kto się ożenił, komu urodziły się dzieci albo kto umarł.

– Ile siostr mam, ciociu?

Engrasi wzruszyła ramionami, jakby chciała pokazać, że to oczywiste.

– Florę i Ros...

– Czy *amatxi* Juanita opowiedziała ci, że miałam bliźniaczkę?

Że była jeszcze jedna dziewczynka?

– Bliźniaczka?

– Bliźniaczka jednojajowa.

– Nie. Nigdy nic takiego nie mówiła. Dlaczego sądzisz, że tak było?

Amaia nie odpowiedziała. Wypytywała nadal.

– A czy wiesz coś o tym, żeby moja matka poroniła albo żeby urodziła martwe dziecko?

– Nic o tym nie wiem, Amaio, ale nic w tym dziwnego. W tamtych czasach poronienie było uważane za coś wstydliviego i kobiety to ukrywały. Nigdy o tym nie mówiły, jakby to nigdy nie miało miejsca.

– Pamiętasz tę kołyskę, identyczną z kołyską Ibaia, która stoi na strychu w Juanitaenei? Ta dziewczynka istniała, ciociu. Urodziła się martwa albo umarła zaraz po urodzeniu.

– Amaio, nie wiem, kto ci to wszystko powiedział...

– Ciociu, mam niepodważalne dowody. Nie mogę ci tego wyjaśnić, bo to rzeczy należące do tego, o czym nie mogę mówić, ale wiem, że ta dziewczynka istniała, że urodziła się razem ze mną, że była moją bliźniaczką jednojajową i że coś jej się stało.

W oczach ciotki widziała powątpiewanie.

– Doprawdy, nie wiem, Amaio. Sądzę, że gdybyś miała siostrę, to nawet gdyby się urodziła martwa, wiedziałabym o tym. Twoja babka musiałaby o tym wiedzieć, bo nie mówimy o poronieniu, tylko o zmarłym noworodku, a to oznacza, że musiałby być akt zgonu i pogrzeb.

– To pierwsza rzecz, którą sprawdziłam, ale nie ma takiego aktu zgonu.

– No cóż, ty urodziłaś się w domu rodziców, podobnie jak twoje siostry. To w tamtych czasach było czymś najzwyczajszym, niemal żadna kobieta nie szła rodzić do szpitala. Wszystkie porody przyjmował nasz lekarz, don Manuel Hidalgo, już świętej pamięci. Pomagała mu zwykle jego siostra, dużo młodsza od niego. Była pielęgniarką. O ile mi wiadomo, nadal tu mieszka, w dolinie. Kilka miesięcy temu widziałam ją w kościele, podczas rocznicy chóru. Kiedy była

młoda, pięknie śpiewała.

– Pamiętasz, jak się nazywa?

– Tak. Fina, Fina Hidalgo.

Amaia westchnęła i poczuła się tak, jakby wraz z powietrzem uszło z niej coś, co do tej chwili utrzymywało ją w całości. Upadła na sofę, obok ciotki, całkowicie wyczerpana.

– Od zawsze przychodzi do mnie we śnie. Śniła mi się, kiedy byłam mała, i nadal mi się śni. Myślałam, że ta dziewczynka to ja, ale teraz już wiem, że to moja siostra, dziewczynka, która urodziła się razem ze mną. Mówi się, że bliźnięta są jakby jedną osobą w dwóch ciałach, że łączy je wyjątkowa więź, która pozwala im nawet widzieć i czuć to samo. Ciociu, ja od zawsze czuję jej cierpienie.

– Och, Amaio! – krzyknęła Engrasi, zasłaniając usta smukłymi pomarszczonymi dłońmi. Potem wyciągnęła do niej ręce i Amaia pozwoliła się objąć, a potem opuściła głowę na jej kolana.

– Ona do mnie mówi, ciociu, mówi w moich snach. Mówi straszne rzeczy.

Engrasi zaczęła ją gładzić po głowie, przesuwała dłonią po jej delikatnych włosach, jak tyle razy, kiedy Amaia była dzieckiem. Po chwili zdała sobie sprawę, że Amaia śpi, ale nie przestawała jej głaskać. Czubkami palców rozsunała włosy i dotknęła małego wklęsnięcia i zarysu blizn ukrytych pod włosami. Byłaby w stanie je odnaleźć zawsze, nawet gdyby całkiem oślepla.

– Co oni ci zrobili? Co ci zrobili, córeczko?

Jej głos załamał się pod wpływem bólu i wściekłości, ręce zadrżały, a stare wyblakłe oczy zamglily się jeszcze bardziej.

23 czerwca 1980 roku

Nad Elizondo z furią rozpętała się burza. Juan modlił się na kolanach, przy świetle świeczki, zamknięty w łazience. Zdawał sobie sprawę, że to nie jest najwłaściwsze miejsce do rozmowy z Bogiem, ale był człowiekiem starej daty, wstydził się i nie chciał, żeby ktoś go zobaczył w tym stanie. Ponizonego, umierającego ze strachu i z oczami pełnymi łez.

Około dziewiątej wieczorem Rosario powiedziała mu, żeby zaprowadził dziewczynki do swojej matki. Małe zwlekały, zafascynowane ogniskami świętojańskimi, które starsi chłopcy już zaczynali rozpalać na ulicach. Rosario wezwała doktora Hidalgo. Od tego czasu minęły już ponad trzy godziny. Gdy w którymś momencie zgasło światło, siostra lekarza wyszła z pokoju, żeby poprosić o świece. Było to ponad godzinę temu i nie mógł znieść złowróznej ciszy, która zapadła w domu, gdy ucichły przerażające krzyki żony. Zamknięty w łazience, poddał się zupełnie i złożywszy ręce, błagał Boga ze wszystkich sił, żeby nic złego się nie stało. Rosario zachowywała się w ciąży tak dziwnie. Nie chciała pójść do szpitala, chociaż to właśnie zalecał doktor Hidalgo, nie chciała nawet dać sobie zrobić echografii, pomimo ryzyka, jakie zawsze występuje przy ciąży bliźniaczej. Zdecydowała się rodzić w domu, jak poprzednio, i nie pozwoliła mu nawet powiedzieć rodzinie, że oczekują dwojga dzieci.

Usłyszał hałas, głos doktora Hidalgo i pukanie do drzwi.

– Juan, jesteś tam?

Szybko wstał z kolan. Zobaczył w lustrze zaczerwienione oczy i twarz zdeformowaną przez cienie rzucane przez świeczkę.

– Już idę – powiedział, odkręcając kran, żeby opłukać twarz. Wyszedł z ręcznikiem w dłoniach. – Co z Rosario?

– Wszystko dobrze, uspokój się. Czuje się dobrze i dzieci też.

Dwie zdrowe i silne dziewczynki! Juan, gratuluję – powiedział, podając mu pachnącą śródkiem odkażającym rękę.

Juan uśmiechnął się radośnie.

– Mogę je zobaczyć?

– Poczekaj chwilę, moja siostra jest z Rosario, kończy ją myć. Za chwilę będziesz mógł wejść.

– Jeszcze dwie córki! Widzę, że umiem robić tylko dziewczynki. – Juan nie mógł przestać się śmiać. – Wypijmy razem kieliszeczek – zaproponował.

Doktor Hidalgo też się uśmiechnął.

– Dobrze, ale tylko jeden. Mam jeszcze dwie pacjentki w zaawansowanej ciąży. Nie daj Boże, żeby wszystkie zaczęły rodzić tej nocy. Nigdy nic nie wiadomo, bo mówi się, że księżyc porusza morze, a burze poruszają rzeki...

Juan postawił na stole dwie szklanki i wlał do każdej trochę whisky.

Do salonu zajrzała Fina Hidalgo. Juan zobaczył ją i chciał odstawić szklankę.

– Spokojnie, pij sobie i jeszcze chwilkę poczekaj. Rosario jest wyczerpana, nigdzie ci nie ucieknie...

Ale Juan wypił jednym haustem i wyszedł do przedpokoju.

– Poczekaj – zatrzymała go Fina. – Jeszcze nie jest gotowa, zmienia koszulę, daj jej chwilę.

Ale on nie mógł czekać. Co sobie myślała ta stara panna? Że nie widział swojej żony nagiej? Wyobrażała sobie, że jak jego żona stała się brzemienna?

Minął ją z uśmiechem. Ale ona złapała go za ramię i przytrzymała.

– Jeszcze chwilką – prosiła.

Juan przestał się uśmiechać, a doktor Hidalgo krzyknął do siostry:

– Fina, co ty? Zwariowałaś? Daj mu wejść do żony!

W sypialni unosił się ostry, ciepły zapach krwi i potu, zmieszany z ostrym zapachem alkoholu do dezynfekcji. Rosario, w świeżej koszuli, stała obok kołysek dziewczynek. Juan spojrzął na nią, zaskoczony, i zmartwiało. Trzymała w rękach mały jasiek w jedwabnej poszewce, który zwykle

ozdabiał jej łóżko, i przyciskała go do twarzyczki noworodka.

– Rosario! Na Boga! Co robisz?! – krzyknął, odpychając ją od kołyski. Jednym ciosem powalił ją na łóżko.

Rosario była silną kobietą, ale w tamtej chwili osłabioną porodem. Leżała na łóżku i patrzyła na niego z powagą. Nic nie powiedziała, nawet nie jęknęła.

Zerwał jasiek z twarzy córki. Natychmiast wybuchnęła głośnym płaczem.

Doktor Hidalgo złapał dziecko, obmacał jego nosek i włożył do buzi kciuk, żeby sprawdzić, czy nie ma tam czegoś. Noworodek krzyczał rozdzierająco, wściekle marszcząc twarz.

– W porządku, Juan, nic jej nie jest, już w porządku.

Ale on nie słuchał, wpatrywał się w twarz córki i kręcił głową. Lekarz położył dłonie po obu stronach jego twarzy i zmusił go, żeby na niego spojrział.

– Nic jej nie jest, Juan, posłuchaj, jak płacze, nic jej się nie stało. Kiedy noworodek tak mocno płacze, to najlepszy dowód, że wszystko jest w porządku.

Wydawało się, że to do niego dotarło. Na ułamek sekundy napięcie zniknęło z jego twarzy, ale natychmiast wyrwał się i odwrócił w stronę drugiej kołyski. Druga dziewczynka nie płakała. Leżała nieruchomo, z rączkami uniesionymi do góry i rozwartymi piąstkami. Oczka miała zamknięte. Juan wyciągnął do niej rękę, ale jeszcze zanim jej dotknął, wiedział, że jest martwa.

Ranek był mroźny i mglisty. Ciężka od wody mgła zwiisała nisko nad ziemią, ale gdzieś tam musiało być niewidziane już od kilku dni słońce, bo jego jaskrawe, raniące oczy światło rozświetlało ją jakby od środka, przez co wydawało się, że tworzą ją mikroskopijne drobiny szkła. Amaia usiłowała trzymać się właściwego pasa. Wpatrywała się w białą linię. Tylko ją widziała przez boczne okno. Oczy ją szczypały od nieustannego wysiłku, żeby coś zobaczyć, i zmęczenie pogłębiało jeszcze wszechogarniającą frustrację. Nad ranem obudziła się ze snu, w którym mówiły do niej jakieś głosy. Słyszała ludzi, którzy rozmawiali ze sobą nie wiadomo o czym, jakieś przemowy docierały do niej z ciemności, jak ze źle nastrojonego radia z innego świata, zmieszane z błaganiami, płaczem i żądaniami, których nie mogła zrozumieć. Kiedy już się obudziła, czuła się nieudolna i zmieszana. Nie mogła się z tego otrząsnąć. Obudziła się na sofie, na której zasnęła w nocy. Ciotka otuliła ją kocem i podłożyła jej pod głowę jasiiek. Wstała i powlokła się do sypialni, w której na małżeńskim łóżku, wyciągnięty jak długi, leżał Ibai, zostawiając Jamesowi zaledwie brzeg materaca.

– Rozkładasz się zupełnie jak tatuś – szepnęła i wcisnęła się obok synka, żeby poleżeć chociaż kilka minut.

Rozkosznie śpiące dziecko przywróciło jej równowagę i wiarę, że wszystko jest w porządku. Ibai spał zupełnie bez ruchu, ufnie rozkładając rączki, jak łopaty wiatraka, ze spokojem, który jest udziałem sprawiedliwych. Usteczka miał półotwarte, ale spał tak cichutko, że od czasu do czasu nachylała się nad nim, żeby wyczuć jego oddech. Kiedy napawała się słodkim zapachem jego ciała, obudził się, jakby odpowiadał na jej wezwanie. Na jego ślicznej buzi pojawił się uśmiech. Natychmiast się nim zaraziła. Ale ta magiczna chwila trwała zaledwie kilka sekund. Zaczął się domagać jedzenia, wyciągając

niezgrabnie rączki do jej piersi, w której już nie było mleka. Oddała go Jamesowi. Zabrał go na dół, żeby go nakarmić, i po raz nie wiadomo który znowu pomyślała, że jako matka jest gównem warta.

Okazało się, że w sali odpraw jeszcze nie ma Jonana. Włączyła komputer, otworzyła pocztę i znalazła dwie wiadomości oznaczone jako ważne. Mail od doktora Franza, który, jak się wydawało, nabrał zwyczaju pisania do niej codziennie, i przesłana z poczty Jonana wiadomość od Złotego Grzebienia. Otworzyła tę drugą.

„Władczyni czeka na ofiarę”.

– No to jeszcze sobie poczeka – mruknęła i wyrzuciła wiadomość do kosza.

Doktor Franz także nie miał wiele do powiedzenia. List wydawał się poszerzoną kopią poprzedniego, z wyjątkiem krótkiego fragmentu, który przyciągnął jej uwagę: „Chyba powinna pani zbadać, skąd doktor Sarasola wiedział tyle o pani matce, o szczegółach terapii, a zwłaszcza o jej zachowaniu. Te kwestie są objęte tajemnicą lekarską. Najbardziej interesujące, skąd on to wszystko wie, biorąc pod uwagę, że nigdy nie był jej lekarzem. A wiem, że nie był, bo sprawdziłem”.

Przeczytała wszystko dwa razy i po raz pierwszy, od kiedy zaczęła je dostawać, nie usunęła wiadomości. Nie ulegało wątpliwości, że Tarttalo znał jej matkę, zanim trafiła do kliniki Santa María de las Nieves. Przez chwilę zastanawiała się, czy to możliwe, żeby ojciec Sarasola i tajemniczy gość widniejący na nagraniach byli tą samą osobą, ale odrzuciła tę hipotezę. Ksiądz i dyrektor Franz bardzo dobrze się znali, przynajmniej na tyle, żeby ten ostatni nie dał się oszukać okularami i sztuczną brodą. Do tego zarówno sylwetka, jak i wzrost księdza nie zgadzały się z tym, co udało im się ustalić na podstawie nagrań. Ale wątpliwość pozostała. Krążyła jej po głowie i nie dawała spokoju.

Wyszła na korytarz i poszła do pokoju podwładnych. Zabalza pracował, na wpół osłonięty ekranem laptopa. Zdał sobie sprawę, że weszła, dopiero kiedy stanęła tuż obok. Szybko wyłączył monitor. Amaia poczekała kilka sekund, aż odzyska

panowanie nad sobą.

– Dzień dobry, podinspektorze.

– Dzień dobry, szefowo.

Zwróciła uwagę na to, że słowo „szefowo” wymówił cicho, niemal niesłyszalnie.

– Mam dla pana zadanie. Proszę zapisać to nazwisko: Rosario Iturzaeta Belarrain. Chciałabym, żeby pan poszperał w rejestrach szpitala Virgen del Camino, szpitala Comarcal de Irún, kliniki Santa María de las Nieves i szpitala uniwersyteckiego. Potrzebuję list pracowników, którzy mieli z nią kontakt albo ją leczyli w czasie, kiedy była w tych placówkach albo przyjmowano ją na ostrym dyżurze.

Zabalza zanotował i spojrział na nią:

– Dużo tego.

– Wiem. Kiedy już będzie pan miał te listy, chciałabym, żeby je pan porównał i stwierdził, czy jest ktoś, kto pojawia się na więcej niż jednej.

– To potrwa kilka dni.

– Więc proszę zacząć od razu.

Odwróciła się i ruszyła do wyjścia. Czowała na plecach jego wrogie spojrzenie. Rozbawiło ją to.

– Aha, jeszcze coś – dodała, odwracając się raptownie.

Niemal roześmiała się na głos, kiedy zobaczyła jego minę: minę ucznia przyłapanego na ściąganiu.

– Proszę poszukać adresu Finy Hidalgo. To gdzieś w Rufinie albo Josefinie. Wiem tylko, że mieszka w dolinie Baztán. Niech pan sprawdzi w rejestrze urzędu miasta. Ta ostatnia sprawa jest bardzo pilna.

Kiwnął głową, nie podnosząc oczu.

– Czy wszystko jasne? – spytała złośliwie.

– Tak – wyszeptał.

– Co?

– Tak, wszystko jasne, szefowo.

Znów ją rozbawił. Ostatnie słowo wypowiedział tak, jakby utkwilo mu w gardle.

Wychodząc na korytarz, natknęła się na Jonana i Iriartego. Szli razem i rozmawiali.

Fina Hidalgo mieszkała w dużym kamiennym domu w miejscu, które można było uznać za centrum Irurity, drugiej pod względem wielkości miejscowości doliny Baztán. Dom miał dwa piętra, w okna rzucał się przeszklony *mirador*, rodzaj balkonu, który stał się modny pod koniec XVIII wieku, ale to, co wyróżniało jej posesję, to nadspodziewanie ozdobny ogród. Obu stron furtki strzegły wierzy płaczące, a do drzwi domu prowadziła dróżka z czerwonych łupkowych płyt, obramowana pierwiosnkami i ogromnymi, starannie poprzycinanymi krzewami lawendy. Wzrok przyciągały różnobarwne liście najrozmaitszych roślin ozdobnych, od złamanej zieleni po ciemne bordo. Wrażenie podkreślała czerwień cyklamenów ozdabiających parapety. Do domu przylegał ogromny przeszklony ogród zimowy. Jego szyby pokrywały od środka miliardy mikroskopijnych kropli wody. Fina Hidalgo zawołała od drzwi:

– Witam! Proszę tędy. Z pewnością szklarnia się pani spodoba
– dodała i weszła do środka.

Mimo że zatłoczone roślinami i bardzo wilgotne, było to przyjemne miejsce. Ciepłe powietrze mocno pachniało miętą.

– Człowiek jest niewolnikiem własnych przyzwyczajęń
– powiedziała Fina do Amai, nie przerywając pracy. Odcinała przyrosty jakiegoś kwiatu. Nachylała się, obcinała zbyteczne pędy własnymi paznokciami, już ubrudzonymi zielonym sokiem, i wyrzucała je do kosza.

Amaia przyjrzała jej się uważnie. Kalosze w zawiły turecki wzór, bryczesy do jazdy konnej i różowa bluza. Włosy, naturalnie rude, ale już trochę posiwiałe, zawiązała na karku sznurowadłem. Kiedy podniosła wzrok, żeby się do niej odezwać, zauważyła, że usta ma pomalowane blad różową szminką. Nadal było widać, że musiała być piękna, a i teraz prezentowała się atrakcyjnie. Miała około sześćdziesięciu pięciu lat. Zabalza powiedział, że niedawno przeszła na emeryturę, a stan ogrodu wskazywał na to, że ogrodnictwo jest jej największą pasją.

– Czekałam na panią. Pani kolega powiedział, że mnie pani odwiedzi. Już kończę i zaraz pójdziemy na herbatę. Jeśli nie

poobrywam teraz tych nowych pędów, zabiorą kwiatom całą energię – powiedziała niemal ze złością.

Wnętrze domu w niczym nie ustępowało ogrodowi. Wyraźnie było widać wiktoriańskie inspiracje: natłok ozdóbek, głównie porcelanowych. Całość była piękna, ale też oszałamiająca. Fina podała herbatę w delikatnych filiżankach i usiadła naprzeciwko Amaia.

– Mój brat już od dawna nie żyje. To on kupił ten dom, chociaż na szczęście urządzenie go zostawił mnie. Ta szklarnia to też był jego pomysł. Na początku nie byłam tym zachwycona, ale ogrodnictwo jest jak nałóg... Kiedy się raz zacznie, nie można przestać...

– Rozumiem, że była pani pielęgniarką i pracowała z bratem.

– Nie miałam innego wyjścia. Brat był dobrym człowiekiem, ale starej daty. Był ode mnie niemal dwadzieścia lat starszy. Rodzice spłodzili mnie w takim wieku, że wydawało się to już niemal niemożliwe. Biedacy, zmarli jedno tuż po drugim, kiedy miałam czternaście lat, a przed śmiercią wymogli na bracie, żeby obiecał, że zawsze się będzie mną opiekował. Widzi pani, zupełnie jakbyśmy my, kobiety, nie umiały o siebie zadbać same. Wyobrażam sobie, że mieli dobre zamiary, ale on potraktował to dosłownie. Więc studiowałam pielęgniarstwo – proszę zauważyć, że nie medycynę, tylko pielęgniarstwo – i zostałam jego asystentką.

– Rozumiem – powiedziała Amaia.

– I byłam nią aż do chwili, kiedy przeszedł na emeryturę. Dopiero wtedy mogłam zacząć pracować poza doliną, w szpitalach, z innymi lekarzami. A teraz ja też jestem emerytką! No coś takiego! I odkryłam, że lubię tu mieszkać, lubię tu być.

Amaia uśmiechnęła się do niej. Rozumiała, co ma na myśli.

– Pomagała pani bratu odbierać porody?

– Tak, oczywiście. Mam też dyplom położnej.

– Narodziny, o które chcę zapytać, miały miejsce w czerwcu 1980 roku.

– Och, to znaczy, że mam to w archiwum. Proszę ze mną

– powiedziała, wstając.

– Przechowuje pani kartoteki?

– Tak. Brat miał dwa gabinety. Jeden w Elizondo, drugi tutaj, w domu. To typowe dla wiejskich lekarzy. Kiedy przeszedł na emeryturę, zamknął gabinet w Elizondo i przeniósł wszystko tutaj.

Weszły do gabinetu, który równie dobrze mógłby być klubem angielskich palaczy: wspaniała kolekcja fajek zajmowała całą ścianę, rywalizując z drugą, zapehioną starymi stetoskopami i trąbkami do osłuchiwania. Amaia wspomniała to, co powiedział San Martín o zwyczajach lekarzy: że często kolekcjonują przedmioty związane ze swoją profesją.

Fina zapisała datę na kartce.

– Powiedziała pani: rok 1980?

– Tak.

– Nazwisko pacjentki?

– Rosario Iturzaeta.

Podniosła głowę, zaskoczona.

– Pamiętam tę pacjentkę, miała rozstrój nerwowy. Tak się kiedyś mówiło o neurotykach.

Nie wiedząc dobrze dlaczego, Amaia poczuła się niepewnie.

– Nie chodzi mi o kartę jej choroby, tylko o porody. Czy będę potrzebowała nakazu sądowego?

– Jeśli o mnie chodzi, to nie. Mój brat nie żyje, pacjentka najprawdopodobniej też. Pani jest policjantką, może pani zdobyć ten nakaz, ale po co tak komplikować sprawy – powiedziała, wzruszając ramionami.

– Dziękuję.

Fina uśmiechnęła się, a potem znów nachyliła nad kartoteką. Amaia znowu pomyślała, że w młodości musiała być prawdziwą pięknością.

– Tutaj jest – powiedziała, podnosząc skoroszyt. – Nielicha kupa papierów. Zobaczmy porody. Tak... pierwszy w 1973 roku, poród siłami natury, bez komplikacji, dziewczynka wyglądająca na zdrową, imię: Flora. Drugi w 1975 roku, siłami natury, bez komplikacji, dziewczynka wyglądająca na zdrową, imię: Rosaura. Trzeci, 1980 rok, siłami natury, bliźniaczy, bez komplikacji, dwie dziewczynki wyglądające na zdrowe, nie

podano imion.

Serce Amai zaczęło bić jak szalone. Z jaką łatwością ta kobieta potwierdziła przed chwilą, że miała bliźniaczkę. Wyrwała jej poźółkłą kartę z rąk.

– Wyglądające na zdrowe? Gdyby jedna z nich była chora albo umarła, zostałyby to tutaj odnotowane?

– Nie. W tamtych czasach porody domowe odbierało się bez specjalnych ceregieli. Widzi pani, że nie wpisywało się nawet wagi ani wzrostu noworodków. Robiło się test Apgar i rutynowo oglądało. „Wyglądające na zdrowe” to tylko formuła, nic więcej. Gdyby jedno z dzieci miało na przykład wrodzoną wadę serca, nie zostałyby wykryta, chyba że byłaby tak poważna, że skutki objawiłyby się już przy narodzinach.

– A jeśli, dajmy na to, jednemu z dzieci trzeba było zrobić zabieg chirurgiczny? Obciąć kończynę na przykład?

– Zrobiono by to w szpitalu. Proszę wziąć pod uwagę, że w domach wykonywało się tylko zabiegi pielęgnacyjne i małą chirurgię.

– A gdyby jedno z dzieci umarło?

– Jeśli umarło tutaj, w dolinie, to z pewnością mam kopię aktu zgonu. W tamtych czasach to mój brat podpisywał wszystkie akty zgonu. Mówię o tych, którzy umarli tutaj, w dolinie, a nie w którymś ze szpitali w Pampelunie.

– Mogłaby pani poszukać tego aktu?

– Oczywiście. To będzie trochę bardziej skomplikowane, bo nie mamy imion noworodków.

Amaia znów przejrzała kartę porodu i zauważyła, że rzeczywiście nie ma imion dziewczynek, i przypomniała sobie, że ona też miała kłopot z wybraniem imienia dla Ibaia, zanim się urodził. Czyżby odziedziczyła to po matce?

Fina podeszła do drugiej szafy i wyciągnęła kartonowy skoroszyt z wypisanym rokiem.

– Pewnie umarła w tym samym roku?

– Tak, sądzimy, że wkrótce po urodzeniu.

Po jakiejś minucie Fina wyjęła kartę.

– Tu ją mamy: córka świeżo narodzona Juana Salazara i Rosario Iturzaety. Przyczyna zgonu: och! Tak, śmierć

łózczkowa.

Amaia spojrzała na nią pytająco.

– Śmiercią łózczkową nazywano kiedyś zespół nagłej śmierci niemowląt – powiedziała, podając jej kartę. – To każe przypuszczać, że z tą dziewczynką coś było nie tak.

– Była chora?

– No cóż, może chora nie, ale są rzeczy, których nie da się wykryć natychmiast po urodzeniu. Wychodzą na jaw po kilku godzinach.

– Nie rozumiem.

– Jakieś opóźnienie w rozwoju na przykład albo wada wrodzona. Niemal wszystkie noworodki mają głowę wydłużoną, jakby zniekształconą, a twarz spłaszczoną od przepychania się przez kanał rodny. Mają też lekkiego zęza, ale dopiero po kilku godzinach od porodu niektóre rzeczy stają się oczywiste.

– Tak... – odparła Amaia powoli. – Ale nie muszą koniecznie skończyć się śmiercią...

Fina stała przy biurku, ręce opierała po obu stronach kartonowego skoroszytu. Popatrzyła uważnie na Amaię i na jej usta wypełził krzywy uśmiešek.

– Więc jest pani jedną z takich?

Amaia poczuła, że włosy jeżą jej się na karku, i natychmiast rozpoznała to nieprzyjemne uczucie. Było podobne do odkrycia, że piękna kwitnąca pelargonja, kiedy się spojrzy z bliska, okazuje się pokryta larwami i robactwem.

– Jedną z jakich? – spytała, wiedząc z góry, że odpowiedź jej się nie spodoba.

– Jedną z tych, co to podnoszą krzyk pod niebiosa, nie wiedząc nawet, o czym mówią. Ale z pewnością jest pani zwolenniczką aborcji w przypadku, gdy płód jest uszkodzony neurologicznie.

– Ależ noworodek nie jest płodem.

– Nie? Jestem otóż położną i widziałam tysiące noworodków i setki aborcji, i nie widzę aż tak wielkiej różnicy.

– Są różnice. Najważniejsza polega na tym, że noworodek jest autonomicznym bytem, niezależnym od matki. Tak stanowi prawo.

– Cha, cha! Prawo! – powiedziała kobieta, przeciągając ręką po włosach. – Śmieję się z takiego prawa. Ma pani pojęcie, co oznacza dla rodziny, która ma już troje albo czworo dzieci, użerać się z jeszcze jednym, a co dopiero z upośledzonym?

– Moment, czy właśnie mówi mi pani, że wraz z bratem... zabijaliście obarczone wadami nowo narodzone dzieci?

– Och, mój brat nie. On był taki jak pani, moralizujący świętoszek, który nie ma pojęcia o życiu. No a ja... cóż, nie mam problemu z przyznaniem się. Zresztą te wykroczenia już się przedawniły. W większości przypadków zajmowała się tym sama rodzina. Tylko niektórym musiałam pomóc, bo nie mieli odwagi z powodu tych wszystkich głupot o owocu żywota twego, ale oni się tego wyprą, tak jak ja, a oficjalnie były to śmierci łóżeczkowe i koniec. Do tego lekarz, który wypisał akty zgonu, w tym przypadku mój brat, był człowiekiem cieszącym się nieposzlakowaną opinią i już nie żyje.

– Wykroczenia?! – oburzyła się Amaia. – Nazywa to pani wykroczeniami? To zabójstwa.

– Och, na Boga! – krzyknęła kobieta ze sztuczną afektacją, która natychmiast zamieniła się w absolutną pogardę. – Niech pani przestanie pierdolić!

Amaia zmierzyła ją wzrokiem od stóp do głów. Uroczą damą w różowej bluzeczce i kaloszach, która poświęciła życie uprawie azalii i sprowadzaniu na świat dzieci, była pozbawioną sumienia psychopatką. Czuliła, że jest coraz bardziej wściekła, że wściekłość zajmuje miejsce zaskoczenia. Zaczęła się zastanawiać, jak można by ją postawić w stan oskarżenia, i zdała sobie sprawę, że Fina ma rację: nie mogli udowodnić, że popełniła zbrodnię, które już się przedawniły. Wystarczyłoby, żeby wszystkim zaprzeczyła, i nawet nieudolny adwokat z łatwością doprowadziłby do jej uniewinnienia.

– Zabieram ten akt – powiedziała, patrząc jej w oczy.

Fina wzruszyła ramionami.

– Proszę zabrać, co się pani podoba. Przepadam za współpracą z policją.

Amaia odwróciła się i wyszła, błogosławiąc panujące na dworze zimno. Pomogło jej zwalczyć uczucie, że zaraz się udusi.

Szła już do furtki, kiedy Fina drwiącym tonem powiedziała za jej plecami:

– Może narwać pani kwiatów na bukiet?

Amaia odwróciła głowę i spojrzała na nią z ukosa.

– Sama pójdziesz! – wyrwało jej się, ni stąd, ni zowąd.

Uśmiech na twarzy Finy zastygł, a całe jej ciało zaczęło się trząść, jakby w tej właśnie chwili poczuła arktyczne zimno. Znów spróbowała się uśmiechnąć, ale jej usta wykrzywił grymas. Podniosły się, ukazując dąsła i zęby wyszczerzone jak u psa. Wszelkie ślady minionej urody zniknęły.

Amaia przyspieszyła. Z bijącym sercem wsiadła do samochodu i dopiero wyjeżdżając z miasteczka, zorientowała się, że trzyma w palcach poźółkłą kartę i przyciska ją do kierownicy.

– Sama pójdziesz! – powtórzyła z niedowierzaniem.

Była to obronna formuła magiczna, rodzaj ochrony przeciwko czarownicom. Od niemal trzydziestu lat jej nie słyszała. Stała przed nią jak żywa postać *amatxi* Juanity. Mówiła do małej Amai: „Kiedy zdasz sobie sprawę, że masz do czynienia z czarownicą, zrób tak z palcami” – i przekładała jej kciuk między palcem wskazującym a serdecznym, tworząc figę. „A jeśli się do ciebie odezwie, odpowiedz: «Sama pójdziesz». To przekleństwo czarownic. Muszą iść same i nigdy, przenigdy nie odpoczywają, nawet po śmierci”. Wzruszyło ją, że to wspomnienie jest tak świeże, chociaż przez tyle lat było pogrzebane w niepamięci. Ale czuła się też zakłopotana, że rzuciła zaklęcie, że ta okropna kobieta zmusiła ją, żeby to zrobiła. Zatrzymała się na poboczu i zadzwoniła do urzędu miejskiego w Baztán, żeby zapytać o grabarza, a potem pojechała prosto na cmentarz w Elizondo.

Biuro grabarza było w istocie betonowym sześcianem usytuowanym w górnej części cmentarza, niezbyt dobrze widocznym z daleka. Przysłaniały go wysokie grobowce z kryptami, które Amai żywo przypomniały Nowy Orlean. W środku stał stolik i krzesło, a do tego liny, szczotki, zdemontowane rusztowania, stojaki, drągi, łopaty i taczki. W rogu stały dwie metalowe szafki, zamknięte na klucz, a na ścianie wisiał kalendarz z kociakami w koszyku, który w tym

miejscu robił dziwne wrażenie. Starszy pan w niebieskim roboczym kombinezonie nachylał się nad stolikiem. Wyprostował się, kiedy usłyszał, że ktoś wchodzi, i Amaia spostrzegła, że na blacie stoi radio tranzystorowe, a obok leży kilka baterii.

– Aha! To pani dzwoniła w sprawie dokumentacji.

Amaia przytaknęła.

– Ta z 1980 roku jest tutaj – powiedział. Wstał i poklepał metalową szafkę. – Nowe rejestry są już w komputerach, a te trzeba by... Ale to zajmuje czas, a zresztą... – Wzruszył ramionami, jakby chciał dodać: po co to komu?

Wyciągnął z szafki zeszyt w sztywnej okładce, na której wypisano rok, i położył go na stole. Bardzo ostrożnie rozprostował na blacie akt zgonu, który mu podała, i przesuwając palcem po kartce zeszytu, sprawdzał jedno po drugim wpisane tam ręcznie nazwiska.

– Tu nie ma – stwierdził, podnosząc głowę.

– To, że nie ma imienia, może utrudnić sprawę?

– Nie, znaleźlibyśmy po dacie i przyczynie zgonu. Nie ma.

– Może jest gdzie indziej.

– Nie ma innej książki, jest jedna na każdy rok, a i tak nigdy nie dochodzimy do końca – powiedział, kartkując końcowe, niezapisane strony zeszytu. – Jest pani pewna, że pochowano ją na tym cmentarzu?

– A gdzie mogliby ją pochować? To rodzina z Elizondo.

– No dobrze, może i z Elizondo, ale może któryś z dziadków pochodził z innego miasta. Tam mogli pogrzebać to dzieciątko.

Wyszła z kantorka, złożyła na czworo kartkę, schowała ją do wewnętrznej kieszeni płaszcza i ruszyła w stronę grobu babci Juanity. Strzegł go mały żeliwny krzyż z jej imieniem. Po lewej był grób dziadka, którego nigdy nie poznała, a tuż za nimi mogiła, na którą przez całe lata starała się nawet nie patrzeć. Grób jej ojca. To zdumiewające, że pamiętała każdy szczegół dnia, w którym ciotka zadzwoniła, żeby ją powiadomić, że umarł, choć ona już o tym wiedziała. Wiedziała, zanim jeszcze rozbrzmiał dzwonek telefonu, i w tej jednej sekundzie cała oziębłość, całe milczenie, które ich rozdzieliło – ojca i córkę –

zwały się na nią jak bezterminowy wyrok, bo czas właśnie przestał istnieć. Spojrzała kątem oka na jego imię wypisane na krzyżu, poczuła uderzenie bólu i zadała sobie to samo co zawsze pytanie: jak mogłeś na to pozwolić?

Cofnęła się o krok i spojrzała krytycznie na ziemię. Porastała ją trawa i nic nie wskazywało na to, żeby ktokolwiek w niej grzebał. Poszła w górę, niemal do końca cmentarza. Przeszła obok grobu Ainhoy Elizasu, dziewczynki, której śmierć stała się przyczyną jej powrotu do Baztán. Musiała poprowadzić to śledztwo, najcięższe w swoim życiu. Zobaczyła kwiaty i szmaccianą laleczkę. Ktoś je zostawił na grobie. W głębi zauważyła stary grób, w którym zostali pochowani jej pradiadkowie i jacyś inni krewni, zmarli na długo przed jej narodzinami. Ozdabiający go żelazny łańcuch zardzewiał, a spływające po nim deszcze wyłobiły w nagrobnej płycie brudnopomarańczową bruzdę. Ciężka płyta była nietknięta.

Zawróciła, żeby przejść przez centralną część cmentarza, i zbliżając się do ustawionej pośrodku krzyżujących się ścieżek kolumny krzyżowej, zobaczyła Florę. Z lekko pochyloną głową stała bez ruchu przy grobie Anne Arbizu. Zaskoczona Amaia krzyknęła:

– Flora!

Jej siostra odwróciła się i Amaia zauważyła, że ma wilgotne oczy.

– Amaia! Co ty tu robisz?

– Spaceruję – skłamała, robiąc parę kroków w jej stronę.

– Ja też – powiedziała Flora. Oddaliła się od grobu i nie patrzyła na Amaię.

Poszła za nią i kilka metrów szły powoli, nie rozmawiając i nie patrząc na siebie.

– Floro? Wiesz może, czy nasza rodzina ma jeszcze jakiś grobowiec albo grób na tym albo na innym cmentarzu w dolinie?

– Nie. I pozwól, że ci powiem, że to wstyd, że tak się rzeczy mają. Pradiadkowie na górze, dziadkowie i *aita* na dole. Porozrzucani po całym cmentarzu, jak biedacy.

– To dziwne, że nasi rodzice nie wykupili grobowca. To

niepodobne do amy. Wydaje mi się dziwne, że o tym nie pomyślała i zgodziła się, żeby po śmierci pochowano ją obok *amatxi* Juanity.

– Mylisz się. *Ama* zgodziła się, żeby aite pochowano obok *amatxi*, bo on tego chciał, ale ona nigdy nie należała w pełni do tej doliny. Zostawiła dyspozycję, żeby ją pochowano w San Sebastián, w grobowcu, który jej rodzina ma na cmentarzu Polloe.

Amaia stanęła jak wryta.

– Jesteś tego pewna?

– Tak. Od lat mam napisaną jej własną ręką ostatnią wolę, ze wskazówkami dotyczącymi pogrzebu i pochówku.

Amaia pomyślała chwilę i zapytała:

– Floro, miałas siedem lat, kiedy się urodziłam. Co pamiętasz z tamtych czasów?

– Co za pytanie. Jak możesz ode mnie wymagać, żebym coś pamiętała?

– Nie wiem. Ale nie byłaś taka malutka, coś tam z pewnością pamiętasz.

Flora pomyślała chwilę i powiedziała:

– Pamiętam, że karmiłam cię z butelki, i Ros też. *Aita* nam pozwalał. Szykował butelkę, kładł cię nam na kolanach, kiedy siedziałyśmy na sofie, i karmiłyśmy cię po kolei. Myślę, że wydawało nam się to zabawne.

– A *ama*?

– No cóż, w tamtych czasach już była chora na nerwy. Biedaczka, tyle wycierpiała...

– Tak – odpowiedziała Amaia zimnym głosem.

Flora odwróciła się do niej, jakby uderzona piorunem.

– Słuchaj, jak chcesz rozmawiać, to rozmawiajmy, ale jeśli znowu zaczniesz, to sobie pójdę – powiedziała i ruszyła w stronę bramy.

– Flora, poczekaj!

– Nie, nie poczekam.

– To dla mnie ważne. Chcę się dowiedzieć, co się wtedy stało.

Nie odwracając się, Flora podniosła rękę na znak pożegnania, doszła do ogrodzenia i opuściła cmentarz.

Amaia westchnęła, czuła się pokonana. Wróciła do grobu Anne Arbizu. Wydawało jej się, że coś na nim leży. Wzięła do ręki mały przedmiot. Orzech włoski. Błyszczał i Amaia domyśliła się, że jej siostra trzymała go w ręce na chwilę przed ich spotkaniem. Orzech. Zostawiła go tam, gdzie był, i poszła śladem Flory, do wyjścia. Zadzwoiła jej komórka. Zdziwiona popatrzyła na wyświetlacz: Flora.

– *Ama* miała przyjaciółkę. Nazywa się Elena Ochoa i mieszka w białym domu przy rynku. Nie wiem, czy będzie chciała z tobą rozmawiać. Przed wielu, wielu laty ona i *ama* się pokłóciły, przestały ze sobą rozmawiać i nigdy już się nie spotkały. Myślę, że ona znała ją wtedy najlepiej. Mam tylko nadzieję, że okażesz szacunek i nie będziesz obmawiała naszej matki. Obym nie musiała żałować, że do ciebie zadzwoniłam.

I rozłączyła się.

– Wiem, kim jesteś – powiedziała na widok Amai. – Twoja matka i ja byłyśmy przyjaciółkami, ale od tego czasu upłynęło wiele lat. – Usunęła się na bok, żeby ją wpuścić. – Chcesz wejść?

Korytarz był bardzo wąski i na domiar złego zastawiony ogromnym, zagradzającym przejście kredensem. Amaia zatrzymała się. Czekala, aż Elena Ochoa wskaże jej drogę.

– Pójdziemy do kuchni – szepnęła.

Amaia weszła w pierwsze drzwi po lewej i poczekała. Elena Ochoa podsunęła jej oparte o ścianę krzesło.

– Chcesz kawę? Właśnie miałam zamiar się napić.

Potwierdziła, choć nie miała ochoty na kawę. Elena sprawiała wrażenie bardzo skrupowanej, choć niewątpliwie starała się być uprzejma. Ale w jej zachowaniu wyczuwało się powstrzymaną histerię. Wydawała się przez to emocjonalnie niezrównoważona i wrażliwa. Postawiła filiżanki na tacy na kuchennym stole i usiadła przy jego drugim końcu. Wsypując cukier do kawy, rozsypała trochę na obrus.

– O Boże! – wykrzyknęła ze zbytnią emfazą.

Amaia poczekała, aż posprząta i usiądzie. Udawała, że jest zainteresowana kawą.

– Bardzo dobra – pochwaliła.

– Tak – odpowiedziała Elena, jakby myślała o czymś innym. Podniosła wzrok i popatrzyła na Amaię. – Ty jesteś Amaia, prawda? Najmłodsza.

Amaia potwierdziła.

– Kiedy się urodziłaś, już się nie spotykałyśmy. Bardzo to przeżyłam, bo bardzo lubiłam twoją matkę. – Przerwała na chwilę. – Naprawdę ją kochałam i dużo mnie kosztowało to, że nasza przyjaźń się skończyła. Nie miałam innych przyjaciółek i kiedy twoja matka tu przyjechała, stałyśmy się nierozłączne. Wszystko robiłyśmy razem, chodziłyśmy na spacer, dbałyśmy o dzieci, bo ja także mam córkę, w wieku twojej najstarszej siostry. Chodziłyśmy na zakupy, do parku, ale przede wszystkim rozmawiałyśmy.

Amaia pokiwała głową, zachęcając ją, żeby mówiła dalej.

– Tak więc kiedy między nami się popsuło... no cóż... to było dla mnie bardzo smutne. Myślałam, że z czasem zmieni zdanie i może... Ale wiesz sama, że to się nigdy nie stało.

Podniosła filiżankę i niemal się za nią ukryła.

– Co może tak bardzo poróżnić dobre przyjaciółki?

– Jedyne, co może wtargnąć między dwie kobiety.

– Popatrzyła na Amaię i pokiwała głową. – Mężczyzna.

Amaia pomyślała o tym, jak zachowywała się jej matka. Czyżby była ślepa? Czy stronniczość, stronniczość córki, nie pozwoliła jej zobaczyć w matce kobiety, kobiety mającej kobiece potrzeby? Czyżby naprawdę to przez mężczyznę jej matka straciła równowagę psychiczną? Nie była wolna i nie mogła z nim odejść, bo takie rzeczy są niemożliwe w tak zachowawczym i zamkniętym środowisku jak dolina Baztán.

– Moja matka miała kochanka?

Elena otworzyła szeroko oczy.

– Ależ nie! No skąd! Kto ci coś takiego naopowiadał? Nie, to nie o to chodziło.

Amaia podniosła rękę, domagając się wyjaśnień.

– To miała być grupa zajmująca się ćwiczeniem ekspresji cielesnej i emocjonalnej. Te rzeczy były bardzo modne w latach siedemdziesiątych. Wiesz, ta stara ezoteryczna śpiewka: relaksacja, tantra, joga, medytacja, wszystko wymieszane.

Spotykaliśmy się w pewnym *caserío*. Właścicielem był bardzo atrakcyjny mężczyzna, dobrze ubrany i elokwentny, psycholog albo coś podobnego. Nie wiem, czy w ogóle miał jakiś tytuł uniwersytecki. Z początku to było zabawne. Mówiliśmy o cywilizacjach pozaziemskich, o porwaniach przez UFO, o podróżach astralnych i innych takich głupstwach. Ale stopniowo te tematy się kończyły i zaczęliśmy się skupiać na czarach, magii, symbolach magicznych, tradycjach czarownictwa w dolinie. Mnie to się przestało podobać, ale twoja matka była zafascynowana. Zresztą muszę przyznać, że to mogło się wydawać interesujące. A ona bardzo lubiła sekrety, tajne spotkania, podobało jej się, że należy do grupy...

Spuściła głowę i siedziała w milczeniu. Amaia czekała, aż zacznie mówić dalej, ale zdała sobie sprawę, że kobieta odpłynęła gdzieś daleko.

– Elena – powiedziała cicho.

Elena uniosła głowę i uśmiechnęła się nieprzytomnie.

– Co się stało? Dlaczego pani odeszła?

– Przez ofiary.

– Ofiary?

– Koguty, koty, barany...

– Zabijali zwierzęta?

– Nie, składali je w ofierze. Na różne sposoby, a główną rolę odgrywała krew. Przywiązywali do tego wielką wagę. Zbierali krew do drewnianych misek, a potem przechowywali ją w butelkach. Dodawali coś, co ją utrzymywało w stanie płynnym. Ja nie mogłam, wydawało mi się to niewłaściwe... Zrozum, wychowałam się na wsi, to oczywiste, że u nas w gospodarstwie zabijało się kury, króliki, nawet świnie, ale nie w ten sposób. W tym właśnie czasie dowiedzieliśmy się, że nie jesteśmy jedyną taką grupą. Nasz nauczyciel, bo tak go nazywaliśmy, opowiadał nam, że jest kilka grup, rozproszonych po całej Nawarze. Niekiedy nie było go dość długo, bo jeździł do nich. Zapowiedział, że odwiedzi nas grupa z Lesaka, z której był wyjątkowo zadowolony. Mówił, że pomogą nam uzupełnić wiedzę i osiągnąć następny stopień wtajemniczenia. Było to kilkanaście osób, kobiet i mężczyzn. Cały czas mówili

o ofiarowaniu, jakby to było coś specjalnego. My już przedtem, niech mi Bóg przebaczy, robiliśmy to z małymi zwierzątkami, i już to mnie przerażało, więc spytałam jednego z tych mężczyzn, o co chodzi. Popatrzył na mnie, jakby się czuł łaski pełny, i powiedział: „Ofiarowanie to ofiarowanie. Zabicie kota albo owcy to złożenie w ofierze, a ofiarować można tylko człowieka”. Nie jestem delikatna, dziadkowie opowiadali mi różne historie, także o tym, że kiedyś żyły czarownice, które zabijały dzieci i je zjadały, ale zawsze uważałam, że to tylko takie gadanie albo bajki. No a tu po kilku tygodniach nauczyciel wrócił z podróży bardzo zadowolony i powiedział, że ci z Lesaka już dokonali ofiarowania. Pomyślałam, że to chyba tylko jakiś mistycyzm albo ta aura, którą lubił się otaczać, bo nie wierzyłam do końca, że coś takiego jest możliwe. Ale z drugiej strony zaczęłam szukać w gazetach, czy nie znajdę jakiejś wiadomości, że zaginęło jakieś dziecko albo że zostało znalezione nieżywe. Nic takiego nie znalazłam, ale mnie już zupełnie przestało się to podobać. Porozmawiałam z twoją matką i powiedziałam jej, co o tym myślę i że powinnyśmy to zostawić, a ona się na mnie strasznie wściekła. Powiedziała, że nie rozumiem, jak ważne jest to, co robimy, i że nie zdaję sobie sprawy z władzy tego, o kim mówimy. No, jednym słowem zrozumiałam, że ma całkiem wyprany mózg. Zarzuciła mi, że jestem zdrażczynią, i pokłóciłyśmy się raz na zawsze. Ja już nigdy nie poszłam na spotkanie grupy, ale przez długie miesiące dostawałam od nich upomnienia.

– Upomnienia?

– Tak. Innym wydawałoby się to bez znaczenia, ale już ja dobrze wiedziałam, o co chodzi.

– Na przykład co to było?

– Różne rzeczy... Kilka kropli krwi pod drzwiami mojego domu, jakieś pudełeczko, w którym była wiązka ziół związana zwierzęcą sierścią. Któregoś dnia moja córeczka wróciła ze szkoły i przyniosła w rączce kilka włoskich orzechów, które jakaś kobieta jej dała po drodze.

– Orzechów? Co to miało znaczyć? – spytała, myśląc o orzechu, który Flora położyła na grobie Anne Arbizu.

– Orzech włoski symbolizuje władzę *belagile*. W jego jądrze, w tym małym mózgu, czarownica koncentruje swoją złą wolę. Jeśli da orzech dziecku, a ono go zje, zachoruje od tego.

Amaia zauważyła, że wykręca sobie złożone na podolku ręce. Była bardzo zdenerwowana.

– Jak pani sądzi, dlaczego przysyłali pani te upomnienia?

– Żeby mi przypomnieć, że mam nikomu o nich nie mówić.

– A moja matka nadal chodziła na te spotkania?

– Jestem pewna, że tak, chociaż ja oczywiście jej nie widziałam, ale samo to, że już nigdy się do mnie nie odezwała, tego dowodzi.

– Mogłaby pani sporządzić listę osób, które brały w tym udział?

– Nie – powiedziała spokojnie. – Tego nie zrobię.

– Nadal się spotykają?

– Nie.

– Może mi pani powiedzieć, gdzie odbywały się te spotkania?

– Chyba mnie pani nie rozumiała. Gdybym to zrobiła, coś okropnego przydarzyłoby się mojej rodzinie.

Amaia przyjrzała się jej lepiej i zrozumiała, że naprawdę jest o tym przekonana.

– No dobrze, Eleno, proszę się nie martwić. Bardzo mi pani pomogła – powiedziała, wstając. Zauważyła, że Elenie natychmiast ulżyło. – Ale jest jeszcze coś.

Elena znów zeszywniała.

– Czy waszej grupie zaproponowano składanie ofiar z ludzi?

Elena się przeżegnała.

– Proszę już iść – powiedziała, popychając ją przez ciasny korytarz. – Proszę iść. – Otworzyła drzwi i dosłownie wypchnęła ją na zewnątrz.

Było już niemal południe. Jechała powoli do domu ciotki, ciesząc się nieśmiałymi promieniami słońca, którym udało się prześlizgnąć między chmurami. Dzięki temu w samochodzie było przyjemnie ciepło.

– O, jest już Amaia – usłyszała głos siostry, gdy tylko przekroczyła próg.

Usiadła na schodach, żeby zdjąć botki, i w skarpetkach poszła przywitać się z Jamesem. Stał na środku salonu i z Ibaiem na rękach. Kołysał go jak w tańcu. Podeszła i ucałowała śpiące dziecko.

– James, jesteś nadzwyczaj utalentowany. Udało ci się tak ukołysać syna, że zasnął.

Uśmiechnął się.

– No cóż, przyłapałaś nas na wolnym kawałku, ale zdarza nam się tańczyć salse, sambę, a nawet tango.

Ciotka Engrasi, która wyszła z kuchni z bagietką w ręku, potwierdziła.

– Możesz mi wierzyć: twoi chłopcy to profesjonalni tancerze.

Nagle Amaia przypomniała sobie o czymś i poszła za ciotką do kuchni.

– Ciociu, pamiętasz tego człowieka, który dba o ogród w Juanitaenei? Tego Estebana? Powiedziałaś, że porozmawiasz z nim i powiesz, że nadal będzie mógł się zajmować warzywnikiem.

– Już to zrobiłam. Trochę go to uspokoiło.

– No nie wiem. Kilka dni temu zobaczył mnie i schował się w krzaki. Spoglądał spode łba. Prawie o tym zapomniałam, bo to było tego dnia, kiedy wróciłam z gorączką, ale wcale nie wyglądał przyjaźnie.

– Boję się, córciu, że nic się z tym nie da zrobić. To człowiek opryskliwy i trudny. Kiedyś taki nie był, ale życie go nie głaskało. Jego żona wiele lat cierpiała na depresję, prawie nie

wychodziła z domu. Któregoś dnia, kiedy wrócił z pracy, znalazł ją nieżywą. Był przy tym ich syn, miał wtedy coś koło jedenastu czy dwunastu lat. Ludzie mówili, że był bardzo związany z matką i że to go załamało. Wysłano go potem do szkoły za granicę, chyba do Szwajcarii. Esteban wszystko mu poświęcił, a on, kiedy raz stąd wyjechał, nigdy nie wrócił. Na początku Esteban jeszcze o nim opowiadał, że jest bardzo uzdolniony, że pojechał do Stanów Zjednoczonych, że to ktoś nadzwyczajny, ale z biegiem lat przestał mówić nawet o tym. Teraz już niemal się nie odzywa, chyba żeby wspomnieć o roślinach uprawnych, a i tego stara się unikać. Sądzę, że najprawdopodobniej on też ma depresję. To bardzo rozpowszechniona dolegliwość w naszej okolicy.

James położył Ibaia do łóżeczka i usiedli do stołu.

– Jak miło widzieć was wszystkich razem – powiedziała Engrasi.

Amaia zrobiła smutną minę.

– Wiecie, jaką mam pracę... Zresztą teraz, zaraz po obiedzie, muszę pojechać do San Sebastián.

James nie ukrywał niezadowolenia.

– Wrócisz na noc?

– Jeśli znajdę to, po co jadę. Ale niewykluczone, że nie.

James nic nie powiedział, ale do końca posiłku był bardzo milczący. Nie było to dla niego typowe.

– Do San Sebastián... – powtórzyła ciotka w zamyśleniu.

– Wrócę najszybciej, jak będę mogła.

– Za kilka dni mam wernisaż w Guggenheimie. Mam nadzieję, że będziesz mogła przyjść.

– To jeszcze dużo czasu – odparła Amaia.

– Tym razem też będzie ci towarzyszył sędzia?

Ciotka i Ros przestały jeść i popatrzyły na nią.

– Nie, James, tym razem nie będzie mi towarzyszył, chociaż przydałby się, bo jadę na cmentarz, po zwłoki dziecka, więc z pewnością będę potrzebowała pozwolenia na ekshumację. To będzie nadzwyczaj przyjemna i wesoła wyprawa, więc sędzia też byłby zachwycony – powiedziała z przekąsem.

James opuścił głowę. Żałował, że zapytał. Amaia czuła, jak

narasta w niej złość. W głębi serca wiedziała, że to mechanizm obronny, że broni się przed podejrzeniami męża. Czyżby usprawiedliwionymi? Jej komórka zawibrowała na stole. Bzyczała nieprzyjemnie, jak wielka zdychająca mucha. Odebrała, nadal patrząc na Jamesa.

– Salazar – powiedziała krótko.

Jeśli nawet Iriarte zauważył, że jest wściekła, nic nie dał po sobie poznać.

– Szefowo, mamy strzały z broni palnej w prywatnym domu. W pobliżu Gilxaurdi.

– Są zabici? Ranni?

– Nie. Jakaś kobieta twierdzi, że strzeliła do kogoś, kto wdarł się do domu.

Już miała odpowiedzieć, że sami mogą się tym zająć, kiedy usłyszała:

– Jonan twierdzi, że dobrze by było, żeby pani przyjechała. To dość nietypowy przypadek przemocy domowej.

Parterowy dom był otoczony zaniedbanym ogrodem, w którym ktoś wyciął wszystkie krzaki i rośliny na wysokości gruntu. Wyglądał przez to jak pole bitwy po klęsce. Amaia przeszła przez metalową furtkę i przyjrzała się podjazdowi i wyłożonej kamiennymi płytami ścieżce, na której widniały krople krwi.

– Nie mają talentu do ogrodnictwa – powiedział Iriarte.

– Chodziło o odsłonięcie domu. Usunęli wszystko, za czym mógłby się ukryć ktoś niepożądany. Trochę paranoiczne, ale skuteczne – powiedział Jonan.

Drzwi otworzyła blondynka. Wyglądała na energiczną.

– Proszę tędy. – Zaprowadziła ich do kuchni. – Jestem Ana Otaño. Strzelała moja siostra Nuria. Zanim z nią porozmawiacie, chciałabym wam opowiedzieć o kilku rzeczach, o których powinniście wiedzieć.

– Dobrze, proszę mówić. – Amaia dała Jonanowi znak, żeby poszedł do salonu.

– To dom naszych rodziców. *Ama* już nie żyje, *aita* jest w domu opieki. Moja siostra mieszka tu od chwili, kiedy wróciła, a facet, do którego strzeliła, to jej były mąż. Nazywa się Antonio Garrido i ma sądowy zakaz zbliżania się do niej. Całej

naszej rodzinie od początku się nie podobał, ale ona oszalała na jego punkcie i wkrótce po ślubie przekonał ją, żeby wyjechała z nim do Murcji. Miał tam rzekomo pracę. Na początku dzwonił do siebie, ale coraz rzadziej, a kiedy z nią rozmawialiśmy, była jakaś dziwna.

Po jakimś czasie obrazili się na nas do reszty i zerwali wszelkie kontakty. Przez dwa lata nie wiedzieliśmy, co się z nią dzieje. Przez cały ten czas ten bydlak trzymał ją w domu, przykutą łańcuchem jak psa, aż któregoś dnia udało jej się uciec i poprosić o pomoc. Ważyła czterdzieści kilo i utykała, bo pobił ją i złamał jej nogę, a ponieważ nie zawiózł jej do szpitala, noga zrosła się krzywo. Była wyschnięta jak suszona śliwka i prawie łysa, a ta reszta włosów, która jej pozostała, przypominała pakuły. Cztery miesiące leżała w szpitalu, a kiedy ją zwolnili, przywiozłam ją tutaj. Cierpiała na agorafobię, nie mogła wychodzić poza furtkę, ale zaczęło jej się poprawiać. Już nie miała takich matowych oczu, a pod wełnianą czapką, której nie zdejmuje, zaczęły jej odrastać włosy. Początkowo taki puch, jak u dziecka. I wtedy, miesiąc temu, ten wieprz wyszedł z więzienia, bo jakiś sędzia dał mu przepustkę. No i pierwsze, co zrobił, to zadzwonił do niej i powiedział, że po nią przyjdzie. – Przerwała i odetchnęła głęboko. – Kiedy tu przyjechałam tego dnia, waliłam do drzwi i telefonowałam całą godzinę. Na koniec wyważyłam okno od tyłu i tamtędy weszłam. Szukałam jej po całym domu, nawoływałam, i nic. Wiedziałam, że musi gdzieś być, bo nigdy nie wychodziła, nawet do lekarza musiałam ją wozić siłą, a drzwi były zamknięte od środka. Jeszcze raz przeszukałam cały dom i wiecie, gdzie ją znalazłam? Zwiniętą w kłębek, skurczoną w suszarce do bielizny. Nadal nie mogę w to uwierzyć. Była tam, cała zasmarkana i zapłakana. Kiedy ją znalazłam, zaczęła piszczeć jak mysz i się zsiakała. Ponad pół godziny trwało, zanim ją przekonałam, żeby wyszła. Wykąpałam ją, ubrałam i zapędziłam do samochodu. Obie wiedziałyśmy, że kiedyś nadejdzie taki dzień, że ten sukinsyn po nią przyjdzie, i nie wiedziałam, co mogłabym dla niej zrobić. Przysięgłam sobie wtedy, że jeśli ten przeklęty drań mi się napatoczy, to jedno

z nas skończy w więzieniu. Ale to znaczyłoby też, że Nuria skończy na cmentarzu. Bez najmniejszych wątpliwości. Tego dnia, kiedy wyciągnęłam ją z suszarki, pojęłam, że albo coś zrobię, albo wkrótce będę musiała ją pochować. W samochodzie cały czas piszczała: on mnie zabije, nic się nie da zrobić, on mnie zabije. Więc najpierw ją zawiozłam do domu pogrzebowego, wepchnęłam tam i powiedziałam: wybierz sobie trumnę, jeśli postanowiłaś umrzeć. Żeby była w twoim guście. Popatrzyła na trumny i przestała płakać. Nie chcę umierać, powiedziała. Wsadziłam ją z powrotem do samochodu i zawiozłam do lasu. Trzymałam ją tam i kazałam jej strzelać, aż skończyła mi się amunicja. Na początku jęczała i tak się trzęsła, że nie trafiłaby z pół metra w materac z małżeńskiego łóża, ale wróciliśmy tam następnego dnia, i następnego, i następnego... Strzelała do najrozmaitszych puszek, pudełek i butelek. W ciągu tego miesiąca rozstrzeliliśmy wszystkie posegregowane śmieci z mojego domu. Mijały dni i nauczyła się celować, i była w tym coraz lepsza. I zaczęła się zmieniać. Po raz pierwszy w całym swoim życiu zrobiła się twarda. To właśnie chcę powiedzieć, że w całym życiu, bo Nuria zawsze zachowywała się tak, jakby była kruchą i bezsilną laleczką, marionetką, którą trzeba pociągać za sznurki. Chociaż nalegałam, żeby zamieszkała ze mną, chciała zostać tutaj, a ja pomyślałam, że w gruncie rzeczy najważniejsze jest to, żeby poczuła się samodzielna. – Odetchnęła głęboko i dodała: – A teraz, jeśli chcecie, możecie z nią porozmawiać.

Drogę do salonu znaczyła strużka krwi. Na harmonijkowych drzwiach były rozpryski. Krwawe strzępy leżące na podłodze badał policjant sądowy.

Jonan podszedł do Amai i podał jej dość niewyraźną fotokopię danych z rejestru karnego, dotyczących mężczyzny w wieku około trzydziestu pięciu lat, byłego męża kobiety, która siedziała przy oknie. Była bardzo chuda, a zbyt duży sweter jeszcze podkreślał skrajne wyniszczenie. Spod wełnianej czapki wysuwały się skręcone blond kosmyki. Jej kruchość kontrastowała ze spokojnym uśmiechem i marzycielskim spojrzeniem, jakim patrzyła na policjantów zajmujących się

ogłędzinami. Jonan mówił cicho, żeby go nie usłyszała:

– Sforsował okno sypialni i doszedł tutaj. Wołał ją. Czekala na niego tam, gdzie nadal siedzi, a kiedy wszedł do salonu, strzeliła do niego. Trafiła go w prawe ucho. To, co leży na podłodze, to chrząstka mażowiny usznej. Na drzwiach wyraźnie widać rozprysk i miejsce, gdzie trafiła kula. Łuska jest pod kanapą. Facet krwawił jak szlachtowany wieprz. Zostawił ślad od drzwi do furki i na podjeździe, a stamtąd najprawdopodobniej odjechał samochodem, którym przyjechał.

Amaia i Iriarte rozglądali się.

– Zawiadomimy szpitala, apteki, pogotowia. Gdzieś będzie szukał pomocy.

– Nie mówiąc już o tym, że musiał ogłuchnąć na to ucho.

– Coś tu śmierdzi – Amaia zmarszczyła nos.

– Gówno, szefowo – ucieszył się Jonan. – Facet zesrał się ze strachu. A konkretnie dostał sraczkę. Wszędzie po drodze zostawił kropelki.

– Słyszałaś, Nuria? – Ana usiadła obok siostry. – Tak się wystraszył, że posrał się w gacie.

– Cześć, Nuria. – Amaia podeszła i stanęła przed nią. – Jak się czujesz? Będziesz mogła odpowiedzieć na kilka pytań?

– Tak – odpowiedziała spokojnie.

– Możesz nam opowiedzieć, co się stało?

– Siedziałam tutaj i czytałam książkę. – Wskazała na książkę leżącą na stole. – I wtedy usłyszałam hałas w sypialni. Wiedziałam, że to on.

– Skąd wiedziałaś?

– Kto inny mógłby wejść do domu, rozbijając szybę w oknie? Poza tym zadzwonił do mnie kilka dni temu, żeby uprzedzić, że przyjdzie. A kiedy wszedł, wołał mnie po imieniu.

– Co powiedział?

– Krzyczał: Nuria, jestem tutaj, nie próbuj się chować.

– Co zrobiłaś?

– Usiłowałam zadzwonić, ale telefon nie działa.

Iriarte podniósł słuchawkę stojącego na stoliku telefonu.

– Nie ma sygnału. Najprawdopodobniej przeciął kabel na

zewnątrz.

Amaia pytała dalej:

– I co się wtedy stało?

– Wzięłam strzelbę i czekałam na niego.

– Miałaś strzelbę pod ręką?

– Nie rozstaję się z nią. Nawet z nią śpię.

– Dobrze. Mów dalej.

– Wszedł, stanął w drzwiach i patrzył na mnie. Powiedział coś o tym, że mnie wyśle do szpitala, i zaczął się śmiać. Poprosiłam, żeby sobie poszedł. Odejdź, powiedziałam, bo cię zastrzelę. Znowu się śmiał, zrobił krok... a ja strzeliłam.

– Powiedział, że wyśle cię do szpitala?

– Tak, coś takiego...

– Ile razy strzeliłaś?

– Raz.

– Dobrze. Sądzisz, że będziesz w stanie pojechać z nami do komisariatu, żeby złożyć zeznanie?

Jej siostra zaczęła protestować, ale ona ucięła:

– Tak, pojedę.

– Nie musi to być dzisiaj. Jeśli nie czujesz się na siłach, możesz to zrobić jutro, kiedy poczujesz się lepiej.

– Czuję się bardzo dobrze.

– Zostaniesz tutaj czy pojedziesz do siostry?

– Zostanę tutaj. To mój dom.

– Przy drzwiach postawimy patrol, ale byłoby lepiej, gdybyś pojechała z siostrą.

– Nie przejmujcie się mną, on nie wróci. Teraz już wie, że się go nie boję.

Amaia spojrzała na Iriartego i zgodziła się.

– Dobrze, na tym kończymy. – Amaia wstała i zrobiła krok w stronę drzwi.

– Pani inspektor... – zatrzymała ją Nuria. – To prawda, że zesrał się ze strachu?

– Na to wygląda – Amaia rzuciła okiem na podejrzenie wyglądające krople.

Nuria się wyprostowała i podniosła głowę, a na jej twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia i radości, niemal dziecinnej

i wzruszającej.

– Jeszcze coś, Nurio. Czy Antonio ma jakiś znak szczególny?

– O, tak! – Nuria wyciągnęła rękę. – Brakuje mu trzech palców u prawej dłoni, wskazującego, środkowego i serdecznego. Obciął je sobie piłą kątową, wiele lat temu.

Byli już przy drzwiach, kiedy ich dogoniła.

– Zabiorę cię do szpitala, tak właśnie powiedział. Zabiorę cię do szpitala. Jestem tego pewna.

– Zabiorę, a nie wyślę?

– Jestem pewna. Tak właśnie powiedział.

23 czerwca 1980 roku

Nie mógł przestać płakać. Już dawno przestały nim wstrząsać konwulsje, już nie płakał tak bardzo, zawodzenie i łkanie ustąpiły miejsca pozornie spokojnemu wylewaniu łez. Wydawały się wypływać niekończącą się strugą gdzieś ze środka jego ciała. Jego żołądek stał się ponurym dołem, w którym zamieszkały desperacja i wciąż powracająca groza.

Siedział w swoim salonie, w domu, który do tego dnia był ostoją jego i jego żony, trzymał na rękach nowo narodzoną córkę i nie przestawał płakać. Jakby ktoś gdzieś w jego wnętrznościach odkręcił kran ze wszystkimi łzami świata. Trudno było sobie wyobrazić, że może się tam zmieścić tyle łez.

Doktor Manuel Hidalgo, z pobladłą i zmienioną twarzą, siedział naprzeciwko niego i raz po raz spoglądał to na maleńką istotkę śpiącą w objęciach przyjaciela, to na potok łez, który spływał po jego twarzy i moczył kocyk okrywający noworodka.

– Co tam się stało? – udało się wydusić Juanowi.

– To wszystko moja wina, Juanie. Mówiłem ci, że Rosario ma depresję, że przeżywa zły okres, ale nie zrobiłem tego, co do mnie należało. Powinienem był wymóc na niej, żeby poszła rodzić do szpitala, nawet wbrew jej woli, zmusić ją. W końcu to ja jestem jej lekarzem.

– I co teraz, Manuelu? Co teraz zrobisz?

– Nie wiem. – Wydawał się całkiem oszołomiony.

Jego siostra, która stała oparta o ścianę, włączyła się do rozmowy:

– Faktem jest, że nie wiemy dokładnie, co tam się stało.

Juan wyprostował się gwałtownie, jak rażony prądem.

– Jak możesz tak mówić, Fino? Przecież wy, tak jak ja, doskonale widzieliście, co robiła Rosario, kiedy weszliśmy do pokoju.

– To ty sądzisz, że coś robiła... Ja widziałam tylko kobietę, która mogła usiłować podłożyć jasek pod główkę córeczki.

– Fino, jasek był na jej twarzy, nie pod głową.

– Mógł jej wypaść z ręki, kiedy ją popchnąłeś...

Juan pokręcił głową, ale Manuel spytał wprost:

– Fino, do czego zmierzasz?

– Obejrzałam zwłoki i nie ma śladów przemocy. To prawda, wydaje się, że zgon nastąpił na skutek braku powietrza, ale mogłaby to też być bardzo powszechna wśród noworodków śmierć łóżeczkowa. Najczęściej występuje w pierwszych godzinach po narodzinach.

– Fino, to nie była śmierć łóżeczkowa. – Jej brat nie dawał za wygraną.

– No to czego chcecie? – Fina podniosła głos. – Chcecie wezwać policję? Chcecie urządzać skandal, który trafi do gazet? Chcecie wtrącić do więzienia kobietę, która jest dobrą matką i teraz cierpi, bo ty, mój bracie, popełniłeś błąd? Dlaczego nie była leczona? Co teraz powiesz policji? Że mogłeś zapobiec temu, co się stało, gdyby była odpowiednio leczona? Zniszczysz tę rodzinę i swoją karierę! Nie pomyślałeś o tym?

Doktor Hidalgo zamknął oczy i wydawało się, że zapadł się w sobie.

– Czy to prawda? – spytał Juan. – Rosario mogłaby być normalna, gdyby łykała jakieś pigułki?

– Nie jestem pewien, Juanie, ale może czułaby się lepiej.

Juan przestał płakać.

– I co teraz zrobisz? – spytał.

Lekarz wstał i poszedł do kuchni. Fina wykazała się nadzwyczajną sprawnością. Ciało, owinięte pieluszką jak całunem i zawinięte w koczyk, spoczywało na kuchennym stole, z twarzą przykrytą białą ścierką. Podszedł bliżej, mimo woli myśląc o tym, że przypomina mu to sposób, w jaki matka zostawiała drożdżowe ciasto, żeby wyrosło pod przykryciem.

Podniósł ścierkę i przyjrzał się twarzyczce noworodka. Maleńka i nieruchoma, sinoczerwona. Wyglądało to na śmierć przez uduszenie. Intensywny kolor twarzy nie wystarczył, żeby zamaskować żywoczerwone ślady na małym nosku, świadczące

o tym, że został zaciśnięty.

Otworzył walizeczkę i rzucił na stół plik formularzy zatytułowanych: akt zgonu. Zgiął starannie pierwszą kartę i swym starannym pismem napisał: syndrom nagłej śmierci niemowląt (śmierć łózekkowa). Podpisał się. Jeszcze raz spojrzął na twarz nieżywej dziewczynki. Zdążył się jeszcze odwrócić i wymiotował do zlewu.

– Dzień dobry – powiedziała do recepcjonisty. – Chciałabym rozmawiać z doktorem Sarasolą. Mógłby pan go powiadomić?

Na twarzy mężczyzny zobaczyła niemal niedostrzegalne zaskoczenie. Natychmiast przeszło w obojętność.

– Przykro mi. Nic mi nie wiadomo o tym, żeby lekarz o tym nazwisku pracował w naszym centrum.

Zaskoczenie Amaia było widać o wiele wyraźniej.

– Jak to? Doktor Sarasola. Ojciec Sarasola, psychiatra.

Recepcjonista upierał się przy swoim.

Amaia popatrzyła na Jonana zbity z tropu. Wyciągnęła legitymację i podsunęła ją pod oczy mężczyźnie za kontuarem.

– Proszę mu powiedzieć, że inspektor Salazar czeka na dole.

Recepcjonista złapał za telefon i wystukał jakiś numer, usiłując ukryć wrażenie, jakie zrobił na nim widok policyjnej odznaki. Przywołał przejemny uśmiech.

– Proszę mi wybaczyć, mamy tu ścisły protokół. Strzeżemy prywatności tak wybitnych postaci jak ojciec Sarasola. Gdyby się dowiedziano, że jest tutaj, cała recepcja zapełniłaby się ludźmi, którzy chcieliby się z nim zobaczyć. Przyjmie państwa natychmiast. Czwarte piętro. Ktoś będzie na państwa czekał przy windzie. Jeszcze raz proszę o wybaczenie.

Amaia bez słowa ruszyła ku windom. Kiedy drzwi otworzyły się na czwartym piętrze, czekała na nich młoda zakonnica. W milczeniu poprowadziła ich korytarzem obok dyżurki pielęgniarek, wprowadziła do gabinetu, wskazała, żeby usiedli, i wyszła. Po minucie do gabinetu wkroczył ojciec Sarasola.

– To dla mnie przyjemność widzieć panią ponownie, pani inspektor. Widzę, że nie jest pani sama. – Podał rękę podinspektorowi Etxaide. – A więc domniemywam, że przybywa pani jako policjantka, a nie w sprawach medycznych.

– Trochę tego, trochę tego. Ale zaczniemy od spraw policyjnych.

Sarasola usiadł i skrzyżował ręce na brzuchu.

– Jak księdzu wiadomo, znów zbezczeszczono kościół w Arizkun. Sprawcy podpalili średniowieczny pałac w pobliżu, co odwróciło uwagę patrolu od kościoła. Tym razem uszkodzili fasadę i znów zostawili ludzkie szczątki. Przesłuchaliśmy już wcześniej młodego mieszkańca Arizkun, negatywnie nastawionego do Kościoła z powodu chorobliwej obsesji na tle agotów i ich historii. To inteligentny chłopak, który bardzo przeżywa żałobę po matce i niewątpliwie zblądził. Niemniej jesteśmy przekonani, że choć mógł ułatwić dokonanie profanacji i skierować w tę stronę zainteresowanie sprawcy, nie on tym sprawcą jest. Jeszcze nie zakończyliśmy sprawy, ale ma się ku końcowi i sądzę, że wkrótce ujmiemy winnego, a to dzięki temu chłopcu, który powiedział nam wszystko, co wiedział.

– Aha... – Sarasola rozmyślał o tym, co usłyszał. – A więc mały aniołek. Spodziewam się, że ten okaz cnót wszelakich został już zatrzymany. Diecezja wystąpi przeciwko niemu z oskarżeniem.

– Powiedziałam już, że zgodził się współpracować...

– Ale to on za to odpowiada.

Amaia przyjrzała mu się. Zastanawiała się, czy naprawdę zależy mu na schwytaniu sprawcy, czy jedynie na znalezieniu kozła ofiarnego.

– Nie, nie on. To tylko zagubiony nastolatek, którym posłużył się przestępca. Nie widzimy żadnego powodu, żeby go oskarżyć.

Sarasola popatrzył na nią twardo i już miał się sprzeciwić, ale w ostatniej chwili wyraz jego twarzy się zmienił. Uśmiechnął się.

– Więc dobrze. Jeśli takie jest stanowisko policji, poczekamy na to zatrzymanie.

Amaia umiała wyczuć ustępstwo, manewr, który polega na tym, że się coś daje w zamian za coś innego. Czekwała.

– A teraz, jak się spodziewam, przejdziemy do kwestii medycznych.

Więc o to mu chodziło.

– Nie woli pani porozmawiać w cztery oczy? – Popatrzył na

Jonana. – Proszę wybaczyć, ale są to tak drażliwe sprawy.

– Podinspektor może zostać.

– Wolalbym nie – uciął Sarasola ostro.

– Poczekam na panią przy dyżurce pielęgniarek – powiedział Jonan, wychodząc.

Sarasola poczekał, aż Jonan zamknie za sobą drzwi, i dopiero wtedy zabrał głos.

– Bardzo dbamy o zachowanie tajemnicy lekarskiej. Proszę wziąć pod uwagę, że pani jest córką pacjentki, ale dla wszystkich innych sprawy związane z leczeniem pani matki są objęte tajemnicą.

– Tamtego dnia w klinice Santa María de las Nieves powiedział ksiądz, że zna przypadek mojej matki. Jestem pewna, że nigdy ksiądz nie był jej lekarzem. Więc jak doszło do tego, że ksiądz poznał jej przypadek i zainteresował się nim?

– Już pani mówiłem, że spośród najrozmaitszych przypadków chorób psychicznych jesteśmy zainteresowani tymi, które – jak przypadek pani matki – mają ten odcień, o który nam chodzi.

– Odcień zła?

– Odcień zła. Na kongresach psychiatrycznych omawia się przypadki, dzięki którym możemy się dowiedzieć więcej. Nie wymienia się danych pacjenta, chociaż podaje się informacje o jego wieku i tych aspektach jego historii osobistej i rodzinnej, które są związane z jego chorobą.

– I właśnie w ten sposób zapoznał się ksiądz z przypadkiem mojej matki?

– Tak, jestem prawie pewien, że po raz pierwszy usłyszałem o niej na jakimś kongresie. Najprawdopodobniej to doktor Franz go relacjonował.

– Doktor Franz z Santa María de las Nieves?

– Nie byłoby w tym nic dziwnego i nie powinna się pani oburzać. Jak już mówiłem, jest to rutynowe postępowanie, dzięki któremu możemy się wspólnie zastanowić nad różnymi aspektami choroby i leczenia. To, wraz z publikacjami w pismach specjalistycznych, jest jedną z najważniejszych metod pracy psychiatrów. Chce pani ją zobaczyć?

Amaia wzdrygnęła się.

– Co?

– Chce pani zobaczyć matkę? Jest bardzo spokojna i wygląda dobrze.

– Nie – odparła Amaia.

– Ona nie będzie pani widziała. Jest pod obserwacją w pokoju z lustrem weneckim, takim jakich używacie w komisariatach. Sądzę, że kiedy ją pani zobaczy, zda pani sobie sprawę, w jakim jest stanie, i przestanie pani być taka podejrzliwa.

Doktor Sarasola błyskawicznie wstał i ruszył do drzwi. Amaia poszła za nim. W głowie miała zamęt. Nie chciała widzieć matki, ale ksiądz miał rację, musiała się dowiedzieć, na ile ta ewolucja, o której mówił doktor Franz, naprawdę zachodziła, a ile było w tym manipulacji.

Pokój, który przylegał do sypialni jej matki, rzeczywiście przypominał te, które w komisariatach instaluje się obok pokoiów przesłuchań. Weszła za Sarasolą. Doktor przywitał się z technikiem zajmującym się nagrywaniem wszystkiego, co działo się po drugiej stronie lustra. Rosario stała plecami do lustra, a twarzą do okna bez zasłonek, przez które wpadało jasne światło, zamazując nieco jej sylwetkę. Amaia ostrożnie podeszła do lustra. Efekt był taki, jak gdyby ktoś głośno zaanonsował jej przybycie, jak gdyby z jej ciała wytrysnął piorun i przebił się na drugą stronę. Rosario odwróciła się powoli, jak rekin, który wyczuł świeżą krew, i jej twarz wykrzywił potworny grymas zadowolenia. Amaia zobaczyła go już tylko kątem oka, bo instynktownie odskoczyła od lustra i schowała się za załomem ściany.

– Ona mnie widzi – wyszeptała z przerażeniem.

– Nie, nie może pani zobaczyć ani usłyszeć. Ten pokój jest całkowicie odizolowany.

– Może mnie widzieć – powtórzyła. – Niech pan zasunie kotarę!

Sarasola obserwował ją z profesjonalnym zainteresowaniem. Wyraźnie było je widać na jego twarzy.

– Powiedziałam już, zasunąć kotary! – krzyknęła Amaia i wyciągnęła broń.

Dopiero wtedy Sarasola podszedł do szyby i nacisnął guzik,

który uruchomił automatyczną żaluzję.

Amaia wyszła zza załomu ściany dopiero, kiedy usłyszała, że żaluzja się zatrzaskuje. Schowała pistolet i wyszła z pokoju. Sarasola poszedł za nią, ale zdążył zapytać technika:

– Nagrałeś to wszystko?

Amaia szła korytarzem, gotując się ze złości.

– Ksiądz wiedział, co się stanie.

– Nie, nie wiedziałem, co się stanie.

– Ale wiedział ksiądz, że coś się stanie, że jakoś zareaguje.

Nic nie odpowiedział.

– Nie powinien ksiądz tego robić. Nie bez konsultacji ze mną.

– Proszę poczekać. To, co się stało, jest ważne. Muszę z panią porozmawiać.

– Bardzo mi przykro, doktorze Sarasola – powiedziała, nie zatrzymując się. – Ale muszę już iść. Porozmawiamy kiedy indziej.

Byli na wysokości dyżurki, kiedy na korytarzu pojawiła się grupa sześciu lekarzy w białych fartuchach. Dziwna formacja zatrzymała się z szacunkiem na widok księdza. Sarasola wskazał na nich i powiedział do Amai:

– Co za szczęśliwy zbieg okoliczności. Pani inspektor, oto ekipa, która zajmuje się pani matką. Doktor Berasategui jest tym...

– Kiedy indziej – ucięła Amaia.

Popatrzyła na lekarzy, mruknęła: – Proszę mi wybaczyć – i poszła do windy.

Zaczekała, aż drzwi się zamkną, i dopiero wtedy powiedziała:

– Niech to szlag, Jonanie. Myślę, że popełniłam błąd, sprowadzając matkę tutaj. Nie byłam całkowicie przekonana do pomysłu, żeby ją tu przenieść, a teraz myślę, że naprawdę źle to wygląda. Nie chodzi o to, że nie jestem pewna, czy ma dobrą opiekę... Chodzi o coś innego.

– Sarasola?

– Tak. Chyba chodzi właśnie o niego. Ma w sobie coś takiego, nie wiem co, ale jest tak zadufany w sobie... A jednocześnie wiem, że w jakiś sposób racja jest po jego stronie.

– Kiedy byłem dzieckiem, krążyły plotki, że na oddziale

psychiatrii tutejszego szpitala odprawia się egzorcyzmy. Że ilekroć gdzieś w kraju zostaje wykryty jakiś przypadek opętania przez szatana, księża przywołują tych z Opus Dei, a oni przywożą tych opętanych tutaj i zajmują się wszystkim na własny koszt, łącznie z tak zwaną terapią – mówił to zupełnie serio.

Amaia odpowiedziała mu w tym samym tonie:

– Kiedy Sarasola zaproponował, że przeniesie matkę tutaj, zapytałam go trochę żartem, czy mają zamiar ją poddać egzorcyzmom. – Zamyśliła się.

Jonan poczekał chwilę. Dał jej czas na zastanowienie.

– I co odpowiedział?

– Że w przypadku mojej matki to nie jest konieczne. I mówił to zupełnie poważnie.

W holu unosił się zapach środków do czyszczenia metalu, którymi traktowano niezliczone ornamenty z pozłacanego mosiądzu zdobiące ściany, począwszy od drzwi wejściowych po drzwi starodawnej windy z tapicerowanym siedziskiem i przyciskami z kości słoniowej. Amaia i Jonan wybrali jednak schody.

Apartament miał drzwi paradne i drzwi dla służby, więc zadzwonili do jednych i drugich. Te drugie wkrótce się otworzyły. Wyjrzał uśmiechnięty mężczyzna w wieku około siedemdziesięciu lat.

– To ty jesteś Amaia?

Skinęła głową i zanim zdążyła się odezwać, uściskał ją i ucałował w obydwa policzki.

– Jestem twoim wujem Ignacio. Jakże się cieszę, że mogłem cię poznać.

Poprowadził ich ciemnym korytarzem. Weszli do wielkiej świetlistej bawialni, która przez kontrast wydawała się jeszcze jaśniejsza. W fotelach zasiadały dwie kobiety i jeszcze jeden mężczyzna.

– Amaio, to twoja ciotka Angela, a to twoja ciotka Miren i jej mąż Samuel.

Wszyscy się podnieśli, nie bez trudu, i otoczyli Amaię.

– Kochana Amaio, tak się ucieszyliśmy, kiedy do nas zadzwoniłaś. To okropne, że jeszcze się nie poznaliśmy.

Ciotki złapały ją każda za jedną rękę, zaprowadziły do sofy, posadziły i usiadły obok niej.

– Więc jesteś policjantką?

– Tak. W służbie Policji Statutowej Nawarry.

– Ojejku! Pani inspektor, ni mniej, ni więcej!

Amaia poczuła się przytłoczona i poszukała wzrokiem Jonana, ale on siedział gdzieś dalej i uśmiechał się z zadowoleniem. Czowała się dziwnie. Od zawsze żyła ze świadomością, że jej

krewnymi są *amatxi* Juanita i ciocia Engrasi, a tutaj nagle została wciągnięta do rodziny, którą poznała zaledwie przed dziesięcioma minutami i która dowiedziała się o jej istnieniu przez telefon. Zadzwoiła do nich kilka godzin wcześniej. Dumnej rodziny z San Sebastián, o której matka czasem wspominała przelotnie, kiedy zdarzyło jej się mówić o swoim dzieciństwie, ale kończyło się to zawsze stwierdzeniem: „Nie rozmawiamy ze sobą. To sprawy dorosłych”, kiedy córki zarzucały ją zbyt wieloma pytaniami.

Ignacio i Miren byli bliźniętami i mieli około siedemdziesiątki. Angela była starsza i zdumiewająco podobna do matki Amai. Amaię to podobieństwo szokowało. Ale były też duże różnice.

Angela miała tę samą wrodzoną dostojałość, którą Amaia zawsze podziwiała u swojej matki, ale bez charakterystycznej dla Rosario wyniosłości. Była spokojna i pogodna, a najbardziej odróżniały ją od Rosario oczy. Wpatrywała się w widoczne przez ogromne okna bawialni majestatyczne fale Morza Kantabryjskiego, potem w piękny porcelanowy serwis, w którym podano kawę, i wreszcie spojrzała w twarz Amai, spokojnie, ze szczerym uśmiechem, bez najmniejszego śladu napięcia, które zawsze przebijało z gestów Rosario. Nagle jej twarz pociemniała.

– Co z twoją matką, Amaio? Czy nie...

– Nie, żyje. Jest w specjalistycznym ośrodku. Jej stan jest... chwiejny.

– Nie wiedzieliśmy nawet o twoim istnieniu, Amaio. O twoich starszych siostrach tak. Flora i Rosaura, prawda? Ale nie wiedzieliśmy, że Rosario urodziła jeszcze jedno dziecko. Stopniowo zrywała z nami kontakt. Kiedy do niej dzwoniiliśmy, zawsze traktowała nas zimno i opryskliwe. Pewnego dnia po prostu powiedziała, żebyśmy ją zostawili w spokoju, że ma tylko jedną rodzinę, tę, którą stworzyła ze swoim mężem w Baztán, i że nic nie chce o nas wiedzieć.

– Tak, moja matka zawsze podchodziła do ludzi z ogromną rezerwą.

– Nie zawsze – odparła Angela. – Kiedy była mała, była prawdziwym słoneczkiem, zawsze zadowolona, zawsze

podśpiewywała. Zrobiła się dziwna dużo później.

– Po wyprowadzce do Baztán?

– Nie, z początku nasze stosunki układały się poprawnie. Latem czasem przyjeżdżała do nas z twoimi siostrami, my też odwiedziliśmy ją kilka razy.

Wtrącił się Ignacio:

– Mam wrażenie, że ta radykalna zmiana nastąpiła po tym, jak umarła jej nowo narodzona córeczka.

Amaia wyprostowała się na sofie.

– Wiedzieliście o tym?

– Żebyśmy coś dokładnie wiedzieli, to nie... Dowiedzieliśmy się po fakcie. Nie powiadomiła nas, że spodziewa się dziecka. Pewnego dnia zadzwoniła i powiedziała, że była w ciąży i że jej córeczka urodziła się martwa.

– Urodziła się martwa?

– Tak.

– Pamiętacie, kiedy to było?

– No cóż, pamiętam, że to było latem i że w maju tamtego roku mój syn przystąpił do pierwszej komunii, więc to był najprawdopodobniej 1980 rok. Tak, 1980.

Amaia zrobiła głęboki wdech, a potem zaczęła mówić.

– Urodziłam się w tym roku. – Wujostwo patrzyli na nią. Wszyscy byli zmieszani. – Całkiem niedawno dowiedziałam się, że jestem jedną z bliźniaczek jednojajowych, a moja siostra – wynika to z aktu zgonu – urodziła się żywa i zmarła wkrótce potem. To był zespół nagłej śmierci niemowląt.

– Boże drogi! – Miren była wstrząśnięta. – Więc tamta dziewczynka...

– Wcale mnie to nie dziwi – wtrąciła się Angela. – Rosario zawsze była kłamczuchą i kiedy nie było jej na rękę coś wyjaśniać, nic nie mówiła, a jeśli była do tego zmuszona, często zmyślała.

– A więc... jak sądzicie, dlaczego wam powiedziała, że jej córka urodziła się martwa, a nie powiedziała, że jest jeszcze druga, żywa?

– To jasne. Była zmuszona nam powiedzieć, że dziecko nie żyje, żeby uzyskać naszą zgodę na jego pochowanie tutaj.

Amaia poczuła, że jej serce na chwilę staje.

– Jest pochowana tutaj?

– Tak, w rodzinnym grobowcu. Nasi rodzice go wybudowali i teraz należy do nas, do całego rodzeństwa. Wszyscy mamy prawo go użytkować i zostać tam pochowani, ale ponieważ jest własnością wspólną, należy powiadamiać resztę rodzeństwa za każdym razem, kiedy otwiera się kryptę. Rosario wiedziała o tym i dlatego do nas zadzwoniła. Gdyby nie to, myślę, że nie powiedziałaby nam nic. Pamiętam, że zgodziła się, żebyśmy wzięli udział w pogrzebie. Poszliśmy i tak, bo ja się uwzięłam, a nie dlatego, że ona tego chciała.

– A mój ojciec?

– Rosario powiedziała nam, że jej mąż został w domu ze starszymi córkami i że musi prowadzić interes. Że nie może go zostawić nawet na jeden dzień.

– To był bardzo smutny pogrzeb – powiedział Ignacio.

– Bez księdza, bez nikogo. Tylko ona i grabarz... I ta maleńka trumienka, taka goła, nawet krzyża nie było. Ja jej to wypomniałam. Mówię jej: dlaczego na trumnie nie ma krzyża? A ona na to: nie ma po co, dziecko nie zostało ochrzczone.

Amaia przygryzła wargę.

– Przynieśliśmy wiązanek kwiatów i to był jedyny znak, że odbył się pogrzeb. Kiedy grabarz zasunął płytę nad kryptą, spytałam, jak miała na imię, bo chciałam zamówić napis na marmurze, ale Rosario powiedziała, że dziecko nie miało imienia. Nie ma żadnej wzmianki o niej, ale my wiemy, że tam spoczywa. Na szczęście grobowiec nie był od tamtej chwili otwierany, bo, dzięki Bogu, nikt z rodziny nie zmarł. Odpukajmy w niemalowane drewno – powiedziała Angela, odprawiając przesądny rytuał.

Amaia zastanowiła się nad tym, co usłyszała.

– Czy ktokolwiek z was widział ciało?

– Dziecko? Nie, trumienka była zamknięta, a my nie nalegaliśmy. Nie było nam to do niczego potrzebne.

Amaia patrzyła na rodzeństwo matki w zamyśleniu.

– Jest tu sporo niewyjaśnionych spraw. Są rozbieżności co do przyczyny zgonu i wszystko, co dotyczy tej dziewczynki, otacza

tajemnica. Moja matka ukryła przed całą rodziną, że się urodziła. Ani moje siostry, ani ja nie o jej istnieniu nie wiedziałyśmy. Są nieścisłości w dokumentach, w akcie urodzenia i w akcie zgonu. Niedawno w dziwnych okolicznościach znalazłam ludzkie szczątki, które, wszystko na to wskazuje, należały właśnie do mojej siostry bliźniaczki. I dlatego okoliczności jej narodzin i śmierci stają się jeszcze bardziej podejrzane.

– My widzieliśmy tylko jej pogrzeb...

– Ale nie widzieliście... – Amaia była bliska wypowiedzenia słowa: „zwłoki”, ale pomyślała o konsekwencjach i dokończyła:
– ...ciała.

– Na litość boską! Co ty sugerujesz? – przeraziła się Angela.

– Że w trumnie nie było ciała?

– Tego właśnie chciałabym się dowiedzieć...

Wszyscy popatrywali na siebie zaniepokojeni. Angela zabrała głos. Mówiła z wielką powagą:

– Co chcesz zrobić?

– Sprawdzić.

– Och! Ależ to oznacza... – Angela zasłoniła dłonią usta, jakby nie chciała nadawać temu koszmarowi kształtu słów.

– Tak – potwierdziła Amaia. – I nie prosiłabym was o zgodę, gdybym nie była pewna, że to jedyne wyjście.

Miren złapała ją za rękę i powiedziała:

– Masz naszą zgodę, Amaio, chociaż ty też jesteś współwłaścicielką i masz prawo zażądać otwarcia krypty.

– Zadzwonię na cmentarz – powiedział Ignacio, wstając. Wrócił po chwili. – Trzeba będzie poczekać do zamknięcia, do ósmej. Nie chcę otwierać krypty w godzinach otwarcia cmentarza.

– Oczywiście – wyszeptwała Amaia wątłym głosem.

– Będziemy ci towarzyszyć – stwierdziła Angela, a cała reszta kiwnęła głowami. – Ale nie będziemy zaglądać do środka. Jesteśmy już za starzy na takie wzruszenia.

– To nie będzie konieczne. Tak mi przykro. Jesteście dla mnie tacy dobrzy, a to nie będzie nic przyjemnego.

– Toteż właśnie nie zajrzemy do środka – potwierdził wuj

Ignacio. – Ale będziemy przy tobie.

– Dziękuję – odpowiedziała ze wzruszeniem.

– Szefowo, mogę na chwilę? – Jonan poprosił ją na bok.

Podnieśli się i wyszli na korytarz.

– To dobrze, że nie będzie problemów z otwarciem grobowca. Ale żeby otworzyć trumnę, będzie pani potrzebowała sądowego nakazu. Pani wujostwo nie będą niczego kwestionować, a i ja nic nikomu nie mam zamiaru mówić, ale jeśli znajdziemy coś dziwnego, będziemy musieli wyjaśnić, dlaczego naruszyliśmy trumnę.

– Jonanie, nie jestem w stanie opowiedzieć tego wszystkiego Ma... Nie jestem w stanie zdać sprawy sędziemu śledczemu, bo jeszcze nic nie mam, nic nie wiem, a to, co myślę, jest zbyt okropne. Teraz chcę tylko wiedzieć, czy ona tam jest. Chcę tylko zobaczyć tę małą trumienkę.

Kiwnął głową, choć wiedział, że na tym nie poprzestanie. Nie Amaia, nie inspektor Salazar, jaką znał. Kiedy tak stali i rozmawiali w korytarzu, wyszedł do nich mąż ciotki Miren.

– Zostaniecie na obiedzie – oświadczył.

Cmentarz Polloe w San Sebastián leży na wzgórzu, w dzielnicy Egia. Pod wzgórzem wydrążony jest tunel, przez który przebiega jedna z odnóg europejskiej trasy E5, a nad nim, na sześciu i pół hektarach, znajduje się siedem i pół tysiąca grobów i trzy i pół tysiąca kolumbariów. Większość starych grobowców to imponujące budowle z granitu i marmuru, upamiętniające szlachecką przeszłość miasta. Grobowiec rodzinny Amaí był trzyczęściowy: po bokach znajdowały się niższe części, a na wyższej, środkowej, stał ogromny krzyż. Obok grobowca czekało na nich trzech grabarzy przysłanych przez urząd miejski. Palili papierosy i gawędzili. Blokiem z krążkiem unieśli przykrywającą kryptę ciężką płytę, wsunęli pod nią dwie grube żelazne rury i przesunęli ją na bok.

Krewni Amaí stali w pewnym oddaleniu od grobu, a kiedy został otwarty, odsunęli się jeszcze dalej. Amaia i Etxaide podeszli i zajrzeli do środka. Wokół zewnętrznego obmurowania utworzyła się obwódka z ziemi i suchego mchu. Zdradzała, że krypty od lat nikt nie otwierał. W środku było

sucho. Pachniało piwnicą. Po prawej stronie, na metalowym stelażu, stały dwie stare trumny. Nic więcej.

– Nic nie widać – powiedziała Amaia. – Będę potrzebowała drabiny.

Jeden z grabarzy podszedł do niej.

– Proszę pani, jak pani chce tam zejść, to będzie potrzebne...

– Tak – odpowiedziała, pokazując mu policyjną legitymację.

Rzucił na nią okiem i cofnął się o krok. Spuszczono drabinę i Amaia włożyła lateksowe rękawiczki i zeszła do krypty.

– Uważaj na siebie – błagały ciotki.

Jonan zszedł za nią. Grobowiec był głębszy, niż się wydawało. W środku prawie można się było wyprostować. W jednym z kątów, tam, gdzie strop trochę się obniżał, zobaczyli trumienkę. Była taka, jak powiedziała ciotka: biała i maleńka. Na pokrywie widać jeszcze było ślad po krzyżu.

Amaia zatrzymała się nagle, niezdecydowana. Co takiego robiła? Czy naprawdę miała zamiar otworzyć trumnę siostry, o której istnieniu przed kilkoma dniami nie miała nawet pojęcia? Naprawdę tego właśnie chciała?

I wtedy ujrzała twarz, identyczną z jej własną, twarz naznaczoną wiecznym bólem i cierpieniem. Ujrzała ten ciemny, gęsty, niewyczerpany potok łez. Poczula, że Jonan kładzie jej rękę na ramieniu.

– Chce pani, żebym ja to zrobił, szefowo?

– Nie – odparła i pomyślała, że on od początku wiedział, po co tu przyszła. – Ja to zrobię, ale będziesz musiał mi pomóc. Wyniesiemy to trochę dalej, na środek.

Złapali każde za jeden uchwyt. Podnieśli trumienkę i poczuli, że jest ciężka. Jonan odetchnął głęboko i Amaia spojrzała na niego z wdzięcznością. Była mu wdzięczna, że z nią jest, że ją wspiera.

– Proszę mi podać łom – poprosiła grabarza, wychylając się z krypty.

Poszukała dłonią krawędzi wieka, włożyła tam koniec łomu i podważyła gwoździe. Towarzyszył temu zgrzyt metalu trącego o drewno. Jeszcze tylko jeden zręczny manewr i całe wieko oderwało się bez trudu. Jonan złapał je obiema rękami

i popatrzył pytająco na Amaię, a ona skinęła głową. W środku był niewielki tłumoczek owinięty w coś w rodzaju białego ręcznika. Amaia wpatrywała się w niego kilka sekund, a potem wzięła w palce brzeg ręcznika i rozwinęła go. Zobaczyli resztki podartej foliowej torby i coś, co wyglądało na kupkę żwiru.

Jonan ze zdumienia aż otworzył usta. Pytającym wzrokiem wpatrywał się w szefową. Amaia włożyła do trumny rękę i złapała garść kamyczków. Nie spuszczać z nich wzroku, pozwoliła, żeby przesypały jej się powoli między palcami. Wiedziała, że jedynym wynikiem poszukiwań będą te drobiny. Opadając, zostawiły po sobie obłoczek kurzu.

24 czerwca 1980 roku

Był piękny letni ranek. Juan zaczął szykować w kuchni mieszankę dla niemowląt. Poprzedniego wieczoru siostra doktora Hidalgo zaopatrzyła go we wszystko, co potrzebne, i powiedziała, co ma robić. To będzie pierwsze karmienie. Rosario karmiła piersią Flore i Rosaure, ale tej córki nie będzie mogła karmić. Lekarz wypisał jej bardzo silne leki i uprzedził Juana, że najlepiej będzie, jeśli nie pozwoli jej zbliżyć się do dziecka. Juan przeniósł kołyskę do salonu i właśnie stamtąd dobiegł krzyk dziecka domagającego się jedzenia. Wziął córkę na ręce, podał jej butelkę i trochę go pocieszyło, że tak mocno ssie. Pochylił się i pocałował ją w czoło, a jego spojrzenie nieświadomie powędrowało w róg pokoju, tam gdzie stała druga kołyska. Leżał w niej niewielki, nieruchomy kształt, nieżywe ciało jego drugiej córki.

Rosario wyszła z sypialni, piękna jak zawsze. Zraniło mu to serce jeszcze bardziej. Starannie uczesana i umalowana, w prążkowanym kostiumie z zakietem i spódnicą. Nikt by nie powiedział, że dwanaście godzin wcześniej urodziła.

– Rosario... pozwól mi pojechać z tobą – poprosił po raz kolejny.

Nie podeszła do niego. Zatrzymała się na środku salonu, spojrzała na dziecko, które trzymał na rękach, i odwróciła się do okna.

– Nie, Juanie. Już postanowiłam. Tak będzie lepiej. Musisz zostać, żeby się zająć dziewczynkami i dopilnować wytwórni. Pogrzeb będzie w San Sebastián. Już rozmawiałam z rodzeństwem, czekają na mnie. Wrócę jutro.

Na sekundę przymknął oczy. Zbierał siły do konfrontacji.

– Wiem, że chcesz ją tam pochować, i nie mam nic przeciwko temu, ale... czy musisz ją zabierać w taki sposób?

– Już o tym mówiliśmy. Nie chcę, żeby ktokolwiek się dowiedział. Musisz mi przysiąc, że nikomu nic nie powiesz, nawet matce. Urodziła się dziewczynka i oto jest, możesz ją pokazać. A jeśli nawet ktoś zobaczy, że wychodzę, powiemy, że musiałam jechać z dzieckiem do szpitala, bo kasłało. Jutro, kiedy wrócę, powiemy, że już wszystko w porządku.

Wyjrzała przez okno.

– Taksówka czeka.

Teraz on też podszedł do okna. Taksówka z Pampeluny. Rosario jak zwykle pomyślała o wszystkim. Odwrócił się w ostatniej chwili, żeby zobaczyć, że łapie torebkę i nachyliła się nad kołyską martwego dziecka, bierze je na rękę i sprawnym ruchem doświadczonej matki owija ciało w śliczną dzianinową chustę, a potem układa w ramionach jak żywe dziecko.

– Jutro wracam – powtórzyła, niemal miłosnym gestem przytrzymując martwy ciężar.

Patrzył na nią w osłupieniu przez kilka sekund. Wyglądała zupełnie tak samo jak wtedy, kiedy niosła do kościoła swoje starsze córki, żeby je ochrzcić. Spuścił głowę, przycisnął małą do piersi i po raz pierwszy w życiu odwrócił się, żeby nie widzieć swojej żony.

Pożegnała się z wujostwem i wsiadła od strony pasażera. Jonan prowadził.

– Jeszcze nie wszystko stracone, szefowo.

Westchnęła.

– Niestety.

– No cóż, to, że nie znaleźliśmy ciała, może także oznaczać, że nadal żyje.

– Nie, Jonanie, ona nie żyje.

– Nie może pani mieć pewności.

Amaia milczała.

– Może jest jednym z tych skradzionych dzieci, o których rozpisują się w mediach. Wydaje się, że pełno jest takich przypadków.

– Mojej matce nie ukradziono córki.

– Przepraszam, że to mówię, ale ciąża mogła pochodzić ze związku pozamałżeńskiego. Mogło też chodzić o pieniądze. Niektórzy ludzie płacą fortunę za noworodka.

– Za noworodka bez ręki?

– To może oddała ją do adopcji właśnie dlatego. Bo miała defekt fizyczny.

Amaia zaczęła się nad tym zastanawiać. Może matka nie chciała zaakceptować dziecka z widoczną wadą? Może wstydziła się, że jej córka jest inwalidką? Nie wydawało się to całkiem pozbawione sensu.

– Masz jakieś pomysły? – spytała.

– Najlepiej zacząć od tego, co już wiemy. Że nie ma ręki. W związku z tym musi używać protezy. W Ubezpieczalni Społecznej mają narodowy rejestr wszystkich osób noszących protezy i numerów seryjnych protez. Znają wiek tych osób. Są nawet daty urodzenia.

– Ale gdyby chcieli ją oddać do adopcji, nie byłoby aktu zgonu.

– Może być fałszywy. Mógł zostać sporządzony

w porozumieniu z lekarzem, który go wystawił.

Amaia przypomniała sobie twarz Finy Hidalgo: „Więc pani jest jedną z takich”.

– Może – przyznała.

Jeśli sprawy miały się tak, jak sugerował Jonan, mogło chodzić tylko o oszukanie jej ojca. Och, *aita*, jak mogłeś być tak ślepy!

Jechali autostradą brzegiem doliny Leitzarán. Szybko zapadał zmierzch. Światło ulatniało się jak dym i jego ostatnie srebrzyste błyski snuły się tuż nad koronami drzew na horyzoncie, wyżej przechodząc w ciemność. Wydawało się, że dzień stawia opór nocy i ostatnim wysiłkiem daje spektakl światła i piękna. Amaia poczuła się jeszcze bardziej przygnębiona.

Ze smutnego zamyślenia wyrwał ją sygnał komórki.

– Dobry wieczór, pani inspektor – powitał ją ożywiony głos doktora San Martína.

Z jego tonu wywnioskowała, że wieści są pomyślne.

– Mamy wyniki badania metalu... i... – zwlekał, nie chciał jej powiedzieć wszystkiego od razu. Nienawidziła tego. – ...ten lancet z kliniki w Estelli faktycznie jest bardzo stary, pochodzi z XVII wieku, tak jak myślałem. Datowanie opiera się na znajomości stopów metali, które były w użytku w tamtych czasach, i sposobów ich topienia i wykuwania. Wszystko to razem wzięte czyni przedmiot niepowtarzalnym. I tu właśnie mamy coś, co panią zaskoczy.

Amaia słyszała, że jest zadowolony.

– Metalowy ząb piły, który był wbity w kość Lucíi Aguirre, i metal, z którego zrobiono lancet, są takie same. To ten sam stop i ta sama kowalska robota.

Amaia wyprostowała się i zastygła w oczekiwaniu na ciąg dalszy. San Martínowi udało się przykuć całą jej uwagę.

– Jest tylko jedno wytłumaczenie, mianowicie że zostały wykute jednocześnie. Mówimy tutaj o ręcznej robocie rzemieślnika, który najprawdopodobniej pracował na zamówienie. Osobiście sędzę, że mógł zrobić zestaw narzędzi chirurgicznych dla jakiegoś chirurga.

– Twierdzi pan, że lancet i metalowy ząb były częścią tego

samego zestawu?

– Tak, pani inspektor. Teraz, kiedy już o tym wiem, mogę założyć z niemal stuprocentową pewnością, że ząb pochodzi z używanej w dawnych czasach piły do amputacji. Kiedyś często takich używano. Niech pani weźmie pod uwagę, że nie istniały antybiotyki i w przypadku ran czy infekcji kończyn amputacja była najczęściej wykonywanym zabiegiem ratującym życie.

– I tym właśnie narzędziem odcięto rękę Lucii?

– Najprawdopodobniej... Jak już pani wyjaśniałem, musielibyśmy zrobić model ostrza takiej piły i sprawdzić to w ten sposób, ale jestem tego niemal pewny, zwłaszcza że tylko tak możemy wyjaśnić, skąd ten kawałek metalu wziął się w jej kości.

– Czy tą samą piłą mogła zostać odcięta ręka Johany?

– Musiałbym mieć model...

– Ale czy to możliwe?

– Biorąc pod uwagę precyzję i inne szczegóły, podobne do tych, jakie widać na kości Lucii... Tak, to jak najbardziej możliwe. Już pani mówiłem, że podobieństwo rzuca się w oczy.

Rozłączyła się i popatrzyła na Jonana. Zaciskał ręce na kierownicy tak mocno, że pobierały mu kostki palców.

– No tak – powiedział. – To potwierdza nasze przypuszczenia, że to *tarttalo* odwiedzał pani matkę. On i sprawca z Arizkun mogliby być tą samą osobą, bo ten ostatni specjalnie zostawił w kościele kości *mairu*, kości kogoś z pani rodziny. To każe nam myśleć o kimś z Elizondo, kto wiedział, że wokół domu pani babki są te groby. Jestem absolutnie przekonany: to, że specjalnie – wiedząc, że pani się o tym dowie – podłożono kości pani siostry, dowodzi niezbicie, że tego kogoś, kto to zrobił, coś łączy z jedyną osobą, która mogła wiedzieć, gdzie one są... Proszę nie zapominać, że kości pani siostry nie były zakopane w ziemi jak pozostałe. Żeby je znaleźć i ich użyć, ten ktoś musiał się o nich dowiedzieć od jedynej osoby, która o nich wiedziała: od pani matki. To dowodzi, że sprawca z kościoła i *tarttalo* to jedna i ta sama osoba.

Amaia oddychała ciężko. Była oszołomiona, nie była w stanie

zebrać myśli. Po kilku sekundach szepnęła:

– Więc profanacje miały tylko jeden cel? Miały przyciągnąć moją uwagę? Ale do czego? Do zbrodni tarttala? Co to wszystko ma znaczyć? Co ma z tym wszystkim wspólnego moja siostra? Czy ona też padła ofiarą tarttala? – przerwała i zaśmiała się histerycznie. – Czy *tarttalo* to moja matka? – spytała wyczerpana.

Jonanowi ta ostatnia myśl wydała się absurdalna:

– Szefowo, pani matka nie jest tarttalem. Nie może być tarttalem. Niektóre kości leżały w jaskini od dziesięciu lat. Przed dziesięcioma laty pani matka była już bardzo chora, może nawet była już w szpitalu. Kiedy tam trafiła? Do tego inne kości znalazły się tam, kiedy z całą pewnością była zamknięta w klinice.

– Nie, jeszcze nie była w szpitalu, ale z pewnością była na tyle niesprawna fizycznie, że nie mogłaby wziąć udziału w niczym takim... Ale ona go zna.

– Tak, oczywiście – zgodził się Jonan. – Choć najprawdopodobniej nie wie, kim jest ani oczywiście czym się zajmuje.

Amaia milczała.

– Mamy też tego faceta z obciętymi palcami, męża Nurii – mówił dalej Jonan.

– Tak, ale kiedy Johana została zamordowana, on był w więzieniu – odpowiedziała.

– No tak, ale to na niego wskazał ten chłopak z Arizkun.

– Cholera, głowa mi od tego pęka – powiedziała nagle Amaia.

– Muszę to wszystko spokojnie przemyśleć. Tak, potrzebuję trochę spokoju...

Była już głucha noc, kiedy dotarli do Elizondo.

– Zostaw mnie tutaj – poprosiła Amaia, kiedy dojechali do ulicy Santiago. – Muszę zaczerpnąć powietrza.

Jonan zjechał na pobocze i zatrzymał samochód. Amaia przez chwilę trzymała drzwi otwarte. Wkładała rękawiczki i zapinała płaszcz. Ziemia była mokra, co świadczyło o tym, że po południu padał deszcz, ale teraz na niebie można było dostrzec kilka nieśmiało mrugających gwiazd. Kiedy światła samochodu

Jonana zniknęły w oddali, na ulicy Santiago zostały tylko pustka i cisza.

Amaia szła powoli i myślała o tym, jak wielka jest siła nocnej ciszy w Baztán, tej ciszy, która jest możliwa tylko tutaj, pozornie przyjemna, a tak naprawdę napełniająca człowieka poczuciem samotności i pustki. Ta cisza sprawiła, że zatęskniła za Pampeluną i ulicą Mercaderes, gdzie był ich dom, za ulicą niemal zawsze pełną ludzi, żywą, przyjazną ulicą, która nikogo nie oszukiwała.

Natomiast cisza w Elizondo obiecywała spokój, który nie istniał, który był jedynie czymś powierzchownym, cieniutką powłoką, pod którą wrzał strumień lawy, jakby istniała druga, podziemna rzeka Baztán, przekazująca mieszkańcom tych okolic telluryczną energię wyzwalamą się z otchłani, z samej głębi piekieł.

Usłyszała muzykę i odwróciła się, żeby sprawdzić, skąd dochodzi. Kilka par stałych bywalców wchodziło do baru Saioa, a kiedy zamknęli za sobą drzwi, wszystko wróciło do poprzedniego stanu. Było zimno, ale bezwietrznie, dzięki czemu noc była prawie przyjemna. Amaia zeszła do Muniartea. Wieczny rumor wody spadającej z jazu zakłócał ciszę. Zdjęła jedną rękawiczkę i oparła dłoń o lodowatą kamienną poręcz, na której wryto nazwę mostu.

– Muniartea – przeczytała na głos, jak nieskończenie wiele razy w dzieciństwie.

Jej głos, a raczej szept, został zagłuszony przez ciągły szum wody i unoszący się znad niej lekki powiew bryzy. Wiała tam zawsze. Nagle Amaia zatęskniła za letnimi nocami, kiedy przy zaporze zapalano światła. Nadawały jej idylliczny wygląd, uwieczniany na pocztówkach dla turystów. Ale teraz była zima, a zimą w Baztán rządziła ciemność. Mieszkańcy odważali się wrywać spod jej władzy jedynie ograniczoną, niewielką przestrzeń swych domów. Cofnęła się o krok i spojrzała na ciemną wodę płynącą pod mostem w stronę burzliwego morza, odległego o wiele kilometrów. Włożyła rękawiczkę i zagłębiła się w dzielnicę Txokoto. Grube mury domów stłumiły huk wody. Teraz docierał do jej uszu jak wspomnienie dźwięku

przesączającego się przez roślinność w ogrodach pani Nati.

Pomarańczowe światła latarni oświetlały jedynie rogi ulic, rzucając niewielkie, niestykające się ze sobą kręgi światła. Txokoto, jedna z najstarszych dzielnic Elizondo, musiała wyglądać podobnie w średniowieczu, z którego pochodziły nadal stojące domy szachulcowe.

Przeszła obok drewnianych okiennic, które w nocy chroniły przeszkloną fasadę wytwórni ciast Mantecadas Salazar, i skręciła w lewo. Parking był pusty i ciemny. Z żalem pomyślała o tym, że nie ma latarki, dzięki której mogłaby w pełni docenić świeżą biel fasady, ledwie majaczącą w skąnym świetle. Tylko do tego mogłaby potrzebować latarki: wiedziała, że jak tyle razy w dzieciństwie, nadal będzie mogła odnaleźć zamek nawet w ciemności. Zdjęła rękawiczki i mocno ścisnęła w dłoni klucz, który miała w kieszeni płaszcza. Nadal zwiślał z niego sznurek, który związał jej ojciec, żeby mogła go nosić na szyi. Wymacała palcem dziurkę i włożyła do niej klucz. Z łatwością obrócił się w zamku. Popchnęła drzwi i najpierw przycisnęła włącznik światła po prawej stronie futryny, a dopiero potem weszła i zamknęła za sobą drzwi. W wytwórni pachniało syropem owocowym. Słodki, świeży zapach przypomniał jej dobre dni. Lubiła go. Był na tyle silny, że tłumił surowy roślinny zapach mąki.

Na chwilę zamknęła oczy i wymazała tłum niepożądanych obrazów, które – przywołane potężną siłą pamięci węchowej – przybyły nieproszone, jak koszmarny sen. Wróciła do przełączników i włączyła wszystkie światła. Potężna iluminacja wygnała duchy przeszłości. Schroniły się w kątach, zaległy w mroku. Po ostatnim wieczornym wypieku w powietrzu utrzymało się jeszcze trochę ciepła i temperatura była przyjemna. Zdjęła płaszcz, zwinęła go starannie i położyła na metalowym stole, a potem wdrapała się na stół i usiadła.

Wiedziała, że piekło rozpętało się właśnie tutaj. To tej nocy, kiedy matka czekała na nią w piekarni i zadała jej cios w głowę, a potem uznała, że nie żyje, i pogrzebała ją w korycie do ciasta, przysypując mąką, otworzyły się przed nią bramy piekieł. Ale nie od tego wszystko się zaczęło. Popatrzyła z lękiem na koryto,

teraz też wypełnione mąką, przykryte akrylową przezroczystą pokrywą. Widziała przez nią wyścielone bielą wnętrze. Jak trumna, pomyślała i zmusiła się do odrzucenia tych myśli. Rozejrzała się, szukając wzrokiem butelek z esencjami zapachowymi. Teraz stały uporządkowane na metalowej półce. Wtedy przysła tu po swoje pieniądze, po pieniądze, które ojciec podarował jej na urodziny i które ukrywała przed matką... Ale matka wiedziała o wszystkim.

Wyczuwała jej obecność, nawet gdy nie przebywały w tym samym pomieszczeniu, i zarzucała na nią niewidzialną sieć, którą ją krępowała, choć nigdy nie udało jej się doprowadzić do tego, żeby uznała się za pokonaną. To samo stało się w szpitalu. Tam też rozsunęła tę widzialną tylko dla nich obu siatkę łączącą pajęczycę ze zdobyczą. W umyśle Amai od najmłodszych lat utrwaliła się świadomość tego wyczuwalnego, naprawdę istniejącego połączenia między nimi, które zarazem je łączyło i dzieliło. Było jak sztywna bariera, która kazała im utrzymywać fizyczny dystans i nie pozwalała matce jej dotykać, głaskać ani o nią dbać. To z powodu tej sztywnej, niewidzialnej bariery tylko ojciec albo siostry pomagali jej się ubierać i czesać. To ojciec mierzył jej temperaturę, kiedy była chora, to ojciec zawoził ją do lekarza. Matka nigdy jej nie dotykała i nie wzięła za rękę. To coś, nigdy nienazwane, utrzymywało je we wzajemnym szachu, jak przyszpilone do dwóch końców wymaginowanego pręta, przyciągało je do siebie i jednocześnie odpychało. Były jak dwa bieguny magnetyczne, jak anoda i katoda w baterii, które muszą zachowywać nieprzekraczalny dystans. Ale matka czasem tę barierę naruszała. W nocy, kiedy wszyscy spali, nachylała się nad jej łóżeczkiem, żeby jej uświadomić... Uświadomić co? Znów wpatrzyła się w trumienne wnętrze koryta... żeby jej przypominać, że nad jej głową zawisł wyrok śmierci, póki co odroczone. Przypominała jej o tym z upodobaniem, jak skazanemu na śmierć, który czeka na wykonanie wyroku ze świadomością, że każdy dzień zbliża go do niechybnej śmierci. Powtarzała makabryczną wylizankę: „Śpij, mała dziwko, *ama* nie zje cię dzisiaj”. Kryło się za tym niewypowiedziane, ale równie realne: „Ale kiedyś to

zrobi”.

Wiedziała o tym od zawsze. To dlatego nie spała. To dlatego czuwała dopóty, dopóki się nie upewniła, że kat już zasnął. To dlatego błagała siostry, żeby jej pozwoliły spać w swoich łózkach, składając im różne ponizające obietnice. Ale ta noc, noc wykonania wyroku, która miała kiedyś nadejść, też nie była początkiem. Znowu usłyszała głos Dupreego: „Kiedy to się zaczęło, pani inspektor?”, „Jaki był początek?”.

Jeśli taka miała być kara, musiał przedtem zapaść wyrok. Kiedy matka skazała mnie na śmierć? I dlaczego? O tym, że została skazana, wiedziała od najwcześniejszych dziecięcych lat. Teraz dopiero dotarło do niej, że może wyrok zapadł w chwili jej narodzin, jej i tej drugiej, identycznej dziewczynki, która płakała w jej snach, od kiedy pamiętała. Jonan się mylił. Rozumiała, że jego wiara, nadzieja i optymizm stawiają opór myśli o najgorszym i nie pozwalają mu przyjąć do wiadomości potwornej rzeczywistości. Nie, nie uda się tego wyjaśnić, nie ma w rejestrach ludzi noszących protezy żadnej kobiety w jej wieku, są sprawy, o których Iriarte i Jonan nie wiedzą, ale które zaczynają przeczuwać. Nie wiedzą na przykład, że matka robiła się bardziej niebezpieczna, kiedy zbliżały się urodziny Amai. Przypominała sobie dokładnie, jak rok w rok zwykły dystans zamieniał się we wrogość, narastającą, w miarę jak zbliżał się dzień jej urodzin.

Czuła za plecami jej wrogie spojrzenia. Matka oceniała zdolność zdobyczy do obrony i dzielący je dystans. Te spojrzenia, których nie widziała, jeżyły jej włosy na karku i były groźbą, która przez kilka następnych dni nie pozwalała jej zasnąć w nocy nawet na chwilę. Pamiętała doskonale, jak wyrok, który nad nią ciążył, nabierał mocy, zmieniając się w coś dotykającego, mrocznego, w zaciskającą się wokół niej pułapkę, duszącą ją nieuchronnie. Potem dzień urodzin mijał i wracały do tego dziwnego unikania się i nadzorowania, do napiętego jak struna pozornego spokoju, który był tym, co najbardziej przypominało normalność przez całe jej straszne dzieciństwo. Ten dzień, rocznica urodzin, który dla innych dzieci, nawet dla jej sióstr, był okazją do świętowania i który

także dla niej powinien być właśnie tym, był dla niej najgorszym dniem roku, datą zaznaczoną w jej wewnętrznym kalendarzu jako data fatalna. Można by się rozwodzić na temat cierpienia matki po śmierci jednej z córek, o traumie, którą co roku odświeżały jej urodziny. Ale ona wiedziała, że to nie było tak, że to nie ból ani nie żałoba kierowały jej matką. Kierowała nią determinacja: kiedyś miał się spełnić wyrok przeznaczenia, które osiągnęło punkt kulminacyjny z chwilą, gdy urodziły się dwie identyczne dziewczynki.

„*Mairu* zawsze należy do martwego dziecka”, taka jest jego natura.

„Ofiara nigdy nie jest przypadkowa”.

Nie, nie wierzyła, żeby dziewczynka, która jej się śniła, mogła być teraz dorosłą kobietą, mieszkać gdzie indziej, z inną rodziną albo pod innym nazwiskiem. Trumna była pusta, a akt zgonu sfałszowany, ale i tak nie wierzyła, że matka oddała jej siostrę do adopcji. Wydawało się, że dopóki była w ciąży, nikt nie wiedział, że oprócz niej ma się urodzić jej bliźniaczka. Przecież jeśli matce udało się do porodu utrzymać to w tajemnicy, mogła bez problemu oddać jedną z bliźniaczek do adopcji, nie posuwając się do fałszowania aktu zgonu. Miałyby do pokazania światu drugą dziewczynkę. Nie można było zaprzeczyć, że istnieją dwie bliźniacze kołyski. Z pewnością czekały na dwa noworodki. Dzieci urodziły się w domu, tak wynikało z aktu urodzenia wystawionego przez lekarza. Więc jeśli śmierć nastąpiła z przyczyn naturalnych i lekarz podpisał akt zgonu, to po co była ta inscenizacja? Jeśli całe to przedstawienie z fałszywymi zaświadczeniami i fałszywym pogrzebem się odbyło, to dlatego, że były zwłoki. Prawdziwe zwłoki, z którymi coś należało zrobić, zwłoki dziecka bez ręki, zwłoki, których nie wpisano do żadnego szpitalnego rejestru. Nic nie wskazywało na to, żeby ręka była zdeformowana w takim stopniu, żeby to miało uzasadnić amputację. W każdym razie nie wskazywał na to stan kości. A jeśli dziewczynka nie była operowana, to ręka została odcięta po jej śmierci albo zrabowana z jej trumny, tak jak w przypadku *mairu*, które strzegły Juanitaenei.

Nagle wspomnienie czegoś, co jej się przyśniło, stanęło przed nią tak żywo, jakby to widziała naprawdę. Dziewczynka, która była nią, kuliła się w kącie, wyciągała do niej kikut i coś szeptała. Amaia zbiegała po schodach, przytulając coś do piersi, a kilkoro małych ubrudzonych błotem dzieci wyciągało do niej kikuty rączek. Coś mówiły. Ale co? Nie była w stanie sobie tego przypomnieć. Była pewna, że to było coś ważnego, więc próbowała. Przymknęła oczy i starała się pochwycić wspomnienie snu. Rozwiewało się jak mgła tym szybciej, im bardziej starała się je przytrzymać. W skroniach zaczęło jej tętnić i poczuła potworny ból głowy. Nie spuszczać wzroku z koryta z mąką, które wydawało się hipnotycznie ją przyciągać, po omacku poszukała telefonu i wyciągnęła go z kieszeni płaszcza. Nadal wpatrując się w biel mąki, walczyła ze sobą: zadzwonić czy nie. W końcu zamknęła oczy i mruknęła:

– Niech to szlag.

Popatrzyła na zegarek. Trzy minuty po północy, w Luizjanie szósta po południu. Godzina równie zła jak każda inna. Poszukała numeru i wcisnęła klawisz. Początkowo nic się nie działo. W słuchawce było tak samo cicho jak przedtem, zanim wybrała numer. Po chwili odsunęła telefon od ucha, żeby spojrzeć na wyświetlacz.

Na ekranie widniał jednoznaczny komunikat: agent specjalny Dupree, łączę. Znów podniosła komórkę do ucha, ale nie było słyhać żadnego sygnału. W końcu usłyszała trzask, jakby ktoś złamał suchą gałązkę.

– Agencie Dupree? – spytała niepewnie.

– Zapadła już noc w Baztán, inspektor Salazar?

– Aloisius... – szepnęła.

– Proszę, niech pani odpowie. Czy już jest noc?

– Tak.

– Zawsze dzwoni pani do mnie w nocy.

Nie odezwała się. Zabrzmiało to dziwnie, ale prawdopodobnie tak było. To takie dziwaczne uczucie wiedzieć, że się rozmawia z kimś, kogo się zna, wiedzieć z całą pewnością, że to on, a zarazem tego nie wiedzieć.

– Co mogę dla pani zrobić, Salazar?

– Aloisius... – powtórzyła tonem wskazującym na to, że usiłuje nie stracić kontaktu z umykającą jej rzeczywistością. – Jest coś, co muszę wiedzieć – wyszeptała. – Szukałam rozwiązania, ale to jeszcze wszystko zagmatwało. Zrobiłam tak, jak miałam zrobić, szukałam początku, ale nie znajduję odpowiedzi.

Na linii zapadła cisza, przerywana jedynie jakby szumem cieknącej wody. Amaia zacisnęła usta. Próbowwała się nie domyślać, niczego sobie nie wyobrażać, niczego, co sugerował ten odgłos.

– Aloisius, dowiedziałam się, że miałam siostrę bliźniaczkę. Urodziła się razem ze mną.

Odniosła wrażenie, że agent Dupree zaczerpnął powietrza. Przypominało to syk zapchanego odpływu.

– Niektóre poszlaki wskazują na to, że może... że ona nadal żyje...

Z drugiego końca świata doszedł do niej gardłowy, mokry kaszel.

– Och, Aloisius! – wykrzyknęła, podnosząc rękę do ust, żeby nie zadać pytania, które samo napłynęło jej do ust: co się dzieje?

Wszystko ucichło, zapadła złowróżbna cisza. Mogła oznaczać, że połączenie zostało przerwane, a mogła coś zupełnie innego. Czekala.

– Nie zadaje pani właściwego pytania – powiedział Dupree, odzyskując swój zwykły, jasny głos.

Ucieszyła się, rozpoznając przyjaciela.

– To nie takie łatwe – zaprotestowała.

– Ależ tak. To dlatego pani do mnie dzwoni.

Przełknęła ślinę i znów wbiła wzrok w biel mąki.

– Chcę wiedzieć, czy moja siostra...

– Nie – przerwał jej. Jego głos brzmiał tak, jakby dobiegał z czeluści wilgotnej jaskini.

Amaia zaczęła płakać, ale dokończyła drżącym głosem:

– ...czy moja siostra żyje? – I zaniósła się płaczem.

Minęło kilka sekund, zanim odpowiedział:

– Jest martwa.

Płakała coraz rozpaczliwiej.

– Skąd o tym wiesz?

– To nie tak. Skąd ty o tym wiesz? Bo ci się śni, bo we śnie nawiedzają cię zmarli, inspektor Salazar. Bo sama ci o tym powiedziała.

– Ale dlaczego ty o tym wiesz?

– Wiesz dobrze dlaczego, Salazar.

Oderwała komórkę od ucha i wpatrzyła się w nią szeroko otwartymi oczami. Stwierdziła, że jest wyłączona. Nie tylko wyświetlacz nie był rozświetlony: manipulując telefonem, stwierdziła, że był całkiem wyłączony. Nacisnęła przycisk i poczuła wibrowanie: włączył się. Zobaczyła powitalną wiadomość i zdjęcie Ibaia, które wypełniło ekran. Cofnęła strzałką do ostatniego połączenia i nic nie znalazła. Ostatnia była rozmowa z Iriartem. Dzwoniła do niego z samochodu. Także w rejestrze rozmów przychodzących i wychodzących nie było ani śladu rozmowy z Dupreem. Nagle telefon zadzwonił. Przeraził ją tak, że wypuściła go z rąk. Upadł na podłogę i usłyszała trzask. Plastik rozpadł się na części. Dzwonek ucichł. Zeskoczyła ze stołu, schyliła się, żeby podnieść trzy kawałki: obudowę, ekran i baterię, a potem drżącymi palcami złożyła je i udało jej się włączyć telefon dokładnie w chwili, kiedy znów zadzwonił. Spojrzała na wyświetlacz i nie rozpoznała numeru, ale i tak odebrała.

– Dupree?

– Inspektor Salazar – odpowiedział uprzejmy głos. – Tu agent Johnson z FBI. Dzwoniła pani do mnie, przypomina sobie pani?

– Oczywiście, agencie Johnson – starała się mówić jak zwykle, żeby nic nie dać po sobie poznać. – Nie rozpoznałam numeru.

– Dzwonię z prywatnej komórki. Przetworzyliśmy obraz, który mi pani przesłała. To chyba było pilne.

– Tak, agencie Johnson. Bardzo dziękuję.

– Wysłałem to pani mailem, razem z raportem eksperta. Rzuciłem na to okiem i wydaje się, że obraz jest częściowo uszkodzony, ale i tak poprawa jest znaczna. Proszę to przejrzeć i – jeśli pani uzna, że jeszcze w czymś będę mógł pomóc – proszę się nie wahać i zadzwonić, ale na ten numer, z którego

teraz mówię. Cenię agenta Dupreego, ale od czasu kiedy zniknął, wszystko zaczęło się zmieniać. Początkowo wszystko szło zgodnie z przepisami, tak jak się robi, kiedy zniknie agent, ale kilka dni temu zapadła cisza. To właśnie tak wygląda, pani inspektor, bohater może zostać nikczemnikiem z powodu kilku insynuacji. Jestem przyjacielem Aloisiusa Dupreego i jest on jednym z najlepszych agentów, jakich znam. Jeśli robi to, co robi, z pewnością ma jakiś powód. Mam nadzieję, że jednak się odnajdzie, bo tutaj milczenie to potępienie. A póki co proszę się do mnie zwracać ze wszystkim, w czym będę mógł pani pomóc. Jestem do pani dyspozycji.

Rozłączyła się i sprawdziła: rzeczywiście dostała powiadomienie, że przyszedł mail, ale chociaż bardzo niecierpliwie na niego czekała, chociaż bardzo chciała zobaczyć, co ekspert FBI i jego nowoczesne oprogramowanie zrobili z twarzą człowieka z Santa María de las Nieves, spróbowała się opanować. W telefonie dużo nie zobaczy, lepiej poczekać, aż będzie miała dostęp do komputera. Włożyła płaszcz, otworzyła drzwi i dopiero wtedy zgasła światła. Zamknęła drzwi na klucz. Chwilę stała czujnie, bez ruchu, a potem zapięła płaszcz i znów schowała klucz do kieszeni. Parking wydawał jej się teraz jeszcze ciemniejszy, przez kontrast z jasnym oświetleniem w wytwórni. Wyszła na ulicę Braulia Iriartego. Przechodząc obok baru Trinkete, zobaczyła w środku światło, chociaż bar był pusty i wyglądał na zamknięty. Pomyślała, że z pewnością kilku zawodników gra w *pala* na *frontón*. Namiętność Baztańczyków do peloty nie wygasła. Kolejne pokolenia podtrzymywały wiekową tradycję. Ale nie wszyscy byli tego zdania. Przy jakiejś okazji słynny *pelotari* Oskar Lasa III stwierdził, że *la mano* już nigdy nie będzie tym, czym zawsze była, gdyż dzisiejsza młodzież nie zna „kultury bólu”: „Usiłowałem uczyć wielu młodych. Niektórzy byli naprawdę utalentowani, ale kiedy tylko ich zabolalo, jęczeli jak dziewczynki. To bardzo boli, skarżyli się, a ja im odpowiadałem: jeśli nie boli, to znaczy, że nie robisz tego dobrze”.

Kultura bólu, akceptacja tego, że będzie bolalo, świadomość, że dłoń spuchnie tak, że palce zaczną przypominać parówki. Straszliwe pieczenie, jakby ręka była przypiekana na węglach, które podchodzi coraz wyżej, jak jad, aż do ramienia. Przygotowanie na to, że skóra we wnętrzu dłoni przy następnym uderzeniu pęknie i zacznie krwawić. Czasem takie potworne uderzenie w piłkę przerywało żyłę. Krew wylewała się

nie na zewnątrz, lecz do środka, tworząc twardą, koszmarnie bolesną kulę, z której nie można było wytoczyć krwi nawet nakłuciem i którą należało operować, bo zagrażała zdrowiu.

Kultura bólu, wiedzieć, że zaboli, a mimo to...

Pomyślała o Dupreem i o tym, co powiedział agent Johnson: „Tutaj milczenie jest potępieniem”.

– Tutaj także – wyszeptała.

Zobaczyła niebieskawe kłęby dymu z jego papierosa, zanim jeszcze zobaczyła jego samego. Kiedy zrobił krok naprzód, wychodząc z cienia, poznała go po markowym obuwiu. Czekał na nią, oparty o mur. Chował twarz.

– Witaj, Salazar – powiedział.

Montes. Był trochę podcięty. Nie pijany, ale jego błyszczące oczy i sposób, w jaki na nią spojrział, świadczyły o tym, że pił.

– Co pan tu robi? – tak odpowiedziała na jego powitanie.

– Czekałem na panią.

– Zaczajony na mojej drodze do domu? – odparła, rozglądając się wokół, jakby próbowała mu uświadomić niestosowność jego zachowania.

– Nie zostawiła mi pani innego wyjścia. Unika mnie pani od dawna.

– Od dawna czekam, aż zacznie pan przestrzegać przepisów i poprosi o spotkanie w moim gabinecie.

Przekrzywił lekko głowę. Jego twarz wykrzywił grymas.

– Do jasnej cholery! Amaio, myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem, niemal rozbawiona.

– Nie mogę tego potwierdzić – powiedziała i zrobiła krok w stronę domu ciotki.

Montes rzucił niedopałek na ziemię i ruszył za nią. Wkrótce ją dogonił. Szedł u jej boku.

– Wiem, że postąpiłem nie tak, jak powinienem, ale powinna pani zrozumieć, że to był bardzo trudny moment w moim życiu. Myślę, że zachowałem się niewłaściwie.

– Wiem o tym aż za dobrze – przerwała mu.

Wyprzedził ją i zagroził jej drogę, zmuszając, żeby się zatrzymała.

– Pojutrze odbędzie się posiedzenie w sprawie mojego powrotu do służby. Co pani powie?

– Proszę się umówić i przyjść do mnie do biura – obesła go i chciała iść dalej.

– Pani mnie zna.

– No i widzi pan? Co do tego się myliłam. Myślałam, że pana znam, ale tak naprawdę nie wiem, kim pan jest.

Stał dalej w tym samym miejscu.

– Ujebiesz mnie, prawda?

Nie odpowiedziała.

– Tak, ujebiesz mnie, przeklęta dziwko! Jesteś taka sama jak wszystkie dziwki z waszej rodziny! Nie możecie się oprzeć pokusie, żeby nie władować faceta na wózek na kółkach albo nie rozwalić mu łba czy co tam wam jeszcze przyjdzie do głów. Zastanawiam się, jak długo to jeszcze potrwa, zanim do reszty zniszczysz tego mięczaka Jamesa.

Amaia stanęła jak wryta. Zatrzymał ją strumień gęstego czarnego jadu wylewający się z ust Montesa.

Chciała być rozważna, bo zdawała sobie sprawę, że wszystko to miało ją sprowokować, że chce, by coś zrobiła, ale jakiś głos w jej głowie podszeptował jej: tak, wiem, co chce osiągnąć, więc dlaczego nie dać mu tego, o co sam się prosi?

Zawróciła zdecydowanie i zatrzymała się o kilka centymetrów od niego. Poczula w jego oddechu zapach piwa i markowe perfumy, jego znak rozpoznawczy.

– Nie muszę nawet ruszać palcem, Montes. Nie muszę nic robić, żeby ci zaszkodzić – zwróciła się do niego na ty. Koniec z formalnościami. – To prawda, że masz przejebane, ale sam do tego doprowadziłeś. Miałeś gdzieś procedury, porzuciłeś trwające dochodzenie, co oznacza brak szacunku dla kolegów, ofiar i ich rodzin. Nie wykonałeś bezpośrednich rozkazów, naraziłeś śledztwo, wynosząc z komisariatu dowody, i jakby tego było mało, celowałeś z broni do cywila, a na koniec o mało sam nie rozwaliłeś sobie tego pustego łba. I gdybyśmy, Iriarte i ja, cię nie powstrzymali, od roku gniłbyś w grobie, na który nikt nie zanosiłby kwiatów. Powiedz: co się zmieniło przez ten rok?

– Mam raporty psychiatrów. Zalecają, żebym wrócił do pracy.

– A jak wszedłeś w ich posiadanie, Montes? Nie, nic się nie zmieniło. Wszystko jedno, czy żyjesz, czy nie, bo zmieniłeś się w zombi, jesteś żywym trupem. Od tamtego dnia nie zrobiłeś żadnych postępów. Nie poszedłeś na terapię, ciągle nie chcesz mnie uznać za szefa i nadal jesteś nieudacznikiem bez jaj, któremu nie można zaufać i który ciągle szuka wymówek: „Och! To był bardzo trudny moment w moim życiu! – przedrzeźniała go piskliwym głosem. – Nauczyciel mnie prześladował! Nikt mnie nie kocha!”.

Twarz Montesa przybrała szarawy odcień. Gdy mówiła, zacisnął usta. Zmieniły się w wąską ciemną krechę.

– Na litość boską! Jest pan policjantem! Weź się w garść, Montes, zrób to, co do ciebie należy, i przestań mi tu jęczeć jak dzidzia, bo się porzygam.

Montes złapał ją za przód płaszcza. Drugą rękę, zaciśniętą w pięść, podniósł do góry. Przestraszyła się. Była przekonana, że ją uderzy, ale to jej nie powstrzymało:

– Chcesz mnie uderzyć, Montes? Chcesz mi zamknąć usta, bo nie lubisz słuchać prawdy?

Patrzył jej prosto w oczy i mogła zobaczyć, jak ogromna nienawiść się w nich kryje. Ale nagle ją puścił. Opuścił też pięść.

– Nie, oczywiście, że nie – powiedział z grymasem, będącym parodią uśmiechu. – Wiem, o co ci chodzi. Bóg mi świadkiem, że chciałbym ci rozwalić twarz, ale nie zrobię tego. Nie, nie zrobię tego, pani inspektor. Ma pani odznakę i pistolet. To byłoby jak wykopać sobie grób. Nie będę się w to bawił.

Popatrzyła na niego i pokręciła głową.

– Montes, z tobą jest jeszcze gorzej, niż myślałam. Właśnie tak mnie oceniasz? Nadal trzymasz się teorii o wrogim świecie, który się przeciwko tobie sprzyścił?

Rozpięła płaszcz, wyciągnęła odznakę i pistolet, ominęła go i weszła w wąski zaułek między dwoma domami, na który nie wychodziły żadne okna. Stała tam stara beczka, zagłówek łóżka godny antykwariatu i zabytkowy pług. Położyła odznakę i broń na beczce i stała tak, patrząc na niego. Podszedł z uśmiechem,

tym razem z prawdziwym uśmiechem, ale przy wejściu w zaułek zatrzymał się.

– Bez zemsty? Bez konsekwencji? – spytał.

– Daję ci słowo, a wiesz, że moje słowo ma wartość.

Ale i tak się zawahał.

Ale ona już się nie wahała, o nie! Miała tego faceta po dziurki w nosie. Jakaś część niej, dotąd jej nieznaną, chciała mu przykopać, dać mu popalić. Rozbawiła ją ta myśl, że chociaż Montes waży ze czterdzieści kilogramów więcej od niej, to dla niej bez znaczenia.

Oberwie, to jasne, ale jemu też się dostanie. Znów na niego spojrziała i zobaczyła w jego oczach, że się waha. Poczula się prawie zawiedziona.

– No chodź tu, płacziwa dzidziu! Co, boisz się? Ktoś tu chciał mi stłuc mordę? No chodź, malutka, to twoja jedyna szansa!

Pomogło. Wpadł w zaułek jak rozjuszony byk. Kiedy potem wspominała tę chwilę, pamiętała, że pomyślała właśnie o byku. Głowa lekko pochylona do przodu, zaciśnięte pięści i zmrużone z wściekłości oczy. Czekwała do ostatniej sekundy i odskoczyła na bok. Uderzyła go w żebra. Zachwiał się i z rozpędu uderzył drugim bokiem w mur.

– Przekłęta kurwa! – ryknął.

Rozbawiło ją to potwierdzenie starego dowcipu, który krążył wśród policjantek na akademii: „Jeśli jakiś kretyn nazwie cię kurwą, to dlatego, że nie udało mu się cię przelecieć”.

Ramię musiało go boleć, ale wyprostował się i znów przybrał pozę byka.

– Co by powiedział twój przyjaciel pedał na to, że wyzywasz mnie od kobiet?

Roześmiała się, a jej mina mówiła: no, chyba całkiem cię pogięło.

– Podinspektor Etxaide jest tysiąc razy lepszym policjantem od ciebie. Jest odważniejszy i ma więcej honoru i męskości, niż ty kiedykolwiek będziesz miał, babo!

Znów na nią ruszył, ale teraz oczy miał szeroko otwarte. Był też dużo bliżej. Kiepsko dla niej. Jego pięść, szybka jak błyskawica, uderzyła ją w policzek. Odrzuciło jej głowę do tyłu i huknęła nią

o ścianę. Przez sekundę widziała tylko ciemność, ale poczuła ostry ból w policzku i wróciła do rzeczywistości. Montes niemal przyciskał ją do muru. Wykorzystała to i z całej siły wbiła mu pięść w brzuch, bardziej miękki, niż się spodziewała. Uniosła kolano. Jak w idealnej choreografii spotkało się z ustami Montesa w chwili, kiedy zginał się wpół, żeby się złapać za brzuch. Jego wyschnięte wargi pękły i zaczęły broczyć krwią. Popatrzył na nią zdziwiony. Popchnęła go dość lekko w ramię i oparł się o mur. Przez jakiś czas patrzyli na siebie, dysząc, aż Montes zgiął nogi w kolanach i osuwając się wzdłuż ściany, usiadł na ziemi. Ona zrobiła to samo.

Usłyszeli głosy. Zbliżyły się. Chłopcy ze sportowymi torbami wyszli z Trinkete i szli ulicą. Rozmawiali o meczu. Kiedy minęli zaułek, Amaia wyciągnęła paczkę chusteczek higienicznych i rzuciła ją Montesowi. Zużył kilka, żeby zatamować krwawienie, i powiedział:

– Biję się pani jak dziewczyna. – I zaczął się śmiać.

– No cóż, pan też.

– Tak, myślałem, że jestem w lepszej formie – przyznał. Opuścił głowę, a potem mówił dalej: – To prawda, byłem nieudacznikiem bez jaj, ale... Dobra, nie chcę się usprawiedliwiać, chciałbym tylko to pani wyjaśnić.

Kiwnęła głową.

– Flora... No cóż, przypuszczam, że się zakochałem...

– Wydawało się, że przemyślał to lepiej, i wypalił: – Do kurwy nędzy! Kochałem ją. Nigdy, nigdy nikogo tak nie kochałem jak ją, i wie pani, co jest najgorsze? Myślę, że mimo wszystko nadal ją kocham.

Amaia westchnęła. Czyżby miłość miała usprawiedliwiać wszystko? Pomyślała, że chyba tak właśnie jest. W swojej policyjnej karierze nie raz widziała taką chorą miłość. Wiedziała, że to nie prawdziwa miłość, tylko miłość żywych trupów, które nie są w stanie zrozumieć, że są martwe. Zmarli robią, co mogą. Była ciekawa, co powiedziałby Lasa III o kulturze bólu w miłości, może ostatnim polu, na którym – w mniemaniu większości ludzi – cierpienie nadal jest usprawiedliwione.

– Lubię Jonana – powiedział nagle Montes. – Nie wiem, dlaczego pojechałem mu od pedałów, bo ja też uważam, że to dobry policjant i fajny facet... Dwa miesiące temu natknęliśmy się na siebie w barze. Byłem dość... No cóż, byłem po kilku kieliszkach. Zaczęliśmy rozmawiać. To facet, który umie słuchać, więc piłem dalej. No i kiedy wyszliśmy z baru... No więc nie mogłem prowadzić samochodu i spędziłem noc na sofie w jego mieszkaniu... Wyobrażam sobie, że nikomu nie powiedział ani słowa.

– Nie, oczywiście, że nie. A potem spotyka go pan w komisariacie i nawet nie jest w stanie wypić z nim kawy przy automacie, który tam stoi.

– Cholera, wie pani, jak to wygląda. On jest... No cóż, inni faceci nie czują się przy nim swobodnie.

– Powinien pan wprowadzić zmiany w swoim kalendarzyku, Montes. Niektórzy z tych samców, z którymi pan odbywa wojownicze tańce przy maszynie do kawy, woleliby się umówić na randkę z panem niż ze mną.

Montes wybałuszył oczy. Były wielkie jak spodki.

– Iriarte?!

Zacząła się śmiać tak strasznie, że łzy zaczęły jej spływać po gorącym, opuchniętym policzku. Opanowała się i powiedziała:

– Zostawmy to. Nic nie powiedziałam.

Podniósł się z trudem i podał jej rękę. Złapała ją i wstała. Potem wzięła z beczki odznakę i pistolet i schowała je.

– Byłoby uroczo móc jeszcze z panem porozmawiać – powiedziała – ale mam jeszcze trochę pracy.

Wyszli z zaułka i razem poszli w stronę jej domu. Wyciągnęła klucze i podeszła do drzwi.

– Dobranoc, Montes – powiedziała zmęczonym głosem.

– Szefowo.

Odrzuciła się, była zaskoczona. Montes stał na baczność i salutował z ręką uniesioną do czoła.

– Montes, to niepotrzebne.

– Myślę, że jednak tak – powiedział z przekonaniem.

Domyśliła się, że to przeprosiny. Że więcej od kogoś takiego jak on nie może oczekiwać. Pogodziła się z tym i uniosła rękę.

Kiedy zamykała za sobą drzwi, uśmiechała się promiennie.

Dostrzegła ciotkę Engrasi. Siedziała w milczeniu przy ogniu i czekała, aż wróci do domu, jak wtedy, kiedy była nastolatką. Zdjęła buty w przedsiionku i weszła do salonu. Miała wrażenie, że ciotka zasnęła. Jej serce przepełniła fala miłości. Nachyliła się nad staruszką i pocałowała ją w czoło.

– To o tej porze się wraca do domu, moja panno?

Amaia uśmiechnęła się.

– Myślałam, że śpisz.

– Ten, kto się lęka, nie śpi. Dopóki cię nie ma, nie mogę zasnąć.

– Ależ ciociu... – zaprotestowała, osuwając się na drugi fotel.

– Mówię poważnie, Amaio. Wiem, że masz trudną pracę i że z jakiegoś powodu to, co ci się przydarza, wykracza poza to, co niektórzy uważają za normalne, ale... Znowu to zrobiłaś!

Amaia opuściła głowę.

– Szukasz problemów, Amaio Salazar.

– Tylko on może mi pomóc.

– To nieprawda.

– Tak jest, ciociu. Ty tego nie rozumiesz. Pojechałam do San Sebastián, grób jest pusty. Muszę się dowiedzieć.

– No to powiedz mi, Amaio, czy powiedział ci coś, czego nie wiedziałaś wcześniej? Pomyśl o tym – powiedziała, z trudem podnosząc się z fotela. – Teraz idę spać, ale ty to przemyśl.

Zasiedziała się i krok miała niepewny. Amaia odprowadziła ją na górę, do jej pokoju. Kiedy Engrasi całowała ją na dobranoc, wyczuła opuchliznę na jej policzku.

– Co to takiego?

– Stratował mnie byk – odpowiedziała ze śmiechem.

– No dobrze, jeśli się śmiejesz, pewnie to nic groźnego.

Dobranoc, kochanie.

Amaia zawahała się, ale zapytała:

– Ciociu? Zmarli...

– Tak? – zainteresowała się Engrasi.

– Czy oni... czy oni mogą... coś zrobić?

– Zmarli robią, co mogą.

Amaia weszła do sypialni. Słabe światło lampki oświetlało leżącego na plecach Jamesa. Nie spał.

– Witaj, kochanie – szepnął.

Nachyliła się, żeby go pocałować i popatrzeć na Ibaia, który spał na boku, po raz pierwszy w życiu ze smoczkiem w buzi. Dopóki karmiła go piersią, nie chciał smoczka. James wskazał na synka:

– Jest bardzo grzeczny. Nie masz pojęcia, jak dobrze się sprawuje. No i oczywiście z braku piersi smoczek – powiedział z uśmiechem. – Właśnie rozmyślałem o tym, czy nie kupić dwóch sobie – położył ręce na jej piersiach.

– To niezły pomysł – wyswobodziła się. – Bo muszę jeszcze popracować.

– Długo?

– Nie, niedługo.

– Poczekam na ciebie.

Uśmiechnęła się, wzięła laptopa i wyszła z sypialni.

W skrzynce mailowej znalazła cztery maile od doktora Franza. Zaczynało ją to wkurzać, ale nie zdecydowała się jeszcze ani odpowiedzieć, ani wyrzucić ich do kosza bez czytania, bo chociaż na pierwszy rzut oka wyglądało na to, że odrzucony doktor ulewa sobie tylko żółć, było w nich coś, co skłaniało ją do rozmyślań. Zostawiła je na potem i otworzyła pocztę od agenta Johnsona.

To, że FBI dysponowało najlepszym na świecie programem do identyfikowania twarzy, nie było tajemnicą. Mieli najbardziej precyzyjny, multimodalny system weryfikacji biometrycznej, służący do rozpoznawania i rekonstrukcji obrazów. Rząd Stanów Zjednoczonych zainwestował ponad miliard dolarów w rozwój programu, który mógł identyfikować twarze ludzi w tłumie, na ulicy, na stadionie lub na nagraniu z jakiegokolwiek kamery, nawet bardzo niewyraźnym.

Osiągnięcia tego projektu zastosowano w nowych programach używanych na europejskich lotniskach, takich jak Indra, które jednak miały tę wadę, że rozpoznawały jedynie żywe twarze albo bardzo wyraźne obrazy.

Agent Johnson stwierdzał, że po przeszukaniu bazy danych i porównaniu z obrazem wyjściowym nie udało im się zidentyfikować sfotografowanego człowieka. W załączniku przesłał wyczerpujący raport rzeczoznawcy, pełen niuansów, rozważań i drobiazgowych wyjaśnień dotyczących zastosowanej metody. Obraz rekonstruowano, posługując się składowymi cechami jego wektora, na przykład poziomami jasności, branyymi wzdłuż należących do niego płatów. Konkluzja tych hermetycznych wyjaśnień była taka, że człowiek ten przebrał się na tyle skutecznie, że nawet zaawansowane techniki wzmacniania obrazu i eliminowania szumów w obrazie pierwotnym nie pozwoliły wykonać dokładniejszej rekonstrukcji. Ekspert wskazywał także na to, że obiektyw kamery był uszkodzony albo podczas filmowania został czymś częściowo przesłonięty. Dołączył dwa pliki: jeden z tym, co nazwał pająkiem, i drugi, na którym wymazano komputerowo charakterystykę.

Amaia otworzyła pierwszy plik: spojrzała na nią dość młoda twarz, rasy białej, o harmonijnych rysach. Czapka, broda i okulary zostały wyeliminowane przez program, a odtworzone puste spojrzenie nie mówiło nic. Otworzyła plik z pająkiem i ze zdumienia aż zaparło jej dech. Niepozbowiony jeszcze przez program komputerowy przebrania gość jej matki miał czapkę, okulary i brodę, a na środku jego czoła widniało ciemne oko z długimi rzęsami, które ekspert nazwał pająkiem, z braku lepszego pomysłu i na wszelki wypadek. Amaia obejrzała uważnie zdjęcie, a potem przesłała maila wraz z załącznikami Jonanowi i Iriartemu.

Listy od dyrektora Santa María de las Nieves okazały się dokładnie tym, czego się spodziewała, lamentem. Dyrektor przechodził od błagań do ubolewań. Ale w ostatnich dwóch mailach doktor Franz nie tylko rozczulał się nad ukochaną kliniką. Zawarł w nich też niczym niepoparte jawne insynuacje

dotyczące Sarasoli, na przykład: „Ten człowiek coś ukrywa. To nieczysta gra. Nie mam jeszcze dowodów”. To jasne, że ich nie miał. Dołączył też grube raporty innych lekarzy ze swojej kliniki i kilka artykułów prasowych opublikowanych w renomowanych czasopismach medycznych, które potwierdzały jego przekonanie, że pacjentka nie mogła zachowywać się pozornie normalnie, nie biorąc leków. Przejrzała je bardzo pobieżnie i stwierdziła, że medyczny żargon ją wykańcza.

Sprawdziła, która godzina, zamknęła laptopa i zaczęła się zastanawiać, czy James naprawdę na nią czeka, tak jak przyrzekł. Wchodząc po schodach, uśmiechała się, bo wiedziała, że zawsze dotrzymuje słowa.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu dzień zaczął się przyjemnie. James położył Ibaia obok niej, na łóżku, i przez następnych kilka minut całowała główkę i rączki synka. Budził się uśmiechnięty i taki słodki, że jej serce wprost rozpływało się z miłości i radości. Ich istnienia kiedyś nawet nie przeczuwała. Biorąc małe rączki Ibaia w swoje dłonie, przypomniała sobie Iriartego i sposób, w jaki powiedział „maleńka rączka”, i jej umysł natychmiast wypełniły obrazy: mała czaszka z otwartymi jeszcze ciemiączkami i reszta rodzinnych *mairu*, zagrzebanych wokół Juanitaenei.

Do sypialni wszedł James, z butelką dla Ibaia i kawą dla niej. Otworzył okiennice i popatrzył na nią z przerażeniem.

– Amaio, co ci się stało?

Przypomniała sobie cios pięścią i dotknęła policzka. Bardzo bolało. Wskoczyła z łóżka i pognąła do łazienki. Twarz, którą zobaczyła w lustrze, nie była bardzo opuchnięta, ale od policzka do ucha rozciągał się wielki niebieskawy siniak. W najbliższych dniach niewątpliwie miał szanse nabrać różnych odcieni brązu, czerni i żółci.

Próbowała go pokryć makijażem, ale uzyskała tylko tyle, że twarz zaczęła ją okropnie piec i szczypać. Poddawała się, a w jej głowie rozbrzmiały słowa Zabalzy: Beñat Zaldua nie chodzi do szkoły, dopóki ma sińce na twarzy.

– Świetnie! Ja też dzisiaj nie pójdę na zajęcia – powiedziała do

swojego odbicia w lustrze.

Przez resztę poranka wykonywała telefony. Miała przykre poczucie, że kręci się w kółko. Po mężu Nurii nie było ani śladu. Jeden patrol stał pod jej domem, drugi przed kościołem. Nie doszło do żadnych profanacji. To było zrozumiałe, bo czemu niby miałyby to służyć? *Tarttalo* już przyciągnął całą jej uwagę. To na tym mu zależało. Te inscenizacje były jedynie pokazem fajerwerków mającym to właśnie na celu. Teraz, kiedy już to osiągnął, nie było sensu ciągnąć spektaklu dalej.

Choć przejrzała pocztę już w nocy, zrobiła to jeszcze raz. Porozmawiała przez telefon z Etxaidem i Iriartem o rezultatach rekonstrukcji obrazów.

Według tego drugiego było oczywiste, że obiektyw albo nagranie były uszkodzone. Dopuszczał nawet możliwość, że to prawdziwy pająk wlaźł na obiektyw – kamera wisiała przed kliniką – i że to jego właśnie widać na zdjęciu.

Zdaniem Jonana w grę wchodziła też inna możliwość, dość nieoczekiwana, że oko naprawdę było tym, co było widać, czyli okiem. Dodatkowym akcesorium, które ten ktoś przyczepił sobie na czole, żeby zaprezentować je tym, którzy będą oglądać nagrania, bo przecież *tarttalo* był cyklopem, gigantem o jednym oku. Na wszystkich filmach, nagranych w ciągu dwóch miesięcy, widać było jedynie czubek głowy tego kogoś, ale ostatniego dnia spojrział w stronę kamery i trzymał tak głowę wystarczająco długo, żeby kamera utrwaliła jego twarz.

– Nie wierzę, że to się stało przypadkiem – powiedział Etxaide. Amaia też była tego zdania.

– Do południa dostaniemy wyniki badań z dokładniejszym określeniem daty powstania tych starych narzędzi lekarskich, a póki co szpitalne rejestry osób po amputacjach albo noszących protezy nie dały żadnych wyników. Chociaż zostało jeszcze sporo do sprawdzenia...

Już miała się rozłączyć, kiedy Jonan powiedział:

– Aha, szefowo, znowu przyszła taka wiadomość. Przesyłam ją pani.

I natychmiast zobaczyła ją w skrzynce. Krótka i zawierająca żądanie, tak jak poprzednie. „Władczyni czeka na ofiarę”.

I pieczętka z lamią u dołu, po prawej. Nagle poczuła, że wpada w rozpacz. Co za przekłeta zabawa. Skryła twarz w dłoniach i siedziała tak, jakby chciała ściągnąć z siebie przygnębienie, ale podrażniła sobie tylko skórę na policzku i rozżościła się jeszcze bardziej. Znów zadzwoniła do Jonana.

– Wyobrażam sobie, że nie miałeś na to czasu, ale może przypadkiem dowiedziałeś się czegoś o tych mailach?

– No cóż, prawdę powiedziawszy, tak, chociaż nie mam żadnych konkretów. Przychodzą z bezpłatnego adresu, nie ma żadnego nazwiska, jest tylko nazwa: `servidorasdeladama@hotmail.com`. Analiza wykazała, że są wysyłane z dynamicznego IP, a śledząc to IP i idąc po nitce do kłębka, dochodzi się do wniosku, że zostały wysłane z darmowego hot spotu internetowego, takiego jakie czasem są na lotniskach albo przystankach autobusowych... Praktycznie rzecz biorąc, nie da się ustalić, kto wysłał te listy... Można by go namierzyć wyłącznie wtedy, kiedy jest podłączony. Takie rzeczy już robiono, na przykład przy śledzeniu międzynarodowych terrorystów, ale... No cóż, dalej szukam, ale najprawdopodobniej, jeśli nawet uda mi się stwierdzić, skąd to zostało wysłane, nie będzie tam już ani śladu po tym, kto to zrobił...

– W porządku, nie przejmuj się, dzięki.

Po śniadaniu i porannych zabawach Ibai zaczynał być śpiący. James się nim zajął, a ona ucałowała obydwu swoich chłopców, pożegnała się z ciotką, chwyciła puchówkę i wyszła z domu. Wsiadła do samochodu, przekręciła kluczyk w stacyjce, ale nagle o czymś pomyślała, wyłączyła silnik i wysiadła. Wróciła na próg. Przez chwilę przyglądała się jego kamiennemu obliczowaniu. Wreszcie po jednej stronie ościeżnicy zauważyła kilka otoczków, które wydawały się obluźowane. Wzięła jeden z nich, włożyła go do kieszeni i wróciła do samochodu.

Wyjeżdżając z Elizondo, usiłowała się skupić na prowadzeniu auta. Kiedy była już na szosie, nagle westchnęła głęboko, opróżniając płuca z powietrza. Zdawała sobie sprawę, jak bardzo jest spięta. Dłonie zaciśnięte na kierownicy, zbielełe knykcie i – mimo że wydawało się, że zimowe chłody już nigdy

nie opuszczą Baztán – całe ciało pokryte potem. Wytarła o nogawki spodni najpierw jedną dłoń, potem drugą. A niech to diabli! Bała się i wcale jej się to wszystko nie podobało. Nie była naiwna, wiedziała, że strach utrzymuje policjantów przy życiu, że dzięki niemu są czujni i ostrożni, ale to, co czuła, to nie był ten rodzaj strachu, który powoduje, że serce przyspiesza przed starciem z uzbrojonym przestępcą. To był inny strach. To był jej stary nieprzyjaciel lęk, ten, który cuchnie sikami i potem, który ściska serce, który przez ostatni rok udawało jej się trzymać w ryzach, a teraz znowu upominał się o swoje. Zyskiwał teren. Już przez to przechodziła, wiedziała już, że zwycięstwo nad lękiem nie jest możliwe, że jedyne, co może człowieka utrzymać przy zdrowych zmysłach, to stawianie mu czoła, raz za razem. Okropnie ją zasmuciła pewność, że wyrwa, którą udało jej się wyrąbać w murze lęku, znowu zaczęła się zamykać. Odczuwała swój smutek i smutek tej drugiej dziewczynki, swojej siostry. Ogarniała ją coraz większa furia. Zalewała ją jak morze piasek podczas przypływu. Dlaczego musiała to znosić? Nie miała zamiaru! To prawda, że wtedy, w chwili ich narodzin, cały wszechświat zjednoczył się przeciwko nim. To prawda, że przez lata była zmuszona żyć z lękiem w sercu, ale teraz była zdecydowana nie brać udziału w tej grze. Nie jest już dzieckiem i nie pozwoli, żeby nią manipulowano. Jechała już od jakiegoś czasu lokalną drogą, w dość dobrym stanie, do chwili, kiedy natknęła się na stado *pottokas*, dzikich koni Baztán, które pasą się, gdzie chcą. Zatrzymała się na poboczu. Musiała poczekać. Zazwyczaj lękliwe *pottokas* nie chciały się ruszyć z drogi, więc pozostało jej tylko siedzieć i czekać. Podeszła do niej mała ciekawska klaczka. Wysunęła otwartą dłoń i zwierzę dokładnie ją obwąchało. Konie nie miały zamiaru odejść, więc Amaia podeszła do bagażnika i wyciągnęła kalosze. Wozila je na wszelki wypadek. Wzięła także latarkę i zeszła w dół zbocza. Stawiała nogi bokiem i starała się nie potknąć w wysokiej mokrej trawie. Trawa, rzadsza i jakby wykoszona kosiarką, porastała także brzegi rzeki, która na tym odcinku była głęboka i płynęła niemal bezgłośnie. Poszła wzdłuż jej biegu i doszła do

betonowego mostku z metalowymi poręczami. Postanowiła ich nie dotykać, bo pręty wydawały się przerdzewiałe tam, gdzie się łączyły z cementem. Na drugim brzegu rzeki sforsowała bramkę w ogrodzeniu. Pewnie miała to być zagroda dla owiec. Upewniła się, że ją zamknęła, i przez łąkę ruszyła w stronę wielkiego *caserío*. Wydawało się opuszczone, choć nadal było w dobrym stanie. Drewniane okiennice były starannie przybite gwoździami do framug. Idąc, poczuła wyraźny odór stada owiec, a ciemne kulki, którymi była upstrzona murawa, wyjaśniały, dlaczego łąka jest tak świetnie utrzymana. Wyglądała jak koszony trawnik. Obeszła dom i zaczęła rozpoznawać okolicę: jeśli pójdzie jeszcze trochę dalej, dotrze do brzegu lasu, do tego miejsca, gdzie zaparkowała poprzednio. Sprawdziła, jak się sprawuje jej telefon, i zauważyła, że w miarę jak się zagłębia w las, sygnał słabnie, za to serce zaczyna jej bić szybciej. Jego uderzenia dochodziły do jej ucha wewnętrznego i przypominały świstanie bicia. Ciach, ciach, ciach. Zaczerpnęła powietrza, usiłując się uspokoić, ale jednocześnie nieświadomie przyspieszyła kroku. Wzrok wbiła w jaśniejącą na końcu ścieżki przecinkę. Wyglądało na to, że tam las się kończy. Poszła w tamtym kierunku, usiłując zapanować nad dziecinnym impulsem, żeby się puścić biegiem, i nad paranoicznym uczuciem, że ktoś za nią idzie. Sięgnęła po broń i jakiś głos, jej własny kpiący głos, zaczął jej powtarzać: „Oczywiście, moja droga, pistolet. A do czego niby chcesz go użyć?”.

Kiedy miała jedenaście lat, bawiła się, jak wszystkie dzieci w jej wieku, w wyprawy na cmentarz po zmroku. To była głupia zabawa. Kładli różne rzeczy na grobowcach w najwyższej położonej części cmentarza, po czym kiedy zaczynało zmierzchać, odbywało się losowanie, kto w jakiej kolejności ma po nie pójść. Trzeba było iść samemu do końca cmentarza i spokojnie wrócić. Reszta dzieci czekała przy ogrodzeniu. Często, kiedy było się już blisko wyjścia, ktoś krzychał: „O rany! Jest za tobą!”. I to wystarczało, żeby najodważniejszy chojrak ruszał pędem, jakby go gonił sam diabeł. Uciekał w panice. Przypomniała sobie, że wszyscy się śmiali z tego, że ten, który

biegnie, się boi, ale uważnie obserwowali drogę, żeby się upewnić, czy aby na pewno nie ma powodu, żeby uciekać... I chociaż wszyscy wiedzieli, że to tylko taka zabawa, wszyscy biegli. Biegli na wszelki wypadek.

Dotarła do skraju wielkiej polany. Rozciągała się nad pięknym rozlewiskiem, tam gdzie poprzednio spotkała dziewczynę siedzącą z nogami w wodzie. Tym razem całe to miejsce zajmowało ogromne stado owiec. Owce rozstępowały się przed nią. W oddali dostrzegła siedzącego na kamieniu pasterza. Podniosła rękę i pomachała do niego, a on jej odpowiedział. Pokrzepiona obecnością człowieka, który obserwował ją z oddali, pokonała kamienny mostek, ledwie, ledwie wznoszący się nad nurtem rzeki. Po plecach przebiegł jej dreszcz. Poszła dalej, tam gdzie u podnóża wzgórza rosły paprocie, i zaczęła się wspinać po starych kamieniach, które tworzyły tam naturalne stopnie. Szła do grotty bogini Mari. Pierwszy przystanek zrobiła sobie na tarasie porośniętym szorstką trawą, tam gdzie James i Ros czekali na nią, kiedy razem odwiedzili to miejsce po raz pierwszy. Zauważyła, że dróżka wiodąca w górę była teraz wyraźniejsza, jak gdyby ktoś niedawno nią szedł. Ale i tak po obu stronach było wystarczająco dużo krzaków jeżyn i kolcolistu, żeby obedrzeć wędrowca ze skóry. Włożyła ręce do kieszeni i ruszyła w górę. Czowała coraz wyraźniej, że całkiem niedawno ktoś tamtędy szedł. Ale w pobliżu nie było nikogo. Trochę ją to zdziwiło, ale jeszcze bardziej ucieszyło. Przez kilka sekund rozpoznawała znane miejsca. Wejście do jaskini, tuż nad ziemią, przypominające krzywy uśmiech góry. Wspaniała skała o kobiecych kształtach, zwana damą, wysoka na trzy metry i górująca nad widoczną z tego miejsca doliną. Na skale w kształcie stołu kilkanaście małych kamieni, ułożonych jak prymitywne figury szachowe. Podeszła do nich i przyjrzała im się uważnie.

To nie były pierwsze lepsze kamienie zebrane na drodze. Ktoś je przyniósł i położył tam świadomie, jako ofiarę dla bogini. Ze zdumieniem pokręciła głową i z zaskoczeniem uświadomiła sobie, że przecież ona też właśnie po to tu przyszła. Wyjęła otoczaka, którego wydłubała spod progu, i przez chwilę

trzymała go w ręku. Namyślała się. „Kamień, który powinnaś przynieść ze swojego domu”. „Władczyni woli, żebyś przyniosła go z domu”.

Zacząła się zastanawiać, ilu ludzi z doliny dostaje takie maile jak ona. Zaczęła podejrzewać, że może to jeden z tych łańcuszków szczęścia, w których skłaniają cię, żebyś uwierzył, że musisz przesłać dalej otrzymaną wiadomość, aby przyciągnąć uśmiech szczęścia, albo przeciwnie, aby uniknąć nieszczęścia albo klątwy.

Nie miała zamiaru nikomu niczego przesyłać, ale zostawienie kamienia na ołtarzu nie mogło nikomu zaszkodzić. Rozejrzała się, jakby się spodziewała odkryć między gałęziami kamerzystów z jakiegoś reality show albo pół tuzina paparazzo, którzy wszystko potem opublikują pod tytułem: „Łatwowierna policjantka ucieka się do magicznych rytuałów”. Ścisnęła otoczaka w ręku i spróbowała zdrapać z niego resztki cementu, którym był przyklejony do muru. Nie udało jej się. Ułożyła kamień w jednym z rzędów i odwróciła się w stronę grotty. Podeszła prosto do wejścia, wyciągnęła latarkę, schyliła się i poświeciła do środka. Z głębi dochodził słodki zapach kwiatów, ale nie było tam nic, co mogłoby go wydzielać. W jaskini było pusto. Stała tam tylko miseczka, w której było kilka jabłek i kilka monet, które ktoś wrzucił do środka. Zgasła latarkę i postanowiła wracać. Przechodząc obok skalnego stołu, stwierdziła, że kamienie nadal tam leżą. A czego się spodziewałaś? – zapytała sama siebie i zaczęła schodzić w dół tą samą ścieżką, którą przyszła.

Kalosze są dobre na mokre, miękkie podłoże, ale na kamiennych stopniach ześlizgiwały jej się z nóg i utrudniały schodzenie. Pokonała gęste poszycie i dotarła do idyllicznego rozlewiska, które, jak klejnot w dolinie, czarowało bulgotem wody, omszałymi głazami, paprociami i białą pianą. Nie było widać pasterza, ale stado nadal tam było i obecność łagodnych zwierząt czyniła to miejsce jeszcze piękniejszym, a do tego zmniejszyła do minimum prawdopodobieństwo pojawienia się znieścacka jakiejś tajemniczej dziewczyny. Spojrzała w górę, w stronę grotty Mari, i poczuła się zawiedziona. Ale czego tak

naprawdę się spodziewała? Spojrzała na zwierzęta, które w tym samym momencie przestały się paść i wszystkie naraz podniosły głowy, jakby przeczuwały jakieś niebezpieczeństwo albo słyszały coś, czego ona nie słyszała. Zdziwiona niezwykle zachowaniem owiec stała nieruchomo, nad słuchując, i wtedy, jednym ruchem, wszystkie owce jednocześnie poruszyły w bok głowami. Dzwonki na ich szyjach zadzwoniły jeden raz. Zabrzmiało to, jakby ktoś uderzył w ogromny gong, a potem zapadła absolutna cisza, obejmująca jeszcze bardziej, bo przerwał ją głośny gwizd. Poniósł się po całej okolicy. Amaia otworzyła usta i zaczerpnęła powietrza. W osłupieniu patrzyła na zwierzęta: wydawały się niczego nieświadome i wróciły do swoich zwykłych zainteresowań – trawy i wody.

Poczuła na plecach taki mróz, jakby ktoś przyłożył jej do skóry prześcieradło zmoczone w lodowatej wodzie. Słyszała wszystko z całą jasnością i równie dobrze wszystko widziała. W jej myślach pojawiły się, słowo po słowie, cytaty z antropologa Barandiarana, którego dzieła studiowała przed rokiem, kiedy rozpracowywała sprawę basajauna. „*Basajaun* ostrzega ludzi głośnym gwizdem, który niesie się po całej okolicy, ale zwierzęta tego nie potrzebują. Wiedzą, że strażnik lasu się pojawił. Stada owiec pozdrawiają go. Ich dzwonki brzmią jednogłośnie jednym tylko uderzeniem”.

– Ja pierdołę! – szepnęła.

Ruszyła biegiem między drzewami, w panice. Jakiś głos w jej głowie radził, żeby stanęła, żeby przestała uciekać, ale odpowiadała mu, że to wykluczone, że – jak wtedy, gdy była dzieckiem i bawiła się na cmentarzu – biegnie, bo to jedyne, co może zrobić. Biegła ścieżką przez las, z pistoletem w dłoni. Kiedy dobiegła do skraju łąki i znalazła się w pobliżu zamkniętego na glucho *caserío*, odwróciła się i spojrzała za siebie, choć dzwony alarmowe w jej głowie były na alarm i mówiły, żeby tego nie robiła. Nie było nikogo. Zaczęła nad słuchiwać, ale nie słyszała niczego, tylko swój własny spazmatyczny oddech po zwariowanym biegu. Dotknęła dłonią pokrytego potem czoła i zdała sobie sprawę, że trzyma w dłoni

pistolet i że musi wyglądać na kompletną wariatkę, więc rozpięła puchówkę i wetknęła dłoń pod poję, nie ośmielając się póki co wypuścić broni z ręki. Przeszła przez łąkę, potem przez betonowy most. Przerazenie zaczynało przechodzić w złość. Osiągnęła apogeum, kiedy doszła do samochodu. *Pottokas* zniknęły. Zostawiły na szosie dymiące zwały odchodów. Wsiadła do samochodu, ruszyła i przyspieszyła, z sercem nadal bijącym w oszalałym tempie. Co to, do diabła, było? Co to wszystko miało znaczyć? Czego od niej chcieli? Cholera jasna, przecież chyba nie zwariowała. Dlaczego musi przez to wszystko przechodzić? Ma aż nadto dużo problemów ze swoim życiem i dziadowską pracą: jest przecież policjantką od zabójstw. Kto, do kurwy nędzy, rozdzielając dziwne, gówniane problemy między poszczególnych ludzi, zdecydował, że właśnie ją obdarzy ich nadmiarem?

– Pieprzyć to! Pieprzyć! – krzyczała, uderzając rękami w kierownicę. Nie czuła się odpowiednią osobą, żeby się zmagać z całym tym mistycznym badziewiem. Ciotka Engrasi albo Ros – o tak! Uważałyby, że to błogosławieństwo, ale nie ona! Ona jest policjantką, na miłość boską, po-licjan-tką śledczą! Umysłem metodycznym, osobą obdarzoną inteligencją, otrzymującą najwyższe noty we wszystkich testach. Umysłem racjonalnie myślącym, umiejącym rozwiązywać problemy w oparciu o czystą logikę i rozsądek. Nie nadaje się do składania ofiar władczyniom burzy ani do konwersacji z boginkami o kaczych stopach. Nie, nie i jeszcze raz nie! Owce nie pozdrawiają pana lasu, a *mairu-beso* nie narkotyzują!

– Pieprzyć to! – Znowu uderzyła w kierownicę i kilka razy powtórzyła to słowo.

Wiedziała, że całą winę ponosi to miejsce. To pieprzone, gówniane miejsce. Jedno z tych, w których dzieją się różne rzeczy. Jedno z tych miejsc, których pierdolony wszechświat, ze wszystkimi swoimi zasadami, próżnią kosmiczną i gwiazdami, nie może zostawić w spokoju, tylko sprawia, że wszystko tam jest rozognione i swędzi jak wrzód na dupie.

– Cholera! – tym razem krzyknęła ze strachu. Skręciła mocno kierownicę.

Gdzieś z pobocza wyszła postać ubrana w jedno z tych brązowych okryć z kapturem obramowanym futerkiem. Amaia wcisnęła hamulec do dechy. Samochód przejechał ślizgiem jeszcze kilka metrów i zatrzymał tuż obok kobiety. Odwróciła się w ostatniej chwili i patrzyła na Amaię szeroko otwartymi oczami. Była blada. Amaia wyskoczyła z samochodu i podeszła do niej.

– Boże mój! Wszystko w porządku?

Kobieta przytaknęła z nieśmiałym uśmiechem.

– Tak, tak. Już w porządku. Proszę się nie przejmować. Przestraszyłam się tylko.

Amaia obejrzała ją dokładnie i stwierdziła, że kobieta w eskimoskim stroju ma duży wypukły brzuch.

– Jest pani w ciąży?

Nieznajoma się zaśmiała.

– Nie da się ukryć...

– O mój Boże! Jest pani pewna, że dobrze się pani czuje?

– Zupełnie dobrze, zważywszy na mój stan.

Amaia patrzyła na nią z niepokojem. Kobieta zdała sobie z tego sprawę.

– Żartuję. Naprawdę czuję się całkiem dobrze, serio. Przestraszyłam się, ale to moja wina. Nie powinnam była wychodzić na szosę. No i chyba trzeba mieć jakieś odblaski czy coś... – dodała, wskazując na rękawy brązowego okrycia. – To ubranie nie jest zbyt dobrze widoczne, ale jest takie wygodne...

Amaia zrozumiała, co miała na myśli. Ona sama pod koniec ciąży dzień po dniu wkładała te same ubrania.

– Nie, to moja wina. Byłam nieuważna, myślałam o czymś innym. Proszę mi wybaczyć. Może mogę chociaż panią gdzieś podwieźć? Dokąd pani idzie?

– Tak tylko spaceruję, muszę chodzić dla zdrowia – powiedziała, patrząc na samochód. – Ale przyjmę pani propozycję, bo dzisiaj czuję się wyjątkowo zmęczona.

– Oczywiście, proszę siadać – zaprosiła ją Amaia, zadowolona, że może coś dla niej zrobić.

Wskazała jej miejsce pasażera i otworzyła drzwi. Kobieta, a właściwie dziewczyna, wsiadła. Sprawiała wrażenie bardzo

młodej, miała chyba około dwudziestu lat. Pod ciemnym okryciem miała brązowe legginsy i długi dzianinowy sweter. Splecione włosy spadały jej na plecy, ujęte w szylkretową opaskę, która kontrastowała z bielą jej twarzy. Amaia początkowo myślała, że jest blada ze strachu. W ręce trzymała niewielki przedmiot. Obracała go w dłoni i wydawała się już spokojna. Amaia wsiadła za kierownicę i ruszyła.

– Często pani spaceruje?

– Kiedy tylko mogę. Pod koniec ciąży to jedyne, co można robić.

– Tak, wiem, jeszcze niedawno byłam w tym stanie. Mam czteroipółmiesięczne dziecko.

– Chłopczyka czy dziewczynkę?

– Miała być dziewczynka. Dopiero po porodzie dowiedziałam się, że to chłopiec.

– Wolałaby pani dziewczynkę?

– Nie, nie o to chodzi. Ale wszystko to było trochę dziwne, zbiło mnie z tropu, można powiedzieć.

– Jeśli ma pani chłopca, to znaczy, że tak właśnie miało być.

– Tak – potwierdziła Amaia. – Wyobrażam sobie, że właśnie tak miało być.

– To wspaniałe mieć dziecko – powiedziała dziewczyna z entuzjazmem. – Już nie mogę się doczekać.

– Tak – przyznała Amaia z uśmiechem. – To wspaniałe, ale takie skomplikowane... Czasem tęsknię za czasem, kiedy byłam w ciąży. Ma się wtedy zawsze dziecko ze sobą, bezpieczne i spokojne... – dodała z pewną melancholią.

– No tak, ale już chciałabym je zobaczyć. I żeby to się skończyło – powiedziała dziewczyna, dotykając brzucha.

– Wyglądam koszmarnie.

– Nieprawda – nie zgodziła się Amaia.

Istotnie, nie wyglądała koszmarnie, wprost przeciwnie. Chociaż narzekała na zmęczenie, na jej twarzy nie było widać jego najmniejszego śladu. Wyglądała świeżo i zdrowo, i – w czasach, kiedy macierzyństwo jest ciągle odkładane na później – niezwykle wprost młodo jak na matkę.

Amaia spróbowała to wyjaśnić:

– Proszę mnie dobrze zrozumieć: dziecko jest dla mnie szczęściem, ale trudno być idealną matką, żyć według zaleceń tych wszystkich publikacji o macierzyństwie.

– Niewątpliwie – stwierdziła dziewczyna. – To nie jest moje pierwsze dziecko.

Amaia popatrzyła na nią zaskoczona.

– Wiem, że mój wygląd może mylić, ale jestem o wiele starsza, niż wyglądam. I od kiedy pamiętam, niemal zawsze jestem w ciąży.

Amaia wbiła wzrok w drogę, żeby nie dać po sobie poznać, że jest zdumiona. Przychodziło jej do głowy mnóstwo pytań, ale wszystkie były niestosowne i nie nadawały się, żeby je zadać niedawno poznanej osobie, której o mało nie potrąciła. Ale i tak odważyła się zapytać:

– A jak łączy pani macierzyństwo i ciążę? Pytam, bo mnie jest bardzo trudno połączyć pracę i wywiązywanie się z obowiązków matki.

Zauważyła, że dziewczyna przygląda jej się uważnie.

– Więc jest pani jedną z takich?

Nie tak dawno usłyszała to samo z ust tej harpii hodującej kwiaty i oczami wyobraźni zobaczyła kobietę bez litości obrywającą paznokciami młode pędy roślin.

Najeżyła się.

– Nie rozumiem, o czym pani mówi.

– Że jest pani jedną z tych osób, które pozwalają, żeby inni decydowali za nie, co to znaczy być matką. Wspomniała pani o publikacjach o macierzyństwie. Zapewniam, że macierzyństwo jest czymś o wiele bardziej instynktownym i naturalnym, a te wszystkie zasady i dobre rady mogą tylko przytłoczyć.

– To normalne, że człowiek stara się robić wszystko dobrze i martwi się, że mu się nie udaje – odparła.

– Oczywiście, ale martwić się będzie zawsze, choćby nie wiem, ile książek przeczytał. Niech mi pani wierzy, Amaio, jest pani dla swojego synka najlepszą matką, a on jest tym właśnie dzieckiem, które powinna była pani urodzić – mówiąc to, obracała w ręce przedmiot, który trzymała, jakby go ugniatała

w palcach.

Amaia nie przypominała sobie, żeby w którymkolwiek momencie powiedziała jej, jak ma na imię, ale skupiła się na rozmowie.

– Ale ja mam tyle wątpliwości i mało wiem. Nie chciałabym zrobić czegoś, co by mu prędzej czy później zaszkodziło.

– Jedyne sposoby, w jakie matka może zrobić krzywdę swoim dzieciom, to nie dawać im miłości. Może się o nie troszczyć, żywić i ubierać, zapewnić wykształcenie, ale jeśli dziecko nie dostanie miłości, miłości dobrej i szczodrej matki, będzie rosło emocjonalnie stłumione i z chorobliwym pojęciem o życiu, które nie pozwoli mu zaznać szczęścia.

Amaia pomyślała o swojej matce.

– Ale – odparła – pewne rzeczy zostały udowodnione, na przykład że lepiej karmić piersią...

– Lepiej nawiązać z dzieckiem relacje nieopierające się na normach, bez napięć. Jeśli chce pani karmić piersią, proszę to robić, jeśli chce pani butelką, droga wolna...

– A jeśli nie można robić tego, co by się chciało?

– Trzeba się z tym pogodzić i nie walczyć z czymś, czego nie można zmienić. Nie zawsze jest lato, ale to nie oznacza, że jesień jest czymś złym.

Amaia milczała kilka sekund.

– Wydajesz się prawdziwą ekspertką.

– Jestem nią – przyznała nieznajoma bez fałszywej skromności. – Podobnie jak ty. Sądzę, że powinnaś zrobić stos z tych wszystkich książek i czasopism i wszystkie je spalić. Poczujesz się lepiej i będziesz się mogła zająć wypełnieniem swojego zadania. – To ostatnie zdanie powiedziała tak, jakby miała na myśli coś konkretnego.

Amaia spojrzała na nią z zaciekawieniem.

– Proszę mnie tu wysadzić – powiedziała nagle dziewczyna, wskazując na rozgałęzienie szosy. Odchodziła stamtąd leśna droga. – Jeszcze trochę się przejdę.

Amaia się zatrzymała i dziewczyna wysiadła. Zanim zamknęła drzwi, pochylała się, żeby Amaia mogła zobaczyć jej twarz.

– I nie przejmuj się, bardzo dobrze sobie radzisz.

Amaia chciała coś powiedzieć, ale dziewczyna zatrzasnęła drzwi i poszła leśnym duktem. Amaia ruszyła i wtedy zdała sobie sprawę, że pasażerka zostawiła coś na siedzeniu. Kiedy lepiej się temu czemuś przyjrzała, wcisnęła hamulec i zjechała na bok. Przez kilka sekund siedziała bez ruchu. Nie dotykała – i patrzyła. Z niedowierzaniem wzięła w drżące palce otoczek i obróciła go, żeby zobaczyć resztkę cementu, który przez długie lata utrzymywał ten kamień w progu jej domu.

Słońce, niespodziewane o tej porze roku, pokazało się już z samego rana i resztki mgły powoli znikwały w jego promieniach. Amaia pomyślała, że to jej wyjątkowo na rękę – zresztą zawsze cieszyła się ze słonecznej pogody – ale tym razem liczyła na to, że będzie mogła ukryć siniec na policzku za wielkimi przyciemnionymi okularami.

Iriarte zawiózł ją do Pampeluny, ale wygłosił tylko kilka komentarzy na temat nowości w sprawie. Poza tym milczał i był ponury, skupiony na prowadzeniu samochodu. Przy wejściu natknęli się na Montesa. Powitał ich nieśmiałym „dzień dobry” i Amaia ucieszyła się, widząc, że wygląda nie lepiej niż ona. Dolną wargę miał spuchniętą, a ciemna szrama przecinająca ją na pół wyglądała jak dziwaczny piercing.

Z gabinetu komisarza wyszedł umundurowany policjant. Wezwał ich do środka. Wszyscy byli w mundurach, z wyjątkiem Montesa, który miał na sobie elegancki i z pewnością kosztowny ciemnograny garnitur.

Oprócz komisarza przy długim stole odpraw siedzieli policjanci z wydziału spraw wewnętrznych, ci sami, którzy przyjmowali zeznania przed rokiem, kiedy to wszystko się stało. Amaia nie umknęły spojrzenia, którymi obydwaj obrzucili jej siniaka, nie do końca zakamuflowanego makijażem, i wargę Montesa.

– Jak wszyscy wiecie, minął rok, od kiedy inspektor Montes został zawieszony w czynnościach z powodu tego, co się stało w lutym na parkingu przed hotelem Baztán w Elizondo. W tym czasie inspektor Montes miał obowiązek poddać się terapii. Mam tu raporty, które zalecają przywrócenie go do służby. Inspektor Salazar, inspektorze Iriarte, byliście przy tym. Chcielibyśmy wysłuchać waszych opinii na ten temat. Czy uważacie, że inspektor jest gotów wrócić do czynnej służby?

Iriarte rzucił okiem na Amaię, a potem powiedział:

– Rzeczywiście byłem tam, kiedy do tego doszło, i od tej pory kilka razy miałem okazję spotkać inspektora w komisariacie. Przychodził spotkać się z kolegami. Zawsze zachowywał się...
– zawahał się na chwilę. Amaia to wyczuła, choć wydawało się, że pozostali nie zwrócili na to uwagi. – ...stosownie i w mojej ocenie jest gotowy wrócić do pracy.

Amaia westchnęła.

– Pani inspektor – komisarz udzielił jej głosu.

– Nieobecność inspektora Montesa spowodowała braki, które reszta zespołu musiała nadrabiać większym poświęceniem i wysiłkiem. Uważam, że jest pożądane, żeby jak najszybciej wrócił do służby.

Mówiąc to, zdawała sobie sprawę, że to dla wszystkich niespodzianka.

– Inspektorze Montes – poprosił komisarz.

– Chciałbym podziękować za zaufanie, którym mnie obdarzyli zarówno inspektor Iriarte, jak i inspektor Salazar. Jeszcze tydzień temu zgodziłem się z radością, ale po rozmowie z bliską osobą zdecydowałem, że najbezpieczniej będzie przedłużyć terapię jeszcze o kilka miesięcy.

Amaia przerwała mu:

– Za pozwoleniem, panie komisarzu. Rozumiem, że inspektor chce przedłużyć terapię, ale nie widzę przeciwwskazań, żeby nie miał się jej poddawać po powrocie do pracy. Zespół jest osłabiony, ludzie pracują ponad siły, po godzinach, biorą dyżury...

– Dobrze – zgodził się komisarz. – Podzielam pani zdanie. Montes, zaczyna pan od jutra. Witam – powiedział, wyciągając do niego rękę.

Amaia wyszła, nie zwlekając, i stanęła obok dystrybutora z wodą. Montes zatrzymał się w drzwiach gabinetu. Rozmawiał z Iriartem, ale kiedy się zorientował, że Amaia na niego czeka, pożegnał się ze wszystkimi i podszedł do niej.

– Dziękuję. Ja...

– O jutrze może pan zapomnieć – przerwała mu. – Wiem, że ma pan kwatery w Elizondo, więc jedzie pan tam natychmiast i przy okazji zabiera ze sobą Iriartego. Mam nadzieję, że pali się

pan do pracy. Mamy zbiegłego podejrzanego, którego koniecznie musimy odnaleźć. Dwa patrole są unieruchomione, jeden pod prywatnym domem, drugi pod kościołem. Doszło do profanacji i do czegoś o wiele gorszego. Więc już może pan ładować baterie.

Montes popatrzył na nią z uśmiechem.

– Dziękuję.

– Ciekawa jestem, czy będzie pan równie zadowolony za tydzień.

Przygnębiający przegląd sytuacji, którym uraczyła Montes, nie odbiegał zbytnio od prawdy. Co do profanacji, to była niemal na sto procent pewna, że już się nie powtórzą, ale ponieważ sprzeciwiła się uznaniu Beñata Zaldúy za odpowiedzialnego za zbezczeszczenie kościoła, musiała w jakiś sposób zadowolić Sarasolę. Zostawiając wóz patrolowy w Arizkun, utrzymywała sprawy pod kontrolą, a komisarz miał święty spokój. Należał mu się po gorzkiej pigułce, którą musiał przełknąć, kiedy kazano mu wyjaśnić, dlaczego patrolu nie było na miejscu w czasie ostatniej profanacji. A jeśli chodzi o Nurie, była święcie przekonana, że patrol jest niezbędny. Jeśli wszystko miało przebiegać jak w schemacie zbrodni inspirowanych przez tarttala, jej mąż nadal będzie usiłował ją zabić, bo tylko w ten sposób będzie mógł wypełnić dziwaczny ślub posłuszeństwa. Było natomiast jasne, że w chwili kiedy Nuria przestała się zachowywać jak ofiara i przystąpiła do skutecznej obrony, wszystko się zmieniło. Inaczej niewątpliwie byłaby już martwa. Dla tej ludzkiej bestii, jej męża, krzywdziciela bezbronych kobiet, musiała to być nieprzyjemna niespodzianka.

Zespół badał też akta spraw dotyczących znęcania się nad kobietami i zabójstw w wyniku przemocy domowej, które nie dosyć, że nie były ujęte w jeden krajowy rejestr, to jeszcze podlegały różnym służbom policyjnym, rywalizującym o kompetencje.

Przez następne pół godziny Amaia jeździła po Pampelunie, żeby zabić czas i zebrać siły przed spotkaniem z sędzią. Tuż przed umówioną godziną wróciła do centrum miasta,

zaparkowała na podziemnym parkingu pod placem Castillo i w lusterku wstecznym poprawiła czerwony beret. Potem obciągnęła kurtkę od munduru, także czerwoną i z herbem Nawarry na piersi. Włożyła ją na posiedzenie komisji.

Restauracja w hotelu Europa była jedną z najlepszych w Pampelunie. Dla Amai, która wiedziała, jakim smakoszem jest Markina, ten wybór nie był zaskoczeniem. Jedzenie było tradycyjne, ale nie zaściankowe. Była to jedna z tych restauracji, które zmodernizowały sposób prezentowania potraw i dostosowały go do obowiązujących trendów, ale nie zapomniały uraczyć gości sporym kawałkiem mięsa lub ryby.

Wchodząc, Amaia zauważyła, że przyciąga wszystkie spojrzenia. Policjantka w mundurze w eleganckiej restauracji to coś tak urągającego wszelkim zasadom jak karaluch na weselnym torcie.

– Ktoś na mnie czeka – mruknęła do szefa sali, który zagroził jej drogę, i ruszyła w stronę stołu, przy którym siedział sędzia.

Markina zerwał się na jej widok. Usiłował ukryć zaskoczenie. Zanim zdołał coś zrobić, wyciągnęła do niego rękę w rękawiczce.

– Panie sędzio – powitała go oficjalnie.

Zdjęła rękawiczki dopiero, kiedy usiadła.

– Przychodzi pani umundurowana – Markina postanowił nie ukrywać, że jest zawiedziony.

– Tak, miałam ważne spotkanie. Musiałam wystąpić w mundurze. Wracam prosto stamtąd – skłamała.

– ...i uzbrojona – wskazał na pistolet zwisający jej z paska.

– Zawsze jestem uzbrojona, panie sędzio.

– Tak, ale nie tak na widoku...

– Och! Przykro mi, że to panu przeszkadza. Jestem dumna z tego munduru.

Zaprzeczył swym uczuciom, mimo że były oczywiste:

– Nie, nie przeszkadza mi to. – I żeby to uwiarygodnić, uśmiechnął się do niej jednym z tych swoich pociągających uśmiechów. – Po prostu mnie to zaskoczyło.

Podniosła brwi.

– To pan nalegał, żeby się ze mną spotkać dzisiaj, a ja

wyjaśniłam, że wcześniej muszę być na bardzo ważnym spotkaniu w komisariacie.

Była pewna, że się na nią obrazi, ale było jej już wszystko jedno.

Przez dłuższą chwilę patrzył na nią w ten znany jej już sposób.

– Tak, to prawda, poprosiłem o spotkanie i pani się zgodziła.

– Chciałabym panu podziękować za wsparcie i za to, że zdecydował się pan otworzyć sprawę tarttala.

– Nie dała mi pani wyboru.

– No cóż, słusność tej decyzji potwierdziły dowody – powiedziała.

– Oczywiście, ale najpierw musiałem pani zaufać. Czy mamy jakiś postęp w sprawie?

– Mamy następny przypadek. Schemat postępowania jest ten sam. Zidentyfikowaliśmy podejrzanego. Sądzimy, że to kolejny wykonawca. Przez dwa lata torturował żonę, kobietę urodzoną w Baztán. Mieszkali wówczas w Murcji i facet trafił do więzienia. Ostatnio dostał przepustkę i przyjechał tutaj, żeby zabić byłą już żonę, ale na szczęście został spłoszony. Sądzimy, że pasuje do profilu sprawcy, który opracowaliśmy. Wystawiliśmy list gończy. Jesteśmy przekonani, że podżegacz wybiera wykonawców z uwagi na ich profil. Nie odkryliśmy jeszcze, w jaki sposób nawiązuje z nimi kontakt, ale wiemy, że te znajomości trwają jakiś czas, do chwili, kiedy wykonawcy są gotowi do działania. Kiedy w ich życiu następuje niekorzystny przełom, podżegacz daje im znak, a oni są mu posłuszni.

Kelner przyniósł butelkę wina. Niewątpliwie Markina wybrał ją już wcześniej. Amaia wzgardziła winem.

– Proszę o szklankę wody – wyprzedziła protesty sędziego.

Kiedy kelner poszedł, sędzia zadał jej kolejne pytanie.

– Ma pani jakieś poszlaki dotyczące podejrzanego, który odwiedzał pani matkę w klinice?

Była okropnie zażenowana tym, że musi z nim o tym rozmawiać. Dałaby wszystko, żeby tego uniknąć.

– No cóż, przesłałam panu nagrania i raport FBI.

– Tak, widziałem. To bardzo interesujące, że ma pani tak szerokie znajomości, ale najwidoczniej nawet zaawansowane

techniki nie pomagają w przypadku nagrań tak złej jakości.

– Otóż to.

– Wie pani, czy ktoś usiłował znów odwiedzić pani matkę albo w jakikolwiek sposób nawiązać z nią kontakt?

– Nie ma takiej możliwości. Przenieśliśmy ją i przebywa w całkowitej izolacji. Osoba odpowiedzialna za jej bezpieczeństwo w nowym ośrodku zna sytuację i mam do niej zaufanie.

Zastanowiła się, w jakim stopniu było to prawdą, w jakim stopniu ufała Sarasoli. Niewątpliwie nie była to całkowita i ślepa wiara. Zadała też sobie pytanie, czy nie ulega czasem paranoicznym obsesjom doktora Franza.

Oczywiście nie wyjawiała Markinie swoich podejrzeń, że to *tarttalo* stoi za profanacjami, że ludzkie szczątki znalezione w kościele należą do członków jej rodziny i że w ostatnim przypadku były to kości jej siostry bliźniaczki zmarłej w niemowlęctwie, okrytej tajemnicą rodzinną tak szczelnie, jakby nigdy nie istniała. Jak długo jeszcze będę mogła ukrywać te sprawy przed sędzią, nie narażając na szwank dochodzenia?

– zastanawiała się. Do chwili, kiedy potwierdzą to dowody, postanowiła. Dopiero wtedy mu powiem.

Powiadomiła go natomiast o wynikach badań drobiny metalu znalezionej w kości Lucii Aguirre i starego lancetu, który ktoś dostarczył jej matce.

W tej samej chwili do restauracji wkroczyła grupka ludzi. Ruszyli do zarezerwowanego stołu, tuż obok tego, przy którym siedzieli z Markiną. Niektórzy patrzyli na nią zdziwieni. Nie umknęło jej, że sędzia jest skrupowany.

Wykorzystała to.

– A więc... sądzę, że to już wszystko, co do tej pory udało nam się ustalić. Zaciskamy krąg wokół podejrzanego i spodziewamy się, że go zatrzymamy w ciągu kilku godzin. Będę pana informować na bieżąco.

Pokiwał głową z roztargnieniem.

– Idę. Będzie pan mógł zjeść w spokoju.

Wydawało się, że zastanawia się, co odpowiedzieć, ale zrezygnował i pod pozorami uległości kryjąc ulgę, powiedział:

– Dobrze, jak pani chce.

Jeśli nie zniechęci cię policjantka w czerwonym mundurze, nic cię nie zniechęci, pomyślała Amaia, wstając i podając mu rękę na pożegnanie.

Wyszła z restauracji, ścigana spojrzeniami wszystkich gości. Przypomniała sobie dzień, kiedy poznała Jamesa, w galerii, w której wystawiał rzeźby. Wtedy też była w mundurze. James podszedł do niej i wręczył jej katalog, zapraszając na wernisaż.

Wsiadła do samochodu i zanim uruchomiła silnik, wybrała numer męża.

– Poczekaj na mnie z kolacją, kochanie. Już jadę.

– Oczywiście – odpowiedział.

Często rozmyślała o tym, jak to się dzieje, że śledztwo posuwa się w takim, a nie w innym kierunku i że nadchodzi taki moment, taka chwila, która nie wydaje się bardzo różnić od innych, a jednak natychmiast wszystko zmienia.

Usiłując rozwiązać sprawę kryminalną, policjant śledczy zajmuje się układaniem puzzli. Nie wie, z ilu kawałków się składają i jaki obraz pojawi się po ułożeniu. A zdarzają się też przecież układanki, w których brakuje części. Miejsca po nich są czarnymi dziurami w dochodzeniu. To miejsca, co do których zawsze będą mieli wątpliwości. Nie dowiedzą się, co się za nimi kryło. Ludzie chętnie mijają się z prawdą, przeważnie nie we wszystkim, bywa, że w zasadniczych sprawach, ale też w drobnych szczegółach. Przeważnie kłamią nie dlatego, że chcą ukryć swój udział w zbrodni, tylko dlatego, że nie chcą opowiadać o ważnych sprawach dotyczących ich życia, o drobiazgach, których się wstydzą. Na wiele osób podejrzenie pada dlatego, że nie chcą wyznać prawdy. Policjant śledczy zauważa to natychmiast: ten czy ta kłamią, ale w dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach na sto przesłuchiwanie kłamią ze wstydu i obawy przed tym, że ich żony, mężowie, przełożeni albo rodzice mogą się dowiedzieć o ich poczynaniach. Ale każde zabójstwo ma jeszcze dwóch niemych świadków: zabójcę, który nie mówi prawdy z przyczyn oczywistych, i ofiarę, uciszoną przemocą na zawsze. W ostatnich latach najbardziej zaawansowane techniki

prowadzenia śledztwa skupiały się właśnie na tym drugim niemym świadku, na ofierze. Wiele nauk kryminalnych bada świadectwo ofiary, przez długie lata niedoceniane.

Wiktymologia wytycza wiele kierunków śledztwa w oparciu o analizę osobowości, upodobań, zachowań ofiary. Medycyna sądowa zajmuje się rekonstruowaniem twarzy, jeśli zachowała się czaszka, albo identyfikowaniem w oparciu o badania DNA, jeśli zachowały się szczątki. Jest jeszcze odontologia sądowa. A kiedy nie można odnaleźć ciała domniemanej ofiary, jak w przypadku Lucii Aguirre, można się uciec do wyczerpującego badania jej prywatnego życia. Może to rzucić na sprawę sporo światła. Chyba że policjant śledczy ma zwyczaj widywać w nocy widma ofiar, które wyjawiają szeptem, kto je zabił.

Ale jest jeszcze coś, kawałek układanki, którego śledczy szuka przez cały czas, najważniejszy kawałek, który organizuje całą scenę zbrodni, sprawiając, że inne kawałki zaczynają do siebie pasować i nagle wszystko zaczyna się zgadzać. Czasem znalezienie tego najważniejszego elementu powoduje, że cała linia śledztwa musi zostać odrzucona i do kosza trafia wielomiesięczna praca wielu osób. Niekiedy kawałkiem tym okazuje się jakiś niespodziewany drobiazg, jakiś szczegół, cokolwiek: świadek, który decyduje się złożyć zeznanie, nagranie z kamery przemysłowej, wyniki jakiegoś badania, lista połączeń telefonicznych, jakieś nagle odkryte kłamstwo, mniejsze lub większe. Znalezienie tej niewielkiej części wielkiej układanki nadaje sens całej sprawie.

Nagle tam, gdzie była ciemność, staje się światłość.

To może się zdarzyć już za chwilę.

O różnicy między tym, że się nie ma nic, a tym, że się ma wszystko, może zdecydować jeden szczegół. Kiedy śledczy na niego trafia, wie od razu, że go ma, że już ma zabójcę. Niekiedy śledczy w sposób jakby magiczny uświadamia sobie, jakie jest rozwiązanie, a dowód znajduje dopiero później, czasem zaś nie znajduje potwierdzenia nigdy.

Nie było nawet śladu po słońcu, które poprzedniego ranka rozwiało mgłę i poprawiło Amai samopoczucie. Deszcz padał w sposób, który mieszkańcy doliny znają aż za dobrze i który jest niezawodną wskazówką, że ma zamiar padać przez resztę dnia.

Było jeszcze wcześniej, więc podjechała do Txokoto i zaparkowała na tyłach wytwórni. Jej siostra już była w pracy. Piekarze i cukiernicy bardzo wcześniej zaczynają dzień. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Popchnęła je i weszła do jasno oświetlonej hali. Kilku pracowników już zaczęło się krzątać. Przywitała się z nimi i poszła na zaplecze. Rosaura ucieszyła się na jej widok.

– Witaj, ranny ptaszku! Przychodzisz jako policjantka czy pomóc nam piec ciasta?

– Jako policjantka, która domaga się poczęstunku.

Ros zaczęła robić kawę, a Amaia stanęła przodem do szyby, za którą znajdowała się hala.

– Byłam tu przedwczoraj w nocy.

Ros stanęła ze spodkiem w ręku.

– Mam nadzieję, że to ci nie przeszkadza. Musiałam pomyśleć albo powspominać, nie wiem dokładnie...

– Czasem zapominam, że to miejsce musi być dla ciebie okropne.

Amaia milczała, bo co mogła powiedzieć. Po chwili wzruszyła ramionami.

Ros postawiła filiżanki z kawą i paterę z ciastem na niskim stoliku. Usiadła na kanapie i zaprosiła Amaię. Poczekala, aż usiądzie, ale nie wyciągnęła ręki po kawę.

– Ja o wszystkim wiedziałam.

Amaia popatrzyła na nią ze zdziwieniem. Nie rozumiała, o czym mówi.

– Wiedziałam, co się dzieje.

- O czym ty mówisz?
- O tym, co robiła *ama*.

Amaia pochyliła się do niej i położyła dłoń na jej dłoni.

– Nic nie mogliście na to poradzić, Ros, byliście za małe, ty i Flora. Oczywiście, że widziałyście różne rzeczy, ale *ama* zachowywała się tak dziwnie... Dzieciom łatwo jest źle zrozumieć pewne sprawy.

– Nie mówię o tym, że obcięła ci włosy, że nie chciała z tobą tańczyć, że dawała ci ohydne prezenty. Pewnej nocy, jednej z tych niezliczonych nocy, kiedy nalegałaś, żeby spać ze mną w łóżku, i przylgnęłaś do mnie tak, że się cała spociłam, poczekałam, aż zaśniesz, i poszłam do twojego łóżka.

Amaia znieruchomiała z filizanką w połowie drogi do ust. Ręce zaczęły jej się trząść. Tylko trochę, ale musiała odstawić filizankę. Nieświadomie wstrzymała oddech.

– *Ama* podeszła do mnie. To jasne, że myślała, że to ty. Ja już prawie zasypiałam i nagle usłyszałam, że nachyliła się nade mną, bardzo nisko. Doskonale słyszałam, co powiedziała: „Śpij, mała dziwko, *ama* nie zje cię tej nocy”. Wiesz, co zrobiłam, kiedy sobie poszła? Podniosłam się i wróciłam do swojego łóżka. Położyłam się koło ciebie, umierając ze strachu. Od tego dnia wiedziałam i dlatego zawsze pozwalałam, żebyś ze mną spała. Wiem, że ona też wiedziała, że ja wiem, może dlatego, że zauważyła, że ją obserwuję, że patrzę na nią, kiedy ona patrzy na ciebie. Nigdy nikomu o tym nie powiedziałam. Przykro mi, Amaio. Siedziały tak w milczeniu kilka chwil. Wydawały się dłużyć jak wieczność.

– Nie dręcz się tym, nic nie mogłaś zrobić. Jedyнным człowiekiem, który mógł, był *aita*. On był dorosły, odpowiadał za nas. On mógł mnie obronić, ale nie zrobił tego.

– *Aita* był dobry, Amaio. Po prostu chciał, żeby to się jakoś ułożyło.

– Ale się mylił. Nie tak powinna wyglądać rodzina. Chronił ją, amę, i zmusił dziesięcioletnią dziewczynkę, żeby odeszła z domu, żeby opuściła ojca i siostry. Wyrzucił mnie z domu.

– Zrobił to, żeby cię chronić.

– To właśnie powtarzałam sobie przez całe lata. Ale teraz sama

jestem matką i jeśli czegoś jestem pewna, to tego, że chroniłabym swojego syna nawet przed Jamesem, nawet przed samą sobą. Mam nadzieję, że James też byłby do tego gotowy.

Wstała, wzięła płaszcz i ruszyła do drzwi.

– Nie dopijesz kawy?

– Nie, dzisiaj nie.

Lało coraz mocniej. Wycieraczki pracowały na cały regulator, ale to i tak nie wystarczało, żeby usunąć strugi spływające po szybie. Podjeżdżając pod komisariat, Amaia zauważyła, że po zboczach, na którym stoi budynek, spływają całe strumienie wody i wpadają do przypominającego fosę kanału odwadniającego. Zamiast zaparkować na dole, przy głównym wejściu, objechała komisariat i zostawiła samochód na górnym parkingu, obok służbowych czerwonych aut z logo Policji Statutowej. Poszła do sali odpraw, którą zaanektowała, i stwierdziła, że Fermín Montes już tam jest. Rękawy miał zawinięte po łokcie i tworzył diagram na nowej tablicy. Musiał ją skądś przynieść. Towarzyszyli mu Etxaide i Zabalza.

– Dzień dobry, szefowo – powitał ją radośnie Montes.

– Dzień dobry – odpowiedziała. Zaobserwowała, że pozostałych dwóch zaskoczyło, że są w tak dobrej komitywie.

Jonan uśmiechnął się, uniósł jedną brew i powiedział „dzień dobry”, a Zabalza zmarszczył brwi i wymamrotał coś, co przy dużej dozie dobrej woli można było uznać za powitanie. Na biurku leżał ogromny stos dokumentów ze śledztwa. Z bałaganu i mnóstwa gryzmołów na tablicy wywnioskowała, że panowie trudzą się tak już od około dwóch godzin.

– A ta tablica?

– Była tam, na dole, ale raczej nie służyła do niczego, a tutaj jest potrzebna – wyjaśnił Montes. – Usiłowałem się trochę wdrożyć przed pani przyjściem.

– Kontynuujcie – powiedziała. – Poczekamy, aż przyjdzie inspektor Iriarte, i wtedy do was dołączę.

Otworzyła pocztę i znalazła to co zwykle. Korespondencję od doktora Franza, który stawał się coraz bardziej histeryczny i odgrażał się, że coś zrobi, i następną wiadomość od Złotego Grzebienia.

*Ziarnko piasku najlepiej ukryć na plaży.
Kamień najlepiej ukryć w korycie rzeki.
Zło ukrywa się pod swoją własną postacią*

Iriarte zjawił się z filiżanką, którą dostał od dzieci na Dzień Ojca. Postawił ją przed Amaią.

– Dzień dobry. Dziękuję, panie inspektorze.

– Dzień dobry. – Iriarte usiadł. – Jestem gotowy, możemy zaczynać.

Amaia pociągnęła duży łyk kawy i podeszła do tablic.

– Przyłączył się dziś do nas inspektor Montes, więc odświeżymy sobie to, co już wiemy. A ponieważ zaczęliście od tej linii śledztwa – wskazała na tablicę zatytułowaną „profanacje” – będziemy szli nią dalej. Jako że wprowadziliście już inspektora w początki tej sprawy, przejdźmy bezpośrednio do ustaleń. Przesłuchaliśmy Beñata Zaldúę, chłopaka z Arizkun, autora bloga, którego stworzył, żeby się upomnieć o historyczne krzywdy wyrządzone agotom. W końcu – tu popatrzyła znacząco na Zabalzę – przyznał się, że miał współnika, dorosłego mężczyznę, który nawiązał z nim kontakt przez bloga i – po trwającej jakiś czas wymianie maili – namówił go, żeby przeszedł do czynów. Na początku Beñat sądził, że to sprawi, że zyskają szerszy rozgłos, ale kiedy zaczęło się podrzucanie kości, przestraszył się. Mimo że w mediach o profanacjach nie było mowy, w Arizkun wszyscy o nich wiedzieli. Plotkowano o tym na ulicach. Beñat zeznał, że nie miał nic wspólnego z kośćmi i że nie wziął udziału w ostatniej akcji, tej z wózkiem widłowym, który utkwiał w murze kościoła. Był bardzo przestraszony i jednonacznie wskazał na Antonia Garridę – wskazała na fotokopię historii przestępcy bez trzech palców, a Zabalza podał ją Montesowi – który okazał się byłym mężem Nurii, kobiety, która strzeliła w obronie własnej do intruza, kiedy wtargnął siłą do jej domu. Był to ten właśnie Garrido, który uprzednio przez dwa lata dręczył ją i więził, a przyszedł ją zabić. A to nas kieruje – odwróciła drugą tablicę – w stronę tarttala. Udało nam się go powiązać z zabójstwem

Johany Márquez i z jeszcze czterema innymi. We wszystkich przypadkach sprawcą był mąż lub partner zamordowanej. Byłyby to typowe zabójstwa popełnione przez agresorów bliskich ofierze w wyniku eskalacji przemocy domowej, ale występują w nich dość zaskakujące zbieżności. Po pierwsze, wszystkie kobiety pochodziły z Baztán i mieszkały poza doliną.

– Z wyjątkiem Johany – podkreślił Jonan.

– Tak, z wyjątkiem Johany, która mieszkała w Baztán. We wszystkich przypadkach ofiarom po śmierci ktoś uciął rękę, we wszystkich przypadkach zabójcy popełnili samobójstwo i we wszystkich zostawili ten sam podpis. TARTALO.

– Wszystkich amputacji dokonano zębatym narzędziem. Z początku przypuszczaliśmy, że mogła to być piła kątowna albo nóż elektryczny, ale znalezienie metalowego zęba w ciele Lucii Aguirre pozwoliło nam ustalić, że chodzi o stare narzędzie chirurgiczne, o piłę do amputacji.

Montes niósł brew. Był zaintrygowany.

– Doktor San Martín usiłuje zrobić model ostrza piły, posilując się odlewem znalezionej kawałka metalu, ale i tak wszystko wskazuje na to, że tym właśnie narzędziem się posłużono. To ma sens, bo tam, gdzie zamordowano i znaleziono Johanę Márquez – w starej szopie – nie ma prądu i narzędzie elektryczne byłoby bezużyteczne. Jest jeszcze jedna sprawa. – Rzuciła okiem na Jonana i Iriartego, którzy już o tym wiedzieli. – Zostało udowodnione, że kości, które dwa razy podrzucono do kościoła w Arizkun, należały do członków mojej rodziny i zostały tam podłożone specjalnie – powstrzymała się od udzielenia wyjaśnień, skąd pochodziły te szczątki. Póki co to musiało wystarczyć.

– O cholera! Salazar, to wszystko okazuje się wymierzone przeciwko pani – stwierdził Montes i poszukał wzrokiem poparcia u pozostałych.

– Też tak sądzę – stwierdziła. – Zwłaszcza że wiemy już, jak się dowiedziano, gdzie szukać tych kości. Ktoś odwiedził moją matkę w klinice, w której przebywała. Podszedł się pod mojego brata.

– Przecież pani nie ma brata...

– No właśnie, Montes, mam tylko siostry, które pan zna. To pokazuje, jak bezczelne jest to indywiduum.

– Omamił i wysondował pani starą matkę i podrzucił te kości, żeby panią sprowokować.

Sformułowanie „stara matka” zabrzmiało tak, jakby chodziło o biedną naiwną staruszkę wykorzystaną przez podstępnego zbrodniarza. Niemal ją to rozbawiło.

– I sądzi pani, że to zrobił ten facet bez palców?

Włączył się Iriarte:

– Nie, to nie on. Mamy nagrania z kliniki, które go wykluczają. Ale wszystko wskazuje na to, że zarówno on, jak i ci wszyscy pozostali brutalni i prymitywni zabójcy kobiet byli sługami i wyznawcami kogoś o wiele inteligentniejszego od nich: podżegacza. Kogoś, kto według własnego uznania posługuje się nimi, kieruje ich złość przeciwko kobietom z ich otoczenia i ma nad nimi taką władzę, że jest w stanie ich skłonić do samobójstwa, kiedy już przestają mu być potrzebni.

– Sądzę, że najpilniejsze jest ustalenie, kto odwiedzał pani matkę w klinice – zaproponował Montes.

– Inspektor Zabalza już nad tym pracuje.

– Co jeszcze mamy?

Jonan popatrzył pytająco na Amaię. Pokręciła głową. To, że ostatnio podrzucone kości należały do jej bliźniaczki, nie miało znaczenia dla sprawy. Ważne było, że to kości kogoś z nią spokrewnionego. A jednak wiedziała, że sama się oszukuje. To nie było nieważne. To była prowokacja, która miała ją szczególnie udreńczyć. Ale – ponieważ nie podzieliła się tą informacją z sędzią śledczym – nie widziała też powodu, żeby dzielić się nią z Montesem i Zabalzą. Póki co były to po prostu kości, takie jak poprzednie, podrzucone do kościoła. Jak na jej gust i tak już zbyt wiele osób zostało wprowadzonych w tę sprawę.

– No tak. Facet o takim profilu powinien teraz się z panią skontaktować. Wtedy byłby to wręcz podręcznikowy przypadek – podsumował Montes.

– Te maile... – zasugerował Jonan.

– Tak, no cóż... – odpowiedziała Amaia niezdecydowanie.

– Pani inspektor od pewnego czasu codziennie otrzymuje dość dziwne wiadomości. Wyśledziliśmy IP. Jest to IP dynamiczne i po przeszukaniu połowy Europy jeszcze nie określiliśmy miejsca nadania, ale wszystko wskazuje na to, że był to publiczny hot spot.

– Przypuszczam, że miałeś na myśli to, że nie udało się wam wyśledzić nadawcy.

– Otóż to – uśmiechnął się Etxaide.

– No to powiedz to po ludzku, chłopie – zaprotestował Montes, ale też się uśmiechnął.

– Profil podżegacza – zapisała Amaia na tablicy. – Mężczyzna, w jakiś sposób związany z Baztán. Może tu się urodził, a może miał żonę pochodzącą z tych stron, którą zabił albo chciał zabić. Dlatego mógłby zniechęcić kobiety. Jak słusznie stwierdził Montes – Amaia spojrzała na inspektora – jest oczywiste, że w jego postępowaniu jest komponent prowokacji. Chciał sprowokować mnie. W jakiś sposób już nawiązał ze mną kontakt, podrzucając do kościoła szczątki moich przodków. To prowadzi nas do dość oczywistych wniosków: z jednej strony jestem kobietą, i to taką kobietą, która mizoginicznym osobnikom za grosz się nie podoba. Z drugiej działania tego osobnika zostały zaplanowane tak, żeby doprowadziły do tego, abym to ja poprowadziła tę sprawę. Jednym słowem chce się ze mną zmierzyć. Według profili opracowanych przez FBI na podstawie badań zachowań kryminalnych ktoś taki powinien mieć pięć lat mniej lub więcej ode mnie. Mamy widełki od dwudziestu ośmiu do trzydziestu ośmiu lat. Człowiek młody, z wyższym wykształceniem. Niektórzy z jego adeptów i wykonawców zabójstw byli prostytutkami, ale przynajmniej w dwóch przypadkach – Burgos i Bilbao – byli to ludzie na kierowniczych stanowiskach w międzynarodowych koncernach, wykształceni, a w przypadku tego z Bilbao zamożni. Nie jest możliwe, żeby do takich kręgów dopuszczono byle kogo. Atrakcyjny fizycznie, ale nieprzesadnie rzucający się w oczy, osobowość uwodzicielska, charyzmatyczna, zdolny do wywierania wpływu na innych, pewny siebie i zdecydowany, potrafiący sprawować władzę nad ludźmi. Nie wiemy, jaką

drogą zyskuje zwolenników, znamy natomiast ogólny profil podżegaczy: ich wyznawcy nie czują się im równi, są ich sługami. Podżegacz nigdy do niczego wyznawcy nie zmusza ani nie wymusza na nim niczego, ale jest w stanie doprowadzić do tego, żeby ten czuł przemożne pragnienie, żeby się starał go zadowolić za wszelką cenę, nawet za cenę własnego życia.

W sali zapadła gęsta cisza. Przerwał ją Montes:

– I jeden z takich gdzieś tu krąży?

– Wszystko wskazuje na to, że tak.

– A wyznawcy?

– Tu, pod ręką, ma pan historię jednego z nich. Stosuje przemoc wobec kobiet. Ten akurat nie jest tak zdeorganizowany jak ci poprzedni. Może dlatego został wybrany przez podżegacza do sprofanowania kościoła. Należy wziąć pod uwagę, że przez dwa lata więził swoją żonę w domu i nikt niczego nie podejrzewał. Gdyby nie udało jej się uciec, gniłaby tam nadal. Zanim jeszcze ją uwięził, udało mu się doprowadzić do tego, że zerwała wszelkie stosunki z rodziną. Oczywiście nie miał przyjaciół i trzymał sąsiadów na dystans. Według kolegów z pracy był uprzejmy, usłużny i bardzo pracowity, ale nie wychodził poza czysto służbowe relacje.

– Szefowo, czy mógłbym się zająć właśnie nim? Chciałbym porozmawiać z jego żoną, może nasunie jej się jakiś pomysł, gdzie mogłby teraz być. Jeśli facet nie zna zbyt dobrze okolicy, musiał się gdzieś ukryć, bo kontrole na szosach utrudniają mu ucieczkę. Gdyby popełnił samobójstwo, już byśmy go znaleźli.

– Dobrze, proszę się nim zająć – zgodziła się Amaia.

Montes wziął ze stołu akta Antonia Garridy i przeglądał je przez chwilę.

– Ukrył się gdzieś, teraz jestem pewien – powiedział, wskazując na jedno ze zdjęć. – Popatrzcie, w jakim chlewie mieszkał, kiedy więził swoją żonę. – Na zdjęciu widać było pokój wypełniony śmieciami i brudem, i pryczę, z której zwisały łańcuchy, które skuwały Nurię przez dwa lata. – Ten facet nie potrzebuje wiele. Może przetrwać w jakiejś szopie albo stajni, bez najmniejszych problemów. Czy mogę rzucić okiem na te wiadomości, które pani dostaje?

– Tak. Jonanie, wydrukuj je, proszę.

Jonan wrócił z wydrukami i Montes przeczytał na głos:

– Kamienie w rzece i piasek na plaży. To jakaś poezja? Nigdy nie byłem dobry w te klocki. Moja eks mówiła, że jestem pozbawiony wrażliwości. Jak pani sądzi, co to oznacza?

Amaia spojrzała na niego ze zdziwieniem. Po raz pierwszy zdarzyło mu się zażartować na temat swojego rozwodu. Może naprawdę zrobił pewne postępy.

– Mowa o ukryciu czegoś przed ludzkim wzrokiem w miejscu tak oczywistym, że dlatego już to coś staje się niezauważalne. Kamień tam, gdzie jest wiele kamieni, i ziarno piasku tam, gdzie jest mnóstwo piasku. Należy szukać w miejscu oczywistym.

– Myśli pani, że chodzi o tego faceta, którego szukamy? To już byłby szczyt, żeby podsyłano nam tropy na temat jego kryjówki. Amaia wzruszyła ramionami.

– No dobrze, więc Montes szuka Antonia Garridy. Etxaide, ty nadal robisz swoje. – Nie wchodziła w szczegóły. – Jeśli chcesz, możesz pojechać z inspektorem Montesem do Nuri. Iriarte, pan jedzie ze mną. Proszę zadzwonić do porucznika Paduy z Gwardii Cywilnej i spytać, czy może nam towarzyszyć. Zabalza: co pan znalazł?

– Mam pewne wyniki, chociaż zostało mi jeszcze sporo list do sprawdzenia. Jest sporo zgodności. Pewna firma sprzątająca była zakontraktowana we wszystkich trzech szpitalach. Krzyżuję listy pracowników. Biorę pod uwagę zastępstwa i pracowników czasowych, to zajmuje mi sporo czasu. Są też strażnicy, którzy pracowali we wszystkich trzech szpitalach, i lekarze, którzy są zakontraktowani w dwóch lub trzech. To samo dotyczy pielęgniarek.

Zastanowiła się nad tym, co powiedział.

– A doktor Sarasola?

– Nie. Nigdy przedtem jej nie leczył. Chce pani, żebym mu się przyjrzał bliżej?

– Nie, proszę się dalej zajmować listami. Podinspektor Etxaide się tym zajmie.

Dostrzegła obrażone spojrzenie Zabalzy. Ten człowiek nigdy

nie był zadowolony.

Jonan trochę zwlekał z wyjściem i z jego wyrazu twarzy Amaia wywnioskowała, że chce jej coś powiedzieć na osobności.

– Zostań, Etxaide. Co tam masz?

– No cóż, to w gruncie rzeczy drobiazg, dotyczący tych wiadomości, które pani otrzymuje, ale nie chciałem tego komentować publicznie, wołałem najpierw pani powiedzieć...

Patrzyła na niego.

– Śledząc drogę, jaką przebyły te maile, dotarłem do serwera w Stanach Zjednoczonych, w Wirginii, a stamtąd do miejsca ich pochodzenia.

– No i?

– Zostały nadane w Baton Rouge, w Luizjanie. W FBI zorientowali się, że próbuję się tego dowiedzieć. Zażądali, żebym niezwłocznie przerwał połączenie. Nie udzielili żadnych wyjaśnień, ale łańcuch połączeń wskazuje wyraźnie, że może chodzić o kogoś podejrzanego albo podstawionego.

– Dobrze, Jonanie. Dziękuję, że mi o tym powiedziałaś.

Nie znosiła parasoli, ale padało tak mocno, że deszcz przemoczyłby ją natychmiast. Wysiadła z samochodu, niechętnie pogodziła się z tym, że musi użyć znieawidzonego parasola, i wraz z Iriartem poszła polną drogą w kierunku szopy ukrytej pod bujną roślinnością. Padua czekał na nich w służbowej terenówce Gwardii Cywilnej, nissanie patrolu, którym mógł dojechać niemal pod same drzwi budynku. Widząc, że nadchodzą, wyskoczył z kabiny. Weszli do środka wszyscy razem. Pnącza, które przed rokiem zagłębiały nieśmiało przez dziurę w dachu, teraz opanowały całkowicie te części więzby dachowej, do których docierało choć trochę światła, i utworzyły coś w rodzaju naturalnego poszycia, które zapobiegało wlewaniu się wody do środka.

Nie było śladu po starej sofie ani po materacu, pod którym kiedyś leżało ciało Johany. Amaia z przykrością stwierdziła, że zniknęły także stół i ława. Takie górskie szałasys mają zapewniać schronienie tym, którym może być potrzebne. Są przyjaznymi miejscami, gdzie pasterze, myśliwi albo wędrowcy mogą przeczekać deszcz, spędzić noc albo po prostu zatrzymać się na odpoczynek. Ale śmierć Johany naznaczyła to miejsce i odtąd było już tylko schronieniem dla zwierząt. Podłoga była pokryta małymi czarnymi kulkami, a w najdalszym rogu leżał snop siana. Wraz z wyraźnym odorem owiec zdradzał, jakie zastosowanie znalazł szałas.

Amaia stanęła w głębi i popatrzyła na miejsce, gdzie przed rokiem spoczywały zwłoki Johany, jakby chciała znaleźć jakiś ślad po tym młodym życiu, przedwcześnie skoszonym przez śmierć.

– Dziękuję panu, Padua, że zgodził się pan tu przyjść.

Porucznik machnął ręką, jakby chciał powiedzieć, że to nic takiego, i spytał:

– Co pani chodzi po głowie?

– Pamięta pan, co zeznał Jasón Medina po zatrzymaniu? Padua potwierdził.

– Tak, załamał się i z płaczem przyznał się do tego, co zrobił swojej pasierbicy.

– Właśnie. Medina nie pasuje do profilu wspólnego pozostałym zabójcom. Wszyscy oni byli agresywni i sfrustrowani. Żona zaczęła go podejrzewać z powodu lubieżnych spojrzeń, którymi obrzucał jej córkę, i dlatego, że w miesiącach poprzedzających zabójstwo miał obsesję na punkcie jej rozkładu zajęć, rozrywek i ubrania. Sposób popełnienia zbrodni był podobny, z wyjątkiem gwałtu, ale w tym także nie ma nic dziwnego: wielu mężczyzn, którzy popełniają zbrodnie zakwalifikowane jako przemoc ze względu na płć, seksualnie napastuje swoje ofiary.

– Więc co pani nie pasuje? Ja z miejsca dostrzegłem zbieżności.

– Ja też, ale dostrzegam też wyraźne rozbieżności. Inne kobiety urodziły się w Baztán i z różnych przyczyn nie mieszkały w dolinie. Ich dziadkowie albo rodzice opuścili Baztán, lub też zrobiły to same, bo wyszły za mąż albo – jak Nuria – ponieważ dręczyciel odseparował je od rodziny, co często jest częścią strategii poniżania ofiar stosowaną przez takich typów. We wszystkich przypadkach zabójcy mieli za sobą epizody przemocy albo przemocy powstrzymywanej, co jest charakterystyczne dla tego typu osobowości. Tacy ludzie działają jak szybkochar. W przypadku zabójstwa Johany te dwie okoliczności są odmienne: po pierwsze, nie urodziła się tutaj, a po drugie, jako jedyna mieszkała w dolinie w chwili śmierci. Jej ojczym nie miał za sobą epizodów przemocy i nie pasował do profilu domowego dręczyciela. Był, owszem, zбочeńcem seksualnym. Tacy dewianci jak Jasón Medina są zdolni do przemocy jedynie podczas czynności seksualnych i to wtedy, gdy ofiara stawia opór. A zostało udowodnione, że Johana się broniła.

– No dobrze. – Padua starał się pomóc. – Wyobrażam sobie, że stwierdziła pani także, że jakieś związki z Baztán musi mieć sam podżegacz.

– Tak, oczywiście. Ale i tu w przypadku Johany istnieje pewna rozbieżność. Podzégacz nie podpisał się pod tą zbrodnią.

Padua nie chciał się zgodzić z tą interpretacją.

– Przecież Medina napisał „Tarttalo” w swojej celi i zostawił list, zaadresowany do pani.

– Ale nie zostawił podpisu na miejscu zbrodni. No dobrze, to mogłoby nie mieć aż takiego znaczenia. W innych przypadkach podpis też pojawił się jedynie na murach celi, ale we wszystkich stanowił część inscenizacji. Do tego Jasón Medina popełnił samobójstwo w więzieniu dopiero po prawie roku od popełnienia zbrodni, a wszyscy jego poprzednicy zrobili to natychmiast. Te cztery miesiące, które musiał odczekać Quiralte... dokładnie tyle trwał mój urlop macierzyński. Zabił się, kiedy tylko wróciłam do pracy. Przypuszczam, że zrobiłby to wcześniej, gdyby mógł. Iriarte, proszę pokazać porucznikowi zdjęcia – poprosiła.

Inspektor otworzył skoroszyt, który trzymał pod pachą, i przytrzymał go obiema rękami, żeby mogli wygodnie obejrzeć zdjęcie po zdjęciu.

– Wszyscy zabójcy zabili kobiety i popełnili samobójstwo. Niektórzy, tak jak ten z Bilbao, we własnym domu. Widzi pan podpis? – Wskazała na zdjęcie. – Ten z Burgos wyszedł z domu i powiesił się na drzewie. Tu ma pan podpis. Ten z Logroño zabił się w więzieniu, a oto podpis. Quiralte w więzieniu, natychmiast po tym, jak wskazał miejsce ukrycia ciała Lucii Aguirre. Podpis...

– Medina też w więzieniu i też się podpisał – podkreślił Padua, przyglądając się dokumentacji.

– Tak, ale czekał z tym rok.

– Może to kwestia charakteru. Może był trochę... niezdecydowany?

– Doprawdy, nie sędzę. Gdyby został skaptowany, podobnie jak inni zabójcy, zabiłby się też od razu, tak jak oni. A sposób, w jaki popełnił samobójstwo, wskazuje na to, że był zdecydowany. Człowieka, który jest tak zdeterminowany, że podrzyna sobie gardło, nie nazwałabym niezdecydowanym.

– Do czego pani zmierza? Rękę Johany znaleziono w Arri

Zahar, razem z innymi...

– Tak, to nie ulega wątpliwości. Jesteśmy niemal pewni, że wszystkie znalezione tam ręce odcięto tym samym narzędziem.

– A więc?

– Nie wiem. – Rozejrzała się w zamyśleniu. – To pan przesłuchiwał Medinę. Sądzi pan, że kłamał?

– Nie. Uważam, że sukinsyn mówił prawdę.

Amaia pamiętała, że płakał bez ustanku, pozwalając, żeby łzy i smarki spływały mu po twarzy. Naprawdę żaloszny spektakl. Przyznał się, że zgwałcił pasierbicę, udusił ją własnymi rękami i znów zgwałcił po śmierci. Ale kiedy go zapytali, dlaczego odciął trupowi rękę, był zdumiony. Nie miał pojęcia, jak do tego doszło. Popęłił zbrodnię pod wpływem impulsu i dopiero potem wrócił do domu, żeby zabrać sznur, zawiązać go na szyi dziewczynki i spróbować upozorować zbrodnię basajauna, o którym przeczytał w prasie. Kiedy wrócił do szopy, Johana już nie miała ręki.

– Pamięta pan, co powiedział? Że czuł się tak, jakby ktoś tam był.

– Sądził, że ktoś go obserwuje. Pomyślał nawet, że to duch Johany krąży wokół niego – wyjaśnił Padua Iriartemu.

– Zawiązał sznur na szyi Johany i wrócił do domu, i czekał, aż jego żona przyjdzie z pracy. Zamierzał udawać, że wszystko jest jak zwykle. Spytałem, dlaczego odciął jej rękę i czy chodziło mu o to, żeby utrudnić identyfikację. Było oczywiste, że coś takiego nigdy nie przyszło mu do głowy. Myślał, że rękę odgryzło jej jakieś zwierzę.

– Facet był idiotą. Jaki to by musiał być ogromny drapieznik, żeby tak wyrwać całą rękę za jednym zamachem.

– To nieważne. Ważne, dlaczego o czymś takim pomyślał. Mianowicie kikut był naderwany, brakowało kawałka ciała, i nawet taki debil jak on uznał, że ten ubytek to ślad po ugryzieniu.

– To prawda, tkanki wyglądały na nadgryzione – zgodził się Padua.

– I to także jedyny taki przypadek. W żadnym innym nie stwierdziliśmy, żeby ciała nosiły ślady rozszarpywania zębami,

a już na pewno nie ludzkimi. Jest jeszcze sprawa tej szopy. Nie stoi tuż przy drodze. Żeby tu dotrzeć, trzeba wiedzieć, że tu jest. Znają ją myśliwi, pasterze, dzieci, które znalazły ciało Johany, ludzie z okolicy.

– Tak, to prawda. Zresztą Medina znał ją dlatego, że przez jakiś czas był pasterzem.

– Był luty, jak teraz, a w ubiegłym roku też sporo padało.

– No cóż, sędzę, że w tym roku pobijemy rekordy, ale zgadzam się, było deszczowo i górskie ścieżki pokrywało błoto. Tutaj mógł dotrzeć jedynie ktoś, kto dobrze znał to miejsce.

– A więc albo *tarttalo* znalazł się tu przypadkiem i natknął na Medinę, albo szedł jego śladem. Ja stawiam na tę drugą możliwość. Niewykluczone, że go śledził.

– Myśli pani, że jeszcze się nie znali?

– Myślę, że *tarttalo* znał Medinę. Wątpię za to, żeby w tamtej chwili już miał nad nim władzę. Ogólnie z tym facetem nie miał łatwo, bo całe jego zachowanie wykracza poza profil innych sprawców.

Do rozmowy włączył się Iriarte:

– Sądzi pani, że najpierw poznał Medinę, a potem dopiero przejął nad nim władzę?

Amaia podniosła palec i powiedziała:

– I tu właśnie mamy rozbieżność. Sędzę, że Jasón Medina popełnił zbrodnię powodowany lubieżnością. Postąpił lekkomyślnie i bez planu. Dowodzi tego to, że musiał wrócić do domu po sznur, żeby spróbować zwalić to zabójstwo na basajauna. Po prostu wykorzystał okazję. Zeznał, że dziewczynka towarzyszyła mu w drodze do myjni samochodowej i w połowie drogi poczuł, że chce ją zgwałcić. Nie przemyślał, ani czy to dobra okazja, ani czy to stosowne, ani jakie będą konsekwencje. Wcielił ten pomysł w życie, wiedziony pożądaniem. Dopiero kiedy odzyskał zdolność myślenia, już po wszystkim, zaczął kombinować: przywiózł ją tutaj, wrócił do domu po sznur, a potem usiłował przekonać żonę, że dziewczynka uciekła z domu. Kilka dni po zabójstwie, wykorzystując nieobecność żony w domu, schował ubrania, pieniądze i dokumenty Johany, i twierdził, że wróciła po swoje

rzeczy. To wszystko wymyślił *post factum*, początkowo nie miał żadnego planu.

– Otóż to. I tu powstaje pytanie...

– Jeśli działał bez planu, jeśli zabójstwo Johany nie zostało zaplanowane, nie zostało z góry postanowione, jeśli zabił pod wpływem impulsu, to jak to możliwe, że *tarttalo* przyszedł po trofeum w odpowiednim momencie?

– Znał Medinę. Żeby móc zdobywać adeptów, musi być ekspertem od rozpoznawania potencjalnych zabójców, musi być specjalistą od profilowania przestępców. Z pewnością znał go już od jakiegoś czasu, ale Medina był nieprzewidywalny. Był tylko jeden sposób na to, żeby *tarttalo* mógł się znaleźć w tym samym miejscu i czasie co on.

– Śledził go.

– Śledził go z bliska.

– To nie takie proste śledzić kogoś w Baztán tak, żeby się nie wydało – powiedział Iriarte.

– Chyba że tu pasujesz, że jesteś częścią pejzażu, że jesteś stąd.

Amaia już od dwudziestu minut stała przy oknie. Można by sądzić, że patrzy w dal, ale ulewa była tak gęsta, że ograniczała widoczność do kilku metrów. Jej wzrok sięgał tylko do szosy, po której strumieniami spływała woda. Na podjeździe zatrzymał się jakiś samochód. Amaia zauważyła, że nie podjechał pod wystający z bryły budynku nawis pierwszego piętra, gdzie zazwyczaj zostawiali samochody ludzie, którzy zgłaszali się do dyżurki, od frontu. Kierowca nie wysiadł, a wycieraczki nadal pracowały. Amaia dostrzegła, że do samochodu podchodzi umundurowany policjant, pyta o coś, a po chwili z budynku wychodzi podinspektor Zabalza. Podszedł do samochodu, gniewnym ruchem otworzył drzwi od strony kierowcy i przez jakąś minutę trwała dyskusja. Zabalza gestykulował gorączkowo. Potem zatrzasnął drzwi i wrócił do budynku. Samochód stał następnych kilka minut, po czym ruszył, zawrócił i odjechał.

Komisariat pogrążył się w ciszy. Większość funkcjonariuszy skończyła dniówkę i poszła do domu, i chociaż na parterze praca nigdy nie ustawała, na piętrze została tylko ona, podinspektor Zabalza dwa pokoje dalej i szumiący automat do kawy na korytarzu. Po wizycie w szopie i rozmowie z Paduą i Iriartem czuła jeszcze wyraźniej, że coś jest nie w porządku, że coś jej umyka. Coś, co miało związek ze śmiercią Johany, coś, co ta śmierć uwidoczniała. Czuła to coraz wyraźniej, ale nie była w stanie sobie uzmysłowić, co to jest. Miała tylko niejasne wrażenie, że to coś obscenicznego, nieprzyzwoitego.

Johana Márquez była niepasującą nutą w zbrodniczej kompozycji, którą tworzył podżegacz. Nie chodziło tylko o zboczone i trudne do przewidzenia zachowanie Jasóna Mediny. Podżegacz go znał i Amaia była pewna, że od pierwszej chwili uznał go za dobrego kandydata na wykonawcę. Ale Medina był nieprzewidywalny. Zboczeńcy seksualni zawsze są

nieprzewidywalni, działają impulsywnie, pod wpływem pożądania, nie są w stanie się pohamować.

Podżegacz był ekspertem w dziedzinie ludzkich zachowań. Musiał zdawać sobie z tego sprawę.

Więc dlaczego zaryzykował? Dlaczego od razu nie odrzucił jego kandydatury? Medina nie miał odpowiedniej osobowości. Jego grzechem głównym nie była złość, ale nieczystość, a jego potencjalna ofiara nie urodziła się w dolinie, tylko w niej mieszkała.

Amaia była całkowicie pewna, że ta rozbieżność coś znaczy, że to nie przypadek. Mogła być kluczem do postępowania podżegacza i poznania jego tożsamości. Dlaczego wybrał Medinę? Była niemal całkowicie pewna dlaczego: *tarttalo* kierował się chciwością, niepohamowanym pragnieniem posiadania. Bezgraniczne pragnienie wejścia w posiadanie tego, czego się pożąda, w pewnym momencie niechybnie przekształca się w dążenie do przywłaszczenia sobie tego, pozbawienia właściciela jego własności. U Dantego cierpią ci, którzy nad miłość do własnych dóbr przedkładają pragnienie pozbawienia innych tych, które do nich należą. Zazdrośnikom zaszywa się oczy, żeby raz na zawsze pozbawić ich możliwości rzucania złych spojrzeń.

Teraz już była tak samo pewna tego, że podżegacz znał Johanę, jak tego, że nie znał innych ofiar. Zobaczył małą słodką Johanę i potwora, który miał ją skrzywdzić, i dlatego przestał przestrzegać reguł, które sam stworzył. Pożądał jej, pożądał jej słodyczy, jej delikatności, i pragnienie zaspokojenia tego pożądania sprawiło, że zbliżył się do osobnika nieprzewidywalnego, który mógł wybuchnąć w każdej chwili. Więc trzymał się blisko, bardzo blisko niego, i czekał na ten moment, na chwilę, kiedy będzie mógł dostać to, na czym mu zależało, swoje trofeum.

Amaia opuściła swoje miejsce przy oknie, złapała torebkę, podeszła do tablicy i napisała: „*Tarttalo* znał Johanę”. A potem wyszła.

Przechodząc obok pokoju Zabalzy, wpadła na pomysł, żeby się zatrzymać i odesłać go do domu. Było już późno i można się

było spodziewać, że tak czy owak sprawdzanie powtarzających się nazwisk na listach potrwa jeszcze kilka dni. Ale kiedy kładła rękę na klamce, usłyszała, że Zabalza rozmawia z kimś przez telefon. Mówił, jakby chodziło o coś, co było poufne, i co chwilę przytakiwał. Domyśliła się natychmiast, co to za rozmowa. Nie raz żartowali sobie z Jamesem z nieco dziecięcego i sugestywnego tonu, jakim czasem mówiła, kiedy ze sobą rozmawiali. „Mówisz do mnie, jakbyś się pieściła”, mówił James, a ona wiedziała, że to prawda.

Podinspektor Zabalza używał właśnie męskiej wersji tego tonu, zarezerwowanego dla kochanków. Minęła drzwi jego pokoju i kątem oka dostrzegła, że stoi przy oknie z komórką w ręku. Stał tyłem do niej, ale nawet jego plecy wyglądały tak, jakby był przyjemnie zrelaksowany. To było niezwykle u człowieka, który zawsze wydawał się spięty. Czekaając na windę, usłyszała, że się śmieje, i pomyślała, że nigdy przedtem nie słyszała jego śmiechu.

Przy drzwiach aż się cofnęła, zniechęcona ulewą. Dyżurny popatrzył na nią ze współczuciem.

– Mówią, że Baztán dzisiaj wyleje.

– To by mnie nie zdziwiło – odpowiedziała i włożyła kaptur.

– Kto przyjechał do Zabalzy?

– Jego narzeczona – odparł policjant. – Powiedziałem jej, żeby weszła i zaczekała, ale nie chciała. Prosiła tylko, żebym go zawołał. – Wzruszył ramionami.

Zjechała w dół i na zakręcie zobaczyła ten sam samochód, co wcześniej przez okno. Stał na poboczu, w zaroślach. Przejeżdżając obok, dostrzegła, że w środku siedzi młoda kobieta. Wpatrywała się uważnie w komisariat. Było oczywiste, że to nie z nią rozmawiał jej narzeczony.

Przed powrotem do domu zajechała do Juanitaenei. Włożyła kalosze, które kiedyś zostawiła przy wejściu, i wzięła parasol, po czym obeszła dom. Patrzyła, jak kopczyki i dołki zamieniają się w gładką warstwę błota, wyrównane ogromną ilością wody, która spadła w ostatnich godzinach. Ziemia nigdzie nie była na nowo rozkopana. Wróciła do samochodu i już ze środka popatrzyła na warzywnik, wspominając wrogie spojrzenie

starego człowieka, który krył się za krzakami.

Wesoła gromadka hałasowała tak głośno, że było ją słyszeć już przed domem.

– Dziewczyny, co wy tutaj wyrabiacie? Sąsiedzi poskarżyli się policji, że robicie straszny raban – zażartowała, wchodząc do salonu.

– Twoja bratanica przyszła nas zatrzymać, Engrasi – zaśmiała się Josepa.

– Lepiej, żeby nam przysłała jednego z tych przystojnych młodzieńców, którzy pilnują porządku na drogach.

– Oj, ty szelmo! – Engrasi udawała, że jest oburzona. – To już wiem, dlaczego zaczynasz jechać wężykiem, kiedy widzisz patrol. Chcesz, żeby cię zatrzymali, niedobra dziewczyno!

Amaia przyglądała się starym kobietom. Śmiały się i żartowały jak rozpuszczone nastolatki. Pomyślała, że ich spotkania są podobne do tych, na jakich przez setki lat gromadziły się kobiety z Baztán w *caserío*. Spędzały wieczory, szyjąc wyprawę ślubną albo wyprawkę do chrztu. To o takich kobiecych zebraniach pisał José Miguel de Barandiarán. *Etxeko andreak*, panie domu, wymieniały przepisy na potrawy, porady dotyczące prowadzenia gospodarstwa, odmawiały różaniec albo opowiadały historie o czarownicach, które, jak się wydawało, od zawsze krążyły po dolinie. Co młodsze i bardziej naiwne uczestniczki musiały potem wracać do własnego *caserío*, niekiedy odległego o dobrych kilka kilometrów, umierając ze strachu. Podobnie też musiały wyglądać spotkania, na które chodziły jej matka i Elena. No, przynajmniej na początku. Przypomniała sobie, co Elena mówiła o ofiarowaniu, i spochmurniała.

James zszedł na dół z Ibaiem. Widząc żonę, przełożył dziecko na jedną rękę. Drugą wyciągnął do niej i objął ją mocno.

– Hej, kochanie – szepnęła. – Hej, moje maleństwo. – Wzięła synka na ręce, nadal tuląc się do Jamesa. – Jak spędziliście dzień?

Pocałował ją i dopiero potem odpowiedział:

– Rano byłem w pracowni, w Pampelunie. Przygotowywałem wysyłkę i uzgadniałem wszystko z facetami z firmy

transportowej. Już wszystko gotowe.

– Och, tak! Oczywiście!

Następnego dnia dzieła Jamesa miały pojechać do Muzeum Guggenheima, a ona o tym zapomniała.

– Pamiętałaś o tym, prawda? – spytał ze złośliwym uśmiechem.

– Tak, tak, oczywiście. Ciociu, zajmiesz się jutro Ibaiem? Czy mamy go zabrać?

– Nie ma mowy, zostawicie go tutaj. Twoja siostra już rozmawiała z Ernestem. Zajmie się wszystkim w wytwórni, więc ona będzie mogła zostać w domu i mi pomóc. A wy jedźcie do Bilbao i bawcie się dobrze.

Amaia w myślach przejrzała rozmowy telefoniczne, które jeszcze będzie musiała wykonać, żeby rano wszystko było w porządku. Sprawy toczyły się swoim biegiem, więc przypuszczała, że nic takiego się nie stanie, jeśli na jeden dzień wyjedzie z miasta. Popatrzyła na zegarek i uniosła Ibaia do góry, na wysokość swojej twarzy. Chciała go rozbawić.

– Pora na kąpiel, *ttikitto*.

Nuria miała na sobie niebieską sukienkę i żakiet w tym samym kolorze. Wełnianą czapkę zastąpiła szeroką opaską. Na jej krótkich włosach wyglądała jak diadem. Nie miała makijażu, ale Jonan zauważył, że pomalowała sobie paznokcie ciemnym lakierem. Otworzyła drzwi, gdy tylko weszli na ścieżkę wiodącą do domu. Przywitała ich nieśmiałym uśmiechem. Nie schodził jej z twarzy, gdy towarzyszyła im do salonu i proponowała kawę. Obydwaj postanowili skorzystać, a inspektor Montes wypytał ją, jak to było i czy nie przypomniła sobie jeszcze czegoś, co mogłoby być istotne. Powtórzyła w zasadzie to samo, co poprzedniego dnia, ale tym razem w sposobie, w jaki mówiła, wyczuwało się siłę. Opowiadała o tym, co się stało, tak jakby się to przydarzyło komuś innemu, jakiejś innej kobiecie, a Jonan pomyślał, że w gruncie rzeczy tak właśnie było. Kiedy Montes wypytywał ją, czy Antonio Garrido może znać okolicę, Jonan wpatrywał się w drzwi. Dziura po kuli została zasłonięta kartką z kalendarza z bukietem kwiatów, a spoza niej wyglądały zakrzepłe krwawe ślady rozprysku. Robiło to dziwne wrażenie. Nowiutka dwulufowa strzelba stała oparta o parapet.

– Powinna pani trzymać ją pod kluczem – ostrzegł ją regulaminowo Montes, zanim wyszli.

– Tak. Właśnie miałam ją schować, kiedy przyszliście.

– Akurat... – Montes nie miał złudzeń.

Kiedy opuszczali jej dom, lało jak z cebra.

– Co pan o tym myśli? – spytał Jonan, gdy doszli do furtki.

– Myślę, że facet zdecydowanie powinien się zająć czymś innym i nie przychodzić tutaj, bo jeśli się zjawi, to żona odstrzeli mu łeb i... no cóż... O jednego sukinsyna mniej.

Jonan też tak uważał. Dostrzegł zmiany w zachowaniu Nurii, w jej ubraniu. Zasłony w salonie nadal były rozsunięte, żeby mogła zobaczyć każdego, kto by się zbliżał. Zmieniła trochę ustawienie mebli, miała pod ręką ekspres do kawy, herbatniki

i broń. Niewykluczone, że spała na kanapie, żeby mieć wszystko pod kontrolą. Zamiast ogromnego swetra włożyła suknię, bez wstydu pokazywała swoje krótkie włosy i ozdobiła je tą błyszczącą opaską. Ślad po kuli zasłoniła kiczowatym obrazkiem i pomalowała paznokcie. Została strzelcem wyborowym z prawdziwego zdarzenia.

Jonan z podziwem pokręcił głową. Trzymał w ręce parasol, który, niestety, na niewiele się przydawał. Deszcz przemoczył materiał i większość wody spływała mu po kiju na dłoń, a stamtąd do rękawa. Reszta rozpryskiwała mu się na twarzy. Szli pieszo do śródmieścia zalanymi wodą ulicami. Było oczywiste, że kratki odpływowe nie dają sobie rady. Krople deszczu mocno uderzały o powierzchnię wody i odbijały się dość wysoko. Wyglądało to tak, jakby deszcz padał z dołu do góry. Jonan pomyślał, że nie ma na świecie parasola, który w tych warunkach mógłby ochronić przed kompletnym zamoczeniem.

Na ulicy Pedra Axulara, jakby przyciągani przez magnes, podeszli do barierki, za którą płynęła rzeka. Na zakręcie woda sięgała niemal brzegu promenady.

– Mieli rację ci od prognozy pogody. Jeśli dalej będzie tak padać, za pół godziny rzeka wyleje.

– I nic nie można zrobić?

– Przygotować się na to. – Jonan nie był nastawiony zbyt optymistycznie.

– I co? Zaleje całe miasto?

– Nie. Na przykład tam, gdzie mieszka ciotka pani inspektor, nigdy nie ma powodzi. Tylko tutaj. Rzeka tu zakręca, woda się zbiera, a zapora Txokoto nie pomaga.

– Ale chyba jest potrzebna?

– Już nie. Została zbudowana, żeby produkować energię elektryczną, jak większość budowli hydrotechnicznych. Jeden z budynków na drugim końcu ulicy Jaimego Urrutii, naprzeciwko *gorapes*, to stary młyn wodny przebudowany w XIX wieku, a w połowie XX zamieniony w elektrownię. Stąd widać, że po drugiej stronie jazu jest zalew dla ryb. Od dłuższego czasu mówi się o rozebraniu zapory i uwolnieniu

biegu rzeki, ale mieszkańcy Elizondo nie chcą nawet o tym słyszeć.

– Dlaczego?

– Bo przyzwyczaili się do zapory, do jej widoku, do szumu wody. Turyści robią sobie zdjęcia na moście...

– Ale jeśli sprawia takie problemy...

– Nie aż takie, najwyżej raz na rok. Niekiedy całymi latami nie ma powodzi. Zapora Txokoto to jedna z tych rzeczy, do których ludzie z jakiegoś powodu są przywiązani.

Montes rzucił okiem na przybierającą rzekę.

– Dziwacy, ci z Elizondo – powiedział.

Szli teraz ulicą Jaimego Urrutii. Jonan opowiadał dalej:

– Przed laty doszło do wielkiej powodzi. Nie wiem, czy gdyby nie było zapory, byłoby lepiej. Proszę spojrzeć. – Wskazał na jeden z domów. – Na tej tablicy pokazano, dokąd sięgała woda. To dom Serory. Kiedyś była gospodynią księdza, a stary kościół stał tutaj. – Machnął ręką w stronę placu, na którym stała tylko fontanna. – Zmiotła go woda.

– I mówi pan, że przywiązanie przeważa nad innymi względami?

– Przy okazji tamtej powodzi bieg rzeki został wstrzymany daleko, w górze. Powstała tama z drzew i kamieni, a kiedy została przerwana, woda runęła w dół z taką siłą, że zmiotła wszystko, co miała na drodze. Nie sądzę, żeby jaz miał tu coś do rzeczy, to raczej ten zakręt na rzece sprawia problemy. Woda właśnie tutaj wylewa.

Montes zauważył, że większość drzwi do sklepów została pozabijana deskami i uszczelniona pianką poliuretanową. Niektórzy sklepikarze ułożyli przy drzwiach worki z piaskiem. Wyraźnie przygotowywali się do powodzi. Ale wejścia do niektórych domów z tej strony ulicy, która przylegała do rzeki, nie były zabezpieczone.

– Jaka szkoda, że nikt nie dba o te budynki – powiedział Montes.

– Niektóre są niezamieszkałe. Tak, to wielka szkoda, bo to budynki o wielkiej wartości historycznej. Ten dom na przykład – wskazał na zmurszały budynek – to zabytek. Nazywa się

Hospitalenea. Przez wieki był szpitalem dla pielgrzymów, czymś w rodzaju przytułka. Służył zwłaszcza tym, którzy wędrowali szlakiem Santiago i docierali tutaj ledwo żywi. Przejście przez Pireneje było ciężką próbą. Wielu jej nie przetrzymywało.

Montes spojrział w górę. Zamknięte okiennice przybrały szarawy kolor, charakterystyczny dla bardzo starego drewna. Balkon biegnący wzdłuż ostatniego piętra wydawał się ledwie trzymać fasady. Zwiślał na trzech podporach. Na balkonach na pierwszym piętrze był jakiś napis, nieczytelny z powodu deszczu.

– Co tam jest napisane?

– Nazwa i data, kiedy budynek został kupiony i odnowiony. Chyba 1811 rok.

Ruszyli dalej, ale Montes nagle zatrzymał się i wręczył parasol Jonanowi.

– Proszę tu poczekać – powiedział i zawrócił po własnych śladach.

Podinspektor został na środku ulicy. Trzymał parasol i śledził wzrokiem Montesa, który wkrótce zniknął mu z oczu za pałacem Arizkunenea.

Montes wrócił na zakręt, tam skąd patrzyli na rzekę. Deszcz zmatowił jej powierzchnię i światła tańczyły na wodzie jak ruchome plamy. Położył obie ręce na barierce i w myśli policzył fasady domów wychodzące na rzekę. Deszcz lał strumieniami. Montes czuł, że ubranie i włosy ma całkiem przemoczone. Woda spływała mu po twarzy, więc niewiele widział. Zrobił z dłoni daszek, policzył raz jeszcze i znowu to zobaczył. Wątry blask, chwiejne światełko świecy w oknie bez okiennic. Potem przez pokój przemknął bezkształtny cień i światło zgasło. W tej samej chwili poczuł, że woda zalewa mu buty. Spostrzegł, że przelała się przez obmurowanie i jak mały przypływ płynie w dół ulicy. Wyciągnął pistolet i zaczął biec w kierunku rogu pałacu Arizkunenea i miejsca, gdzie stał Jonan.

Jonan rozejrzał się zdezorientowany po opustoszałej ulicy.

– Co pan wyprawia?

Montes, dysząc ciężko, pociągnął go do drzwi pustego domu.

- Tu się ukrył. Powiedziałeś, że jak się nazywa ten dom?
- Hospitalenea. – Jonan pojął, co Montes ma na myśli.
- Dawny szpital. Zabiorę cię do szpitala, tak do niej powiedział.
- Masz pistolet?
- Oczywiście – odparł Jonan, rzucając na ziemię parasol i wyciągając glocka i latarkę.
- Sądziłem, że wy, archeolodzy, nie rozstajecie się tylko ze szpachelką i szczotką – zażartował Montes.
- Zadzwońię po posiłki.

Montes położył mu dłoń na ramieniu.

– Nie możemy czekać, Jonanie. Jeśli ma się na baczności, a z pewnością tak jest, już nas zauważył, kiedy staliśmy przed budynkiem. Sądzę, że zapalił świeczkę, a kiedy mnie zobaczył, zgasił ją. Jeśli będziemy czekać na posiłki, znajdziemy go martwego, a najważniejsze teraz jest to, żebyśmy mogli go przesłuchać. Jest na górze, pierwsze drzwi po lewej.

Złapał za zardzewiałą klamkę i stwierdził:

– Zamknięte na klucz. Na trzy wchodzimy. Raz, dwa.

Ramieniem napał z rozpędu na drzwi i napęczniałe od wilgoci drewno ustąpiło, zostawiając dwudziestocentymetrową szparę, a potem drzwi się zacięły. Montes wsadził rękę w szparę, popchnął i powiększył ją nieco, tak że mógł się precisnąć. Etxaide poszedł jego śladem. Wbiegali po schodach, kiedy usłyszeli głośny trzask drewna. Poręcz zatrzęsła się jak poruszona trzęsieniem ziemi i coś wielkiego z łomotem spadło w dół klatki schodowej. Wycelowali tam latarki.

– A to skurwysyn! – wrzasnął Montes, zbiegając w dół.
– Powiesił się!

Dobiegł i złapał mężczyznę za nogi, usiłując go podnieść, żeby osłabić nacisk sznura na szyję.

– Na górę, Etxaide, przetnij sznur, przetnij sznur!

Jonan wbiegał po schodach po dwa stopnie naraz. Starał się oświetlać miejsce, z którego zwiślał sznur. Okazało się, że został zawiązany na poręczy. To ona nadłamała się i głośno trzasnęła, gdy wchodzili. Sznur był bardzo gruby. To dobrze, cieńszym ten kretyn byłby sobie poderznął gardło. Była jeszcze szansa, że choć odciął sobie dopływ tlenu, nie zmiażdżył krtani ani nie

zrobił sobie większej krzywdy. Usłyszał wrzask Montesa z dołu, wsadził pistolet za pas i rozglądając się, pomyślał, że to na nic, że w ciemnościach nie znajdzie nic, czym mógłby przeciąć sznur. Usiłował rozwiązać supeł, wsadzając palce między poręcz i linkę, ale uniemożliwił mu to ciężar zwisającego ciała. Znów się rozejrzył w panice. Na parterze Montes ryczał jak opętany:

– Przecinaj! Przecinaj, do kurwy nędzy!

Wyciągnął broń, przyłożył do sznura i wystrzelił. Sznur, nagle uwolniony, podskoczył jak wąż i opadł w dół. Jonan zbiegł po schodach i zobaczył, że Montes, pochylony nad mężczyzną, usiłuje go uwolnić z pętli, a potem w tryumfalnym geście podnosi linkę do góry.

– Żyje, palant głupi.

Jakby chcąc potwierdzić jego słowa, facet zaczął się krztusić i jęczeć. Zwinięty w kłębek, wydawał nieprzyjemne, przerywane odgłosy.

– Co, do cholery ciężkiej, robiłeś tam na górze? To trwało całą wieczność! – Montes rozłożył bezradnie ręce i z obrzydzeniem wskazał na swoje ubranie. – Lepiej ty zadzwoń, gdzie trzeba. Bo ten nieszczęsny skurwysyn się na mnie zeszczał.

Telefon zadzwonił, kiedy siadali do kolacji.

– Szefowo, mamy Garridę. Ukrywał się w dawnym szpitalu dla pielgrzymów. Powiesił się, ale w tym samym momencie wtargnęliśmy do budynku i Montes go uratował. Żyje, ale kiepsko z nim. Już powiadomiłem pogotowie.

Przez umysł Amai przeleciał obraz Freddy'ego, zaintubowanego i unieruchomionego na szpitalnym łóżku. Dokładnie rok temu.

– Jadę do was. Jeśli karetka przyjedzie wcześniej niż ja, nie zostawiajcie go samego nawet na sekundę, nie pozwalajcie, żeby ktoś do niego podchodził ani żeby z kimś rozmawiał. I niech ani przez chwilę nie będzie sam – poleciała i rozłączyła się.

Może to z powodu ulewnego deszczu izba przyjęć w szpitalu Virgen del Camino była pusta jak nigdy. Wydawało się, że wszyscy, którzy mogli, postanowili odłożyć wizytę u lekarza na

lepsze czasy i tylko kilka osób siedziało na krzeselkach przed gabinetami.

Amaia i Iriarte podeszli do okienka i pokazali recepcjoniście odznaki.

– Antonio Garrido, przywieziony karetką z Baztán.

– Gabinet numer trzy. Trwa badanie. Możecie poczekać tutaj.

Poszli korytarzem prowadzącym do gabinetów i zanim jeszcze znaleźli właściwy, spotkali Jonana.

– Wszystko w porządku. Jest z nim Montes.

– Jak się czuje?

– Przytomny, może samodzielnie oddychać. Ma dość paskudną ranę od otarcia na szyi i nie może mówić. Przypuszczam, że zgniółł sobie tchawicę, ale nie umrze. Może ruszać nogami. Zresztą nie przestawał wierzczać, kiedy Montes go podtrzymywał, i potem, kiedy już leżał na podłodze.

– Co mu robią?

– Tuż po przywiezieniu zrobili mu prześwietlenia, a teraz badają go lekarze.

Drzwi się otworzyły i na korytarz wyszło dwoje lekarzy, a za nimi pielęgniarka.

– Nie możecie wejść – powiedziała, kiedy ich zobaczyła.

– Policja Statutowa – przedstawiła się Amaia. – Konwojujemy zatrzymanego, Antonia Garridę. Jak on się czuje?

Lekarze zatrzymali się koło niej.

– Żyje, i to cud prawdziwy. Zawdzięcza życie pani koledze. Gdyby nie to, że udało mu się osłabić nacisk na tchawicę, facet by się udusił. Naprawdę miał sporo szczęścia. Nie skoczył ze zbyt wysoka, poręcz trochę ustąpiła, a sznur był gruby i to utrzymało jego kręgi szyjne na swoim miejscu, chociaż, jak stwierdziłem, obrażenia tchawicy są znaczne.

– Może mówić?

– Z trudem, ale wystarczająco dobrze, żeby poprosić, żeby go wypisano ze szpitala. Tak więc...

– Że co?! Poprosił, żebyście go wypisali?

– Pielęgniarka właśnie szykuje papiery do podpisu – stwierdził lekarz z pewnym zażenowaniem. – Proszę pani, ostrzeżliśmy go, że doznał poważnego urazu i że choć teraz czuje się nieźle,

może mu się pogorszyć w ciągu następnej doby. Jest tego świadom, zrozumiał wszystko, poprosił o środki przeciwbólowe i żebyśmy go wypisali. Założyłem mu kołnierz ortopedyczny i opatrzyliśmy szczątki małżowiny usznej. W naszej opinii potrzebuje zabiegu chirurgicznego, ale powiedział, że nie chce o tym słyszeć, więc jak tylko podpisze papiery, oddam go w pani ręce.

Amaia popatrzyła niepewnie na Iriartego.

– Co ten facet kombinuje?

Iriarte pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia.

– Zadzwońę po sędziego. Zabieramy go do centrali.

Pokój przesłuchania w komisariacie w Pampelunie był identyczny z tym w Elizondo. Ściana z lustrem weneckim, stół, cztery krzesła i kamera na suficie. Drzwi strzegł policjant w mundurze.

Obserwowali Garridę z sąsiedniego pokoju, przez lustro. Wokół oczu miał czerwone wylewy, a jego twarz wydawała się opuchnięta. Na szyi miał kołnierz ortopedyczny, bok głowy z resztkami ucha zasłaniał imponujący opatrunek. Skórę miał wysmarowaną tłustą maścią. Pokrywała małe białawe oparzenia od prochu po tej stronie, gdzie dostał kulę. Jak na to wszystko niezłe się trzymał. Siedział spokojnie, ze wzrokiem wbitym w stół, i zabawiał się butelką wody i tubką musujących tabletek przeciwbólowych, które dostał w szpitalu. Jeśli nawet coś go bolało albo czuł się niedobrze, nie dawał tego po sobie poznać. Wyglądał na kogoś, kto czeka cierpliwie na to, co będzie, ze świadomością, że cokolwiek by zrobił, czas nie będzie biegł szybciej.

Montes i Iriarte weszli do pokoju. Iriarte usiadł naprzeciwko Garridy i zaczął się wpatrywać w jego twarz. Montes stał. Po Garridzie nie było widać, by zauważył, że coś się wokół niego zmieniło.

– Antonio Garrido, prawda? – spytał Iriarte.

Facet spojrzał na niego.

– Która godzina?

– Nazywa się pan Antonio Garrido?

– Wie pan, że tak – odparł ochryplym głosem. – Która godzina?

– Po co to panu?

– Muszę wziąć lekarstwo.

– Jest szósta rano.

Twarz Garridy wykrzywił grymas. Chyba miał być uśmiechem.

– Traciecie czas.

– Ach tak? Dlaczego?

– Bo będę mówił tylko z waszą policyjną gwiazdą – powiedział i zarechotał głupawo.

Za szybko Amaia popatrzyła na Jonana i sapnęła z irytacją. To było jak déjà vu, jak kopia przesłuchania Quiraltego. Było oczywiste, że obu poddano tej samej tresurze.

– Nie wiem, o kim pan mówi – odparł Iriarte.

– O niej – okaleczoną dłonią wskazał na lustro.

– Będzie pan rozmawiał z inspektorem Salazar?

– Tak, ale nie teraz. Później.

– Kiedy?

– Później, ale tylko z nią, z policyjną gwiazdą. – Znów zaśmiał się idiotycznie.

Wtrącił się Montes:

– Uspokój się, bo dam ci w mordę i wybiję wszystkie zęby. Odechce ci się śmichów-chichów.

– Nie dasz mi w mordę, bo jesteś moim cholernym aniołem stróżem. Ocaliłeś mi życie, więc teraz jesteś za mnie odpowiedzialny, wiesz?

Montesa to rozbawiło.

– A więc jestem za ciebie odpowiedzialny, bo nie pozwoliłem ci zdechnąć? Nędzny szurze, chciałeś się zabić, zanim skończyłeś, co miałeś skończyć? Twój pan z pewnością nie jest zadowolony z twoich usług.

Mięśnie Garrida napięły się pod koszulą.

– Służyłem mu wiernie – szepnął.

– No przecież, zapomniałem. Posługując się biednym chłopcem, żeby po nocach rozwałkał kościół.

Garrido wpatrzył się w lustro i Amaia zrozumiała, że patrzył na nią.

– Maltretowanym dzieciakiem. Powinieneś się wstydić.

– Proszę mi wierzyć, to mu się podobało. Nigdy niczego większego nie dokona. Nie ma jaj, żeby zrobić to, co powinien.

– A co według ciebie powinien zrobić?

– Zabić swojego ojca.

Amaia wyciągnęła komórkę i zadzwoniła.

– Zabalza, pojedź wozem patrolowym do domu Beñata Zaldúy i zabierz chłopaka. Garrido właśnie powiedział, że powinien zabić ojca, ale jeszcze się nie odważył. Nie daj Bóg, żeby się zebrał w sobie.

– Dziękuję – odparł Zabalza.

Ta odpowiedź wydała jej się dziwna, ale Zabalza zawsze był specyficznym facetem. Montes dalej prowadził przesłuchanie.

– No tak, bojaźliwe dzieciaki i bezbronne kobiety. Jesteś mistrzem, chłopie, albo raczej byłeś, bo do dupy ci poszło, nie da się ukryć. Nie udało ci się zastraszyć chłopaka. Natychmiast cię wydał, jak tylko trochę go przycisnęliśmy, ale to, co się stało z twoją żoną, to już szczyt szczytów! Cudnie cię urządziła!

– Zamknij się – warknął Garrido.

Montes uśmiechnął się i stanął za jego plecami.

– Widziałem ją, wiesz? Ładniutka, chociaż trochę mizerna. Nie wiem, czy waży choć ze czterdzieści pięć kilo. I to chucherko odstrzeliło ci ucho! Odstrzeliłaby ci też jaja, gdyby miała okazję. Dostałeś za swoje, to pewne.

Z gardła Garrida wydobył się ochryply charkot i Amaia była pewna, że rzuci się na Montesa, ale w tym samym momencie zaczął się rytmicznie kołysać do przodu i do tyłu i mrużyć jakąś beładną litanię. Powtórzył to kilkanaście razy i przestał. Znowu się uśmiechał.

– Później będę mówił.

Montes dał Iriartemu znak, żeby podszedł, i ruszyli do wyjścia. Zanim Montes zamknął za sobą drzwi, Garrido go przywołał:

– Inspektorze!

Montes się odwrócił.

– Przykro mi, że się na pana zeszczalem – zaśmiał się Garrido.

Montes zrobił taki ruch, jakby chciał wrócić, ale Iriarte wypchnął go za drzwi.

Kiedy Montes wszedł do pokoju, usiłowali ukryć rozbawienie.

– Udało się panu go rozjuszyć tym numerem z żoną – powiedział Jonan.

– No pewno. Cóż może ubóść faceta bardziej niż to, że kobieta go pobiła?

Amalia się uśmiechnęła. Wiedziała coś o tym.

– Ale to nie wystarczyło – ubolewał Montes.

– Na co on czeka? Jak pani sądzi, pani inspektor, czy pani coś powie? – spytał Iriarte.

– Nie wiem, ale to oczywiste, że na coś czeka. Sądzę, że usiłował się zabić, bo to właśnie miał zrobić, gdyby nam się udało go złapać, ale coś się zmieniło. Jak sam powiedział, dobrze służył swemu panu, dokonując profanacji, ale myślę, że to jest plan B.

– Plan B?

– Tak. Inne wyjście, jeśli z jakiegoś powodu – a tak się stało – nie udałoby mu się zrealizować pierwotnego planu. Jeśli *tarttalo* ryzykuje, że coś z niego wyciągniemy, to dlatego, że do czegoś jest mu jeszcze potrzebny.

– Moglibyśmy spróbować jeszcze raz – zaproponował Iriarte.

– Był taki moment, kiedy udało się panu sprawić, że stracił nad sobą kontrolę – powiedział do Montesa.

– Tak, ale wtedy zrobił coś bardzo dziwnego. Co on mamrotał, kiedy tak się kołysał?

– Słyszałem – powiedział Iriarte. – Mówił: ona jest nieważna.

– Szefowo, pozwól na chwilę – poprosił Montes, wychodząc z pokoju i ciągnąc Amalię w kąt korytarza. – To technika kontrolowania złości. To takie sztuczki, których uczą na terapii. Żeby kontrolować agresję. W więzieniach dają taki wybór tym bałwanom, którzy siedzą za przemoc. Terapia w zamian za skrócenie wyroku. Nic dziwnego, że te palanty się do tego garną. Ale prawda jest taka, że jeśli się nie jest do tego całkiem przekonany, w niczym to nie pomoże. Uczysz się tylko, jak się kontrolować, jak udawać, że jesteś normalny, ale tylko powierzchownie, dla ludzkich oczu. W głębi duszy zostajesz taki sam. To, co nie wychodzi na wierzch, zostaje w tobie i gnije, sprawia, że cały zaczynasz się rozkładać. Choć na to nie

wygląda, chodziłem na taką terapię, i zapewniam panią, że poczułem się jeszcze gorzej. Dlatego to rzuciłem. Pamiętam, że byłem już po sześciu sesjach, a i tak chciałem panią zabić.

Amaia spojrzała na niego zdziwiona, że jest taki szczery.

– Ja pana też...

– No tak – powiedział polubownie. – Ale chodzi mi o to, że byłem okropnie zły na... No, z powodu różnych rzeczy, ale zwłaszcza na panią, a te terapie, to kontrolowanie złości, przynajmniej według mnie służą tylko do tego, żeby się nauczyć udawać, że się nie jest wkurwionym.

W ciągu ostatnich godzin padało trochę mniej. Rano w Pampelunie było gwarno, ludzie byli ożywieni, na ulicach panował wielki ruch. Mnóstwo ludzi z parasolami szybko podążało swoją drogą. Znikali pod gałęziami ogromnych drzew rosnących wokół komisariatu. Amaia spoglądała przez okno na to miasto z kamienia i zieleni, o tej porze pachnące kawą i płynem po goleniu, i tęskniła za swoim mieszkaniem przy ulicy Mercaderes. Pomyślała o Jamesie, wyciągnęła komórkę i zadzwoniła.

– Hej, Amaio, dzień dobry, właśnie miałem do ciebie dzwonić...

– Przykro mi, James, ale wczoraj w nocy sprawy się skomplikowały.

– Ale zdążysz na czas?

Westchnęła z rezygnacją i powiedziała:

– James, nie będę mogła ci towarzyszyć. Podejrzany, którego zatrzymaliśmy wczoraj, to sprawca profanacji w Arizkun. W tym tygodniu usiłował zabić w Elizondo kobietę, którą uprzednio więził dwa lata w domu. Najprawdopodobniej to on rozgrzebał groby w Juanitaenei. Będzie zeznawał i muszę przy tym być... Rozumiesz?

Odpowiedział po dwóch sekundach.

– Rozumiem, Amaia, tyle że... No cóż, sama wiesz, jakie to ważne. Czekaliśmy tak długo. Myślałem, że będziesz ze mną.

– Och, James, tak okropnie mi przykro, kochanie moje. Jedź sam, zacznij montować wystawę, a ja tutaj skończę i przyrzekam, pojedę, jak tylko będę mogła.

Poczuła się jak zdrajczyni. Wystawa w Muzeum Guggenheima jest dla artysty jedną z najważniejszych chwil w życiu, a montowanie wystawy jednym z najbardziej pasjonujących momentów w życiu Jamesa. Ustawianie i oświetlanie rzeźb, skupienie, w jakim się je ogląda ze wszystkich stron,

staranność, z jaką obiema rękami zmienia się ustawienie jednej po drugiej, obraca, żeby światło padało tak, jak się chce. W gestach Jamesa było tyle zmysłowości i erotyzmu. Było ich jeszcze więcej, kiedy podczas pracy patrzył jej namiętnie w oczy.

– Jak się czuje Ibai?

– Od ponad godziny nie śpi. Ciotka daje mu butelkę. Mruży już oczka, niedługo czas na drzemkę.

– A Elizondo?

– Jeszcze nie byłem na dworze, ale twoja siostra mówi, że na ulicy Jaimego Urrutii i na placu jest wody po kostki. Teraz nie pada już tak strasznie, ale nie ma zamiaru przestać.

– James, naprawdę mi przykro. Dałabym wszystko, żeby móc to zmienić.

Znowu zbyt długa cisza.

– Nie przejmuj się, rozumiem. Potem pogadamy.

Wyłączyła się i przez chwilę patrzyła na telefon. Tęskniła za jego głosem, chciała móc mu powiedzieć coś jeszcze. Tak długo czekali na tę chwilę. To miał być pierwszy raz, kiedy byliby sami, we dwoje. Od kiedy urodził się Ibai, tylko kilka razy poszli na kolację. Jak mu to wynagrodzi? I wynagrodzi samej sobie?

Telefon zawibrował jej w dłoni i powiadomił ją, że w skrzynce czekają nowe wiadomości. Doktor Franz tym razem oskarżał Sarasolę bez ogródek. Znów przytaczał swoje stałe argumenty, ale tym razem jego rozumowanie, o dziwo, wydało się Amai bardziej wiarygodne. Wyczuwała też wyraźnie, że jest zdesperowany. Poszukała jego numeru i zadzwoniła.

Dyrektor Franz był zaskoczony. Tylko przez chwilę, ale wystarczająco długo, żeby zdołał ocenić, czy pani inspektor wreszcie zaczęła go brać na serio, czy wręcz przeciwnie. Postawił na to pierwsze, bo po cóż miałyby do niego dzwonić, jeśli mu nie wierzyła?

– Bardzo się cieszę, że zdecydowała się pani mnie wysłuchać. Sarasola to manipulator. To dzięki temu osiągnął taką pozycję. Trudno mi uwierzyć, że kobieta myśląca tak logicznie jak pani dała się uwieść tej mistycznej gadaninie watykańskiego

egzorcysty.

Amalia doceniła komplement, ale pomyślała, że najprawdopodobniej strategię tych panów nie różnią się od siebie aż tak bardzo.

– To on za tym wszystkim stoi, to nie ulega najmniejszej wątpliwości. Proszę to przemyśleć. Nic tu do siebie nie pasuje. Ani ten odwiedzający, ani te lekarstwa, rzekomo ukrywane tak długo w nodze łóżka, ani opatrnościowe pojawienie się samego księdza w roli zbawiciela, który ratuje pani matkę. Mnie nie oszuka. Jedyne, co dla mnie jest niejasne, to po co to wszystko robi. To prawda, że z punktu widzenia medycyny przypadek pani matki jest bardzo interesujący, ale nie do tego stopnia, żeby wyposażać w ostre narzędzie niebezpieczną chorą, która przecież zabiłaby tego pielęgniarza, gdyby nie szybka pomoc. Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to to, że sam Sarasola jest zaburzony albo że wygórowane ambicje i pragnienie sławy przyćmiły mu umysł do tego stopnia, że zrobił coś tak strasznego.

Amalia postanowiła uzbroić się w cierpliwość.

– Doktorze Franz, nie możemy ustalić związku między Sarasolą a pańską kliniką. Pan zna go zbyt dobrze, nie mógł się zakraść nierozpoznany. Zresztą to zbyt naciągane, co pan mówi.

– Doprawdy nie sądzę. Jestem święcie przekonany, że to on stoi za tym wszystkim, i jak już powiedziałem, nic mnie nie powstrzyma.

– Nie wiem, co by to miało znaczyć, ale nie radzę panu szukać kłopotów. Jak na razie pan jest jedyną osobą, która oskarża Sarasolę i mu grozi. Nie chciałabym, żeby pan sobie zaszkodził. Proszę pozwolić nam działać. Obiecuję panu, że go sprawdzimy.

– Aha... – Wcale nie zabrzmiało to tak, jakby go przekonała.

– Niech mnie pani posłucha, pani inspektor, choć wiem, że będzie pani zdziwiona, że mówi to psychiatra: w tym człowieku siedzi diabeł.

Wróciła do pokoju z lustrem. Garrido wyglądał żałośnie, ale jego twarz nie zdradzała zmęczenia. Siedział zrelaksowany

i odrywał paznokciem etykietkę z butelki z wodą. Umundurowany policjant przyniósł mu kawę w papierowym kubku i jakiś wypiek opakowany w celofan, z pewnością z dystrybutora na pierwszym piętrze. Garrido żuł pracowicie każdy kawałek. Musiało go okropnie boleć gardło, ale nie wydał nawet jednego jęku. Kultura bólu, pomyślała Amaia. Może jednak jest dużo powszechniejsza, niż sądził Lasa III. Zauważyła, że zwrócił się z czymś do policjanta, który go pilnował. Włączyła podsłuch, ale Garrido nie odezwał się więcej. Wychyliła się na korytarz i zawołała policjanta pilnującego drzwi.

– Proszę zastąpić kolegę w pokoju przesłuchań.

Kiedy ten pierwszy wyszedł, Amaia spytała:

– Co mówił?

– Chciał wiedzieć, która godzina, a potem powiedział, że chce zadzwonić.

Amaia powiedziała o tym Iriartemu i Montesowi, kiedy wrócili ze śniadania.

– Powiedział, że chce zadzwonić.

Iriarte się zdziwił.

– Przecież mówił, że nie chce adwokata.

– No tak, ale teraz chce skorzystać z prawa do telefonu. Niech wyjdzie na korytarz w kajdankach. I nie spuszczaście go z oka.

– Przepraszam, pani inspektor – przerwał im policjant, który pilnował Garridy. – Powiedział, że chce zadzwonić do swojego psychiatry.

– Do psychiatry?

– Tak, to właśnie powiedział.

Amaia wróciła do swojego gabinetu i niemal w tej samej chwili komórka powiadomiła ją, że dostała maila. I zaczęła wibrować. Ktoś dzwonił. Zabalza.

– Dzień dobry, szefowo – powiedział, a to ostatnie słowo zabrzmiało, jakby chciał je połknąć. – Wraz z opieką społeczną zabraliśmy Beñata Zaldúę z domu. Właśnie rozmawiałem z jego kuzynem, który mieszka w Pampelunie, i wszystko wskazuje na to, że się nim zajmie.

– Dobrze.

– Skończyłem z listami. Sprawdziłem je i jest tam kilka nazwisk, które się powtarzają. Właśnie je pani wysłałem.

– Doskonale. Coś jeszcze?

– Tak. Rano przeszukaliśmy dokładnie stary szpital dla pielgrzymów, w którym ukrywał się podejrzany. Wydaje się, że spędził tam sporo czasu. Znaleźliśmy resztki jedzenia i zapasów, które wskazywały na to, że mieszkał tam co najmniej dwa tygodnie i mógł zostać jeszcze przez jakiś czas. Ale najbardziej interesujące jest to, co znaleźliśmy na ostatnim piętrze. Stały tam różne stare sprzęty i wyposażenie szpitala. Łóżka, lampy, stoliki i witryny ze starymi narzędziami lekarskimi, bardzo podobnymi do tego lancetu, który badał doktor San Martín. Jak dla mnie są identyczne. Już pani wysłałam zdjęcia.

– Cholera, oczywiście, stary szpital! To stamtąd wzięli te narzędzia. Garrido powiedział Nurii, że ją zabierze do szpitala. Wydawało się to pozbawione sensu... Bardzo dobra robota, podinspektorze, gratuluję panu. Proszę wysłać zdjęcia San Martínowi, niech porówna i... Zabalza, proszę przyjechać do Pampeluny, jest mi pan tutaj potrzebny.

– Tak jest, szefowo – odpowiedział.

Uśmiechnęła się. Po raz pierwszy powiedział to całkiem wyraźnie.

Potem otworzyła wiadomość od Zabalzy. Lista powtarzających się nazwisk była dłuższa, niż się spodziewała. Czytała ją, starając się przywołać jakieś wspomnienia. Niektóre nazwiska wydawały jej się znajome. Nie było w tym nic dziwnego. W ostatnich latach ona i jej siostry słyszały dziesiątki różnych nazwisk, kiedy ścisnęły dłonie lekarzy na szpitalnych korytarzach, w pogotowiu, w przychodniach i poradniach psychiatrycznych. Nawet doktor Franz powtarzał się kilka razy. Ale Sarasola nie. Przeczytała jeszcze raz, żeby się zorientować, czy któreś z nazwisk czegoś jej nie przypomni. Niemal wszystkie były typowe dla Nawarry albo Kraju Basków. Pospolite nazwiska. Zamknęła listę i znów zaczęła rozmyślać o Garridzie i o tym, co Montes powiedział o kontrolowaniu złości. Poszukała numeru Paduy.

– Dzień dobry, pani inspektor. Właśnie miałem dzwonić, żeby pani pogratulować. Jest pani dzisiaj na ustach wszystkich w dolinie: zatrzymała pani sprawcę.

– Dziękuję, poruczniku Padua, ale ten typ był tylko wykonawcą. Nadal jesteśmy na początku śledztwa.

– W czym mogę pomóc?

– Coś mi przyszło do głowy. Jestem bardzo ciekawa, czy ten więzień z Logroño, który popełnił samobójstwo, brał udział w jakiejś terapii psychiatrycznej, zanim trafił do więzienia albo już w więzieniu. Pomyślałam o panu, bo ma pan dobre stosunki z tamtejszą Policją Narodową... Jeśli chodzi o Medinę, wiem, że przed uwieżnieniem nie chodził na terapię, ale chciałabym się dowiedzieć, czy w więzieniu coś takiego miało miejsce.

– Coś jeszcze?

– I tak musi pan zadzwonić, żeby się dowiedzieć, więc proszę za jednym zamachem zapytać o Quiraltego. On też, tak jak Medina, siedział w Pampelunie. Ciekawe, co panu powiedzą.

– Jestem niemal pewien, że uzyskamy potwierdzenie. Większość więźniów poddaje się terapii, żeby uzyskać skrócenie kary. We wszystkich więzieniach w ramach opieki zdrowotnej przysługuje psychiatra. W niektórych bywają psychiatrzy wolontariusze z różnych organizacji pozarządowych.

Poszukała w notesie kilku numerów i zadzwoniła. Ciotka Marii sądziła, że tak.

– Ale nie sądzę, żeby można to było nazwać uczęszczaniem. Po poważnej rozmowie, którą z nim odbyłam, przyrzekł mi, że pójdzie na terapię, ale po drugiej wizycie dał sobie spokój.

Siostra Zuriñe przypomniała sobie coś, kiedy Amaia o tym wspomniała.

– Zapomniałam o tym, ale tak, to prawda. Nie wiem, czy w ogóle tam poszedł, ale siostra opowiadała, jak jej mąż przysiągł, że się podda terapii, kiedy mu oznajmiła, że chce rozwodu. Nie wiem, dlaczego o tym zapomniałam. Chyba dlatego, że to oczywiste: nigdy tego nie zrobił – powiedziała ze smutkiem.

– A może właśnie zrobił... – szepnęła do siebie Amaia, kiedy

się rozłączyły.

Było południe, kiedy oddzwonił Padua.

– Pani inspektor, ci z Logroño mówią, że tak, że więzień rozmawiał z psychiatrą. Wspominają o tym w raporcie, ale nie mają nazwiska lekarza. Napisano po prostu: wizyta u psychiatry, a pod tym nieczytelny podpis. Przychodzi mi na myśl, że moglibyśmy zadzwonić do więzienia. Minęło już sporo czasu, ale muszą coś wiedzieć. W Pampelunie było łatwiej ustalić, że zarówno Medina, jak i Quiralte chodzili na terapię. Więzienie jest objęte patronatem kliniki uniwersyteckiej. Zawsze kogoś przysyłają.

Włosy na głowie Amaia zjeżyły się ze zgrozy, kiedy usłyszała, że Padua wspomina o klinice. Może przypuszczenia doktora Franza nie były aż tak nieuzasadnione.

– Jest tam jakieś nazwisko?

– Nie, tylko psychiatra z kliniki uniwersyteckiej w Nawarze.

Amaia wyszła z gabinetu, podeszła do lustra i przez kilka minut obserwowała Garridę. Iriarte i Montes stali nieruchomo obok niej.

– Dwa razy pytał o godzinę. Nic nam nie powie. Nie będzie zeznawał, chce nas tylko przetrzymać – orzekł Iriarte.

Amaia słuchała go uważnie.

– Nie wiem jeszcze dlaczego, ale ciągle pyta o godzinę. Upływ czasu jest dla niego bardzo ważny. Słyszała pani, co powiedział. Przetrzymuje nas, obiecując, że będzie zeznawał później, ale nie robi tego. Jego rola się skończyła w chwili, kiedy jego żona przestała się zachowywać tak, jak powinna. Od tamtej chwili wszystko straciło sens. A ponieważ Beñat Zaldúa go obciążył, profanacje też musiały się skończyć. Miał popełnić samobójstwo, zamiast pozwolić się nam zatrzymać, ale ponieważ mu się nie udało, wdrożył ten drugi plan, ten, o którym pani mówiła. A ten plan jest taki, żeby nas tu trzymać do odpowiedniej chwili. Gdzie indziej ktoś inny robi, co trzeba.

– Nie wiemy gdzie – odparł Montes.

– Ale musi chodzić o panią, szefowo – powiedział Zabalza, który właśnie do nich dołączył.

Amaia patrzyła na niego, jakby go nie widziała. Myślała o tym,

co usłyszała.

– Chyba ma pan rację – przyznała i wyszła na korytarz. Pozostali wyszli za nią. – Z którego telefonu dzwonił Garrido?

Montes wskazał telefon na pulpicie.

– To ogólnodostępny terminal. Zapisuje się dziesięć ostatnio wybranych numerów.

Amaia podniosła słuchawkę, nacisnęła klawisz, spojrzała na listę połączeń i sapnęła.

– Wszystkie w Pampelunie. Jonanie, sprawdź je, proszę.

– Dlaczego pan sądzi, że to, na co czeka Garrido, ma związek ze mną? – spytała Zabalzę. Wracali do pokoju z lustrem.

– Bo wszystko w tej sprawie ma związek z panią. Z Baztán też, ale przede wszystkim z panią. To, na co czeka Garrido, musi mieć związek z panią.

Amaia popatrzyła na niego bardzo uważnie. Gdyby mu się udało pozbyć choć części głupot, które zaprzętały mu głowę, mógłby być naprawdę dobrym policjantem.

Jonan wrócił pędem, wyraźnie podekscytowany.

– Szefowo, nie uwierzy pani! Większość tych numerów to połączenia służbowe, kilka prywatnych, do domu i tak dalej, ale proszę popatrzeć na ten. – Wybrał go na swojej komórce i oddał jej aparat.

Usłyszała wyraźny bezosobowy głos:

– Klinika uniwersytecka, psychiatria. Czym mogę służyć?

Inmaculada Herranz spojrzała na nią surowo i skrzywiła się z niechęcią, a jej wąskie wargi niemal zniknęły w brzydkim grymasie. Amaia popatrzyła na zegarek: albo sekretarka sędziego śledczego wyrabiała nadgodziny, albo specjalnie nie poszła do domu, żeby być przy spotkaniu. Kiedy przed kilkoma godzinami zadzwoniła, żeby się umówić, przełączyła rozmowę bez słowa, nie odpowiedziała nawet na „dzień dobry”, a teraz jak wmurowana siedziała za biurkiem i udawała, że zajmuje się jakimiś aktami. Od dziesięciu minut wpatrywała się w tę samą stronę. Markina wpadł do biura w pośpiechu. Miał na sobie długi wełniany płaszcz. Pokrywały go krople deszczu, tworząc dziwne matowe wzory.

– Przepraszam, że musiała pani na mnie czekać – mówiąc to, spostrzegł, że jego sekretarka nadal jest w biurze. – Inma, co pani tutaj robi o tej porze? – Wskazał na ścienny zegar.

– Kończyłam pracę nad tymi aktami – odparła swoim przesłodzonym głosem.

– Ależ jest już bardzo późno. Proszę to zostawić na jutro. Nie dawała za wygraną.

– Chciałabym to skończyć dzisiaj, za pozwoleniem. Jutro mamy sporo do zrobienia...

Uśmiechnął się, ukazując idealne uzębienie, i podszedł do niej.

– Nie ma mowy. – Wyjął jej z ręki skoroszyt i zamknął go.

– Nie zgadzam się. Proszę iść do domu i odpocząć.

Przez chwilę wpatrywała się w niego z uwielbieniem i nagle przypomniała sobie o Amai.

– Jak pan sobie życzy – odpowiedziała, wyraźnie zawiedziona.

Markina odwrócił się obojętnie i poszedł do gabinetu.

– Zapraszam, pani inspektor.

Amaia podążyła za nim, czując, jak w plecy wbijają jej się jak sztylety wściekłe spojrzenia sekretarki. Odwróciła się i zobaczyła twarz pociemniałą ze złości, pozbawioną blasku,

usta bardziej niż zwykle przypominające krechę, a w oczach odwieczną nienawiść, jaką pałają zazdrosne kobiety.

Wiedziona impulsem pokazała jej język.

Nienawiść zmieniała się w zaskoczenie i głębokie oburzenie. Inmaculada zerwała z wieszaka płaszcz i wypadła z biura jak szalona.

Amaia jeszcze się uśmiechała, kiedy siadała naprzeciwko sędziego. Popatrzył na nią, nieco zdeorientowany.

– Wyobrażam sobie, że ma pani coś nowego. Inaczej nie byłoby pani tutaj – zaczął uprzejmie.

– Tak, właśnie. Już wczoraj poinformowałam pana, że zatrzymaliśmy podejrzanego. Mamy go pod kluczem w komisariacie, ale to nie o tym chciałabym z panem mówić.

Przez następne pół godziny streszczała mu postępy w śledztwie i wyjaśniała, jakich wątpliwości i podejrzeń nabrali w ich następstwie. Markina słuchał uważnie. Zapisywał niektóre dane, w miarę jak Amaia przedstawiała mu swoje pomysły. Kiedy skończyła, oboje przez chwilę siedzieli w milczeniu. Sędzia zmarszczył brwi i przekrzywił głowę.

– Czy dobrze zrozumiałem? Chce pani doprowadzić do zatrzymania księdza, doradcy Watykanu do spraw wiary, jednego z najważniejszych urzędników kurii, pod zarzutem, że jest seryjnym zabójcą, kanibalem i podżega do czynów przestępczych?

Amaia wypuściła przez nos całe powietrze i zamknęła oczy.

– Nie będę go o nic oskarżać, po prostu chcę go przesłuchać. Jest szefem oddziału psychiatrii kliniki uniwersyteckiej. To on przydziela psychiatrów więzieniom.

– To usługi, które świadczy bezinteresownie.

– Mam w nosie jego bezinteresowność, jeśli jego celem jest nakłanianie facetów stosujących przemoc do jeszcze gorszej przemocy albo do samobójstwa.

– Trudno to będzie udowodnić.

– Tak, ale póki co mamy szereg tajemniczych raportów z więzień, podpisanych przez Sarasolę i z niewypełnioną rubryką, w której powinno figurować nazwisko i podpis psychiatry.

– To niedopatrzenie pracowników więzienia – przypomniał sędzia.

– Raporty były podpisane przez przełożonego psychiatrę. Nie mieli żadnych wątpliwości.

– Sądzi pani, że Sarasola podpisywałby nakazy swoim nazwiskiem, gdyby to on miał potem odwiedzać więźniów?

– To byłoby dobre alibi. Z pewnością jego adwokat zwróciłby na to uwagę.

– Nie sądzę, żeby był potrzebny adwokat, bo to, o co pani prosi, jest nie do zrobienia. Sarasola to wysoki urzędnik Watykanu i już samo to sprawia, że doprowadzilibyśmy do międzynarodowego konfliktu. Do tego mówimy o niezwykle prestiżowej klinice Opus Dei. Pani jest stąd, nie muszę pani mówić, co to oznacza.

– Doskonale wiem, co to jest Opus Dei, i chcę mu tylko zadać kilka pytań.

Markina kręcił głową.

– Muszę to przemyśleć. Oskarżenia urażonego psychiatry nie są wystarczającym powodem, żeby przesłuchiwać kogoś takiego jak Sarasola.

– Człowiek odpowiedzialny za profanację, który próbował zabić swoją żonę, zadzwonił dzisiaj rano do tej kliniki, a konkretnie na oddział psychiatrii. Wszyscy zabójcy wplątani w naszą sprawę byli poddawani terapii, przynajmniej dwóch, prowadzonej przez kogoś z tej kliniki. Czyli w sumie z kliniką mieli kontakt trzej zabójcy i z pewnością uda nam się udowodnić, że także reszta go miała. Argumenty tego urażonego psychiatry, jak pan go nazwał, nie są wyssane z palca, są racjonalne i uzasadnione. Sarasola bez najmniejszych wątpliwości jest zamieszany w tę sprawę i jego udział w niej nie jest przypadkowy. To on osobiście zażądał, żebym to ja zajęła się śledztwem w sprawie profanacji kościoła w Arizkun, i zjawił się, jakby cudem, w chwili, kiedy trzeba było przenieść moją matkę do innej kliniki.

Markina nadal kręcił głową.

– Mam związane ręce.

Popatrzyła mu w oczy.

– Tak. Trzeba do tego dużo odwagi.

Podniósł do góry obie ręce, jakby się poddawał.

– Nie rób mi tego, Amaio, nie rób tego – poprosił.

Uniosła głowę, pogardliwie, wyzywająco.

– Nie masz prawa mi tego robić.

– Nie wiem, o czym pan mówi, panie sędzio.

– Doskonale wiesz, o czym mówię.

Zadzwoiła jej komórka. Rzuciła okiem na wyświetlacz: Iriarte. Odebrała, nie spuszczać wzroku z Markiny. Wysłuchiwała tego, co mówił Iriarte, rozłączyła się. W tej samej chwili zaczął dzwonić telefon na biurku sędziego.

– Jest pan na dyżurze, prawda, panie sędzio? Nie musi się pan fatygować i odbierać. Ja panu powiem, w jakiej sprawie dzwonią. Ten psychiatra z paranoją, którego honor zraniono, został raniony również na ciebie, i to z takim skutkiem, że nie żyje. Co za zbieg okoliczności, że znaleziono go na parkingu kliniki uniwersyteckiej po tym, jak dzisiaj rano uprzedził, że nie zostawi tak tej sprawy z Sarasolą.

Błyskawicznie zapadał zmrok, a czarne chmury nad Pampeluną jeszcze przyspieszały jego nadejście. Nareszcie przestało padać, chociaż wygląd nieba wskazywał na to, że to jedynie zawieszenie broni. Z silników policyjnych samochodów, które podjechały pod klinikę, unosiła się para i snuła się jak widmowa ektoplazma po pokrytym ogromnymi kałużami parkingu. Amaia przeskoczyła przez kilka i eskortowana przez ponurego sędziego śledczego doszła tam, gdzie leżało ciało. Doktor San Martín ucieszył się na jej widok.

– Pani inspektor Salazar, miło panią widzieć, nawet przy takiej okazji.

– Witam, doktorze.

Podszedł Iriarte. Pokazał jej zakrwawioną teczkę z dokumentami. Amaia potwierdziła. To był Aldo Franz, doktor Franz.

Ciało na wpół leżało, oparte o samochód. Krew spłynęła na dół, z głębokiej, niezbyt wielkiej rany na szyi. Koszula była w kilku miejscach rozdarta, tam gdzie doktor Franz otrzymał ciosy ostrym narzędziem, a krawat był wbity w brzuch i wyglądał tak,

jakby rana go pochłonęła.

– Najpierw dostał w brzuch. Na pierwszy rzut oka, bez ruszania ciała, można naliczyć osiem ran. To cięcie na szyi jest późniejsze, może zadane po to, żeby go uciszyć. Żył jeszcze na tyle długo, że zdążył podnieść rękę do rany. Usiłował zatamować krwotok. Widzi pani – San Martín wskazał na zakrwawioną dłoń i mankiet koszuli. – Wykrwawił się błyskawicznie.

Amaia rzuciła okiem na sędziego. Wydawał się skrajnie przygnębiony i wpatrywał się w strugę krwi, która spłynęła na mokrą ziemię i dotarła do pobliskiej kałuży. Utworzyła na powierzchni wody malownicze czerwone arabeski.

Ciągle i usilne starania doktora Franza, żeby narzucić jej swój punkt widzenia, sprawiły, że nie odczuwała do niego żywej sympatii, ale teraz, widząc jego trupa, porzuconego jak wypatroszona szmaciana lalka w kałuży, pytała samą siebie, do jakiego stopnia powinna się czuć odpowiedzialna za jego śmierć. Mogła działać sprawniej. Co prawda ostrzegła go, żeby się nie mieszał, ale wiedziała, że jej nie posłucha, że dla niego to sprawa honorowa. Człowiek z natury czuje się usprawiedliwiony i wręcz zmuszony do rozwiązywania problemów na własną rękę, jeśli w grę wchodzi urażona duma.

Montes rozmawiał na boku z Zabalzą, a Jonan Etxaide z grymasem na twarzy cierpliwie słuchał wykładu doktora San Martína, zachwyconego, że będzie mógł poddać próbie twardość żołądka podinspektora. Nachylony nad zwłokami, długopisem odsuwał płaszcz i marynarkę doktora Franza, żeby Jonan mógł obejrzeć ślady ciosów i ustalić ich kolejność.

– Proszę zwrócić uwagę, że choć ślady ciosów znajdują się blisko siebie, łatwo ustalić kolejność, w jakiej zostały zadane. To oczywiste, że napastnik stał naprzeciwko zamordowanego, podszedł bardzo blisko, ze schowaną bronią. Nie można wykluczyć, że udawał, że chce go uściskać na powitanie. Mógł go też po prostu podtrzymywać, kiedy zadawał ciosy. Z pewnością pierwszy jest ten, na samym dole. Napastnik poczekał, aż znalazł się bezpośrednio przy doktorze, i prawą ręką wbił mu ostrze w jelita. – San Martín popatrzył, jak Jonan

się sprawuje, i dodał: – Bardzo bolesny cios, ale nie śmiertelny. – Przez dwie sekundy wpatrywał się w młodego policjanta. Potem przeniósł wzrok na zwłoki. – Te następne ciosy to już tylko znęcanie się. Widać, że zadawał je coraz wyżej, jakby rysował kształt schodów, z pewnością dlatego, że ofiara wyginała się do przodu. Doktor się osuwał, a napastnik ugodził w wątrobę, w żołądek i... Proszę mi pomóc – powiedział, nachylając trupa i obmacując mu plecy.

Amaia zobaczyła, jak podinspektor Etxaide zamyka oczy, obiema rękami podtrzymując za ramię bezwładne ciało.

– Tak – powiedział tryumfalnie San Martín. – Tak jak myślałem. Niektóre ciosy zadano od strony pleców.

– Trzeba do tego dużo siły – stwierdził Etxaide z ulgą, że może puścić trupa.

– Albo wielkiej nienawiści – powiedział Iriarte. – Widać, że to była osobista sprawa. Większość ciosów nie została zadana po to, żeby zabić. Chodziło o zadanie jak największego cierpienia.

Amaia słuchała, co mówią. Dzieliła uwagę między ofiarę a sędziego Markinę, stojącego kilka kroków za nią i dyktującego raport sekretarzowi sądowemu. Nie podnosił wzroku. Wpatrywał się w krew, która nadal nie mieszała się z wodą i tworzyła na powierzchni kałuży hipnotyzujące smugi. Podeszła do niego i zatrzymała się. Specjalnie postawiła nogę w kałuży. Zmętniała pod jej butem, wytrącając sędziego z zamyślenia. Popatrzył jej w oczy, a potem spojrział na fasadę kliniki i skinął głową.

Amaia zwróciła się do swojego zespołu:

– Iriarte, pan idzie ze mną. Montes, proszę rozstawić ludzi we wszystkich wyjściach, głównych i bocznych, w drzwiach z pogotowia, z kuchni, wszędzie. Szukamy doktora Sarasoli.

– Nagle uprzytomniła sobie, że nie zna jego imienia. – Księża, ojca Sarasoli. Zazwyczaj ubrany jest jak duchowny, na czarno i z koloratką, ale w klinice wkłada białe lekarskie fartuch. Jeśli go spotkacie, powiedzcie mu uprzejmie, żeby zaczekał, bo chcę z nim porozmawiać. Nie pozwólcie, żeby sobie poszedł, ale nie zatrzymujcie go oficjalnie. Wymyślcie jakiś pretekst.

O tak późnej porze w recepcji było pusto i spokojnie. Amaia

i Iriarte poszli do windy, a Zabalza został przy głównym wejściu. Recepcjonistka zwróciła się do nich, nie wychodząc zza kontuaru:

– Przepraszam, dokąd państwo idą? Pora wizyt już się skończyła.

Amaia stała już plecami do niej.

– Przepraszam! – nalegała dziewczyna. – Nie można wchodzić na piętra po godzinach wizyt, chyba że się jest umówionym.

Jej ton zaalarmował strażnika. Zrobił krok w ich stronę, ale w tej samej chwili drzwi windy się otworzyły i Amaia i Iriarte weszli bez słowa.

– Z pewnością właśnie wszystkich uprzedza, że tu wtargnęliśmy – powiedział Iriarte, kiedy drzwi się zamknęły.

Ale alarm na pewno nie dotarł jeszcze na czwarte piętro. Zdecydowanym krokiem przeszli obok dyżurki. Szli w stronę gabinetu Sarasoli. Zza kontuaru wyszła pielęgniarka. Nie zauważyli jej.

– Przepraszam, nie można tu wchodzić.

Amaia pokazała jej odznakę. Wyciągnęła rękę i podsunęła ją jej niemal pod nos. Skutecznie ochłodziło to jej zapędy.

Szybko zapukała dwa razy do drzwi i otworzyła je. Doktor Sarasola siedział za swoim biurkiem. Nie wydawał się zdziwiony.

– Wejdźcie, wejdźcie i usiądźcie. Tak właśnie myślałem, że złożycie mi wizytę. Straszna rzecz się stała na parkingu naszej kliniki. W samym śródmieściu Pampeluny! To okropne, żeby w tak spokojnym mieście działy się takie rzeczy.

– Wie pan, kim jest ofiara? – spytał Iriarte.

– No cóż, krążą plotki, wie pan, jak to jest. Ale któż może wiedzieć, czy prawdziwe. Miałem nadzieję, że od państwa się dowiem.

– Ofiarą jest pański kolega po fachu, doktor Franz – powiedział Iriarte.

Amaia wpatrywała się w twarz księdza. Był tego w pełni świadomy, więc postanowił nie udawać zaskoczonego.

– Tak, to właśnie mi powiedziano, ale miałem nadzieję, że to jakaś pomyłka.

– Umówił się ksiądz z nim? – spytała Amaia.

– Umówić się z nim? Nie, nie wiem, dlaczego pani pyta, nie...

Zbyt długa odpowiedź, pomyślała Amaia. Jedno „nie” zupełnie by wystarczyło.

– Ma ksiądz świadomość, że doktor Franz nie mógł się pogodzić ze sposobem, w jaki moja matka została przeniesiona do tej kliniki i że dzisiaj rano powiadomił kilka osób, że ma zamiar spotkać się z księdzem i wyjaśnić kilka kwestii?

– O niczym takim nie wiem.

– Bardzo łatwo będzie sprawdzić ostatnie połączenia telefoniczne doktora Franza – powiedział Iriarte, podnosząc swój telefon.

Sarasola ściągnął usta i siedział tak dłuższą chwilę.

– Mogę potwierdzić tylko, że do mnie dzwonił, ale nie wziąłem pod uwagę jego zarzutów. Od chwili przeprowadzki pani matki dzwonił kilka razy...

– Zmienił pan ubranie w ciągu ostatnich kilku godzin, doktorze? – spytała Amaia. Wyglądał nienagannie.

– Cóż to za pytanie?

– Ja bym powiedziała, że wziął ksiądz niedawno prysznic.

– Nie rozumiem, jakie to może mieć znaczenie.

– Ten, kto zasztyletował doktora Franza, musiał się poplamieć krwią.

– Nie insynuujecie chyba...

– Doktor Franz był przekonany, że ma ksiądz coś wspólnego z tym, co się stało w jego klinice. Z dziwnym zachowaniem mojej matki. Sądził, że w jakiś sposób to ksiądz stoi za sprawą jej przeniesienia tutaj.

– To absurdalne. Doktora Franza zżerała zawodowa zawiść.

– Dlaczego poprosił ksiądz, żebym to ja zajęła się sprawą profanacji?

– Cóż to ma z tym wspólnego?

– Proszę odpowiedzieć – zażądał Iriarte.

Sarasola spojrział na Amaię i uśmiechnął się.

– Pani sława panią wyprzedza. No więc sądziłem – i nie myliłem się – że jest pani profesjonalistką i jest pani wystarczająco wrażliwa, żeby rozwiązać tak specyficzną

sprawę. Nie muszę chyba wspominać, że dla Kościo...

Amaia mu przerwała:

– Gdzie ksiądz był przed godziną?

– Oskarża mnie pani?

– Pytam – odpowiedziała cierpliwie.

– Wydaje się, jakby mnie pani oskarżała.

– W klinice księdza doszło do zabójstwa. Ofiara przyszła tu, żeby się spotkać z księdzem, a relacje między wami nie były szczególnie serdeczne.

– Jeśli nie były serdeczne, to z winy doktora Franza. Zbrodnię popełniono na parkingu. To nie jest moja klinika, jestem jedynie ordynatorem oddziału psychiatrii.

– Wiem o tym. – Amaia się uśmiechnęła. – To ordynator oddziału psychiatrii zezwala na prowadzenie terapii na zewnątrz, takich jak te, które są prowadzone w więzieniach.

– Tak jest – zgodził się Sarasola.

– Co najmniej dwóch mężczyzn, zabójców kobiet, było księdza pacjentami w więzieniu, a potem popełniło samobójstwo.

– Co? – był autentycznie zdziwiony.

– Jasón Medina i Ramón Quiralte, ci już nie żyją. A teraz mamy następny taki przypadek. Zatrzymany Antonio Garrido, który właśnie dziś rano wykorzystał swoje prawo do wykonania jednej rozmowy telefonicznej, żeby zadzwonić właśnie tutaj.

– Nie znam tych ludzi, nigdy nie słyszałem ich nazwisk. Możecie sprawdzić wszystkie rejestry rozmów telefonicznych, jakie tylko chcecie. Cały rano spędziłem w arcybiskupstwie. Przyjmowałem pralata z Watykanu, który złożył nam wizytę.

– Na zaświadczeniach o terapii tych pańskich pacjentów jest pański podpis.

– To nic nie znaczy. Podpisuję mnóstwo dokumentów. I oczywiście zawsze podpisuję skierowania na terapię. Ale nigdy nie odwiedzam więźniów w więzieniach. To coś, co robi się dobrowolnie. Wielu lekarzy z tej kliniki bierze w tym udział, ale mogę wam dać słowo, że żaden z nich nie miał nic wspólnego z czymś tak podłym.

– Nie zlecił ksiądz sobie samemu wizyt lekarskich w żadnym więzieniu?

Sarasola kręcił głową. Było widać, że jest zakłopotany.

– Gdzie jest Rosario?

– Kto? Pani matka?

– Chcę ją zobaczyć.

– To niemożliwe. Rosario jest poddawana terapii, w której izolacja odgrywa ogromnie ważną rolę.

– Proszę mnie do niej zaprowadzić.

– Jeśli to zrobimy, wyrzucimy do kosza całą pracę z ostatnich dni. Umysł kogoś takiego jak pani matka nie funkcjonuje jak urządzenie, które można wyłączyć i ponownie włączyć, kiedy to jest potrzebne. Jeśli przerwiemy teraz terapię, szkody mogą być nie do odrobienia.

– Biorę to na siebie. A tamtego dnia niespecjalnie to księdza obchodziło.

– Będzie pani musiała podpisać rezygnację. Klinika nie bierze za to żadnej odpowiedzialności.

– Podpiszę, co ksiądz zechce, ale potem. Teraz proszę mnie zaprowadzić do matki.

Sarasola wstał i wyszedł, a za nim Amaia i Iriarte. Szli korytarzem przedzielonym wieloma drzwiami. Doktor otwierał je po kolei kartą i osobistym kodem, aż doszli do właściwego pokoju. Sarasola, który wydawał się odzyskiwać naturalną pewność siebie, zwrócił się do Amai:

– Jest pani pewna? Nie chodzi mi o Rosario, ona będzie zachwycona, że panią widzi, jestem o tym przekonany. Ale pani? Jest pani na to przygotowana?

„Nie!” – krzyknęła dziewczynka w jej wnętrzu.

– Proszę otworzyć drzwi.

Sarasola włożył kartę, wstukał kod i popchnął delikatnie drzwi.

– Proszę – zaprosił Amaię, ustępując jej miejsca.

Inspektor Iriarte minął ją, wyciągnął broń i wpadł do środka.

– Na litość boską! To nie jest konieczne – zaprotestował ojciec Sarasola.

– Tu nikogo nie ma – powiedział Iriarte. – Kpi sobie doktor z nas?

Sarasola wszedł do pokoju i wydawał się naprawdę zaskoczony. Łóżko było rozgrzebane, a po jego obu stronach

zwisły miękkie pasy.

– A w łazience? – zasugerowała Amaia, zatykając usta i nos dłonią, żeby nie wdychać zapachu matki.

– Miała cewnik, żeby nie musiała się ruszać. Nie musi chodzić do łazienki – powiedział, obserwując Amaię. – Nie może pani znieść jej zapachu... to niesamowite. Ja czuję tylko środek czyszczący, którego tu używają, a pani...

– Gdzie ona jest? – przerwała mu z wściekłością.

Sarasola skinął głową i szybkim krokiem ruszył do dyżurki pielęgniarek. Musiał się cieszyć wielką sławą. Około pięćdziesięcioletnia pielęgniarka wstała i wygładziła fartuch. Widać było, że się go boi.

– Dlaczego Rosario Iturzaety nie ma w jej pokoju?

– Och! Doktorze Sarasola, dobry wieczór. Zawieźli ją na tomografię.

– Na tomografię?

– Tak, doktorze Sarasola, badanie było zaplanowane.

– Nie prosiłem o tomografię dla Rosario Iturzaety, jestem tego pewien.

– Zlecił ją doktor Berasategui.

– To niezgodne z regulaminem – powiedział Sarasola, wyciągając komórkę.

Pielęgniarka poczerwieniała i lekko zadrżała. Amaia z obrzydzeniem odwróciła od niej wzrok. Jeśli było coś, czego nienawidziła jeszcze bardziej od służalczości takich osób jak Inmaculada Herranz, była to uległość wynikająca ze strachu.

– Nie odbiera. – Zwrócił się do pielęgniarki: – Proszę szukać doktora przez głośnik w całej klinice, niech do mnie natychmiast zadzwoni.

– Gdzie robi się tomografię?

– Na parterze – odparł Sarasola, idąc do windy.

– Kim jest ten lekarz?

– Doskonałym fachowcem. Nie mogę zrozumieć, skąd ta decyzja. Rosario miała być cały czas w ścisłej izolacji, pod żadnym pozorem miała nie wychodzić w tej fazie terapii. On o tym dobrze wie, więc wierzę, że miał ważny powód. Doktor Berasategui jest wybitnym psychiatrą, jednym z najlepszych

w moim zespole, jeśli nie po prostu najlepszym. Ma wspaniałe wykształcenie i jest bardzo zainteresowany przypadkiem Rosario. – Zrobił taki gest, jakby sobie o czymś przypomniał. – Pani już go poznała – powiedział – choć nie oficjalnie. Miałem zamiar przedstawić was sobie tego dnia, kiedy doszło do incydentu z pani matką w pokoju z lustrem weneckim. Pamięta pani? To jeden z lekarzy, których minęła pani na korytarzu. Właśnie wtedy przypomniałem sobie, że to on pierwszy zainteresował się Rosario i jej przypadkiem. Miałem pani o tym powiedzieć, ale pani... No cóż, rozumiem, że to raczej nie był najlepszy moment.

Wspomnienie przerażającego uczucia, którego doznała w tamtej chwili, wróciło. Odegnęła je siłą i próbowała myśleć.

– To doktor Berasategui opowiedział księdzu o przypadku mojej matki? To dzięki niemu ksiądz się nim zainteresował?

– Tak, pani mnie o to spytała, pamięta pani? I ja odpowiedziałem, że przypadek był omawiany na wielu kongresach i że nie pamiętam, kto pierwszy mi o nim wspomniał. Dopiero tamtego dnia, widząc panią i doktora wspólnie na korytarzu, przypomniałem sobie.

– Jego nazwisko wydaje mi się znajome.

– Już pani mówiłem, że to wybitny psychiatra.

– Nie, nie stąd je znam – powiedziała Amaia. Usiłowała wygrzebać coś z pamięci, ale bez powodzenia. Doznała tylko nieprzyjemnego wrażenia, że ma to na końcu języka, ale ponownie gubi się w mrokach jej umysłu.

Doszli do dyżurki i doktor Sarasola zaczął wypytywać kolejną pielęgniarkę. Z megafonów dochodził głośny komunikat. Tak, rzeczywiście dwie godziny wcześniej miała się odbyć tomografia, ale się nie odbyła.

– Czy może mi pani powiedzieć dlaczego?

– Właśnie zaczęłam dyżur, ale w rejestrze jest napisane, że doktor Berasategui odwołał ją w ostatniej chwili.

– Nic z tego nie rozumiem! – wykrzyknął Sarasola.

Jego twarz wyraźnie poszarzała, a pełen desperacji ton wskazywał na to, że nie jest przyzwyczajony do tego, żeby sprawy wymykały mu się spod kontroli. Znów bez powodzenia

zadzwoił do Berasateguiego, a potem do szpitalnej ochrony.

– Znajdźcie doktora Berasateguiego i pacjentkę z psychiatrii Rosario Iturzaetę. Jest bardzo niebezpieczna.

– Wyobrażam sobie, że macie tu kamery – zasugerował Iriarte.

– Oczywiście – w głosie Sarasoli słychać było pewną ulgę.

Kiedy jednak dotarli do pokoju nadzoru wewnętrznego, wszyscy byli zdenerwowani. Amaia zauważyła, że na widok Sarasoli szef ochrony niemal stanął na baczność, jak gdyby zamiast lekarza czy duchownego miał do czynienia z generałem.

– Doktorze Sarasola, przejrzelśmy nagrania. Rzeczywiście doktor Berasategui wraz z pacjentką zjechali na parter i wyszli tylnymi drzwiami.

Sarasola osłupiał.

– To niemożliwe!

Na kilku monitorach ochroniarz odtworzył sekwencję zdarzeń. Lekarz w białym fartuchu towarzyszy pielęgniarzowi, który popycha nosze. Pacjent jest przykryty prześcieradłem i nierozpoznawalny. Potem widać ich w windzie. Na parterze idą korytarzem. Na następnym nagraniu pielęgniarza już nie ma, a lekarz w białym fartuchu pomaga iść komuś, kto ma na sobie pikowany puchowy płaszcz sięgający kostek, a na głowie kaptur wykonany futrem.

– Idą! On ją prowadzi! – z niedowierzaniem wykrzyknął Sarasola.

Krótkofalówka szefa ochrony zatrzeszczała i ktoś powiadomił go o czymś. Jego twarz się zmieniła.

– Znaleziono pielęgniarza, w magazynie na bieliznę. Jest w ciężkim stanie, został zaszytyletowany.

Sarasola zamknął oczy i Amaia zauważyła, że niewiele brakuje, żeby się całkiem wyłączył.

– Doktorze, dokąd prowadzą te drzwi?

– Na parking – odpowiedział z przygnębieniem. – Nie mogę zrozumieć, jak doktor mógł być tak nieostrożny. Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to to, że go zmusiła. Wiemy, jak bardzo jest niebezpieczna.

– Proszę popatrzeć uważnie, doktorze. Berasategui idzie

z własnej woli, a ona mu towarzyszy.

Sarasola spojrział na ekran: widać było, że lekarz bierze swoją towarzyszkę pod rękę, a drugą ręką wskazuje kierunek.

– Potrzebujemy zdjęcia doktora Berasateguiego.

Szef ochrony podał im kartę z przypiętą fotografią. Amaia przyjrzała się jej uważnie. Gdyby do twarzy ze zdjęcia dodać okulary i bródkę, niewątpliwie byłby to tajemniczy gość z kliniki Santa María de las Nieves.

Najgorszy jest lęk, którego się już zakosztowało, którego smak, zapach i dotyk dobrze znamy. Stary, zapleśniały wampir, który drzemie, zagrzebany pod codziennością i rutyną, którego staramy się trzymać na dystans, udając, że jesteśmy spokojni, a jest to spokój tak fałszywy, jak fałszywy bywa uśmiech. Najgorszy jest taki lęk, który poznaliśmy pewnego dnia i który od tamtej pory spoczywał nieruchomo w jakimś zakątku naszego umysłu, ale dochodziło do nas jego zawilgłe, ochryple dyszenie. Najgorszy jest taki lęk, który odczuwamy na samą myśl o tym, że może wrócić. W snach widzimy, że alarmowe czerwone światło nadal się pali, przypominając nam, że lęk nie został zwyciężony, że jedynie śpi. Jeśli będziesz miał szczęście, nie wróci. Zdajesz sobie sprawę, że gdyby wrócił, nie zniósłbyś tego. Jego powrót oznacza, że pogrążysz się w szaleństwie, oznacza zagładę.

Chociaż matka przez ostatnie dni leżała unieruchomiona, szła dość pewnie, trochę sztywno, ale stabilnie. Spod puchówki wystawały zbyt białe nogi i stopy w tenisówkach. Szurała nimi, niemal nie odrywając stóp od podłogi. Amai przyszło do głowy, że tak samo szura nogami ciotka Engrasi w za dużych kapciach, i zastanowiła się, czy powód jest ten sam. Zobaczyć tak nagle matkę idącą na własnych nogach, to było jak aberracja, obracająca wniwecz racjonalizacje, które przez długie lata próbowała wytworzyć w swoim umyśle. Lęk wyzwolił się spod kontroli i z jakiegoś miejsca w głębi duszy Amai mała dziewczynka krzyczała: „Idzie po ciebie! Idzie po ciebie!”.

Po plecach przebiegł jej dreszcz, jak wyładowanie elektryczne. Przełknęła ślinę, która nagle stała się zbyt gęsta, i starała się zaczerpnąć tyle powietrza, ile mogła, żeby zrekompensować

płucm ten czas, kiedy wstrzymywała oddech.

– Czy możemy liczyć na księdza pomoc? – spytała ojca Sarasolę.

– Mogła pani od pierwszej chwili – odpowiedział.

W tonie jego głosu można było wyczuć zarzut. Amaia to zignorowała. Wiedziała, że nie podobało mu się, że policja traktuje go jak podejrzanego, ale taka była jej rola, a on nie był w stosunku do niej całkiem szczery. Podeszła do niego na tyle blisko, żeby mieć pewność, że nie usłyszą jej pozostali.

– Nie mogę uwierzyć, że wszechwładnemu pasterzowi Sarasoli wymknęła się ze stada jedna owieczka, gdy spał pod oliwką. Nie stawiam księdzu żadnych zarzutów, a nawet jestem skłonna uwierzyć, że nie wiedział ksiądz, co księdza chłopaczek wyrabia na własną rękę – użyła słowa „chłopaczek”, żeby podkreślić, że doktor za to odpowiada – ale jestem pewna, że gdybym przesłuchała wszystkich księdza podwładnych, co niewątpliwie byłoby dla wizerunku kliniki bolesnym ciosem, zeznaliby, że szef oddziału psychiatrii kazał im wyszukiwać takie nadzwyczajne przypadki, w których się specjalizujecie, te z dodatkowym aspektem, te z odcieniem zła. Wyszłoby na jaw także to, że klinika zajmuje się wolontariatem w więzieniach nie z altruistycznych pobudek, że chodzi o politykę księdza, o księdza zainteresowanie konkretnym typem pacjentów, których w więzieniach musi być bez liku, nieprawdaż? Doktor Berasategui powiadomił księdza o przypadku Rosario, ale akcja wybierania pacjentów specjalnych nie skończyła się na tym i odważę się zasugerować, że miał wolną rękę i mógł nadal prowadzić poszukiwania.

Sarasola patrzył na nią, pozornie nieporuszony, ale było oczywiste, że jej insynuacje go zdenerwowały.

– Polityka naszej kliniki, jeśli chodzi o wybieranie pacjentów psychiatrycznych, jest powszechnie znana, tak zresztą jak hojność i altruizm, które okazujemy, lecząc więźniów w zakładach karnych, i jak pani słusznie zauważyła, pracownicy są poinstruowani, żeby wybierali przypadki, które są dla nas najbardziej interesujące, zawsze w służbie nauki i badań, które mogą zapewnić lepsze życie naszym pacjentom i ich rodzinom.

Amaia odparła niecierpliwie:

– To nie konferencja prasowa, doktorze Sarasola. Wiedział ksiądz, że Berasategui szuka więźniów cierpiących na choroby psychiczne mające ten odcień zła, i popierał pan to, czy też prawdziwym szefem oddziału psychiatrii jest on?

Jego oczy rozjarzyły się, ale ton się nie zmienił.

– Podpisałem się pod jego wizytami. Robię to dla wszystkich członków mojego zespołu, ale nie wiedziałem o tym, co doktor Berasategui robił równolegle. Wykluczam współdziałanie moje i kliniki i nie biorę żadnej odpowiedzialności za przestępczą działalność doktora Berasateguiego.

Amaia uśmiechnęła się: czy miała do czynienia z menedżerem korporacji, do końca niezłomnym i twardym, czy z wielkim inkwizytorem, podstępny i chytry? Było jej wszystko jedno, najważniejsze, że poszedł na ustępstwa, więc i ona postanowiła wyciągnąć do niego rękę.

– Wiem, że sami nie możemy się teraz z nimi zapoznać, więc chciałabym księdza prosić, żeby ksiądz jak najszybciej przejrzał zapisy sesji z moją matką, żeby stwierdzić, czy coś, co powiedziała, może nam się przydać jako poszlaka. Będę też potrzebowała pomocy szefa ochrony.

Sarasola przywołał ochroniarza. Ochroniarz stanął prawie na baczność i skinął głową.

Amaia zwróciła się do niego:

– Proszę powiedzieć inspektorowi Montesowi, jaki samochód ma doktor Berasategui i jaki ma numer rejestracyjny, żebyśmy mogli wystawić list gończy. Potrzebuję też wszelkiego rodzaju dokumentacji związanej z Berasateguim: życiorysu, świadectw, dyplomów, umowy i podania o pracę, listów polecających, jeśli jakieś macie. I oczywiście numeru telefonu, adresu i danych jego rodziny.

Sarasola wyciągnął komórkę.

– Zadzwoń do swojej sekretarki, niech się tym zajmie.

Iriarte wtrącił się do rozmowy:

– Czy mógłby nam doktor przydzielić jakieś biurko do pracy?

– Możecie korzystać z gabinetu szefa ochrony.

Montes wszedł do pokoju z powiększeniami zdjęć

Berasateguiego w ręce, bardzo przejęty.

– Zabalza mówi, że nazwisko tego faceta pojawia się na jego listach, co najmniej dwa razy. – Popatrzył na Amaię, jakby nie mógł się otrząsnąć ze zdumienia. – Niech mnie, szefowo, ten typ, to znaczy doktor Berasategui, był moim terapeutą, kiedy byłem zawieszony. To właśnie on prowadził treningi kontrolowania złości.

Amaia zerknęła na niego, zaskoczona, i stwierdziła:

– Inspektorze, to pocieszająca wiadomość. Nic dziwnego, że miał pan ochotę mnie zamordować.

Używając kodu Sarasoli, Amaia uzyskała dostęp do całości dokumentacji dotyczącej doktora Berasateguiego. Wspaniałe CV, edukacja w Szwajcarii, Francji, Anglii. Urodzony w Nawarze, nie podano, gdzie dokładnie. Nie było także danych rodziców ani ich adresu.

– Wydaje się, że doktor zerwał wszelkie więzi z rodziną. Jest natomiast jego adres tutaj, w Pampelunie. Według akt nie jest żonaty i mieszka sam.

– Dobrze. Zadzwoń z samochodu do sędziego, ale przedtem proszę wysłać mailem zdjęcie Berasateguiego do zakładów karnych w Pampelunie i Logroño. Musimy wiedzieć, czy go tam znają. Proszę zaznaczyć, że to bardzo pilne. Jeśli to konieczne, proszę znaleźć dyrektorów więzień, muszę to wiedzieć jak najszybciej. Proszę wysłać też zdjęcie do komisariatu w Elizondo. Niech patrol odwiedzi Nurię i matkę Johany Márquez i niech im pokażą to zdjęcie.

Ulice Pampeluny nadal były pełne ludzi. Wybrali się na zakupy, choć zbliżała się już pora zamykania sklepów. Amaia zadzwoniła z samochodu do Markiny. Odetchnął z ulgą, kiedy się dowiedział, że wszystko wskazuje na to, że Sarasola nie jest zamieszany w sprawę i że ten lekarz, Berasategui, działał na własną rękę.

– Jesteśmy w drodze do jego mieszkania. Będę potrzebowała nakazu sądowego, żeby wejść do jego domu i go przeszukać, nawet pod jego nieobecność.

– Może pani na mnie liczyć.

– ...i jeszcze coś.

– Co tylko pani zechce.

– Chciałabym panu podziękować za poprzedni nakaz.

– Doprawdy nie ma za co. Racja była po pani stronie. Kluczem do sprawy były zeznania Sarasoli, choć to nie on okazał się tym, kogo szukamy.

Montes i Amaia wjechali windą z portierem. Etxaide i Iriarte weszli schodami. Stanęli po obu stronach drzwi. Montes mocno załomotał.

– Policja, otwierać! – krzyknął i też odskoczył na bok.

Nie było odzewu. Nie wyczuli żadnych oznak ruchu.

– Już wam mówiłem, że go nie ma – odezwał się portier zza pleców Amaia. – Czasem długo siedzi za granicą i teraz też z pewnością jest w podróży. Nie widziałem pana Berasateguego już od ponad tygodnia.

Amaia skinęła na Iriartego. Wziął od portiera klucz i otworzył zamek, a Montes nacisnął klamkę, popchnął drzwi i z pistoletem w ręku wtargnął do środka. Za nim weszli pozostali.

– Policja!

– Nikogo nie ma – krzyknął Iriarte z głębi mieszkania.

– Nikogo – powtórzył Montes z sypialni.

– Dobrze. Przeszukamy mieszkanie; proszę nie zapomnieć o rękawiczkach.

Mieszkanie składało się z salonu, kuchni, sypialni z łazienką, pokoju do ćwiczeń i wielkiego tarasu. Całość miała około dwustu metrów kwadratowych, a panujący wszędzie porządek i ład sprawiały wrażenie niemal klasztorne. Przyczyniało się do tego również biało-czarne umeblowanie.

– Szafy są prawie puste – powiedział Iriarte. – Prawie nie ma ubrań ani nic innego. Nie znalazłem też komputera ani telefonu.

Jonan stanął w drzwiach kuchni.

– Szafki kuchenne też są puste, w lodówce jest tylko kilka butelek wody, ale pod blatem znaleźliśmy małą zamrażarkę szufladową. Lepiej przyjdzie zobaczyć.

Był to raczej nowoczesny model ze stali nierdzewnej, doskonale wpasowany między szafki kuchenne i pod blat. Dość podobny do chłodziarki do wina, miał kilka szuflad. Podinspektor wyciągał jedną po drugiej, żeby zademonstrować, że nic w nich nie ma. W środku nie było szronu. Wydawało się, że wewnątrz jest tak czyste, jak gdyby sprzęt właśnie przywieziono ze sklepu. Jedyne na górnej półce leżało dwanaście różnych rozmiarów pakunczków, nie większych od telefonu komórkowego. Leżały w rzędach i zajmowały całą wysuwaną półkę. Zwraçała uwagę staranność, z jaką zostały ułożone i opakowane w gruby, sztywny woskowany papier w kolorze kremowym. Wszystkie były przewiązane bawełnianym sznurkiem, zawiązanym na kokardkę. Wyglądałyby jak maleńkie prezenty, gdyby nie kartonowa etykieta, która zwisała z każdego z nich i którą wszyscy natychmiast rozpoznali, ponieważ setki razy widywali takie same, przywiązane do palucha u nogi zwłok przechowywanych w kostnicy. Na wydrukowanych liniach do wpisywania danych figurowały wypisane ręcznie – węglem, pomyślała Amaia – serie cyfr. Rozpoznała daty.

– Przyniosłeś ekwipunek? – spytała Jonana.

– Mam go w samochodzie, już lecę.

– Chcę mieć zdjęcia wszystkiego. Niczego nie dotykajcie,

zanim podinspektor Etxaide nie skończy.

– Co według pani jest w tych zawiniątkach? – spytał jakiś głos od progu.

Odwróciła się i zobaczyła sędziego Markinę – wszedł po cichu – i całą ekipę. Wszyscy zebrali się wokół otwartej zamrażarki. Przez jej otwarte drzwiczki w regularnych odstępach czasu wydobywały się opary mroźnego powietrza. Ciężko opadały na niepokalanie czystą podłogę i znikwały, zostawiając po sobie wrażenie zimna, które koncentrowało się wokół stóp.

Nie miała zamiaru odpowiadać na to pytanie. Uważała, że nawet w najmniejszym stopniu nie należy snuć przypuszczeń. W odpowiednim czasie wszystko stanie się jasne.

– Panowie, potrzebujemy miejsca do pracy – wskazała na wracającego podinspektora Etxaide. – Montes, ma pan przy sobie dane wszystkich zabójstw?

Inspektor wyciągnął BlackBerry i podniósł do góry, pokazując wszystkim.

– Sądzę, że to daty. Tutaj mamy trzydziesty pierwszy sierpnia ubiegłego roku. To data zaginięcia Lucí Aguirre. Piętnasty listopada dwa lata temu, to María z Burgos, a dokładnie pół roku wcześniej, drugiego maja, Zuriñe, z Bilbao...

Inspektor Montes potwierdził.

Jonan położył obok pakunków znacznik i zaczął robić zdjęcia pod różnymi kątami. Amaia przeleciała wzrokiem kilka etykietek. Daty nic jej nie mówiły, aż zwróciła uwagę na jedną z paczuszek. Była najmniejsza ze wszystkich, nie większa od zapalniczki, a na papierze widniały ślady dawnych zagnieceń. Sznurek, z którego zwisała etykieta, był poluzowany, sprawiał wrażenie zawiązanego w pośpiechu i wydawało się, że nie trzyma się zbyt dobrze na sztywnym papierowym opakowaniu. Sprawdziła datę: luty ubiegłego roku. Data zabójstwa Johany Márquez. Odetchnęła głęboko.

– Jonanie, zrób zdjęcia tego pakunku. Sznurek ledwie się trzyma i stan papieru wskazuje na to, że kilka razy go rozwijano i zawijano.

Poczekala, aż skończy fotografować, i pęsetą wyciągnęła pakuneczek z zamrażarki. Położyła go na płótnie, które

rozłożyła na blacie. Dbając o to, żeby nie rozwiązać węzła, odsunęła sznurek i, nadal pęsetą, odwinęła papier. Leżał rozchylony i sztywny, jak płatki dziwnego kwiatu. W środku cienka warstwa przezroczystej folii pokrywała małą porcję mięsa. Łatwo było się domyślić, co to jest. Widać było wydłużone włókna mięśniowe, na końcach postrzępione i zbiele, co wskazywało na to, że kilka razy zamrażano je i rozmrażano.

– O kurwa! – szepnął Montes. – Szefowo, sądzi pani, że to ludzkie mięso?

– Tak, myślę, że tak. Trzeba będzie poczekać na wyniki badań, ale wygląda podobnie jak próbki, które widziałam w Quantico.

Kucnęła, żeby dokładnie i z bliska obejrzeć przecięcie na końcu.

– Widzicie? To ślady zębów. Nadgryzał to. Z białawego zabarwienia, będącego oznaką ściecia mrozem, różnego w różnych partiach, wnioskuję, że to rozmrażał, nadgryzał i zamrażał z powrotem.

– Jakby to był przysmak, który chce się zachować, a jednocześnie nie można mu się oprzeć – stwierdził Jonan.

Amaia popatrzyła na niego z uznaniem.

– Bardzo dobrze, Jonanie. Zawiń to z powrotem i odłóż na miejsce, niech ci od oględzin się tym zajmą. – Podniosła się i wyszła z kuchni.

Obeszła całe mieszkanie. Usiłowała uchwycić jego nastrój, wyczuć jakiś przekaz.

– Sądzę, że to tylko dekoracja.

Wszyscy zebrali się wokół niej.

– Wszystko, ta sala do ćwiczeń, meble, to wspańiale mieszkanie, w którym, jak stwierdził portier, Berasategui właściwie nie bywał. To tylko dekoracja. Część maski, za którą się ukrywa, konieczna, żeby stworzyć obraz, który by pasował do młodego, odnoszącego sukcesy psychiatry. Adres, miejsce, gdzie można czasem zaprosić kolegów na kieliszek wina, a nawet czasem – jestem o tym przekonana – jakąś przypadkową kobietę. Nieczęsto, tylko po to, żeby nadać temu wszystkiemu pozory normalności. Jest tu tylko jedna rzecz,

która mówi coś o nim: te zawiniątka z zamrażarki. Jeszcze coś, czego nie ma, ale co się rzuca w oczy: nie ma bałaganu, nie ma chaosu ani brudu. Wszystko jest niepokalanie czyste i uporządkowane, i to jest autentyczne. Wielki manipulator musi się kierować żelazną dyscypliną.

– A więc...

– To nie jest jego mieszkanie. Nie tutaj mieszka, ale potrzebuje tego miejsca jako części tożsamości, którą pokazuje publicznie. To dlatego spędza tutaj tak mało czasu, najmniej, jak to tylko możliwe, żeby zachować pozory, ale wystarczająco dużo, żeby zatęsknić za prawdziwym domem, za swoimi rzeczami, swoimi trofeami. Tutaj z pewnością się nudzi. Radzi sobie z tym, przynosząc tu coś ze swojego prawdziwego domu, coś, co go łączy z jego prawdziwym światem, z tym, kim jest naprawdę. To dlatego przyniósł tutaj próbki, maleńkie kawałeczki fetyszy, dzięki którym może znosić to podwójne życie.

– Pani inspektor – przerwał jej Iriarte – telefon z Elizondo. Nuria mówi, że nigdy w życiu nie widziała tego człowieka, ale właśnie jest u niej matka Johany Márquez, która mówi, że chce z panią zamienić kilka słów.

– Tak, pani inspektor, znam go. Był klientem warsztatu, w którym pracował... ten szatan, mój mąż. Niech go Pan Bóg skarże. Nie mogę wymówić jego imienia po tym, co nam zrobił. Proszę mi wybaczyć, ale mam nadzieję, że już się smaży w piekle. No więc ten klient miał luksusowy samochód, chyba mercedesa, nie jestem pewna, bo nie znam się na samochodach, ale ten rozpoznawałam, po takiej jakby gwieździe. Przyjechał nim pewnego dnia do warsztatu i potem przyjeżdżał jeszcze kilka razy, ale nie żeby reperować auto, tylko żeby się kawy napić z tym... no, z nim. Pewnego razu zauważyłam ich w barze, kiedy przechodziłam obok. Ten pan był bardzo elegancko ubrany i było po nim widać, że jest zamożny i wykształcony. Wydało mi się nawet dziwne, żeby ktoś z wyższej sfery przyjeżdżał pić kawę z mechanikiem bez studiów. Spytałam go o to, ale powiedział, że to nie moja sprawa. I potem jeszcze kilka razy widziałam tego pana.

– Dziękuję, Inés. Bardzo nam pomogłaś.

Rozłączyła się i przez chwilę wpatrywała się w zdjęcie Berasateguiego, które jej przesłano na komórkę ze szpitala. Wygasła je i wybrała numer ciotki Engrasi. W telefonie rozległ się sygnał, ale nikt nie odbierał. Spojrzała na zegarek i stwierdziła, że jest prawie dziewiąta. Zupełnie niemożliwe, żeby ciotka wyszła z domu o tej porze. Zadzwoiła na komórkę Ros. Odebrała po pierwszym dzwonku.

– Ros, martwię się, dzwonię do domu i nikt nie odbiera.

– Telefony nie działają. Nad Elizondo rozpętała się okropna burza i trzy kwadrans temu wyłączyli prąd. Jestem w wytwórni z Ernestem i nie możesz sobie nawet wyobrazić, co tu się dzieje. Szykowaliśmy ogromne zamówienie dla francuskiego supermarketu. Miało być gotowe na pojutrze. Ernesto został z dwoma pracownikami, żeby dopilnować wypieku, ale kiedy zabrakło prądu, piece wygasły i straciliśmy wszystko, co było w środku. Ciasto się rozlało i poprzyklejało do blach, a na domiar złego system oczyszczania piekarników nie działa bez elektryczności, więc drapiemy blachy skrobakami pod kranem, przy świecach, i modlimy się, żeby jak najszybciej włączyli prąd. Muszę tu zostać nie wiem do kiedy, ale nie martw się, ciotka zapaliła w salonie świece zapachowe i wszystko jest w porządku. Zresztą jak chcesz, możesz do niej zadzwonić na komórkę.

– Ciotka ma komórkę?

– Tak. Nie mówiła ci? To dlatego, że jej nie lubi. Kupiłam jej niedawno, bo bałam się, że coś jej się stanie, kiedy sama gdzieś pójdzie. Nie tak dawno jedna kobieta z Erratzu upadła na drodze i leżała tak dwie godziny, zanim ktoś ją znalazł, więc udało mi się ciotkę przekonać. Ale i tak zawsze zapomina ją naładować. – Zaśmiała się i podała Amaia numer.

Amaia zadzwoniła.

– Engrasi Salazar przy telefonie.

Amaia aż się zakrztusiła ze śmiechu. Nie mogła złapać tchu.

– Ciociu, to ja.

– Córciu, jak się cieszę. Przynajmniej do czegoś się przydał ten rupieć.

– Jak się czujecie?

– Świetnie. Oświetleni blaskiem świec i ogrzani ciepłem kominka. Właśnie kończyliśmy kąpać Ibaia, kiedy twoja siostra musiała pilnie pójść do wytwórni. Zadzwonił po nią Ernesto. Mieli ciasto w piecach i cały wypiek im się zmarnował. Leje nieprzytomnie, podobno na placu jest wody po kolana, i na ulicy Jaimego Urrutii. Wozy strażackie jeżdżą to tu, to tam, wyją syreny i biją pioruny, ale twojemu synkowi to nie przeszkadza. Wypił swoje mleczko i śpi jak aniołek.

– Ciociu, chciałabym cię o coś zapytać.

– Oczywiście, pytaj.

– Ten człowiek, który uprawia warzywa w Juanitaenei.

– Tak, Esteban Yáñez.

– Aha. Mówiłaś, że miał syna. Pamiętasz, czy był podobny do ojca?

– Jak dwie krople wody. Przynajmniej kiedy był mały.

– Wiesz może, jak miał na imię?

– Nie, kochanie, nie wiem. Przez kilka lat mnie tu nie było. Nie pamiętam, czy potem ktoś wspomniał, jak miał na imię. To już raczej ty mogłabyś go pamiętać. Był trochę starszy od ciebie, ze trzy lata.

Amaia poszukała w pamięci. Nie, nie była w stanie sobie przypomnieć. Trzy lata to dla tak małych dzieci cała epoka.

– No i cóż, już ci mówiłam, że biedaka wysłali do internatu, kiedy jego matka umarła. Miał wtedy nie więcej niż dziesięć lat. Wiesz, te drogie szkoły w Szwajcarii, ale żadnej czułości, nikogo bliskiego.

– Dobrze, ciociu, dziękuję. Aha, jeszcze coś: czy twoja komórka jest naładowana?

– Nie wiem, jak to sprawdzić.

– Popatrz na ekran. Na górze są takie kreseczki. Ile kreseczek widzisz?

– Poczekaj, muszę założyć okulary.

Amaia uśmiechnęła się, słysząc, jak ciotka się guzdrze.

– Jedna kreseczka.

– Jest prawie rozładowana, a teraz nie możesz jej naładować.

– Twoja siostra zawsze na mnie z tego powodu krzyczy, ale zapominam. Przecież sama wiesz, że tego telefonu nie używam.

Już miała się rozłączyć, kiedy przyszło jej coś do głowy.

– Ciociu, a ta kobieta, która się zabiła, matka tego chłopaka... Pamiętasz, jak miała na imię?

– Tak, oczywiście. Margarita Berasategui. Taka miła kobieta. Co za nieszczęście.

Ktoś dzwonił. Amaia pożegnała się z ciotką i odebrała. Ojciec Sarasola.

– Pani inspektor Salazar, zastanowiłem się nad tym, co Rosario mówiła podczas sesji terapeutycznych. Nie było tego wiele, ale najbardziej zwróciło moją uwagę to, że wydawało się, że bardzo chce poznać swoją wnuczkę.

– Ona nie ma wnuczki.

– No cóż, pani niedawno urodziła, prawda?

– Tak, ale mam syna. Zresztą nie sądzę, żeby ona o tym wiedziała... Bo skąd?

Rozłączyła się i natychmiast wybrała następny numer. Wpatrywała się w klasztorny wystrój mieszkania zabójcy.

– Amaia? Co za niespodzianka. Czemu zawdzięczam honor...

– powiedziała Flora.

– Floro, powiedziałaś amie, że urodziłam syna?

Flora odpowiedziała już zupełnie innym tonem:

– Nie... No cóż...

– Powiedziałaś jej czy nie?

– Tak. Powiedziałam jej, że zostanie babcią. Wtedy jeszcze myśleliśmy, że będziesz miała córeczkę, ale kiedy zobaczyłam, jak zareagowała, nigdy więcej nie poruszałam tego tematu.

– Co odpowiedziała?

– Co?

– Powiedziałaś, że zareagowała źle. Co powiedziała?

– Na początku spytała, jak będzie miała na imię, a ja odpowiedziałam, że jeszcze nie wybrałaś imienia... Przysięgam, że wydawała się bardzo zadowolona, ale potem powiedziała coś... coś takiego... Zaczęła się śmiać i wykrzykiwać coś okropnego...

– Co powiedziała, Floro?

– Amaio, lepiej, żebyś nie wiedziała. Przecież wiesz, że ona jest bardzo chora i czasami mówi straszne rzeczy.

– Flora! – krzyknęła Amaia.

Głos Flory drżał, kiedy mówiła:

– Zjem tę małą dziwkę.

Atak paniki powoduje gwałtowne przyspieszenie akcji serca, następuje nagły wyrzut adrenaliny, przez co serce bije jeszcze mocniej. Napinają się mięśnie twarzy, usta wykrzywiają się w grymasie będącym parodią uśmiechu, oddech staje się spazmatyczny i szybki, oczy wychodzą z orbit, wywołując wrażenie, że otwierają się szeroko, i niemal całkowicie traci się zdolność widzenia tego, co z boku.

– Amaio, co się stało?! – krzyknął Markina, podchodząc do niej.

– Zabiją mojego syna. Jadą do Elizondo, to dlatego ją uwolnił. Zabiją mojego syna! Na to czekał Garrido! James jest w Bilbao, a my tutaj, zajęci tym cyrkiem. Omotał nas, zajął nas tym głównem, a teraz zabije mojego syna! Chcą zabić Ibaia. O Boże! Jest sam, tylko z moją ciotką – z oczu Amai ciekły strumienie ciepłych gęstych łez.

Wszyscy wypadli z kuchni.

– Dzwoniła pani do domu? – spytał Iriarte.

Zaskoczył ją. No tak, trzeba to zrobić. Panika odebrała jej zdolność myślenia. Wyciągnęła komórkę i zadzwoniła do ciotki. Usłyszała sygnał, ale kiedy ciotka spróbowała odebrać, połączenie zostało przerwane. Zobaczyła koszmar z własnej przeszłości: matkę nachylającą się nad kołyską Ibaia, jak tyle razy nachylała się nad jej łóżeczkiem. Przebłysk logiki odgonił koszmarny obraz. Komórka ciotki jest nienaładowana, miała jedną kreskę. Ciotka próbowała odebrać i bateria wyczerpała się do reszty. Niemal mogła sobie wyobrazić, jak Engrasi pomstuje na bezużyteczny telefon.

– Komórka ciotki jest wyładowana, stacjonarny nie działa, w Elizondo od godziny nie ma prądu.

– Jedziemy, pani inspektor. Zmobilizujemy wszystkich, zatrzymamy ich.

Nie czekali na windę, zbiegli po schodach. Iriarte i Montes, biegnąc, rozmawiali przez komórki. Kiedy dobiegli do samochodów, Amaia odzyskała kontrolę nad sobą, ale Jonan

wyrwał jej kluczyki i nie zaprotestowała. Miała ciężką głowę, jakby była pod wodą albo miała na głowie kask, przez który nie mogła widzieć wszystkiego, co się działo. Dostrzegła, że sędzia stoi obok niej.

– Jadę z tobą – powiedział.

– Nie – udało jej się powiedzieć. – Nie może pan.

Złapał ją za ręce.

– Amaio, nie mogę pozwolić, żebyś jechała sama.

– Powiedziałam nie – wyrwała dłonie z jego rąk.

Złapał ją jeszcze mocniej.

– Pojadę z tobą. Będę tam gdzie ty.

Usiłowała pomyśleć. Popatrzyła na niego i powiedziała:

– Dobrze, ale drugim samochodem.

Skinął głową i pognął w stronę samochodu Montesa.

Telefon Jonana zadzwonił, kiedy już ruszyli. Włączył tryb głośnomówiący. Doszedł do nich wyraźny głos inspektora Iriartego:

– Pani inspektor, mam wszystkie patrole na ulicach. Wie pani już, że rzeka Baztán wczoraj wylała, a dzisiaj jest jeszcze gorzej z powodu burzy. Ponad połowa doliny jest bez prądu. Drzewo uderzone piorunem spadło na linię i minie kilka godzin, zanim to naprawią. Do tego z powodu zalania oberwał się strop w tunelu Belate. Szosa N-121 jest zablokowana. To może być dla nas korzystne. Jeśli musieli zawrócić, żeby pojechać szosą NA-1210, stracili sporo czasu. Podobno jest okropny korek. Dzwoniłem także do straży pożarnej z Oronoz, ale wszystkie wozy zostały wezwane do interwencji i nie mogłem się dodzwonić. Usiłuję dzwonić na numery prywatne. Tak czy owak jeden patrol policji już jest w drodze do pani domu.

Moja siostra, pomyślała nagle Amaia i wykręciła numer Ros.

– Jest jeszcze gorzej, niż myślałam, siostrzyczko – powiedziała Ros.

Amaia jej przerwała:

– Ros, musisz iść do domu. Pewien lekarz pomógł amie uciec z kliniki. Powiedziała Florze, że zabije tę małą dziwkę, którą urodzę – mówiąc to, poczuła, że jej oczy znów wypełniają łzy. Z wysiłkiem przełknęła ślinę. – Ros, ona zabije Ibaia! Zabije go,

bo nie udało jej się zabić mnie.

Kiedy Ros odpowiedziała, słysząc było, że biegnie:

– Ros, nie idź sama, weź Ernesta!

W telefonie rozległ się przeraźliwy grzmot gromu. Połączenie zostało przerwane albo Ros się rozłączyła. Amaia została sama.

Szosa NA-1210 jest jedną z najpiękniejszych dróg przecinających Nawarrę. Otacza ją bukoliczny zielony las. Światło słońca prześwituje przez korony drzew, tworząc na gęstym poszyciu świetliste plamy. Ta dawna szosa krajowa, uczęszczana przez ciężarówki, jest jednak niebezpieczna nawet w dzień: wąskie pasmo drogi, asfalt w złym stanie, garby i kałuże, a niekiedy spadające gałęzie albo wyskakujące z lasu zwierzęta. A jeśli dodamy do tego nocne ciemności, przecinające niebo błyskawice, ulewę i nawałnicę, i cały ruch drogowy, zwykle rozdzielony między dwie szosy, zobaczymy najprawdziwsze piekło.

Amaia nie zwracała uwagi na drogę. Postanowiła nie dać się opanować koszmarom, które wytwarzał jej umysł, i skupiała się na tworzeniu profilu tarttala, profilu psychopaty. Psychopaci nie znają empatii. Tacy już się rodzą, niezdolni do odczuwania czegokolwiek, co wynika z doświadczenia, jakim jest wejście w położenie drugiego człowieka. Nie mogą odczuwać litości ani współczucia, solidarności ani sympatii. Mogą jednak przeżywać emocje wywołane przez muzykę lub sztukę, zazdrość i pożądanie, złość i satysfakcję. Taki człowiek jest absolutnym władcą świata zaludnionego przez jedną osobę, przez niego, ale doskonale funkcjonuje w społeczeństwie, udając, że jest taki sam jak inni. Jednocześnie jest całkowicie świadom swojej odmienności i to sprawia, że czuje się wybrańcem, choć z drugiej strony odczuwa niedosyt należnych mu – w jego mniemaniu – względów.

Człowiek inteligentny i doskonale wykształcony. Dziecko wyrwane z rodzinnego domu po stracie matki i odrzucone przez ojca, jedyne bliskiego człowieka, który mu pozostał. Wykuwał, może przez całe lata, doskonały plan zemsty, jaki zrealizował jako człowiek dorosły, który uległ regresji. Zawód dał mu dostęp do takich osobników, jakich potrzebował, żeby

ten plan zrealizować. Doświadczony manipulator. Kierował innymi jak właściciel teatrzyku marionetek, napinając i luzując sznurki, prowadząc ich, gdzie chciał. Geniusz grozy. Nienaganny nawet w najdrobniejszych szczegółach, zdolny podporządkować sobie ślełą złość ludzkich bestii i wymierzyć ją, jak precyzyjną broń, przeciwko nim samym. Przekonał ich, żeby położyli kres własnemu życiu. Wymyślił prowokację, wszystkie te profanacje, i wprowadził ją w życie. Manipulował także własnym ojcem. Pycha jest jego siłą napędową.

Zaczęła się zastanawiać, od kiedy wiedział o jej rodzinnym *itxusuria*. Czy to jego ojciec znalazł mogiłki, przypadkiem, podczas kopania? Czy potwierdził, że przy tak starym domu jak Juanitaenea powinien być domowy cmentarzyk? Tak czy owak tarttalowi udało się uzyskać wspaniały efekt i do swojej listy niezwykłych okropności mógł dodać jeszcze jeden koszmar. Ale okazało się, że nawet on nie jest nieomylny. Paradoksalnie zdradziła go ludzka słabość, relikw ludzkich uczuć, zachowany gdzieś głęboko. Najprawdopodobniej przypadkiem trafił do warsztatu, w którym pracował Jasón Medina, i równie przypadkowo natknął się tam na Johanę. Amaia była przekonana, że z miejsca odrzucił Jasóna Medinę jako materiał na wykonawcę i sługę, gdyż zdawał sobie sprawę, że nie da się kogoś takiego kontrolować. Przestępcy, którzy stosują przemoc seksualną, zawsze kończą jako recydywiści, nie działają na nich kary i terapie, nigdy się nie udaje ich reedukować, bo jeśli zawładnie nimi żądza, dążą do jej zaspokojenia niezależnie od konsekwencji.

Berasategui musiał o tym wiedzieć. Był ekspertem, ale zgubiła go chciwość. Johana. Pożądał jej mięsa, miękkiego i soczystego. Mięsa niewinnej, czystej dziewczynki, która obudziła w nim nowe emocje. Napawał się fascynacją, którą w nim obudziła i która przypominałaby, gdyby był do tego zdolny, zakochanie. Johana stała się jego obsesją i odkrył, że nie jest w stanie się tej obsesji oprzeć. Dał się ponieść chciwości, chęci posiadania. I wtedy popełnił jedyny błąd, jaki był w stanie popełnić taki umysł jak jego. Postąpił inaczej niż zwykle i zostawił na widoku kluczowy element, kluczowy dowód w śledztwie. Na taki dowód

czeka każdy policjant śledczy. Niespójność. Jesteśmy niewolnikami swoich przyzwyczajzeń.

Był świetnym manipulatorem i wyrafinowanym podżegaczem, znalazł jednak w Rosario kogoś, kto go przewyższył, kto sprawił, że jego kanibalistyczne kaprysy w porównaniu z jej możliwościami zbladły. Amaia zdała sobie z tego sprawę, gdy w towarzystwie Sarasoli oglądała nagranie z kamer z kliniki uniwersyteckiej. *Tarttalo* szedł z jej matką z własnej woli i mógł się uważać za mistrza tresury wściekłych ludzkich bestii, ale jeśli choć przez chwilę przeszła mu przez głowę myśl, że uda mu się ją zdominować, bardzo się mylił. Za nią przemawiał czas. Jej cel został wytyczony w chwili, kiedy na świat przyszły jej córki bliźniaczki, i przez ponad trzydzieści lat nikomu nie udało się jej od niego odwieść.

Burza już na dobre zainstalowała się nad doliną. Choć deszcz nie był już tak ulewny, przez cały dzień nie przestało padać, a grzmoty cichły na jakiś czas tylko po to, żeby wrócić jeszcze silniejszą kanonadą. Pozbawione elektrycznego światła Elizondo wydawało się całkowicie pochłonięte przez las i jedynie przelotne światła błyskawic i frenetyczny taniec latarek dowodziły, że nadal jest na swoim miejscu.

Ros biegła ulicami z latarką w rękę. Deszcz spływał jej po głowie i zalewał oczy. Bicie serca rozbrzmiewało jej w uszach jak ogromny dzwon. Zdawała sobie sprawę, że Ernesto biegnie tuż za nią. Kiedy dotarła do domu, zobaczyła, że drzwi są uchylone. Cała energia, która podtrzymywała ją, kiedy biegła, nagle ją opuściła. Ugięły się pod nią kolana. Złapała się framugi i dotyk szorstkiego zimnego kamienia uzmysłowił jej, że stało się coś okropnego, że to miejsce, które było schronieniem przed wszelkim złem, przed chłodem, deszczem, samotnością, bólem i *gaueko*, nocnymi duchami Baztán, zostało zbrukane.

Dogonił ją Ernesto. Wyrwał jej latarkę i wszedł do domu. Nadal było dość ciepło, mimo że drzwi stały otworem. Było kompletnie ciemno, a w powietrzu unosił się cierpki zapach, jaki zostawiają po sobie świeżo zgaszone świece. Słaby, pomarańczowy poblask dogasających polan w kominku pozwalał dostrzec, że w salonie panuje nieład. Ernesto omiół snopem światła cały pokój. Obok stołu leżało przewrócone krzesło, a szczątki wazonu ze świeżymi kwiatami, który Engrasi zawsze stawiała na stole, leżały rozrzucone na podłodze. Jeden z foteli uszaków ktoś popchnął na kominek. Gdyby ogień sięgał wyżej, z pewnością wybuchłby pożar.

– Ciociu! – zawołała Ros i sama nie rozpoznała własnego głosu.

Światło latarki oświetliło obnażone nogi staruszki. Leżała na podłodze w zadartym do góry szlafroku. Górna część jej ciała

była ukryta za fotelem. Ernesto podszedł i odsunął go.

– Boże drogi! – cofnął się o krok, kiedy ją zobaczył.

Ros nie chciała na nią spojrzeć. Już od progu wiedziała, że nie żyje.

– Ona nie żyje, prawda? Nie żyje.

To Ernesto nachylił się nad nią.

– Żyje, ale dostała potężny cios w głowę. Ros, dzwoń po lekarza.

W tej samej chwili zadzwoniła komórka w kieszeni jej kurtki. Drżąc jak w febrze, odebrała i spojrzała na ekran, choć nic nie widziała. Oślepiły ją łzy, ale i tak wiedziała, kto dzwoni.

– Amaio, ciocia... – Zaczęła gorzko płakać. – Prawie ją zabili, rozwalili jej głowę, wykrwawia się. Ernesto dzwoni po pogotowie, ale wszystkie wozy są w terenie. Nawet strażacy nie mogą dojechać, bo droga jest zalana! – Biegała po salonie. Nie mogła opanować paniki. – Dom jest zdemolowany, ciotka walczyła jak lew, ale nie ma Ibaia! Zabrali go, zabrali dziecko! – krzyknęła jak oszalała.

Wiesz, że to zawał, bo czujesz, że umierasz.

Całe ciało Amai się zapadło. Czuła, że na jej pierś napiera cały ocean, miała świadomość, że jej serce przestało bić, wiedziała, że umiera, i czuła ulgę, bo zdawała sobie sprawę, że jeszcze sekunda i ból i cierpienie odejdą wraz z życiem.

I wtedy zaczerpnęła tchu. Do jej płuc napływało falami powietrze. Mocno pachniało ozonem, jak tchnienie burzy, jak gdyby jakaś niewidoczna, dobrotliwa istota wdmuchiwała jej oddech siłą do nosa i ust, ratując ją z tej spokojnej, cichej morskiej głębinie, w której prawie już bezwolnie się pogrążyła.

Jeszcze raz i jeszcze raz zaczerpnęła powietrza.

– Zatrzymaj się! – krzyknęła do Jonana.

Zjechał na bok i wyskoczyła, zanim stanął. Podbiegła do maski i opierając się o nią kolanami, nachyliła się. Nie przestawała dyszeć i szybko wdychać powietrza. Wbijając wzrok w ciemność lasu, usiłowała się uspokoić i zacząć myśleć.

Usłyszała, że wóz Iriartego zatrzymuje się z tyłu, a on zbliża się biegiem.

– Co się stało? – spytał, patrząc na Jonana.

– Prawie zabili moją ciotkę i porwali mojego syna – udało jej się odpowiedzieć.

Iriarte oniemiał. Otworzył usta i nie był w stanie nic powiedzieć. Kręcił tylko głową. Obok niego stanął Markina. Nie wiedział, co robić. Jonan podniósł obie ręce do głowy, a Zabalza zasłonił ręką usta. Tylko Montes się odezwał:

– Tędy nie będą mogli przejechać. Jeśli zamkniemy tę szosę, będą mieli problem.

– On jest stąd. Zna drogi. Mogą już być we Francji.

– Nic podobnego – stwierdził Montes. – Powiadomię naszych. Zadzwońię też do Paduy i do Ertzaintza, na wypadek gdyby wybrali drogę przez Irún. I do żandarmerii, jeśli, jak pani mówi, jadą do Francji. Ale nie sądzę, żeby tak było. Nie mieli czasu, szefowo, a jeśli on jest stąd, jak pani mówi, nie będzie nigdzie jechał w tej burzy. Raczej gdzieś się ukryje. Jest ze staruszką i z niemowlęciem, to najbardziej prawdopodobne.

– Dom jego ojca – odpowiedziała Amaia natychmiast. – Jest synem... Estebana Yáñeza z Elizondo. Jeśli ich tam nie ma, sprawdźcie w Juanitaenei. Jego ojciec ma klucze – mówiła szybko, niemal w euforii. Patrzyła na Montesa, wdzięczna za wsparcie.

Wrócili do samochodu.

– Ja poprowadzę, Jonanie.

– Jest pani pewna?

Usiadła za kierownicą i przez kilka sekund siedziała nieruchomo. Inne samochody wyprzedzały ich i znikwały w mroku. Włączyła silnik i zawróciła. Jonan patrzył na nią z zaciśniętymi ustami. Był zmartwiony i próbował się kontrolować. Dobrze znała tę minę. Wróciła na szosę, przejechała kilkaset metrów i skręciła w lokalną drogę.

Od prawej wołała do niej rzeka. Mimo gęstych ciemności jej siła była tak namacalna jak siła żywej istoty. Jechali bardzo szybko między strzępami mgły, które wydawały się wytyczać jakąś inną drogę ponad tą prawdziwą, drogę dla istot eterycznych, które kierowały się w tę samą stronę co oni. Mieli szczęście, że była noc i że owce i *pottokas* były w zagrodach. Przy tej szybkości uderzenie w zwierzę oznaczałoby pewną

śmierć. Bardzo trudno jest znaleźć jakieś miejsce w lesie w środku nocy, zwłaszcza w czasie burzy. Nieliczne punkty charakterystyczne stają się niewidoczne. Amaia zatrzymała się na środku drogi i wysiadła. Oświetlała pobocza latarką. Wszystko wokół wydawało się po prostu ścianą ciemności, ale kiedy skierowała snop światła w dal, dojrzała zamknięte *caserío* na środku łąki, po drugiej stronie rzeki. Wróciła do samochodu.

– Jonanie, muszę iść. Nie mogę cię prosić, żebyś szedł ze mną, bo kieruję się przeczuciem. Jeśli jadą tam, gdzie myślę, dotrą tam szosą, a potem traktem, ale tędy jest bliżej i to jest moja jedyna szansa.

– Idę z panią – odparł, wysiadając. – To dlatego nie chciała pani, żeby sędzia jechał z nami. Już wtedy pani wiedziała, że może będzie pani musiała coś takiego zrobić.

Popatrzyła na niego. Zastanawiała się, ile usłyszał z jej rozmowy z Markiną. Zdecydowała, że to nieważne. Teraz wszystko poza jednym jest nieważne.

Zbocze było strome, ale ziemia tak rozmiękła od deszczu, że buty zapadały się w nią i dzięki temu łatwiej im było zejść na brzeg rzeki. Woda rozlewała się łagodnie między zardzewiałymi barierkami betonowego mostu. Ruszały się i groziły zarwaniem w każdej chwili. Sam most był pod powierzchnią wody i nie było go widać. Po lewej stronie sporo gałęzi i liści zaparło się o barierkę, tworząc niewielką tamę. Skierowali tam światła latarek, świadomi, że lada moment to wszystko puści. Spojrzeli na siebie i puścili się biegiem. Gdy znaleźli się po drugiej stronie, nadal mieli wrażenie, że idą po wodzie. Rzeka rozlała się po łące i sięgała im do kostek. Na szczęście ziemia nie rozmokła tak jak na zboczu, bo była gęsto porośnięta przystrzyżoną trawą, ale za to było okropnie ślisko i każdy krok kosztował ich wiele wysiłku. Dotarli do *caserío*, minęli je i zobaczyli skraj lasu. Amaia spojrzała na las z obawą, ale i determinacją, która ją napędzała od początku. Na szczęście szybko się okazało, że w gąszczu o wiele łatwiej było się poruszać. Korony drzew zadziały jak naturalne parasole i jedynie wilgotna ziemia świadczyła o tym, że przez kilka dni

mocno padało. Biegli przez gęste poszycie, oświetlając sobie drogę latarkami i usiłując dostrzec w snopach światła koniec tego labiryntu. Towarzyszył im jedynie szelest liści i ich własne oddechy. Nagle Amaia zatrzymała się. Jonan zrobił to samo, dysząc głośno.

– Już powinniśmy byli wyjść na polanę. Zgubiliśmy się.

Jonan obracał się, świecąc latarką dookoła, ale las nie dał im najmniejszej wskazówki, gdzie jest wyjście. Amaia stanęła twarzą do ciemności.

– Pomóż mi! – krzyknęła w mrok.

Jonan popatrzył na nią, zdezorientowany.

– Myślę, że jeszcze kilka metrów w tamtą stronę...

– Pomóż mi! – krzyknęła znów w ciemność, nie zwracając uwagi na towarzysza.

Jonan już się nie odezwał. Stał w milczeniu, kierując światło latarki w ziemię. Amaia stała nieruchomo, z zamkniętymi oczami, jakby pogrążona w modlitwie.

Gwizd rozległ się tak blisko, tak głośno, że Jonan z przerażenia upuścił latarkę. Kiedy się schylił, żeby ją podnieść, zobaczył, że Amaia zmieniła się w okamgnieniu. Desperacja zniknęła, zastąpiła ją stanowczość.

– Idziemy – rozkazała, i ruszyli.

Kolejny gwizd, tym razem lekko po prawej. Zmienili kurs. Po jakimś czasie tuż przed nimi rozbrzmiał jeszcze jeden, długi i głośny. Polana, na której przed kilkoma dniami pasły się owce, zniknęła pod wodą, a strumyk lamii, który łączył się tam z rzeką, spadał ze zbocza góry jak wielki jęzor wody, pokrywając całkiem głazy i paprocie, zwykle rosnące w rozlewisku. Poszukali wzrokiem małego cementowego mostku zalanego rozszalałą wodą. Nawet w tych warunkach najlepiej byłoby przejść tamtędy. Złapali się za ręce i ruszyli. Byli już niemal na drugim brzegu, gdy gruby konar, jeden z wielu niesionych nurtem rzeki, uderzył Jonana w nogę. Podinspektor stracił równowagę, padł na kolana i porwała go woda. Amaia nie puściła jego ręki. Ciągnęła go z całej siły i udało mu się podnieść. Byli już prawie na brzegu.

– W porządku?

– Tak – odpowiedział. – Ale zgubiłem latarkę.

– Jesteśmy już blisko.

Zaczęła biec w stronę zbocza.

Przedarli się przez zarośla i zaczęli podchodzić ostro pod górę. Amaia zdała sobie sprawę, że Jonan nie nadąza. Odwróciła się i skierowała na niego światło latarki. Od razu stwierdziła dlaczego: gałąź, która zbiła go z nóg na mostku, rozorała mu nogę w kostce. Nogawkę dzinsów i but miał zalane krwią.

Cofnęła się.

– Och, Jonanie...

– W porządku, idziemy – powiedział. – Proszę iść, dogonię panią.

Zgodziła się. To by było okropne zostawić go samego, rannego i bez latarki, w głębi lasu, ale musiała się spieszyć i po kilku metrach zorientowała się, że nie ma go już u jej boku. Nie mogła się zatrzymać. Wiedzieli o tym oboje. Była w połowie wysokości zbocza. Obeszła wielką skałę, która zasłaniała wejście do jaskini, i dostrzegła dochodzący ze środka pobłysk światła. Wyciągnęła glocka i zgasiła latarkę.

– Pomóż mi, Boże – poprosiła szeptem. – I ty także mi pomóż, przekłeta bogini burzy! – dodała z wściekłością.

Skradając się, wślizgnęła się do środka i zatrzymała tuż przed niewielkim skalnym załomem, który odgradzał wnętrze od wejścia. Nic nie było słyhać. Wyteżyła słuch i raczej wyczuła, niż usłyszała, szelest ubrań, kroki i... nagle... jeden z tych czarujących odgłosów, które wydawał Ibai. Oczy napełniły jej się łzami radości. Była tak wdzięczna, że jej synek żyje, że gotowa była paść tu i teraz na kolana i bić pokłony każdemu bóstwu czuwającemu nad dziećmi. Ale zamiast tego z furią przeciągnęła ręką po twarzy, zmazując z niej wszelkie ślady łez. Wpadła do środka, celując z pistoletu, i to, co zobaczyła, zmroziło jej krew w żyłach. Ibai leżał na ziemi, pośrodku skomplikowanego wzoru, który wydawał się wysypany solą albo popiołem, wśród zapalonych świec, których światło ogrzewało powietrze i sprawiało, że nie płakał, choć miał na sobie tylko pieluszkę.

Obok niego stała drewniana miska, jakiś szklany pojemnik

i lejek. Sceny, które opisała Elena, wyraźnie stanęły jej przed oczami. Nie zdając sobie z niczego sprawy, Ibai bawił się: próbował łapać swoje stópki. Rosario klęczała na ziemi i nad jego brzuszkiem trzymała sztylet. Kreśliła nim jakieś niewidzialne znaki. Miała na sobie ten sam ogromny pikowany płaszcz, tym razem rozpięty, a pod nim czarny sweter i spodnie. Włosy miała zebrane do tyłu i upięte w kok. Doktor Berasategui, tutaj, na swoich włosciach, całkiem zmieniony w tarttala, uśmiechał się zafascynowany i recytował jakby jakąś śpiewną melodię. Amaia jej nie знаła.

Serce biło jej jak szalone i poczuła, że pot spływa jej po rękach grubymi kroplami, lekko łaskocząc ją w przegub dłoni, w której trzymała uniesioną broń. Wiedziała, że ogarnia ją lęk. Zdawała sobie sprawę, jeszcze zanim weszła do jaskini, że kiedy stanie przed matką, odwieczne przerażenie wróci. Ale wiedziała także, że mu nie ulegnie.

Pierwszy dostrzegł ją Berasategui. Popatrzył na nią z zainteresowaniem, jakby była nieoczekiwanym, ale nie całkiem niemile widzianym gościem.

Rosario podniosła głowę i kiedy spojrzała na nią swoimi ciemnymi oczami, Amaia poczuła, że znowu ma dziewięć lat. Poczuła, jak nie mówiąc ani słowa, matka zarzuca na nią pajęczą sieć, wiąże ją sznurem kontroli i na chwilę przejmuje panowanie nad nią, i znów grzebie ją w dziecięcym łóżeczku, w korycie z mąką, w grobie.

Ibai zakwilił cichutko, jakby zamierzał się rozplakać, i to wystarczyło, żeby Amaia wróciła do rzeczywistości. Zerwała się tama, która powściągała jej furję. Nie spodziewała się, że można odczuwać aż taką wściekłość, zwierzęcą i racjonalną zarazem. Napięła mięśnie jej ciała i wypełniła mózg, wygaszając czerwone światło lęku i rzucając rozkaz: załatw ją!

– Rzuć nóż i odejdz od mojego syna – rozkazała ostrym głosem.

Rosario wyszczerzyła zęby w uśmiechu i nagle zastygła w pół ruchu, jakby coś przykuło jej uwagę.

– Dalej! – nalegał Berasategui, ignorując Amaię.

Ale Rosario już się powstrzymała i wbijała wzrok w Amaię, jak

w nieprzyjaciela, który wykonał pierwszy ruch.

– Przysięgam na Boga, że rozwałę wam głowy, jeśli się od niego nie odsuniecie!

Twarz Rosario ściągnął grymas, powietrze uszło z jej z płuc i jęknęła. Rzuciła nóż na ziemię, obok siebie, nachyliła się nad dzieckiem i rozerwała pieluszkę.

– Arggggg... – jęknęła chrapliwie.

Wyciągnęła rękę do doktora i wsparła się na nim, żeby się podnieść.

– Gdzie jest dziewczynka? – krzyknęła. – Gdzie jest dziewczynka? Oszukaliście mnie. – Znów wbiła wzrok w Amaię i spytała: – Gdzie jest twoja córka?

Ibai zaczął płakać, przestraszony krzykiem.

– Ibai jest moim synem – odparła z mocą i zdała sobie sprawę, że to deklaracja, wyzwanie. Ibai, chłopiec z rzeki, chłopiec, który miał być dziewczynką i w ostatniej chwili zmienił zdanie.

Jeśli urodziłaś chłopca, to właśnie tak miało być.

– Ale przecież to była dziewczynka, Flora mi powiedziała – zaprotestowała Rosario, zbita z tropu. – To miała być mała dziwka, to miało być moje ofiarowanie.

Berasategui popatrzył na dziecko z irytacją i straciwszy całe zainteresowanie, oparł się o ścianę.

– Jak moja siostra bliźniaczka...

Widać było, że Rosario jest zaskoczona, ale nie poddawała się.

– Albo jak ty... Chyba nie myślisz, że już z tobą skończyłam!

Ibai płakał rozdzierająco, a pogłos jeszcze wzmacniał jego płacz. Wbijał się w uszy jak ostrze sztyletu. Rosario po raz ostatni spojrzała na niego z pogardą i ruszyła w stronę Amaia.

– Stój! – rozkazała Amaia, mierząc w matkę. – Nie ruszaj się!

Ale matka podchodziła coraz bliżej, a ona odsuwała się na bok, jakby tańczyły dziwny taniec, który Amaię prowadził ku środkowi jaskini i zbliżał do miejsca, gdzie leżał Ibai. Odległość, która je dzieliła, nie zmieniała się, jakby były dwoma magnesami zwróconymi ku sobie tym samym biegunem i odpychały się, utrzymując ściśle określony dystans. Amaia cały czas celowała w matkę z pistoletu, kątem oka obserwując Berasateguiego. Przyglądał im się niemal z rozbawieniem.

Krążyły tak, aż starucha doszła do wyjścia z jaskini i zniknęła im z oczu. Amaia natychmiast odwróciła się do psychiatry. Uśmiechnął się rozbrajająco, podnosząc ręce do góry i robiąc krok w stronę wyjścia.

– Uważaj – powiedziała Amaia bardzo spokojnie. – Do ciebie strzelę bez wahania, nie zadrży mi ręka. Jeszcze krok i nie żyjesz.

Zatrzymał się, zrezygnowany.

– Pod ścianę! – rozkazała.

Nie spuszczać go z muszki, podeszła bliżej i rzuciła mu kajdanki.

– Zakładaj!

Posłusznie zrobił, co kazała, nie przestając się uśmiechać. Podniósł obie ręce do góry, żeby pokazać, że są skute.

– Na ziemię, na kolana!

Berasategui spełnił rozkaz z pewną niechęcią, jakby się spodziewał, że zamiast go aresztować, Amaia zaproponuje mu coś przyjemniejszego.

Dopiero wtedy podeszła do dziecka i podniosła je, przewracając kilka świec. Nadal płonęły, leżąc na ziemi. Przytuliła synka do piersi, otuliła go swoim ubraniem i ucałowała, sprawdzając, czy nic mu nie jest.

– Pani inspektor! – zawołał Jonan.

– Tutaj, Jonanie! – odkrzyknęła z ulgą, kiedy usłyszała jego głos. – Tutaj.

Nawet na chwilę nie przyszło jej do głowy, żeby iść szukać matki w szalejącej burzy. Nie mogła zostawić rannego Jonana, żeby sam pilnował aresztowanego, i oczywiście nie zostawiłaby Ibaia. Sprawdziła komórkę i zwróciła się do podinspektora:

– Nie mam zasięgu.

Skinął głową i powiedział.

– Nie szkodzi. Tam na zboczach był zasięg, przynajmniej tyle mogłem zrobić. Już po nas idą.

Odetchnęła z ulgą.

Akcja poszukiwawcza, którą ogłoszono natychmiast, odbyła się przy współudziale Policji Statutowej Nawarry i Gwardii Cywilnej. Przyjechał nawet specjalny oddział z Saragossy,

z psami tropiącymi. Po całej dobie poszukiwań wolontariusze z Ochrony Obywatelskiej znaleźli puchówkę z eskimoskim kapturem, którą miała na sobie Rosario, w krzakach nad rzeką, jakieś dwa kilometry w dół nurtu. Markina przez dłuższą chwilę oglądał płaszcz, który nosił wyraźne ślady rozdarć i uszkodzeń, a potem powiadomił służby, że uznaje poszukiwania za zakończone.

– Rzeka wezbrała i nurt jest bardzo wartki. Jeśli poszukiwana wpadła do wody w tym miejscu, to jutro znajdzie się w Morzu Kantabryjskim. Powiadomimy nadrzeczne miejscowości i patrole na wybrzeżu, ale wczoraj widziałem, że rzeka niosła jak zapalki całe pnie drzew, grubsze od człowieka – oświadczył dowódca oddziału wolontariuszy.

Amaia wróciła do domu, który bez Engrasi był tylko budynkiem. Nie spuszczać z oka śpiącego synka, rzuciła się w ramiona Jamesa.

– Wszystko mi jedno, co mówią. Ja wiem, że moja matka żyje. Objął ją i nie próbował się z nią spierać. Spytał tylko:

– Skąd wiesz?

– Bo nadal czuję się zagrożona. Czuję, jak się napina sznur, który nas łączy. Wiem, że jest gdzieś tam, na dworze, i wiem, że jeszcze nie skończyła.

– Jest stara i chora. Naprawdę sądzisz, że wyszła z lasu i znalazła gdzieś schronienie?

– Wiem tylko, że mój prześladowca krąży gdzieś tam, na dworze. Jonan uważa, że mogła zgubić płaszcz, kiedy uciekała.

– Amaio, proszę cię, zostaw to – poprosił James i objął ją jeszcze mocniej.

Amaia weszła do pokoju przesłuchań w towarzystwie Iriartego. Berasategui uśmiechnął się na jej widok. Często widywała w telewizji adwokata, który mu towarzyszył. Nie podniósł się, kiedy weszli, za to zanim zaczął mówić, starannie wygładził drogą marynarkę. Amaia zastanawiała się, ile bierze za godzinę.

– Pani inspektor Salazar, mój klient chciałby pani podziękować za to, co pani zrobiła, żeby go uratować. Gdyby nie pani, sprawy mogły się potoczyć zupełnie inaczej.

Popatrzyła na Iriartego i niemal by ją rozbawiła ta bezczelność, gdyby nie to, że było jej tak smutno.

– A więc taką strategię macie zamiar przyjąć? – spytał Iriarte.

– Berasategui będzie chciał, żebyśmy uwierzyli, że jest tylko ofiarą zbiegu okoliczności.

– To nie strategia – odparł adwokat. – Mój klient działał pod presją osoby niebezpiecznej, chorej psychicznie. Proszę mi wybaczyć te słowa – zwrócił się do Amai.

– Odwiedzał Rosario w Santa María de las Nieves, udając jej krewnego. Używał fałszywych dokumentów. – Iriarte położył przed adwokatem zdjęcia z kamer.

– Tak – przyznał pompatycznie adwokat. – Mój klient jest winny zbytnej gorliwości zawodowej. Był zafascynowany przypadkiem Rosario, zaprzyjaźnił się z nią, kiedy ją poznał przed laty w innym szpitalu, i bardzo ją polubił. Ponieważ mogła przyjmować jedynie wizyty członków rodziny, mój klient, bez złych intencji, podał się za jej krewnego, żeby móc ją odwiedzać.

– Używał fałszywych dokumentów.

– Tak, mój klient przyznaje się do tego – powiedział potulnie adwokat. – Jestem pewien, że sędzia stwierdzi, że nie miał złych intencji. W sumie sześć miesięcy.

– Proszę poczekać, zanim pan wszystko podsumuje, panie

mecenasie. Jeszcze nie skończyłem. – Iriarte się zdenerwował. – Doręczył Rosario broń. Wniósł ją na teren kliniki. – Adwokat zaczął kręcić głową. – Stary lancet, który znalazł tam, gdzie się ukrywał Antonio Garrido.

Uśmiech na chwilę zniknął z twarzy Berasateguiego, jakby mu zabrakło prądu. Potem znów się uśmiechnął.

– Tego pan nie może udowodnić.

– Chce pan, żebym uwierzył, że Rosario go zmusiła?

– Sam pan widział, co zrobiła pielęgniarzom i doktorowi Franzowi. I pani biednej ciotce... – Adwokat popatrzył na Amaię.

– Antonio Garrido żyje – Amaia po raz pierwszy zabrała głos. Wpatrywała się w Berasateguiego.

Uśmiechnięty Berasategui patrzył na nią.

– No cóż, to przejściowe – odparł. – Wie pani, jak to jest z życiem. Jedyne, co wiemy na pewno, to to, że umrzemy.

– Skłoni go pan, żeby się zabił?

Berasategui spojrział na nią pobłaźliwie, jakby ten komentarz był zbyt czyny.

– Nic nie zrobię, to on to zrobi. To człowiek bardzo zaburzony. Przez jakiś czas go leczyłem. To potencjalny samobójca.

– Tak, podobnie jak Quiralte, Medina, Fernández i Durán. Wszyscy byli pana pacjentami, wszyscy nie żyją. Wszyscy zabili kobiety, które pan znał, urodzone w Baztán, wszyscy podpisali się pod swoimi zbrodniami w ten sam sposób – powiedział Iriarte, pokazując zdjęcia zrobione w więziennych celach. – Ze wszystkich miejsc zbrodni ktoś zabrał trofeum, rękę odciętą starą piłą do amputacji, zabraną z Hospitalenea. Tam się ukrywał pański sługa, Antonio Garrido.

– No cóż, odsetek samobójstw wśród osób ze skłonnością do przemocy jest bardzo wysoki, a ponieważ jestem niewinny, jestem pewien, że mam alibi na każdą z tych okazji.

Iriarte wyciągnął z innej teczki sześć zdjęć. Położył je na stole przed adwokatem i jego klientem.

– Wszystkie ręce amputowane po zabójstwach znaleziono rok temu w Arri Zahar. Na niektórych były ślady ludzkich zębów. Nie wiem, czy zapoznał się pan z ostatnimi odkryciami

medycyny sądowej, ale mogę zapewnić, że dzięki odlewowi pańskiej jamy ustnej łatwo będzie ustalić, co pana z tym łączy.

– Przykro mi, ale znów muszę pana rozczarować. W młodości miałem wypadek samochodowy. Złamałem żuchwę i straciłem sporo zębów. To implanty – wyszczerzył zęby w parodii uśmiechu. Pokazał całe uzębienie. – Implanty, takie same jak tysiące innych implantów. To wystarczy, żeby sędziowie nabrali wątpliwości.

Jego adwokat żarliwie potwierdził.

– Wróćmy więc do pańskiego sługi – zaczął z innej beczki Iriarte.

– Tak, wróćmy – potwierdził wyniośle Berasategui, ku zaskoczeniu adwokata.

– Garrido przyznał się, że to on kilka razy zbezczesał kościół w Arizkun.

– Nie wiem, co to może mieć wspólnego... – zaprotestował adwokat.

– Uszkodzono przedmioty stanowiące dobra kościelne, ale oprócz tego użyto ludzkich szczątków wykopanych z rodzinnego cmentarza.

Berasategui uśmiechał się tak promiennie, że przyciągnął uwagę wszystkich obecnych, również coraz bardziej zdezorientowanego adwokata. Ale on patrzył tylko na Amaię.

– Podobało się to pani, pani inspektor?

Wszyscy siedzieli w milczeniu, wpatrując się w rozradowaną twarz psychiatry i obojętną twarz inspektor Salazar. Wydawała się pozbawiona jakiegokolwiek wyrazu.

– Rozbieżność i początek – powiedziała nagle.

Berasategui popatrzył na Iriartego i na adwokata. Wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że nie rozumie.

– W tym śledztwie w sprawie zabójstw rozbieżność jest kluczem, a narodziny są początkiem, a w każdym początku jest zarodek końca.

Podniósł skute kajdankami ręce, jakby zadawał pytanie.

– Nie rozumie mnie pan, doktorze Berasategui? A może powinnam powiedzieć: doktorze Yañez?

Uśmiech zamarł na jego twarzy.

– To właśnie jest początek: twoje narodziny, synu Estebana Yáñeza i Margarity Berasategui. Esteban Yáñez jest emerytem, dba o ogród otaczający mój dom. To on znalazł *itxusuria* mojej rodziny, on dostarczył kości Garridzie. Jest w sąsiedniej sali i złożył oświadczenie. Powiedział, że nie wiedział, że kości posłużą do zbeczeszczenia kościoła. Sądził, że to miał być makabryczny żart, żart z tych, którzy w jego mniemaniu chcieli przywłaszczyć sobie ziemię, którą uznał za swoją własność, bo długo ją uprawiał. Margarita Berasategui natomiast była nieszczęśliwą kobietą, przez całe życie dotkniętą depresją. Dla dziecka to musiało być bardzo ciężkie doświadczenie – dorastać w smutnym i ciemnym domu, w którym panowały milczenie i płacz. Dla tak wybitnego umysłu jak twój to było jak grób, prawda? Coś nie do wytrzymania. Matka się starała, dom był zawsze czysty, ubrania wyprasowane, obiad ugotowany. Ale to dziecku nie wystarczy. Dziecko potrzebuje zabawy, towarzystwa, miłości i czułości, a ona nie znosiła, kiedy jej dotykałeś, czyż nie? Ona nigdy tego nie robiła. Może już wtedy przeczuwała, jakim potworem jesteś. Matka zawsze wie takie rzeczy. Kilka razy próbowała popełnić samobójstwo. Łykała mnóstwo środków uspokajających, ale nigdy wystarczająco dużo. Może dlatego, że tak naprawdę nie chciała umrzeć, chciała tylko żyć inaczej. Pewnego dnia wróciłeś ze szkoły i znalazłeś ją na wpół przytomną, z jedną z tych fiolek, z pigułkami rozsypanymi na kolanach, i dokończyłeś sprawę. Wycelowaleś w nią fuzję ojca i – może jej własną bezwładną ręką – rozwaliłeś jej głowę. Nikt nie wątpił w samobójstwo, bo jej stan był ogólnie znany, a do tego już przedtem próbowała. To nic nadzwyczajnego w regionie, który ma jeden z najwyższych wskaźników samobójstw w kraju. Nikt z wyjątkiem twojego ojca. Musiał zdać sobie sprawę, co się naprawdę stało, jak tylko wszedł do domu i zobaczył jej mózg rozbryźnięty na ścianach i suficie. Mogła być załamana, ale utrzymywała dom w takiej czystości, że można było jeść z podłogi. Kobiety rzadko popełniają samobójstwa w tak brudny, ohydny sposób, a ona byłaby do tego skłonna jeszcze mniej niż ktokolwiek inny. To dlatego ojciec wygnał cię

z domu, to dlatego wysłał cię tak daleko, to dlatego nadal się ciebie boi i jest ci posłuszny. To jest początek. Odrzuciłeś ojca, odrzucając jego nazwisko. Ale przyjąłeś nie nazwisko matki – przyjąłeś nazwisko pierwszej ofiary.

Berasategui siedział bez ruchu. Słuchał uważnie i nie odzywał się ani słowem.

– Ma pani jakieś dowody na to wszystko, o czym pani mówi? – spytał adwokat.

– A teraz przejdziemy do rozbieżności – ciągnęła Amaia, ignorując adwokata i nie spuszczać wzroku z Berasateguiego.

– Wszystkie kobiety były dorosłe i pochodziły z Baztán, wszyscy zabójcy uczęszczali na terapię, uczyli się kontrolować złość. Czyż może być lepszy sposób, żeby znaleźć kogoś, kim można by manipulować, kim można się posłużyć?

– Nie manipuluję ludźmi – szepnął psychiatra.

Jego adwokat odsunął się trochę od stołu, jakby stawiał niewidzialny mur między sobą i klientem.

Amaia uśmiechnęła się.

– Oczywiście, że nie, jak mogłam popełnić taki błąd. To coś, czym się szczycicie, wy, podżegacze. Wy nie manipulujecie. Różnica polega na tym, że wasze ofiary robią to, co robią, z własnej woli, czyż nie? Pragną ci służyć i robią to, co mają zrobić, a co przypadkiem jest tym, czego ty od nich oczekujesz.

Teraz uśmiechnął się Berasategui.

– I wśród całego tego porządku i ładu nagle rozbieżność – Johana Márquez. Stwierdziłam, że próbowałeś swoich sztuczek na jej ojcu, ale okazał się bestią, nad którą nie zdołałeś zapanować. Nie mogłeś jednak oprzeć się temu, co czułeś przy Johanie, pragnieniu odebrania jej życia, pragnieniu jej delikatnego soczystego mięsa ukrytego pod gładką skórą, którą ta bestia, jej ojczym, mógł w każdej chwili sprofanować. – Zauważyła, że Berasategui uchyla lekko usta i delikatnie przesuwa językiem po kąciku warg. – Czyhałeś na nią jak wygłodniały wilk, czekałeś na odpowiednią chwilę, bo wiedziałeś, że prędzej czy później nadejdzie. Chciwość i poządliwość cię zgubiły, nie byłeś w stanie się opanować. Prawda? Ugryzłeś Johanę Márquez w tej szopie, kiedy

zabierałeś swoje trofeum. Może i twoje implanty wzbudziłyby uzasadnione wątpliwości, ale zostawiłeś też ślinę na tym małym kawałeczku mięsa, który przechowujesz razem z innymi, jak przysmak, który chcesz zachować, ale któremu nie jesteś się w stanie oprzeć – zakończyła, cytując słowa Jonana.

Patrzył na nią z żalem.

– Johana – powiedział, kręcąc głową.

Już od dwóch dni nie padało. Zza chmur znów wyszło słońce i wszystko zrobiło się bardziej świetliste i bardziej rzeczywiste.

Z samego rana Amaia odwiedziła Instytut Medycyny Sądowej. Postanowiła wejść sama, ale James i jej siostry czekali w samochodzie.

San Martín podszedł, żeby się z nią przywitać, i objął ją na chwilę. Jednocześnie zadał jej pytanie:

– Jak się pani czuje?

– Dobrze – odparła spokojnie. Czowała ulgę, że za chwilę będzie to miała za sobą.

Doktor zaprowadził ją do swojego gabinetu, wypełnionego rzeźbami z brązu. Nigdy go nie używał. Wolał pracować przy zarzuconym szpargałami biurku w kącie na dole.

– To tylko formalność, pani inspektor. – Podsunął jej dokumenty. – Kiedy pani podpisze, będę mógł pani wręczyć szczątki.

Szybko nagryzmoliła kilka podpisów i niemal uciekła przed jego uprzejmością.

To była ta łatwiejsza część przedsięwzięcia. Teraz, stojąc nad grobem i czując, że słońce ogrzewa jej plecy, niemal żałowała, że nie pada deszcz. Podczas pogrzebów nie powinno świecić słońce, bo stają się przez to czymś zbyt realnym, zbyt jawnym, nie do zniesienia. Jaskrawe słońce oświetla koszmarnie niezabliźnionej rany z całym okrucieństwem.

Uklękała na ziemi, która nadal zachowała w sobie wilgoć ulewnych deszczów, i odetchnęła jej bogatym mineralnym aromatem. Bardzo ostrożnie włożyła kosteczki do dołu i przysypała ziemią. Uklepała rękami. Kiedy skończyła, odwróciła się do sióstr, Jamesa z Ibaiem na rękach

i niezniszczalnej Engrasi, która w przypływie kokieterii włożyła na tę okazję kapelusz. Zasłaniał bandaż spowijający jej głowę.

Słowniczek

agotes (hiszp.) – agoci. Dawna mniejszość, od wczesnego średniowiecza po wiek XIX zamieszkująca doliny rzek Baztán i Roncal w hiszpańskiej Nawarze i niektóre obszary francuskiej Baskonii. Tam nazywali się *cagots*. Agoci nie stanowili odrębnej grupy etnicznej ani religijnej. Mówili językiem miejscowej ludności i wyznawali jej wiarę, a ich niski status wynikał z dyskryminacji społecznej i ekonomicznej, która trwała osiemset lat. Zajmowali się głównie rzemiosłami związanymi z obróbką kamienia, drewna i żelaza. Tajemnicą pozostaje ich pochodzenie i historyczne powody dyskryminacji.

Mieszkańcy terenów, na których się osiedlali, oskarżali ich o najrozmaitsze rzeczy, żeby usprawiedliwić prześladowania. Teorie na temat ich pochodzenia zawsze stawiały ich w niekorzystnym świetle. Według jednej z najbardziej znanych byli potomkami francuskich przestępców lub zbiegłych żołnierzy, którzy schronili się w leprozoriach, żeby umknąć przed prawem. Stąd wziął się pomysł, że roznoszą trąd. Inna teoria łączy ich ze zbiegłymi katarami, jeszcze inna z potomkami muzułmańskich najeźdźców na Półwysep Iberyjski.

Mimo że byli katolikami, przez wieki oskarżano ich o pogańskie praktyki religijne i uważano za rasę niższą. Oskarżano ich o praktykowanie magii i czarów. Byli zmuszeni do endogamii, która pogłębiała odrzucenie społeczne. Musieli się osiedlać w gettach, ubierać się tak, żeby dało się ich rozpoznać na pierwszy rzut oka, i przyszywać do ubrań czerwony znak – kaczą łapę. Uważano, że roznoszą różne choroby, zwłaszcza trąd, i w niektórych rejonach bywali zmuszani oznajmiać swoje nadejście dzwonkiem, jak trędowaci. Mogli chodzić do kościoła, ale byli tam poniżani: wchodzili osobnymi drzwiami, niższymi i węższymi, podczas mszy stali pod chórem albo pod schodami, korzystali z własnej

chrzcielnicy, żeby nie skazić wody święconej, nie podchodzili do ołtarza, tylko stali za linią narysowaną na podłodze, a w kościele w Arizkun za kratą.

Już w 1514 roku papież Leon X wydał bulę, w której zabraniał poniżać agotów i nakazywał dopuścić ich do normalnych praktyk religijnych, ale rozporządzenie to pozostało ważne tylko na papierze i dopiero w 1819 roku Kortezy Nawarry prawnie zrównały agotów z resztą ludności. Równocześnie przesiedlono część z nich, a reszta samorzutnie rozproszyła się po całej Hiszpanii. Z biegiem lat zanikła zarówno dyskryminacja agotów, jak i pamięć o nich. Miejscem, gdzie przetrwała do dziś, jest Arizkun w Nawarze, której dzielnica, Bozate, była kiedyś ich gettem.

aita (bask.) – tata.

ama (bask.) – mama.

amatxi (bask.) – babcia.

aurrerá (bask.) – Naprzód!

basajaun (bask.) – Pan Lasu, mityczny leśny olbrzym, postać z mitologii baskijskiej. Ma postać człowieka, ale pokrywa go gęsta sierść, a jego włosy sięgają ziemi. Obdarzony ogromną siłą, nie jest agresywny w stosunku do ludzi, raczej ich unika. Broni stad owiec przed wilkami i czasem pomaga pasterzom albo innym ludziom zagubionym w odludnych leśnych zakątkach. Nie umie mówić, gwizdże. W niektórych mitach basajauny są przedstawiane jako twórcy cywilizacji, która poprzedzała cywilizację ludzką. To od nich ludzie nauczyli się rolnictwa, rzemiosł, pasterstwa i tak dalej, zresztą podstępem: wykradli olbrzymom tę wiedzę.

To *basajaun* pomaga Amai znaleźć drogę w lesie. Więcej o basajaunie można się dowiedzieć z pierwszego tomu *Trylogii Baztán*, z książki *Niewidzialny strażnik*.

belagile (bask.) – zła czarownica z baskijskich wierzeń. Niszczy uprawy i trzebi stada, roznosi choroby, rzuca uroki, ma złe oko, szkodzi zwłaszcza dzieciom.

botil harri – kamień stojący pod ratuszem w Elizondo, używany niegdyś do gry w *laxoa*, odmianę baskijskiej peloty, w którą grano z użyciem rękawicy.

caserio (hiszp.) – wiejski dom, wolno stojący, charakterystyczny dla Kraju Basków i Nawarry, ze spadzistym dachem, dużym portykiem i wielkim balkonem zwanym *solana*.

etxeko andreak (bask.) – pani domu, gospodyni.

frontón (hiszp.) – boisko do gry w pelotę, ze ścianą, o którą odbija się piłkę.

gaueko (bask.) – ten, co przychodzi nocą. Mityczny baskijski demon, potężny i wrogi ludziom. Może szkodzić jedynie w nocy, w dzień płoszy go światło słońca.

gorapes (bask.) – arkady, portyki przy budynkach.

Ibai (bask.) – rzeka. Słowo to jest używane jako imię męskie. Nadaje się je chłopcom w Kraju Basków i Nawarze.

itxusuria (bask.) – Korytarz dusz. Obszar wokół domu wytyczony przez linię, jaką zostawia na ziemi woda spadająca z szerokich okapów. W Kraju Basków i Nawarze jest to uświęcone miejsce, służące za rodzinny cmentarz. Kiedyś grzebano na nich nieochrzczone dzieci.

kaixo (bask.) – Cześć, witaj.

La mano (hiszp.) – dosłownie: ręka. *Pelota mano*, odmiana baskijskiej gry w piłkę, rozgrywana gołą ręką, bez rękawicy czy

kija.

Lamia (bask.) – mityczna istota z mitologii baskijskiej, rodzaj boginki żyjącej nad wodą. Przybiera postać pięknej kobiety, ale nogi ma zakończone kaczymi płetwami, nie stopami. Lamie lubią się czesać, zawsze złotym grzebieniem. Czasem pomagają ludziom, ale przeważnie zwodzą pasterzy na manowce.

mairu-beso (bask.) – Ręka mairu. W wierzeniach Basków *mairu* byli gigantami, twórcami megalitycznych budowli. Często łączy się ich z lamiami. Niektóre legendy mówią o kości ramieniowej albo wyschniętej ręce *mairu* (czyli *mairu-beso*), mających magiczne, narkotyzujące właściwości. *Mairu* to synonim kogoś, kto nie został ochrzczony, nie jest chrześcijaninem. Stąd rozszerzenie pojęcia *mairu-beso* na rękę zmarłego bez chrztu dziecka lub poronionego płodu. Takie dzieci grzebano na przydomowych cmentarzykach zwanych *itxusuria*.

maitea (bask.) – kochanie.

Mari (bask.) – bogini przyrody, w mitologii Basków bardzo ważne bóstwo. Mari była kobiecą personifikacją wielkości i majestatu gór, władczynią duchów i demonów, burz, piorunów i błyskawic. Piorun jest uważany za kamień, którym ciska bogini Mari. Jest skłonna pomagać ludziom, jeśli złożą jej ofiarę.

milesker (bask.) – Bardzo dziękuję.

pala (bask.) – odmiana baskijskiej peloty, rozgrywana za pomocą drewnianych kijów.

patxaran (bask.) – likier z jagód tarniny, typowy dla Nawarry.

pelota (hiszp.) – dosłownie: piłka. Sport typowo baskijski,

mający różne odmiany.

pelotari (bask.) – zawodnik lub gracz w pelotę.

Servidoras de la dama (hiszp.) – służki bogini.

Tartalo lub tarttalo (bask.) – cyklop ludojad, postać z mitologii baskijskiej. Jest olbrzymem o wielkiej sile, wrogo nastawionym do ludzi. Zamieszkuje jaskinie, skąd wyprawia się, żeby polować na ludzi lub owce, choć czasem jest przedstawiany jako pasterz własnych stad.

ttikitto (bask.) – maleńki.

txirimiri (bask.) – mżawka.

txitxarro (bask.) z **refrito** (hiszp.) – ostrobok śródziemnomorski podany z sosem z warzyw podsmażonych na oliwie i przetartych.

zorionak, aita – wszystkiego najlepszego, tato.

Służby policyjne występujące w książce:

Ertzaintza – Policja Autonomiczna Kraju Basków

Guardia Civil – Gwardia Cywilna

Policía Foral – Policja Statutowa Nawarry

Policía Nacional – Policja Narodowa

Protección Civil – Ochrona Obywatelska

Podziękowania

Dziękuję za współpracę wszystkim tym, którzy ponownie oddali swój talent i wiedzę do mojej dyspozycji, żeby twórcy wyobraźni zamienić w namacalną rzeczywistość, którą trzymamy w dłoniach. Za wszelkie błędy i niedociągnięcia, niewątpliwie liczne, jedynie ja jestem odpowiedzialna.

Składam podziękowania:

doktorowi Leo Seguínowi z Uniwersytetu w San Luis

Palomie Gómez Borrero

Policji Statutowej Nawarry, a szczególnie oddziałowi w Elizondo. *AURRERA. Milesker*

Mario Zunzarrenowi Angosowi, głównemu komisarzowi Policji Statutowej Nawarry w Pampelunie

kapitanowi policji sądowej Gwardii Cywilnej w Pampelunie

Juanowi Mari Ondikolowi i Beatriz Ruiz de Larrinaga z Elizondo, prekursorom wycieczek z przewodnikiem po miejscach opisywanych w *Trylogii Baztán*

Oddziałowi Straży Pożarnej z Oronoz-Mugairi, Juliánowi Baldancie

Pelotariemu Oskarowi Lasa, Lasa III, bo czasem kilka słów znaczy bardzo wiele.

Isabel Medinie za prześliczną opowieść o Baztán

Mari, bo tak trzeba.



VIRTUALO
Księgarnia Internetowa

empik